Kalendarz Związkowy

na rok 1926



CHICAGO, ILLINOIS

Związek Nar. Pol. w St. Zjed. Pół. Am.





KALENDARZ
ZWIĄZKOWY





W Syberyi

Na Rok 1926

WYDANY NAKŁADEM

DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO

— W —

CHICAGO, ILLINOIS.



Stefan Czarnecki



Ks. Józef Poniatowski



1794 Bitwa pod Racławicami d. 4 Kwietnia.





1831 Śmierć Sowińskiego w Kościele na Woli d. 6 Wrześ.

ŚWIĘTA RUCHOME W LATACH 1925-40

(podług kalendarza gregorjańskiego.)

Rok	Popielec	Wielkanoc	Wniebowstąpienie Pań.	Zesłanie Ducha Św.	Trójcy Św.	Boże Ciało	Niedziela I. Adwentu
1926	17 Luty	4 Kwiecień	13 Maj	23 Maj	30 Maj	3 Czerwiec	28 Listopad
1927	2 Marzec	17 Kwiecień	26 Maj	5 Czerwiec	12 Czerwiec	16 Czerwiec	27 Listopad
1928	22 Luty	8 Kwiecień	17 Maj	27 Maj	3 Czerwiec	7 Maj	2 Grudzień
1929	13 Luty	31 Marzec	9 Maj	19 Maj	26 Maj	30 Maj	1 Listopad
1930	5 Marzec	20 Kwiecień	29 Maj	8 Czerwiec	15 Czerwiec	19 Czerwiec	30Listopad
1931	18 Luty	5 Kwiecień	14 Maj	24 Maj	31 Maj	4 Czerwiec	29 Listopad
1932	10 Luty	27 Marzec	5 Maj	15 Maj	22 Maj	26 Maj	27 Listopad
1933	1 Marzec	16 Kwiecień	25 Maj	4 Czerwiec	11 Czerwiec	15 Czerwiec	3 Grudzień
1934	14 Luty	1 Kwiecień	10 Maj	20 Maj	27 Maj	31 Maj	2 Grudzień
1935	6 Marzec	21 Kwiecień	30 Maj	9 Czerwiec	16 Czerwiec	20 Czerwiec	1 Grudzień
1936	26 Luty	12 Kwiecień	21 Maj	31 Maj	7 Czerwiec	11 Czerwiec	29 Listopad
1937	10 Luty	28 Marzec	6 Maj	16 Maj	23 Maj	27 Maj	28 Listopad
1938	2 Marzec	17 Kwiecień	26 Maj	5 Czerwiec	12 Czerwiec	16 Czerwiec	27 Listopad
1939	22 Luty	9 Kwiecień	18 Maj	28 Maj	4 Czerwiec	8 Maj	3 Grudzień
1940	7 Luty	24 Marzec	2 Maj	12 Maj	19 Maj	23 Maj	1 Grudzień

PORY ROKU

Wiosenne zrównanie dnia z nocą dnia 20-go marca. Początek wiosny o 9.51 wieczorem. Wiosna trwać będzie 92 dni, 19 godzin i 45 minut.

Letnie przesilenie dnia z nocą, dnia 21-go czerwca. Początek lata o godzinie 5:36 po południu. Lato trwać będzie 93 dni, 14 godzin i 44 minuty.

Jesienne zrównanie dnia z nocą, dnia 23-go września. Początek jesieni o godzinie 8:20 rano. Jesień trwać będzie 89 dni, 18 godzin i 48 minut.

Zimowe przesilenie dnia z nocą, dnia 22-go grudnia. Początek zimy o godzinie 3:08 rano.

Długość roku zwrotnikowego wynosi 365 dni, 5 godzin i 51 minut.

ŚWIĘTA LEGALNE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

1-go stycznia.—Nowy Rok: we wszystkich stanach i w Dystrykcie Columbia, z wyjątkiem Massachusetts, Mississippi i New Hampshire.

12-go lutego.—Urodziny Lincolna—w stanach: Connecticut, Illinois, Minnesota, New York, North Dakota, Pennsylvania i Washington.

22-go lutego.—Urodziny Washingtona—we wszystkich stanach i w dystrykcie Columbia z wyjątkiem Mississippi.

2-go marca.—Rocznica niepodległości teksaskiej w Texas.

19-go kwietnia.—Dzień patrjotów w Massachusetts.

30-go maja.—Dzień Wieńczenia Grobów—we wszystkich stanach północnych.

4-go lipca.—Dzień Niepodległości: w całych Stanach Zjednoczonych.

Pierwszy poniedziałek września.—Dzień robotniczy we wszystkich stanach i terytorjach i w dystrykcie Columbia z wyjątkiem Arizona, Arkansas, Louisiana, Mississippi, Nevada, New Mexico, North Carolina, North Dakota, Oklahoma i Vermont. Obserwowany jest w Wyoming, ale nie jest świętem legalnem.

URZĘDOWE ŚWIĘTA W RZPLITEJ POLSKIEJ

10-go lutego.—Rocznica Sejmu (dekret z dnia 9-go kwietnia 1919 roku).

3-go maja.—Rocznica Konstytucji 1791 r. (uchwała Sejmu z dnia 29 kwietnia 1919 roku).

6-go sierpnia.—Święto Wojsk Polskich (uchwała Sejmu z dnia 27-go lipca 1919 roku).

PODZIAŁ ROKU KOŚCIELNEGO

I. Adwent zaczyna się w niedzielę dnia 28-go listopada.

II. Post Wielki zaczyna się w Środę Popielcową, dnia 17-go lutego.

III. Suche dni przypadają w Środy, Piątki i Soboty:
1. Po pierwszej niedzieli Wielkiego Postu dnia 24, 26, 27 lutego.
2. Po Zielonych Świątkach dnia 26, 28, 29 maja.
3. Podwyższeniu Św. Krzyża dnia 15, 17 i 18 września.
4. Po trzeciej Niedzieli Adwentu dnia 15, 17 i 18 grudnia.

IV. Dni Krzyżowe przypadają w poniedziałek, wtorek i środę przed samem Wniebowstąpieniem Pańskim, dnia 10, 11 i 12 maja.

V. Wesel małżeńskich Kościół zabrania:
1. Od pierwszej niedzieli Adwentu do Trzech Króli.
2. Od Środy Popielcowej do Poniedziałku Przewod.

VI. Ważniejsze święta przypadają:
Matki Boskiej Gromnicznej 2-go lutego.
Niedziela Palmowa 28-go marca
Wielkanoc 4-go kwietnia.
Wniebowstąpienie Pańskie 13-go maja.
Zielone Świątki 23-go maja.
Uroczystości Św. Trójcy 30-go maja.
Uroczystości Bożego Ciała 3-go czerwca.
Uroczystość Wniebowstąpienia Panny Marji 15-go sierpnia.
Uroczystość Wszystkich Świętych 1-go listopada.
Uroczystość Niep. Poczęcia Panny Marji 8-go grudnia.
Uroczystość Narodzenia Pańskiego 25 grudnia.

1926 ☾ Ostat. kw. 7. ● Nów ..... 14. STYCZEŃ ☽ Pierw. kw. 20. ○ Pełnia ... 28. 1926

MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	**Nowy Rok**
2	S.	Makarego op.
3	**N.**	Genowefy p.
4	P.	Tytusa biskupa
5	W.	Telesfora
6	Ś.	**Trzech Króli**
7	C.	Walentego b. Luc.
8	P.	Marcjanny p.
9	S.	Seweryna Op.
10	**N.**	Juliana m.
11	P.	Higina m.
12	W.	Honoraty, Arkadjusza
13	Ś.	Weroniki
14	C.	Hilarego
15	P.	Pawła Pustel.
16	S.	Marcelego I. pap.
17	**N.**	Antoniego p.
18	P.	Katedry św. Piotra
19	W.	Henryka b. m., Teodora
20	Ś.	Fabjana i Seb.
21	C.	Agnieszki p. m.
22	P.	Wincent. m. i Anastaz.
23	S.	Zaślubiny P. Marji
24	**N.**	Tymoteusza
25	P.	N. św. Pawła Ap.
26	W.	Polikarpa
27	Ś.	Jana Chryzostoma
28	C.	Karola W., Agnieszki
29	P.	Franciszka Salez.
30	S.	Martyny p.
31	**N.**	Piotra z Nolasku

ZAPISKI

"Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc: "przyjacielu...."

....Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt ni gościną, ni prośbą, ni dary!....
....On wiecznie głodny! Choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele".

Adam Mickiewicz "Grażyna".

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

KOZIOROŻEC

Osoby urodzone pod tym znakiem, to jest pomiędzy 21 grudnia a 20 stycznia są cichego usposobienia. Oddają się głębokim myślom i każdą rzecz biorą pod rozwagę wyciągając następnie z tego wnioski. Są praktyczni, posiadają dystynkcję, są sympatyczni; ale sympatja ich często zamienia się w zimny chłód. Gdy oddają się jakiemu przedsięwzięciu to z całą namiętnością. Nie lubią, aby kto wglądał w ich sprawy. Oddają się religijnym studiom. Kobiety urodzone pod tym znakiem lubią się stroić i robić zawsze jak najlepsze na drugich wrażenie.

Ludzie urodzeni pod tym znakiem mają powodzenie w przedsiębiorstwach kopalń. Są także dzielni z nich adwokaci i księża. Mieszkać nie lubią w wielkich miastach, hałasu unikają.

Pod znakiem tym byli rodzeni tacy mężowie jak: Benjamin Franklin, Daniel Webster, T. Pine, Isaac Newton, W. Gladstone, R. Lee, E. A. Poe.

1926	☾ Ostat. kw. 5. ● Nów ..... 12.	LUTY MA 28 DNI	☽ Pierw. kw. 19. ○ Pełnia ... 28.	1926

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	Ignacego
2	W.	**N.M.P. Gromnicz.**
3	Ś.	Błażeja
4	C.	Andrzeja b.
5	P.	Agat. p., Paw. i Jana m.
6	S.	Doroty p.
7	**N.**	**Romualda op.**
8	P.	Jana z Maty i Rysz.
9	W.	Apolonji p. i m.
10	Ś.	Scholastyki i Wilhelma
11	C.	Adolfa
12	P.	Ludomiła, Aleksego b.
13	S.	Aniela z Foligno
14	**N.**	**Walentego b., Jacka**
15	P.	Faustyna m.
16	W.	Juljanny
17	Ś.	Konstancji p. **Popielec**
18	C.	Symeona b. m.
19	P.	Konrada ust.
20	S.	Nicefora m., Leona
21	**N.**	**Andrzej Bobola, 1 N. p.**
22	P.	Stolicy św. Piotra
23	W.	Piotra Damiana
24	Ś.	Macieja ap.
25	C.	Anastazji p.
26	P.	Wiktora z A.
27	S.	Aleksego, Fortunata
28	**N.**	**Romana w. i Teofila**

ZAPISKI

"....bo niema ugody,
Gdzie w jednym kraju żyją dwa żywe narody.
Pragnień im nie odejmiesz, ziemi im nie dodasz —
Jeden musi ustąpić: gość albo gospodarz".

—Temi słowy określa istotę sporu polsko-żydowskiego znakomity pisarz Karol Hubert Rostworowski w swoim nowym dramacie p. t. "Antychryst", wystawionym po raz pierwszy w roku 1925 na scenie Teatru Poznańskiego.

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

WODNIK.

Osoby rodzone pod tym znakiem to jest pomiędzy 21 stycznia a 18 lutego, są natury dobrej, mają pewną dumę, lecz bez zarozumiałości. Potrafią rozumować, są bardzo praktyczni i niezwykle intelektualni. Są szczerzy, otwarci i uczciwi. Nie łatwo wpadają w gniew, ale mają silną stanowczość. Są żywego, nerwowego temperamentu, lubią teatr i w ogóle lubią udzielać się publice. Są to typy wysokie, dosyć silnie zbudowane, ale nie otyłe. Długie twarze, wysokie czoła są u nich znamienne.

Kupców, podróżujących agentów i inżynierów znajdujemy najwięcej rodzonych pod tym znakiem. Lubią mieszkać poza miastem, ale podczas dnia lepiej dla nich aby otaczali się ludźmi.

1926 ☾ Ostat. kw. 7. ● Nów ..... 13. MARZEC ☽ Pierw. kw. 21. ○ Pełnia ... 29. 1926

MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	Albina
2	W.	Heleny ces.
3	Ś.	Kunegundy
4	C.	Kazimierza kr.
5	P.	Wacława m.
6	S.	Kolety P.
7	N.	Tomasza z Akw.
8	P.	Jana Bożego
9	W.	Franciszki p.
10	Ś.	40 Męczenników
11	C.	Konstantyna
12	P.	Grzegorza
13	S.	Rozyny i Fryd.
14	N.	Matyldy p.
15	P.	Longina m., Izabeli
16	W.	Eufrozyny, Cyryla
17	Ś.	Patrycy b. w.
18	C.	Edwarda II. kr.
19	P.	Józefa Obl.
20	S.	Wolframa, Eufemji m.
21	N.	Benedykta op.
22	P.	Oktawiana, Pawła b.
23	W.	Wiktora m., Katarzyny
24	Ś.	W. Cz. Macieja
25	C.	Zwiast. N. Panny
26	P.	W.S. Emanuela, Teod.
27	S.	Bogumiła, Jana Dam.
28	N.	Sykst. p., Jana K., N. P.
29	P.	Eustazego
30	W.	Kwiryna
31	Ś.	Balbiny

ZAPISKI

Zygmunt Balicki przytacza w "Egoizmie Narodowym" następujące, bardzo znamienne zdanie prawnika niemieckiego Iheringa:

"Jeden naród zagarnął bezprawnie z posiadłości drugiego jedną milę kwadratową pustego, nie mającego wartości obszaru; czy ten drugi ma wypowiedzieć wojnę?.. Co za głupota nieść ofiary takie dla tak drobnej rzeczy"!

i na tak postawione zagadnienie odpowiada jasno, twardo, bezwzględnie:

"milczący w podobnym wypadku naród, podpisuje na siebie z góry wyrok śmierci. Jeżeli można mu odjąć bezkarnie jedną milę kwadratową obszaru, można odebrać i resztę i znieść państwo — naród ten na inny los nie zasłużył"!

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

RYBY.

Osoby urodzone pod tym znakiem a mianowicie pomiędzy 19 lutego a 21 marca są w obejściu łagodne. Łatwo można się z niemi zgodzić, nawet do przeciwności — uśmiechają się. Są idealistami, wybiegają myślą poza swój widnokrąg. Często powiedzą coś, czego później żałują. Są logiczni, trzymają się obranej raz metody; lubią muzykę. Pragną dotykać sekretu wiedzy i zdobywają ją częstokroć z niezwykłą energją. Łatwo się rozczulają; muzyka i piękne widoki, nadzwyczaj ich pociąga. Umysł ich silny; od powziętego raz przedsięwzięcia nie łatwo odbiegają.

Prawnicy są z nich barzo dobrzy. Lubią mieszkać blisko morza, albo w górach, gdzie są piękne widoki. Pod tym znakiem byli rodzeni: G. Washington, W. Longfellow, Pr. Sheridan, J. Madison, J. Jeferson, Wiktor Hugo, Michał Anioł, G. Cleveland, William McKinley.

1926 ☾ Ostat. kw. 5. ● Nów ..... 12. **KWIECIEŃ** ☽ Pierw. kw. 19. ○ Pełnia ... 27. 1926

MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	C.	Hugona. Wielki Czwart.
2	P.	Franciszka z P. W. P.
3	S.	Ryszarda. W. Sobota
4	**N.**	Izydora. **Wielkanoc**
5	P.	Wincent. F. **Wielkanoc**
6	W.	Celestyna i Wilh.
7	Ś.	Hermana wyzn.
8	C.	Djonizego
9	P.	Marji Egip.
10	S.	Ezechiela pr.
11	**N.**	Leona p.
12	P.	Juljusza
13	W.	Justyna
14	Ś.	Walerjana m.
15	C.	Anastazji
16	P.	Lamberta
17	S.	Rudolfa b.
18	**N.**	Apolonjusza
19	P.	Emmy wd.
20	W.	Teodora b.
21	Ś.	Anzelma bisk.
22	C.	Sotera i Kaja
23	P.	Wojciecha b.
24	S.	Fidelisa, Jerzego
25	**N.**	Marka ewang.
26	P.	Maryi dobrej rady
27	W.	Peregryna, Teofila
28	Ś.	Witalisa
29	C.	Piotra męcz.
30	P.	Katarzyny S.

ZAPISKI

Pisał jeszcze w XVI stuleciu ks. Colikowski:

"Chociem prostak, wiem to i wiedziałem zawżdy, iż kazdemu panu i narodowi, więcej na morskiem państwie zależy niżeli na ziemskiem, bo i większe i prędsze pożytki morzem niżeli ziemią, i większe i prędsze szkody i niebezpieczeństwa przychodzą. Dlatego, kto ma państwo morskie, a nie używa go, albo je sobie da wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim, z swego cudzym, z pana kmieciem. W ciele człowieczem oko jest członek najważniejszy, ale najszlachetniejszy, tego gdy nie masz, człowiek wszystek stawa się niepotrzebnym bałwanem. Tak i Korona dawszy sobie skazić port gdański, to oko, którem patrzy na wszystek świat, nie co innego będzie, jeno gburstwo a osactwo cudze, a k'temu niedostatek".

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

BARAN.

Osoby, które się urodziły pod tym znakiem a mianowicie pomiędzy 21 marca a 22 kwietnia, są stanowczego, prędkiego usposobienia. Nie znoszą by ktoś nad nimi przewodził i raczej same chcą być przewodnikami. Zagłębiają się w filozofję, są odważni, nie łatwo się zniechęcają. Chociaż bardzo prędkiego charakteru są też równie prędko przebaczającymi. Nienawiści lub gniewu nie trzymają w sercu długo. Są zdrowi i nie łatwo poddają się słabościom. Mają silną wolę i tak dla fizycznego magnetyzmu jak i umysłowej siły—łatwo zdobywają przyjaciół. Łączyć winni się z osobami, które się rodziły w znaku Lwa lub Strzelca. Są z nich dobrzy mechanicy, a także zdolni do rysunków lub rzeźby. Zamieszkiwać jest dla nich najlepiej w wielkich miastach w narożnych domach.

1926	☾ Ostat. kw. 4. / ● Nów ..... 11.	MAJ	☽ Pierw. kw. 19. / ○ Pełnia ... 27.	1926

MAJ

MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	S.	Filipa i Jakóba ap.
2	N.	Zygmunta kr.
3	P.	Znalez. Krzyża św.
4	W.	Florjana m.
5	Ś.	Piusa V., Wer. w.
6	C.	Jana w Oleju
7	P.	Domiceli
8	S.	Stanisława b.
9	N.	Grzegorza
10	P.	Izydora
11	W.	Adolfa
12	Ś.	Pankracego
13	C.	Wniebowstąpienie
14	P.	Bonifacego
15	S.	Zofji i 3 c.
16	N.	Jana Nep.
17	P.	Paschalisa W.
18	W.	Feliksa spow.
19	Ś.	Piotra C.
20	C.	Bernardyna
21	P.	Wenancjusza M.
22	S.	Heleny, Dominika
23	N.	Andrzeja. Ziel. Świątki
24	P.	Joanny wdowy
25	W.	Grzegorza VII. P. W.
26	Ś.	Filipa, Neryana
27	C.	Marji m. de Pazie
28	P.	Augustyna
29	S.	Teodozji m.
30	N.	Feliksa m.
31	P.	Anieli.

ZAPISKI

W wydanym ostatnio trzecim tomie swych "Dziejów Polski" przytacza znakomity historyk prof. Wacław Sobieski ciekawe fakty z okresu walk o Warszawę w r. 1920:

"W czasie cofania się generał Szeptycki trzykrotnie przesyłał do Naczelnego Dowództwa W. P. raporty o zdradzie oficerów żydów, zaś pod Radzyminem bataljon wartowniczy, składający się z żydów, przeszedł na stronę bolszewików.. Śród zbiegłych do Śląska Górnego a następnie wydanych władzom polskim było: dezerterów 202 w tem żydów 193, uchylających się od poboru wojskowego 411 w tem żydów 398, działających na szkodę państwa polskiego 328 w tem żydów 325.."

Historia magistra vitae.. Warto czasem, odsunąwszy się od zgiełku aktualnych walk politycznych, posłuchać spokojnej, beznamiętnej wymowy historycznych faktów..

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

BYK.

Osoby urodzone pod tym znakiem, to jest pomiędzy 20 kwietnia a 22 maja, są bardzo cierpliwe, ale gdy raz wyprowadzone z cierpliwości są furjatami. Po większej części są zdrowymi, ale w razie cierpienia bardzo się cierpieniu poddają. Nie mają w tym razie nad sobą panowania. Lubią muzykę, malarstwo i literaturę. Są silnej natury, a jednak podlegają łatwo chronicznym chorobom.

Typy osób "Byka" są po większej części średniego wzrostu, szerokich plec, pełnej figury, krótkich rąk i nóg. Są odpowiedniejsi do wykonania prac artystycznych aniżeli do prowadzenia interesu. Mieszkać lubią w ciszy. I dziwna rzecz, jakkolwiek znak ten jest bardzo ziemski, są oni idealistami. Gdyby nie to, ignorowaliby piękno, gdyż mają nader silny pociąg do ziemskich uciech.

1926 Ostat. kw. 3. Nów ..... 10. **CZERWIEC** Pierw. kw. 18. Pełnia ... 25. 1926

MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	W.	Jakóba
2	Ś.	Marcela i Florentyny
3	C.	Klotyldy. **Boże Ciało**
4	P.	**Kwiryna**
5	S.	Bonifacego
6	**N.**	Norberta
7	P.	Roberta b. m.
8	W.	Medarda bisk.
9	Ś.	**Felicjana pr.**
10	C.	**Małgorzaty**
11	P.	Barnaby Ap.
12	S.	Aleksego żołn.
13	**N.**	**Antoniego z Pad.**
14	P.	Bazylego
15	W.	**Wita i Modesta**
16	Ś.	**Brunona**
17	C.	**Adolfa bisk.**
18	P.	Marka i Marcelina
19	S.	Gerwazego i Protazego
20	**N.**	Sylwerjusza i Florent.
21	P.	Alojzego Gonzagi
22	W.	**Paulina bisk.**
23	Ś.	**Agrypiny p.**
24	C.	Jana Chrzciciela
25	P.	**Prosperta b.**
26	S.	**Jana i Pawła**
27	**N.**	**Władysława kr.**
28	P.	Leona p.
29	W.	**Piotra i Pawła**
30	Ś.	Lucyny

ZAPISKI

AFORYZMY WSCHODNIE

Z mądrości Chińskiej

Im więcej zakazów w państwie,
tem oszustwa więcej,
pełny kielich przy pijaństwie
każdy nowy zakaz w państwie..
Stąd gałgaństwo na galgaństwie,
złodziejstw sto tysięcy —
im więcej zakazów w państwie,
tem oszustwa więcej.

Gdyby bambus miewał pięty,
bałby się bambusa —
w kabłąk strachem byłby zgięty,
gdyby bambus miewał pięty...
Lecz ma swoje los wykręty,
gdy płata psikusa,
gdyby bambus miewał pięty,
bałby się bambusa.

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

BLIŹNIĘTA.

Osoby urodzone pod tym znakiem to jest pomiędzy 22 maja a 22 czerwca, są bardzo łagodnego usposobienia i bardzo uczuciowi. Lubią dzieci i domowe życie; można ich zdobyć sobie bardzo łatwo przez grzeczność. Są bujnej wyobraźni, lubią jednak głęboko studjować; umysł ich zawsze zajęty jakiemś pogłębianiem się, a i ręce u nich są czynne. Po większej części są z nich znakomici pisarze. Są jednak często zmienni a będąc bujnej imaginacji, zdaje im się, że mogą więcej zdziałać, aniżeli w rzeczywistości potrafią. W każdej ich czynności są bardzo akuratni.

Bliźnięta są znakiem, który rządzi Zjednoczonymi Stanami; Mercury jest domem bliźniąt a ponieważ Mercury jest nazwany Bogów wysłannikiem i jako taki był uważany w starożytnych czasach, przeto astrologowie amerykańscy przepowiadają dla kraju tego niezrównaną przyszłość.

1926 LIPIEC 1926

MA 31 DNI

☾ Ostat. kw. 2.
● Nów .... 9.
☽ Pierw. kw. 17.
○ Pełnia ... 25.
☾ Ostat. kw. 31.

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	C.	Teobal. op., Teodoryki
2	P.	**Nawiedzenie NMP.**
3	S.	**Heliodora**
4	**N.**	Józefa Kalas D.D.N.
5	P.	Filomeny, Ant. Zak.
6	W.	**Cyryla i Metodego**
7	Ś.	Klaudjusza m.
8	C.	Elżbiety król. Eugen.
9	P.	Zenona B., Weroniki
10	S.	7 Braci M.
11	**N.**	**Pelagji**
12	P.	Henryka, Jana Gw.
13	W.	Małg. p. J. z D.
14	Ś.	**Bonawentury**
15	C.	**Rozesł. Apost.**
16	P.	**N. M. P. Szkapl.**
17	S.	**Aleksego**
18	**N.**	**Szymona z L.**
19	P.	**Wincentego z P.**
20	W.	**Czesława**
21	Ś.	**Praksedy, Wiktora**
22	C.	**Marji Magdaleny**
23	P.	**Apolinar. b.m., Teofila**
24	S.	**Krystyny, Kunegundy**
25	**N.**	**Jakóba ap.**
26	P.	**Anny**
27	W.	**Natalji p. Kun. p.**
28	Ś.	**Inocentego, Wiktora**
29	C.	**Marty**
30	P.	**Abdona i Sen.**
31	S.	**Ignacego Loj., Heleny**

ZAPISKI

Z SENTENCJI PERSKICH

Poco-ć perły, cud-dziewczyno,
skoro sama jesteś perłą,
ukochaną i jedyną,
poco-ć perły, cud-dziewczyno?...

Przyjdź rozkosze nas spowiną,
rządy weźmie tęsknot berło..
poco-ć perły, cud-dziewczyno,
skoro sama jesteś perłą?

Oświata ludowa

— Co to, Wojciechu, tak patrzycie na druty?

— A dyć wiadomość jest, że sąsiadowi mojemu mają dziś przyjść pieniądze; bez to patrzę — może i mnie krzyna kapnie.

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

RAK.

Osoby urodzone pod tym znakiem to jest pomiędzy 22 czerwca a 22 lipca, są bardzo cierpliwi, łagodni, powolni, uczuciowi, czynności swoje wykonują w nadzwyczaj spokojny sposób.

Są dumni, milczący. Potrzebują podniety, aby życie było im przyjemne. Są trochę zazdrośni i nieco ponurego usposobienia, łatwo wpadają w desperację. Oddają się bardzo rodzinie, i ta może wywierać na nich wielki wpływ.

Są średniego wzrostu. Mówią zniżonym głosem.

Kobiety są niezrównane jako dozorczynie chorych, kucharki itp. Mieszkać lubią w pobliżu wody, w cienistych miejscach.

1926 Nów ..... 8. Pierw. kw. 16. SIERPIEŃ Pełnia ... 23. Ostat. kw. 29. 1926

MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	N.	**Piotra w Okow.**
2	P.	N.M.P. Aniel., Stefana
3	W.	**Znalez. św. Szczep.**
4	Ś.	Dominika W.
5	C.	N. M. P. Śnież.
6	P.	Przemienienie P.
7	S.	Kajetana W.
8	N.	**Cyrjaka męcz.**
9	P.	Romana i Sek.
10	W.	Wawrzyńca m.
11	Ś.	Zuzanny p.
12	C.	Klary p.
13	P.	Hipolita m.
14	S.	Euzebjusza, Anast. wd.
15	N.	**Wniebowzięcie N.M.P.**
16	P.	Rocha w., Joachima
17	W.	Liberata op. Jacka w.
18	Ś.	Agapita M.
19	C.	Marjana
20	P.	Stefana kr., Bernarda
21	S.	Joanny Fr.
22	N.	**Hipolita**
23	P.	Filipa bisk.
24	W.	Bartłomieja
25	Ś.	Ludwika kr.
26	C.	Zefiryny
27	P.	Przen. św. Krzyża
28	S.	Augustyna
29	N.	**Ścięcie św. Jana**
30	P.	Róży z Limy
31	W.	Rajm. w. Paulina

ZAPISKI

Z powodu wyboru marszałka Hindenburga na prezydenta Rzeszy Niemieckiej, Roman Dmowski pisze w "Gazecie Warszawskiej":

Wszystko jedno, co nowo obrany, sędziwy prezydent Rzeszy powie, jakie deklaracje złoży, jego imię wystarcza: to cały kanon politycznej wiary, kodeks praw, które naród niemiecki w swej większości uznaje za obowiązujące w swem postępowaniu.

Ten kanon niema nic wspólnego z ewangelją, głoszoną ludom od roku 1917. To kwintesencja tej wiary, której sprawiono już tryumfalny pogrzeb, wiary, z którą Niemcy weszły w wojnę 1914 roku. Pogrzeb był przedwczesny...

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

LEW.

Osoby urodzone pod tym znakiem to jest pomiędzy 22 lipca a 22 sierpnia, są umysłowo nader czynne, odważne, dobrego usposobienia, w całym swoim życiu gniewają się może tylko kilka razy. W towarzystwie zwykle przewodniczą; są niezależni i nie łatwo zrażają się przeciwnościami.

Nie lubią się zwierzać z stanu swej kasy lub miłości. Dla uczciwości jaką się rządzą — znajdują łatwo przyjaciół. Zwykle w każdem przedsięwzięciu sprzyja im pomyślność. Są doskonałymi mówcami i wogóle potrafią wywierać wpływ na drugich.

Są wysokiego wzrostu silnie zbudowani, pełnej twarzy. Mieszkać lubią tam, gdzie jest jak najwięcej świeżego czystego powietrza.

Pod tym znakiem są urodzeni ludzie jak R. G. Ingersoll, Napoleon Bonaparte, Sir Walter Scott, Mary Anderson.

1926 WRZESIEŃ 1926

Nów ..... 7. Pierw. kw. 14. Pełnia ... 21. Ostat. kw. 28.

MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	Ś.	Idziego op., Bronisławy
2	C.	**Stefana kr.**
3	P.	Izabeli i Bron.
4	S.	**Rozalji**
5	N.	**Wawrzyńca**
6	P.	**Zacharjasza**
7	W.	Reginy, Jana m.
8	Ś.	**Narodz. N.M.P.**
9	C.	**Gorgonjusza**
10	P.	Mikołaja, Hilarego
11	S.	**Prota i Jacka**
12	N.	Walerjana i Gwidona
13	P.	**Tobiasza Filipa**
14	W.	**Podw. św. Krzyża**
15	Ś.	**Nikodema**
16	C.	Ludmiłv p., Eufemji
17	P.	**Lamberta**
18	S.	Tom. z W., Zof., Ireny
19	N.	**Januarego**
20	P.	**Eustachiusza**
21	W.	**Mateusza ew.**
22	Ś.	Maurycego b., Tomasza
23	C.	**Tekli p.**
24	P.	Gerarda
25	S.	Kleofasa m.
26	N.	Cyprjana i Justyny
27	P.	**Kosmy i Damiana**
28	W.	**Wacława kr.**
29	Ś.	**Michała arch.**
30	C.	**Hieronima w.**

ZAPISKI

"SPŁAĆ PIERWEJ TWOJE DŁUGI A POTEM DOPIERO BAW SIĘ W DAROWIZNY".

Dawaj drugiemu dopiero wtedy, aż sam pozbędziesz się golizny. Ale i to jeszcze trochę zawcześnie, bo i swą przyszłość masz ugruntować, a gdy już jesteś pewnym swego — zacznij dla drugich budować. Gdy każdy w ten sposób na świat patrzeć będzie, dobrobyt zakwitnie jednaki wszędzie, bo różni młodzi nicponie dowiedzą się o tem, że życie dobre zdobywa się nie darowiznami, lecz bezustanną twardą pracą i znojnym potem.

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

PANNA.

Osoby urodzone pod znakiem Panny, pomiędzy 22 sierpnia a 22 września są uważne, w obejściu delikatne. Bardzo często zmieniają swoją opinję i są nader wrażliwi. Zarówno, mogą kochać jak i nienawidzić. Gdy zmartwieni—nie mogą jeść. Pragną dostatków, ale nie umieją być oszczędni. Krytykują drugich. Łatwo się uczą. Lata pozostawiają na ich twarzy bardzo nieznaczny ślad.

Jeżeli chcą, mogą się naciągnąć do jakiejkolwiek pracy, ale naukowe przedmioty mają u nich pierwszeństwo. Są doskonałymi lekarzami. Lubią piękność natury; mieszkać dla nich najlepiej w górzystych okolicach.

1926 Nów ... 6. Pierw. kw 14. PAŹDZIERNIK Pełnia .. 21. Ostat. kw 28. 1926

MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	Remigj., Jana z Dukli
2	S.	Leodgara
3	N.	Kandyda m.
4	P.	Franciszka Ser.
5	W.	Placydy
6	Ś.	Brunona
7	C.	Justyny p.
8	P.	Brygidy p. Pelagji
9	S.	Winc. Kadł.
10	N.	Franciszka B.
11	P.	Placydy męcz.
12	W.	Maksymil., Ludwika
13	Ś.	Edwarda
14	C.	Podw. ś. Krzyża.Kal. p.
15	P.	Jadwigi i Teres.
16	S.	Gawła
17	N.	Łucyny, Wiktora m.
18	P.	Łukasza ew.
19	W.	Piotra z A.
20	Ś.	Jana K.
21	C.	Urszuli p.
22	P.	Korduli p.
23	S.	Seweryna i Romana
24	N.	Rafała Arch.
25	P.	Kryspiny
26	W.	Ewarysta
27	Ś.	Sabiny
28	C.	Szym. i Tad.
29	P.	Narcyza b.
30	S.	Marcelego
31	N.	Wig. Lucyny

ZAPISKI

KRÓLOWA ŚWIATA

Ona tylko jedna zdolna jest i w stanie
Szczęściem obdarzyć, pokój wszystkim roznieść,
Wziąć wielki gmach prawdy w swoje panowanie
I człeka dobrobyt na wyżyny podnieść.
Ale że jej dotąd lud nie zna nazwiska,
Trzymając swe mózgi w ospałości kratach,
A mimo to jest już królowania bliska,
— Imię tej królowej : prawdziwa oświata.

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

WAGA.

Osoby urodzone pod znakiem Wagi, pomiędzy 22 września a 22 października, są jedni z tych, o których się mówi: "Budują pałace w powietrzu". Żyją imaginacją, nie oglądając się za przyczyną, czyli marzą — nie rozumiejąc.

Nie lubią żadnej brudnej roboty. Są kochliwi, wchodzą w związki małżeńskie w bardzo młodym wieku, a częstokroć łączą się więcej niż raz. Lubią piękno wogóle. Jeżeli kształceni wcześnie w muzyce, mogą się wyrobić na artystów. Podpadają chorobom nerek, krzyża i żołądka, ta ostatnia pochodzi z bytniej skłonności do jedzenia cukierków.

Doktorzy, artyści, muzycy, pisarze, drukarze, wychodzą najlepsi z pod tego znaku.

Lubią miejsca, gdzie jest ruch. Życie ich jest naznaczone od 48—54 lat. Łatwo podlegają woli drugich.

1926 ☻ Nów ..... 5. ☽ Pierw. kw. 12. LISTOPAD ☺ Pełnia ... 19. ☾ Ostat. kw. 27. 1926

MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	Wszystkich Św.
2	W.	Jerzego b. w.
3	Ś.	Huberta
4	C.	Karola Bor.
5	P.	Elżbiety
6	S.	Leonarda W.
7	N.	Nikandra i Karyny
8	P.	Gotfryda
9	W.	Teodora męcz.
10	Ś.	Andrzeja z A.
11	C.	Marcina bisk.
12	P.	5 Braci, Marcina pap.
13	S.	Dydaka W., Stan. Kost.
14	N.	Gertrudy p., Józafata
15	P.	Leop., Gertrudy
16	W.	Edmunda
17	Ś.	Salomei p.
18	C.	Ottona
19	P.	Elżbiety kr.
20	S.	Feliksa
21	N.	Ofiar. NMP. Alber.
22	P.	Cecylji p.
23	W.	Klemensa pap.
24	Ś.	Jana od Krzyża
25	C.	Katarzyny p. Erazma
26	P.	Konrada m., Piotra
27	S.	Wirgiljusza
28	N.	Krescentego. P. N. Ad.
29	P.	Saturnina m.
30	W.	Andrzeja ap.

ZAPISKI

Lord Curzon, niedawno zmarły były minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji, zaopatrzył jedną ze swych książek, traktującą o problemach dalekiego wschodu, w następującą dedykację:

"Wszystkim tym, którzy wierzą, że po Opatrzności Imperjum Brytyjskie jest największym źródłem dobra na ziemi".

Jest to chyba największy wyraz wiary w swój naród kiedykolwiek przez kogoś wypowiedziany. Czy słuszny, wiele by o tem można mówić. Nie o to jednak chodzi. Dedykacja ta jest jedynie skrajnym superlatywnym nieustannie w literaturze i publicystyce angielskiej powtarzającego się motywu o doskonałości angielskiego charakteru, obyczaju, pracy, sztuki, nauki, armji, floty i t. d. wszystkiego, jednem słowem. co angielskie. Jest w tem zaufaniu i wierze w siebie niewątpliwie wiele przesady, błogosławiona to jednak przesada. Wiara w zwycięstwo jest połową zwycięstwa. Bez zaufania do siebie niepodobna spełniać dobrze codziennych zadań życia, nie mówiąc już o porywaniu się na pionierskie imprezy, na budowanie nowych dróg w jakielkolwiek dziedzinie.

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

NIEDŹWIADEK.

Osoby urodzone pod tym znakiem to jest pomiędzy 22 października a 22 listopada są przyjemne i dobrego serca. Lubią dobre życie, ale umieją się zastosować i oszczędzać. Są uparci, jakkolwiek nie łatwo wpadają w gniew, umieją przecież przeprowadzić swoją wolę.

Kobiety rodzone pod tym znakiem są zwykle bardzo zazdrosne.

Podlegają chorobom wątroby i gardła. Są cierpliwi w pracy i zdolni osiągnąć wysokie stanowiska.

Benjamin Butler, Martin Luter, byli rodzeni pod tym znakiem.

1926 Nów ..... 5. Pierw. kw. 12. GRUDZIEŃ Pełnia ... 19. Ostat. kw. 26. 1926

MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	Ś.	Eligiusza b., Natalji
2	C.	Bibianny p.
3	P.	Fran. Ksaw.
4	S.	Barbary, p.
5	**N.**	Sabby op.
6	P.	Mikołaja bisk.
7	W.	Ambrożego
8	Ś.	**Niep. pocz. N.M.P.**
9	C.	Leokadja p., Walerji
10	P.	N.M.P. Loretańskiej
11	S.	Damazego
12	**N.**	Aleks. żołn.
13	P.	Łucji i Ottylji
14	W.	Spiryd. bisk.
15	Ś.	Fortunata
16	C.	Adelaidy Ces.
17	P.	Łazarza b.
18	S.	Gracjana m.
19	**N.**	Nemezjusza
20	P.	Teofila m.
21	W.	Tomasza ap.
22	Ś.	Zenona m.
23	C.	Wiktorji p.
24	P.	Adama i Ewy Wig.
25	S.	**Boże Narodzenie**
26	**N.**	**Szczepana I. m.**
27	P.	Jana ew.
28	W.	Młodzianków
29	Ś.	Tomasza bisk.
30	C.	Eugenjusza
31	P.	Sylwestra

ZAPISKI

Nieraz z zajęciem i pożytkiem czytamy opowiadania o dziwnych, a szczególnych zwierzętach, zamieszkujących ziemię, o ciekawych roślinach i innych tworach przyrody. O ileż ciekawszemi i bardziej pouczającemi powinne być dla nas wiadomości o tem najdoskonalszem ze wszystkich stworzeń Bożych, jakiem jest człowiek! "Człowiek — to pan stworzenia, władca świata" — powiadamy nieraz. I słusznie. Człowiek, obdarzony duszą, jest rzeczywiście najrozumniejszem stworzeniem na ziemi. Potrafił on wywalczyć sobie pierwsze miejsce na kuli ziemskiej i najwięcej korzyści dla siebie osiągnąć.

* * *

"Poprzez półtorawieczną mogiłę niewoli szlachta polska wieku XVIII podaje ludowi polskiemu wieku XX. wszystko, co miała, a przedewszystkiem wszystko zło, którem kraj zgubiła. Warcholstwo, potworny egoizm klasowy, materjalizm, konszachty z wrogiem, zdrada państwa — oto w najogólniejszych słowach rysy bratniego pokrewieństwa pomiędzy owoczesną klasą szlachecką a współczesną klasą robotniczą".

KALENDARZYK ASTROLOGICZNY.

STRZELEC.

Osoby urodzone pod tym znakiem to jest pomiędzy 22 listopada, a 21 grudnia, są wesołego usposobienia, dobrzy i nadzwyczaj litościwi. Mają wrodzony dar przewodniczenia, i nie łatwo się zniechęcają. Są obdarzeni silną wolą, która w połączeniu z głęboką znajomością ludzkiej duszy potrafią łatwo opanowywać drugich.

Ludzie urodzeni pod tym znakiem lubią życie poza domem. Znajdują wielką przyjemność w hodowaniu zwierząt, — jeżdżą doskonale konno. Umieją się z wszystkiem obliczać, rzadko się mylą. Mechanicy z pod tego znaku są pierwszorzędni. Wypadek jakiś, częściej tych ludzi spotyka, aniżeli choroba.

Wykaz alfabetyczny imion Świętych

A

Abdona Męcz. 30 lipca
Abrahama pust. 16 marca
Adama 24 grudnia
Adelajdy 16 grudnia
Adolfa B. 17 czerwca
Adrjana B. 8 września
Afry P. 5 sierp. i 24 maja
Agapita H. 18 sierpnia
Agatona P. M. 10 stycznia
Agaty P. M. 5 lutego
Agnieszki P. M. 21 stycznia
Agrypiny P. M. 23 czerwca
Alberta B. M. 21 listop.
Albina 22 stycznia
Albiny P. 16 grudnia
Albina Biskupa 1 marca
Aleksandra B. 27 lutego
Aleksandra P. 3 maja
Aleksandra M. 12 grudnia
Aleksego Wyzn. 17 lipca
Alfonsa 23 mar. i 2 września
Alfonsa Lig. 2 sierpnia
Alfreda 3 lipca
Alicji 21 czerwca
Aliny 16 czerwca
Alodji P. M. 22 październ.
Alojzego Gonzagi 21 czerw.
Amadeusza 30 marca
Amandy 6 lut. i 18 czerw.
Ambrożego B. 8 grudnia
Amelji 10 czerwca
Anastazego P. 27 lutego
Anastazego M. 22 stycz.
Anastazji M. 15 kwietnia
Anastazji W. 27 paźdz.
Anatolji 9 lipca
Anatoljusza M. 3 lipca
Andrzeja Apost. 30 listop.
Andrzeja B. 4 lutego
Andrzeja z Awel. 10 list.
Andrzeja P. 6 maja
Aniceta P. M. 17 kwietn.
Anieli 30 marca i 31 maja
Aniołów Stróżów 2 paźdz.
Anny Matki N. M. P. 26 lip.
Ausgarego Bisk. 4 lutego
Antoniego Op. 17 stycznia
Antoniego Pad. 13 czerw.
Antonina B. w. 10 maja
Antoniny M. 1 marca
Anzelma B. 21 kwietnia
Apolonji Panny M. 9 lut.
Apolonjusza M. 18 kwiet.
Apolonjusza B. 7 lipca
Arkadjusza B. 7 lip. i 12 st.
Apolinarego B. 23 lipca
Arseniusza M. 19 lipca
Aristidesa 31 sierpnia
Armanda 27 październ.
Arnolda 18 lipca
Artura B. 6 paźdz.
Atanazego B. 2 maja
Augustyna B. 28 sierpnia
Aurelji P. 26 września
Aureljusza 16 czerwca

B

Balbiny P. 31 marca
Baltazara 6 stycznia
Barbary P. 4 grudnia
Barnaby Ap. 11 czerwca
Bartłomieja Ap. 24 sierpnia
Bazylego 2 stycz. i 14 czer.
Bazylisy P. M. 15 kwietnia
Beaty P. 8 marca
Benedykta Op. 21 marca
Benigny P. 19 sierpnia
Benjamina M. 31 marca
Benicjusza W. 23 sierp.
Bernarda Op. 10 sierp.
Bernardyna Sen. 20 maja
Berty 7 lipca
Bibianny P. 2 grudnia
Birgitty wd. 8 paźdz.
Blandyny P. 2 czerwca
Blanki 28 listopada
Błażeja B. M. 3 lutego
Boguchwała 22 marca
Bogumiła 10 czerwca
Bogusława B. 22 marca
Bohdana Op. 10 sierpnia
Bonawentury K. 14 lipca
Bonifacego M. 14 maja
Bonifacego B. 5 czerwca
Bożydara B. 31 sierpnia
Brunona W. 6 paźdz.
Brygidy Panny 1 lutego

C

Cecylji P. Męcz. 22 listop.
Celiny 8 czerw. i 21 paźdz.
Celsa Męczen. 28 lipca
Cyprjana B. 16 września
Cyryla Jerozol. B. 18 marca
Cyrjaka M. 8 sierpnia
Cyryna 3 stycznia
Czesława w. 20 lipca
Czterdziestu M. 10 marca
Cezarego 21 lut. i 27 sierp.

D

Damazego Pap. 11 grudnia
Damjana M. 27 września
Daniela M. 3 stycznia
Daniela P. 31 lipca
Dawida K. 30 grudnia
Darjusza M. 19 grudnia
Delfiny 26 listopada
Dezyderego B. 23 maja
Domiceli M. 7 maja i 6 lip.
Dominika w. 4 sierpnia
Donata M. 17 lutego
Donata B. 7 sierpnia
Doroty Panny 6 lutego
Dydaka Wyzn. 13 listop.
Dygny P. 11 sierpnia
Djonizego B. 8 kwietnia
Djonizego B. W. 9 paźdz.

E

Edmunda B. 16 listopada
Edwarda Kr. 13 paździer.
Edyty 5 grudnia
Eljasza 20 lipca
Eleonory P. 21 lutego
Eligjusza B. 1 grudnia
Elżbiety Kr. Wd. 8 lipca
Elżbiety 5 listopada
Elżbiety Kr. W. 19 listop.
Emeryka 4 listopada
Emilji 22 mar. i 2 czerw.
Emiljana B. 11 września
Emiljanny M. 30 czerwca
Emmy 19 kwietnia
Emanuela 26 marca
Epifaniusza B. 7 kwietnia
Erazma B. 3 czer., 25 list.
Ernesta 7 listopada
Eryka Kr. M. 18 maja
Estery 18 listopada
Eufemji P. 16 września
Eufemji M. 20 marca
Eucherjusza B. 20 lutego
Eufrozyny P. 3 wrz. 13 lut.
Eugenji P. 25 grudnia
Eugeniusza 30 grudnia
Eulalji P. M. 12 lutego
Eustachiusza M. 20 wrz.
Euzebji P. M. 20 paźdz.
Euzebjusza Kar. W. 14 sier.
Euzebjusza M. 5 marca
Euzebjusza B. M. 16 grud.
Ezechjela Pror. 10 kwiet.
Ewarysta Pap. 26 paźdz.
Ewy 24 grudnia

F

Fabjana M. 20 stycznia
Faustyna M. 15 lutego
Felicjana M. 9 czerwca
Felicjaty M. 23 listopada
Feliksa Kapuc. 18 maja
Feliksa Papieża 30 maja
Feliksa kapł. 30 sierpnia
Feliksa Walez. 20 listop.
Ferdynanda Kr., 30 maj
Fidelisa Kapuc. 24 kwietnia
Filipa Apostoła 1 maja
Filipa i Nerjusza 26 maja
Filipa Benicjusza 23 sierp.
Filiberta 20 sierpnia
Filomeny 5 lipca
Firmina B. 25 września
Flawiana M. 25 lutego
Flawii P. 5 października
Flawjusza M. 22 czerwca
Florentyny P. 20 czerwca
Florjana Męcz. 4 maja
Flory 24 listopada
Fortunata Kap. 1 czerwca
Franciszka Bor. 10 paźdz.
Franciszka Sal. 29 stycznia
Franciszka a Paulo 2 kw.
Franciszka Ser. 4 paźdz.
Franciszka Ks. W. 3 gr.
Franciszki Wd. 9 marca
Fulgencjusza B. 6 stycznia
Fryderyka 5 marca

G

Gabrjela Arch. 18 marca
Gaudencji P. 30 sierpnia
Gaudentego B. 12 lutego
Gawła O. 16 październ.
Gastona 6 lutego
Gedeona 18 czerwca
Genowefy P. 3 stycznia
Genowefy Hard. 9 listop.
Gerarda 24 września
Germana B. W. 28 maja
Gertrudy 17 marca
Gerwazego M. 19 czerwca
Geryna M. 2 paźdz.
Gilberta 4 lutego
Gizeli 7 maja
Gotfryda 13 stycznia
Gontrana 28 marca
Gorgonjusza 9 września
Gracjana B. 18 grudnia
Grzegorza Pap. 12 marca
Grzegorza Naz. 9 maja
Grzegorza VII. P. 25 maja
Grzegorza B. 4 stycznia
Gustawa 2 sierpnia
Gwidona 12 września

H

Heleny Cesarz. 2 marca
Heleny Król. 22 maja
Heleny W. M. 31 lipca
Heljodora M. 3 lipca
Henryka Cesarza 13 lipca
Henryka B. M. 19 stycznia
Herakljusza M. 11 marca
Hermenegildy Kr. 31 kw.
Hermogenesa M. 19 kw.
Hersylji 15 maja
Hieronima Dok. Koś. 30 wr
Heronida M. 12 września
Higina Pap. M. 11 stycznia
Hilarego Dok. K. 14 stycz
Hilarjona Op. 21 paźdz.
Hiltrudy P. 27 września
Hipolita M. 13 sierpnia
Honoraty P. 11 stycznia
Huberta B. 3 listopada
Hugona B. 1 kwietnia

I

Idy Panny 13 kwietnia
Idziego Opata 1 września
Ignacego Biskupa 1 lutego
Ignacego Lojoli W. 31 lipca
Ifigenji 21 września
Idefonsa B. W. 23 stycznia
Imienia Jezus 2 stycznia
Imienia Marji 11 września
Innocentego P. 8 lipca
Irmy 24 grudnia
Ireneusza M. 25 marca
Ireny Panny 5 kw. i 20 paź
Irwiny P. 24 grudnia
Iwona Kapł. M. 19 maja
Izaaka 3 czerwca
Izabelli 15 mar. i 3 wrześn
Izydora B. 4 kwietnia
Izydora Oracza 10 maja

J.

Jacka wyznawcy 17 sierp.
Jacka M. 11 września
Jadwigi Wdowy 15 paźdz.
Jakóba Ap. 1 maja
Jakóba Apostoła 27 lipca
Jana Złotoust., 27 stycz.
Jana z Matt. W. 8 lut.
Jana z Dukli 1 paźdz.
Jana Bożego 8 marca
Jana w Oleju 6 maja
Jana Nepom. 16 maja
Jana Chrzciciela 24 czerw.
Jana M. 16 i 26 czerwca
Jana Gwalberta 13 lipca
Jana Kantego 20 paździer.
Jana Kapistr. W. 28 mar.
Jana od Krzyża 24 listop.
Jana Ewangelisty 27 grud.
Jana Męcz. 7 września
Januarego 20 lipca
Januarjusza B. M. 19 wrz.
Jerzego B. M. 23 kwietnia
Joanny Wdowy 24 maja.
Joanny Fremiot. 21 sierp.
Joachima Ojca NMP 16 sier.
Jowity Męczen. 15 lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 mar.
Józefa Kalas. W. 4 lipca
Józefa z Kopert 18 wrześn.
Józefa z Arym. 17 marca
Judy Ap. 28 paźdz.
Judyty Wdowy 14 listop.
Jukunda M. 9 stycznia
Juljana M. 13 lutego
Juljana M. 27 stycznia
Juljanny P. 16 lutego
Julji P. Męcz. 22 maja,
Julity P. M. 30 lipca
Juljusza P. 12 kwietnia
Justa. 2 września
Justyna fil. 14 kwietnia
Justyny 17 września
Justynjana B. 5 września.

K.

Kaja M. 22 kwietnia
Kajetana W. 7 sierpnia
Kaliksta P. 14 października
Kamila W. 18 lipca
Kandyda M. 3 października
Kanuta Kr. 19 stycznia
Karola C. 28 stycznia
Karola Bor. 4 listopada
Kacpra. 6 stycznia
Kasjana 13 sierpnia
Kassjusza M. 15 maja
Katarzyny Sen. 30 kwiet.
Katarzyny P. M. 25 listop.
Kat. św. Piotra w Rz. 18 st.
Kat. ś. Piotra w Ant. 22 lut.
Kazimierza Kr. 4 marca
Kiljana B. 8 lipca
Klary P. 12 nierpnia
Klaudjusza B. 6 czerwca
Kleta M. 26 kwietnia
Klemensa pap. 23 listop.
Kleopatry 20 paźdz.
Klotyldy Kr. 3 czerwca
Konstancji P. M. 18 lut.
Konstantego W. 11 marca
Konrada Wyzn. 19 lutego
Konrada Bisk. 26 listop.
Korduli P. 22 paźdz.
Kornelji M. 31 marca
Kosmy M., 27 września
Ksawerego 3 grudnia
Krescencji 15 czerwca
Krescencjusza 27 czerwca
Kryspina i Krispin. 25 paź.
Krystyny P. 25 lipca
Krzysztofa M. 24 lipca
Kunegundy Ces. 3 marca
Kunegundy Król. 24 lipca
Kwiryna Męcz. 30 marca
Kwintyna 31 październ.

L.

Lamberta 16 kwietnia
Larga M. 8 sierpnia
Leandra B. 27 lutego
Leokadji P. 9 grudnia
Leona B. 20 lutego
Leona I Pap. 11 kwietnia
Leona II Pap. 28 czerwca
Leonarda Wyzn. 6 listop.
Leoncjusza B. 3 stycznia
Leonidasa M. 28 stycznia
Leonili P. M. 15 marca
Leopolda W. 15 mar. i 15 lis
Longina M. 15 marca
Linusa 23 września
Lucjana Męcz. 7 stycz.
Lucyny P. 30 czerwca
Lucyny 17 października
Ludgardy P. 16 czerwca
Ludgera B. 26 marca
Ludomira 3 października
Ludwika Kr. Fr. 25 sierp.
Ludwika W. 12 lutego
Ludwiki P. 15 kwietnia

Ł

Ładysława z Giel 25 wrz.
Łazarza B. 17 grudnia
Łucji Panny 13 grudnia
Łukasza Ewan. 18 paź.

M

Macieja Ap. 24 lutego
Magdaleny 27 maja i 22 lip.
Makarego Op. 2 stycznia
Makarego M. 29 lutego
Maksyma B. 18 listopada
Maksyma M. 29 maja
Maksymiljana M. 21 lutego
Maksymiljana B. 12 paźdz.
Maksymina B. 8 czerwca
Małgorzaty K. szwed. 10 cz.
Małgorzaty K. węg. 13 lip.
Mansweta Bisk. 28 listop.
Marcelego pap. 16 stycz.
Marceli Wd. 21 stycz.
Marcelina Pap. 18 czerw.
Marcelina M. 30 kwietnia
Marcina Bisk. 11 listop.
Marcina Pap. 12 listop.
Marcjana M. 17 czerwca
Marcjanny P. M. 9 stycznia
Marcjalisa 30 stycznia
Marka Ewang. 25 kwietnia
Marka M. 24 marca
Marka z Rzymu 18 czerw.
Marka P. W. 7 paźdz.
Marka M. 22 listop.
Marjana M. 30 kwietnia
Marjana Ł. 19 sierpnia
Marji Kleof. 9 kwietnia
M. Magd. de Pazzis 27 maj.
M. Magd. w Jeroz. 23 lipca
Marjusza 19 stycznia
Marty P. 29 lipca i 19 sty.
Martynjana M. 16 paźdz.
Martyniana B. 2 stycznia
Martyny P. M. 30 stycznia
Mateusza Ap. 21 września
Maturyna 1 listopada
Matyldy Kr. 15 marca
Mauryljusza. 13 września
Maura 15 stycznia i 22 list.
Maurycego M. 22 września
Medarda B. 8 czerwca
Metodego Bisk. 5 lipca
Melanji P. M. 18 lutego
Melchiora 6 stycz.
Michała Arch. 29 września
Michała B. W. 23 maja
Mikołaja z Tol. 10 wrześ.
Mikołaja B. 6 grudnia
Mirona M. 17 grudnia
Młodzianków 28 grudnia
Modesta M. 15 czerwca
Modesty P. 13 marca
Moniki W. 4 maja

N

Narcyza B. 29 paźdz.
Natalji Panny 27 lipca
N.M.P. nieust. pom. 19 czer.
Nawiedz. N.M.P. 2 lipca
Nawróc. św. Pawła 25 sty.
N.M.P. Anielskiej 2 sierp.
N.M.P. Bolesnej 15 wrześ.
Niepok. serca NMP 16 wrz.
N.M.P. Jasnog. 31 sierpnia
N.M.P. Łaskawej 14 maja
N.M.P. Loret. 10 grud.
N.M.P. Pociesz. 4 września
N.M.P. Różańc. 7 paźdz.
N.M.P Śnieżnej 5 sierpnia
N.M.P Szkaplerz. 16 lipca
Napoleona 15 sierpnia
Nazarjusza B. 28 lipca
Nestora B. M. 26 lutego
Nicefora B. 13 marca
Nikandra M. 7 listopada
Nikandra 10 stycznia
Nikodema M. 15 września
Norberta B. 6 czerwca

O

Oczekiw. N.M.P. 18 grudnia
Odona B. 18 listopada
Ofiarow. N.M.P. 21 listop.
Olimpji 26 marca
Olimpjusza M. 31 paźdz.
Olimpjusza B. 12 czerwca
Oliwji 27 maja
Onufrego Pust. 12 czerwca
Opieki N.M.P. 1 listopada
Opieki św. Józefa 21 kw.
Opata B. 4 czerwca
Ottona Biskupa 24 lipca
Ottona M. 16 stycznia
Otylji P. M. 13 grudnia

P

Pafnucego M. 18 kwietnia
Pankracego 12 maja
Pantaleona M. 27 lipca
Paschalisa 17 maja
Parysa 5 sierpnia
Patrycji Męcz. 13 marca
Paulina Bisk. 22 czerwca
Pauliny Wdowy 26 stycz.
Pawła M. 26 czer. i 17 sier.
Pawła I Pust. 15 stycznia
Pawła Apost. 29 czerwca
Pawła od Krzyża 28 kw.
Pelagji M. 12 paźdz.
Petroneli 31 maja
5-ciu bliźn. ś. Franc. 18 wrz.
Pięciu br. męcz. 12 listop.
Piotra Bisk. M. 26 listop.
Piotra Chryzol. 4 grudnia
Piotra Damiana 23 lutego
Piotra Nolaski 31 stycz.
Piotra M. 29 kwietnia
Piotra Celestyna 19 maja
Piotra Ap. 29 czerwca
Piotra w okow. 1 sierpnia
Piotra z Alkant. 19 paźdz.
Piusa V. Pap. 5 maja
Piusa I P. M. 11 czerwca
Placyda M. 5 paźdz.
Placydy P. 11 paźdz.
Pocieszenie N.M.P. 4 wrz.
Podw. św. Krzyża 14 wrz.
Polikarpa B. i M. 26 stycz.
Porfirego 26 lutego
Praksedy P. 21 lipca
Prokopa M. 4 lipca
Probusa 15 mar. i 11 paźdz.
Prospera B. 25 czerwca
Prota M. 11 września
Protazego 19 czerwca
Prudensa 6 czerwca
Pryma Męcz. 9 czerw.
Pryski 18 stycznia
Przenies. ś. Stan. B. 27 wrz
Przen. ś. Wojciecha 20 paź.
Przen. rel. ś. Kaz. 27 sierp.
Ptolomeusza B. 24 sierpnia
Pulcherji P. 10 wrz. i 7 lip.

R

Rafała Arch. 24 paźdz.
Rajmunda W. 31 sierpnia
Rajnolda 9 lutego
Raula 21 października
Reginy P. 7 września
Remigjusza B. 1 paźdz.
Roberta Op. 7 czer. i 17 kw.
Rocha Wyzn. 16 sierpnia
Romana opata 28 lutego
Romana M. 9 sierpnia
Romana B. M. 23 paźdz.
Romany Panny 23 lutego
Romualda Opata 7 lutego
Rogiera 30 grudnia
Rozalji P. 4 września
Rozesłanie Ap. 15 lipca
Róży Lim. Panny 30 sierp.
Rudolfa 17 kwietnia
Rufa Męcz. 28 listop.
Rufina Wyzn. 19 sierpnia
Rufiny P. 31 sierpnia
Ruperta Bisp. 27 marca
Rygoberta B. W. 4 stycz.
Ryszarda B. 3 kwietnia
Ryszarda króla 7 lutego

S

Sabby Opata 5 grudnia
Sabina Wyzn. 11 lipca
Sabiniana M. 7 czerwca
Sabiny M. 27 paź. i 29 sier.
Salomei Panny 17 listop.
Samuela 17 list. i 20 sierp.
Saturnina M. 29 listopada
Saturjana M. 16 październ.
Saturniny P. M. 4 czerwca

Sawiny P. 30 stycznia
Scholastyki P. 10 lutego
Ścięc. gł. ś. Jana Ch. 29 sier.
Sebastjana M. 20 stycznia
Septynjusza 17 sierpnia
Serafina W. 12 październ.
Serafiny P. 29 lipca
Serapjona W. M. 14 listop.
Sergjusza M. 24 lutego
Serwacego B. 3 maja
Serwiljana M. 20 kwietnia
Seweryna Op. 8 stycznia.
Seweryna B. i M. 29 paźdz.
Siedm. Bol. MNP. 23 marca
Siedmiu braci śś. 10 lipca
Sidonji 21 sierpnia
Sokratesa 19 kwietnia
Sotera Pap. 22 kwietnia
Stanisława B. 8 maja
Stan. Kostki 13 listopada
Stefana Kr. Węgier 2 wrze.
Stefana M. 22 list. i 2 sierp.
Sulpicjusza M. 20 kwiet.
Sylwana 4 października
Sylwerjusza 20 czerwca
Sylwestra P. 31 grudnia
Symeona B. 18 lutego
Symforjana M. 22 sierpnia
Sykstusa III. Pa. 26 marca
Szczepana M. 26 grudnia
Szymona z Lipnicy 18 lipca
Szymona Judy 28 październ.
Szymona Ap. 28 paźdz.

T

Tacjana M. 16 marca
Tadeusza Ap. 28 paźdz.
Tarsylji P. 24 grudnia
Tekli P. 23 września
Telesfora P. 5 stycznia
Teobalda p. 1 lipca
Teodora M. 9 list. i 7 stycz.
Teodory M. i 1 kw. i 11 wrz.
Teodozji p. 29 maja
Teofila 6 lutego i 20 grud.
Teofila B. 27 kwietnia
Teresy p. 15 paździer.
Tertuljana B. W. 27 kwiet.
Tomasza z Akw. 7 marca
Tomasza Ap. 21 grudnia
Tomasza Kant. 29 grud.
Tymoteusza B. M. 24 stycz.
Tytusa Bisk. 4 stycznia
Tyburcjusza 14 kwietnia

U

Urbana Pap. 25 maja
Urbana B. 16 maja
Urszuli Panny 21 paźdz.
Ulryka 4 lipca

W

Wacława Króla 28 wrześ.
Walerji Panny 9 grudnia
Walerji M. 5 czerwca
Walerega 11 grudnia
Walerego M. 12 września
Walerjana B. 14 kwietnia
Waltera 2 maja
Walentego Kap. M. 14 lut.
Walentyny 25 lipca
Wawrzyńca M. 10 sierpnia
Wawrzyńca B. W. 5 wrześ.
Weroniki P .13 stycznia
Wiktora M. 6 marca
Wiktora B. M. 21 maja
Wiktora B. 17 paździer.
Wiktorji P. 23 grudnia
Wilhelma B. 10 stycznia
Wilhelma Op. 6 kwietnia
Wincentego M. 22 stycznia
Wincentego Ferrer W. 5 kw.
Wincentego Kadł. 8 marca
Wincentego B. 20 marca
Wincentego a Paulo 19 lip.
Wirgiljusza B. M. 27 listp.
Wirginji 7 listop
Wita 15 czerwca
Witalisa M. 28 kwiet. 4 list.
Władysława Kr. 27 czerw.
Wojciecha B. M. 23 kwiet.
Wolframa M. 10 marca

Z

Zacharjasza Pr. 6 wrześn.
Zacharjasza 4 listopada
Zaślubiny NMP. 23 styczn.
Zefiryna Pap. 26 sierpnia
Zenobjusza 24 grudnia
Zenoblji B. 30 październ.
Zenona żołn. 22 grudnia
Zenajdy P. M. 5 czerwca
Zenajdy Panny 11 paźdz.
Znalez. rel. ś. Szczep. 3 sier.
Zofji Wdow. M. 15 maja
Zofji z 3 córk. 30 września
Zofji M. 18 września
Zuzanny M. 24 maja
Zuzanny P. 11 sierpnia
Zygmunta Kr. 2 maja
Zygfryda B. 25 lutego.

ROK 1926 W KALENDARZU

Gregorjański Rok 1926 odpowiada następującym erom:

Jest 150—151 rokiem Niepodległości Stanów Zjednoczonych.

Jest 1344—45 rokiem ery mahometańskiej.

Jest 4623 rokiem ery chińskiej.

Jest 2233 rokiem ery greckiej.

Jest 5686—87 rokiem ery żydowskiej.

Jest 7435 rokiem ery bizantyńskiej.

ROCZNICE ŚLUBNE

1. Bawełniana	15. Kryształowa
2. Papierowa	20. Porcelanowa
3. Skórzana	25. Srebrna
5. Drewniana	30. Perłowa
7. Wełniana	40. Rubinowa
10. Blaszana	50. Złota
12. Jedwabna i płócienna	75. Djamentowa

LICZBA GWIAZD

Gołym okiem dostrzedz można 7000 gwiazd, przez teleskop zaś, jak twierdzi I. B. Gore, 70,000.000.

CIEMNA JUTRZNIA

W środę, czwartek i piątek Wielkiego Tygodnia w godzinach popołudniowych odbywa się w kościołach w Polsce nabożeństwo, zwane Ciemną Jutrznią.

Nosi ono na sobie piętno i charakter pierwszych wieków chrześcijaństwa. Krwawe prześladowania zmuszały chrześcijan do ukrywania się z nabożeństwami. Stąd weszło w zwyczaj, że nietylko odbywały się one w katakombach, ale przeważnie w nocy.

Zbierano się więc po północy dla odśpiewania jutrzni. Chór, w którym gromadziło się duchowieństwo, oświetlano przy pomocy wielkiego świecznika drewnianego, mającego kształt krzyża. Na szczycie krzyża i jego ramionach, rozkładających się w stronę chóru, podzielonego na dwie przeciwległe sobie połowy, umieszczano i zapalano świece, zyskując w ten sposób światło dla czytających i śpiewających psalmy. W miarę nastawania brzasku świece stopniowo gaszono, z chwilą zaś, gdy rozpoczynała się zupełna jasność, gaszono też i najwyżej umieszczoną świecę, rzucającą swój blask na wszystkie strony równomiernie. Na chwilę tę przypadał też mniej więcej koniec jutrzni.

Świecznik przybrał z czasem kształt trójkąta, z przeniesieniem zaś jutrzni na porę przedwieczorną dnia stracił swoje zastosowanie praktyczne, zachował jedynie znaczenie przenośne.

Tak więc świecznik w kształcie trójkąta z 15 świecami, które stopniowo się gasi, oznacza światłość Chrystusową. Stopniowe gaszenie świec na trójkącie oznacza zwiększanie się ciemności i grzechu nad światem. Świecę, osadzoną na wierzchołku, niezgaszoną chowają pod koniec nabożeństwa za ołtarz, potem stawiają znów na szczycie na wyrażenie śmierci Chrystusa i rychłego Jego zmartwychwstania.

Po skończonej jutrzni księża uderzają brewiarzami o ławki. Powstający stąd łoskot przypomina i wyraża ową grozę i strach, jaki ogarnął ludzi przy skonaniu Chrystusa.

W psalmach, śpiewanych podczas Ciemnej Jutrzni, król-prorok opłakuje zniewagi, które miały być wyrządzone Chrystusowi w czasie Jego męki. W lamentacjach zaś Jeremjasz wyraża swą boleść, patrząc na zwaliska Jerozolimy.

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki składają się z 48 poszczególnych Stanów i trzech dystryktów (wyspy Hawajskie, District of Columbia i Alaska) — obejmujących 3.571.492 mil kwadratowych. Do Stanów Zjednoczonych należą również wyspy Filipińskie — 115,026 mil kwadratowych i wyspa Porto Rico — 34.135 mil kwadratowych.

Według wykazu ostatniego spisu ludności do dnia 1-go stycznia 1920 znajduje się w Stanach Zjednoczonych 105,683.108 mieszkańców. W roku 1910 było mieszkańców 91.972.266, z tego widać, że przybyło w dziesięciu latach 13.710.842 mieszkańców. Jest to stosunkowo mały przyrost, trzeba jednakowoż zwrócić uwagę na to, że emigracja była bardzo słabą z powodu wojny, a po drugie panowała influenza, której bardzo wiele ludzi uległo.

Liczba mieszkańców razem z ludnością Alaski, Hawai, Porto Rico i innych terytorjów przedstawia się jak następuje:

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki	105.683.108
Alaska	65.062
Hawai	249.992
Porto Rico	1.262.158
Guam	14.969
Filipiny	9.101.427
Samoa (1918)	7.550
Virgin Islands (1917)	26,051
Panama Kanał (1918)	23.259
Razem	116.433.612

Instytucye polityczne Stanów Zjednoczonych obejmują zarówno rząd całego Związku, jako jednostki zbiorowej, składającej się z poszczególnych stanów, jakoteż rząd każdego pojedynczego stanu, lub pewnej jego części. Instytucye te są trojakiego rodzaju — prawodawcze, wykonawcze i sądownicze.

Instytucyą prawodawczą jest tak zwany „KONGRES". Jego czynnością główną jest ustanawianie nowych praw, gdy okoliczności i potrzeby państwa, lub społeczeństwa tego wymagają, lub też znoszenie, poprawianie i uzupełnianie praw już istniejących.

Instytucyą wykonawczą jest „PREZYDENT", który do pomocy dobiera sobie doradców-ministrów, tak zwanych „sekretarzy stanu". Prezydent, czyli władza wykonawcza, ma działalność ograniczoną do wykonywania i wprowadzania w czyn praw ustanowionych przez władzę prawodawczą, oraz zapobiegania naruszania tychże praw.

WŁADZA WYKONAWCZA

GABINET PREZYDENTA

(W porządku następstwa na urząd prezydenta)

1. Secretary of State — (Sekretarz Stanu).
2. Secretary of Treasury — (Minister Skarbu).
3. Secretary of War (Minister Wojny).
4. Attorney-General — (Minister Sprawiedliwości)
5. Postmaster-General — (Poczmistrz generalny).
6. Secretary of the Navy — (Minister Marynarki).
7. Secretary of Interior — (Minister spraw wewnętrznych).
8. Secretary of Agriculture — (Minister rolnictwa).
9. Secretary of Commerce — (Minister handlu)
10. Secretary of Labor — (Minister Pracy).

Prezydent pobiera rocznie $75.000, wice-prezydent i wszyscy członkowie gabinetu prezydenta pobierają rocznie po $12.000.

WŁADZA PRAWODAWCZA

Kongres jest władzą prawodawczą Stanów Zjednoczonych i składa się z dwóch izb: — z Senatu i z Izby Reprezentantów, które obradują w Kapitolu w Waszyngtonie, D. C.

Do senatu wybierają z każdego stanu po dwóch senatorów na 6 lat. Ponieważ jest 48 stanów, senat więc liczy 96 senatorów.

Każdy z senatorów pobiera roczną płacę $7.500 i 20 centów milowego za podróż na sesyę i z powrotem do domu.

Członkowie Izby Reprezentantów wybierani są bezpośrednio przez lud, w dystryktach obejmujących obecnie nie mniej niż 194.182 mieszkańców.

Każdy z nich pobiera rocznie $7.500. Liczba reprezentantów zwiększa się stale co 10 lat, stosownie do wzrostu ludności. — Przewodniczący Izby, tak zwany "speaker" — pobiera rocznie $12.000

WŁADZA SĄDOWNICZA

Instytucyę sądowniczą stanowią SĄDY ZWIĄZKOWE (federalne). Zadaniem władzy sądowniczej jest baczenie na to, aby prawa ustanawiane odpowiadały kardynalnym zasadom sprawiedliwości i praw konstytucyjnych państwa, oraz tłómaczenie tychże w razie mogących powstać niepewności. Do instytucyi sądowniczych należy też sąd wykroczeń przeciw prawu i wymiar kar za nie.

Stany Zjednoczone są związkową rzeczapospolitą demokratyczną. Nazywają związkową dlatego, że powstała ona z dobrowolnego połączenia się niepodległych i samorządnych państw, zwanych Stanami, demokratyczną jest zaś dlatego, że jest rządzoną przez całą masę obywateli, a nie jakąkolwiek część, lub klasę ich. Poszczególne stany, łączące się w jedną całość państwową, zrzekły się pewnej części atrybucyi swej niezależności na korzyść władzy centralnej zwanej związkową, federalną.

SĄDY ZWIĄZKOWE (Federalne)

Sądy związkowe mają jurysdykcyę w każdej sprawie, gdzie jedna ze stron opiera się na związkowej uchwale. Sprawy takie mogą być przeniesione do sądu związkowego, nawet wtedy, gdyby sądy stanowe poprzednio wydały wyrok. Władza sądownicza Stanów Zjednoczonych składa się z „Sądu Najwyższego" i sądów niższych. Członkowie tych sądów są mianowani przez prezydenta i potwierdzeni przez Senat, a piastują swój urząd dożywotnie — chyba, że zostaną oskarżeni o występki w urzędowaniu. Wyroki sądów federalnych wykonuje MARSZAŁEK i jego pomocnicy.

SĄD NAJWYŻSZY

(United States Supreme Court).

Sąd Najwyższy odbywa swe posiedzenia w Waszyngtonie. Skład jego stanowią: „Sędzia Najwyższy" i ośmiu sędziów towarzyszących. Sześciu członków sądu stanowi „quorum" i decyzya tego quorum jest decyzyą Sądu. — Każda sprawa przychodząca pod obrady Sądu Najwyższego, rozpatruje się dwa razy. Raz, gdy większość głosów sędziów rozstrzyga sprawę na jedną, lub drugą stronę, drugi raz, gdy jeden z sędziów przedstawia projekt wydanego wyroku do przejrzenia i zatwierdzenia. Od Najwyższego Sądu niema apelacyi; on sam służy za najwyższą instancyą apelacyjną.

"Sędzią Najwyższym" jest William H. Taft. Sędziowie towarzyszący — Joseph McKenna, Oliver W. Holmes, Pierce Butler, Willis Van Devanter, James C. McReynolds, Louis D. Brandeis, George Southerland, Edward T. Sanford.

Sekretarz Sądu — William R. Stanbury; Marszałek sądu — Frank Key Green; Reporter — Ernest Knaebel.

Płaca roczna: Sędzia najwyższy — $15.000, sędziowie towarzyszący po $14.500, sekretarz — $6.000, marszałek $4.500, reporter $4.500

SĄDY OKRĘGOWE (Circuit Courts)

Sądy okręgowe są dwojakiego rodzaju, mianowicie: okręgowe (Circuits Courts) i okręgowe apelacyjne (Circuit Courts of appeals). Takich okręgów jest 9 i w każdym z nich urzęduje dwóch, a w większości trzech sędziów. Oprócz tego okręgi mają sądy obwodowe (District Courts). Tych obwodów jest obecnie 76 i każdy z nich ma jednego sędziego. Sądy obwodowe są najniższe ze wszystkich trybunałów związkowych. Każdy sędzia okręgowy danego okręgu, albo sędzia najwyższego sądu może otworzyć sesyę sam jeden, albo razem z drugim sędzią obwodowym, albo jeden z nich może otworzyć sesyę razem z sędzią obwodowym, gdzie sesya się odbywa. Od wyroku sądu okręgowego, albo obwodowego można apelować do tak zwanego Sądu Apelacyjnego, a niektóre sprawy można przenosić z apelacyjnego do Sądu Najwyższego.

Płaca roczna: Sędziowie okręgowi po $8.500, sędziowie obwodowi $7.500.

COURT OF CLAIMS.

Sąd ten rozpatruje wszelkie sprawy wytoczone Stanom Zjednoczonym. Ponieważ nikt nie może zmusić Związku do wykonania wyroku, sąd więc ten przedstawia wyrok swój kongresowi. Kongres zaś uchwala wypłatę sum poszkodowanych.

Płaca roczna: Główny sędzia $8,000; pozostali po $7.500.

SĄD DLA SPRAW CELNYCH

(Court of Custom Appeals).

Sąd ten został również utworzony w 1909 roku i służy wyłącznie do rozpatrywania zażaleń, powstałych wskutek zbyt wysokiego cła nałożonego przez urząd celny na towary przywożone z zagranicy. Pięciu sędziów z płacą $8.500 rocznie decyduje sprawy.

ADMINISTRACYE STANOWE

Każdy z 48-miu stanów ma sobie pozostawione prawo ustanawiania konstytucyi i stanowych praw statutowych, oraz kompletny samorząd wewnętrzny. Władze wszystkich stanów są mniej więcej podobne do siebie i egzystują na mocy swoich konstytucyi, określających je nawet bardziej szczegółowo, aniżeli to się dzieje w konstytucyi związkowej. Instytucye te można podzielić na centralne instytucye stanowe i lokalne, należące do mniejszych jednostek administracyjnych, jak naprzykład gminy, powiaty, lub miasta i miasteczka, albo wsie. Cała różnica jest ta, że stan, jako jednostka państwowa, sam wytwarza swe instytucye. Instytucye zaś pomniejszych podziałów stanu, jak n. n. powiaty, lub gminy, egzystują na mocy przywilejów nadanych tym powiatom lub gminom przez legislatury stanów, lub też przez trybunały, upoważnione przez nie do tego.

Władzą prawodawczą stanu jest legislatura, składająca się z dwóch izb: — Senatu i Izby delegatów. W senacie przewodniczy zastępca gubernatora, w Izbie — mówca (Speaker).

Władzą wykonawczą stanu jest gubernator (Governor), a w razie jego ustąpienia zastępca (Lieutenant-Governor). Gubernator posiada w swoim stanie atrybucye władzy, podobne do władzy prezydenta. Gubernator i jego zastępcy są wybierani bezpośrednio przez lud.

Władzą sądowniczą są — sądy stanowe.

W większości stanów zazwyczaj urzędują: sekretarz stanu, skarbnik, doradca główny, kontroler, i kierownik szkolnictwa. Czas urzędowania i płaca są najrozmaitsze stosownie do zaludnienia stanu.

ADMINISTRACYE LOKALNE

Administracya lokalna w Stanach Zjednoczonych jest ustanowiona przez każdy ze stanów niezależnie. W tych warunkach siłą rzeczy istnieją niezliczone odrębności i różnice w organizacyi i w zakresie władzy czynników administracyi w różnych stanach.

POWIATY (County).

Między dystryktami administracyi lokalnej w Stanach Zjednoczonych najpospolitszym jest powiat. Każdy stan podzielony jest na okręgi, zwane powiatami, z wyjątkiem stanu Louisiana, gdzie odpowiednie okręgi nazywają się „parafiami". Przy wielkich różnicach organizacyi i kompetencyi władz powiatowych, są jednak ważne rysy wspólne, które nadają administracyi powiatowej cechy fundamentalnego podobieństwa w całych Stanach Zjednoczonych.

Powiat amerykański zajmuje zupełnie inne miejsce w ogólnym planie administracyi publicznej, niż dystrykty lokalne w krajach europejskich. Nazwa „county" wskazuje na historyczny związek z „hrabstwem" angielskiem, z którego rozwinął się powiat amerykański.

Jest około 3.000 powiatów w Stanach Zjednoczonych. Przeważna ilość większych stanów ma od 60 do 100 powiatów każdy. Najwięcej powiatów ma stan Texas, bo 243; najmniej mają Rhode Island — pięć i Delaware — trzy.

Co do obszaru i liczby ludności powiaty wykazują wielkie różnice, lecz na ogół powiaty amerykańskie są znacznie mniejsze zarówno pod względem obszaru, jak i liczby ludności, od hrabstwa w Anglii, departamentów we Francyi i prowincyi w Prusiech, w Belgii, Włoszech i Hiszpanii. Około dwóch trzecich powiatów ma od 300 do 800 mil kwadratowych. Najczęściej spotyka się powiaty o obszarze od 400 do 650 mil kwadratowych. Przeszło połowa powiatów ma od 10.000 do 30.000 ludności, lecz w północnych stanach nadatlantyckich przeszło połowa powiatów ma ponad 50.000 ludności, gdy w stanach południowych i w stanach leżących na zachód od regionu suchych równin, wiele powiatów ma mniej niż 10.000 ludności.

Dziewięć dziesiątych powiatów ma wybitnie rolniczy charakter, lecz znaczna liczba powiatów zawiera wielkie miasta, i najważniejszymi powiatami są te, które obejmują największe miasta — jak miasto New York, składające się z czterech powiatów). Chicago, Philadelphia, St. Louis, Boston, Baltimore, San Francisco i Denver. W niektórych z tych powiatów administracya powiatowa jest częściowo włączona w administracyę miejską.

Nietylko miejscowe władze powiatowe, lecz nawet główne czynniki rządu stanowego wybierane są w każdym powiecie z osobna, i poddane są małej lub nieskutecznej kontroli rządu centralnego w Stanach. Rząd Stanów Zjednoczonych niema żadnej kontroli nad urzędnikami powiatowymi, lub innymi lokalnymi urzędami z wyboru.

PODATKI I ASSESSMENTY.

Powiat we wszystkich stanach z wyjątkiem dwóch — trzech stanów Nowej Anglii, jest dystryktem o wielkiem znaczeniu w administracyi finansowej. Nakłada on podatki i spełnia wiele ważnych funkcyi. W większości stanów urzędnicy powiatowi działają także, jako agenci dla kolektowania dochodów drobniejszych dystryktów lokalnych. W stanach południowych i zachodnich majątek bywa szacowany dla opodatkowania przez urzędników powiatowych, a w wielu innych stanach urzędnicy powiatowi mają pewną kontrolę nad lokalnymi podatkami. Wielka liczba urzędników, wybieralnych w każdym powiecie, czyni powiat ważnym dystryktem wyborczym. Powiat jest także zawsze jednostką dla obliczania głosów na urzędników większych okręgów, jak stanowych, lub posłów do Kongresu. Na znaczenie powiatu, jako okręgu wyborczego, wskazuje wielkie znaczenie komitetów powiatowych partyi politycznych w wielu stanach.

WŁADZE POWIATOWE

Regulaminy dla spokoju i bezpieczeństwa w powiecie są uchwalane przez „konwencye powiatowe", albo przez „komisarzy powiatowych", którzy mają władzę wykonawczą i zawiadują budynkami powiatowymi, mostami, więzieniami, szkołami i drogami bitemi.

Każdy powiat posiada swego sekretarza (Clerk), który prowadzi daty urodzeń, śmierci, podatków, listę głosujących i t. p.

Szeryf — jest wykonawcą wyroków sądowych

Skarbnik — przyjmuje i wypłaca pieniądze uchwalane przez komisarzy.

Koroner — bada wypadki nagłej lub gwałtownej śmierci, w celu określenia przyczyny, i w potrzebie oddaje winnego sądom.

Oprócz tego są w powiecie: prokurator, kontroler, komisya nadzorcza (Supervisors).

Władzą wykonawczą jest burmistrz (Mayor), który w wielkich miastach ma swój doradczy gabinet i zarządza policyą.

Władzą gospodarczą są radcy miejscy (aldermani). Przewodniczącym rady miejskiej jest mayor.

Rada miejska ma prawo nadawania koncesyi, zaprowadzania ulic, mostów, wodociągów, parków i zawiaduje majątkiem miasta.

Ciałem sądowniczem miasta są różne sądy, tak zwane miejskie (municipal), sądy pokoju (Justice of the peace courts). W niektórych miastach są specyalni sędziowie policyjni (police magistrates). Sędziowie są albo obierani przez obywateli, lub też mianowani przez władze miejskie, jak burmistrza, lub radę miasta.

PREZYDENCI ST. ZJ. PÓŁNOCNEJ AM.

General George Washington, pierwszy prezydent	1789—1797
John Adams	1797—1801
Thomas Jefferson	1801—1809
James Madison	1809—1817
James Monroe	1817—1825
John Adams	1825—1829
Andrew Jackson	1829—1837
Martin Van Buren	—1837
William Henryk Harrison (um. 1841)	1841
John Tyler (obrany z wice-prezydenta)	—1841
James Knox Polk	1845
Zacharyasz Taylor	1849
Millard Fillmore (obrany z wice-prez.)	1850
Franklin Pierce	1853
James Buchanan	1857
Abraham Lincoln (zamordowany 14-go kwietnia 1865)	1861
Andrzej Johnson (obrany z wice-prez.)	1865
Ulisses S. Grant	1869—1877
Rutherford Burchard Hayes	1877
James A. Garfield (zamordowany 19-go września 1881 roku)	1881
Chester A. Arthur (wice-prezydent)	1881
Grover Cleveland	1885
Benjamin Harrison	1889
Grover Cleveland (po raz drugi)	1893
William McKinley (zamordowany 14 września 1901 roku)	1897
Teodor Roosevelt (był wice-prezydentem, obrany na prezydenta)	1901
William Taft	1909
Woodrow Wilson	1913
Warren G. Harding	1920
Calvin Coolidge	1923

WYBORY PREZYDENCYALNE

Prezydent i wice-prezydent Stanów Zjednoczonych nie są wybierani bezpośrednio przez lud, lecz przez pośrednictwo „elektorów".

Każdy stan uprawniony do tylu elektorów, wielu ma członków w Kongresie — w obu izbach razem, lecz ani senator, ani poseł izby reprezentantów, ani żadna osoba piastująca jakikolwiek urząd Stanów Zjednoczonych nie może być elektorem.

Stosownie do uchwały Kongresu — opartego na statystyce cenzusu z 1910 roku — Stany były uprawnione do

wyboru następującej liczby elektorów w 1916 i 1920 latach:

Stan	Elektorów	Stan	Elektorów
Alabama	12	Nebraska	8
Arizona	3	Nevada	3
Arkansas	9	New Hampshire	4
California	13	New Jersey	14
Colorado	6	New Mexico	3
Connecticut	7	New York	45
Delaware	3	North Carolina	12
Florida	6	North Dakota	5
Georgia	14	Ohio	24
Idaho	4	Oklahoma	10
Illinois	29	Oregon	5
Indiana	15	Pennsylvania	38
Iowa	13	Rhode Island	5
Kansas	10	South Carolina	9
Kentucky	13	South Dakota	5
Louisiana	10	Tennessee	12
Maine	6	Texas	20
Maryland	8	Utah	4
Massachusetts	18	Vermont	4
Michigan	15	Virginia	12
Minnesota	12	Washington	7
Mississippi	10	Wisconsin	13
Missouri	18	West Virginia	8
Montana	4	Wyoming	3

Razem 531
Potrzeb.. do wyboru 266

— o —

"HOMESTEAD" I OSADNICY

Cenne informacye, dla wszystkich, którzy zamierzają się osiedlić na gruntach rządowych.

1. **Co to jest homestead?** Jest to farma, dana mężczyźnie, lub kobiecie który, lub która mieszka na niej i uprawia ją przez pięć lat. Mówimy „dana", gdyż cena wynosi tylko około 10c za akier, to jest koszta pomiarów i wpisywania do ksiąg co wyniesie razem za farmę ćwierć mili w kwadracie, najwyżej ośmnaście dolarów, i cztery dolary z tej sumy płaci się dopiero po pięciu latach.

2. **Jak wielką farmą jest „homestead"?** Jest to farma mająca 160 akrów, z wyjątkiem „traktów", w których połowa została przyznana kolejom żelaznym, lub innym przedsiębiorstwom użyteczności publicznej. Na takich traktach homestead ma tylko połowę zwykłej wielkości, o ile osadnik nie służył przynajmniej dziewięćdziesięciu dni w wojsku W tym ostatnim wypadku ma on prawo otrzymać wszędzie ćwierć sekcyi.

3. **Kto może dostać homestead?** Każdy mężczyzna i kobieta amerykańskiego pochodzenia, lub po otrzymaniu pierwszych papierów obywatelskich które można otrzymać w pierwszy dzień po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych.

4. **Jak można otrzymać homestead?** Idzie się do biura gruntowego Stanów Zjednoczonych, gdzie ma się dostęp do map wykazujących wszystkie wolne grunta w sąsiednich okolicach. Potem się udaje na miejsce i wybiera się kawałek gruntu który najbardziej przypada do gustu, wraca się do urzędu gruntowego, robi się aplikacyę, płaci się najwyżej czternaście dolarów i odtąd jest się absolutnym władcą na swym kawałku gruntu. Lecz osoba ubiegająca się o homestead, nie jest nawet obowiązana stawić się osobiście w rządowem biurze gruntowem W większości wypadków, może ona dowiedzieć się od miejscowych agentów gruntowych lub mieszkańców, jakie grunta są wolne i potem wnieść aplikacyę o homestead, który chce objąć, od klerka sądu w tym powiecie, w którym ziemia się znajduje, załączając zaprzysiężone zeznanie wyłuszczające powody, dla których osoba ta nie mogła stawić się osobiście.

5. **Po jakim czasie może osadnik objąć swój homestead w posiadanie?** W każdym czasie w ciągu sześciu miesięcy od wniesienia aplikacyi i zaksięgowania jej może też wyjeżdżać poza obręb swej ziemi, lecz nie wolno mu opuszczać jej na przeciąg dłuższy, niż pół roku jednorazowo i to pod warunkiem że nie obierze sobie gdzieindziej stałego miejsca zamieszkania

6. **Czy osadnik może zostać zupełnym właścicielem swej ziemi wcześniej niż po pięciu latach?** Tak! Po sześciu miesiącach zamieszkiwania może w każdym czasie nabyć swą ziemię od rządu, płacąc cenę rządową, wynoszącą najwyżej dwa dolary i pół a najniżej połowę tego za akier

7. **O długach osadnika.** Homestead jest wyjęty z pod pretensyi za długi zaciągnięte przez osadnika przed objęciem ziemi a w niektórych stanach także po objęciu ziemi w posiadanie.

5. **Jak się otrzymuje w końcu kompletny tytuł własności?** Gdy osadnik mieszkał na swej ziemi i uprawiał ją przez pięć lat może w każdym czasie w ciągu dwu lat udowodnić ten fakt w urzędzie gruntowym, w którym wniósł był swą aplikacyę, i urzędnik sprowadzi dlań z Waszyngtonu kompletny tytuł własności na jego ziemię, za co płaci się cztery dolary

9. **Czy wszyscy mają jednakowe prawa?** Naogół tak, lecz Kongres uchwalił że żołnierz ma dwa razy większe prawa co do homestead'ów, niż zwykły śmiertelnik. Prawo to zostało sankcyonowane przez prezydenta 15 lipca 1870. Prawo to ustanawia, że każdy, kto służył lojalnie w armii, lub w marynarce Stanów Zjednoczonych przynajmniej przez 90 dni, ma prawo na warunkach wyłożonych powyżej, otrzymać tytuł własności na całą ćwiartkę ziemi t. j. 160 akrów tam gdzie inni ludzie mogą otrzymać tylko 80 akrów „z kolejowych rezerwowanych sekcyi, wzdłuż linii kolejowych, gdzie grunta publiczne zostały nadane aktami Kongresu". W celu otrzymania takiego homestead'u żołnierz musi uczynić zadość tym samym formalnościom, co osoba cywilna i zapłacić te same opłaty. Lecz otrzymuje dwa razy więcej ziemi.

— o —

O CZEM KAŻDY WIEDZIEĆ POWINIEN?

Poniższe ustawy prawne są tak powszechne i tak mało zmodyfikowane przez statuty poszczególnych stanów, że przeważają we wszystkich częściach kraju i znajomość ich może być użyteczna dla wszystkich

Nikt nie może korzystać ze swych błędów, to znaczy, że nikt nie może drogą prawną uzyskać zadowolenie pretensyi, wyrastającej z jego własnych błędnych czynów.

Kontrakt jest to umowa pomiędzy dwiema, lub więcej osobami, uprawnionemi do zawarcia kontraku przez którą dla jakichś specyalnych względów, pewne zgodne z prawem czyny mają, lub nie mają być wykonywane przez określony czas.

Kontrakty słowne, za niewielu wyjątkami, są ważne wobec prawa, lecz naturalnie są trudniejsze do udowodnienia, niż kontrakty pisane.

Kontrakty dotyczące realności, z wyjątkiem wynajmu na mniej niż rok, lub kontrakt zobowiązujący do odpowiedzialności za dług, defraudacyę, lub wykroczenia innej osoby, albo jeżeli istota kontraktu nie ma być uskuteczniona w przeciągu jednego roku, mają być zawierane na piśmie i opatrzone pieczęcią.

Osoby, gwarantujące kontrakt, są zwalniane od gwarancyi, jeżeli kontrakty zostały zmienione bez ich przyzwolenia.

Nota, otrzymana przez oszustwo, pod aresztem, lub od osoby będącej w stanie nietrzeźwym, jest nieważna, z wyjątkiem, gdy jest sprzedana niewinnemu.

Zguba, zniszczenie, lub kradzież noty, nie uwalnia od zobowiązań tego, kto ją wystawił, ani poręczyciela, jeżeli właściwe zawiadomienie zostało uczynione w ciągu odpowiedniego czasu.

Poręczyciele są zwolnieni od zobowiązań, jeżeli nie zostali zawiadomieni we właściwym czasie o niewypłaceniu noty w czasie oznaczonym.

Nota daje procenta do terminu płatności tylko wtedy, gdy to jest w niej zaznaczone.

Wszystkie noty, lub kontrakty, wystawione przez niepełnoletnich są nieważne z wyjątkiem wydanych za potrzeby życia (necessaries).

Kontrakt uzyskany przez oszustwo, nie może być unieważniony przez sprawcę oszustwa.

Kontrakt na pracę przez pewien określony czas za pewną określoną zapłatę, jest „entire contract" i praca musi być wykonana w całości, poczem dopiero można domagać się umówionej zapłaty.

Agent jest to osoba upoważniona przez swego pryncypała, który będzie odpowiedzialnym za wszystkie jego czyny.

Nota, wystawiona w niedzielę, nie ma wartości.

Każda jednostka, należąca do firmy jest odpowiedzialna za cały dług firmy. Nieświadomość prawa nikogo nie tłómaczy. Jest oszustwem ukrywać oszustwo. Jest wykroczeniem układać się o kradzież. Prawo nie zmusza nikogo do wykonywania rzeczy niemożliwych. Kontrakt bez rozwagi (without consideration) jest nieważny.

Podpisy ołówkiem są ważne wobec prawa. Pokwitowanie na pieniądze nie jest dowodem bezspornym (conclusive). Czyny jednego wspólnika obowiązują wszystkich innych. Kontrakty zawarte w niedzielę, nie mogą być wykonywane przymusowo. Kontrakt zawarty z obłąkanym jest nieważny.

— o —

PRAWO O SPÓŁKACH.

Spółki mogą być ogólne, lub specyalne. W ogólnych spółkach, kapitał włożony przestaje byc własnością prywatną. Każdy członek jest osobiście odpowiedzialnym za całą sumę długu zaciągniętego przez spółkę. Spółka jest odpowiedzialna za wszystkie kontrakty i zobowiązania, dokonane przez poszczególnych członków.

Specjalni spólnicy nie są odpowiedzialni ponad pewną określoną sumę.

Osoba, która pozwala ludziom powszechnie przypuszczać, że jest spólnikiem, jak przez umieszczanie swego nazwiska na szyldzie lub na opakowaniach, lub na blankietach używanych w interesie, moze zostać przez to samo spólnikiem wobec prawa.

Udział, lub pewien specyalny procent od zysków lub strat w interesie w postaci wynagrodzenia za pracę, może nałożyć na kogoś obowiązki partnera.

W razie bankructwa ogólny majątek spółki idzie przedewszystkiem na spłacenie długów spółki, i dopiero pozostałość może być użyta na spłacenie wierzycieli prywatnych.

Rozwiązanie spółki może nastąpić w wypadkach ściśle określonych w artykułach umowy, za wzajemnem przyzwoleniem spólników, skutkiem śmierci lub obłąkania jednego z członków firmy, przez wyrok sądu arbitracyjnego lub przez „sąd bezstronności" (court of equity), w razie niewłaściwego zachowania się jednego z członków firmy.

Spólnik, podpisujący swe nazwisko na sprzedażnym dokumencie, który ma być obowiązującym dla spółki, czyni odpowiedzialnymi także wszystkich innych spólników. Dokument sprzedażny, nawet gdy jest wydany na prywatny rachunek jednego ze spólników, obowiązuje wszystkich członków firmy, gdy przechodzi w ręce osób niewiadomych na jakiej zasadzie dokument został wystawiony.

Prawa spólnika mogą być kupione i sprzedane przez spólnika, może on zawierać kontrakty, może odbierać pieniądze, może indorsować, wypisywać i akceptować weksle i noty, i chociaż to wszystko może być czynione na jego własny rachunek to jednak skoro tylko daje on pozory, iż działa w imieniu spółki, jego spólnicy są odpowiedzialni za jego czyny, pod tym jednak warunkiem, że strony, prowadzące z nim interesa, nie wiedziały, iż tranzakcye dokonywane były na jego prywatny rachunek.

W ten sposób reprezentowanie spółki przez jednego nawet ze spólników, czy to na jej dobro czy na szkodę, jest obowiązującem dla wszystkich członków w spółce.

W razie śmierci jednego ze spólników, spólnik pozostały przy życiu musi zdać rachunek przedstawicielom zmarłego.

o

JAK ZOSTAĆ OBYWATELEM?

Każdy cudzoziemiec, jeżeli jest człowiekiem rasy białej i wolnym, albo rasy afrykańskiej, lub afrykańskiego pochodzenia, może starać się o obywatelstwo, czyli naturalizacyę, z wyjątkiem Chińczyków, Japończyków, Hawajczyków, Birmajczyków i Indyan. Ustawy naturalizacyjne tyczą się zarówno kobiet jak mężczyzn. Cudzoziemska, zostając żoną obywatela, staje się naturalizowaną obywatelką Stanów Zjednoczonych. Obywatelstwa Stanów Zjednoczonych nie może uzyskać osoba należąca do stowarzyszeń występujących przeciw rządowi zorganizowanemu (stowarzyszeń anarchistycznych i podobnych tymże celami). Obywatelem Stanów Zjednoczonych nie może zostać człowiek żyjący w wielożeństwie. Akt naturalizacyi składa się z dwóch procedur, a mianowicie: 1) z oświadczenia urzędowego, że ma się zamiar zostania obywatelem, 2) z pozyskania pełnego obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Nazywa się to zazwyczaj pozyskaniem pierwszych i pozyskaniem drugich papierów obywatelskich. Azeby pozyskać drugie papiery obywatelskie, potrzeba mieszkać przynajmniej 5 lat w Stanach Zjednoczonych i posiadać pierwsze papiery obywatelskie przynajmniej od dwóch lat. Są jednakowoż pewne wyjątki. Pierwszych papierów nie wymaga się: 1) Od mężczyzny, w armii Stanów Zjednoczonych. 2) Od mężczyzny, liczącego 21 lat życia, który honorowo służył przez 5 lat w marynarce Stanów Zjednoczonych. 3) Od mężczyzny liczącego 21 lat życia, który wstąpił do korpusu marynarki Stanów Zjednoczonych. Nie wymaga się też pobytu przez 5 lat w Stanach Zjednoczonych od mężczyzny, liczącego lat 21, który honorowo ukończył służbę w armii i dostał już pierwsze papiery Stanów Zjednoczonych, lub od mężczyzny, który przez trzy lata pełnił honorowo służbę na jednym z handlowych okrętów Stanów Zjednoczonych (które mogą być własnością prywatną).

PAPIERY OBYWATELSKIE

Pierwsze papiery obywatelskie można pozyskać nawet zaraz po wylądowaniu w Stanach Zjednoczonych, ale nie przed ukończeniem 18 roku życia. Każdy musi umieć podpisać swoje imię i nazwisko, gdy chce pozyskać obywatelstwo i musi się postarać o poświadczenie wylądowania. Chcąc otrzymać pierwsze papiery, należy się udać do gmachu sądowego, gdzie za opłatą jednego dolara otrzymuje się papiery od klerka sądowego. Pierwsze papiery uzyskane w jakimkolwiek stanie, mają ważność także w każdym innym stanie tego kraju.

Azeby dostać drugie papiery obywatelskie, potrzeba: 1) mieć przynajmniej 21 lat wieku, 2) Przebywać co najmniej 5 lat w Stanach Zjednoczonych, 3) Posiadać pierwsze papiery najmniej od dwóch lat, a najdłużej od 7 lat. Po 7 latach pierwsze papiery tracą swą wartość. 4) Umieć dostatecznie po angielsku by módz odpowiadać na zapytanie klerka sądowego. 5) posiadać certyfikat lądowania. 6) Znać w najgłówniejszych zarysach konstytucyę Stanów Zjednoczonych, o tyle by umieć odpowiadać na pytania zadawane mu. 7) Przyprowadzić ze sobą dwóch obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy poświadczą, że znają aplikanta jako moralnego człowieka zasługującego na pozyskanie obywatelstwa. Gdy się posiada te warunki pozyskania drugich papierów, należy się udać do klerka sądowego celem złożenia aplikacyi. Tam składa się należność w sumie $2.00 i musi odpowiedzieć pod przysięgą na szereg pytań, tyczących się wiadomości o konstytucyi, urzędnikach i systemie ich wyborów.

KOSZTA PAPIERÓW OBYWATELSKICH

Regularny koszt nabycia papierów obywatelskich wynosi razem $5.00. Z tego jeden dolar zostaje wpłacony przy uzyskaniu pierwszych papierów, następnie dwa dolary przy podaniu aplikacyi o drugie papiery i wreszcie ostatnie dwa dolary przy otrzymaniu drugich papierów. Z opłat tych klerk sądowy otrzymuje połowę, a druga połowa idzie do kasy rządowej Stanów Zjednoczonych.

UTRATA PAPIERÓW OBYWATELSTWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Każdy, czy to urodzony w Stanach Zjednoczonych, czy też naturalizowany ma prawo zrzec się obywatelstwa Stanów Zjednoczonych, przez przyjęcie obywatelstwa innego kraju. Nie wolno zrzec się obywatelstwa tego kraju podczas wojny Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli naturalizowany obywatel mieszka przez dwa lata w owem państwie z którego przybył, lub przez 5 lat w innem państwie to uważa się, że pozbył się obywatelstwa Stanów Zjednoczonych, chyba, że stosownie do ustaw w konsulacie Stanów Zjednoczonych lub w reprezentacyi dyplomatycznej tychże przeciw temu się ubezpieczy.

Kobiety utracają obywatelstwo tutejsze, jeśli wyjdą za mąż za obcokrajowca, mogą jednak po śmierci męża, lub po rozwodzie z nim odzyskać napowrót swoje prawa. W sprawach takich musi podać żądanie na piśmie.

KARA ZA PODRABIANIE PAPIERÓW OBYWATELSKICH

Każdy, kto fałszuje, lub pomaga innym fałszować papiery obywatelskie, ma być skazany na karę pieniężną, nie wyższą niż $10.000, lub 10 lat więzienia, ewentualnie na obie kary razem. Każdy, który przy otrzymaniu papierów obywatelskich, posługiwał się fałszywemi zeznaniami, ma być skazany na karę nie przenoszącą $5.000, lub na 5 lat więzienia, ewentualnie na obie kary razem.

o

NAJWAŻNIEJSZE PUNKTY KONSTYTUCYI STANÓW ZJEDN.

Konstytucya Stanów Zjednoczonych została początkowo przyjętą przez 13 stanów, które dały początek do teraźniejszych Stanów Zjednoczonych.

Po raz pierwszy została ogłoszoną i przyjętą przez stan Delaware, dnia 7go grudnia 1787, za którym później poszły i inne, i do roku 1790 została zaprowadzoną w następujących 13 stanach. Delaware, Pennsylvania, New Jersey, Georgia, Connecticut, Massachusetts, Maryland, South Carolina, New Hampshire, Virginia, New York, North Carolina i Rhode Island.

Konstytucya postanawia w 7 artykułach:

Kongres ma się zbierać przynajmniej raz na rok.

Kongres może dopuścić do unii tyle stanów, ile chce.

Jeden stan nie może znieść praw drugiego stanu.

Konstytucya gwarantuje każdemu obywatelowi szybki proces przed ławą przysięgłych.

Prawa, które tylko przez kongres mogą być wykonane są nienaruszalne przez poszczególne stany.

Każdy stan ma szanować prawa i wyroki drugiego stanu.

Kongres nie ma prawa wprowadzić w życie nowej ustawy karzącej za czyn przedtem popełniony.

Osoba, która się dopuściła zbrodni w jednym stanie nie może się schronić do drugiego.

Budżet państwa może być uchwalony tylko przez Izbę Posłów, Senat zaś ma prawo poddawać lub zgadzać się na wnioski.

Układy z innemi państwami robi prezydent, a Senat zatwierdza.

Terytorya mają prawo delegowania jednego posła, który jednak ma tylko przywilej obradowania z wykluczeniem głosowania.

Wiceprezydent, który z urzędu przewodniczy obradom Senatu, nie ma prawa do głosu, chyba na wypadek równości głosów.

Jeżeli prezydent podczas obrad Senatu zatrzymuje u siebie nową ustawę dłużej jak 10 dni, ustawa ta wchodzi w życie bez prezydyalnego podpisu.

Ustawa odrzucona przez prezydenta (veto) nie może wejść w życie, chyba ponownie przez obie izby przyjętą zostanie dwiema trzeciemi głosów.

Izba posłów ma prawo uznać prezydenta za winnego, wszystkie jednak obwinienia muszą być rozpatrywane przez Senat.

Urzędnik Stanów Zjednoczonych nie może przyjmować żadnych tytułów szlachectwa lub zaszczytów, chyba za pozwoleniem Kongresu.

Zmiany konstytucyi Stanów Zjednoczonych muszą być uchwalone przez dwie trzecie każdej izby i być zatwierdzone przynajmniej przez trzy czwarte stanów.

Prezydent Stanów Zjednoczonych musi liczyć przynajmniej 35 lat i stale zamieszkiwać w Stanach przez ostatnie 14 lat.

Senator musi liczyć najmniej 30, a poseł 25 lat.

Naturalizowany obywatel stanów nie jest obieralnym na prezydenta. Dziecko urodzone z amerykańskich rodziców, chociaż w innem państwie, ma te same prawa do wybieralności na prezydenta jakby tutaj urodzone.

Stany Zjednoczone mają gwarantować każdemu stanowi republikańską formę rządów i bronić każdy z nich przeciw najazdom, jako też na wezwanie izby prawodawczej lub gubernatora uśmierzać wewnętrzne niesnaski.

Dodatek do konstytucyi składający się z 15 artykułów został uchwalony i w większej części przyjęty z końcem 18go stulecia, ogólnie zaś przez wszystkie stany zatwierdzony w czasach późniejszych, kończących się w r. 1870.

DODATEK DO KONSTYTUCYI

uchwala i gwarantuje: Wolność wyznania i słowa. Prawo noszenia broni. Zabrania kwaterunków wojskowych w czasie pokoju. Prawo przeszukania tylko za zezwoleniem sądu. Prawo do szybkiego procesu. Prawo do sądzenia przez ławę przysięgłych. Zabrania wygórowanych kaucyi sądowych. Chroni prawa stanowe o ile nie dotyczą stanów ogólnie. Oznacza zakres działania sądownictwa. Sposób obradowania wyborców prezydenta i wiceprezydenta. Zniesienie niewolnictwa. Ochrona wszystkich obywateli państwa. Zdrada stanu i skutki. Prawo do głosowania bez względu na kolor i rasę.

NARODOWA FLAGA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Urzędowa flaga Stanów Zjednoczonych ma obecnie 48 gwiazd na niebieskim polu (na znak 48 różnych stanów, obecnie do unii należących). Od r. 17..9, wskutek uchwały kongresu, zaprowadzono jako flagę marynarki cłowej flagę, składającą się z 16 pasów białych i czerwonych na przemian (na znak, że podówczas 16 stanów do unii należało). Flaga ta utrzymała się do dzisiaj w urzędowym użytku i w lewym jej górnym rogu umieszczono niebieskie pole, na którem w 6 rzędach widnieje 48 gwiazd.

POCZTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Wszelkie artykuły, przesyłane pocztą Stanów Zjednoczonych, są podzielone na cztery klasy. Opłata domowa pobierana jest od wszelkich artykułów, przesyłanych w granicach Stanów Zjednoczonych, do Kanady, Meksyku, Kuby, Porto Rico, Guam, Hawai, Panamy i miasta Shanghai w Chinach.

Pierwsza klasa. — Do tej klasy należą listy, pocztówki, druki zamknięte i zapieczętowane. Opłata 2 centy za uncyę lub część tejże. Karty pocztowe podlegają 1-centowej opłacie.

Druga klasa. — Wysyłki przez wydawnictwa do abonentów, jak gazet, tygodników, miesięczników itp., opłacane według stref.

Trzecia klasa. — Należą do niej druki, cyrkularze, korekty, ale nie książki, fotografie, manuskrypty z korektami, z wyłączeniem osobistej korespondencyi. Najwyżej 4 funty. Drukowane przedmioty, ważące więcej aniżeli 4 funty, należą do poczty pakunkowej, jak również książki, ważące ponad 8 uncyi. Opłata 1 cent za każde dwie uncye albo część tychże.

Czwarta klasa. — Do tej należą paczki z towarem, nasionami, produktami rolnymi, książkami itp., które nie są zaliczone do pierwszych trzech klas. Zobacz poczta pakunkowa.

Wyjątki. — Do Kanady, Meksyku i Panamy: Dokumenty handlowe, próbki na żądanie według opłaty krajowej. Przedmioty drukowane (nie drugiej klasy) inne aniżeli książki, pojedyńczo ważyć mogą najwyżej 4 funty i 6 uncyi. Opłata 2 centy za każde dwie uncye lub część tychże. Paczki zapieczętowane nie są przyjmowane. Od roślin, nasion itp., do Kanady płaci się 1 cent za każdą uncye lub część tejże.

Z wyjątkiem do krajów wyżej wymienionych opłata jest następująca:

Listy za pierwszą uncyę po 5 centów, za każdą dodatkową lub część tejże po 3 centy.

Karty pocztowe — po 2 centy, za podwójne po 4 centy.

Dokumenty handlowe itp. — 5 centów za każde 10 uncyi, a 1 cent za każde dodatkowe 10 uncyi, a 1 cent za każde dodatkowe dwie uncje, lub część tychże.

Poczta Zagraniczna.

Próbki towarów — po 2 centy za każde pierwsze 4 uncye a po 1 cencie za każde dodatkowe 2 uncye lub część tychże.

Listy do Anglii i posiadłości angielskich po 2 centy za uncyę lub część tejże.

Special Delivery.

Od listów tak zwanych „special delivery", t. j. że mają być specyalnie przez posłańca w granicach Stanów Zjednoczonych doręczone, dopłaca się 10 centów oprócz zwykłej opłaty.

Registracya.

Artykuły pierwszej i trzeciej klasy można ubezpieczać do sumy najwyżej $50 za dopłatą 10 centów, a do krajów zagranicznych (listy) 50 franków, około $9.65.

Poczta Pakunkowa.

Masło, owoce itp. — Masło, smalec i ulegające prędkiemu rozkładowi artykuły, jak ryby, mięso, oczyszczone ptactwo, jarzyny, owoce, jagody i inne, które ulegają prędkiemu rozkładowi, przyjmowane są do wysyłki, tylko w dobrem opakowaniu, aby z paczki nic nie wypadło. Paczki mogą ważyć od 25 do 50 funt. a na wierzchu musi być napis "Perishable".

Na paczkach zawierających szkło, towary z modniarstwa, zabawki, instrumenty muzyczne itp., napisać należy „Fragile".

W paczkach czwartej klasy wolno przesyłać pisane, lub drukowane listy. List ze zwykłą opłatą może być także przyczepiony do paczki.

Opłata Poczty Pakunkowej.

Strefy. (Zones) odległości	Pierwszy funt	Każdy dodatkowy ft
W mieście i okolicy	$0.05	.—
1 strefa w obrębie 50 mil	.05	.01
2 strefa, 50 do 150 mil	.05	.01
3 strefa, 150 do 300 mil	.06	.02
4 strefa, 300 do 600 mil	.07	.04
5 strefa, 600 do 1000 mil	.08	.06
6 strefa, 1000 do 1400 mil	.09	.08
7 strefa, 1400 do 1800 mil	.11	.10
8 strefa, ponad 1800 mil zagraniczne posiadłości Stanów Zjednoczonych	.12	.12

Do sąsiednich krajów.

Paczki wysyłane ze Stanów Zjednoczonych do Kanady, Meksyku, Kuby i Panamy. — Waga najwyżej 4 funty i 6 uncyi, z wyjątkiem do pewnych miejsc w Meksyku i Panamie, dokąd wolno posyłać paczki, ważące 11 funtów.

Paczki do innych krajów.

O wysokość opłaty należy zapytać miejscowego poczt-mistrza.

Przesyłki (za zaliczką) C. O. D.

Paczka może być wysłana na C. O. D. z wyszczególnieniem sumy, jaka ma być skolektowana przez doręczający urząd pocztowy. Najwyżej do $100. Opłata 10 centów. Zabezpieczenia także do $50.

Pocztowe kasy oszczędności.

Od roku 1910 istnieją przy urzędach pocztowych kasy oszczędności, w których każda osoba powyżej lat 10, może składać swoje pieniądze.

Żaden depozytor nie może mieć więcej aniżeli jedno konto pocztowe w całym kraju. Pierwsza wpłata musi być złożona osobiście, inne mogą być przynoszone lub przysłane przez inną osobę. Depozytor otrzymuje certyfikaty na sumy $1.00, $2.00, $5.00, $10.00, $20.00, $50.00 i $100. Te mogą być wymienione w dniu 1 stycznia lub 1 lipca na bondy Stanów Zjednoczonych, przynoszące 4½ procent.

Suma deponowana w imieniu jednej osoby nie może przewyższać $1.000.

Każdy depozytor może każdej chwili wycofać złożone na poczcie pieniądze, w całości lub w części, po przedstawieniu certyfikatu.

Miary i Wagi używane w Stanach Zjednoczonych.

MIARY DŁUGOŚCI (Long measure).

12 inches (cali) — 1 foot (stopa).
3 feet — 1 yard (jard).
5½ yards — rod (pręt).
40 rods — 1 furlong (staja).
3 furlongs — 1 mile (mila).

MIARY ŻEGLARSKIE (Mariners measure).

6 feet (stopa — 1 fathom (sążeń)
120 fathoms — 1 cable length (węzeł)
7½ cable lengths — 1 mile (mila).
5280 feet — 1 statute mile (mila).
6075 feet — 1 nautical mile (mila morska).

MIARY KWADRATOWE (Square measure).

144 square inches (kw. cali) — 1 square foot (kwadratowa stopa).
9 square feet — square yard (kw. jard).
30¼ square yards — 1 acre (akier).
160 square rods — 1 acre (akier).
640 acres — 1 square mile (kw. mila).
36 square miles — 1 township (obwód miejski).

MIARY OBJĘTOŚCI (Cubic measure).

1,728 cubic inches (kubiczny cal) — 1 cubic foot (kub. stopa).
27 cubic feet — 1 cubic yard (kub. jard).
Sążeń drzewa ma 8 stóp długości, 4 szerokości i 4 wysokości.

WAGI APTEKARSKIE (Apothecaries' Weight).

20 grains (gramy — 1 scruple (skrupułę).
3 scruples — 1 dram (drachmę).
8 drams — 1 ounce (uncję).
12 ounces — 1 pound (funt).

Chluba Malarstwa Polskiego



JAN MATEJKO

Najsławniejszy malarz historyczny Polski.

Portret malowany przez samego artystę.

"Nowoczesne Państwo Polskie"

Dzieło o Malarzu Matejce przez Dr. Viollette Berger'a

Zwolna ale stale Stany Zjednoczone zaczynają się coraz to więcej interesować Polską, jej literaturą, jej sztuką.

W zeszłym roku ukazało się dzieło Dr. Violette Berger pod tytułem "Nowoczesne Państwo Polskie". W rozdziale pod tytułem: "Polityczne Wpływy Sztuki w Polsce", wktórym z zachwytem omawia polską sztukę, wyrażając się: "By zrozumieć Polską Sztukę należy zrozumieć polską psychologję w czasie okresu, który rozpoczął się upadkiem starego państwa polskiego, a zakończył powstaniem obecnej Polskiej Republiku."

O wilkim naszym Matejce (1838 - 1893) w rozdziale tym czytamy: "Duma Matejki nie należała do okresu, w którym ciało jego żyło. Całe jego intellektualne życie oddane było historycznym czasom i wypadkom. Przeżywał on historję Polski — jej tryumfy, cierpienia, jej szlachetne czyny i złe kroki. Nie ma żadnego wielkiego wypadku w historji Polski, którego by jego pędzel nie oddał.

Autor podaje myśl i opinje wszystkie dzieła Matejki, mówiąc, że "Matejko jest tem dla Polski, czem był Michał Anioł dla Włoch".

Podajemy portret naszej chluby malarskiej, bo dzieło to przepiękne, pełne wyrazu a malował go sam artysta i polecamy naszym czytelnikom nabywanie tej książki pod tytułem: "The Modern State of Poland", by Dr. Violette Berger.

Przysłowia na dobie w Polsce

Gość w dom, zamykaj kasę i powiedz, że nie masz chwilowo gotówki.

Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, bo może człowieka ugryźć.

Kocioł garnkowi przygania, a obaj starają się o zmianę nazwiska.

Na pochyłe drzewo też się znajdzie kupiec, chyba że daleko do kolei.

Kruk krukowi oka nie wykole, o ile pracuje w innej branży.

Jedna jaskółka nie stanowi wiosny, a jeden protest nie stanowi bankructwa.

Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi w kryminale i kiedy go wypuszczą.

Ręka rękę myje, i to regularnie w piątek przed szabasem.

Nie pożyczaj — zły obyczaj, chyba, że ci dadzą odpowiednie żyro i dobry procent.

Kto pod kim dołki kopie, ten musi mieć koniecznie łopatę.

Niech nie wie prawica, co czyni lewica, a szczególniej komuniści.

Lepszy wróbel w garści, niż gruby posag po najdłuższem życiu teścia.

Kto rano wstaje, ten z pewnością ma jakieś pieniądze do zainkasowania.

Lepszy łut szczęścia, niż pud nieszczęścia, chyba że cudzego.

Nie śmiej się dziadku, jeśli twój wnuczek robi długi, które będziesz zmuszony regulować .

Każdy początek jest trudny, szczególniej gdy trzeba posiedzieć na Pawiaku.

Żadne praca człowieka nie hańbi, aby tylko policja nie przyłapała.

Gdzie konia kują, tam z pewnością kowal każe sobie zapłacić.

Prawdziwego przyjaciela poznaje się w nieszczęściu, naprzykład w ogonku przy płaceniu podatku.

Nie mów nigdy hop, dopóki nie ułożysz się z wierzycielami.

Zanim słońce wzejdzie, można zrobić sporo interesów i nieźle zarobić.

Żeby kózka nie skakała, toby nie trzeba było zakładać dancingów.

Dopóty dzban wodę nosi, dopóki policja tajnej gorzelni nie wywącha.

Kto się na gorącem sparzy, ten z pewnością żadnej akcji nie weźmie do ręki.

Natura wilka ciągnie do lasu, bo tam zawsze można zrobić dobry interes.

Wczesnego ożenku nikt nie żałował, chyba, że mu nie wypłacono posagu.

Która krowa dużo ryczy, ta z pewnością nie daje dużej dywidendy.

Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami, o ile są złote.

Mowa jest srebrem, milczenie złotem, ale handel paskarski to czysta platyna.

Studenci z Polski na Amerykańskich Uniwersytetach

W roku ubiegłym na rozmaitych uniwersytetach amerykańskich kształciło się 8 studentów i jedna studentka, przybyłych w tym celu z Polski.

Rezultat to usiłowań założonego lat temu

Udzielać finansowej pomocy biednym i obiecującym polskim studentom pragnącym prowadzić studja w amerykańskich kolegjach i uniwersytetach;

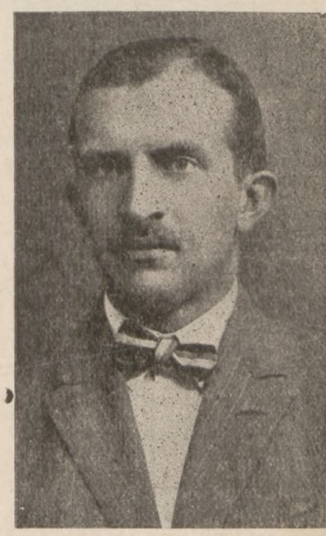
Udzielać finansowej pomocy biednym i



Karol Kozłowski
w Amherst College



Marja Morzkowska
w Columbia University



D. Witold Krzyżanowski
w Yale University



Franciszek Wolski
z Dartmouth College



W. J. Michejda
Harvard University



Mikołaj Olekiewicz
Columbia University

dwa komitetu pod nazwą "Polish American Scholarship Committee", który wziął sobie za zadanie:

obiecującym amerykańskim studentom pragnącym prowadzić studja w polskich uniwersytetach.

Współdziałać w wymianie uniwersyteckich profesorów pomiędzy Polską i Ameryką.

Dostarczać potrzebnych informacji studentom polskim i amerykańskim o zakładach naukowych w Polsce i Stanach Zjednoczonych, zamierzającym kształcić się własnym kosztem.

W skład komitetu Polsko-Amerykańskiego wchodziło w roku ubiegłym pięciu Polaków i dwóch Amerykanów: Dr. Henry Mac Cracken, Prezydent Vassar College i M. Vauclain, Prezydent Baldwin Locomotive Works z Filadelfji; Kasjerem Komitetu był pan J. F. Smulski z Chicago; sekretarzem profesor Stefan P. Mierzwa z Masachusetts; jednym z wice-prezydentów C. W. Sypniewski, Cenzor Z. N. P.

Każdy z tych 9 stypendystów z Polski otrzymał dzięki staraniom tej Komisji wolny bilet okrętowy, $50 na koszta przejazdu i $500 na koszta roku szkolnego. W sześciu uniwersytetach władze uniwersyteckie ofiarowały tym studentom naukę bezpłatnie.

Komitet ma nadzieję, że w roku szkolnym 1926 liczba studentów z Polski dojdzie do liczby piętnastu i będzie więcej przedstawicielek płci żeńskiej, bo Kolegja Wellesley, Smith, Bryn Mawr i Vassar ofiarowały bezpłatnie dla polskiej studentki w danym zakładzie naukę, pokój i życie.

W tym roku udał się na uniwersytet Jagielloński do Krakowa pierwszy Amerykanin, profesor Eric P. Kelly, z uniwersytetu Dartsmouth. Profesor Kelly poświęca się studjom słowiańskich, a szczególniej polskiej, literatur i polskiego języka.



Wacław Wrzesien
Columbia University



Wacław Bielecki
Syracuse University



Jan Cender
Columbia University

PO NIEDZIELI

Jak to bywa po niedzieli,
Każdy inne ma kłopoty —
Jan nie może podnieść głowy,
Więc nie idzie do roboty.

Feliks chodzić dziś nie może,
Bo roztańczył się za wiele,
A więc dzisiaj postękuje,
I klnie strasznie na niedzielę.

Piotra znowu bolą włosy
I choć stanął przy robocie,
Nic nie widzi po niedzieli,
W głowie czuje szpilek krocie.

Jadzia stuka na maszynce,
Blada, kwaśna, niewyspana,
Bo w sobotę i w niedzielę
Tańcowała aż do rana.

Stary Michał nic nie mówi,
Tylko spluwa wciąż zawzięcie,
Bo całuśką pensję przegrał
W "oczko" przy niedzielnem święcie.

I tak każdy nie w porządku!
Tylko myśleć, co by było,
Gdyby w każdym tak tygodniu
Siedem niedziel się liczyło!

Jakie gościńce Kuba Kos swojej babie przynosił

Z serji III: "Z chłopskiej niwy"

I.

Kuba Kos za parobskich czasów juże ciesielką galanto narabiał. (Był potem ś-niego bez długie roki pierwszy cieśla na trzy parafje). A że swarny, postawny, przyścipny i tancerz, jakiego drugiego ni w Rzędzinach, ni w sąsiedniej Białej Wólce nie było, dzieuchy chodziły za nim jak urzeczone, a poniektóre baby poglądały nikiej kot na spyrkę.

— Piekny parobek z tego Kuby, aże błyszczy od niego uroda — mówili o nim we wsi.

Ale matki przestrzegały córki, kiej z którą na weselu, albo w karczmie na muzyce więcej hulał, a potem śnią często kóli ochłodzenia na pole wychodził.

— Nieprześpieczny on, nieprześpieczny.... Uwazuj dzieucho, coby zaś złego tońca i chłódzenia nie wypsnęło się cosi, co wrzescy....

A Kuba Kos, jak Kuba. Czarniawy, śmigły, z małym wąsikiem i kędzierzawą, niesforną czupryną, co mu na czoło z pod czapki z fantazyją spadała, zawdy se niefrasobliwy był, dufny w siebie i wesiły "nikiej ten prawy kos na gałęzi, co se śwista i śwista, o nic nie dbający......

— Wszyćkie dzieuchy w Rzędzinach moje — mówił nieraz do bab z przechwałką — byle ino mi się chciało po którą sięgać — ale mi się nie chce....

— A bez cóż ci się mójeśty, nie chce — spytała go raz na drodze młoda jeszcze Magda Wąsiczka, co jej chłop przed rokiem do Hameryki za zarobkiem wywędrował.

— Bez co? bo mi źrałe gruszki, takie, co juże z drzewa spadły, lepiej lubują, niźli te, co jeszcze na gałęzi wiszą, i trza po nie albo w górę chyckać, albo się na drzewo drapać...... Człek sie ino zeznoi i portki se podrze, albo rymnie na ziem i potłucze się, wiecie, jak nie trza..... Co mi ta szkodzi, że kto inkszy przódzi zerwał.... Wyrozumieliście?

Wyrozumiała, bo grzmotnęła go pięścią w ramię, aże się cofnął.

— Pokuśnik, jucha! — zaśmiała się szeroko, pokazując mu białe zęby i poszła do swej chałupy.

Ale na zakręcie drogi nie strzymała, ino obeźrała się jeszcze na Kubę, któren ostał na środku gościńca, papierosa ćmił i jakiesi znaki jej dawał.

Bez te "źrałe gruszki", to się Kuba, bywało, z chłopami bijał, a poniektóre co młodsze baby nieraz od swoich chłopów miewały piekło w chałupie.

Skoro z wojska wrócił, Kuba cosi z rok jeszcze, niby ten jurny kogut, na cudze obejścia wpadał i mątu we wsi narobił niemało (nawet sam wójt jankór miał do niego skróś swojej drugiej baby), ale naostatek ślubną wzion. Półtora morga ino za swą Józią dostał, dwie pierzyny i małego byczka, ale cieśla, robotę cięgiem mający i w Rzędzinach i po zagranicznych wsiach, o gront nie stał. A Józia była kobieta, że choć do rany przyłóż: cicha, spokojna, wlubiona w pięknego Kubę bez pamięci, że takiej drugiej nikaj by nie znalazł. Możeby się był ś-nią tak duchem nie żenił, ino co przyparło ich oboje okrutnie, bo już w miesiąc po weselu Pan Jezus chłopaka im dał. Bachór był smyślny, na ojca całkiem podany — toć matka radowała mu się jak zwarjowana.

Ino raz, w parę niedziel po urodzeniu chłopaka, kiej Kuba z roboty z Gajów wrócił, przyszedł na kobietę ciężki termin. Zdało się, dobrość jej la chłopa do znaku przepadnie i w chałupie już będą swary i termedyje na wieczny czas.

Wchodzi Kuba do izby, siekierę i piłę stawia w kącie, a na ręce cosi w chusty owinięte trzyma. Dawała Józia pod ten czas piersi maluśkiemu Kubie, siedząc na ławce wedle komina.

— Cóżeś to, Kubuś, przyniósł — pyta podnosząc oczy na chłopa.

— Cosi la ciebie......

— Cóże? Mów......

A Kuba się śmieje, staje przed kobietą i odwija zawiniątko.

— Rety! — dziecko? Kajżeś je znalazł?

— Nie znalazłem nikaj, ino matka mi dała.....

I śmieje się dalej.

— Dy mawa już jedno swoje. Przecie dwóch karmić nie będę.

— Cobyś ta zaś nie karmiła, skorobym cię pięknie poprosił......

— E, śpasy ci ino w głowie......

— Nijakie śpasy...... weź sierotę, weź......

— A kielaż matka będzie płacić?

— E, nic ona nie zapłaci, bo chłopak mój......

— Co?! coś rzeknął?! — zakrzyknęła, aże naczynia w szafce dźwiękły i kawałek wapna zleciał z pułapu, a oba maleństwa zaczęły wystraszone wrzeszczeć w niebogłosy.

Zerwała się, złożyła dziecko do kolebki i stanęła przed Kubą czerwona, wściekła, z jarzącemi od gniewu ślepiami......

— Powiedaj jak było, powiedaj w ten moment...... Mów, jak było, nie śpasuj, na rany boskie!!....

Kuba naraz spokorniał i trzymając na lewej ręce rozpłakane dziecko, prawą grzmotnął się w piersi, aże w nim jękło.

— Moja wina Józiu, moja wielka wina...... Toli jakem w Gajach na robocie był — a pożenieniśmy, wiesz, jeszcze nie byli — ot...... przygodziło się...... Moja Józiu, ostaw w chałupie kruszynę, dyć chroboczkowi zamrzeć nie daj......

Ale kobieta nie dała się udobruchać.

Wzięna gonić po izbie, za włosy się targać, sądu boskiego na niegodziwca wzywać, pomstować, niech ręka boska broni, a zawodzić żałośliwie nad swoją dolą nieszczęsną.

Wśród tego Kuba położył płaczące dziecko na pierzynach na łóżku i cichy, jak trusia, sam jął się krzątać kole wieczerzy.

Nakoniec kobiecie brakło głosu w gardle i siły w nogach. Padła na ławę i jęła płakać, płakać, płakać......

A chlipała tak rzewnie i boleściwie, aże serce Kubie do cna stajało i choć chłop miętki nie był, jęło mu się robić w ślepiach mokro....

— Józia — wykształił — skoro w ten moment nie ustaniesz, klnę się na wszyćkie świętości, że idę na strych i na tym rzemieniu, co portki na nim noszę, obwieszę się...... Juże nie strzymam......

— A idź, a obwieś się, zwodzicielu, ancykryście — jęknęła Józia z mokrą od łez, zaczerwienioną twarzą. — Jezu, Jezu miłosierny, słyszaneż to rzeczy, żeby pod ten czas, co się ze mną schodził, chociem ta jeszcze ślubną nie była — i z drugą z obcej wsi...... to samo...... Rety, rety, Sodoma, Gomora!...... I ze mną dziecko, i z drugą dziecko... Z dwoma dwa dziecka naraz...

— Dym ci pedział — rzeknął nieśmiało, cichuśko — przygodziło się... Koń ma śtyry nogi, a potknie się... i człek ułomny... A ja nie pierwszy i nie ostatni...

— Nie gadaj juże, nie gadaj, bo się z żalu ozpęknę...

— Ozgrzysz mnie, Józia, ozgrzysz. Miej zmiełowanie nad grzysznikiem...

— Za nic nie ozgrzyszę. A tyś miał zmiełowanie nademną, jakeś się hań z drugą w Gajach... tfy... Nie miałeś zadość mnie jednej? Czym ci się kiej przeciwiła?... zabaczyłeś? za Kulasowem uwrociem, pod Grzelową gruszą... A teraz mam ci przeniewierstwo darować?...

— Ha, kiejś taka kwarda — rozłożył Kuba ręce, westchnąwszy ciężko — to bądź zdrowa.... Wszyćko ci ostawiam... i chałupę, i krowę i te trzy morgi... Ino dziecka ućciwie chowaj, krzywdy im nie daj robić, skoro za inszego chłopa się wydasz... A nie zabacz dać na mszę i wypominki za moją grzyszną duszę...

Szerokim krokiem, pochylony, ze łbem zwieszonym wyszedł z izby na sień i jął zwolna leść po trzeszczącej drabinie.

Kobieta w ten moment porwała się jak oparzona, wpadła do sieni, uchwyciła go z całej siły za nogę i ściągnęła z drabiny. Z dobry pacierz barowała się ś-nim, niczem wepchnęła go do izby, bo się rzetelnie opierał.

Silnie posadziła go na ławie, aże stęknął.

— Kuba, masz ty Boga w sercu — zaczęła mu wyrzucać, załamując ręce — toliś taki winowaty, w grzychu śmiertelnym i jeszcześ chciał duszę na wieczność djabłu zaprzedać? A wiesz ty, coby cię hań w piekle czekało?...

A Kuba siedział ciągiem z głową spuszczoną i ino żałośnie se nią kiwał; nie odezwał się nic, jakby z tej okrutnej desperacji do cna zaniemówił...

— Ej, Kuba, Kuba, cóżeś ty chciał, utrapieńcze zrobić — mówiła Józia coraz spokojniej, ocierając czerwone z płaczu, nikiej królicze oczy.

— I zrobię, com se zamyślił... nie tera, to po północku — mruknął chłop głucho, patrząc w ziem — skoro mnie nie ozgrzyszysz i niewinnej kruszyny nie przygarniesz...

— Nie pleć byle czego... przygarnę już, przygarnę... Dziękować Panu Jezusowi, starczy mi pokarmu na dwoje...

Jak się na to Kuba nie porwie z ławy, jak nie uchyci swej kobiety, jak nie przyciśnie do siebie, aże jej dech zaparło, jak nie zacznie całować po licach i zapłakanych niebieskich ślepiach, a potem w zapamiętaniu przez miary w pełne, czerwone usta, że pocałunki leciały jak grad, aby i najgęściejszy — tak w parę pacierzy Józia aże z sił opadła, od tego waru mężowskiego kochania, chodziła ino za nim zamglonemi oczyma, a skoro znowu chciał ją przygarnąć, raz w raz odtrącała go łokciem, sromając się i zakrywając lica wierzchem dłoni:

— Ostaw mnie, Kuba... by nie w te razy... po wieczerzy... Małego trza nakarmić, bo głodny... a jeszczem go nawet nie obeźrała...

Kuba uniósł dziecko pod światło lampki, a skoro Józia dobrze się nań przypatrzyła, klasnęła w ręce:

— Cały ociec. Cały ociec.

Odebrała go od Kuby i usiadłszy na ławie, przystawiła do piersi.

A chłop z rozpogodzonem czołem podjął z kolebki maluśkiego Kubę i ostrożnie podał żonie:

— A weźmijże i naszego do drugiej... Niech se mają kuntentność oba wraz....

II.

Minęło trzy roki, abo mało co więcej. Urodziła już Józia przez ten czas Marysię, był już na świecie Szymuś. U Kosów panowała zgoda, aże miło. Nieraz nawet sam jegomość Kubę i Józefę Kosów za przykład stawiał swarliwym stadłom. A dość było takich we wsi, co to dzień na dzień żarły się z sobą w chałupach, nikiej te złe psy, chłopy skróś tego, co doma spokoju nie miały, w karczmie na desperę piły, a baby zasię chodziły z popodbijanemi ślepiami.

— Widzicie Bylica — mówił do chłopa, któren swoją babę po pijanemu do półśmierci bijał, a raz ją tak kłonicą przetrącił bez krzyże, że cudem się ino po dwóch miesiącach ciężkiego chorzenia wylizała — widzicie, jak u Kosów zgoda i błogosławieństwo Boże...... Kosowa przyjęła tego chłopaka, co go z obcej wsi przyniósł, wykarmiła razem ze swoim, i nijakich poswarek o to u nich nie ma... On gorzałki ani nie powącha, kobietę szanuje...

A Bylica na to:

— Dopraszam się łaski jegomościa... bo też Kosowa spokojna, cichuśka, złego słowa nie powie, a moja, jak gębę ozewrze, rety, to kiejby żywe piekło z pod ziemie ogniem a siarką buchnęło... Toć nijak zdzierżyć nie mogę... Dy sam anioł z nieba by nie strzymał tego wrzasku, przekleństw i jazgotania, ino porwałby żarnówkę i kto wie, czyby kiej bez łeb tak nie zdzielił, coby ostatnią parę puściła...

U Kosów, jako jegomość mówił, naprawdę była zgoda i spokój. Kuba zarabiał dobrze i w Rędzinach i w Białej Wólce i w Gajach i Zabich Okach, a nawet — że to był cieśla pierwszy na kilka parafji — i do dalszych wsi na robotę go brali. w gorzałce nie lubował, każden grosz swej Józi oddawał, a o dziecka starobliwy był, jak mało któren ociec.

I nie miałaż kobieta być rada, że takim dobrym chłopem, a do tego urodnym jak żaden, Pan Jezus ją opatrzył? W chałupie też wszelakiego dobra przybywało i dochowali się dwuch krów, gospodyni wieprzki podpasała, zaharendowali od jegomościa łąkę — i Józia już z pierwszemi gospodyniami wziena przyjacielstwo trzymać.

Jakości w półtora roku, jak Kosom dał Pan Jezus Szymusia, z wiesną kobieta rozsypała się znowu — i przyszedł na świat maluśki Jacuś. Chłopak był jak kluska, krągluśki, miał wesołe ślepia jak ociec, toć chrzciny wyprawił Kuba galante. Poczęstunek postawił nie byle jaki, siła też gości było w chałupie i to co najpierwsze gospodarze, a nawet i sam jegomość na momencik zaszedł...

Józia Jacusiem radowała się okrutnie, widziało się, może więcej niżli pierworodnym, i obie ze starą Jewką, co u nich służyła, a krzywą gębę miała (dla prześpieczności przed chłopem taką se do służby zmówiła) — nie mogły się dziecku nacudować...

Gdy tak raz, obrządziwszy wszyćko kole gospodarstwa, i pokładszy starsze dziecka spać, czekają obie z wieczerzą na Kubę, co pod ten czas do Białej Wólki na robotę chodził, o późnej już godzinie posłyszały wesołe ujadanie Zagraja podle chałupy.

Jużci gospodarz wracał do dom.

Porwała się Jewka do komina przygrzewać duchem warzę, bo gospodyni siedząc na zydlu i kolebiąc nogą Szymusia (że to pędrak przez kolebania uśpić się nie chciał) dawała piersi maluśkiemu Jacusiowi.

Naraz wśród radosnego skowyczenia psa, dosłyszały kobiety z sieni kwilenia dziecka.

Józię kiejby coś ostrego żgnęło w samo serce.

— Pewnikiem znowu dziecko mi niesie.... — przeszło jej przez głowę — i w te razy jęła trząść się od płaczu.

Kuba wyżenął psa na pole, zaparł drzwi od sieni i wlazł zwolna na izbę. Ogarnął oczyma płacącą kobietę, pochwalił Pana Boga, skrzynkę z "naczyniem" ciesielskiem, siekierę i piłę kole drzwi postawił.... Gęba mu się nie śmiała, jak przódzi, gdy pierwsze przyniósł. Rzucił kapelusz na ławę i zasumowany okrutnie z owiniętem w chusty dzieckiem stanął przed żoną.

Nie odezwał się nic, ino westchnął ciężko i pokiwał smutno głową.

Józię cosi jakby do cna w grzdyce zatkało. I ona nic nie rzekła, ino karmiąc dalej Jacusia, załzawione ślepia podniesła ku chłopu.

Trwali tak z dobre dwa pacierze przez nijakiego słowa. Jewka, wystraszona, sprawiała się cichuśko kole komina.

Nakoniec Kuba ozwał się głosem, jakby z pod ziemi idącym:

— Oj, Józia, Józia, znowu dopust Boski na mnie. Jak ty mnie nie poratujesz, cóże ja poczne utrapiony?!.... Widzisz ty, com haw przyniósł?....

— Adyć widzę — jęknęła wśród łkań — nie ślepam.... i słyszę.... Toli drze się, jak opętane.... Cóże to.... znowu twoje?....

— E, cota gadać.... Dopust boski i tyla.... Ozgrzysz mnie Józia jeszcze na ten raz, na ten jeden raziczek.... Józia, Józia.... weź tę kruszynę.... Tyś taka la mnie dobra.... na całym świecie takiej drugiej nie najdzie....

Kobieta zaniosła się na nowo od żałośliwszego jeszcze płaczu, oddała dziecko Jewce i szlochając padła twarzą na łóżko, nijak nie dając się Kubie utulić....

Ale za jakąś godzinę, choć srodze spłakana i rozżalona, już przez nijakich na chopa pomstowań, wzięła na rękę maluśką dzieuchę, którą Kuba przyniósł, zrobiła jej krzyżyk na czole i przystawiła do piersi.

A Kuba siednął se przy niej i cięgiem delikatniuśko głaskał ją to po licach, to po głowie i poruszał wargami, jakby pacierz mówił, abo błogosławił tę przez miary dobrą kobietę, co nawet mu złego słowa nie rzekła za tę okrutną krzywdę, co jej zrobił i drugie już obce dziecko przygarnęła....

Naraz Józia zwróciła nań czerwone jeszcze od płaczu oczy.

— Kuba!

— Abo co?

— A kajże jają ułożę? Wy mawa już sześcioro, a tu ino jedno wyrko la dziecek i jedna kolebka.

— E, co ta o to...... Drzewo mam w chałupie i wszyćko, co potrza.... Duchem zrychtuję nową kolebkę.... taką, co i Jacuś i ta maluśka pomieszczą się galanto.... Choćby i zaraz do roboty się wezmę i do rana będzie gtowa....

— Abo bym ci dała? — obruszyła się Józia. — Dyś setnie upracowany z całego dnia, przespać się musisz.... Ja se jeszcze jakosi poradzę....

***

Insza kobieta, toby swemu chłopu za taką despetę, jaką Kuba żonie wyprawił już drugi raz, nie ino najokrutniejsze piekło każdziusieńkiego dnia robiła, aleby się rwała do tamtej, z którą dziecko miał, coby jej ślepia wydrapać.... I nikiejby już zgody w takiem stadle nie było.

Ale Józia była do krzty inaksza. Juże od drugiego dnia począwszy, jak dziecko wzięna, nigdy Kubie ani słówkiem nie pisnęła o tem, co się stało.

To też i Kuba był la swej kobiety jeszcze lepszy i wysłużniejszy. Podchlebiał jej, jak ino mógł; gościńce z jarmarku przynosił, dawał czegoby ino zapragnęła. A w robocie zdało się, że nikiej ten czarownik, dwoił się i troił — bo zarabiał jeszcze więcej niż przódzi. Toć nie dziw, że Józia w parę niedziel już jakby zabaczyła do krzty, że znowu razem ze swojem cudze dziecko karmi — i w chałupie Kosów zapanowała taka jakasi święta i błogosławiona dobrość, takie miłowanie się spólne z wszyćkiemi dzieckami wraz, jakich nikaj, jak Rzędziny Rzędzinami nikto nie uświadczył.

Tak to u Kosów doma było — ale ludzie wsiowi, a naprzódzi baby, skoro ino po wsi gruchnęło, że Kuba teraz na odmianę z Białej Wólki bękarta swej babie przyniósł, wzięny Kosów okrutnie na jęzory. Pośmiechy i przykpinki z chłopa, co z zagranicznemi dziewkami dziecka miewa i z baby, co głupia cięgiem toto przez nijakiego sprzeciwu mamczy, szły od chałupy do chałupy, trzęsły się przy przełazach, przy studniach, huczały w karczmie.

Toć i jegomość, któren wiedział wszyćko, co się we wsi dzieje (bo jakżeby gospodyni język utrzymała za zębami) a Kosa już dawno z pierwszego dziecka z Gajów ozgrzeszył potem zaś rzetelnie go nawidził, tera do niego do imentu serce stracił.

Skoro Kos przyszedł na plebanję prosić o przepisanie metryki dzieuchy na swoje imię, że to już drugi raz taka grzyszna rzecz chłopu żeniatemu się przyterfiła — rozjendyczył się okrutnie, pięściami w biurko tłukł, ogniem piekielnym groził i sielnie Kubę zeswarzył od dziewczarzy, jurnych, przejurnych kogutów i najgorszych łajdaków.

Kuba stał przed proboszczem schylony, skrobiąc się w głowę i rzetelnie mu wszyćko każdziusieńkie słowo przyświadczał.

—Kogut z was, jucha — krzyczał jegomość — co żadnej kurze i z cudzej chałupy nie przepuści....

A Kuba:

A ino.... święta prawda....

— Kaczor, bestyja — jankurzył się ksiądz coraz sielniej — co mało mu swoich kaczek i jeszcze co tęższe siemieniatki przysiada.... Miałem takiego, tom go w te razy kazał zarżnąć....

— Sprawiedliwie jegomość mówią....

Naostatek pleban, że to Kuba mu ino przyświadcza, jakby se to, co zrobił, letko ważył, a nie rzeknie nic, jako zwyczajnie grzysznik, skruchę w sercu wzbudzający, rozeźlił się jeszcze bardziej.

— Cóż to, Kos, ino świadczyć mi będziecie? Nie przyrzekniecie poprawy? Dy to wstyd na całą wieś, dy obraza boska, zgorszenie....

— Jużci, że wstyd i obraza boska — Kuba na to — nie przeciwię się i grzych okrutny, skoro mi Pan Jezus taką poczciwą a dobrą, kiej ten anioł, kobietę dał.... Ale cóże ja pocznę, dopraszam się łaski jegomościa, kiej juże ano tak się samo jakosi dzieje. Cobym ino la śpasu, przez nijakiej grzysznej intencji, poniektórą dzieuchę bez pół chycił — a siłę dziękować Panu Jezusowi mam — i w samą gębę raz abo dwa rzetelnie pacałował — w ten moment ślepia jej się mglą, leci mi z rąk i juże liga, kiej bez duszy.... Cóże ja winowaty?....

Jegomość poźrał na Kubę strasznie, machnął ręką, zaklął i wyleciał z kancelarji, jak biczem podcięty....

A Kuba ostał na środku i czekał, co będzie dalej, choć widziało mu się, że się dzisia niczego dobrego nie doczka.

Za parę pacierzy jegomość wyszedł ze swoich pokoi i stanął we drzwiach, mierząc Kubę srogiemi ślepiami.

— Czego tu jeszcze chcecie? — huknął.

— Adyć dopraszam się łaski....

— Niema łaski dla grzesznika, co zamiast poprawę poprzysiądz, o spowiedź święto prosić, bezeceństwa osobie duchownej gada.... — Wstydźcie się, Kos.

— A dyciem ino prawdę rzeknął....

— Wstydźcie się, mówię! Jakże to? Do cudzych dziewek w innych wsiach obces się bierzecie, chocieście waszej ślubnej kobiecie przed ołtarzem poprzysięgali miłość i wierność....

— Alboż ją nie miłuję? — Kuba się obruszył. — Niech sama haw przed wielebnym ojcem duchownym zaświadczy, a ona nie kłamie.... Adyć jak świętą ją miłuję i wstając i ligając Panu Jezusowi za nią dziękuję.... Przez niej ani mi życia ani doli.... A wiernym jej chyba bardziej, niźli ten mój Zagraj memu obejściu.... Dobra jej strzegę i jak ten wół haruję, coby kiejsi gospodynią całą gębą była, jak nieprzymierzając wójtowa, abo Styrnalka Marcinowa....

Ale jegomość setnie rozeźlony, nic już na to się nie obezwał. Szarpnął ręką za siebie, gdy się Kuba ku niej pochylił i o nijakiem przepisaniu metryki słychać nie chciał.

IV.

Udobruchał się dopiero za parę dni, kiej przyszło do niego z dzieckem sama Kosowa.

Pochwaliła pięknie Pana Boga, pocałowała plebana w rękę, a do maluśkiego bachorka jęła przyśmiechy stroić, po gębusi głaskać a krągluśką główeczkę całować....

— O. widzą jegomość, jakie to miłe....

—Takeście to już obce dziecko zalubili?....

— A ino, dopraszam się łaski.... Straśnie to miluśkie, a ciche, jak żaden z moich pędraków w małości nie był.... Jak ino possie, juże śpi bez parę godzin kamieniem.... Zda się że nijakie nowe dziecko do chałupy nie przybyło.... A jaka jestem urodna dzieucha.... niechno sami jegomość poźrą....

— No, zachor niczego.... Aleście pewnie waszemu nagadali jak się patrzy i zaswarzyli wartogłowa i uwodziciela....

— E, kaj ta.... Inom popłakała ociupinę, a że dzieucha przecie jego (bo i ślepy by zmiarkował, że na ojca do cna podana) toć przygarnęłam jak swoje.

Po licach jegomościa przeleciał uśmiech, kiejby słonko na nie padło i już przez niczego maluśką dzieuchę (a Magdusia jej było) na mię Jakóba i Józefy małżonków Kosów do księgi wpisał.

Józia do dom wracała okrutnie rada, że to Kubie, jak wieczorem z roboty wróci, opowie, że z jegomościem będzie dalej zgoda, bo choć ta mruczny na niego jeszcze był, ale wiadomo, u rzędzińskiego proboszcza to janków mijał wnetki, nikiej ta burza na wiesnę.

Idzie se tak kobieta z dzieckiem na ręku, a na duszy jej letko, że Kubie przebaczyła, bo juści sprawiedliwie mu się to patrzyło, kiej taki ućciwy, robotny, a la niej jak żaden chłop la baby dobry i wysłużny, że Magdusia już na ich przezwisko zapisana, — a tu w te razy na zakręcie drogi naszły na nią Powroźniczka Nastka ze Starych Wyrębów i Wadaska Magda, pierwsze bajczary i omyłtusy baby we wsi.

Pochwaliła śpiesznie Pana Boga, nie chcąc ś-niemi w pogwarkę się wdawać.

Ale baby zatrzymały się przed nią i Powroźniczka pyta urągliwie:

— A cóze to, Kosowa, niesiecie? Swoje dziecko, czy to drugie, co wam chłop znowu do karmienia przyniósł?

— Ha! ha! — zaśmiała się Wadaska w boki się bierąc — a może wnetki przyniesie wam trzecie, cobyście już wszyćkie znajdy z całej parafji karmili....

— Na gromadzką mamkę was wyrychtuje.... — warknęła Pwroźniczka.

A Wadaska:

— Nie na gromadzką, na parafjalną ze wszyćkich trzech wsiów.... Ale to chłop łajdus i hycel ostatni! Takiego ino na suchej gałęzi obwiesić!....

Józia zbladła, a za moment poczerwieniała, że zdało się, krew ją zaleje. Gorący jankód wzion podnosić się jej w piersi i obejmować głowę jak płomień.... Gdy zaś Powroźniczka jeszcze dorzuciła:

— Świntuch jucha, knur zatracony!.... — jak Józia w ten moment nie przyskoczy ku babom, jak nie zawrzaśnie, aże się na pół wsi rozległo:

— A cholery, a psie krwie! Mój la was łajdus i świńtuch i taki i taki?.... A bez co?.... Bo chłop jest jak się patrzy: robotny, ućciwy, a urodny, przyścipny, jakiego szukać drugiego.... I dziewki se ślepia za nim wypatrują, a na waszych niedorajdów, paprawców i zdechłych gizdoków to ani kulawa suka nie poźry?.... A możebyście same były mu rade?.... O, pewnikiem i jeszcze jak.... ale nie la was takie dobrości i delicyje.... Niedoczkanie wasze, stare pokraki, czarownice juchy!!.... Tfy!....

Baby, co się takiego zapamiętałego zwołania od spokojnej kobiety nie spodziały, ozwarły ino gęby, do cna ogłupiałe i na dobre pół pacierza oniemiały. Józia tymczasem splunąwszy im pod nogi, odwróciła się i prędko ku chałupie poszła.

Ale długo jeszcze uspokoić się nie mogła.

— Oćwiary, psie dusze.... — mówiła do siebie okrutnie roztrzęsiona — mego Kuby będą się czepiać, będą go jak ostatniego wyzywać — patrzajcie: t a k i e g o c h ł o p a !....

PRZEGLĄD POLITYCZNY
za rok 1925

POLSKA

Polska jest bardzo grzeczna,
Wszystkim ustąpi z drogi,
Myśli, że jest bezpieczna,
A innym rosną rogi...

Tak w Moskwie, jak nad Sprewą
Kręcą na nas powrozy...
Polska — pochyłe drzewo,
Na które skaczą kozy.

Gdańsk nam urąga, Kowno
Na Niemnie bierz spławy...
Nie notą, choć wymowną,
Te się załatwi sprawy.

Wierzymy nadto w Ligę
Na naszą wielką biedę...
Myśmy dostali figę,
Litwa — wzięła Kłajpedę.

Od morza nas odpycha
Anglik, z miną doktora...
Złą bardzo rzeczą pycha,
Gorszą tylko... pokora.

Anglja imperjalistka,
Leczy nas z tej słabości,
Bez figowego listka
Jest Anglik, a to złości.

Na zimne Polska dmucha,
Śmiałości niema wcale,
Toteż świat mimo ucha
Puszcza wszystkie jej żale.

Sefer.

REMINISCENCJE SEJMOWE
za rok 1925

Bije Kuba w łeb Jakóba,
Jakób znów Michała.
Bijesz ty, biję ja,
kompanija cała.

W rewolwerów błysku
biją się po pysku —
czy to tacy,
czy owacy —
tyle mają w zysku!

Dziarski Kuba, klubu chluba,
stracił w bójce zęby.
Michał cały posiniały,
z Jakóba — otręby.

To mi męże walni!
Piorą się, jak w pralni —
czy to tacy,
czy owacy —
chociaż nietykalni!

Pchamy djety im w kalety —
zacóż płacić mamy,
gdy miast pracy, jacy tacy
biją się jak chamy?

Gdybym był marszałkiem,
wygnałbym ich całkiem —
czy to takich,
czy owakich —
Jakóba z Michałkiem!

EKSPORTER DZIKICH ZWIERZĄT

Napisał Jerzy Bandrowski

Ilu może być na całym świecie eksporterów dzikich zwierząt, to znaczy ludzi, którzy zawodowo trudnią się handlem dzikiemi zwierzętami?

Z pewnością bardzo mało. Możnaby ich na palcach policzyć!

Informacje o nich mogłyby dać tylko większe ogrody zoologiczne, posiadające środki tak wielkie, iż dzięki nim mogą pożądane okazy bezpośrednio u znanego sobie eksportera zamawiać. Inne ogrody zoologiczne korzystają zwykle ze sposobności i pewną ilość okazów od nich odkupują, same jednak bezpośrednio z eksportem nie stykają się.

Zawód eksportera dzikich zwierząt należy do najrzadszych na świecie.

Jednym z największych eksporterów dzikich zwierząt był Hagenbeck, ze znanej firmy hamburskiej. Kiedy on zaczął dla firmy pracować, firma znana już była w całym świecie, w rzeczywistości jednak jemu zawdzięcza swą świetność z ostatnich lat przedwojennych i swój najwspanialszy rozkwit, albowiem Hagenbeck zaopatrywał ją w towar najrzadszy i najcenniejszy, mianowicie pochodzący z krajów podzwrotnikowych, z Cejlonu, Sumatry, Borneo i z Indji.

Nawiasem mówiąc, szczególny a bardzo rozgałęziony handel okazami przyrodniczemi, wyjąwszy handel zwierzętami żywemi, jest już częściowo zorganizowany głównie przez uczonych podróżników, czyniących zwykle wielkie zamówienia dla muzeów i różnych instytucyj przyrodniczych, z któremi są w stosunkach. Na ich polecenie, dziś już często z ramienia odpowiednich firm, które się tem trudnią, znani i rutynowani strzelcy i zbieracze eksploatują nieraz przy wydajnej pomocy ludności całe okolice, dostarczając zbiorom przyrodniczym coraz to nowych, znakomicie spreparowanych okazów. Świetnie wypchane ptaki, zwierzęta, węże, jaszczurki, całe komplety motyli, ciem, chrząszczów, mrówek, olbrzymie zielniki a nawet okazy mineralogiczne skrzyniami wędrują za morza do tysięcy gabinetów szkolnych lub zbiorów uczonych. Niesłychanie ciekawy świat podzwrotnikowy wszędzie budzi żywe zainteresowanie i wszędzie możemy znaleźć mniej lub więcej bogate zbiory, które go reprezentują. Dlatego handel temi okazami przyrodniczemi nie tylko nie jest handlem luksusowym, ale przeciwnie, wszędzie spotyka się z wielkim popytem i daje dobre dochody.

Co uczeni podróżni zrobili dla rozpowszechnienia martwych okazów przyrodniczych krajów podzwrotnikowych, to Hagenbeck zamierzał zrobić i w większości zrobił w dziedzinie handlu okazami żywemi.

Dowiadujemy się o tem z dwu książek, naiwnie napisanych przez samego eksportera, a poprawionych, a raczej adjustowanych do druku przez któregoś z literatów niemieckich. Na szczęście kulturalny ten człowiek zrozumiał w czem leży cały urok tych wspomnień eksportera i, usunąwszy tylko to, co przy nieumiejętności pisania autora, mogłoby książkom szkodzić, w niczem nie naruszył ich szczerości, prostoty, a z tem i żywości zajmującego opowiadania. Książki te mają tytuły: "Indje" i "Trzynaście lat pobytu na Cejlonie."

Tematy niewątpliwie piękne i zajmujące. Możnaby powiedzieć nawet, że do pewnego stopnia niewyczerpane, zawsze nowe, przynoszące wciąż rzeczy nieznane i niespodziewane. W tych książkach jednak stanowią raczej tylko bajeczne, wspaniałe tło, na którem widzimy człowieka, jakiego nie widzieliśmy nigdy. Nie jest to bynajmniej człowiek nadzwyczajny, o jakimś wyjątkowo szerokim horyzoncie umysłowym — czy wyjątkowo nadzwyczajnym poziomie kulturalnym. Nie, to człowiek przeciętny, człowiek, który poprostu chce zarobić i możliwie jak najlepiej zorganizować swój interes. Ale, żeby się kto dla zarobku tułał się z dzikimi ludźmi po lasach i niebezpiecznych dżunglach, żeby się pasował z własnoręcznie pochwytanemi słoniami, żeby obcował wciąż z dzikim zwie-

REZULTAT W DWUDZIESTU DNIACH
LUB OTRZYMACIE PIENIĄDZE Z POWROTEM



Jeżeli czujecie się złamani na zdrowiu, jeżeli jesteście chorzy i naprzykszyło się Wam używać lekarstw, które nie przyniosły Wam nic dobrego, wtenczas użyjcie NUGA-TONE, lekarstwa, które pobudza uśpione siły, podnieca czynności ciała i pomaga całemu systemowi do wypełniania obowiązków tak jak mu natura przeznaczyła.

NUGA-TONE ożywia jelita, tak że pracują naturalnie, pobudza cyrkulację krwi, wzmacnia żołądek, daje dobry apetyt i pomaga trawieniu. Zapobiega ono gazom w żołądku i jelitach, oczyszcza oddech, usuwa obłożenie z języka i ból głowy jakoteż żółtą, otłuszczoną cerę oraz krosty jeżeli są spowodowane zatwardzeniem lub niedostatecznem wypróżnianiem stolca. — NUGA-TONE jest jednym z najlepszych lekarstw dla dodania Wam więcej energji, siły, odwagi i ambicji. **Używajcie je przez kilka dni i zauważcie różnicę — uczujecie się wesoło, szczęśliwie i dowiecie się wtenczas, że warto jest żyć.**

NUGA-TONE zawiera specjalną formę żelaza do wytwarzania czerwonej, zdrowej krwi. Jest to żelazo, które dodaje siły i energji muszkułom oraz całemu systemowi. NUGA-TONE zawiera także leczniczą formę FOSFORU — składnika, który jest ogromnie ważnym dla nerwów i ciała. W dodatku NUGA-TONE zawiera SZEŚĆ innych cennych lekarstw. Te doskonałe składniki używane są po całym świecie przez najlepszych lekarzy w celu pomagania Naturze do wzmacniania i odbudowania ciała.

NUGA-TONE jest specjalną preskrypcją lekarza, skombinowaną przez niego więcej aniżeli 35 lat temu i przepisywaną w prywatnej praktyce z wielkim powodzeniem. **Tysiące mężczyzn i kobiet głośno chwalą NUGA-TONE, które jest tak dobre, że tylko jedna osoba z trzystu żądała pieniędzy z powrotem. Dlaczego? ponieważ dało im ono lepsze zdrowie, więcej siły, a zatem i większe szczęście. NUGA-TONE posiada prawdziwe zalety i musi w Waszym wypadku dowieść Wam swej wartości, w przeciwnym bowiem razie nie będzie Was kosztować ani jednego centa.**

Zróbcie Taką Próbę:— Używajcie NUGA-TONE przez dwadzieścia dni i zauważcie rezultaty. Jeżeli nie będziecie mocniejsi, zdrowsi i energiczniejsi; jeżeli nie pozbędziecie się zatwardzenia i uczucia zniechęcenia; jeżeli oddech Wasz nie będzie czyściejszym, apetyt lepszym, umysł jaśniejszym — jeżeli nie uczujecie zwiększenia się sił i energji, odnieście pozostałość paczki tam gdzieście ją kupili a otrzymacie Wasze pieniądze z powrotem. Zobaczcie ugodę na każdej paczce. NUGA-TONE kosztuje $1.00 buteleczka — każda zaś buteleczka zawiera 90 tabletek, czyli całe miesięczne leczenie.

DZIAŁAJCIE DZIŚ! — Idźcie do waszej apteki i kupcie buteleczkę NUGA-TONE, spróbujcie tego odnowiciela energji na nasze ryzyko. Nie czekajcie, nie odkładajcie. Pamiętajcie, że NUGA-TONE nie kosztuje Was ani jednego centa jeżeli nie będziecie całkowicie zadowoleni z rezultatów.

rzem, jak pastuch ze swem stadem, tego jeszcze nie widzieliśmy. I dlatego jest ciekawy ten człowiek i sposób, w jaki on na swój chleb powszedni zarabia. A równocześnie idąc za nim i śledząc go na tych jego ścieżkach dziwnych, zwiedzamy dżungle cejlońskie, polujemy na tygrysy w świetnym orszaku niezależnych władców hinduskich, widzimy produkcje fakirów i podziwiamy różne cuda dalekiego i nieznanego nam świata.

Hagenbeck nie jest literatem. Jest to zdrowy, mocny, przeciętny Niemiec, obdarzony dużą ruchliwością, sprytem, przedsiębiorczością, siłą woli i wytrwałością, wielką odwagą, nawet poczciwością, dobrem sercem, ale trochę pospolity, bardzo mało wykształcony, bez wyższych aspiracyj, człeczyna, który po robocie lubi towarzystwo, whisky z wodą, piwo i płaskie piwne dowcipy niemieckie. Opowiadania jego czuć potem, menażerją, cyrkiem i stajnią. Nie jest żadnym orłem, ale czasem, kiedy myśli sam, ma błyski wcale jasne i — jak na takiego ignoranta — oryginalne, czasem nawet nie pozbawione głębi. Mimo to czuje się, że jeśli się znajdzie w stadzie ludzkiem, pójdzie za większością, za wrzaskiem masy i nietylko postąpi wbrew swym przekonaniom, samodzielną pracą umysłową zdobytym, ale zmieni je, wyprze się ich. Nie jest człowiekiem bez charakteru, ale nie jest indywidualnością. W gruncie rzeczy jest tylko eksporterem dzikich zwierząt. Poza tem właściwie nic go poważnie nie obchodzi.

Uczyć się w szkole nie chciał. Szkołę uważał za instytucję martwą. Dla niego szkołą był świat. O tym świecie, znacznie więcej niż szkoła, mówiło mu to, co się działo w firmie Hagenbeck. Tam były najrozmaitsze zwierzęta, dzięki którym poznawał świat niezmiernie szybko. Każde zwierzę ze swemi ruchami, przyzwyczajeniami i sposobem życia wołało o tło dla siebie, podniecając fantazję chłopca. Ze wszystkich kontynentów zjeżdżali się do firmy ludzie rzadcy, niezwykli, opowiadający przedziwne historje. Ze wszystkich kątów świata przychodziły depesze, druzgocące przestrzeń i czas, depesze, które niewidzialnemi nićmi zszywały firmę z najodleglejszemi, najbardziej egzotycznemi krajami. Jeśli młody chłopak dla motyla zaryzykuje bez wahania pięć dwój i sowite "lanie" ojcowskie, czegóżby nie zrobił dla jaguara, kajmana lub anakondy! Nic tedy dziwnego, że chłopak uczyć się nie chciał i już w szesnastym roku życia zaczął swą pracę dla firmy Hagenbeck.

Pierwszym jego czynem samodzielnym było przewiezienie transportu niedźwiedzi do ogrodu zoologicznego w Poznaniu. Kiedy pociąg zajechał na stację, była już noc ciemna. Służba kolejowa, otworzywszy naraz wóz i zobaczywszy w nim niedźwiedzie, zlękła się i narobiła hałasu. Policjanci i stróże nocni zbiegli się, zrobiła się awantura, ale ostatecznie skończyło się na wódce.

Jednym z pierwszych głośniejszych interesów młodego Hagenbecka było obwożenie po Niemczech jakiegoś króla afrykańskiego. Król był czarny, chodził zasadniczo boso, ale przepadał za popielatemi cylindrami i lubił ordery. Hagenbeck często wspomina znajomość z tym murzynem, który prawdopodobnie był wówczas dla niego uosobieniem całej egzotyki wymarzonych dalekich krajów.

Następuje podróż na Cejlon — po słonie. Od tego czasu młody Hagenbeck znika z Europy i rezyduje stale w Colombo. Robi majątek, żeni się, buduje sobie piękną willę, napełnia ją zbiorami i dziełami sztuki i troskliwie stara się o to, aby w piwnicy jego nigdy się nie wyczerpał zapas whisky i eksportowego piwa.... bo przecie wszyscy przyjeżdżający Niemcy, zwłaszcza oficerowie marynarki niemieckiej są stale jego gośćmi. Nie mniej serdeczne, przyjacielskie stosunki utrzymuje z ludźmi innych narodowości. Nigdy z lekceważeniem nie wyraża się o dzikusach, z którymi poluje na słonie, nigdy nie obmawia swych bliźnich, przeciwnie, stara się każdemu oddać, co mu się należy. Jest kosmopolitą, który jednak nie zapomina o swej ojczyźnie.

Tak mija mu trzynaście lat, podczas których czuje się zupełnie szczęśliwym. Podróżuje wciąż po Cejlonie, gdzie bądź poluje na najrozmaitszą zwierzynę, bądź też kupuje ją u krajowców. Poznaje najrozmaitsze szczepy i plemiona. Jeździ na Sumatrę, na Jawę, zawiera znajomości. Świat, w którym żyje, utrzymuje go w bezustannem naprężeniu, wciąż pobudza jego ciekawość, wciąż każe się na nowo zdobywać. Polowania grożą nieraz niebezpieczeństwem życiu. Tu tygrys skoczył

na łódź, tam znów wślizgnął się do łodzi okularnik, gdzieindziej trzeba z natężeniem wszystkich sił zmykać przed niespodziewanym atakiem rozwścieczonych bawołów. Naturalnie, trzeba wiecznie pamiętać o interesie. Tu wszystko jest ciekawe, wszystko można sprzedać, wysłać. W grze są nie tylko pieniądze, ale i ambicja! Wysyłać jak najrzadsze, jak najkosztowniejsze okazy, aby zaimponować firmie, światu, sobie samemu, aby pokazać możliwie jak najwięcej z tych ukochanych, przecudnych wysp. Że też ludzie tak mało się niemi interesują, tak nic o nich nie wiedzą!

Tu eksporter wpada na znakomitą myśl. Dlaczego poprzestawać na samym tylko eksporcie dzikich zwierząt? Dlaczegoby nie pokazać w Europie ludzi, zamieszkujących te kraje, ich sposobu życia, ich zabaw, zajęć, strojów, tańców, ich sztuki? Z początku myśli Hagenbeck o małej trupie, później rozszerza swój plan. Trzeba zorganizować poprostu całą wieś!

Zaczynają się pertraktacje, żmudne i długie pertraktacje z krajowcami, którzy nie rozumieją, jaki Hagenbeck ma właściwie w tem wszystkiem cel, dokąd chce ich wywieźć, co tam w tych krajach ludzi białych z nimi się stanie, czy przypadkiem nie zginą. Z każdym z osobna robi się umowę, trzeba ludzi wybierać i dobierać, trzeba obmyślić wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Pamiętacie wieś Singalezów w Europie? Była ona wszędzie, w Londynie, w Paryżu, w Warszawie, w Krakowie.... Przez wszystkie miasta Europy przeciągała ta barwna, wspaniała procesja przecudnych śniadych ludzi z Cejlonu. Z biciem w małe, beczułkowate bębenki, z monotonnym śpiewem, wywijając groźnie dzidami i kryszami, mężczyźni biegli przy słoniach, na których grzbiecie, pod osłoną pstrych palankinów, kołysały się przedziwnie piękne kobiety, spowite w różnobarwny jedwab. Wieś ta rozbijała swe namioty zwykle w jakimś pięknie położonym parku podmiejskim, dokąd zbiegały się tysiące ludzi. Odbywały się produkcje, które rozpoczynał uroczysty pochód dokoła areny. Na szczęście produkcje te nie miały charakteru cyrkowego. Tańczono, śpiewano, grano na różnych instrumentach, pokazywano gry towarzyskie. To nie była zwykła sobie zabawa dla niedzielnych gapiów. Tu spotykały się faktycznie dwa nieznane sobie ludzkie światy, które starały się do siebie zbliżyć. Znane z ilustracyj malownicze okolice Cejlonu czy Jawy przestawały być martwemi pejzażami, ożywiały się naraz, rozbrzmiewały najrozmaitszemi głosami i dźwiękami, nabierały nowych barw, zaczynały iskrzyć się blaskami, zachwycać oryginalnym rytmem swego ruchu.

Po wsi Singalezów zjawiła się w Europie wieś Aszantów, Dahomejek, wreszcie wieś Abisyńczyków.

Trzecią ideą, którą Hangenbeck urzeczywistnił, była organizacja cyrku wędrownego w Indjach; ten cyrk stanowił jego własność.

Dlaczego organizacja takiego cyrku zasługuje na uwagę?

W Indjach była to nowość. Tam cyrków nie było. Kuglarze — nawiasem mówiąc, znakomici — poskramiacze różnych zwierząt, zresztą głównie wężów — muzykanci, tancerki, cały ten "lud wędrowny" popisuje się po domach, stanowiąc właściwie kastę żebraczą. Produkcje te nie są ujęte w żadną całość, nie dają przeglądu zręczności i pomysłowości ludzkiej. Naprzykład cyganie indyjscy są znakomitymi ekwilibrystami, ale jako tacy, stanowią odrębny cech i zarobkują na własną rękę, ani myśląc połączyć się z fakirami, kuglarzami niezrównanymi, którzy znów wolą żebrać, zręczność swą eksploatując jako zdolność robienia cudów. Z drugiej strony właśnie z powodu tego niezorganizowanego ale wszechstronnego rozpowszechnienia najrozmaitszych sztuk cyrkowych i kuglarstwa, zorganizowanie cyrku, któryby mógł ludność Indyj zabawić i pokazać jej coś nowego, było bardzo trudnem zadaniem.

Hagenbeck oparł się tu głównie na masowej tresurze dzikich zwierząt. W Indjach znano zaklinaczy wężów, nie widywano jednak, aby jeden jedyny człowiek umiał sobie dać radę z lwami, tygrysami, wilkami, szakalami i t. d. Zatem tresura dzikich zwierząt stanowiła w cyrku Hagenbecka główny punkt programu.

Tu muszę wspomnieć o fakcie, o którym Hagenbeck sam opowiada, a który rzuca charakterystyczne światło na poskramiaczy dzikich zwierząt. Objeżdżając pewnego razu In-

dje, Hagenbeck postanowił wstąpić do jakiegoś miasta, w którem jego cyrk właśnie miał rozpocząć serję wieczorów. W cyrku dowiedział się, iż poskramiacz ciężko zachorował, skutkiem czego numer z dzikiemi zwierzętami odbyć się nie może. Jakto? Zrezygnować z najlepszego numeru? Toż to będzie pogrzebanie żywcem cyrku. Do tego dopuścić nie można! I oto jaki jest człowiek. Nad Danielem, który wszedł do dołu z lwami, tysiące lat się rozrzewniają. Tu człowiek postanowił wejść do klatki z dzikiemi zwierzętami dla uratowania paru srebrnych monet i honoru swego przedsiębiorstwa. — Pokaz tresury dzikich zwierząt — pisze Hagenbeck — to przecie żadna sztuka. Widziałem to tyle razy, że poprostu umiałem już na pamięć. Cała rzecz polega na tem, aby się nie pomylić i nie zbałamucić w ten sposób zwierząt, które są przyzwyczajone do machinalnego wykonywania programu. Stąd wszelka zmiana wywołuje u nich zniecierpliwienie, które może dla poskramiacza być groźne i niebezpieczne.

Dla wprowadzenia w błąd zwierząt, kazał sobie Hagenbeck dać kostjum chorego poskramiacza, przesycony odorem jego ciała i tak wszedł wieczorem na arenę do wielkiej stalowej klatki. Zwierzęta w pierwszej chwili nie zauważyły, że to nie ich poskramiacz, później coś zwąchały i zaczęły się denerwować, kręcić niespokojnie i warczeć groźnie. Hagenbeck jednak, nie dając im czasu do namysłu, pędził je z jednej ewolucji w drugą, a ponieważ popis odbywał się w zwykłym porządku, zwierzęta uspokoiły się i przestały się poskramiaczem zajmować. W ten sopsób prowadził Hagenbeck przedstawienia przez dwa tygodnie, aż do zupełnego wyzdrowienia chorego poskramiacza.

Co za niepospolita odwaga!

Ale Hagenbeck, wychowany wśród dzikich zwierząt i przyzwyczajony do uważania ich za lukratywny towar, nie boi się ich. — Gdzie kto inny chwyciłby w przerażeniu za strzelbę, tam Hagenbeck woła "łapaj" lub też przygląda się ciekawie. Pewnego razu naprzykład, mieszkając gdzieś w dzikiej okolicy, zauważył, iż w domu jego mieszka wąż boa. Nie zląkł się go bynajmniej, nie urządził na niego polowania, przeciwnie, zostawił go w spokoju. Jego zdaniem, wąż boa nie jest niebezpieczny, przeciwnie, należy do "najprzyzwoitszych" wężów. Hagenbeck miał z temi wężami dużo do czynienia, bo mnóstwo ich wysłał do Europy. Przywożono mu ich czasem nawet po kilkaset sztuk. On wraz ze strzelcem brał jednego węża po drugim, rozciągał go i układał w długiej drewnianej skrzynce, w której wąż przez cały czas podróży spał; jak wiadomo, węże te mogą pościć przez kilka tygodni.

Czytaliśmy nieraz niesłychane rzeczy o strasznej sile tych płazów, jednakże ci, którzy o niej opowiadali, nigdy uścisków tych wężów nie zaznali. Co innego Hagenbeck; ten może o tem mówić z własnego doświadczenia. Kiedy pewnego razu, wraz ze swym strzelcem układał przeznaczone na eksport węże w skrzynkach, strzelec ogon węża upuścił i boa w mgnieniu oka owinął się dokoła piersi Hagenbecka. Oczywiście, strzelec poskoczył natychmiast z pomocą, węża odwinął i na tem się skończyło. Hagenbeck, wspominając o tym wypadku, pisze: — Ma ten wąż siłę niepospolitą, bo mnie po jego uścisku przez kilka tygodni tak piersi bolały, że trudno mi było oddech złapać!

Najpiękniej opowiada Hagenbeck o polowaniu na słonie, których w życiu swem złapał i sprzedał kilkaset. Z tych opisów przebija się cały temperament myśliwski eksportera, cała jego miłość dla przyrody, podzwrotnikowych okolic i dziwnych zwierząt, na które los dał mu sposobność polować. On ich nie strzela, on je łapie żywcem, ale przedewszystkiem z miłością i zapałem podgląda, śledzi i obserwuje. Tu znika z przed naszych oczu bogate nadmorskie Colombo, znika przecudne, pełne turystów Kandy z białą świątynią Buddhy, znikają wspaniałe hotele europejskie i gwarne wsie singaleskie z chatami rozrzuconemi między palmami kokosowemi, znikają blado-zielone plantacje herbaty i mokre pola ryżowe, a natomiast pochłania nas gorący gąszcz dżungli i głęboki cień i cisza prastarych lasów. Tu już nie człowiek panuje, ale odwieczne prawo dżungli milczącej, zamkniętej w sobie, tajemniczej. Tu długiemi godzinami, nieraz całemi dniami tropi słonie. Co za rozkosz, gdy wreszcie z gąszczu, na polance lub nad grząskim strumieniem leśnym zamajaczą ich olbrzymie, dostojne

kształty! Budzą się w człowieku wspomnienia z przed tysięcy lat, kiedy mały, nagi i słaby walczyć musiał swą biedną inteligencją z takiemi oto olbrzymami! Przypomina się dawny świat, nowy jeszcze, świeży, w białem świetle słonecznem skąpany, nie taki pożółkły, jak dziś.... Ale oto rozpoczyna się gonitwa! W lesie huk, trzask łamanych drzewek i gałęzi, głuchy tętent, krzyki.... A potem "kraal" i pętanie słonia, zdradliwe wprzągnięcie go między dwa słonie oswojone.... i koniec walki ....sen na mchu w lesie.... i wreszcie strasznie żmudne prowadzenie opierającego się zwierzęcia na dół, na uprawne pola, szeroką, cynobrową drogą, ku morskiej przystani.

Czasem zdarza się sposobność kupienia jakiegoś pięknego okazu. Zasadniczo Singalez słonia sprzedać nie chce. Jest naprawdę do niego szczerze przywiązany. Ale miły brzęk srebrnych rupij robi swoje. Dla uniemożliwienia sprzedaży właściciel stawia bardzo wysoką cenę. Kupiec targuje się, jednak w istocie daje więcej, niż Singalez spodziewał się otrzymać. Teraz pokusa jest już zbyt wielka. Zacięty, iście wschodni targ, trwa godzinami. Właściciel słonia opowiada całe romanse, kupiec powoli podnosi cenę, nie żałując rupij; odbije sobie koszta z łatwością, rozłożywszy cenę na inne słonie. Wreszcie Singalez osiągnął czego chciał i oddaje kupcowi słonia, którego z płaczem i narzekaniem wraz z dziećmi i żoną odprowadza potem spory szmat drogi.

Pyszny jest Hagenbeck, kiedy z irytacją mówi o różnych sportsmenach, strzelających słonie — polowanie bardzo łatwe i pozbawione niebezpieczeństwa — po to tylko, aby się dać fotografować ze zwycięską miną i w bohaterskiej pozie, ze strzelbą w ręce i nogą opartą na grzbiecie lub głowie powalonego zwierzęcia.

Wielka wojna zburzyła raj Hagenbecka. Co się właściwie stało, nie wiemy. Hagenbecka Anglicy aresztowali i chcieli go zamknąć. Zarzucano mu szpiegostwo i działanie na niekorzyść Anglji. Hagenbeck przeczy, jakoby był winien. Przypomina, że zawsze utrzymywał ze wszystkimi serdeczne stosunki bez względu na narodowość, że podczas wojny angielsko-boerskiej dostarczał wojsku angielskiemu żywności, że zachowywał się zawsze lojalnie. Mimo to sądu ani dochodzeń nie czekał, lecz, skorzystawszy z okoliczności, rezygnując z willi, pięknych zbiorów, plantacyj i majątku, który Anglicy oczywiście skonfiskowali. Śmiały i zuchwały człowiek uciekł statkiem angielskim, udając wracającego z kolonji inwalidę belgijskiego. Tak przebył całą drogę z Cejlonu aż do Włoch, gdzie wysiadł i skąd już koleją pojechał dalej, do rodzinnego Hamburga.

Oczywiście nie mamy powodu nie wierzyć dzielnemu eksporterowi i współczujemy z nim szczerze. Stracić majątek wykrzesany z wężów boa, pakowanych własnoręcznie, ze słoni osobiście łapanych w dżungli, wreszcie z przedstawień, dawanych w klatce z dzikiemi zwierzętami, to rzecz naprawdę bolesna. Ale z drugiej strony ten niesłychanie sprytny i ruchliwy eksporter zbyt często może odwiedzał różnych niepodległych władców indyjskich, zbyt często może polował razem z nimi na tygrysy, za dużo jeździł po Indjach, zbyt gorliwie dbał o interesy swego wędrownego cyrku. Urzędowe osobistości niemieckie tak swobodnie, jak on, podróżować nie mogły. Zatem pewne podejrzenia w czasie tak wielkiej wojny rząd angielski mógłby mieć, a jeśli podejrzenia te były niesłuszne, Hagenbeck niepotrzebnie przed Anglikami uciekał, pozostawiając w ich rękach żonę, dzieci i cały majątek. Lecz to nie nasza rzecz.

Na uwagę zasługuje książka Hagenbecka o Indjach, dzieło turysty, trzeźwe, oparte wyłącznie na obserwacji, sumienne a pozbawione zupełnie tego mistycznego pierwiastka, jakiemu nie mógł się obronić nawet Kipling. Hagenbeck zna historję Indyj tylko w ogólnych zarysach, literaturą Indyj nie zajmuje się wcale, buddhyzm go nie pociąga, kazań brahminów nie słucha, na cuda fakirów patrzy podejrzliwie, nieufnie i przeważnie surowo je potępia, wogóle Indje mało mu imponują. Tu właśnie widać, jak nieprawdziwą jest szerzona przez Niemców teorja o pokrewieństwie duchowem rasy germańskiej z Indjami. Ten przeciętny, nieuprzedzony i nienakręcony przez filozofów Niemiec czuje się w Indjach obco i patrzy na nie niemal z pogardą. On widzi wszędzie tylko brud, niepo-

rządek, niedołęstwo; lenistwo, oszustwo i żebraninę albo poprostu naciąganie ludzi, zabobon, brak kultury, ciemnotę. Zdarza się, że warknie czasem na Anglików, w gruncie rzeczy jednak przyznaje, że zrobili oni dla Indyj bardzo wiele i że bez nich Indje stałyby na bardzo niskim stopniu cywilizacji. Zdaniem jego — potwierdzonem zresztą także i przez Ewersa — mowy nie może być o tem, aby ludy Indyj mogły się wyzwolić z pod panowania angielskiego. Pierwszym, zasadniczym warunkiem "sine qua non" musiałoby być zrównanie wszystkich stanów, zniesienie kast, powszechne zjednoczenie i wzajemne porozumienie się całego mnóstwa większych i mniejszych narodów, różnych języków, wyznań i sekt. To — zdaniem Hagenbecka — jest absolutnie wyłączone. Gdyby nawet porozumienie takie nastąpiło w celu wyrzucenia z Indyj Anglików, nie byłoby dość silnem, aby módz stanowić trwałą podstawę zgodnego, wspólnego pożycia. Indje niewątpliwie stanęłyby w ogniu wojny domowej i rozpadłyby się po dawnemu na kilka czy kilkanaście państw, wciąż się wzajem zwalczających.

Bardzo ciekawe jest, co Hagenbeck opowiada o Bengalu, ojczyźnie poety indyjskiego Rabindranatha Tagorego. My przywykliśmy widzieć ten kraj w tem świetle, w jakiem go przedstawia jego największy poeta. Więc malujemy sobie Kalkuttę jako miasto wprawdzie mocno zeuropeizowane, ale pełne życia przemysłowego, twórcze konkretnie, niby Manchester, czy Łódź, podczas gdy starożytne, w mnogie świątynie obfitujące Benares wyobrażamy sobie niby starodawny Kraków. Miasta zamieszkane są przez inteligencję wysoce kulturalną, patrjotyczną, pełną zapału i śpiewającą hymny wraz z całą rodziną Tagorych, podczas gdy kraj sam zamieszkały jest przez ludność biedną, pracowitą, łagodną, żyjącą w boskiem braterstwiem z bydlęty, czczącą krowy świętem imieniem "matki". Ganges to cudna rzeka, u której brzegów wciąż niemal obrzędowo kąpią się kobiety, zasypując świętą rzeką kwiatami.

Jakże inaczej kraj ten opisuje Hagenbeck.

Ganges — jego zdaniem — jest pod Kalkutą czarny. Sama Kalkuta jest ogromnem, obrzydliwem, fabrycznem miastem. Są oczywiście wielkie gmachy publiczne, banki i t. d. ale we wszystkiem czuć "business'. Za rzeką znajduje się ohydna dzielnica robotnicza, w której w okropnych warunkach higjenicznych mieszkają dziesiątki tysięcy robotników. Wyzysk na każdym kroku. — Benares? Gniazdo oszustów, siedziba tysięcy najrozmaitszych kapłanów, którzy bez ceremonji grabią rzesze głupich, ciemnych, fanatycznych pątników. Po mieście krążą bezustannie procesje, siejące wprost pieniądzmi. Są to tłumy brudne, zakurzone, posępne, nieżyczliwem a często pełnem nienawiści okiem patrzące na "białego" człowieka. Ulice są pełne nieczystości, gnoju i wszelkiego rodzaju plugastwa, a ci ludzie nie tylko, że wędrują po tem wszystkiem na kolanach, ale częstokroć mierzą drogę swem ciałem, padając na ziemię jak dłudzy i tarzając się w śmieciach i nieczystościach. Byki święte, tuczne i rozzuchwalone, wałęsają się, gdzie się im podoba, a nikt nie śmie ich odpędzić.

A oto "ghaty", słynne łazienki nad Gangesem, łazienki z marmuru, ozdobnie budowane, służące rzeszom do brania obrzędowej kąpieli w falach świętej rzeki. Nad niemi liczne świątynie, jak pałace, jeszcze liczniejsze kaplice, jak cacka. Są "ghaty" rozmaite, dla wdów, dla dziewic, ghaty różnych nazw i przeznaczenia, ufundowane przez nabożnych bogaczów. Można się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć: Duża łódź motorowa obwozi cudzoziemskich turystów po rzece. Więc widać tłumy ludzi na "ghatach" i w nurtach rzeki, szarych, brudnych, żółtawych. Ludzie ci są starzy i młodzi, zdrowi i chorzy, a kąpią się wszyscy razem....

Zaś tuż obok na stosach płoną zwłoki umarłych. Obrzydliwy swąd, fetor palącego się tłuszczu i mięsa. Spalanie zwłok trwa długo. Dymy ciągną się nad rzeką, zasnuwają brzegi. Prochy i popioły wrzuca się poprostu w wodę. Często wrzuca się wraz z niemi nawpół zwęglone, niespalone członki. Święta rzeka jest jedną z najbrudniejszych na świecie.

Łagodność ludu? Przecie to jeden z najbardziej krwawych ludów na świecie! Do niedawna wdowy musiały ginąć wraz ze zwłokami męża na stosie. A wóz Durgi? Olbrzymi posąg, ustawiony na wozie z ogromnemi kołami, ciągnęły z krzykiem i wrzaskiem setki

nabożnych. Fanatycy rzucali się pod koła i wóz ciągniony przez ludzi przejeżdżał zwolna po nich, miażdżąc ich i wdeptując w ziemię. Skończyło się to dopiero wtedy, gdy rząd angielski zakazał.

A sekta, czczących Durgę dusicieli? Wszakże jeden jedyny z nich, stawiony przed sądem, przyznał się do uduszenia przeszło ośmiuset osób.

Oto łagodność tego ludu, oto dobroć jego serca.

Skrytobójstwo — jako miła bogom ofiara.

Zaś wszędzie fakirzy, wędrowni mnisi, dobrowolne kaleki, "święci".

O tych mówi Hagenbeck niemal z nienawiścią.

Więc na przykład:

"Święty", zupełnie nagi, siedzi na desce, nabitej gwoździami. Włosy ma nieczesane, skołtunione, spadające na plecy. Twarz cała, na znak pokory, umazana krowim nawozem, ciało natarte popiołem. Lewa ręka sterczy wciąż w powietrzu; zmartwiała już w tym ruchu. "Święty" siedzi, nie mówi nic, uczeń tylko zbiera dla niego jałmużnę.

Tego widoku Hagenbeck znieść nie może. Jest to, jego zdaniem, najgorsze poniewieranie i upodlenie człowieka przez próżniactwo. "Siedzieć, choćby na gwoździach, byle nic nie robić".

Ci "święci" próżniacy są plagą Indyj.

Jest ich wszędzie pełno. Kaleczą się rozmyślnie, jak do niedawna nasze dziady, aby wywołać litość. Dokazują różnych dziwów ze swem ciałem. Mogą siedzieć na gwoździach, na potłuczonem szkle, wbijają sobie szpilki w ciało, wszystko to jest jednak przy wprawie znacznie łatwiejszym sposobem zarobkowania, niż każdy inny.

Człowiekowi, który dla kilku rupij srebrnych wszedł do klatki z dzikiemi zwierzętami, nie mogło się to podobać.

Nie ma też Hagenbeck szacunku dla "cudotwórców" indyjskich, mimo, iż przyznaje, że wielu ich produkcyj wytłumaczyć sobie nie może. Nie imponuje mu ich sztuka władania ciałem i poszczególnemi mięśniami i twierdzi, że takich rzeczy nie robi się dla wymuszania z ludzi marnego grosza; nauka z wymyślnych sztuk fakirów niema żadnego pożytku. Wstrzymanie oddechu i bicia serca jest sztuką nielada, ale to tylko opanowanie sił przyrody. Inne zjawiska tłumaczy Hagenbeck suggestją lub też władaniem nieznanemi nam mięśniami.

A jednak kończy:

— Mimo wszystko są w Indjach rzeczy niewytłumaczone. Na przykład pewnego razu dałem trzydniowy urlop służącemu, który chciał odwiedzić swego chorego ojca. — W przeddzień wyjazdu służący zgłosił się do Hagenbecka z prośbą o radę.

— O jaką radę? — spytał Hagenbeck.

— Dziś rano, gdy byłem w ogrodzie — mówił służący — jakiś przechodzień zawołał: — Nie jedź popołudniowym pociągiem, bo spotka cię nieszczęście.

— Rób, jak chcesz! — odpowiedział mu Hagenbeck. — Zwracam ci tylko uwagę, że jeśli pojedziesz dopiero jutro rano, zmarnujesz sobie pół dnia urlopu.

Służący popołudniu nie wyjechał, zaś pociąg, którym miał jechać, wykoleił się i runął w otchłań.

HUMOR

Scena małżeńska

— Gdybym to wszystko przewidzieć mogła, nie wyszłabym nigdy za ciebie!

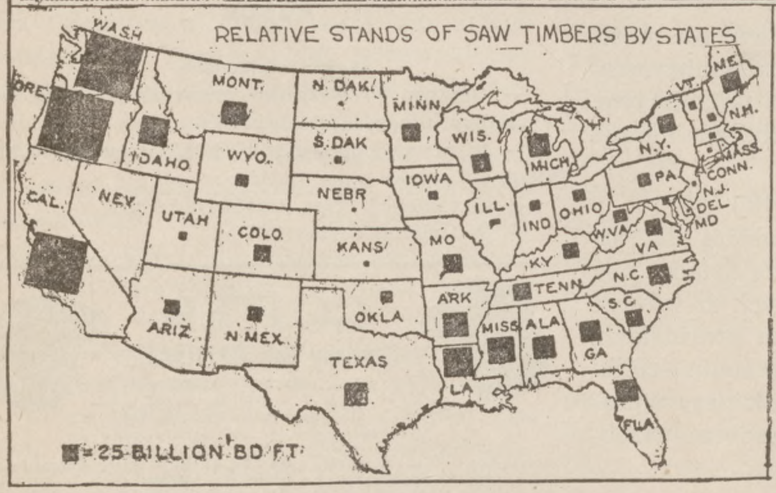
— Ja również muszę powiedzieć otwarcie, że ożeniłem się z tobą przez litość...

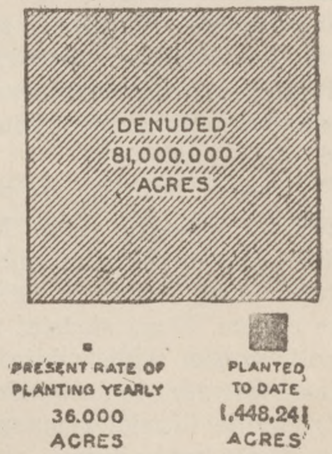
— Co takiego? Przez litość? Nad kim?

— Nad moimi wierzycielami.

Niszczenie lasów w Stanach Zjednoczonych







U góry obrazka widzimy melancholiczną podobiznę wyciętego lasu. Takiej gołej ziemi, do niedawna porosłej wspaniałymi lasami, jest obecnie w Stanach Zjednoczonych 81,000.000 akrów.

Obliczają, że Stany Zjednoczone posiadały dziewiczych lasów 821.000.000 akrów. Z tego bogactwa obecnie pozostało zaledwie 138.000.000, przeważnie na Zachodzie i Południu, jak to czarne punkciki na mapie wykazują.

Zasiewają nowe lasy, ale w takim stosunku, że to, co się zalesi przez cały rok, wycinane jest w jednym dniu.

Rząd Stanów Zjednoczonych oddawna już woła na alarm i nawołuje do zalesienia wyciętych obszarów. Ale obliczony amerykański biznesista, powiada, że to się nie opłaca, bo na zbiory trzeba zadługo czekać i ciągle młodych lasów strzedz należy od klęski pożarów.

Margaret Super

NA ROZSTAJACH PACYFIKU

WYSPY HAWAJSKIE

Przepyszne grono szmaragdów w morzu pereł! Oto jak wyspy ukazują się podróżnikowi, który przed 6 dniami wyruszył z San Francisco. Raj Pacyfiku dla tych, którzy opiewają jego czary. I doprawdy, żadna z tych nazw nie zakrawa na egzaltację.

Wyspy nie są zbyt duże; dość duże zaledwie, aby zasłużyć na miano "gemm" — najtrafniejsza to z metafor, bo w istocie są to rzadkie klejnoty w geografji naszego globu. To też, czy je Rajem nazwiecie, czy też klejnotami — nie rozminiecie się z prawdą.

Kraj, gdzie nigdy nie bywa zimno, gdzie burze są prawie nieznane, gdzie nikt nie zamyka drzwi, ani okien; gdzie futer i wełnianej odzieży nosić niepodobna, a pływać można równie często w grudniu, jak i w lipcu! Ach tak, myślicie, więc musi tam być zawsze gorąco. Otóż nie, bo pamiętać należy o wiatrach niezmiennych, wiejących zawsze w jednym kierunku, o tych błogosławionych podmuchach, które morze niesie na swych falach z północno wschodu, z odległej, o tysiąc z górą mil Alaski. Nawet gdy na kilka dni wiatry te zacichną, to cóż znaczy ta krótka przerwa na przeciąg długich 12 miesięcy?

Śnieg nie pada tam nigdy w zamieszkanych rejonach — choć wyspy — z pochodzenia wulkaniczne — mają swe wyniosłe szczyty, oraz piękne doliny i nisko położone rozległe równiny. Góry wznoszące się z morza, o stromych, często niedostępnych zboczach, są płaszczem wiecznej zieleni: drzewami, trawą lub trzciną cukrową, która jest głównym produktem tego kraju. Ze szczytów górskich dwa wznoszą się do wysokości 4000 mtr. Mauna Kea i Mauna Loa (oba na wielkiej wyspie Hawaji), zaliczyć je więc można do tych olbrzymów świata, na które nawet wytrawni turyści górscy patrzą z szacunkiem. Cudowny widok przedstawiają owe góry, zwłaszcza, gdy się na nie patrzy z pokładu, kiedy statek zbliża się do Honolulu. U podnóża zieleń, im wyżej, tem roślinność rzadsza, później już tylko mizerne zarośla, potem strefa martwa, a ponad nią wieczne śniegi! Nie każdy zdoła dojrzeć wzwyż na 4500 mtr. ponad poziom morza.

A klimat? — taki właśnie klimat był zapewne w Raju, no i chyba taka roślinność. Wszystko, co może rosnąć w tropikalnej lub południowej strefie, rośnie tu i krzewi się w niebywałym przepychu. Właściciel kawałka gruntu na tych czarodziejskich wyspach nie kłopocze się tem, co plantować należy, ale raczej myśleć musi, czego plantować niewarto. Jarzyny, owoce, kwiaty, niektóre z nich o prozaicznych nazwach, jak: kartofle, cebula, banany, słoneczniki — ale stokroć więcej takich, które noszą imiona pełne słodyczy i czaru Wschodu — dźwięczne imiona Hawajskie — papia, mango, ohio, owoc-chleba, taro. Coprawda, owoce północne trzeba importować, ale dowożą je regularnie parowce, a zapasy lodu są obfite. Kalifornia, słynna ze swych owoców, oddalona jest zaledwie o 6 dni drogi morzem. Być może niezadługo, gdy wyższe zbocza wielkich gór zostaną uprawione, Hawaja będzie miała własne jabłka i gruszki.

Jest to nowy kraj — z geologicznego punktu widzenia, doprawdy najnowszy kraj na świecie; odkryty przez białe rasy zaledwie w 1778 r. Kultura i cywilizacja tego kraju datuje się dopiero od 1820 roku.

Zaledwie 100 lat pracy wśród plemion polinezyjskich, a więc nie należy się łudzić, że zrobiono już wszystko, co zrobić należało. Do niedawna cała uwaga rolników była skierowana na plantacje trzciny cukrowej, ananasów i bawełny. — Opuściłam Hawaję przed 6 laty — i bez wątpienia od tego czasu wiele było poczynione i w innych kierunkach, gdyż praca doświadczalna na wielką skalę jest już w toku.

Lecz trudno mówić o roślinności tylko z punktu widzenia botanika, a nie estety! — Kwiaty cudownych barw, przepysznie wy-

bujałe, rosną wszędzie. Pnące bonga-invillias, płomienne hibiscusy, różnorodne krogusy i geranium w rozłożystych krzewach, delikatne pióropusze bambusów, wiotkie paprocie cieplarniane i drzewiaste paprocie górskie, gigantyczne alganoby, wdzięczne drzewa dzikiego pieprzu — i nieprzebrane bogactwo palm przeróżnych odmian. W upojną tropikalną noc, pełną tajemnych poszeptów i szmerów, w noc, dyszącą balsamicznym wyziewem imbiru, zdaje się człowiekowi, że oto dotarł do błogosławionych wysp szczęścia. W porze kwitnienia, drzewa są jak barwne obłoki ognia, koloru różowego lub złociście żółtego. Ale dość tych wspomnień! Bo oto duszę mą opęta zaklęty czar tych gwiezdnych nocy i zapomnę o teraźniejszości, o powszednim dniu dzisiejszym. Tyle tam przestrzeni, szmaragdowych łąk i równin, pięknych drzew, kwiatów i zacisznych domostw. U stóp szemrze Pacyfik, a nad głową zawisł rozgwieżdżony strop nieba — bliżej stąd do gwiazd, niż w północnych krajach i Wschód zbiega się z Zachodem. Cóż tedy dziwnego, że zaklęty czar tego kraju zapada w serca każdego, kto ma w sobie choć iskierkę romantyzmu.

A kto mieszka w tym Raju? Ludzie niemal ze wszystkich krajów pod słońcem — dobrzy, źli, obojętni, czarni, biali, bronzowi, żółci, pracowici i leniwi. Czar południowych mórz ściąga tu wszystkich. Ludność tubylczą stanowili polinezyjczycy — rasa piękna, przepysznie zbudowana, inteligentna, uprzejma, artystyczna, odważna, lecz, niestety, —leniwa. Byli wielkimi wojownikami, z zamiłowaniem oddawali się rybołówstwu i pływaniu, lecz poziom ich kultury był nader niski. W 1820 roku, gdy z Ameryki przypłynęli pierwsi miljonerzy, ludzie ci opuścili swe pogańskie bożyszcza i przyjęli wiarę białych przybyszów. Oczywiście, z chwilą przebudzenia się wśród nich kultury, rozpoczął się i handlowy rozwój wysp. Są one nader urodzajne i wielkie bogactwa gromadzą się, zwłaszcza w przemyśle cukrowniczym. Rozległe plantacje z ich zielonemi polami i wielkiemi budynkami oraz małe, czyste wioski, o białych domkach robotniczych. Jest to widok radujący oczy. Jeszcze bardziej interesujący widok przedstawiają długie, zda się bez końca, szeregi ananasów i błotniste pola ryżowe, przemysł cukrowniczy i hodowla ananasów koncentruje się przeważnie w rękach Amerykanów i Anglików. Robotnicy zjeżdżają się zewsząd: z południa Europy, z Rosji, z Chin, Japonji, z południowych mórz. Plantacje ryżu są przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, w posiadaniu Chińczyków. Nader malowniczy widok przedstawiają robotnicy chińscy w swych niebieskich, prostych bluzach i wielkich kapeluszach słomkowych, pracujący na błotnistych, grząskich terenach pól ryżowych, zgięci wpół nad żmudnem pieleniem, lub poganiający niezdarne woły, które ciągną dziwacznie odrobione pługi.

Chińczykom również przypada w udziale niemal wyłącznie monopolowa dostawa ogrodowizny na rynki. Co rano w Honolulu krążą oni po mieście z ładunkiem jarzyn i owoców lub jaj i drobiu, wykrzykując u kuchennych drzwi swych klientów.

Duży procent — niemal 40 procent na 250.000 ludności stanowią — Japończycy. Są oni pracowici na równi z Chińczykami i można ich spotkać w dużej liczbie na plantacjach, w sklepach i w domach prywatnych, służbę obojga płci. Wielu z nich zajmuje się interesami na własną rękę lub w większych przedsiębiorstwach: business silnie i różnorodnie rozgałęziony. Mężczyźni ubierają się z europejska, ale kobiety zachowały swe malownicze stroje narodowe. Dlaczegóż miałyby je zresztą zarzucić, czyż w barwnych swych kimonach, do wielkich żywych kwiatów podobne, nie radują niemi oczów? Jakże się zmieniają te Japonki i Chinki, gdy, po wyjściu za mąż, odrzucają swe jaskrawe szaty, aby przywdziać bardziej licujący z matroną ubiór. Ciekawszem jest i zajmującem zjawiskiem pozostaną aż do końca dni swoich, o ile nie przyswoją sobie strojów białych kobiet.

Wszelkie narodowości, z wyjątkiem Japończyków, przyswajają sobie szybko zwyczaje i tryb życia Amerykanów, — nawet małżeństwa mieszane są bardzo częstem zjawiskiem wśród niższych klas. Chyba nigdzie na całym świecie niema takiej mieszaniny narodów! W niektórych wypadkach np. przy połączeniu chińsko-hawajskiem, otrzymuje się udoskonalenie rasy, czasami jednak po-

Zawsze Ulubiony



NIE NARAŻAJ ZDROWIA

używając tanich podróbek.

KITCHEN KLENZER

Tworzy mydlaną powłokę, która rozpuszcza brud, pozostawiając czystą powierzchnię, wolną od zarazków. Tańszy i oszczędniejszy.

Nie zawiera Sody ani Kwasów

tomstwo małżeństw krzyżowanych jest typem mieszańca, nastręczającego sporo kłopotów wychowawcom i domom poprawczym. Nieokiełznani w temperamencie Hawajczycy chętnie zawierają mieszane małżeństwa i z tej to przyczyny, jak również ze względu na wyraźną niechęć Hawajczyków do rzemiosła, rasa tubylcza zanika powoli, a biali lub bronzowi bracia zajmują stopniowo jej miejsce. Dawniej całem zajęciem Hawajczyka było doglądanie kilku drzew owocowych i rybołówstwo — co w zupełności zresztą zaspakajało jego skromne potrzeby, dając mu wiele wolnego czasu, który poświęcał ucztowaniu, śpiewom, tańcom i zabawom. — Dziś jednak musi on się nagiąć do bardziej pracowitego żywota, lub ustąpić miejsca innym, pracowitszym rasom.

Bo praca i życie aż kipi w tym Raju. Wulkaniczna gleba z obfitą domieszką nawozu roślinnego jest nader urodzajna i jest dzisiaj źródłem wiekich bogactw. Stolicą tych terenów jest miasto portowe Honolulu, położone na wyspie Oahu. Samo miasto rozciąga się od wybrzeża morskiego poprzez równinę, wnikając w kilka malowniczych dolin, oddzielonych grzbietami gór.. Ma ono wygląd zupełnie nowoczesnego miasta — piękne domy, imponujące budynki przemysłowe, hotele, gmachy publiczne, instytucje, dogodne ulice — i zdawałoby się, że każdy ma swoje własne auto! Ostatnie słowo techniki w urządzeniach i komforcie domowym. Ułatwione systemy oświatowe, poczynając od ogrodów dziecięcych, a kończąc na uniwersytecie. Jest to kraj, w którym niema biedaków, bo każdego wyżywi przyrodzone bogactwo ziemi. Szkoły publiczne przygarniają wszystkich: Japończyków, Koreańczyków, Chińczyków, Filipińczyków, Rosjan, Figijczyków, Murzynów, Portugalczyków, Hiszpanów, Norwegów, Szkotów, Irlandczyków, Francuzów etc. i wszelkie trudne do pomyślenia mieszaniny narodowościowe. Z tych względów, szczególniej zaś dla wychowawców, pracujących nad problematami kultury azjatyckiej, są szkoły te nader ciekawem polem doświadczalnem.

Wyspy Hawajskie leżą na skrzyżowaniu dróg, wiodących przez Pacyfik. Są one rodzajem stacji doświadczalnej dla kultury ludzkiej zarówno jak i dla kultury roślinnej, a wiele teoryj i metod ściera się na tem polu popisowem.

A ponieważ na bogatej glebie dobro i zło jednakowo podatny znajduje grunt, przeto gdzie nie wzejdzie posiane ziarno dobre, tam obficiej jeszcze szerzyć się poczyna burzan i pasorzyt. To też człowiek walczyć tam musi bezustannie z owym burzanem zarówno w znaczeniu fizycznem, jak moralnem .

Jeśli zaś chodzi o wypoczynek po pracy lub rozrywki, to gdzież ich szukać, jak nie tam właśnie, na owym terenie, przechodzącym z jednej strony w piaszczyste plaże, obmywane przez ciepłe fale Pacyfiku, opartym z drugiej strony o wysokie, zalesione góry. Jest to wielkie boisko pod odkrytem niebem.

Ludzie uczynili tu już bardzo wiele, budując szosy i koleje, wznosząc domy w górach i nad morzem.

Życie socjalne również szybko się rozwija, założono różne kluby handlowe, rolnicze i sportowe. W Honolulu bawi co rok opera w ciągu kilku tygodni sezonu zimowego i urządzane są liczne zabawy i widowiska. — W mieście widuje się często wojskowych i marynarzy, ponieważ w pobliżu Honolulu znajdują się forty, w których stacjonuje piechota, artylerja i kawalerja, a w porcie Pearl Harbour (portowa przystań) zatrzymują się liczne okręty.

Honolulu jest portem, w którym koncentruje się handel Ameryki ze Wschodem, jest przystanią wojskową specjalnie między Filipinami i lądem — i często zawijają tu do portu transporty wojskowe na dzień lub kilka dni.

To mi przywodzi na myśl turystów — oczywiście jest to kraj turystyczny. Różne komitety lokomocyjne i kluby reklamowe pracują wydatnie na tem polu, sygnalizując turystom osobliwości tego kraju. Turyści zwiedzają zwykle Orjentalne i Hawajskie przedsiębiorstwa i rezydencje, pływają w osławionej zatoce Waikiki i odwiedzają czynny wulkan na największej z wysp— Hawaji. I wszystko to jest rzeczywiście warte zwiedzenia, zwłaszcza zaś wulkan. Jest to jedyne w swoim rodzaju zjawisko; po niezbyt uciążliwem wydobyciu się na górę, otwiera się przed turystą krater, w którym syczy, gotuje się i wre płomienista lawa, — a nad

otworem krateru zwisa nisko obłok pary we dnie, a obłok ognisty w nocy.

To, co powiedziałam o życiu miejskiem, dotyczy tylko Honolulu, bo właściwie jest to jedyne prawdziwe miasto. Są miasteczka na Oahu, bardzo ludne miasteczko (Hilo) na Hawaji, ale poza tem tylko wioski. Wyspy nie są zbyt oddalone od siebie, o dzień lub noc drogi okrężnym parowcem, a Honolulu jest ośrodkiem życia politycznego, intelektualnego i socjalnego. Niema klasy średniej na wyspach Hawajskich, są tylko robotnicy, ludzie fachowi i "wielcy przemysłowcy". Duży procent inteligencji posiada wyższe wykształcenie — i wielu Hawajczyków jest w całem znaczeniu tego słowa światowymi obywatelami, którzy czują równie dobrze w Londynie i w Paryżu, jak i w Honolulu.

Wrażenia, wrażenia! Przeżywałam je w ciągu lat 10 — a teraz oto cisną się wszystkie do mej pamięci — przenoszę się myślą do naszego domu w Dolinie Tęcz, albo na piaszczystą łachę — gdzie smuga księżycowa prowadzi do dziwnej krainy, w której mieszka Bajka — a fale, pieniąc, się rozbijają się o rafy, sterczące z morza. Tęcze i szlak księżycowy i spienione fale i palmy szemrzące są zawsze te same — może kiedyś jeszcze dane mi będzie żyć znowu wśród tych cudów, a nie tylko śnić o nich, jak dzisiaj to czynię.

(Spolszczyła *A. R.*)

Obraz wartości $100.000

Amerykanin, De Witt V. Hutchins z Kalifornii, jest szczęśliwym właścicielem słynnego obrazu nieśmiertelnej sławy malarza, Murillo.

Obraz ten podajemy powyżej. Jest to "Niepokolane Poczęcie." Murillo namalował go w roku 1675. Obraz ten wystawiony był przez kilka miesięcy w Art Institute w Chicago i ściągał tysiące lubowników dziennie, którzy z nabożeństwem podziwiali wspaniałą **kreację Murilla.**



BAJKA O DOBREJ OPINJI

Włodz. Perzyński

I.

Przyszła taka chwila, że Misiowi nie pozostawało nic innego, jak tylko żebrać. W ciągu kilku miesięcy spotykały go same klęski i staczał się w coraz gorszą nędzę. Wreszcie nie miał już ani dachu nad głową, ani co do ust włożyć. Ale strasznie mu było wstyd wyciągnąć rękę do ludzi na ulicy. Na szczęście dla Misia w owym wojennym czasie z powodu braku węgla paliła się na mieście tylko połowa latarni, i Miś mógł się tem pocieszać, że nikt nie będzie widział jego twarzy. Było to jednak wyrachowanie mylne, bo właśnie nikt po ciemku nie lubi dawać jałmużny. Każdy się obawia, żeby go żebrak nie obdarł. Toteż, choć Miś, przezwyciężywszy wstyd, z początku nieśmiało, a później coraz natarczywiej zaczepiał przechodniów, nikt mu nic nie dał. W dodatku tego wieczoru był straszny mróz i po kilku godzinach Miś zupełnie skostniał. Zrozpaczony stanął pod murem i przestał już nawet zaczepiać przechodniów. I nagle jakaś pani sama mu wetknęła pieniądz w rękę. Miś spojrzał i o mało nie oszalał z radości. Było to dwadzieścia kopiejek.

Jak wiadomo, żebrak po otrzymaniu jałmużny idzie się przedewszystkiem wódki napić. Tak też zrobił i Miś. Pędem puścił się do najbliższego szynku i tam się dopiero przekonał, że czterdziestówka była fałszywa. Dobrzy ludzie często dają biedakom fałszywe pieniądze, nie dlatego, żeby im krzywdę zrobić, tylko, poprostu, ponieważ przypuszczają, że biedak taki pieniądz łatwiej wyda.

Gdyby Miś wypił wódkę, byłoby mu już wszystko jedno, ale on z góry rzucił pieniądze na kontuar i dlatego oczywiście wódki nie dostał. Pośpiech w płaceniu nigdy nie jest dobry, ale dla Misia stało się to już wprost katastrofą. Przeklął dobroczynną panią i postanowił się utopić. W tym celu skręcił w Aleję Trzeciego Maja, żeby się rzucić w przerąblę koło mostu Poniatowskiego. Była mroźna noc, niebo wyiskrzone gwiazdami. Miś miał już tak współczesny skład umysłu, że odrazu zrodziło się w nim podejrzenie, że przynajmniej połowa tych gwiazd musiała być sztuczna. Ale nie zastanawiał się nad tem, przyśpieszał kroku, chcąc jak najprędzej znaleźć się pod wodą, gdy nagle już u samego wejścia na wiadukt zobaczył jakąś zapóźnioną dorożkę. I nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego to robił, zatrzymał się i zaczął się jej przyglądać. Była to trochę dziwna ciekawość, zwłaszcza u człowieka, który za chwilę miał się utopić, ale Misia jakby coś przykuło do ziemi. Wytrzeszczył oczy i patrzał. Dorożka niczem się nie różniła od innych warszawskich dorożek, była tak samo obdrapana i brudna, koń miał taki wygląd, jak gdyby niczem już nie przylepiona do kości skóra obróciła się na nim z grzbietu pod brzuch, a z pod brzucha na grzbiet, wskutek czego cała była dziwnie pofałdowana, słowem widok nie przedstawiał nic zajmującego. Niezwykłe to było chyba tylko, że dorożka była pozostawiona na łasce losu, bo nigdzie w pobliżu nie widać było dorożkarza, ale ostatecznie i to można było zrozumieć, gdyż człowiek, posiadający taki wehikuł i takiego konia, mógł się zniechęcić do nich i uciec.

— Po co ja tu stoję? — zastanowił się nagle Miś i miał już ruszyć dalej ku kresowi swego istnienia, gdy nagle koń odezwał się ludzkim głosem:

— Nie martw się, wszystko się zmieni na lepsze.

Miś osłupiał. Wydało mu się w pierwszej chwili. że to chyba halucynacja, ale koń drugi raz powtórzył:

— Nie martw się, wszystko się zmieni na lepsze. Wróć do domu.

Najwyraźniej mówił po ludzku. Grubo, ochryple, trudnoby się było z takim głosem popisywać w operze, ale ostatecznie był to głos ludzki.

— Do jakiego domu? — oburzył się Miś. — Już miesiąc jak mnie wyrzucili.

— Rób, co ci mówię. Jak ci stróż bramę otworzy, nie wdawaj się z nim w żadnej rozmowy, tylko idź prosto do siebie na górę. I jak się znajdziesz w pokoju, powiedz:

Niech na moje zawołanie,
A rumaka rozkazanie,
Stół z wieczerzą tutaj stanie.

Mimo wszystko Miś nie mógł się powstrzymać od ironicznego uśmieszku. Nadawanie sobie nazwy rumaka przez zabiedzoną dorożkarską chabetę wydawało mu się już trochę zarozumiałością.

Ale zwierzęciu, które mu czyniło tak ponętne obietnice, można było pewne śmieszności wybaczyć. To też Miś zapanował nad swoim sceptycznym odruchem. A koń znów się odezwał:

— Gdy będziesz czego chciał, mów ten wiersz, pamiętaj, że więcej niż raz na dzień nie wolno ci go powtarzać.

W tej samej chwili, niewiadomo skąd, jakby z pod ziemi, zjawił się dorożkarz, wsiadł na kozioł, zaciął konia batem i dorożka odjechała. Nim Miś zdążył krzyknąć "Stój!" — już mu wszystko znikło z oczu. Cała ta przygoda była tak niezwykła, że Miś obawiał się przez chwilę, czy nie zwarjował.

Ale zaraz się pocieszył.

— Jeśli zwarjowałem — pomyślał — to nie na długo, bo przecież zaraz mam się utopić..

I postanowił rad końskich usłuchać. Ostatecznie nic przez to nie ryzykował.







Poszedł w stronę kamienicy, z której go przed miesiącem wyrzucili. Nie bardzo mu się, co prawda, chciało wierzyć, żeby stróż go wpuścił, przypuszczał raczej, że go zwymyśla za dobijanie się do bramy po nocy, ale szedł.

Zadzwonił i zdjęła go taka ciekawość co dalej będzie, że aż mu tchu w piersiach zbrakło. Po chwili ujrzał przez szybę w bramie niekształtną sylwetę stróża, okutanego w ciężki, wielki kożuch. Był to ten sam stróż, który nachodził go o komorne i znał doskonale.

— Na pewno mnie wyleje — pomyślał Miś.

Ale stróż otworzył bramę i ani mruknął, mimo że oczywiście nic za to nie dostał. Misia nie przekonało to jeszcze ostatecznie. Stróż mógł być poprostu zaspany... Ale z emocji zrobiło mu się gorąco. Wszedł na górę, po omacku wyszukał drzwi, pchnął i znalazł się w swoim dawnym pokoiku. Teraz miało nastąpić najważniejsze. Drżącym głosem Miś zadeklamował wiersz i...

...nagle w pokoju zrobiło się tak jasno, jakgdyby naraz zapalono elektryczność, choć rzeczywiście instalacji elektrycznej tam nie było, a pod ścianą ukazał się stół nakryty lśniąco białym obrusem i zastawiony salcesonami...

II.

Miś jadł, aż mu się uszy trzęsły, a potem położył się spać. Trzeba prawdę powiedzieć, że przed udaniem się na spoczynek miał chwilę żalu a nawet lekkiej złości do owego czarodziejskiego rumaka o to mianowicie, że nie mógł odrazu zażądać nowego łóżka. Jego stare łóżko, które zostało w pokoju, było za krótkie, powyginane, za całe posłanie miało cieniuteńki siennik i koc taki dziurawy, że właściwie nie był to dziurawy koc, tylko jedna wielka dziura, w której jakimś cudem trzymały się kawałki koca. Miś, jako inteligent, nigdy w życiu na innych łóżkach nie sypiał — większość inteligencji używa takich łóżek i może nauka dowiedzie z czasem, że to właśnie wpływa bardzo dodatnio na rozwój inteligencji — ale Miś z literatury wiedział o istnieniu ciepłych, miękkich, wygodnych łóżek i gdy już uczuł, że takie łóżko może mieć, tak mu się go strasznie zachciało, że przez jakiś kwadrans spacerował po pokoju, nie mogąc się zdecydować, żeby się na swojem starem położyć. Poprzedniej nocy jeszcze Miś za to swoje stare łóżko połowę życia by oddał, ale zawsze tak bywa, że gdy człowiek wie, że może mieć coś lepszego, to mu odrazu to dobre, które posiada, zbrzydnie. Nie było jednak rady: koń wyraźnie zakazał Misiowi więcej niż raz na dzień czegoś żądać, i należało go słuchać. Misia ogarniała zresztą coraz większa ociężałość, taki był pełen salcesonów, jak okno w sklepie rzeźnickim, oczywiście przed wojną. W końcu więc rad nie rad położył się na sienniku, okrył jak mógł swoją dziurą w kratkę — taka była najodpowiedniejsza nazwa dla jego kołdry — i zasnął. Kiedy się na drugi dzień obudził, zdjął go strach, że to wszystko było tylko snem. Powoli otworzył jedno oko, ale zobaczył stół, na którym leżały jeszcze resztki salcesonów i to go uspokoiło. Odrazu zadeklamował:

Niech na moje zawołanie,
A rumaka rozkazanie,
Pełna kasa tutaj stanie.

I koło stołu zaraz stanęła piękna ogniotrwała kasa. Miś zerwał się uradowany z łóżka, postanowił odrazu zjeść śniadanie na mieście, bo te salcesony, choć ich był wielki wybór, i szwabskie, i brunszwickie, i z ozorkiem i włoskie, już mu się trochę przejadły. Dziwił go nawet jednostronny układ kolacji, ale tem to sobie tłómaczył, że koń, chcąc mu jak najbardziej dogodzić, kierował się widocznie własnemi upodobaniami. Niestety Misia spotkał odrazu przykry zawód: w kasie nie było klucza i na ten klucz musiał jeszcze dwadzieścia cztery godziny czekać. Ale za to na drugi dzień mógł już wyjść na miasto, obładowany pieniędzmi, i odrazu zaczął kupować różne rzeczy, które mu były potrzebne. Upatrzył sobie piękne miejsce na pałac na Saskiej Kępie, za mostem Poniatowskiego, właśnie niedaleko od tego miejsca, gdzie się miał zamiar utopić, zadeklamował wierszyk i odrazu w mgnieniu oka z pod ziemi wyrosła piękna willa, skanalizowana, z gazem i elektrycznością. Tajemnicze duchy, które robiły ją gdzieś tam we wnętrzu ziemi, tak pamiętały o wszystkiem, że nawet klamki były odrazu blaszane, żeby Miś nie miał kłopotów z rekwizycją. I Miś zamieszkał w tym pałacu. Pierwszą jego troską było odnalezienie konia, któremu tę cudowną zmianę życia zawdzięczał. Ale napróżno chodził całymi dniami po Warszawie i nawet dawał ogłoszenia na pierwszej stronicy pism w najdroższej rubryce "Nadesłanych": dorożkarz, którego Miś wzywał, obiecując mu sowite nagrody, wcale się nie zjawiał. Oczywiście po mieście odrazu rozeszła się wiadomość o zadziwiającej fortunie Misia i wszyscy niesłychanie byli zaciekawieni, skąd się ona wzięła.

Miś prawdziwej historji o koniu nie chciał opowiadać, gdyż obawiał się, żeby mu nie uwierzono. Miał słuszność, bo ludzie daleko chętniej wierzą bajkom, niż prawdzie. Gdyby pierwszy lepszy bardzo porządny człowiek chciał szczerze jeden dzień swego życia opowiedzieć, niktby mu nie wierzył. Wszyscyby się dziwili: "Co on ma za manję, żeby się oczerniąć?" Miś więc mówił, że dostał spadek i jednego dnia wygrał dwa główne losy na Saskiej i Węgierskiej loterji. Tego słuchano bardzo chętnie, bo to pozwalało wszystkim przypuszczać, że Miś kłamie, a że naprawdę kogoś okradł. Toteż w sekrecie opowiadano sobie o Misiu najstraszniejsze rzeczy.

Do Misia dochodziły echa tych plotek i bardzo się niemi martwił. Aby poprawić swoją opinję u ludzi, postanowić zacząć robić dobrze. Ale nie tylko dlatego powziął to postanowienie, aby przeciwdziałać plotkom. I bez plotek Miś poświęciłby znaczniejszą część swojej fortuny na rozumne cele filantropijne i społeczne. Wiadomo, że na całym świecie niema tak rozumnych filantropów, jak inteligenci warszawscy. Ulubionym tematem ich rozmów jest to, coby dla społeczeństwa zrobili, gdyby mieli pieniądze. Wa-

rszawa i cały kraj nawet odrazu zmieniłby się w nocy w raj na ziemi. I może dlatego Opatrzność każe im być gołymi, bo powstanie nowego raju byłoby sprzeczne z Pismem Świętem. Ale Miś, uzyskawszy możność czynienia dobrze, pozostał wierny swoim dawnym inteligenckim ideałom. Zaczął zakładać szkoły, muzea, przytułki, tanie kuchnie, dawał subwencje kinematografom, ale cóż z tego, ludzie mówili:

— Łatwo mu sypać pieniędzmi na prawo i na lewo, jak się na złodziejstwach dorobił.

I Miś miał coraz marniejszą opinję w mieście.

III.

Jeśli kto robi dobrze, wkłada w to mnóstwo zapału i energji, a dookoła mówią o nim, że jest złodziejem i doszukują się w każdym jego czynie jakiejś niecnej pobudki, to to może wkońcu rozgoryczyć. Misiowi ludzie tak obrzydli, że nie chciał na nich wcale patrzeć. I nie tyle już nawet oburzały go złośliwe i głupie plotki, co fałsz. Bo najgorsi plotkarze w oczy pierwsi kłaniali mu się nizko i tak zapewniali o swoim szacunku, że aż obrzydzenie brało słuchać. Misia nurtowała złość i skończyło się na skandalu. Wybuchł on w taki sposób. Urządzono wielki raut na cel dobroczynny i Miś otrzymał zaproszenie, co, nawiasem mówiąc, święcie mu się należało, bo sam na ten cel dał kilka tysięcy rubli. Miś wahał się: iść czy nie iść, ale wkońcu go coś skusiło, żeby pójść, poprostu miał już dość samotności i chciał trochę ludzi zobaczyć. Przytem miał jeszcze inny cel. Od pewnego czasu samotne życie zaczęło mu ciężyć i chciał się ożenić. Napozór było to bardzo łatwe do zrobienia. Wystarczało mu zadeklamować swój czarodziejski wierszyk i żona odrazu stanęłaby przed nim bez poszukiwań, starań, oświadczyn i wszystkich tych kłopotów, jakie poprzedzają małżeństwo, ale właśnie dlatego Miś nie chciał się do tego sposobu odwoływać, że już wydawał mu się za prosty.

Miś był romantykiem i miał o miłości i małżeństwie bardzo wysokie wyobrażenie. Zresztą, aczkolwiek bardzo wierzył w życzliwość swego czarodziejskiego konia, ale do upodobań jego od czasu kolacji, składającej się z samych salcesonów, stracił zaufanie. Myślał i nie bez słuszności może, że taki dorożkarski koń, przyzwyczajony do wożenia podejrzanych dam po Alejach, napewno wybrałby mu za żonę piękność w tym rodzaju właśnie. No a potem byłby niesłychany kłopot z pozbyciem się żony i drażliwa sytuacja zarówno wobec niej, jak i wobec konia. Miś wolał więc sam sobie żony wyszukać. Dlatego poszedł na raut: miał nadzieję, że może tam uda mu się wybraną kobietę spotkać.

Na raucie powtórzyła się zwykła historja. Miś widział, jak zebrani goście szeptali sobie o nim różne rzeczy na ucho, a co mówili, tego mógł się łatwo domyślić ze złośliwych uśmiechów i znaczących spojrzeń. A gdy się Miś do rozmawiających zbliżał, odrazu miny się zmieniały i robiono mu owacje. "A, kochany nasz filantrop!" "Trzeba podziwiać pańską niezmordowaną ofiarność" i t. d. Miś wiedział dobrze, że ci sami panowie przed chwilą nazywali go złodziejem, i po każdym takim komplemencie korciło go, żeby odpowiedzieć: "Ty durniu głupi!" — ale się powstrzymywał, bo wiedział, że to na publicznej zabawie nie uchodzi. Jednak ten mus odgrywania komedji kosztował go dużo zdrowia. Ze zdenerwowania oderwał sobie dwa guziki od kamizelki frakowej. I na nic się to nie przydało.

Był na raucie pewien stary pan, łysy, z długą siwą brodą, okazały, któremu wszyscy okazywali wyjątkowe uszanowanie. Miś zauważył, że ten stary pan biegał od jednej grupy ludzi do drugiej i wciąż coś strasznie zajadle szeptał, wskazując oczyma na Misia i uśmiechając się złośliwie. — Ten mnie musi obmalowywać — myślał Miś — suchej nitki pewno na mnie nie zostawia! — Aż nagle stary pan zbliżył się do niego, przypomniał, że już raz czy dwa miał zaszczyt Misia w towarzystwach spotykać, i jak się nie zacznie nad nim rozpływać: "Przecież takiego człowieka, jak pan, to doprawdy Opatrzność nam zesłała!" — i dalej, w tym samym stylu. Miś słuchał, słuchał i bladł, a stary pan myślał pewno, że to ze wzruszenia, i wpadał w coraz większy zapał. Nagle krzyknął przeraźliwie i przewrócił się na podłogę. Bo Miś, nie mogąc dłużej wytrzymać, cofnął się o krok w tył i z całej siły kopnął go w brzuch. Można sobie wyobrazić, jaka awantura zrobiła się na raucie. Wszyscy zaczęli krzyczeć: "Warjat, warjat!" Na szczęście dla Misia w pierwszej chwili myślano tylko o poszkodowanym staruszku. Dzięki temu Miś mógł się wymknąć niepostrzeżenie. Dobrze się stało, gdyż inaczej oburzeni goście prawdopodobnie byliby go dotkliwie obili.

Od tego czasu Miś przestał wychodzić z domu. W całem mieście okrzyczano go za warjata. Wszyscy pozrywali z nim stosunki i Miś widywał tylko inkasentów, którzy przychodzili po pieniądze na subwencjonowane przez niego instytucje. Kto inny na miejscu Misia zraziłby się prawdopodobnie taką niewdzięcznością społeczeństwa i wolał puszczać pieniądze po kabaretach, niż dawać je na cele ogólne. Ale Miś dawał. Prawdę powiedziawszy, może to wynikało nie tyle ze szlachetności jego charakteru, co z rezygnacji, jaka go ogarnęła. Chciał ludziom robić jak najlepiej i doczekał się tego, że musiał zamknąć się we własnym domu, jak w więzieniu. Z rozpaczy, nie mając czem czasu zabić, zaczął uczyć się grać na flecie. Pewnego dnia, gdy Miś wygrywał gamy, doleciał go z ulicy jakiś hałas. Miś był przyzwyczajony do tego, że przechodnie czasami zatrzymywali się pod jego oknami i głośno mu wymyślali. Ludzi, którzy się nie uczą grać na flecie, nic tak nie denerwuje, jak człowiek uczący się grać na flecie. Miś zazwyczaj nie zwracał na krzyki uwagi i nie przerywał sobie lekcji, ale tego dnia zdjęła go jakaś dziwna ciekawość. Zadzwonił na służącego.

— Co tam się stało?

— A to jakaś pani jechała dorożką — odpowiedział służący — i koń się przewrócił i zdechł. Teraz dorożkarz chce, żeby mu zapłaciła za konia, i tak jej wymyśla.

Miś wyjrzał przez okno i zobaczył kobietę tak cudnej urody, że odrazu się w niej zakochał.

IV.

Miś cisnął flet w kąt i w jednej chwili był na dole. Ordynarny dorożkarz nie chciał pięknej damy puścić, zastąpił jej drogę i, wymachując wielkim batem, wymyślał jej strasznie, jak to tylko warszawski dorożkarz potrafi. Miał gruby, ochrypły, zapijaczony głos i nawet tkliwe wyrazy, wypowiedziane takim głosem, musiały brzmieć nieprzyjemnie, a cóż dopiero wymyślania. To też piękna pani była blada, jak płótno i trzęsła się jak liść osiki.

Miś oburzony chwycił dorożkarza za kark i jak nim machnął, tak go odrzucił conajmniej o dwadzieścia kroków. Dorożkarz wyciągnął się na ziemi jak długi, mógł sobie nawet co złego zrobić, ale Miś nie myślał o nim, tylko podbiegł ku uroczej damie.

— Pani — zaczął pełnym upojenia głosem. i zabrakło mu wyrazów. Powiedział drugi raz "pani", trzeci raz "pani" — dalej ani rusz. Powodem tego oczywiście było gwałtowne wzruszenie, ale człowiek, któryby o tem nie wiedział, mógł go wziąć poprostu za idjotę.

Na szczęście piękna dama odczuła to, co się działo w duszy Misia. Uśmiechnęła się, wyciągnęła do niego rękę i powiedziała "dziękuję" tak słodko, że Misiowi zabrzmiało to w uszach, jak najpiękniejsza muzyka.

— Jaka pani dobra! — wykrzyknął i pochylił się, aby ją pocałować w rękę, ale w tej samej chwili wzrok jego padł na zdychającego konia i nagle stało się coś, czego piękna pani nie mogła w żaden sposób zrozumieć. Miś puścił jej dłoń i z przeraźliwym krzykiem rzucił się do konia.

Piękna pani nie wiedziała oczywiście, że był to ten sam czarodziejski koń, któremu Miś zawdzięczał całą swoją fortunę.

— Weterynarza, weterynarza! — krzyczał Miś.

Koń otworzył jedno oko, popatrzył na Misia i odezwał się spokojnym głosem:

— Na nic się to nie zda, Misiu. Ja już muszę zdechnąć, bo tak jest napisane w księdze przeznaczeń. Zresztą koniom tak samo prawie się marnie wiedzie, jak i ludziom, więc nie żałują życia. Adieu, Misiu. Życzę ci wszystkiego najlepszego. — I zdechł.

Miś wybuchnął spazmatycznym płaczem, ku wielkiemu podziwowi pięknej pani, która sama należała wprawdzie do Towarzystwa Opieki nad zwierzętami, ale pierwszy raz w życiu zdarzyło jej się widzieć, aby ktoś tak opłakiwał zdechłego dorożkarskiego konia.

Aczkolwiek willa Misia znajdowała się w ustronnej dzielnicy, jednakże hałas, jaki wywołały przedewszystkiem krzyki dorożkarza, a następnie płacz Misia, ściągnął sporą gromadkę ludzi. Dorożkarz opowiadał wszystkim swoje przejście z Misiem i wszyscy sądzili, że Miś dostał nagłego napadu szału. — Wskutek tego, gdy się podniósł z ziemi, cały tłum rozpierzchł się odrazu, jak spłoszone stado wróbli. Została tylko piękna pani, składając dowód wyjątkowej odwagi, gdyż kobiety zazwyczaj bardzo się boją warjatów.

Misiowi nieprzyjemnie się zrobiło, gdy ochłonął z pierwszego wrażenia rozpaczy. Trudno mu było oprzeć się podejrzeniu, że i piękna pani też mogła go była uważać za warjata, tak jak tamci wszyscy, którzy pouciekali. Otóż w ten sposób prezentować się na pierwszy raz kobiecie, którą się gwałtownie pokochało, nie jest bardzo korzystnie.

Ba, gdyby Miś mógł był opowiedzieć szczerze całą swoją historję od początku, wówczasby się wszystko wyjaśniło i piękna pani napewnoby się przestała dziwić jego wzruszeniu, ale Miś wolał już się w zwierzenia nie wdawać. Jego przygoda była tak niezwykła, że miał wrażenie, i słuszne zresztą, że gdyby opowiedział, to skutek byłby wprost odwrotny. Piękna pani jużby go ostatecznie zaczęła uważać za warjata.

Musiał więc coś skłamać,

— Niech się pani nie dziwi mojemu wzruszeniu — odezwał się pokornym głosem, składając ręce jak do modlitwy, — ten koń był moim ulubionym wierzchowcem. Zarekwirowano mi go na początku wojny. Kochałem to stworzenie.

Piękna pani spojrzała na niego ze współczuciem.

— Bardzo to pięknie świadczy o pańskiem sercu.

Miś poczerwieniał. Gdyby wszystkie zapasy cukru, jakie są poukrywane przez spekulantów na świecie, rozpuścić w wodzie (jakiejby to szklanki na to potrzeba!), napewno woda ta nie byłaby tak słodka, jak słodko zrobiło się Misiowi, gdy usłyszał tę pochwałę. Postanowił więc nie bawić się w dyplomację, nie mógł zresztą: uczucie, które rozsadzało mu piersi, było zbyt żywiołowe i silne i domagało się natychmiastowego wyładowania. Znów więc złożył ręce jak do modlitwy i wykrzyknął wzruszonym głosem:

— Kocham panią!

W oczach pięknej pani odmalowało się zaniepokojenie. Najwidoczniej myślała: "Konia kochał, mnie kocha. Ten człowiek cierpi na manję kochania..."

— Pani — ciągnął błagalnym głosem Miś — jestem jednym z najbogatszych ludzi w Warszawie.

Teoretycznie tego rodzaju wyznanie, uczynione bezpośrednio po deklaracji miłosnej, powinno wywierać dobre wrażenie na kobiecie. Piękna pani uśmiechnęła się tylko wzgardliwie.

— Wiem, wiem... Jest pan jednym z najbogatszych warszawskich spekulantów.

Miś wyrwał sobie odrazu dwie pełne garście włosów z głowy.

— Ja!? Spekulantem!?—wykrzyknął oburzony.— Doprawdy, nie wiem już o co mnie ludzie zaczną pomawiać niedługo.

Piękna pani nic na to nie odpowiedziała. Ale twarz jej przybrała zlekka ironiczny wyraz. Nie uciekając się do usług zawodowych odgadywaczy myśli, można było wiedzieć, że nie brała oburzenia Misia na serjo.

— Wóz, albo przewóz... — pomyślał sobie Miś i postanowił postawić kwestję wyraźnie.

— Kocham panią i chcę panią pojąć za żonę. Czy zgadza się pani zostać moją żoną?

Mówiąc to, patrzył na piękną damę, jak magnetyzer,

Ale ona nie poddawała się łatwo urokowi spojrzeń.

— Owszem — odparła — zostałabym chętnie pańską żoną, bo mi się pan podoba, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim? — krzyknął uradowany Miś. — Wszystkie spełnię!

— Wie pan jak fatalną ma pan opinję w mieście. Otóż nigdy w życiu nie wyszłabym za mąż za człowieka z fatalną opinją. Choćbym miała zostać starą panną i zarabiać na życie jako urzędniczka w jakiejś sekcji. Pan mówi, że pan mnie kocha. Dobrze. Daję panu pół roku czasu. Jeżeli przez te pół roku potrafi pan zdobyć sobie powszechny ludzki szacunek — zostanę pańską żoną.

Miś sposępniał.

Piękna pani pożegnała go uśmiechem i odeszła w stronę przystanku tramwajowego.

V.

Jeszcze kiedy Miś był małym chłopcem, zajmowała go przez pewien czas kwestja: czy możnaby człowiekowi tak mocno dmuchnąć w jedno ucho, żeby mu przez drugie wyleciał mózg z głowy? Po odejściu pięknej pani Miś przez chwilę doznawał wrażenia, jak gdyby go poddano takiej właśnie operacji. Był odrętwiały zupełnie. Bo co to jest powiedzieć człowiekowi, który wszystkie siły wytężał bezskutecznie na to, aby zwalczać złe, głupie i niesprawiedliwe plotki:

— Niech pan to zrobi, żeby pana powszechnie szanowano.

Gorszego szyderstwa najzłośliwszy nieprzyjaciel Misia nie mógłby wymyśleć, a on to usłyszał od kobiety, którą kochał. Toteż odrazu zdał sobie sprawę, że z jego zamiarów małżeńskich nic nie będzie. Machnął ręką, niby na znak rezygnacji, ale co to tam za rezygnacja była, skoro w tej samej chwili łzy, wielkie jak groch, popłynęły mu z oczu. Wróciwszy na górę, rzucił się na łóżko i płakał do wieczora, przez cały dzień następny i przez całą noc. Wkońcu strach go zdjął przed taką rozpaczą.

— Trzeba o czemś innem myśleć — powiedział sobie — bo inaczej naprawdę zwarjuję.

W dzisiejszych czasach człowiekowi inteligentnemu bardzo jest łatwo znaleźć temat do rozmyślań. N. p. Miś wyciągnął tylko język i, uczuwszy na wąsach słony smak łez, zastanowił się odrazu, że skoro tylu ludzi płacze, dlaczego nie zużytkowuje się tych olbrzymich zapasów łez w jakiś praktyczny sposób, n. p. żeby stworzyć surogat soli, który mógłby być znacznie tańszy od soli naturalnej. To mu jednak nie wypełniło dnia, pozostało jeszcze bardzo wiele długich i pustych godzin, w których Miś myślał o swojej pięknej pani i aż się wił i skręcał z miłosnej tęsknoty. Wkońcu ogarnęła go furja.

— Wszystkie siły wytężałem, żeby ludziom robić dobrze — wykrzyknął i co mam za to? Nazywają mnie złodziejem i nie mogę się ożenić, bo kobietę, którą pokochałem, odstręcza odemnie moja fatalna opinja. Niedoczekanie wasze, jeśli ja dla was jeszcze coś zrobię! — zaklął, wygrażając pięścią przez okno.

Zaraz zadzwonił na służącego i kazał sprowadzić swego sekretarza.

— Pisz pan!

Sekretarz usiadł przy maszynie a Miś zaczął mu dyktować listy. Wszystkie były jednakowe, krótkie i zaczynały się od słów: "Od jutra nie daję ani grosza". Po czwartym liście sekretarz zbladł, a po dziesiątym zrobiło mu się niedobrze. Uczuł, że i jego posada wisiała na włosku, bo skoro Miś likwidował całą swoją społeczną działalność, to cóż mu było po sekretarzu.

Miarą tego, ile instytucji Miś wspierał w mieście, może być fakt, że pisanie tych krótkich listów zajęło mu czas do wieczora. Wreszcie Miś się znużył. Sekretarz był blady, jak trup. Gdy wstał od maszyny, chwiał się na nogach.

— A z moich usług czy szanowny pan będzie korzystał? — odezwał się drżącym głosem.

— Nie, nie będę — odparł grubjańsko Miś — idź pan na złamanie karku.

Wogóle postanowił być w stosunkach z ludźmi grubjaninem. Tej samej nocy jeszcze Miś wyprawił kolację w gabinecie, na którą zaprosił dwadzieścia kabaretowych śpiewaczek. Rano Miś wykąpał się w szampanie, a mydło do golenia kazał rozrobić fryzjerowi w burgundzie.

Od tej pory Miś zaczął żyć inaczej. Damy, które przychodziły do niego z prośbami o zasiłki dla różnych instytucji, cynicznie przepędzał za drzwi. Nie dawał nic nikomu, ani grosza, zato hulał, noce spędzał po kabaretach i ponieważ czarodziejskiego konia już nie było i zaklęciem wierszowanem nie mógł pomnażać swoich funduszów, więc wziął się do spekulacji.

Spekulował na węglach, na mydle, na cukrze, zdzierał, łupił ludzi jak mógł i sprawiało mu to żywą uciechę.

— Możecie mnie sobie teraz nazywać złodziejem, nic sobie z waszych sądów nie robię.

Nawet czuł, że im bardziej ludzieby mu wymyślali, tem większą sprawiałoby mu to przyjemność. Bo chciał, żeby go nienawidzili i przeklinali.

Pewnego razu przyszła mu do głowy fantazja, ażeby osobiście usłyszeć, jak też na niego wyrzekano, nasycić się swoją zemstą. Przebrał się za starca, przyprawił sobie długą siwą brodę i poszedł na raut.

Tam, przez nikogo nie poznany, sam zaczął o sobie rozmowę. I wszyscy, do kogokolwiek się zwrócił, wyrażali się o nim z jak największem uznaniem. Nazywano go mądrym obywatelem, czcigodnym synem kraju i t. d.

Miś zgłupiał.

— Kawał — przyszło mu na myśl. — Źle się przebrałem, poznali mnie i poprostu kpią sobie ze mnie.

I rozgoryczony wrócił do domu.

Nazajutrz w południe służący mu zameldował, że jakaś pani pragnie się z nim widzieć.

— Pewnie znów jakaś dobroczynna karota — pomyślał Miś. I ze złośliwym uśmiechem szykował się

już do dania "swojej gości" — jak się mówiło po staropolsku — odpowiedniej odprawy.

Ale jakież było jego zdziwienie i radość, gdy ujrzał w salonie piękną panią.

Ze wzruszenia słowa z siebie wydobyć nie mógł.

Piękna pani odezwała się z czarującym uśmiechem:

— Niema w całem mieście człowieka, któryby się coś złego ważył o panu powiedzieć. Spełnił pan warunek, który mu postawiłam. Wszyscy pana szanują.

I odrazu przechodząc na ty, dodała omdlewającym szeptem:

— Jeśli chcesz, będę twoją.

Miś zrozumiał, jak się zdobywa szacunek ludzki w Warszawie, ożenił się i jest szczęśliwy.

Właśnie przeciwnie

Sędzia: — Oskarżeni jesteście o dolewanie wody do mleka...

Mleczarka: — To źli ludzie mnie obmówili, proszę pana sędziego... ja właśnie przeciwnie, dolewałam mleka do wody...

Przemądrzała Lunka

Mamusia Lunki rozwiodła się i wprowadziła do domu nowego tatusia. Lunka pyta:

— Mamusiu! ile razy można zmienić męża?

Dlaczego o to pytasz?

— Bo chcę wiedzieć ilu jeszcze tatusiów mogę dostać.

Zbiór bawełny w Alabama

Szczęśliwe kraje, które mogą u siebie i dla siebie hodować bawełnę. Południowe stany Stanów Zjednoczonych produkują bawełnę na wielką skalę. Obrazek nasz przedstawia niezmiernie szybkiego zbieracza bawełny, który ma "rekord" dotychczas nie pobity zebrania 606 funtów bawełny w 10 godzinach pracy.



CIEKAWE ZJAWISKA W ŚWIECIE

Co choć ludzie na nie ciągle patrzą, ale ich zwykle nie rozumieją

BAROMETRY DO WAŻENIA POWIETRZA

Na co się zdadzą przepowiednie deszczu i pogody w kalendarzach

Opowiem wam, jak to urządzone są barometry, co to za ich pomocą ludzie mogą się nieraz dowiedzieć, jaka będzie dziś lub na drugi dzień pogoda.

Jest bardzo ciężki płyn, co go zowią rtęć albo żywe srebro. Dla oka wygląda on jak srebro zwyczajne, taki sam ma kolor i tak samo się błyszczy; ale rozpływa się, rozlewa się jak woda, i trzeba go zawsze trzymać w jakimkolwiek naczyniu. Otóż, barometry robią najczęściej z tej rtęci czyli żywego srebra. — Biorą rurkę szklaną blisko półtora łokcia długą, i w jednym końcu zamkniętą. Do tej rurki nalewają pełno rtęci, zatykają ją palcem, przewracają do góry dnem i wstawiają do miseczki, w której jest także trochę rtęci nalanej. Jak się palec odejmie potem od rurki, to rtęć w niej na parę cali opadnie i u góry zrobi się w rurze miejsce próżne, w którem powietrza nawet niema.

Dlaczego wszystka rtęć z rurki nie spływa, rozumie to pewnie każdy czytelnik. Oto ciężar powietrza, gniotąc rtęć w miseczce, nie wypuszcza jej z rurki. Ale czemu znowu nie wszystka rtęć w rurce się zatrzymała? Czemu ona na parę cali opadła? Oto dlatego, że rtęć jest bardzo ciężka. Słupek rtęci tak wysoki, jak cała rurka, jest cięższy od całego słupa powietrza takiej samej grubości, a wysokiego na owe dziesięć czy więcej mil, jak wysoko powietrze wznosi się ponad ziemią. Rtęć więc musiała zniżyć się do tej samej wagi, jaką ma słup powietrza gruby tyle, co rurka. Tym sposobem słupek rtęci w rurce może mieć tylko około jednego łokcia i siedmiu albo ośmiu cali wysokości.

Rurkę razem z miseczką przymocowuje się do deski i zawiesza się na ścianie. Na desce obok rurki robią podziałkę według pewnej miary, i piszą różne znaki, aby można było widzieć dokładnie, jak wysoko rtęć sięga. Bo też rtęć w rurce nie zawsze stoi jednakowo, ale to idzie trochę w górę, to opada więcej na dół. Zależy to od ciężaru powietrza. Zwykle tak się zdarza, że suche powietrze jest cięższe, mocniej gniecie rtęć w miseczce i wpycha ją więcej do rurki; wtenczas rtęć w rurce się podnosi, a z tego ludzie poznają, że będzie pogoda. Przed deszczem zaś wilgotne, parne powietrze bywa lżejsze (choć ludzie, czując wtenczas osłabienie, mówią błędnie, że jest ciężkie). Przy lżejszem powietrzu mniejszy ciężar ugniata rtęć w misce; więc w rurce wtedy rtęć trochę opada, a człowiek, zobaczywszy to na barometrze, może spodziewać się deszczu.

Aby barometr wskazywał wiernie, rtęć w nim powinna być dobrze oczyszczona; a podziałka na desce do każdego kraju i przytem do okolic wysoko położonych i do nizin zastosowana inaczej. Nejednemu jednak może się zdarzyć, że kupi barometr niedbale zrobiony, albo ze złą podziałką, i wtenczas niema z niego pożytku.

Barometr służy nietylko do poznawania, jaka ma być pogoda, ale jest z niego jeszcze inny, pewniejszy użytek. Oto barometrem mierzą wysokość gór. Im wyżej człowiek idzie w górę, tem mniejszy słup powietrza go gniecie. Na górze powietrze jest zawsze lżejsze niźli w dole. Z tego powodu, jeślibyś zaniósł barometr na wysoką górę, tobyś zobaczył, że rtęć w rurce opadła niżej. Ludzie uczeni przekonali się, że rtęć opada o jeden milimetr niżej na każde 10 metrów i 466 milimetrów wysokości góry. (Co to za miara te metry i milimetry, możecie pomiarkować z tego, że metr ma cośkolwiek więcej nad 41 i pół cali polskich, a milimetr — to tysiączna część takiego metra. W jednym calu jest milimetrów 24 z górą).

Bywają barometry inaczej jeszcze urządzone niż taki, com go opisał. Najczęściej nie mają miseczki, tylko dolny koniec rurki jest zagięty do góry i otwarty, a ciężar powietrza tak samo gniecie w nim rtęć i nie wypuszcza jej z rurki. Robią też barometry w ten sposób, że rurki wcale nie widać, bo jest schowana pod deseczką, a na wierzchu tylko widać strzałkę, która wskazuje jakby na zegarze.

Urządzają jeszcze barometry i bez rtęci wcale. Barometr taki składa się z rurki mosiężnej giętkiej, trochę spłaszczonej, zupełnie próżnej wewnątrz i skręconej w kółko. Gdy powietrze jest cięższe — to więcej zgniata tę rurkę, musi ona mocniej się skręcać; gdy zaś powietrze lżejsze — to rurka się trochę rozkręca. Z końcami rurki połączona jest wskazówka, która wskazuje na podziałce, czy ma być susza, czy słota, czy pogoda niepewna.

A może też kto widział figurkę figlarnie urządzoną, która na deszcz chowa się do budki. Figurka ta stoi na końcu drewienka, a drewienko wisi w budce na kawałku struny skręconej z kiszki baraniej. Według tego czy powietrze jest wilgotne, czy suche, struna kurczy się, skręca się mocniej, albo się trochę rozkręca. Od tego, gdy jest wilgoć i może być deszcz, figurka wchodzi do budki; a gdy powietrze suche, na pogodę, wychodzi na świat.

Doświadczonym ludziom udaje się czasem odgadywać pogodę i bez takich narzędzi.. Baczą oni tylko na ptactwo, na robaki, na to, jak wygląda księżyc, jak wschodzi lub zachodzi słońce, na chmury, na

wiatr i t. p. Uczeni zaś, co pracują po różnych krajach nad nauką o pogodzie, zbierają wciąż wiadomości, gdzie kiedy jaka była i jest pogoda, gdzie powietrze jest cięższe, a gdzie lżejsze, skąd dokąd przechodzą wiatry, deszcze i burze. O tem wszystkiem jedni drugich nawzajem codzień zawiadamiają przez telegraf, a tym sposobem mogą wymiarkować, jaka pogoda będzie przynajmniej do jutra. W przyszłości zaś będą mogli jeszcze lepiej ostrzegać mieszkańców każdej okolicy o nadchodzących deszczach i burzach.

Wszystkie jednak owe narzędzia i sposoby pozwalają przewidywać pogodę tylko na jakie kilka godzin lub najwyżej na parę dni naprzód. Ale niema żadnego sposobu poznawania pogody z góry na miesiące i lata. Piszą po niektórych kalendarzach wiadomości niby o tem, jaki będzie rok, jaka pogoda przy każdej zmianie księżyca; ale są to kłamstwa nieuczciwe. Ci, którzy tak piszą, sami śmieją się pocichu z łatwowiernych ludzi, co będą im wierzyli; ale mówią oto tak, i ja to sam z ich ust słyszałem:

— "Cóż robić, kiedy głupim ludziom to się podoba, żeby w kalendarzu stało o pogodzie. Jak o pogodzie napiszę, to więcej mego kalendarza rozkupią".

Tym, co takie kalendarze wydają, idzie nie o pożytek ludzi, ale tylko o swój własny zysk. Jeśli jaka przepowiednia z ich kalendarza trafunkiem się sprawdzi raz w jednem miejscu, to zato sto razy i w stu innych miejscach łatwowiernych ludzi oszuka.

Co najpotrzebniejsze do życia?

Powiecie pewnie, że najpotrzebniejsze są chleb i woda, czyli jadło i napój, bo każdy człowiek musi tem żywić się codziennie. Wielka to prawda. Gdyby pożywienia i wody człowiekowi zabrakło, toby umarł z głodu i pragnienia. Ale jest jeszcze coś potrzebniejszego do życia. Bez jadła i napoju człowiek wytrzymać może dzień jeden, drugi, trzeci, a czasem nawet i dłużej. Choć takie głodzenie się sprawia męczarnie, ale jeszcze śmierci tak rychło nie sprowadza. Tymczasem jest coś, bez czego nikt nawet jednej godziny nie wyżyje.

Więcej i częściej, niźli chleba i wody, człowiek potrzebuje powietrza. Nie zjada go i nie pije, ale ciągle niem oddycha, co chwila wciąga je nosem i ustami do płuc, które są w piersiach po obu stronach serca ukryte. Powietrze, wpadłszy do płuc, łączy się tam z krwią naszą, oczyszcza tę krew i zasila ją. Gdyby powietrza człowiekowi zabrakło, albo gdyby oddychać nie mógł, toby zaraz krew się w nim zepsuła i żyć by przestał.

Tak samo jak człowiek — potrzebuje powietrza wszelkie stworzenia żyjące, wszelkie zwierzęta ziemne i wodne. Ryby żyją w wodzie i wodą oddychają, wciągając ją swemi skrzelami. Ale w tej wodzie jest także mnóstwo drobniutkich pęcherzyków powietrza i temi to krew rybia oczyszcza się i zasila. Jeżeli wodę gotujesz na ogniu, to widzisz, jak z niej pęcherzyki wyskakują i pękają na wierzchu. Tak z wrzącej wody powietrze ucieka. Toteż choć woda przegotowana ostygnie zupełnie, jednak ryby w niej żyć nie mogą. Włóż do takiej wody żywą rybę, a niedługo zdechnie, bo braknie jej tam powietrza do oddychania. Ale i na otwartem powietrzu bez wody ryba też nie wytrzyma, bo skrzela jej zasychają i zalepiają się tak, że powietrze wchodzić do nich nie może — i ryba się dusi.

Nie wszystko jednak powietrze jest potrzebne do życia. Powietrze składa się z dwóch głównych a różnych części, pomieszanych ze sobą. Jedna z tych części nazywa się azot, a druga — tlen. Ta to druga część jest tak potrzebna do oddychania i do życia. Azot i tlen w powietrzu są tak samo pomieszane, jakby nieprzymierzając w gorzałce woda i spirytus. Sam czysty spirytus jest bardzo mocny, palący, więc aby go można było pić, dolewają do niego wody. Podobnież i czysty tlen byłby zanadto silny i szkodziłby zdrowiu; więc Bóg tak uczynił, że w powietrzu tlen jest rozprowadzony z azotem i jego siła utrzymana jest w mierze. Ludzie uczeni mają na to sposoby, żeby oddzielić tlen od azotu, i przekonali się, że w pięciu kwartach powietrza — azotu jest kwart aż cztery, a tlenu tylko jedna kwarta.

Przy oddychaniu część tlenu łączy się w płucach z krwią, a wszystek azot wylata po każdym oddechu napowrót w powietrze. Jeśli w izbie dużo ludzi się zbierze, a drzwi i okna szczelnie pozamykają i długo tam siedzieć będą, albo spać się pokładą, to wszystek prawie tlen z powietrza zużyje się przez oddychanie, w izbie pozostanie tylko azot — i powietrze zrobi się tak duszne, że ludzie w niem pomrą, jeśli się nie obejrzą zawczasu. Dlatego w jednej niewielkiej izbie dużo ludzi mieszkać razem i sypiać nie powinno. Rzadko się wprawdzie zdarza, żeby ludzie wszystek tlen z powietrza tak odrazu zużyli, ażby na śmierć posnęli; ale za to bywa bardzo często, zwłaszcza po miastach, że dużo osób mieszcząc się w ciasnej izbie, oddycha ciągle powietrzem dusznem, w którem tlenu jest za mało, a przez to słabną na zdrowiu, chudną i z łatwością zapadają w różne śmiertelne choroby. Najmocniej to się odbija na dzieciach.

Aby się przekonać, coby się stało z ludźmi, gdyby siedzieli długo po ciasnych i szczelnie zamkniętych izbach, można zrobić próbę z myszą. Oto wpuśćmy mysz do słoja szklanego, dajmy jej tam dosyć jeść i pić i obwiążmy mocno wierzch słoja pęcherzem. Niedługo zobaczymy, jak mysz zacznie słabnąć, posmutnieje, potem będzie zapadała w sen, a wreszcie, gdy jej tlenu już zabraknie, legnie bez życia.

Podobną próbę, jak z myszą, można jeszcze zrobić z ogniem. Oto zapalmy kawałek świecy i wstawmy ją do słoja, a potem słój przykryjmy czemkolwiek. Świeca wtenczas prędko sama zgaśnie. Jak dla zasilenia krwi, tak samo i dla zasilenia ognia tlen jest koniecznie potrzebny. Bez tlenu nic palić się nie może. Ogień świecy może palić się w słoju tylko dotąd, poki tlenu wystarczy; a jak tlen zniknie, to świeca zgaśnie.

Chcąc, żeby się ogień dobrze palił, trzeba dużo powietrza z coraz świeżym tlenem do tego ognia napędzać. Dlatego piece i kominy urządzają w ten sposób, żeby był silny ciąg powietrza; a w kuźni do rozpala-

nia żelaza używają miecha, który coraz nabiera w siebie świeżego powietrza i wydmuchuje to powietrze silnie na ogień. Prędkiem napędzaniem powietrza można ogień doprowadzić do takiej siły, że nietylko rozpali żelazo do białości, ale stopi je zupełnie, niby kawałek masła, i żelazo będzie się lało jak woda.

Jeśli jaka rzecz pali się, to znaczy, że się ona łączy z tlenem czyli kwasorodem, który napływa do niej z powietrza. Od tego łączenia się palącej się rzeczy z tlenem, robi się tak gorąco, że ta rzecz zamienia się w węgiel; — potem węgiel, łącząc się dalej z tlenem, i rozgrzewając się jeszcze mocniej, zamienia się w płomień; — a nakoniec tenże węgiel połączywszy się już zupełnie z tlenem ulata w powietrze i w tym stanie nazywają go kwasem węglanym. Ten kwas węglany to nie jest jedno co dym. Dym, jak wie każdy, bywa czarny, szary, albo siny, gryzie w nos i w oczy, kopci czyli smoli każdą rzecz, po której przelata i daje sadzę. Dym bywa wtenczas, kiedy drzewo, węgiel, lub inna jaka rzecz nie przepaliła się dobrze, nie połączyła się jeszcze zupełnie z tlenem. Zaś kwas węglany tworzy się z zupełnego przepalenia się węgla, to jest kiedy węgiel do cna połączy się z tlenem. Kwas węglany niema żadnego zapachu ani koloru i jest tak przeźroczysty jak powietrze, więc go widzieć oczyma nie możemy. Uczeni tylko mają sposoby na to, żeby go wyróżnić.

Można powiedzieć, że i życie nasze podobne jest do palenia się. Krew w człowieku jest ciepła, jakby na ogniu była rozgrzana, i od krwi całe ciało się rozgrzewa. A wiecie wy, z czego to? Oto tylko z tego, że przy oddychaniu, tak samo jak z palącego się drzewa, wychodzi z człowieka kwas węglany, który ustami oraz nosem ulata w powietrze. Krew bowiem nasza ma w sobie także węgiel, choć może niejeden się zdziwi, że nie jest zupełnie od tego czarna. Ależ bo i sam węgiel nie zawsze jest czarny. Oto najdroższy i najtwardszy na świecie kamień, djament zwany, co jest przeźroczysty jak szkło i najczęściej niema żadnego koloru, to także węgiel, tylko w innej postaci, niż ten, co widzimy w piecu po przepaleniu się drzewa.

Kwas węglany, zbierając się z oddychania ludzi i zwierząt, oraz z palenia się lamp i świec, sprawia w ciasnych mieszkaniach jeszcze większą duszność. Ale jest na niego sposób. Potrzebują go rośliny i w porze dziennej wciągają go swemi liśćmi; więc aby się go pozbywać, należy trzymać na oknie kwiaty w doniczkach. Jest to bardzo dobry sposób, zwłaszcza dla szkół i zakładów fabrycznych, gdzie podczas dnia wiele osób znajduje się w zamknięciu. Z tego też powodu po miastach powinni wysadzać ulice drzewami i utrzymywać ogrody.

Wiatr

Tyle już powiedziałem o powietrzu, że teraz każdy zrozumie łatwo, co to jest wiatr i skąd się on bierze. Wiatr — to nic innego, tylko to samo powietrze w przelocie. Kiedy powietrze leci z jednego miejsca na drugie, to uderza nas po twarzy, sprawia nam chłód, rozwiewa włosy, czasem porwie i czapkę z głowy, podnosi piasek z ziemi, kołysze wodę w rzece, w stawie lub jeziorze, porusza liście na drzewach, a my mówimy, że jest wiatr. Ludzie przemyślni umieją i z wiatru korzystać; urządzają różne maszyny, naprzykład młyny wietrzne (zwane wiatrakami) i młócarnie, które wiatr obraca. Pływając statkami wodnemi po dużych rzekach, jeziorach i morzach, rozpinają na wysokich masztach wielkie płachty płócienne czyli żagle, w które wiatr dmie i pędzi statek tam, gdzie trzeba. Wiatr bywa silny, kiedy powietrze leci prędko; przy wolnym zaś biegu powietrza czujemy wietrzyk lekki, słaby, który w gorący dzień letni chłodzi nas i sprawia przyjemne uczucie. Jeśli wiatr jest mierny, to powietrze idzie z taką prędkością, jakby koń biegł kłusem. Średni wiatr przebywa około trzech mil na godzinę, a więc koń cwałując może mu dorównać w szybkości. Silny wiatr przelata w ciągu jednej minuty wiorstę drogi. Jeśli powietrze leci jeszcze prędzej, to już wiatr nazywamy wichrem. Wicher wyrządza nieraz szkody, zdziera pokrycia z dachów, przewraca płoty, a nawet budynki słabiej stojące i drzewa, w zimie zaś sprawia nieznośną zawieruchę i zasypuje drogi śniegiem. Wichry jednak jakie zdarzają się w Europie, to tylko zabawka w porównaniu z tem, co bywa w innych częściach świata — w Ameryce, Azji i Afryce. W Ameryce powietrze pędzi nieraz z taką szybkością i siłą, że wszystkie budynki po wsiach przewraca, sterty zboża po polach roznosi, ludzi i konie z wozami porywa w górę niby liście i przerzuca gdzieś daleko. Taki wicher zowią huraganem. Kiedy huragan nadchodzi, ludzie kryją się do jam i piwnic, aby życie ocalić. W Afryce i Azji po pustyniach suchych i piaszczystych wieją często wichry gorące, niosąc takie tumany ostrego piasku, że aż dnia bożego nie widać, tylko ciemno się robi na świecie. Drobny lecz ostry piasek, jakby igłami tnie po skórze ludzkiej, suszy ją i parzy aż do spalenia. Ludzie wtenczas umierają z pragnienia i gorąca. Mieszkańcy Afryki dla ochrony od takich upałów i wichrów smarują sobie ciało tłustością. Najgorzej bywa, jeżeli taki wicher zaskoczy podróżnych na pustyni, bo nieraz zasypie ich zupełnie górą piasku i żywcem zagrzebie tak, że i śladu po nich nikt nie znajdzie.

Trąba powietrzna tworzy się w ten sam sposób, jak wir w rzece. Powstaje ona wtenczas, kiedy dwa wiatry z różnych stron wiejące zetkną się z sobą. Obydwa wiatry chcą siebie przeprzeć nawzajem, i zanim się ustatkują, rozpoczynają w kółko taniec szalony. Jeśli się spotkają wiatry słabe, to się kończy na tem, że porwą z ziemi trochę piasku, liście, a w zimie śniegu, — i zwinąwszy z tego jakby słup cienki a wysoki, o parę staj go przenoszą i ciskają. Ale jeśli trafią na siebie silne wichry, to rwą i unoszą w swym szalonym tańcu wszystko, co im się na drodze podwinie. Taka trąba powietrzna największe drzewa wyrywa z korzeniami, budynki przewraca, a ludzi i zwierzęta przerzuca daleko, jakby to były piórka leciutkie. Nadchodzi ona zwykle z chmurą i okropną ulewą.

Do mierzenia szybkości wiatru używają małego wiatraczka, który jest tak urządzony, że pozostawia ślad każdego obrotu. Ile razy na sekundę czasu wiatraczek się obróci, z tego można poznać, jak silny jest wiatr i jak daleko on przez takąż sekundę przelatuje. Aby wiedzieć znowu, od której strony wiatr wieje, wystawiają na szczytach budynków chorągiewki.

Ale niejeden ciekaw pewnie wiedzieć, jak się wiatry tworzą, z jakiego powodu powietrze nie stoi ciągle spokojnie, tylko przelata z miejsca na miejsce. Przypomnijcież sobie, jak się robi ciąg w piecu i kominie, a zrozumiecie z tego łatwo, jakim sposobem powstają wiatry na ziemi. Kiedy się od słońca ziemia w jednem miejscu rozgrzeje, to rozgrzeje się w temże miejscu i powietrze; wiecie zaś już, że rozgrzane powietrze rozszerza się, robi się rzadsze, lżejsze, i musi ulatać w górę. Gdy jedno powietrze leci w górę, to natychmiast do opróżnionego u dołu miejsca pędzi powietrze z okolic dalszych; w miejsce tamtego napływa znowu z jeszcze dalszych stron i tak na dużej przestrzeni robi się wiatr. Często się też zdarza, że u dołu wieją dwa wiatry — każdy w przeciwną stronę; można z czasem to poznać po chmurach.

Kto chce, to może na próbę zrobić wiatr w mieszkaniu i jeszcze lepiej się przekona, jak to zawsze powstają wiatry na ziemi. Niech będą obok siebie dwie izby — jedna dobrze ogrzana, a druga zimna. Gdy uchylisz drzwi z jednej do drugiej, to uczujesz, jak z zimnej do ciepłej będzie szło dołem powietrze, a ludzie powiedzą, że chłód nadchodzi. Rozgrzane powietrze w izbie ciepłej, jako lżejsze, musi uciekać w górę pod pułap i stamtąd, górną częścią drzwi, będzie powoli uchodziło do izby zimnej. W ten sposób powstaną dwa wiatry przeciwne i we drzwiach będą się z sobą mijały: jeden silniejszy dołem, a drugi słabszy górą. O wiatrach tych najlepiej przekona pochylanie się płomienia świecy, gdy ją trzymać będziesz przy szparze drzwi to u góry, to u dołu.

Wilgoć w powietrzu

Jeżeli woda się gotuje, to widzimy, jak z niej bucha para i leci w powietrze. Jeżeli woda będzie się tak gotowała długo, to się wszystka może wygotować do sucha, jak o tem wie każdy. Cóż się z tą wodą stanie? Czy ona zginie zupełnie? Nie, nie zginie, bo na świecie nic całkiem zginąć nie może; może tylko albo ukryć się jakoś przed okiem naszem, albo zamienić się w rzecz inną. Kiedy się wszystka woda wygotowała do sucha, to znaczy, że zamieniła się w parę, uleciała z garnczka i pomieszała się z powietrzem. W powietrzu rozpuszcza się para wodna tak, jak nieprzymierzając w wodzie rozpuszcza się sól.

Para ulata nietylko z wody gorącej i gotującej się, ale także i z zupełnie zimnej; tylko z zimnej wody para wychodzi bardzo wolno i w tak małej ilości, że nie widzimy jej oczyma. Z wody stojącej w naczyniach, z rowów, kałuż, stawów, rzek, jezior i z morza para ulatnia się ciągle i miesza się z powietrzem. Od tego to kałuże wysychają, wysycha i ziemia wilgotna po deszczu lub po roztopach zimowych; schnie również, tylko prędzej, mokra bielizna rozwieszona na płocie lub na sznurze. Zawsze, kiedy jaka rzecz schnie, to znaczy, że woda z niej obraca się w parę i rozchodzi się w powietrzu.

W kraju naszym jest tyle rzek, strug, a stronami jezior i ziemi bagnistej, że nigdy się nie zdarza, żeby w powietrzu nie było pary rozpuszczonej, zawsze jej jest choć trocha. Wielkie to dobrodziejstwo, bo para sprawia, że w lecie upały, a w zimie mrozy są daleko znośniejsze, powietrze zaś nie takie przykre, nie wysusza nam bardzo skóry i płuc, i jest zdrowsze.

Gdy w powietrzu jest dużo pary, to mówimy, że jest ono wilgotne:; jeżeli zaś pary jest mało, albo niema wcale, to powietrze nazywamy suchem. Powietrze może rozpuszczać parę tylko do pewnej miary; kiedy się już wilgocią nasyci, to więcej pary nie przyjmuje. Dlatego to kiedy ludzie chcą, żeby wymyta podłoga prędzej wyschła, to muszą drzwi i okna w izbie poroztwierać, aby w niej powietrze się zmieniało i zabierało parę. Gdyby izba była ciągle zamknięta szczelnie, toby powietrze w niej niedługo nasyciło się parą i wilgoć z podłogi wyjśćby nie mogła. Kiedy jest wiatr, to bielizna na nim schnie prędzej, bo powietrze ciągle się zmienia i łapczywie parę zabiera. Przytem trzeba jeszcze wiedzieć, że to samo powietrze, będąc dobrze ogrzane, więcej pary w sobie rozpuści, niż wtenczas, kiedy jest zimne; aby więc podłoga w zimie prędzej wyschła po wymyciu, należy w piecu dobrze napalić.

Jak i dlaczego tworzy się mgła

Para, kiedy dopiero wylata z gotującej się wody, składa się z mnóstwa kropeleczek lekkich i drobniutkich jak pyłek. Kropeleczki te lecą gęsto, jedna tuż przy drugiej, i tworzą białą albo szarą mgłę. Widzimy parę póty tylko, póki ona jest gęsta. Kiedy rozejdzie się po powietrzu, to robi się rzadka i wtenczas każda kropeleczka pary rozprasza się jeszcze na mnóstwo cząsteczek tak drobnych, że ich nijak widzieć już nie można. Kropeleczki te rozpuszczają się w powietrzu tak samo, jak sól w wodzie. Jeżeli jednak zimno te cząsteczki oziębi, zlatują się one znowu do kupy w drobniutkie kropeleczki i robi się z nich mgła. Otwórz w zimie drzwi z ciepłej izby do sieni albo na dwór, a natychmast ujrzysz parę we drzwiach. Ta sama para była w izbie już i przedtem, ale taka rzadka, że jej nikt nie widział; dopiero kiedy na nią zimno uderzyło, to zaczęła się skupiać w kropeleczki jak najdrobniejszy pyłek, i zrobiła się z niej biała i widoczna dla oka mgła. Z ust naszych przy oddychaniu także para ciepła zawsze wychodzi: ale widzimy ją tylko wtenczas, kiedy od zimnego powietrza gęstnieje i zbija się również w mgłę.

Owa biała i gęsta mgła na dworze, która nieraz o kilka kroków nie pozwala nic widzieć, to także nic innego, tylko para zgęszczona. Mgła zawsze powstaje z oziębienia się pary w powietrzu. Ciepła i wilgotna ziemia, łąka, bagno, albo też wprost rzeka lub jezioro wypuszcza z siebie parę, a ta napotyka zimniejsze od

Na Bazary—Bale—Zabawy—Pikniki—itp. okazje

Na Bazary Najrozmaitsze piękne i wartościowe artykuły.
Na Bale Serpentyny, Grzechotki Balony, Dekoracje itd. Czapki, Confetti, Maski,
Na Pikniki Koła do gry, towary do wygrywki i inne prezenty

Piszcie po Katalogi

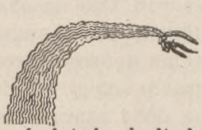


Confetti

w Woreczkach Papierowych
Jasne kolory, spora zawartość w każdym woreczku, 100 woreczków w skrzynce.

No. C-332.
Za 100 woreczków..**$1.35**
Za 1,000 woreczków......................................**$13.00**

Serpentyny



No. S-336.—Serpentyny Confetti. Wstążki papierowe w jaskrawych kolorach w rolkach, które przy wyrzucaniu świetnie imitują węża kolorowego. 25 rolek w doborowych kolorach w przeźroczystych paczkach.
100 rolek..**30c**
1000 rolek......................................**$2.50**

Największe Polskie Przedsiębiorstwo Hurtowne w Ameryce

Wszelkie listy wraz z pieniędzmy prosimy nadsyłać do:

AMERICAN NOVELTY SUPPLY HOUSE

1418 Augusta St. Chicago, Ill.

Firma zorganizowana w 1919 r.

***W. Janicki,* Zarządca**

ZWIĄZKOWCY — ZJEDNOCZEŃCY — POLACY!

Gdy urządzacie jakiekolwiek zabawy, niech hasłem waszem będzie GODŁO POLSKIE, lub Waszej Organizacji, na Waszej czapce.



American Novelty Supply House

ORZEŁ POLSKI ASSORTMENT NO. 99

Idealna mieszanina kapeluszy, 12 wzorów. Tak dla mężczyzn, jak i dla niewiast, zrobione z jak najlepszego gatunku papieru, **z godłem Polski** w kolorach, stosowne na różne okazje.
Cena za tuzin..**50c**
Za sto (100)..**$4.50**



American Novelty Supply House

Z. N. P. ASSORTMENT NO. 86

Idealna mieszanina kapeluszy, 12 wzorów. Tak dla mężczyzn jak i dla niewiast, zrobione z jak najlepszego gatunku papieru. Stosowne na bale, wymarsze, bankiety instalacyjne Towarzystw itd. Z godłem Związku Narodowego Polskiego w naturalnych kolorach.
Cena za tuzin..**55c**
Cena za sto (100)....................................**$4.50**

siebie powietrze, więc zgęszcza się i obraca się w mgłę. Kiedyindziej ciepłe ale wilgotne powietrze przechodzi ponad zimną wodą, oziębia się od niej, i nie mogąc już utrzymać w sobie rozpuszczonej pary, pozwala jej zgęścić się i tym sposobem również mgła powstaje. Często też w nocy można zdaleka poznać, gdzie jest woda, bo ponad nią biała mgła się unosi.

Jeżeli mgła odrywa się od ziemi i leci wysoko w górę, to gospodarze mówią, że pewnie będzie niepogoda. Często się też sprawdza ta gadka, bo jeśli mgła może lecieć wysoko, to znak, że powietrze jest tak nasycone już wilgocią, iż nowej pary rozpuścić nie może, a przy takiem powietrzu o deszcz bardzo łatwo. Gdyby powietrze było suche, toby mgła wysoko wznosić się nie mogła, bo odrywając się od ziemi, wnet by się w niem rozpuszczała. Mgły zwykle bywają w nocy lub z rana; we dnie zaś przy cieple słonecznem powietrze tak się rozgrzewa, że rozpuszcza w sobie wszystką parę.

U nas mgła zwykle nie wiele kogo obchodzi; ale w krajach przy morzu leżących, naprzykład w Anglji i w Holandji, daje się mocno we znaki, bo często tam ludzie po kilka dni i nocy świata bożego nie widzą, wszystko przed nimi para wodna zakrywa. Podczas takiej mgły po miastach i wioskach tamtejszych w samo południe nawet bywa tak ciemno, że muszą lampy w mieszkaniach i latarnie na ulicach palić.

Rosa. — Szron. — Zamróz na murze i na szybach. — Gołoledź

Para oziębiona w powietrzu skupia się w kropeleczki mgły; ale kiedy oziębi się mocniej, to się skupi jeszcze więcej i obróci się w krople wody. Wnieś cokolwiek z zimnego powietrza do ciepłej izby, to wnet zrobi się mokre, pokryje się rosą, albo, jak mówią, potem. Skąd ta rosa? Oto z pary, która jest w powietrzu w ciepłej izbie. Część tej pary dotknęła się do zimnej rzeczy i skupiając się w krople osiadła na niej. Zupełnie tak samo osiada para na szybach okien, które się od nadworza mocno oziębiły. Mówimy, że okna się pocą; ale naprawdę to nie jest pot, jeno rosa. Pot występuje tylko na ludziach i zwierzętach, a tworzy się nie z pary, która jest w powietrzu, ale z wody, co ją krew przez skórę wypuszcza.

Latem po zachodzie słońca lub wśród nocy, kiedy niebo jest pogodne, para powietrzna osiada kroplami rosy na ziemi, na trawie, kwiatach, liściach i na dachach. Jakimże sposobem to się dzieje? Oto ziemia ma taką własność, że choć nagrzeje się we dnie, to wieczorem bardzo prędko ciepło z siebie wypuszcza i stygnie; ziemia i rośliny na niej rosnące oziębiają się daleko prędzej niźli powietrze. Powietrze, dotykając się do zimnej ziemi, zmuszone jest puszczać z siebie parę, i ta zgęszcza się w krople wody zwane rosą. Niektóre rzeczy, jak naprzykład żelazo, miedź i inne metale wypolerowane, nie oziębiają się tak prędko, jak ziemia i rośliny, więc też i rosa na nich nie siada.

Ale teraz zapytać każdy może, dlaczego w noc pochmurną rosy nie bywa? Na to jest jedna tylko odpowiedź: chmury okrywają ziemię niby dach, i nie pozwalają jej stygnąć w nocy, wypuszczać ciepło tak prędko.

Na wiosnę i w jesieni ziemia ochładza się na noc jeszcze mocniej niźli latem, tak, że aż mróz czuć od niej. Wtenczas drobniutkie kropeleczki pary z powietrza tykając się do trawy, do drzew i dachów, natychmiast marzną, zamieniają się w lód i układają się jedne na drugich w podłużne igiełki. Tym sposobem tworzy się szron, którym z rana rośliny i dachy bywają ubielone jakby śniegiem.

Zamróz na ścianach, który bywa wtenczas, jak po długich mrozach odwilż nastąpi, to także szron zwyczajny. Ludzie błędnie myślą, że ten zamróz ze ścian wyłazi. Mur od mrozów jest namarznięty i nie ogrzewa się tak prędko, kiedy zimno zelży na dworze; wtenczas para z wilgotnego powietrza, dotykająca się do muru, skrapla się od jego zimna, osiada i bez odwilży na ścianach izb wewnątrz domów, gdzie bywa dużo pary i wilgoci, a ściany są za cienkie, za zimne. Gdyby te izby były utrzymane sucho, toby na ścianach para nie osiadała i tak zwanego "mrozu" na nich by nikt nie widział.

W zimie podczas mroźnej pogody tworzą się różne piękne wzory na szybach okien. Powstają te wzory równie z pary powietrznej, która się od środka mieszkania na namarzłem szkle osiada. Kiedy słońce przygrzeje, albo mróz zelży, wtenczas lód na szybach topieć zaczyna i leje się z okien na ziemię. Staranne gosposie mają z tem dużo kłopotu, bo muszą ciągle wodę z okien zbierać, aby się po ścianach i na podłogę nie lało. Ale jest na to bardzo łatwy i dobry sposób. Oto na oknie pod samą ramą trzeba położyć długi pasek z sukna, flaneli albo wojłoku — ku jednemu końcowi zwężony na pół palca szerokości i śpiczasto ścięty. Koniec ten z boku okna należy spuścić na dół i zanurzyć do flaszki lub do innego naczynia, które można podstawić lub zawiesić na gwoździku wbitym w ścianę pod okniem. Pasek taki wszystką wodę wciąga do siebie i odprowadza ją do naczynia. W braku odpowiedniego materjału na pasek, można zamiast niego użyć prostego sznurka, ale ten nie tak już dobrze wodę ściąga i odprowadza. Wodę z podstawionego naczynia trzeba co jakiś czas odlewać, aby się nie polało z niego przez wierzch, gdy się zbytecznie napełni.

Jeżeli w zimie na zmarzłą ziemię nagle niewielki deszczyk albo rosa spadnie, to woda natychmiast zamarza i robi się nieznośna ślizgawica, gołoledź. — Komu wtenczas iść wypadnie, trudno mu się utrzymać na nogach. Najlepiej jednak i najbezpieczniej w takim razie iść ostrożnie lecz śmiało, lekko nogi stawiać, prędko z nogi na nogę przestępować, za każdem zaś stąpnięciem wpierw stawać na palcach, a dopiero potem na pięcie zlekka się opierać, posuwając nogę naprzód.

Obłoki i chmury

Któż nie pomyślał sobie choć raz w życiu, jak to wyglądają z bliska owe bieluchne obłoki, co je nieraz widać na pogodnem niebie. Czasem lecą zwolna

wysoko po błękicie, niby strzępy waty: czasem biegną kłębami, jak stado białych owieczek; to znowu ukazują się gdzie ponad skrajem widnokręgu i przesuwają w dziwacznych kształtach, jakby jakieś góry, albo jakieś ogromnych wojsk szeregi... Przy wschodzie lub zachodzie słońca obłoki te i chmury czerwienią się krwawo, płoną ogniście, albo lśnią jaskrawo, że zdaje się — złoto z nich aż kapie. Niezawsze jednak one wyglądają tak ładnie. Nieraz idzie ku nam po niebie czarna chmura, że aż strach ludzi bierze, kiedy na nią patrzą; zakrywa sobą słońce, z jasnego dnia robi ciemność i darzy nas deszczem, a niekiedy błyskawicami, piorunami i gradem. Czasami też calutkie niebo pokrywa się jedną szarą chmurą, która dni kilka, a nawet i parę tygodni nie daje słonka Bożego oglądać.

Zaprawdę ciekawa to rzecz te chmury i obłoki. Cóżby to niejeden człowiek dał za to, żeby choć raz w życiu mógł dotknąć się ręką takiego prawdziwego obłoka, pomiędzy jakiemi aniołków na obrazkach malują, albo żeby mógł zajrzeć na chwilę też tam, gdzie te obłoki wiszą i pływają.

Chodzi gadka wśród ludzi, że obłoki z nieba czasem spadają na ziemię. Słyszeć też nieraz można, jak ktoś opowiada, że zna kogoś takiego, co na własne oczy widział człowieka, który mówił, że dotykał się ręką do kawałka obłoka, co raz gdzieś spadł z nieba; że ten obłok był gęsty i trząsł się jak galareta, lub jakby klej stolarski rozmiękczony w wodzie. Ludziska wierzą takim opowiadaniom i lubią powtarzać je drugim; ale czy w tem dużo prawdy? — zobaczycie.

Są naprawdę tacy ludzie, którzy obłoki i chmury oglądali zblizka, mieli je tuż przy sobie, niemal brali je w garść. — Aby się dobrze chmurom i obłokom przyjrzeć, trzeba dostać się het wysoko, aż tam, gdzie one wiszą. Ludzie mają na to dwa sposoby. Oto najpierw mogą się wznieść w górę balonem. Używali tego sposobu niektórzy ludzie, zajmujący się nauką o pogodzie i wzlatywali aż w środek chmur, albo nawet wyżej ponad chmury się wznosili. Drugi sposób dostania się do obłoków jest bodaj łatwiejszy, bo można do nich dojść pieszo. Wyczytawszy to, zdziwi się może ktokolwiek i z niedowierzaniem kiwnąwszy głową mruknie sobie pod nosem: — hu — hu! do obłoków piechotą! — A jednak tak jest. W różnych okolicach na ziemi są góry tak wysokie, że wierzchołki ich nikną często w obłokach, albo z ponad obłoków i chmur wyglądają. Dosyć wejść w odpowiedni dzień na taką górę, aby człowiek znalazł się wśród obłoków, jak owe aniołki na obrazkach malowane. Pierwszy lepszy podróżnik, pojechawszy w góry, może przyjrzeć się dobrze chmurom i obłokom, byle tylko nie żałował trudu nóg, któremi trzeba przez jaki cały dzionek wspinać się wciąż na stromą górę i byle nie bał się iść po wąskich i nierównych ścieżkach, wijących się ponad przepaściami po skałach urwistych. Jakże dziwnie i ładnie stamtąd świat wygląda. Z jednej strony z poza gór niższych widzisz w dzień pogodny i jasny pola, lasy, rzeki, wsie i miasta hen daleko, aż o mil kilka, a jeśli przyłożysz do oka dobrą lunetę (rurkę długą ze szkłami powiększającemi), to ujrzysz jeszcze o wiele dalsze miejscowości. Obróciwszy się w stronę inną, masz przed oczyma wierzchołki mnóstwa gór tak samo wysokich, jak ta, na której stoisz, pomiędzy niemi zaś głębokie przepaście i doliny, w które stacza się gdzieniegdzie białym sznureczkiem woda pieniących się i szumiących potoków. Tam to możesz bardzo często napatrzyć się do syta obłoków, które tuż koło ciebie przelatują. Czasem biały obłok płynie w powietrzu ponad samą twoją głową, że możesz go ręką dosięgnąć; to znowuż takiż obłok idzie z wiatrem gdzieś głęboko dołem pod twemi nogami, rozbija się o skały, które stoją mu na drodze, zawadza i drze się o drzewa na spadkach gór rosnące... to gdy wiatr ustanie, zatrzyma się i stoi czas jakiś na miejscu zawieszony w powietrzu między górami. Często obłoki takie uczepią się jakiejś góry i wieńcem ją otoczą, albo z wierzchu niby białą kłębiastą czapką przykryją. Zdarza się też, że obłok wprost na to miejsce przychodzi, gdzie ty stoisz, i całego ciebie ogarnia sobą. Wtenczas to już najlepiej możesz się przekonać, co to są te obłoki, z czego one się składają. Nie galareta to wcale kleista i trzęsąca się, jak to owe gaduły prawią; ale poprostu jest to para wodna zgęszczona, mgła podobna tej, o jakiej była już mowa.

Jeśli dużo obłoków zbije się razem jedne na drukie do kupy i jeszcze więcej w nich para zgęści, to robi się z nich chmura. Chmury są tak grube, że jasność słońca przez nie przenikać nie może, pada od nich ciemny cień i wyglądają jakby były szare albo nawet i czarne. Często się zdarza, że wierzchołków gór wysokich wcale z dołu nie widać, bo są zupełnie chmurami zakryte. Jeśli wtenczas kto znajduje się na takiej górze, to przemoknie do nitki, tak para w chmurze jest gęsta i wilgotna. Bywa to często z pasterzami góralskimi, którzy na całe latą idą na łąki górskie i pasą tam owce. Aby uchronić się od takiej częstej kąpieli w chmurach, noszą oni koszule nasiąknięte tłustością, która wody nie przepuszcza do ciała.

Skądże tam wysoko bierze się woda? skąd tam jej tyle, że z jej pary tworzą się obłoki i chmury ogromne? Wszystka ta woda pochodzi z ziemi, z bagien, jezior, stawów, rzek, a najwięcej z morza. Gdy słońce przygrzeje, woda nisko na ziemi będąca zamienia się zwolna w parę i ulata w powietrze coraz wyżej i wyżej. Para to jednak taka rzadka i w tak drobnych pyłach, że jej nikt nie widzi. Dopiero kiedy wzbije się ona wysoko w powietrze, tam się mocno oziębia, zgęszcza się coraz mocniej, i wtenczas tworzy się z niej mgła, obłoki i chmury. Najwięcej wody jest w morzach i najwięcej z nich pary ulata; a przez to i wszystkie większe chmury tworzą się ponad morzem, skąd je dopiero wiatry na stały ląd przynoszą.

Ale od czegóż znowu para wzleciawszy wysoko tak oziębia się i gęścieje? Czyż wysoko w górze zimniej, niźli na dole? Właśnie, że im wyżej tem jest zimniej. Powietrze wysoko słabiej się ogrzewa, niźli przy ziemi. Stąd na wysokich górach lato zaczyna się później i wcześniej się kończy, aniżeli u nas na nizinach.

Kto weźmie to wszystko na uwagę, a rozumie już z poprzedniego czytania, jak się mgła zwykle tworzy, to go już teraz nie zdziwi, że w górze para się zgęszcza, że tam tworzą się z niej obłoki i chmury.

Ale teraz możecie zadać nowe pytanie: dlaczego w górze jest tak zimno? Wszakże tam słońce powinno grzać tak samo, a może nawet lepiej, niż przy samej ziemi? Zanim ja wam na to odpowiem, to przypomnijcie sobie, czyście nie zauważyli kiedy zimą w dzień jasny, że chociaż był mrozik na dworze, powietrze było zimne, to jednak szyby w oknach i drzewo na ścianach budynków tak się nagrzewały od słońca, że przyłożywszy rękę ciepło od nich czuć było. Powietrze trudniej i mniej nagrzewa się od słońca, aniżeli szkło i drzewo. Jak szkło i drzewo, tak podobnież ogrzewa się od słońca i ziemia, a potem wypuszcza ona z siebie ciepło i oddaje go powietrzu. Tym sposobem powietrze jest niżej przy ziemi, bliżej do niej, tem jest bardziej od rozgrzanej ziemi. Z tego powodu im powietrze jest niżej przy ziemi, bliżej do niej, te mjest cieplejsze; a im więcej w górę, im dalej od ziemi, tem jest zimniejsze; zaś bardzo wysoko powietrze jest wiecznie mroźne, i choć przepuszcza przez siebie ciepło, które idzie od słońca ku ziemi, ale samo mało z tego ciepła korzysta, nie rozgrzewa się prawie od niego.

Kiedy też po zimie słońce zaczyna mocniej przygrzewać i następuje wiosna, to najpierw ociepla się nie powietrze, jeno ziemia; a dopiero od ziemi ciepło po powietrzu się rozchodzi.

Jak chmury utrzymują się w powietrzu i jak się tworzy deszcz

Jeżeli para w powietrzu się oziębi, to, jak już wiecie, tworzy się z niej pyłek tak drobniuteczki, że jego pojedyńczych ździebeł dostrzedz okiem niepodobna. Pyłek ten zbiega się do kupy i robi się z niego albo mgła, jeśli to jest nisko przy ziemi, albo obłoki i chmury, jeżeli jest wysoko w górze. Pyłek ten — to są bardzo drobne kropeleczki wody. Ale wiadomo, że woda jest ciężka; jakimże więc to sposobem się dzieje, że chmury złożone z takich kropelek wody nie spadają na ziemię, lecz utrzymują się wysoko w powietrzu? Naprawdę kropeleczki owe spadają, ale nie mogą dolecieć do ziemi, bo jak tylko w swym locie spadną niżej, gdzie powietrze jest cieplejsze, to zaraz schną, napowrót zamieniają się w parę i ulatują w górę, a tam, oziębiwszy się znowu, łączą się z chmurą. Z tego to powodu chmury, choćby stały na miejscu nieporuszone wiatrem, to jednak zmieniają ciągle w oczach naszych swe kształty.

Niektórzy uczeni domyślają się jeszcze, że owe pyłki wodne są naprawdę tak lekkie, iż same ulatują w górę, i same utrzymują się wysoko w powietrzu. Sądzą ci uczeni, że pyłki te — to są właściwie nie kropeleczki pełne wody, ale pęcherzyki mające wodę z wierzchu, a wewnątrz wydęte powietrzem cieplejszem, a więc i lżejszem od tego, jakie jest dokoła. Pęcherzyki te są więc zupełnie podobne do owych baniek mydlanych, co je dzieci za pomocą słomki nieraz bawiąc się puszczają. Jak owe bańki, tak samo i drobniutkie pęcherzyki wodne lecą w górę.

Zapewne też zwyczajna mgła przy ziemi i obłoki z takich pęcherzyków się składają. Ale co do chmur deszczowych, to one zawierają już w sobie pełne kropeleczki, które wciąż opadają, i w cieplejszem powietrzu, nie dosięgłszy ziemi, rozlatują się jako para. Z tej to przyczyny na wysokich górach, gdy je chmury ogarną, ziemia robi się wilgotna jak od deszczu, a ludziom tam się znajdującym ubranie nawskróś przemaka.

Gdy chmura jeszcze lepiej się oziębi, wtenczas owe drobniuchne kropeleczki zbierają się w wyraźne krople deszczu, które pędem lecą jedna za drugą na dół. Aby przekonać się, jak chmura w deszcz się zamienia, można łatwo zrobić doświadczenie: wziąć zimny talerz i potrzymać go nad parą ulatującą z wrzącej wody. Para, dotykając się do talerza i oziębiając się od niego, zacznie osiadać na nim kroplami wody. Jeśli talerz jest bardzo zimny, to potworzą się krople takie duże i ciężkie, że będą musiały spadać na ziemię niby deszcz.

Krople deszczu, lecąc z chmur na ziemię, zabierają po drodze wilgoć z powietrza, zasilają się nią i rosną coraz więcej; malutka kropelka, zanim dosięgnie ziemi, zamienia się w ten sposób w dużą kroplę. Robi się z nią w drodze to samo, co z małą bryłką śniegu, kiedy ją potoczysz po pokrytej śniegiem ziemi: będzie do niej przylepiało się śniegu coraz więcej, aż wreszcie zrobi się duża bryła czyli baba śniegowa.

Zdarza się jednak bardzo często i coś zupełnie naodwrót: oto z chmur pada spory deszcz, a tymczasem na ziemi sucho zupełnie, ani jedna kropla nie spadnie. Wszystek deszcz wysycha w powietrzu i w postaci pary wraca naodwrót w górę. Świadkami tego bywają mieszkańcy dwóch miejscowości pobliskich, gdy jedna leży na wysokiej górze, a druga w nizinie. Tak naprzykład niedaleko od miasta Kielc są góry zwane Łysemi, mniej więcej pół wiorsty wysokie. Na jednej z nich stoi starożytny kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża, a w pobliżu, już pod górą jest miasteczko Słupia. Otóż często jedna chmura zawiśnie ponad tym kościołem i miasteczkiem, i wtenczas przy kościele na górze nieznośny deszcz pada, a w miasteczku jest sucho. Na górze też deszcze są bardzo częste, a w nisko położonej Słupi bez porównania rzadziej padają, bo zanim z chmury tam dosięgną, to nikną w powietrzu.

Zjawisko to jednak zdarzać się może tylko wtenczas, kiedy powietrze ponad ziemią jest suche i niezbyt zimne. Jeżeli zaś powietrze jest przesycone wilgocią, parne, — wtenczas krople deszczu wysychać nie mogą i wszystkie na ziemię spadać muszą, rosnąc przy tem jeszcze po drodze.

Aby więc deszcz padający z chmur mógł dosięgnąć ziemi, trzeba, żeby powietrze przy niej było wilgotne, nasycone parą, i tym sposobem nie wysuszało kropel deszczowych w przelocie.

Zdarza się czasami, choć to już bardzo rzadko, że chmury wcale nie widać nad nami, a tymczasem niewiedzieć skąd deszcz spadnie. Bywa to wtenczas, kiedy w ciepłem powietrzu jest dużo wilgoci, i kiedy ta wilgoć napotka nagle w górze wiatr zimny. Wtenczas para tak raptownie się oziębia, że niema czasu zbić się w obłok lub w chmurę, ale odrazu zamienia się w krople wody (jakby na owym zimnym talerzu, co go dawałem za przykład), i te krople spadają na ziemię.

Nielogiczna matka

Jaś udaje konia, wpada galopem do ciemnego pokoju i naturalnie rozbija sobie nos o szafę. Mama chwyta go na ręce i mówi z wyrzutem:

— A widzisz! a widzisz!

— A właśnie, że nic nie widzę — krzyczy Jaś — bo jest ciemno, dlatego się trzasnąłem.

Ich zmartwienia

Józio płacze, bo mu wypadł ząb mleczny. Babcia go pociesza: — Nie płacz Józiu! odrośnie ci ten ząbek!

— Tak, ale nie zdąży do dzisiejszego obiadu!

Bank Polski



Widoczny symbol polepszających się stosunków finansowych w Polsce

Bank Polski (Bank of Poland), założony w roku 1924, rozwija się znakomicie, a powyżej umieszczona fotografja daje nam podobiznę olbrzymiej sali tego banku w Warszawie i całej rzeszy licznych klientów. — Bank Polski został założony z kapitałem miljona akcji po 100 złotych akcja i cały ten kapitał został pokryty w ciągu dwóch miesięcy. Bank Polski jest kontrolowany przez rząd. Gubernatora i wice-gubernatora Banku Polski mianuje Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów na lat pięć. Bank Polski ma 48 filjalnych biur, 50 agencji na prowincji i 39 korespondentów.

Od Nagości do Odzieży Współczesnej

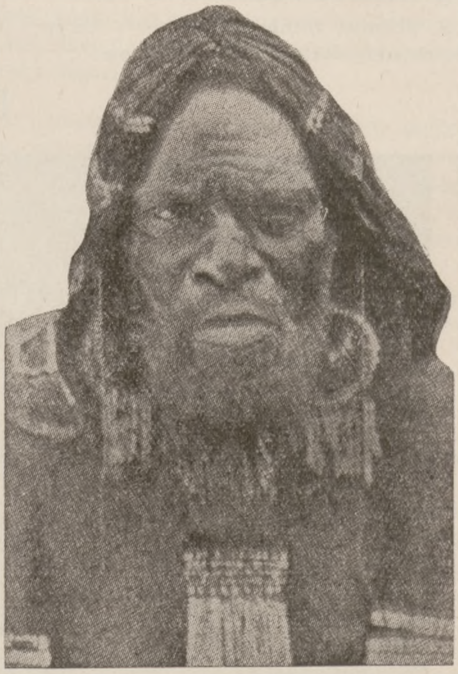
Gdyby komu strzeliła dziś do głowy myśl wyjścia na ulicę nago, okrzyczanoby go za warjata i umieszczono w zakładzie dla obłąkanych. A jednak istniały czasy, kiedy ludzie chodzili nago. Było to bardzo dawno.

Z natury swej człowiek bardzo słabo zabezpieczony jest przed wpływami atmosferycznemi, owadami i zimnem. Uwłosienie nawet najobfitsze, nie chroniło go od tego. Zjawia się więc przypuszczenie, czy powstania odzieży nie należałoby tłumaczyć sobie ochroną przeciwko wpływom zewnętrznym, zwłaszcza przeciw zimnu? Bez wątpienia, choć nie tylko tem. Wiemy, że Czukcze podczas pięćdziesięciostopniowych mrozów nie przykrywają głowy, mieszkańcy Ziemi Ognistej, żyjący wśród lodowców, chodzą nago i grzeją się tylko u ognisk.

Pochodzenie odzieży przypisać można również poczuciu wstydu. Przypuszczenie to popiera fakt, że pierwsze próby odzienia dotyczą okolic bioder. Skądinąd zaś wiemy, że poczucie wstydu zrodziło się później. Wiadomem jest, że człowiek pierwotny starał się podkreślić swą nagość, ozdabiając się tylko brzęczącemi i dźwięczącemi przedmiotami. Wiemy również, że poczucie wstydu zjawia się u człowieka stopniowo i przybiera najrozmaitsze, względne formy: np. arabki, muzułmanki z północnej Afryki w obecności mężczyzn zakrywały sobie twarze, a nie biodra. Wieśniaczki rosyjskie uważają za nieprzyzwoitość zjawienie się wobec mężczyzn w rozpuszczonych włosach, podczas gdy wspólne kąpiele nie gorszą nikogo.

Ważnym czynnikiem pojawienia się odzieży była chęć przyozdobienia się, upiększenia ciała swego. Istnieją narody, którym obcą jest odzież zupełnie, lecz niema narodu bez namiętności do upiększania się. Wykopaliska z epoki kamiennej, bronzowej i innych, obfitujące w naszyjniki z ości rybich, kłów i rzezanych kości zwierzęcych, doskonałym są tego dowodem.

Potrzeba upiększenia się od niepamiętnych czasów tkwiła w człowieku bardzo głęboko. Była instynktem. Mieszkańcy Oceanji, archipelagu Samoa ozdabiają się w kwiaty, pióra, ości, płytki kokosowe. Oblubieniec z wyspy Jappa nad przygotowaniem naszyjnika ślubnego z ości rybich i szyldkretu pracuje bardzo mozolnie. Dopóki naszyjnik nie osiągnie przepisanej długości, wzbroniony jest mu ożenek. Ozdoby bywają dwóch rodza-



Stary papuas w stroju żałobnym

jów: takie, które dają się z łatwością włożyć i zdjąć, jak n. p.: pierścienie, bransolety, naszyjniki, upiększenia bioder i piersi — oraz ozdoby związane z deformacją i zmianą bezpośrednią ciała ludzkiego. Są to: przekłuwanie uszu, nosa, tatuowanie, zniekształcenie czaszki, rąk i nóg. Najbardziej rozpowszechnione są ozdoby rąk, nóg, głowy, szyji, tułowia, jak to: djademy z piór (indjanie północnej i południowej Ameryki), pierścienie metalowe (starożytna Grecja i Rzym), grzebienie z drzewa lub szyldkretu, kolce w nosie lub

w uszach, oraz bransolety. Największa rozmaitość istniała w naszyjnikach, które wyrabiano z kamyków, kości, gliny, szkła, srebra, bronzu i bursztynu. Chętnie ozdabiano nagie plecy rodzajem wstążek, naszywanych suto metalowemi krążkami i kamykami. Dzisiejsze akselbanty generałów stąd właśnie biorą swój początek. Ozdabianie piersi służyło głównie w celu obrony przed ciosem nieprzyjaciela. U mieszkańców Oceanji ozdoby te, rodzaje tarczy, wyrabiano z kłów szakala i ości rybich. Gdy zaczęto nosić odzież, okrywając całe ciało, ozdoby piersi przeniesiono na powierzchnię odzieży. Wszelkie kolje, wisiory, breloki, brosze, są niczem innem, jak tylko przeobrażoną formą ozdób naszych nagich praojców.

Najchętniej i najróżnorodniej ozdabiano ręce i nogi. Bransolety znane są we wszystkich czasach i u wszystkich narodów. Metal, ości, szkło, plecionka z włókien kokosowych (Oceanja), korzenie i łodyga ljanosów — oto najczęściej używany w tym celu materjał. Azja nie zadawala się już tak prymitywną "biżuterją". Wytwarza ozdoby z kolorowego szkła, z drzewa w srebrnej oprawie, złota i stopu ołowiu z cynkiem; z tych zwłaszcza wyrabiane są okrągłe, cienkie, typowo chińskie i japońskie, naramienniki. Wschód muzułmański lubował się w całkiem odmiennej formie bransolety: tu spotkać można było często naramienniki płaskie, szerokie, niedomykające się, wysadzane kamieniami, szkłem i ozdabiane rysunkami. W Afryce spotykamy przeważnie metalowe — z rzadka zaś pochodzenia europejskiego — szklane bransolety. Naramienniki metalowe sporządzają tu z europejskiego drutu, często telegraficznego, z wyjątkiem Afryki północnej, obfitującej w metale, gdzie przeważnie ozdoby rąk wyrabiają ze złota. Bransolety z drutu u pewnych plemion dochodzą wagi 5 do 6 funtów. O ile bransolety ręczne zachowano po dzisiejsze czasy, o tyle bransolety nóg, rzadsze znacznie, znikły szybko. Zachowały je jedynie narody nie znające wcale odzieży, lub noszące ją tylko częściowo. Starożytni Grecy i Rzymianie przy sandałach nosili rzemienie, rodzaj nożnych bransolet. W Afryce i Oceanji po dziś dzień jeszcze noszą na nogach spiralne obręcze z drutu dochodzące do 10 funtów wagi. Pozostałością po nożnych bransoletach są rzadko napotykane już lampasy na spodniach. Na palcach rąk noszono po kilka pierścieni, nanizanych z najróżnorodniejszego materjału, jak to: metalu, szkła, plecionki, kości.

Palce nóg ozdabiano rzadziej (Indje), gdyż stanowiło to przeszkodę w chodzeniu i bieganiu. Zwyczaj ten zachował się jednak do dziś dnia wśród kobiet południowej Afryki i Indyj. Ozdoby bioder mają już charakter odzieży: pas lub sznur — wkoło pasa spotykamy najczęściej. Do pasa takiego przyczepiają wisiory, brzękadła, metalowe krążki, a w Afryce — ogon lamparta w celu upodobnienia się do tego zwierzęcia.

Drugi rodzaj ozdób nazwaćby należało deformowaniem, z niekształceniem ciała. Na pierwszym planie mamy tatuowanie skóry, dalej — zniekształcenie czaszki, nóg, rąk, piersi, łydek, a wreszcie zupełne usuwanie pewnych organów, jak to: zębów, palców, kastracja i t. d. Tatuowanie skóry do niedawna jeszcze w Europie było zjawiskiem dość rozpowszechnionem i dopiero specjalny edykt położył kres tym operacjom. Dwa są rodzaje tatuowania. Do pierwszego należy rycie na skórze ostrym narzędziem według określonego rysunku. Operacji tej dokonywa "specjalista", który utworzone głębokie rany przysypuje popiołem lub ziemią. Na ich miejscu po pewnym czasie zjawiają się szramy — blizny, tworzące odpowiedni rysunek. Owe blizny w formie kresek malują farbą czarną, czerwoną lub białą. Drugi rodzaj tatuowania, bardziej skomplikowany, polega na przekłuwaniu i nacinaniu skóry i wprowadzaniu podskórnem farby, przeważnie niebieskiej, w Japonji — czerwonej i czarnej. Operacja ta w Oceanji odbywa się bardzo uroczyście, zwłaszcza na wyspach Salomona i Karolińskich. Najwymyślniejsze formy tatuowania spotykamy u Maorysów: tatuują oni nietylko skórę pleców, piersi, rąk, nóg i twarzy, ale nawet usta pokrywają głębokimi rysunkami, przyczem im osobnik bogatszy i dostojniejszy — tem rysunek bardziej skomplikowany. Najsilniej tatuowani byli wodzowie Maorysów. Ten rodzaj tatuowania, do niedawna jeszcze praktykowany w Japonji, robiony przeważnie farbą czerwoną i niebieską, wyobra-

żał smoki, drzewa, ptaki, postacie kobiece. Tych niezwykle filigranowych rysunków dokonywano przy pomocy igły i nitki, umaczanych w farbie. Zwyczaj upiększania się drogą tatuowania wyda się nam bardziej zrozumiały, gdy wspomnimy o namaszczeniu i malowaniu ciała i twarzy. Człowiek, zwłaszcza w okolicach podzwrotnikowych, w obronie przeciw ukąszeniom owadów, na wzór zwierząt chętnie zanużał się w kałuże i błota, które w następstwie zasychało na nim i tworzyło warstwę ochronną. W Afryce masę taką robią z gliny i krowiego nawozu nietylko jako środek ochronny przeciwko owadom, lecz również w celu osobliwego upiększania się. I w tem szukać należy pochodzenia wszelkich kremów i maści kosmetycznych.

W miarę czasu zjawił się cały szereg barwników, których człowiek zaczął używać. Indjanin maluje swą twarz na różne kolory, stosownie do okoliczności: żałoby, wojny, święta i t. d. Australijczyk nawet — stosownie do nastroju ducha. Zwyczaj malowania się i pudrowania istniał od niepamiętnych czasów nawet u narodów tak kulturalnych, jak Hindusi i Chińczycy. Chinka pudruje się tak silnie, że nie znać zupełnie naturalnego koloru jej twarzy, hinduska maluje na policzkach znaki swej kasty. Zwyczaj ten ze wschodu przeszedł następnie do Europy, gdzie n. p. za czasów dyrektorjatu pudrują sobie włosy, a na twarz nalepiają muszki. Zwyczaj malowania ust, oczu rzęs i brwi istniał zatem nie tylko w Europie, ale i na wschodzie.

Z innych deformacyj wymienić należy zniekształcenie czaszki. Prawie wszystkie plemiona północnej Ameryki deformują czoła swym dzieciom, nadając im kształt spadzistostromy. Odbywa się to za pomocą specjalnego ucisku, nierzadko kończącego się śmiercią. — Najbardziej oryginalnych form zwyczaj ten osiągnął w starożytnym Meksyku, gdzie nie był on tylko wyrazem piękna, ale także znakiem różnic klasowych i socjalnych, i tak: panujący miał czaszkę w kształcie wieży, inną miał wojak, jeszcze inną kupiec, inną wreszcie kapłan. Interesującym jest fakt, że deformacje te bynajmniej nie wpływały ujemnie na zdolności umysłowe tych, którzy się im poddawali. Rzadziej już spotkać można było deformację nosa (Rzym), częściej zjawiało się zniekształcenie piersi, za pomocą gorsetów i prasy w celu spłaszczenia ich. Miało to miejsce n. p. w Niemczech północnych i Hiszpanji, gdzie płaskie piersi kobiece uważano za wdzięk szczególny. Odwrotnej modzie hołdują w Afryce, gdzie za pomocą przytwierdzenia do piersi ciężarów starają się nadać im kształt bardziej wydłużony i obwisły, tak, by mógł je z łatwością przerzucić na plecy — dla niemowląt, noszonych na plecach.

Gorset jest wynalazkiem bardzo starym i wielce rozpowszechnionym, gdyż wśród wielu narodów stan cienki i smukły jest atrybutem pięknej budowy ciała kobiecego. Gruzinkę w ósmym roku życia wtłaczają w drewniany gorset, który dopiero w noc poślubną zrywa małżonek za pomocą kindżału. Dzięki temu gruzinka na całe życie zachowuje kibić małej dziewczynki. Rodzaj gorsetu z grubej kory napotkać można również wśród mężczyzn — u Papuasów, jako środek ochronny przeciwko strzałom i ciosom oszczepów.

Deformację ręki, jako organu niezbędnego do pracy, spotykamy o wiele rzadziej.



Paznogcie eleganta annamickiego

Wśród narodów cywilizowanych daje się zauważyć niezwykle staranną jej pielęgnację, lecz kultu tego nie doprowadzono nigdzie do takiej doskonałości, co w Chinach i Indo-Chinach. Tamtejsi bogacze i dostojnicy zapuszczają sobie paznogcie długości, dochodzącej nieraz do 45 cm., które skręcają się w spirale, i w celu ich ochrony używają specjalnych futerałów, misternie ze złota i srebra wyrobionych. Owa moda ma być oznaką bogactwa i zamożności, oraz dowodem, że właściciel tak starannie wyhodowanych paznogci nie trudni się żadną pracą i może przesiadywać z założonemi rękami. Zresztą i u nas w latach trzydziestych-pięćdziesiątych należało do "dobrego tonu" zapuszczanie paznogcia małego pal-

UBEZPIECZENIE DZIECI

W ZWIĄZKU NAR. POL.

¶ Każdy Związkowiec powinien dziecko swe ubezpieczyć w Związku Narodowym Polskim. Aby dziecko mogło być przyjęte musi mieć skończonych najmniej 18 miesięcy życia.

¶ Ubezpieczenie jest terminowe do lat 17 — potem dziecko przenosi się do klasy pełnoletnich członków Związku.

¶ Przy przenoszeniu się do klasy pełnoletnich członków Z. N. P. dziecko nie potrzebuje przechodzić egzaminacji lekarskiej, o ile nie podnosi sumy ubezpieczenia oraz nie płaci żadnego wstępu. Ponadto otrzymuje nadwyżkę z wpłaconych pieniędzy, jaka powstaje na każdym certyfikacie, po wypłaceniu smiertelności wśród dzieci.

¶ W razie śmierci dziecka przed ukończeniem 17 roku życia (bliższej daty urodzenia) wypłaca Związek Nar. Pol. pośmiertne, stosownie do poniższej tabelki opłat i benefitów.

TABELA

Podatek	19	19	19	19	20	20	21	21	22	22	24	27	29	30
Wiek bliższy daty urodzenia	**2**	**3**	**4**	**5**	**6**	**7**	**8**	**9**	**10**	**11**	**12**	**13**	**14**	**15**
CZAS TRWANIA CERTYFIKATÓW														
1 rok	26	30	36	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400
2 "	30	36	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400	
3 "	36	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400		
4 "	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400			
5 "	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400				
6 "	60	80	120	160	200	240	280	320	400					
7 "	80	120	160	200	240	280	320	400						
8 "	120	160	200	240	280	320	400							
9 "	160	200	240	280	320	400								
10 "	200	240	280	320	400									
11 "	240	280	320	400										
12 "	280	320	400											
13 "	320	400												
14 "	400													

KAŻDE POLSKIE DZIECKO POWINNO NALEŻEĆ DO POLSKIEJ ORGANIZACJI.

Zapiszcie Swe Dzieci do Związku.

ca na kilka nieraz centymetrów. Deformację nogi spotykamy czasem wśród ludów środkowej Afryki, gdzie mężczyźni, ceniąc bardzo rozwinięte łydki, ściskają w tym celu nogi powyżej kostek za pomocą bandażu. Lecz najsilniejszą deformację nogi spotykamy u Chińczyków. Trzyletnia Chinka podlega strasznej operacji: ściągają jej nogę zapomocą rzemieni tak, że palce zginają się w kierunku pięt, jakgdyby do nich przyrośnięte. Krwawiące stąd i jątrzące się rany przysypują odpowiednimi proszkami i bandażują płótnem, względnie wstążkami.... nieraz z jedwabiu. W ten sposób Chinka chodzi jedynie o kiju, krokiem bardzo chwiejnym; przeważnie zaś bywa noszona. Pochodzenie tego okrutnego zwyczaju jest mgliste. Kroniki chińskie tłómaczą go sobie naiwnie jako środek zmuszający kobiety do siedzenia w domu.

Inne narody deformują siedzenie, uważając to za specjalną ozdobę figury, która im więcej jest zniekształcona, tem więcej jest podziwiana i chwalona. Ujawnia się w tem, zdaniem tubylczych modnisiów, rasowość i sławność rodów.

Dbałość o włosy przybrała wśród wszystkich bez wyjątku narodów formy nieprawdopodobne. Są narody, które nigdy nie strzygą się i nie golą, inne — skracają włosy częściowo, inne wreszcie usuwają je całkowicie. Fryzura mieszkańca Fidżi ma średnicy dwie stopy; stanowi ją kędzierzawy turban, składający się z maleńkich warkoczyków, spojonych ze sobą, jak cementem, proszkiem z koralowiny i gliny. W Afryce — fryzury starają się naśladować głowy zwierząt, n. p. nosorożca. Drobne warkoczyki tworzą jakoby rogi sklecone przy pomocy gliny i krowiego gnoju. W celu podtrzymania włosów, już u pierwotnych narodów, noszących włosy długie, zjawiają się grzebienie, szpilki, opaski. Papuasi Nowej Gwinei zbierają swoje obfite włosy w węzeł, który następnie wtłaczają w rodzaj cylindrycznego koszyka bez dna. — Wszystko to pokrywają piórami i drewnianemi szpilkami. Indjanie również dbają bardzo o swoje włosy na głowie, pozostałe zaś na całem ciele golą starannie. To samo Turcy, Chińczycy i Mongołowie mają specjalne szczypczyki, któremi usuwają włosy z twarzy, uszu i nosa. Za to na głowie Mongołki dzieją się rzeczy wprost nieprawdopodobne. Przedziałem na środku głowy dzieli ona włosy na dwie części. Następnie splata niezliczoną ilość drobniutkich warkoczyków, tworzących dwa przepyszne warkocze, które nosi w aksamitnych futerałach, ozdobionych srebrem. — Wśród Chińczyków i Japończyków widzimy bardzo staranną pieczę nad włosami, zwłaszcza u kobiet. Chinka ma cały arsenał szpilek, ozdobionych figurkami: ptaków, motyli, owadów. Cała głowa jej lśni się wysmarowana pomadą; wygląda jak kwitnący ogród. Japonka jeszcze bardziej dba o swoją głowę. Do niedawna każda prowincja miał tam przepisową fryzurę, każda japońska dama miała swego fryzjera, który ją czesał codzień. Aby nie zniszczyć kunsztownej budowy z włosów, Japonka spała nie na poduszkach, lecz na małych wałeczkach, tak, że głowa jej znajdowała się na osi, a szyja w specjalnem wgłębieniu. Noszenie warkocza było udziałem tylko cesarzowej, inne kobiety nosiły zwykłe sploty. Zwyczaj przystrajania głowy kobiecej przyszedł i do Europy. Moda rokoka — noszenie loków, pereł, kwiatów, ptaszków, nawet modeli maleńkich okręcików — jest żywym tego dowodem.

Deformacje uszu, w bardzo łagodnej formie spotykamy po dziś dzień i u nas w postaci przekłuwania ich. Operacji tej podlegają już maleńkie dziewczynki. Lecz, o ile piękne i lekkie są kolczyki europejek, o tyle masywne i potworne są kolce narodów pierwotnych. Murzyni Afryki Środkowej noszą kolce z grubego miedzianego drutu, wagi dochodzącej do 5—7 funtów, tak, że wskutek ich ciężaru następuje nieraz zerwanie dolnej części ucha. Lecz to nie odstrasza niewolnika mody. Obie części przerwanego ucha murzyn związuje w węzeł. Botokudzi (południowa Ameryka) przedziurawiają ucho za pomocą ostrego kolca rośliny i, rozszerzając stopniowo otwór, wtłaczają weń drewniany krążek, średnicy 5 cm.; im osobnik potężniejszy i starszy, tem krąg ten większy. Kolce takie noszą przeważnie mężczyźni Oceanji oraz Papuasi Nowej Gwinei, którzy posiadają wielki zmysł do ozdabiania uszu. W przekłute ucho wstawiają kolec akacji, odłamki chalcedonu, kości ptasie, inkrustowane kawałki orzecha kokosowego i t. p. W Europie zwyczaj nosze-

nia kolczyków przysługuje prawie wyłącznie kobietom. Wyjątek stanowią marynarze, kozacy, niekiedy żołnierze, noszący jeden kolczyk, jako talizman, — środek przeciwko chorobom oczu.

Przedziurawienie przegrody nosowej jest zjawiskiem rzadziej napotykanem. Kolczyki w nosie spotykamy wśród mieszkańców północnego Egiptu, wspaniałe kolce metalowe noszą mieszkanki Cejlonu i Indyj. Przekłuwanie warg praktykują kobiety północnej Afryki oraz również Cejlonu i Indyj; robią one otwory albo w kątach ust, albo jednocześnie w górnej i dolnej wardze. Lecz w najbar-



Utatuowany potężny wódz plemienia

dziej oryginalny sposób deformują wargi swe murzyni i Indjanie. Ci ostatni, zwłaszcza Botokudzi, w otwór dolnej wargi wtłaczają drewniany lub metalowy krążek, tak, że ozdoba ta służy im poprostu jako talerz. Dopóki mięśnie są jędrne i młode, "talerzyk" ów ma pozycję poziomą, lecz z nadejściem starości warga zwisa i usta tworzą potworną ziejącą jamę.

Prócz organów zewnętrznych zniekształceniu podlegają i organy wewnętrzne, n. p. zęby. I tu dzieją się rzeczy niezwykłe: wybijanie, piłowanie, wstawianie na ich miejsce innych ciał — jest zjawiskiem powszechnem u ludów pierwotnych. Mieszkańcy półwyspu Malajskiego czernią i opiłowują swe zęby, chcąc im nadać wygląd kłów w celu upodobnienia się do psów, od których wywodzą ród swój. W Afryce, w dzień ślubu, pannie młodej wybijają jeden ząb dla zaznaczenia ważności chwili.

Całkowite usuwanie poszczególnych organów jest mniej znane; wiemy o odrąbywaniu palców w razie śmierci syna — na znak żałoby w Indjach południowo-zachodnich; o zwyczaju obcinania piersi kobiecych wśród sekciarzy skopców, jako znak osiągnięcia duchowej doskonałości; wreszcie — o kastracji. Lecz są to już zjawiska o wiele rzadsze.

Zmysł upiększania się, jak widzimy, nie jest zjawiskiem wtórnem, zapożyczonem, lub zmyślonem — lecz jest instynktem pradawnym i szanowanym; jest udziałem każdego człowieka. To właśnie naprowadza nas na myśl, że nie jedynie warunki klimatyczne i wstyd są źródłem powstania odzieży, ale właśnie odwieczny zmysł piękna, rozwinięty drogą tysiącletnich ewolucyj, których regulatorem bezsprzecznie były czynniki uboczne: jak ciepło, poczucie wstydu, chęć obrony, etc. Jednym z czynników powstania odzieży jest chęć naśladowania zwierząt. Trofea łowów, jak zęby, rogi, skóra — nie były jedynie zwykłą zdobyczą myśliwca. Indjanie w chwilach uroczystych pokrywają górną część ciała smołą i oblepiają się piórami ptaków. Starożytni germanowie na kaskach swych nosili rogi bawole; Indjanie, udający się na bizuny, ubierają się w skóry tych zwierząt; to samo Eskimosi, idący polować na renifery. Jest to dowód oczywisty, że człowiek przez naśladowanie koloru dążył do upodobnienia się do zwierzęcia. I stąd wielka zależność w ubiorze człowieka od przyrody: n. p. na północy, w śnieżnych tundrach, najchętniej ubierają się w kolor biały; mieszkańcy stepów oddają pierwszeństwo kolorowi żółtemu i szaremu.

Wpływ zwierzęcia ujawnia się po dziś dzień w strojach poszczególnych narodów. Na haftach rosyjskiego ludu widzimy wyobrażenia koni, kogutów, jeleni; na przybraniu głowy kirgiskiej panny młodej — podobizny gęsi. Płaszcz chiński jest w ptaki lub tygrysy. Rysunki te często tak są stylizowane, że z trudnością dopatrzyć się w nich można zwierzęcia, jednak dość jeszcze wyraźniej wskazują one na rolę zwierzęcia w życiu człowieka, a często nawet na oddawanie mu czci boskiej. Przykładem służyć mogą Ajnosi, uprawiający kult niedźwiedzia i pokry-

wający przedmioty obrządków ozdobami, w których po długich badaniach rozpoznano stylizowaną głowę tego zwierzęcia.

Badając rozwój poszczególnych części odzieży, zauważymy, że główne ozdoby stopniowo przekształcały się w odpowiednie części ubrania. Z ozdób głowy rozwinęły się: czapka, czepek, kapelusz i t. p.; z naszyjnika powstał kołnierz; z ozdób piersi po rozmaitych kolejnych przemianach — powstał z czasem fartuch. Bransolety rąk z upływem czasu przeobraziły się w rękawy — noszone oddzielnie od kamizelki, potem połączone z nią w postaci kaftana, fraka, surduta, palta. — Bransolety nóg przekształcają się stopniowo w spodnie i kalesony. Ozdoby wokół brzucha i bioder, przemieniają się zwolna w pasek, który, stając się coraz szerszy i pokryty wisiorkami — przekształca się w fartuch, który zwolna przechodzi w spódnicę. Jest rzeczą możliwą wreszcie, że mitynki i rękawiczki biorą początek od pierścieni, lecz rozwój ten jest niejasny.

Chociaż klimat nie był wyłącznym regulatorem odzieży, jednakże w znacznej mierze przyczynił się do jej zróżniczkowania; stąd podział odzieży na bieliznę i ubranie. Klimat nadaje jej także koloryt lokalny, i tak: znamy typ odzieży zwrotnikowej, gdzie jest ona niemal synonimem ozdoby, gdzie—słowem— jest zbyteczna. Są to okolice Australji, Oceanji, środkowa część południowej Ameryki i Afryka środkowa.

W strefie podzwrotnikowej zaś odzież pokrywa tylko dolną część ciała. Składa się ona z lekkich tkanin, prawie zawsze przeźroczystych. Upiększanie odgrywa tu dużą rolę, gdyż znaczna część ciała pozostaje obnażona. Ubiór strefy tej składa się z płaszcza, lekkiej tkaniny wokół bioder i szerokich szarawarów.

W trzeciej strefie — umiarkowanej, o silnych zmianach temperatury, spotyka się typ odzieży najbardziej złożony i wymyślny. Mamy tu więc i bieliznę, i górną i spodnią część ubrania i z najrozmaitszych materjałów. Jest ona zależna od społecznych, zawodowych, materjalnych i innych warunków, które silne na niej wyciskają piętno. Skomplikowanie jej jest w prostym stosunku do rozwoju rzemiosła i techniki. Tysiące fabryk i warsztatów zajmują się jej wyrobem.

Mamy wreszcie strefę polarną — gdzie odzież ściśle pokrywa ciało, starając się zachować jego ciepło. Składa się z dwóch części, lecz na skutek niskiego poziomu kultury — jest niezróżniczkowana: stanowi ją skóra i futro, wkładane na gołe ciało. Charakterystyczna dla tej strefy jest szuba. Przystosowanie do klimatu ujawnia się szczególnie wyraźnie w ubiorze niemowląt u Czukczów; rączka dziecka nie może się wysunąć na mróz z rękawa, który jest całkowicie zaszyty.

Każda ze stref głównych ma swoje podstrefy, posiadające lokalny, etnograficzny koloryt, zależny od wpływu przyrody i sposobu życia. Tak n. p. górale: bawarczycy, tyrolczycy, szkoci mają spodnie krótkie i odkryte kolana; narody stepowe noszą szerokie szarawary, aby módz z łatwością dosiąść konia. Czukcze, Eskimosi, Lapończycy dbają, aby odzież ich nie przemakała i służyła do ciągłej jazdy po morzu — nacierają ją więc tłuszczem. Wielką rolę w wyborze materjału odgrywają te naturalne produkty, w jakie dany kraj obfituje. W Afryce — pewne plemiona noszą odzież z kory (ficus elastica). Mieszkańcy Oceanji noszą odzież z pewnego rodzaju miękkiego wojłoku, który wyrabiają z rośliny, zwanej "tapa". Eskimosi i Grenlandczycy oczyszczają sierść skór, które trzymają następnie w moczu, specjalnie w tym celu zbieranym. Indjanie północno-zachodniej Ameryki w celu zmiękczenia skór, których używają na ubranie, żują je dopóty, dopóki nie staną się elastyczne i miękkie. Widzimy zatem, że przygotowanie i obrabianie produktów w celu uczynienia ich najzdatniejszemi do ubioru, jest często mozolnym trudem i owocem wielkich wysiłków.

Zjawienie się warsztatu tkackiego jest przełomowym momentem w rozwoju odzieży. Przypuszczenie, jakoby warsztat tkacki pojawił się najpierw w Chinach, jest wątpliwe, prawdopodobnie zjawił się on naraz w wielu miejscach, które obfitowały we włókna i gdzie znane było ich splatanie. Ukazanie się tego warsztatu u narodów pierwotnych Afryki nie jest, może, oryginalne, gdyż przypuścić można, iż został on tam wprowadzony z kulturalnego Egiptu lub Chin. To tylko wiemy napewno, że znajduje się on w najprostszej swej formie u Ajnosów, na wyspach japońskich; warsztat ten składa się z rzemie-

nia, którego jedna strona obejmuje niewielki pień drzewa, druga zaś — kibić robotnicy, która, trzymając w ręku czółenko, przesuwa tkaninę poziomo do rzemienia. To samo napotkać można w Oceanji, na wyspach Karolińskich, gdzie jest to zresztą zjawiskiem czysto przypadkowem; tkaninę sporządza się tam z włókien palmy kokosowej. W Afryce warsztat tkacki tego typu znany jest również.

Czystą formę warsztatu tkackiego napotykamy w Chinach. Wyrabiają tam najprzedniejsze materje z "pajęczyny", wydzielanej przez jedwabniki. Wspaniałe te pod względem deseni i kolorów tkaniny nie wiele ustępują europejskim. Barwienie tkanin w rozpowszechnianiu ich i modzie ma niemałe znaczenie. Stąd t. zw. narodowe kolory. Kolory owe pochodzą od tych barwników, które dany naród najobficiej posiada w swej przyrodzie. I tak: mieszkańcy z nad Wołgi noszą białe sukmany, zdobne czerwono, czarno i zielono; Chińczycy — ubiór błękitny i biały; narody kaukaskie — bronzowy i niebieski. Ze znanych barwników najpospolitsze są barwniki roślinne. Znamy również, choć w mniejszej ilości, barwniki mineralne; lecz tych, prócz ochry i grafitu, człowiek pierwotny nie posiadał, gdyż nie potrafił ich wydobyć. Na wybór barw daje się również zauważyć wpływ klimatu. W strefach tropikalnych — spotykamy tkaniny jaskrawe, na północy — przeważa koloryt szary.

Odzież w życiu dzisiejszem odgrywa rolę niezmiernie doniosłą. Nad przygotowaniem odzieży pracuje niezliczona ilość osób, być może — dziesiąta część ludzkości; według statystyki w samym Paryżu zatrudnionych jest 30.000 krawczyń i 50.000 sprzedających w sklepach z gotową konfekcją. Obrót handlowy odzieżą od czasów wojny dochodził we Francji do 25 miljonów franków.

Obecnie wyszły już zupełnie z użycia samodziałowe tkaniny, i spotykamy je gdzieniegdzie tylko w głuchych miejscach cywilizowanej Europy, gdzie zachował się strój narodowy pełen historycznego i etnograficznego znaczenia. N. p. w Szwajcarji każdy prawie kanton, w Bawarji i Tyrolu każda niemal dolina — ma własny swój strój. Im bardziej na północ, tem bardziej to zanika i ubiór staje się bardziej jednolity.

Niemałą rolę w stroju narodowym odgrywały losy historyczne narodów. Znane są nam n. p. mody Dyrektorjatu, Cesarstwa i epoki Odrodzenia. W Rosji panowanie Piotra Wielkiego skasowało prawie zupełnie ubiór bojarów, który zastąpiono niemieckim strojem owoczesnym. W Meksyku — z nastaniem krótkotrwałych rządów domu Habsburgów pojawił się w herbie austrjacki orzeł dwugłowy i po dziś dzień orzeł, który spodobał się pierwotnemu gustowi ludności, zachował się, jako motyw haftu na tkaninach. Sam strój narodowy zanika powoli, lecz w chwilach uroczystych zjawiają się jego emblematy. Średniowieczna toga rektora, długie szaty duchowieństwa, jako naśladownictwo apostołów, i t. p. — są tego przykładem.

Niemałe znaczenie w rozwoju ustrojów posiadają warunki ekonomiczne i społeczne. — Strój duchownych zawsze wyróżniał się znacznie. Wymaga on całego szeregu atrybutów, zbędnych reszcie ludzi; przytem, im religja bardziej prymitywna — tem strój bardziej skomplikowany. Tak n. p. szaman, czyli czarodziej syberyjski, ma naszyte na boku i plecach setki żelaznych wisiorków, wyobrażających duchy opiekuńcze; wśród tych brzękadeł wyróżnia się krążek, przedstawiający słońce, które oświetla państwo podziemne. I reszta stroju obfituje podobnie w wyobrażenia symboliczne; całość zaś dosięga wagi 40 funtów, i, kiedy czarownik wpada w stan zachwycenia — ciężar ten doprowadza go do omdlenia. Bardziej rozwinięte systemy religijne, jak n. p. buddaizm, w znacznej mierze uprościły strój duchownego. Wysoka tjara, czerwony płaszcz, rodzaj peleryny i sandały na nogach — oto ubiór buddyjskiego lamy. Dalsze zróżniczkowanie stroju pozostaje w związku ze społecznem stanowiskiem. Uczeni, jak n. p. astronomowie Assyrji i Babilonu, alchemicy Średniowiecza z typową postacią doktora Fausta, wreszcie togi rektorskie uniwersytetów niemieckich i angielskich — stanowią dobitny przykład.

Więcej urozmaicenia mamy w strojach rzemieślniczych, choć dziś wszystkie one upodobniają się do siebie, lecz jeszcze po dziś dzień w Niemczech i Austrji rzemieślnicy wkładają swe barwne stroje cechowe, jak n. p. kominiarze, rzeźnicy, bednarze, szewcy i

t. p. Jest to jakby wskrzeszony zabytek minionych stuleci. Lecz żadna klasa społeczna tyle wagi nie przywiązuje do stroju, ile wojskowi. Artylerja, piechota, kawalerja—przytem i gradacja rang—wszystko to ma przepisowe, różniące się wzajem mundury. Nie jest to bez znaczenia. W stroju żołnierza tkwi pierwotnie chęć zaimponowania i nastraszenia wroga. Dość wspomnieć wspaniale odzianą w średniowieczne szaty gwardję papieską lub gwardyjskie pułki cesarza rosyjskiego i niemieckiego. Lecz wraz z demokratyzacją życia różnorodność stroju zanika. W ubiorze współczesnego Europejczyka widzimy dążenie ku prostocie.

Dodać jeszcze należy słówko o świątecznej odzieży. Choć człowiek i tak jest przywiązany do ładnego i dobrego ubrania, to jednak w święta czyni to ze szczególną przyjemnością i pieczołowitością. U ludów dzikich świąt jest znacznie więcej. Daje się i tu zauważyć odmienny strój świąteczny. Szczególne znaczenie mają tu maski w celu ukrycia swej twarzy. Ma to jednak zawsze znaczenie religijne. Toteż mistyczne znaki, "duk-duk" w Oceanji, kolendnicy, weneckie zapusty — wszystko to pochodzi z jednego i tego samego źródła.

Różnica między strojem męskim i kobiecym jest bardzo interesująca. Jest ona tak paradna, jak sam człowiek. Kobiecą i męską odzież nazwać można dalszym ciągiem przeobrażenia przyrodzonych drugorzędnych cech tego rodzaju naturalnych w sztuczne. U najbardziej prymitywnych australijczyków i u wymarłych już dziś tasmańczyków — mężczyzna i kobieta nie wiele różnią się od siebie zewnętrznie, lecz i tu jednak mężczyzna ubiera się ozdabia wspanialej. Podobny objaw spotykamy u Indjan, gdzie mężczyźni odróżniają się pysznym ubiorem od skromnych, prawie pozbawionych ozdób, ubrań kobiecych. W Afryce rzecz się ma nieco lepiej. Na mężczyźnie widzimy więcej odzieży i jest ona bardziej skomplikowana; u kobiet odzież zastępuje wielka ilość ozdób. Prawie naga kobieta "njam-njam" obwieszona jest naszyjnikami z żelaza, bransoletami, pierścieniami i kolcami z kości. U ludów polarnej Azji noszą kobiety i mężczyźni jednakowe futra (n. p. Samojędzi), lecz przybrania głowy kobiet są bogato ozdobione, podczas gdy na głowie mężczyzny widzimy futro. Spodnie zjawiły się u narodów koczowniczych, gdzie ciągła jazda konno wymagała tego ubioru i tu rozpoczyna się zasadnicza różnica między ubiorem kobiecym a męskim. Europa kulturalna dała najwięcej różnic między strojem pań i panów, lecz dziś zaobserwować można wyraźną tendencję upodobnienia strojów kobiecych do męskich.

Z powyżej opisanego widzimy jak wielką rolę w życiu codziennem i w walce o byt odegrała odzież. Przy jej pomocy człowiek dotrzeć mógł ze stref umiarkowanych do samego bieguna, z nizin wznieść się ku wiecznym śniegom. Nie na próżno też mówi stare przysłowie: "jak cię widzą, tak cię piszą". Po dziś dzień reguła ta, zgodna z pradawną naturą człowieka i licząca się z wrodzoną mu próżnością — nic nie straciła na aktualności.

Bociany w Polsce



Dobra to wróżba w Polsce, jeżeli w obrębie obejścia lub w pobliżu zagrody polskiego wieśniaka uwije sobie gniazdo małżeństwo bocianie i co rok do niego wraca.

RALF MODRZEJEWSKI LAUREATEM AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W WASHINGTONIE

Jedynym Polakiem w Ameryce, który dostąpił najwyższego naukowego zaszczytu mianowania go członkiem Akademji Umiejętności w stolicy Stanów Zjednoczonych w Washington, D. C., jest inżynier Ralf Modrzejewski, powszechnie znany pod skróconym nazwiskiem Ralph Modjeski, który jest chlubą zarówno polonji amerykańskiej, jak i wielkiego narodu amerykańskiego. Godność członka Akademji Umiejętności posiada nie wielu najwybitniejszych amerykanów, odznaczenie przeto tą godnością polaka nie tylko z pochodzenia, ale i z przekonań, chociaż będącego obywatelem amerykańskim w całej pełni tego słowa znaczenia, zasługuje na szczególniejsze podkreślenie.

Z powyższego powodu podajemy poniżej bjografję tego największego budowniczego mostów w Stanach Zjednoczonych, który stawszy się chlubą Ameryki, jest zarazem chlubą i narodu polskiego. W społeczeństwie polsko-amerykańskim nazwisko wielkiego inżyniera chociaż jest znane, jednakże ogół mało wie o tym krakowianinie, który przepaście i najpotężniejsze rzeki amerykańskie wiążąc swymi mostami, otwiera handlowi i ruchowi amerykańskiemu nowe drogi do sukcesów, równocześnie składając dowody, że niema trudności technicznie tak wielkich, których gienialnością pomysłu polskiego, połączonego z przedsiębiorczością amerykańskiego ducha, nie możnaby rozwiązać.

Jak wyżej powiedzieliśmy, w szerokich kołach tak naukowych jak handlowo-przemysłowych świata amerykańskiego Ralf Modrzejewski lepiej jest znany jako Modjeski.

Nazwisko Modrzejewski na więcej przystępne w wymowie dla Amerykanów, zmieniła jeszcze matka Ralfa, nieśmiertelna odtwórczyni ról szekspirowskich, Helena Modrzejewska, gdy osiadając na stałe w Stanach Zjednoczonych, wyjmowała papiery obywatelskie. Odtąd jej syn, który do chwałą okrytego nazwiska dodał nowe wieńce wawrzynu, znany jest w przedsiębiorczym świecie amerykańskim jako Modjeski i chociaż świat ten wie, że jest on sercem i duszą Polakiem, przecież szczyci się nim, jako najgenjalniejszym amerykańskim inżynierem w zakresie budowy mostów.

Ob. Ralf Modrzejewski urodził się w Polsce, w mieście Krakowie, 27-go stycznia, 1861 roku, z ojca Gustawa Sinnmayer Modrzejewskiego i matki Heleny z domu Opid. Szkoły początkowe jak również średnie ukończył w Krakowie, uczęszczając do szkoły realnej aż do roku 1876, w którym to czasie wyjechał wraz z matką do Ameryki. Jednakże w roku 1878 powrócił do Europy i zapisał się do kolegjum francuskiego budowy dróg i mostów (Ecoles des Ponts et Chaussees), które ukończył jako pierwszy uczeń w klasie w roku 1885, otrzymując dyplom inżyniera cywilnego. Tego samego roku w lecie przybył Ralf Modrzejewski z powrotem do Ameryki, gdzie zaraz został zaangażowany przez inżyniera cywilnego George S. Morison jako inżynier-asystent przy budowie mostu Union Pacific w Omaha, Nebraska. Z Morisonem pozostał Modrzejewski aż do roku 1892, zajmując w tych siedmiu latach wysoce odpowiedzialne stanowisko najpierw jako inżynier-asystent przy budowie mostu w Omaha od r. 1885 do 1887, następnie od r. 1887 do 1889 jako inspektor warsztatów budowy mostów w (Atenach) Athens, Pa., a wreszcie jako główny projektor-rysownik w biurze Morisona w Chicago od roku 1889 do 1891, kierując planami budowy mostu na rzece Mississippi pod Memphis. W roku 1891 był naczelnym inżynierem - inspektorem warsztatów budowy nadrzecznej struktury mostu w Memphis, a w roku 1892 był inżynierem-asystentem przy wznoszeniu mostu Memphis. Po doprowadzeniu tego wielkiego dzieła do skutku, inżynier Modrzejewski postanowił działać dalej na własną rękę i ustąpiwszy z powyższej firmy, otworzył w Chicago własne biura inżynierskie, aby odtąd wsławiać się coraz śmielszymi pomysłami, sięgać tam,

dokąd dotychczasowa technika tylko myślą się wznosiła i łączyć przepastne odległości niby pajęczą z dala a w rzeczywistości siecią potwornych wiązadeł stalowych. Łącznie też ze sławą Modrzejewskiego rosła w Ameryce sława imienia polskiego, gdyż Modrzejewski gdziekolwiek się znajdował, wszędzie i zawsze podkreślał swą polskość i to w czasach, gdy w Ameryce miała ona najzacieklejszych przeciwników w niemczyźnie amerykańskiej, która przed wojną z zawrotną szybkością rosła w iście pruską butę. Pierwszym wielkim mostem opracowanym w planach i wzniesionym następnie przez inżyniera Modjeskiego był most rządowy na rzece Mississippi pod Rock Island, Illinois, o podwójnym torze kolejowym i o trzecim torze dla pojazdów zwykłych. Po nim przebudował on most Bismarck na rzece Missouri pod Bismarck, North Dakota, a następnie wzniósł most Thebes przez rzekę Mississippi pod Thebes, Illinois. Most powyższy budował Modrzejewski pod firmą Noble & Modjeski, gdyż Alfred Noble był jednym z jego wspólników. Budowa tego mostu rozpoczęła się w roku 1902, a ukończoną została w roku 1905. Po nim Modrzejewski wzniósł dwa mosty, a mianowimie na rzece Columbia i na rzece Williamette. Obydwa te mosty kosztowały przeszło $4,000,000 i wzniesione zostały dla kolei Spokane, Portland i Seattle w stanie Oregon. Budowa ich rozpoczęła się w roku 1905, a ukończoną została w 1908. Po nich przyszła kolej na most McKinley na rzece Mississippi pod St. Louis, następnie most na rzece Columbia pod Cecilo, Oregon, dla Oregon Trunk Railway, a także inne mosty dla tej kompanji, włączając w to 340 stóp łukowy most na rzece Crooked. Niemal natychmiast po tych mostach rozpoczął inżynier Modrzejewski budowę mostu Broadway na rzece Williamette w mieście Portland, Oregon.

Ostatnio zbudowane posiadają one dwu torowe linje kolejowe i trzeci tor dla pojazdów zwykłych. Most w Memphis, Tennessee, ma podwójny tor kolejowy i tor drogowy. Mosty na rzece Mississippi pod Keokuk, Iowa, i na rzece Ohio pod Metropolis, Illinois, posiadają jeden tor kolejowy i jeden tor drogowy. Przy tym ostatnim moście Modrzejewski pracował jako inżynier doradczy w wygotowaniu planów wraz z C. H. Cartlidge, a gdy ten umarł, budowę mostu oddano Modrzejewskiemu. Modrzejewski był też inżynierem dla kolei New York, New Haven i Hartford, która wybudowała most na rzece Thames w New London, Connecticut, miał pieczę nad budową obecnego most Pough-



Wspaniały most nad rzeką Misspissippi w St. Louis, Mo., projektowany i zbudowany przez inżyniera, a dzisiejszego laureata Ralfa Modrzejewskiego.

keepsie na rzece Hudson pod Poughkeepsie, N. Y. — Był on członkiem Rady Inżynierów, mianowanej przez rząd Kanady dla odbudowy mostu Quebec, mającego największe rozpięcie na świecie. Powyższej komisji był członkiem od jej powstania w roku 1908 aż do ukończenia mostu w roku 1917. W roku 1909 złożył Modrzejewski Departamentowi Mostów Nowojorskich kompletny raport o sile nowego nowojorskiego mostu Manhattan. Pod jego dyrekcją zbudowany został łukowy most konkretowy przy ulicy Cherry w Toledo, Ohio, przedtem zmieniając plany tego mostu, wygotowane przez innych inżynierów. Jako już niezależny inżynier, R. Modrzejewski był inżynierem doradczym przy mniejszych budowach dla różnych kolei i korporacji. Opracował on dla kolei Northern Pacific dwa rodzaje zasadniczych planów rozpięcia łukowego od 10 do 250 stóp. W roku 1916 był członkiem komisji, mianowanej przez Public Service Corporation stanu New Jersey dla wydania opinji o możliwości budowy tunelu drogowego pod rzeką Hudson, jak również dla wygotowania wstępnych planów i podania kosztorysu. Wreszcie zbudował Modrzejewski ogniotrwały magazyn dla arsenału Stanów Zjednoczonych Rock Island w Rock Island, Illinois.

Łączny koszt dzieł wyżej wymienionych przeniósł 40 miljonów dol. Obecnie jest naczelnym inżynierem i prezesem komisji inżynierskiej budowy olbrzymiego mostu wiszącego — nad rzeką Delaware w Philadelphii — koszt $28,000,000. Największy to most wiszący na świecie. W uznaniu tych zdumiewających świat cały prac, Uniwersytet Illinois wyróżnił Modrzejewskiego, nadając mu w roku 1911 dyplom honorowy "Doktora Inżynierji." W organizacyjnym życiu amerykańskim jest Modrzejewski bardzo czynnym. Jest członkiem Amerykańskiego Towarzystwa Inżynierów Cywilnych, Kanadyjskiego Towarzystwa Inżynierów Cywilnych, Brytyjskiej Instytucji Inżynierów Cywilnych, Amerykańskiego Instytutu Inżynierów Doradczych, członkiem honorowym Instytutu Franklina we Filadelfji, Francuskiego Stowarzyszenia Inżynierów, Towarzystwa Byłych Studentów Szkoły Budowy Mostów i Dróg (Ecoles des Ponts et Chaussees) w Paryżu, był prezydentem i członkiem Zachodniego Towarzystwa Inżynierów (Western Society of Engineers) i Towarzystwa dla popierania nauki inżynierji (Society for Promotion of Engineering Education.) Z klubów był prezydentem Chicagoskiego Klubu Inżynierów, jest członkiem Engineers Club of New York, członkiem Union League Club of Chicago, South Country Club of Chicago, Cliff Dwellers Club of Chicago i innych. Jako członek firmy Modjeski & Angier, Civil and Inspecting Engineers, ma biura w Chicago, New York, Pittsburgh i w St. Louis. Ożeniony w roku 1885, w Nowym Yorku, dochował się jednej córki i dwóch synów, z których jeden służył w armji francuskiej i Stanów Zjednoczonych podczas wszechświatowej wojny.

W życiu polskiem w Ameryce inżynier Modrzejewski chętny bierze udział, o ile rozliczne a zawsze wysoce odpowiedzialne prace mu na to pozwalają. Jest on członkiem Związku Narodowego Polskiego, zwolennikiem i propagatorem ugrupowań politycznych przy Wydziale Nar. Polskim, a dzisiaj Polskiej Rady Opieki Społecznej. Jest prezesem nowojorskiego Towarzystwa ściślejszej łączności Polski ze Stanami Zjednoczonymi, był prezesem Tow. Techników i Handlowców i wielu innych. Największej atoli usługi sprawie polskiej oddał Modrzejewski w chwilach najcięższych dla Polski, w czasie najzacieklejszej propagandy antypolskiej, prowadzonej przez sjonistyczne organizacje żydowskie w Stanach Zjednoczonych. Informował on bowiem najwybitniejsze koła amerykańskie o rzeczywistym stanie w Polsce, prostował fałsze i kłamstwa tendencyjnie rozsiewane na szkodę Polski i przedstawiał właściwy charakter narodu polskiego, jego znaczenie i zasługi dla cywilizacji świata. Jeśli więc w wyższych kołach amerykańskich zakusy przeciwpolskie nie odniosły należytego rezultatu, to w znacznej mierze jest to zasługa Modrzejewskiego, który sam będąc synem narodu polskiego, już swem stanowiskiem w świecie amerykańskim zadawał kłam oszczerstwu.

W roku 1908 dotknął Modrzejewskiego ciężki cios, zmarła bowiem jego matka Helena, sławna artystka dramatyczna, która jak jej wielki syn rozsławiła imię polskie w Ameryce.

ZDZICZALI LUDZIE

Pod względem nadzwyczajnych wydarzeń, rzeczywistość prześciga bardzo często najbujniejszą fantazję. Kiedy w młodych latach zachwycaliśmy się Robinsonem, a później "Mgwolim" Rudyarda Kiplinga, nie uwierzylibyśmy gdyby nam ktoś powiedział, że w dziejach ludzkości znane są wypadki, nietylko do tych dwuch przez genjalnych pisarzy zmyślonych podobne, lecz stanowczo na jeszcze bardziej fantastyczne zakrawające. A jednak, jak się zaraz przekonamy, istniał cały szereg niezbicie dowiedzionych wypadków niesłychanego zdziczenia ludzi europejskich i to w wcale niedalekiej przeszłości, gdyż pod koniec XVIII-go i w pierwszej połowie XIX-go stulecia. Co zaś dla nas najciekawsze: wśród tych zdziczałych ludzi nie brakło także Polaków.



Bartek Wielga

Zaczniemy też przeto od nich. Wedle urzędowych zapisek władz pruskich w Sensburgu w Prusach Wschodnich, żyła tam pod koniec XVIII-go stulecia polska rodzina nazwiskiem Wielga, która zajmowała się w rozległych borach tej okolicy wytwarzaniem potażu. Jednocześnie zaś uprawiała surowo wówczas przez rząd pruski wzbroniony tytoń, który przemycała zagranicę. Kiedy odkryto przestępstwo, cała rodzina uciekła przed ścigającą ją władzą do dzikich lasów, położonych już na terytorjum polskiem i przebywała tam przez długi szereg lat, nie stykając się wogóle ze światem. Odkryto ją dopiero w czasach wojen napoleońskich, kiedy armje francuskie ciągnęły przez te lasy. Cała rodzina była do tego stopnia zdziczała, że żołnierze z początku byli przekonani, iż to jakieś niesamowite stworzenia. Była odziana w dziwaczne suknie ze skóry dzikich zwierząt i uzbrojona w maczugi. W szczególności jeden z członków rodziny, nazwiskiem Bartek Wielga, którego podobiznę widzimy na rycinie, wyglądał tak dziko, że nawet grenadjerzy napoleońscy zbliżyli się do niego z wszelką ostrożnością. Niemniej dziki był wygląd jego sióstr, które na widok wojska zaczęły przeraźliwie krzyczeć. Stwierdzono po zbliżeniu się do tych zdziczałych ludzi, że porozumiewali się skoszlawioną nie do poznania polszczyzną. Kiedy ich zaś gwałtem przywieziono do najbliższego miasta pruskiego, ludność chciała się rzucić na nich, uważając ich za z piekła rodem.. — Długiego potrzeba było czasu, zanim te zdziczałe stworzenia nabrały jako-takich cech ludzkich. Obie siostry Bartka Wielgi, oddane do klasztoru, zmarły tam wkrótce na melancholję, on sam zaś dziwnym trafem znalazł jakąś kobietę, która zdecydowała się wyjść za niego. Mimo wszelkich jej starań, nie zdołała jednak wyplenić z niego całkowicie natury nawpół dzikiej i wkońcu też uciekła od niego.

Jeszcze wyższy stopień zdziczenia niż u tej rodziny polskiej stwierdzono w tymże samem stuleciu u dziewczyny, schwytanej w la-

sach koło Sangi w Szampanji. Wyglądała ona na dziecko dziesięcioletnie, atoli rozwój jej fizjologiczny świadczył, iż jest stanowczo starsza. Ciało jej pokryte było całkowicie gęstym włosem, jak u małpy. Najdziwniejsze zaś było uzbrojenie tego stworzenia w kształcie olbrzymiej maczugi, którą z nadzwyczajną umiało się bronić zwinnością. Odznaczała się ta dziewczyna niezwykłą siłą, poruszała się z lekkością gazeli i umiała jak wiewiórka wspinać się na drzewa i dawać z nich susy na wielką odległość. Biegała zaś tak chyżo, że z trudem zdołano ją dogonić. Ludność okoliczna, zobaczywszy po raz pierwszy to ludzkie stworzenie w lesie, mijała je przez długi czas i twierdziła, że mieszka w nim "nieczysta siła". Dopiero dziedzic Songi hr. d'Epinay zarządził formalne polowanie na tę dziewczynę, chcąc się przekonać, co jest prawdy w bajaniach ludu. Kiedy służba dworska wyśledziła kryjówkę tego stworzenia i je zobaczyła, rozpierzchła się na wszystkie strony. Tylko starszy leśniczy miał odwagę pozostać na miejscu i puścić swego psa myśliwego na dziewczynę. Widząc pędzące ku niej zwierzę, dziewczyna nie ruszyła się bynajmniej ze swej kryjówki, lecz z maczugą w ręku oczekiwała spokojnie, aż do niej przybiegnie. W chwili gdy rozwścieczony pies był już dość blisko, uderzyła go maczugą z tak straszną siłą w łeb, że padł na miejscu trupem. Widząc to, dziewczyna wśród dzikich okrzyków radości tratowała po nim przez czas pewien, a potem uciekła w głąb lasu.

Teraz cała służba dworska puściła się za nią w pogoń, aż zoczyła ją, siedzącą na drzewie i zajadającą — żaby, z pobliskiego wydobyte bagniska. Jeden z służebników wpadł na pomysł, wyłowienia kilku żab i pokazania ich dziewczynie na drzewie. W tej samej chwili zdziczałe stworzenie z okrzykiem radości zeskoczyło z drzewa, a wtedy służba hr. d'Epinay rzuciła się na dziewczynę i skrępowała ją.

Odtąd trzymano ją na zamku hrabiego i z całej okolicy zjeżdżali się ludzi, by oglądać ten rzadki okaz. Co największy wzbudzało podziw, to iście zwierzęcy sposób, w jaki ta dziewczyna zjadała surowe mięso, rozszarpując je swemi niezwykle silnemi rękami. — Kiedy po pewnym czasie przyzwyczajono ją no noszenia sukni i wyprowadzono do ogrodu, w którym znajdwała się duża sadzawka, dziewczyna w tej chwili wskoczyła w ubraniu do wody i zadziwiła wszystkich doskonałym sposobem pływania. Wyszedłszy nareszcie z wody, z tryumfem pokazywała kilka ryb i żab, które złowiła. Udało się z czasem "ułaskawić" ją do tego stopnia, że nauczyła się dość płynnie mówić. Ale do końca krótkiego życia swego nie straciła całkowicie cech nawpół zwierzęcych, które objawiały się przedewszystkiem w wstręcie do potraw ludzkich. Będąc już w znacznej mierze "ucywilizowana", razu jednego przy wieczerzy u hrabstwa d'Epinay, urządzonej dla licznych gości, znikła nagle z pokoju, a po pewnym czasię wróciła, niosąc w fartuchu mnóstwo — żab, wyłowionych w sadzawce, któremi częstowała gości. A kiedy ci, przerażeni, zerwali się od stołu, dziewczyna obrażona, że nie przyjęto jej darów, usiadła w kącie i sama spożyła te nadzwyczajne przysmaki.

Niemniej ciekawym od opisanych tu okazów, był zupełnie zdziczały Francuz, nazwiskiem Jean Baptiste Cabri, którego z początkiem ubiegłego stulecia ku niemałemu zdumieniu swemu znalazł na Nukahiwa, jednej z największych wysp morza Południowego, zwanych Markezes, kapitan Krusenstern, sławny z podróży swej naokoło całego świata. Cabri jako marynarz po zatonięciu okrętu, na którym pełnił służbę, cudem poniesiony został przez fale na tę wyspę i żył przez długi szereg lat, z zamieszkującym ją dzikim szczepem, zupełnie na jego sposób. Kiedy kapitan Krusenstern poznał Francuza, ten już do tego stopnia zapomniał swej mowy ojczystej, że umiał tylko raz po raz wołać "parler francaise". Ciało Cabriego było na sposób dzikich ludów całe tatuowane, a żył on na wyspie jako małżonek siostry "króla". Zetknięcie się z Europejczykiem wywarło jednak na nim tak silne wrażenie, że postanowił porzucić swoją "małżonkę" i cichaczem powrócić do białych braci. Pod pozorem zwiedzenia okrętu udał się wraz z kapitanem na pokład i już tam pozostał, pełniąc podczas całej podróży w sposób jak najlepszy służbę marynarza. Załoga musiała atoli zawsze mieć się na baczności, przed jego porywami szału. Wylądowawszy w Rosji, Cabri rozpoczął "turnee" po całej Europie, pokazując się wszędzie za pieniądze jako "dziki człowiek". Szczególny

podziw wzbudzał nieznanemi w Europie tańcami dzikich szczepów wysp Oceanu Południowego. Nauczywszy się z biegiem czasu na nowo swej mowy ojczystej, powiadał wszędzie istne "duby smalone" o swych czynach bohaterskich, przyczem zawsze podnosił z dumą, że gdyby był pozostał na wyspie Nukahiwa, wstąpiłby po śmierci swego szwagra króla — na tron. Nie taił się także wcale, że zna doskonale smak — mięsa ludzkiego. Wróciwszy po "występach" swych na całym kontynencie nareszcie do ojczyzny, osiadł w Bordeaux, gdzie założył szkołę pływacką. Aczkolwiek dokładał wszelkich starań, aby stać się znowu "Europejczykiem", jednak do końca życia swego nie mógł pozbyć się całkowicie śladów, jakie na istocie jego wycisnął długoletni pobyt wśród dzikich ludzi.



Jean B. Cabri

Niesłychanie tragicznie przedstawia się inny wypadek zupełnego zdziczenia białego człowieka w pierwszej połowie XIX-go stulecia, a mianowicie francuskiej szlachcianki, żony hrabiego de Budoy. Okoliczności, które spowodowały, że kobieta wysokiego pochodzenia, do tego stopnia mogła zdziczeć, iż żyła przez szereg lat na skalistych szczytach Pyreneyów zupełnie naga, robią wrażenie, jak gdyby były wymysłem bujnej fantazji pisarza romansów kolportażowych. Oto krótki życiorys tej nieszczęśliwej istoty. Jako córka szlachcica francuskiego w Auvergne, w 18 roku życia swego była świadkiem, jak ojciec jej w sposób barbarzyński bił jej matkę. — Oburzona do żywego, oderwała rozwścieczonego rodzica od jego ofiary w tak nieszczęśliwy sposób, że uderzył głową o posadzkę i roztrzaskał ją sobie na miejscu. To zajście tak wstrząsnęło biednem dziewczęciem, że popadło w melancholję. Została z niej jednak wyleczona i wyszła za hr. de Budoy. Ale sumienie nie dawało jej spokoju. Bawiąc w podróży poślubnej w Pyreneyach, pewnego dnia opuściła męża swego i uciekła w góry. Szukano jej wtedy daremnie. Dopiero po upływie kilku lat, myśliwi zoczyli ją na skałach zupełnie nagą z rozpuszczonemi włosami. — Kiedy zaś do niej się zbliżyli, uciekała przed nimi, skacząc ze zwinnością gemzy z skały na skałę. Zawiadomione o tem zdarzeniu władze, rozpoczęły istne polowanie na to nieszczęśliwe stworzenie i udało się nareszcie schwycić je i umieścić w szpitalu. Mimo strasznego zdziczenia, poznać było po tej kobiecie, iż musiała być piękną. Ciało jej było zupełnie czarne i gęstym włosem pokryte. Mijały miesiące, zanim odzyskała jako-tako mowę i mogła w przybliżeniu opisać swoje przejścia. — Żadną miarą jednak nie można jej było przyzwyczaić do noszenia sukni i odżywiania się na sposób ludzki. Oddano ją wreszcie do zakładu obłąkanych, gdzie nad nieszczęśliwą, która tyle lat spokojnie żyła wśród niedźwiedzi, o których opowiadała, że były one jej "przyjaciółmi" i zimą grzały ją swem ciałem, znęcali się okrutni "pielęgniarze" tak długo, aż nareszcie umarła.

Najciekawszym bezsprzecznie z wszystkich znanych dotąd wypadków zdziczenia człowieka europejskiego w początkach ubiegłego stulecia był opisywany już niejednokrotnie, a ostatnio w sposób najlepszy przez znanego pisarza niemieckiego Jakóba Wassermanna, otoczony w dodatku tajemniczością pochodzenia nieszczęśliwca, wypadek, którego widownią była Norymbergja. W tem to mieście, słynnem jako siedziba t. zw. Meistersingerów, uwiecznionych przez Ryszarda Wagnera w jego arcydziele muzyczno-dramatycznem, w dniu 26 maja 1828 roku zjawił

się niewiadomo skąd z listem w ręku młodzieniec o tak dziwacznym wyglądzie, że wnet całe miasto zbiegło się, by go oglądać. Był to sławny odtąd — Kacper Hauser, którego dzieje, mimo olbrzymiej wprost literatury, jaka o nim się do dziś dnia pojawiła, jeszcze całkowicie nie zostały zbadane. Niedalej jak ubiegłego roku znowu, odkryto w Niemczech pewne zapiski, z których jakoby wynikało, iż Kacper Hauser był potomkiem jednego z panujących rodów Rzeszy Niemieckiej.

W chwili zjawienia się na Placu Targowym w Norymbergji, Kacper Hauser liczył zaledwie lat 16 czy 17-cie. Do dnia, w którym go z ukrycia jego wypuszczono w świat, trzymany był w norze tak małej, że mógł w niej tylko siedzieć. Dlatego też, wydostawszy się z niej, nie umiał utrzymać się na nogach, a każdy krok sprawiał mu wielkie boleści. Naturalnie, że pierwsze, z czem zapoznał się na nieznanym mu wcale "świecie" była — policja. Kiedy ta go z Placu Targowego w Norymbergji odprowadziła do więzienia, biedak co chwila upadał, co uważano za "symulację" z jego strony. Dopiero lekarz policyjny, zbadawszy go dokładnie, ku niemałemu swemu zdumieniu stwierdził, że stopy jego nie zdradzały śladu, z któregoby wynikało, że je uciskało obuwie. Były bowiem miękkie jak wnętrze dłoni i bez szczypty t. zw. rogówki, pokryte natomiast świeżemi bąblami krwawemi, wywołanemi nieznanym przedtem Hauserowi butem. Najciekawszem zaś było stwierdzenie, że Hauser siedział na podłodze z wyciągniętemi nogami, w podkolanku jego powstała tak drobna wklęsłość, że zaledwie karta do gry pod nią wsunąć się dała. Nieszczęśliwy chłopiec wogóle nie umiał używać rąk i nóg, a zwłaszcza chód jego przypominał żywo pierwsze próby chodzenia małego dziecka. Schodami musiano go jeszcze długi czas po tajemniczem zjawieniu się jego w Norymbergji prowadzić, gdyż co chwila się wywracał.

Mówić umiał zaledwie kilka słów jak "woda", "chleb", "pan". Z tych słów wywnioskowano, że trzymany zdala od ludzi, Hauser karmiony był wyłącznie chlebem i wodą i widział jedynie swego dozorcę więziennego, który był dla niego "panem". Jakoż przekonano się też niebawem, że wszelki inny pokarm był mu obcy. Kiedy mu bowiem podano kawałek ugotowanego mięsa, po pierwszym kęsie wypluł je z uczuciem wielkiego wstrętu, przyczem ciało jego drżało konwulsyjnie. Jeszcze gorzej miała się rzecz, gdy próbowano mu dać się napić piwa. Dopiero po upływie całego roku zdołano go powoli przyzwyczaić do różnych pokarmów.

Dziwny też był rozwój jego zmysłów. — Światło dzienne przez długi czas raziło go w takim stopniu, że zamykał oczy, natomiast widział w ciemności doskonale, jak kot. Niesłychanie czuły był jego zmysł powonienia. Zdumiewające wrażenie wywarła na nim — muzyka, kiedy ją po raz pierwszy w życiu usłyszał. Twarz jego była jakby wniebowzięta, oczy szeroko otwarte i pełne dziwnego blasku, a stał przez cały czas zupełnie nieruchomo, wsłuchując się w nieznane mu dźwięki. W chwili jednak, gdy w orkiestrze odezwał się wielki bęben, Hauser ze strachu upadł na ziemię i wił się w konwulsjach.

Nieszczęśliwca przygarnął do siebie profesor norymberski Fr. Daumer, któremu udało się z czasem przeistoczyć go na człowieka normalnego. Wedle Daumera, pupil jego odznaczał się niezwykłą łagodnością i dobrocią serca. Niestety, krótko tylko to tajemnicze stworzenie cieszyć się miało życiem. Zbrodniczy dwór panujący, któremu zależało na zgładzeniu go z tego świata, wynajął bowiem skrytobójcę, który go pewnego wieczora przebił na ulicy sztyletem. Z śmiertelną raną w sercu, zdołał biedak dowlec się jeszcze do domu swego dobroczyńcy, gdzie w pierwszej chwili nie chciano mu dać wiary, że jest śmiertelnie raniony.

Pierwszym, który najdokładniej opisał tajemniczy wypadek człowieka, ochrzczonego nazwiskiem Kacper Hauser, był sławny profesor prawa karnego Paweł Anzelm Feuerbach, ojciec wielkiego filozofa. On też najtrafniej określił zbrodnię, popełnioną na Hauserze, twierdząc, że było to "morderstwo na duszy". "Pozbawiono go — pisał Feuerbach — "jego młodości, którą przeżył jakby we śnie, tak, że właściwie przyszedł na świat dopiero w wieku młodzieńczym".

Z jakich powodów zarówno ta zbrodnia jak i późniejsze zamordowanie Hausera zostały popełnione, do dziś dnia nie stwierdzono. Przypuszczenia wspomnianego literata niemieckiego Jakóba Wassermana, wypowiedziane w jego przed kilkunastu laty na-

pisanem grubotomowem dziele "Kacper Hauser", iż chodziło tu o sprzątnięcie pretendenta do jednego z tronów niemieckich, okażą się wedle znalezionych w ubiegłym roku nowych dokumentów prawdopodobnie uzasadnione.

B. Szarlitt.

Wpływ wiosny

Profesor (który włożył przez roztargnienie kapelusz swojej córki, do siebie): — Jak to zaraz wiosna potrafi wszystkich rozweselić! Na kogo spojrzę, każdy się śmieje...

Bezinteresowny

— Wie pani, że mój brat się ożenił i nie wziął ani grosza posagu?

— Czy być może? A dlaczego?

— Bo mu teść nie dał.



W drodze do kościoła

Zanikające typy polskich wieśniaczek w ludowych strojach w drodze zimą na nabożeństwo. Pięknie się ubierał lud polski, lecz niestety stroje ludowe coraz to rzadsze. Zastępuje je tandeta międzynarodowa.

KUMOTER JACENTY

Edmund Zechenter

Późny był odwieczerz jesienny, gdy Jacenty Mól wracał z miasta, z jarmarku. Na niebie już gwiazdy jęły się pokazywać. Szedł piechty, bo znajomkowie i swojacy z Olszyńca już do dom przejechali i nie miał się do kogo przysiąść. Popił z tym i owym w mieście u Federgruena kóli oblania dobrego kupna krowy, do czego jako stary, mądry "przeliwacz" galanto dospomógł, toć nogi go nijak słuchać nie chciały i jakby na uwziątek cięgiem go na lewo, do przykopy niesły.

Nakoniec doszedł do wzgórka, skąd trza było spuścić się w dół, by do pierwszych chałup olszynieckich dojść.

Przystanął, pozierając markotnie z góry we wieś, tonącą w mrokach, poprawił sterczący mu pod pachą godny kawał kiełbasy i długocki bochen chleba (które zawdy dokumentnie z każdego jarmarku do chałupy przynosił) poskrobał się nad uchem pod czapką i mruknął do siebie:

— Z gó....górki tera, psia para....

Najgorzej zawdy szło mu się po jarmarku z tej górki. Zdradliwe to było miejsce. W zimie, bywało, jak się na obcasie choć podkutym pośliźnie, to nieraz zjedzie na siedzącku abo na plecach w sam dół, ostawając wyżej za sobą kiełbasę i chleb. Musiał potem po nie leźć pod górę na czworakach, coby zaś na śliskiej dródze nie rymnąć i nie skulać się znowu daremno.

Teraz, że buło sucho, lepiej mu się powiedło. Zahamować się nijak nie wydolił, bo w nogach po kilku półkwaterkach mocy juści nie miał, ale choć zdyszany i spocony w ciężkiej górnicy, jakosi szczęśliwie, raźno podnosząc kolana i lagą se pomagając, na dół zbiegł — a leciał tak duchem, jakby strzygoń, abo insze "złe" za nim goniło.

Gdy już w nizinę pierwszą we wsi chałupę Knurka Macieja mijał, zawrzasnął z obejścia Knurków Wojtek, gromadzki pastuch:

— Kumotrze Ja....Jacenty! A pro....prosto przed siebie, nie do przy....przykopy!

Nie dał na to nijakiego baczenia, kiejby do cna nie słyszał. Zwyczajny tego był, że smyki wsiowe lubiły tak za nim wołać skróś tego, co się zdziebko w mowie zacinał. Szedł dalej, sielnie dzierżąc pod pachą chleb i kiełbasę — a że zdradliwą spadzistość drogi minął i we swojej wsi się poczuł, ochota w nim wezbrała i zawiódł srogim basem:

Maryno ze dwora
chodźwa wraz na siano,
jak legniem z wieczora,
wstaniem se aż rano!
Da, dana!

Przystanął, zebrał do kupy plątające się grube nożyska w butach z cholewami, gibnął się w tył, gibnął się wprzód — patrzy, u Lejzorka się świeci.

— Trza o....ociupinę spocząć.... zmachanym setnie....

Kolebiąc się na boki, ciężko wylazł po ceglanych schodkach do karczmy, dokumentnie ramieniem wytarł wybieloną sień, a że posłyszał w szynkowni babski śpiew, śpasów mu się zachciało.

Namacawszy klamkę i rozwarłszy drzwi, stanął w progu, podniósł z fantazyją rękę z swoją sękatą lagą i rozpoczął na nowo:

Maryno.... ze dwora....

Ale stara Ciastonka, pijaczka i ladaco baba, z gębą jak burak czerwoną, obyrtając się właśnie na środku szynkowni, w ten moment piskliwie go zakrzyczała:

Spadłam z wiśnie
naumyślnie
ozdarłam se
krasną kieckę
bardzo.... smyślnie!....

Jedną ręką brała się pod bok, drugą śmignęła przed sobą niby pokazując, kaj se to kieckę tak smyślnie ozdarła.

Chłopi siedzący wokół stołu w magierkach i baranicach przy półkwaterkach buchnęli grubym śmiechem, a Jacenty, przysiadając się do nich huknął:

— Nikto dzisia nie ciekaw, co ta pod kiecką macie.... żeby to dwaścia roków temu....

Widuch Szymon zaś, mały chudy chłopina, któren u Lejzorka rad przesiadywał skróś baby latawicy, co choć ją rzetelnie bijał, z parobkami się cięgiem zadawała, dorzucił:

— Abo trzydzieści....

I w te razy dodał, jakby do siebie:

— Psiach mać babskie nasienie.... tfy!....— przyczem sierczyście splunął na środek izby.

A stary Grzdyka, co pijał na desperę skróś tego, co córka i zięć cięgiem mu łeb suszyli, coby im za żywota całe gospodarstwo puścił, skrzywił się jak po occie i rzekł:

— Tera to juże nijakiej kuntentności by z tem nie było.... prawda kumotrze Jacenty?...

Ale Ciastońka już setnie podpita, nie bacząc co chłopy mówią, pokazała ino w szerokim uśmiechu jeden jedyny ząb, co jej w gębie od góry sterczał, plasnęła się w udo i zawiedła:

W stawie ryby, w lesie grzyby,
na drzewie jabłka,
chodź-że do mnie pod pierzynę
nie widzi matka!....
Hu, ha!....

Naraz drzwi się szeroko rozwarły, i nowy babski piskliwy głos wpadł do karczmy:

— Toś, pijaku, haw jeszcze zalazł? Małoś w mieście jak zawdy chlał? Wstajaj duchem i szuruj do chałupy!....

Tak wrzeszcząc, Magda Mólowa, Jacentego baba była już przy nim i brała ze stołu pod pachę chleb i kiełbasę.

Jacentego, skoro głos swej ślubnej posłyszał, jakby jakasi niesamowita siła z ławy podniesła....

Pojrzał na Magdę miłosiernie i oparłszy się rękami o stół, podniósł grzbiet i w te razy, choć ciężko na nogi się dźwignął.

Cichuśko ino do baby przerzekł:

— Magduś, a.... anim kapki gorzałki haw nie spr....spróbował.... Nawet Lejzor ze swojej izby nie wyszedł.... Wlazłem na mo....moment, coby se ociupinę odzipnąć....

— Odzipniesz doma.... teraz dymaj do chałupy!....

Nim jednak Jacenty z babą, trzymającą go pod rękę do drzwi doszli, Ciastońka za Magdą krzyknęła:

— Piekielnica! Jędzula zatracona! Oćwiara jucha!.... A bez łeb ją kumotrze Jacenty, bez pysk!....

— Cichoj, pijacki tłuku! — odwrzasła jej Magda — bo jak się odwinę, to ci ten ostatni kieł z gęby wyleci!....

— Oćwiara!... Cholera baba, djabla mać!... — leciało za odchodzącymi.

Chciała się Mólowa, że to nagła z przyrodzenia była, jeszcze ode drzwi wrócić, ale Jacenty pociągnął ją mocno ku sobie.

— Chodź Magda.... Będziesz się to z taką biła?!....

Budzi się Jacenty rano, przeciera oczy garścią i rzeknie, jakby do siebie:

— Alem się bez....bezkurcyji nie dał!

— Cóże znowu pleciesz? Jeszcze ci ze łba gorzałka nie wywietrzała? — ofuknęła go Magda.

— Nie pl....pletę ja, nie pletę.... Słychaj, jaką bó....bójkę miałem....

— Miałeś ta bójkę z Grzdyką Walkiem, abo Mrozikiem Staszkiem, co takie same pijusy jak ty.... Wstajał byś sieczkę rżnąć, a nie plótł ambajów....

— Kiej to nie a....ambaje.... Słychaj.... nie z bele kim, ze sa....samą śmiercią z....za łbym się wodził....

— Coś pedział? Ze śmiercią? W Imię Ojca i Syna....

I Magda odszedłszy w te razy od komina, przy którym się krzątała, przystanęła przed szerokiem wyrkiem, co na niem oboje pięć dwaścia roków sipiali.

— Alem się n....nie dał! Za nic!.... Ona zamierza się ko....kosiskiem raz, zamierza się dr....drugi raz, a ja podchodzę z b....boku, łaps za drzewce i kosę z ga....garścim jej wyrwał!.... Wtedy j....jak się nie zamachnę — rety! I w te razy już b....bezkurcyji w izbie niema!....

— Tak to ci się obśniło? Cóże za sen! cóże za sen!.... A jakoże ta śmiertecka wyglądała?

— Ano b....babsko stare, chude i tylo....

— A trupią główkę miała?

— Ni....nijakiej trupiej główki i....ino chudą gębę z okrutnemi z....zębcami. I sz....szczyrzyła te z....zębce do mnie, jakby się cięgiem śmiała....

Pokiwała Magda głową, dziwnie zasumowana. Sen trza, wiadomo, na odwrót brać....

Skoroby mu się obśniło, że śmierć go zadusiła, juści żyłby potem długo.... Ale to on niby śmierć odżegnął.... Pewnikiem — Jezu miłosierny odwróć — wnetki go może ona uchyci!

Ze to nieco grosza w skrzyni miała, a wczora, jak go pijanego do dom przywiezła i rymnęła nim na wyrko, co ino miał z pularysa mu wyciągła, w te razy umyśliła duchem do jegomościa iść i nic chłopu nie mówiąc, na Mszę do Przemienienia Pańskiego dać....

Od kiela roków Jacenty po jarmarkach chodził, do targów stajał, ceny krów podbijał, niezgorzej się im chudobnym wiedło. Zarabiał kiejniebądź nieźle. Od kupującego odczepne brał, coby mu juże krowy nie podbijał i od przedającego swoim porządkiem, że przódzi kupno wygórował. Z innymi "przeliwaczami" także umiał se radę dać. Nie cierpiały go żydy handlarze, bo jenteres im psuł. Lisiczanie, Majdańscy i Magilniaki mieli go też na wątpiach, ale o to się nie frasował. Za to chłopy i gospodynie olszynieckie rzetelnie go nawiedziły, bo swojakom, choć nie zadarmo, przy kupnie czy przedaży zawdy smyślnie dospomógł. To też był Jacenty "kumotrem" jak Olszyniec długi i szeroki, choć ino dwoje dziecek do chrztu somsiadom trzymał.

Baba, jak baba, mało kiej dała mu dobre słowo, że to podpity zawdy z jarmarku wracał i cosi grosza stracił, ale w duszy za swoim chłopem stała, bo — niema godki — że starobliwy by. Zawdy, choćby najbardziej ochlany wrócił, bochen chleba i kiełbasę przynosił, a jak wytrzeźwiał, to się w chałupie duchem roboty imał.

Choć chudziaki, mało grontu mający, Mólowie najstarszej Jagnie wydolili dwa wieprzki, przyodziewę gospodarską i setną pierzynę we wianie dać, a la młodszej Hanki, że dzieucha ładna była i robotna, matka juże szykowała i pościel i obleczenie i przyodziewę, skoroby jej wytrefiło za porządnego chłopa się wydać.

Zabrał im Pan Jezus w małości jednego chłopaka i dwie dzieuchy, ale rodzice z wolą Jego przenajświętszą się zgodzili, bo i coby toto na świecie przez grontu robiło, na wieczne wyrobkami chodzenie skazane.

Skoro Jacenty pośniadał, ozwie się do baby:

— Magduś....

— Abo co?

— Frasunek mam....

— Jakiże frasunek?

— Toli bym se zakurzył, a tu ani ździebka tabaku w macharzynie....

— Poczkaj, duchem ci z karczmy przyniesę.

Poskoczyła do skrzyni, wzięła ze spodu węzełek z pieniędzmi i juże jej w izbie nie było.

— Jezu najsłodszy, a cóże ją tak odmieniło?! — zadziwił się w duchu Jacenty, pozierając za odchodzącą.

Odkąd zapamiętał, zawdy po jarmarku (że to pijany wracał) baba odebrawszy mu w te razy pieniądze, jakby za karę nie chciała potem ani grosika na tabak wydać, trzymając skrzynię na kłódkę zamkniętą. Radził se tak, że ukradł jej z komory dwa — trzy jajka i posyłał ś-niemi Hankę do Lejzorka po tabak, ale tak coby matka nie zbaczyła, abo sam tabak do fajki w karczmie borgował. A dzisiaj, Jezu cudowny, ani go nie spyskowała ani się nie uprzeciwiła, ale sama w te pędy po tabak poleciała.

— Sama, rety....

A skoro wróciła i przyniesła mu nie jedną, ale trzy naraz paczki tabaku, Jacenty do krzty zgłupiał.

Cosi go w serce tknęło i jakby gorąc jakisi bez ślepia mu przeszedł.

* * *

Był jeszcze potem na dwóch ino jarmarkach. Jak z ostatniego przed godnemi świętami wrócił uraczony setnie przez wójta Wąsika i Bąbla Ignaca, somsiada, bo im tanio zatargował mleczne, szerokiego pyska krowy, jakosi wnetki nie wiedzieć bez co zachorował. Leżał rozpalony, aże gorąc buchał od niego, jak z piekarskiego pieca.

Magdę do cna złamała ta okrutna chorość chłopa. Przybaczyła se niesamowity sen, co go Jacenty miał na jesieni. Cosi jej jakby do ucha szeptało, że tera pewnikiem śmierć go zmoże. Ratowała go jak wydoliła, okadzały go baby, uroki odczyniały, raz nawet był doktór z miasta, ale nic nie pomogło.

Do dwóch niedziel pomar.

Mało którego chłopa w Olszyńcu tak naród żałował, mało którego tak długo zapamiętał. Olszyniacy już krów z takim prefitem jak przódzi nie przedawali. Poniektóry przy

przedaży abo kupnie grubo się oszukał i nie bylejaki pieniądz stracił.

— Oj, bieda na nas teraz, bieda — mawiali gospodarze zasiadłszy u Lejzorka przy półkwaterkach, abo baby podparłszy brody przed chałupami.

— Bieda odkąd nie mawa już kumotra Jacentego.

— Sprawiedliwie mówicie.... Szkoda chłopa, wielka szkoda.... a mógł jeszcze kiela roków pożyć....

— Wysłużny la nas wszyćkich był.... Majdańskich oszwabił, Lisiczan, bywało, nieraz wyrychtował galanto, a swojaka, że to kuty na cztery nogi był, spomógł.

— Juści ....Nie żałował na jarmarku gęby, jak o bydlę la Olszyniaka szło, ochrypł, spluł się skróś zająkliwej mowy, a dobił targu tak, że prefit z tego naród nasz miał.... Niech mu ta Pan Jezus da światłość wiekuistą i nie pamięta wszyćkich półkwaterków i kieliszków, co mu bez gardło przeszły.... Chłop był, jakiego drugiego nikaj nie najdzie.

I za duszę "kumotra Jacentego" nie ino biedna gdowa, ale omal cała wieś bez długie jeszcze roki na wypominki dawała.

— Dyziu, nie wrzeszcz tak! Wujcio chory i potrzebuje spokoju.

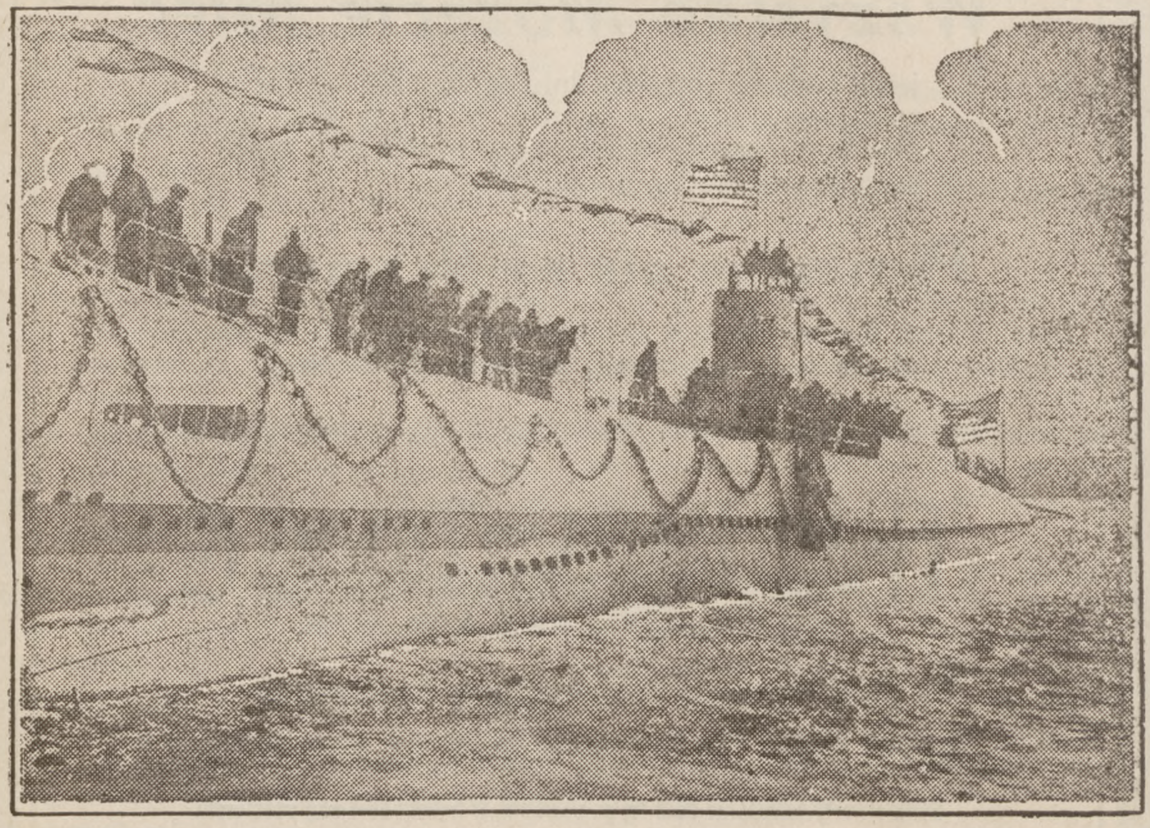
— A jaką wujcio ma chorobę?

— Katar kiszek.

Dyzio zamyśla się na chwilę, poczem pyta mocno zaintrygowany:

— A którędy on teraz kicha?...

Nowy tygrys morski Stan. Zjed.



Fotografja przedstawia najnowszą submarynę Stanów Zjednoczonych. Submaryna ta zbudowana jest do długich podróży. Liczy ona 80 ludzi załogi i zaopatrzona jest w dwa 24-stopowe statki. Cztery maszyny pędzone olejem dają statkowi szybkość 21 węzłów na godzinę na powierzchni morza, a 9 węzłów, gdy statek płynie pod wodą. Statek jest uzbrojony w działa maszynowe, 5 kalibrowe armaty i zwykłe tuby do wyrzucania torped. — Stany Zjednoczone pragną pokoju, ale i nie zasypiają gruszek w popiele.

OJCIEC HUMBUGU

(Nowe Wydanie pamiętników Phineasa Taylora Barnuma)

Pamiętniki Barnuma ukazywały się już kilkakrotnie w najrozmaitszych językach i najrozmaitszych wydaniach. — Ponieważ mistrz reklamy wspomnienia swoje jeszcze za życia wciąż uzupełniał i przerabiał, przeto zostało po nim kilka rękopisów, które ukazywały się w rozmaitych odstępach czasu. Dopiero w ostatnich latach literat niemiecki Otto Sutter wydał pamiętniki Barnuma, zespoliwszy w jedno wszystkie ich odmiany. Są one jeszcze dzisiaj niezwykle interesujące. Barnum bowiem uchodzi słusznie za twórcę jaskrawej reklamy, wirtuoza afiszów i anonsów, ojca humbugu, a z jego życia, w którem wyraziła się energja i pomysłowość rasowa, współczesny człowiek może się bardzo wiele nauczyć. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że we wszystkich jego wystąpieniach hałaśliwych, w życiu niespokojnem i usiłowaniach niestrudzonych zawiera się pewna mądrość życiowa, którą warto sobie przyswoić. A zresztą jakże barwną była karjera tego człowieka, który pragnął przecież nietylko dorobić się majątku, ale przedewszystkiem wyładować kipiącą energję. Niepospolity znawca psychologji ludzkiej umiał ujarzmiać tłumy zapomocą świetnych sztuczek, pomysłowych "kawałów" i niewątpliwie ukazał drogę wszystkim, którzy jęli się potem tego samego rzemiosła. Historja jego życia jest przeto nietylko interesującym dokumentem obyczajowym, ale i wejrzeniem w tajemnice laboratorjum człowieka, który sam w sobie należał do największych osobliwości minionej epoki. — Warto je poznać!

Phineas Taylor Barnum urodził się w stanie Connecticut w miasteczku Bethel dnia 5-go czerwca 1810 roku, jako syn farmera. Od najwcześniejszej młodości ujawniał zdolności do rachunków i interesów handlowych. Ojciec postanowił zrobić go kupcem i wyrobił mu pierwszą posadę subjekta w sklepie z bielizną, artykułami mody i wyrobami z żelaza. Młody handlowiec rozpoczął odrazu cały szereg przedsiębiorstw na własną rękę. W r. 1829 ożenił się z zachwycającą Charity Hallet, która była mu wierną towarzyszką aż do końca życia. Cały ten jednak okres mimo rozwinięcia wielkiej energji i zadziwiającej nieraz pomysłowości nie został uwieńczony należytem powodzeniem. Barnum nie znalazł jeszcze przeznaczonego mu pola działania. Nie wiedział jeszcze o tem, że jako organizator widowisk, przeznaczonych dla szerokiej publiczności może zdobyć sławę i pieniądze. Zakłada tedy najrozmaitsze przedsiębiorstwa handlowe i sklepy, organizuje na szeroką skalę sprzedaż losów loteryjnych, uprawia handel książkami, rzuca się nawet w wir życia politycznego i zakłada własne pismo p. t. "Herold wolności". Jego namiętne wystąpienia skierowane przeciwko osobom cieszącym się ogólnem poważaniem zaprowadziły go do więzienia, co się jednak przyczynia do wzmożenia popularności. Wreszcie w roku 1835 organizuje pierwsze przedsięwzięcie we właściwym sobie stylu.

Oto dowiaduje się on, że w Filadelfji żyje niejaka Joice Heth, murzynka, która liczy podobno ni mniej ni więcej, tylko 160 lat i była mamką generała Waszyngtona. Barnum wyjechał natychmiast do Filadelfji i znalazł tam istotnie kobietę potwornie starą, z oczyma ślepemi, z paznogciami długości czterech cali, bezzębną, o policzkach zapadłych, ale rozprawiającą z zadziwiającem ożywieniem o "kochanym, małym Jerzyku", którego piastowała sto osiem lat temu. Rozmaite dokumenty zdawały się potwierdzać, że ten żywy trup mówi prawdę. Kupuje ją tedy za pożyczone tysiąc dolarów i w ten sposób rozpoczyna karjerę impresarja. Olbrzymie afisze, ogłoszenia i ulotki, transparenty, artykuły w pismach, obudziły ogólne zainteresowanie. — W Nowym Yorku, Bostonie, Filadelfji i wielu innych miastach zebrały się tłumy publiczności, aby podziwiać starą murzynkę, która jednak w rok potem zmarła na uwiąd starczy. Sekcja, której dokonano, nie zdołała rozwikłać zagadki. Lekarze nie mogli określić do-

kładnie wieku "mamki Waszyngtona" i zdecydować, ile w tej historji mogło być prawdy, a ile humbugu. Barnum jednak zarobił wiele pieniędzy, a co najważniejsze znalazł swoje prawdziwe rzemiosło.

Aż do roku 1841 jest on impresarjem rozmaitych artystów cyrkowych, organizuje również wędrowne towarzystwa albo z osobami przez siebie zaangażowanemi wynajmuje się dyrektorom innych przedsiębiorstw. I w tym okresie czasu jednak brama szczęścia jeszcze się nie rozwarła. Kłopoty, troski i niepowodzenia prześladują go bardzo często, kilkakrotnie zmuszony jest zastawiać zegarek albo ratować się od głodu pracą w dziennikarstwie. Mimo to jednak humor nie opuszcza go ani na chwilę, a dobry dowcip ceni nadewszystko.



Generał Tom Thumb (Tomasz Wielki Palec) uroczyście wjeżdża do połacu w Londynie w swej małej karecie, zaprzężonej w 4 małe kuce.

Pewnego razu dowiedział się Barnum, że zbiór osobliwości znany jako "American Muzeum" jest do sprzedania. Jakkolwiek nie miał wówczas wcale pieniędzy, postanowił nabyć ten cały instytut. Było to przedsięwzięcie nad wyraz trudne. Grupa spekulantów bowiem, która była już właścicielem kilku zbiorów, zamierzała kupić również i "American Muzeum". W tym celu utworzono towarzystwo akcyjne i aferzyści spodziewali się znacznego zarobku. Barnum jednak potrafił pozyskać dla siebie prasę. Przy pomocy licznych artykułów i zjadliwych notatek, zdołał ośmieszyć zbankrutowanych finansistów i ich pomysły. Akcje owego przedsiębiorstwa zostały zdyskredytowane i w krótki czas potem Barnum stał się nietylko właścicielem "American Muzeum", ale w rok potem nabył jeszcze zbiory Peala. Nowy "business" prowadził świetnie, a powodzenie, które osiągnął, podniecało go do coraz nowych wysiłków.

Jego ambicją było, aby kupować co roku wszystko, co tylko niezwykłego pojawiło się zarówno w Ameryce, jak i w Europie. Muzeum Barnuma musiało być zawsze głównym tematem wszystkich rozmów. Urządzał on w specjalnie zbudowanej sali wykłady popularno-naukowe, oraz przedstawienia, na których popisywali się najznakomitsi artyści. Oglądało się tam wszystkie dziwy techniki, fantazję i kaprysy przyrody, słuchało się muzyki, nie brakowało pantomin, baletów, śpiewów i tańców. Były dioramy i panoramy, w których widzieć było można nawet stworzenie świata, były modele miast, wodospadów, nawet krajów całych. Występowały psy tresowane, lwy, niedźwiedzie, nosorożce, bawoły, żyrafy, małpy wszystkich gatunków, węże i pchły. Podziwiano przedstawicieli najrozmaitszych ras i narodów, którzy w swo-

ich malowniczych strojach odtwarzali zwyczaje wojownicze i religijne. Nie brakowało również żywych posągów i obrazów, żonglerów, brzuchomówców, olbrzymów i karłów. Wkrótce też mówiono, że niema takiego drugiego miejsca w Stanach Zjednoczonych, gdzieby za 25 centów można było tyle zobaczyć, co u Barnuma. Reklama nadzwyczaj pomysłowa utrzymywała w napięciu ludność niemal całej Ameryki. Barnum nie żałował niegdy na to pieniędzy i potrafił zawsze jakimś nadzwyczajnym pomysłem wprawić wszystkich w osłupienie. Nikt też tak, jak on, nie umiał wyzyskać sposobności. Szczególnym przykładem tego jest historja Thoma Thumba.

Oto Barnum, bawiąc u swego brata w Bridgeport dowiedział się o istnieniu karła, podobno najmniejszego na świecie. Kiedy kazał go do siebie sprowadzić, stanęło przed nim zachwycające chłopię o jasnych włosach i różowych policzkach. Karzeł liczył wtedy zaledwie pięć lat, ale był zadziwiająco pod każdym względem dojrzały. Naturalnie Barnum natychmiast zaangażował go. Cudowne dziecko okazało się niezwykle pojętnym uczniem. Karzełek miał przytem wielką zaletę, a mianowicie niezwykłe uzdolnienie w kierunku groteskowego humoru. Barnum nazwał go: generał Tom Thumb i pod tem mianem malec zdobył sobie niezwykłą popularność w całej Ameryce. Przez dwa lata podziwiano go we wszystkich miastach. Wreszcie Barnum uporządkował wszystkie swoje interesy w ten sposb, aby mógł być przez dłuższy czas nieobecny i wyruszył na podbój Europy. Powodzenie przewyższyło wszelkie oczekiwania. Generał Tom Thumb stał się ulubieńcem królów i królowych, członków parlamentu — całej arystokracji i szerokich mas. W kilka dni po przybyciu do Anglji baronowa Rotszyld przysłała po niego karetę, a potem sprowadzono go na dwór królewski. Jego wystąpienie było tak zabawne, że przezwyciężony został sztywny ceremonjał dworski i karzełek musiał trzykrotnie zjawić się przed obliczem dostojnych władców. Popularność jego rosła z dniem każdym. Oglądanie go należało do obowiązków dobrego tonu. Poświęcono mu polonezy, kadryle i piosenki, a londyński "Puch" znajdował zawsze nową sposobność, aby pokazać swoim czytelnikom Toma Thumba. Powodzenie towarzyszyło karzełkowi i jego opiekunowi także i w dalszej wędrówce po Europie.

Natychmiast po przybyciu do Francji, został przyjęty w królewskim pałacu, gdzie czekali na niego z upragnieniem król Ludwik Filip, jego żona, księżniczka orleańska, księżna Aumale i wiele innych dostojnych osobistości. Na uroczystości w Longchamps Tom Thumb zjawił się w miniaturowym powoziku, zaprzężonym w cztery kucyki. Najznakomitsi ludzie ubiegali się o jego łaski i zasypywali go kosztownymi podarunkami. Mimo tego jednak mały generał nie przeobraził się w rozpieszczonego dzieciaka, ale zachował zupełną prostotę i skromność, co podnosiło tem bardziej jego wdzięk naturalny.

Po tryumfalnem odwiedzeniu takich miast francuskich, jak Orleans, Nantes, Brest, Bordeaux, Toulouse, Monpellier i Marsylja, przyszła kolej na Belgję, gdzie przyjmowano generała z niemniejszym zapałem. Wreszcie Barnum wraca na dłuższy pobyt do Anglji, dokąd nawet przybyła cała jego rodzina.

Cała ta podróż europejska trwała trzy lata i utwierdziła sławę Barnuma, oraz stała się podwaliną jego majątku. Długi czas jeszcze Barnum eksploatował karzełka w Ameryce, a w r. 1857, kiedy to stracił cały swój majątek, nowa wyprawa z Tomem Thumbem do Europy pozwoliła mu pokryć wszystkie straty.

Powróciwszy z Europy z trzosem dobrze naładowanym, postanowił Barnum po tylu latach życia cygańskiego i koczowniczego stworzyć sobie stałe osiedle. Nabył tedy odpowiedni teren w okolicach Nowego Yorku i począł budować dla siebie pałac. Naturalnie człowiek tego rodzaju nie mógł się zadowolić bylejakim pomysłem architekta. Podczas swojego pobytu w Anglji widział on w Brighton nad jeziorem budowlę, którą kazał wznieść dla siebie król angielski Jerzy. IV. Styl orjentalny, którego Ameryka jeszcze nie znała, wywarł tak silne wrażenie na Barnumie, że postanowił go skopjować. W ten sposób powstał słynny Iranistan, czyli wschodnia willa.

Barnum urządził potem dokoła swej siedziby wspaniałe ogrody i sady, prowadził gospodarstwo nadzwyczaj pomysłowe, ale nie-

spokojny duch nie pozwolił mu zasnąć na laurach; życie przygotowywało dlań jeszcze wiele niespodzianek niezwykłych, rozczarowań gorzkich i zmagań się z losem.

W roku 1849 Barnum postanowił zaangażować słynną śpiewaczkę szwedzką Jenny Ling na szereg występów w Ameryce. Było to przedsięwzięcie bardzo śmiałe, Barnum bowiem zagwarantował śpiewaczce tysiąc dolarów dochodu za każdy wieczór i zdeponował w banku do jej rozporządzenia koło dwieście tysięcy dolarów. Umiejętna reklama i niezwykła energja przezwyciężyła jednak wszystkie trudności, Barnum spopularyzował szwedzką śpiewaczkę tak, że wiadomość o niej dotarła do najodleglejszych zakątków Ameryki. Poeci, dziennikarze, muzycy, krawcy, modystki, rękawicznicy, i t. d., i t. d. — wszyscy zaprzęgli się do tryumfalnego rydwanu "słowika szwedzkiego". Słodka twarz Jenny Lind stała się symbolem wdzięku kobiecego, a jej dobroć, którą sprytny Barnum zapomocą rozmaitych czynów utwierdzał, pokonywała najoporniejszych. Dwa lata jej pobytu w Ameryce były też nieprzerwanem pasmem tryumfu.

Jako impresario Jenny Lind nie zaniedbywał Barnum innych przedsięwzięć. Między innemi postanowił on zorganizować wielką, wędrowną menażerję i w tym celu wysłał własny okręt na Cejlon. Jego pracownicy przywieźli stamtąd dziesięć olbrzymich słoni. Barnum kazał dla reklamy paradować im po Broadwayu. "Wielka azjatycka karawana z muzeum i menażerją" objeżdżała przez cztery lata całą Amerykę i przysporzyła sprytnemu przedsiębiorcy wiele dochodu. Wkońcu Barnum sprzedał zwierzęta, klatki i wozy; został mu tylko jeden słoń. Umieścił go w pobliżu Bridgeport i rozkazał jego wartownikowi, aby zaprzągł olbrzyma do pługa i orał nim rolę wzdłuż drogi kolejowej zawsze w tym czasie, kiedy przejeżdżał tamtędy pociąg osobowy. Ten dowcipny "humbug" okazał się świetną propagandą dla muzeum Barnuma. Pisma zapełniały całe szpalty uwagami na temat słonia, jako pomocnika w rolnictwie. Sekretarze wszystkich związków rolniczych zarzucili Barnuma tylu listownemi zapytaniami, że zapomocą cyrkularza musiał się ratować dyskretnemi wyjaśnieniami. — Wszystkie pisma ilustrowane zamieściły fotografję "orzącego słonia Barnuma", a skoro pociąg tamtędy przejeżdżał, we wszystkich oknach sterczały rzędem głowy ciekawych. Biedne słonisko musiało conajmniej sześćdziesiąt razy zaorać ten sam kawałek roli, poczem został sprzedany, jako że spełnił swoją powinność.

W r. 1851 Barnum wdał się w spekulację terenami budowlanemi i stracił cały majątek. Los prześladował go tak zażarcie, że nawet jego wspaniały Iranistan spłonął doszczętnie. Ale dzielny człowiek nie stracił ducha. Nietylko spłacił wszystkie długi, pokrył zobowiązania, które wynikły z nieszczęsnej spekulacji, ale znowu dorobił się wielkiego majątku. I tak jak przed laty słynny już generał Tom Thumb, podstawą powodzenia był karzełek. Barnum zaangażował mianowicie karlicę Kordelję Howard i wraz z tą parą wyruszył do Anglji, Niemiec i Holandji.

Na zaproszenie kilku przyjaciół wygłosił Barnum w Londynie odczyt p. t.: "Sztuka robienia pieniędzy". Ten pomysł okazał się poprostu żyłą złotodajną. W roku 1859 Barnum musiał powtórzyć swoją prelekcję sto razy. W roku 1860 spłacił wszystkie swoje długi i stał się znowu wolnym człowiekiem. W tym samym czasie odkupił on z powrotem swoje muzeum i obwieścił to całemu światu zapomocą olbrzymich afiszy. Tłumy publiczności popłynęły do gmachu, gdzie czekały na nich najrozmaitsze sensacje i gdzie raz Barnum spowiadał się publiczności z historji ostatnich lat swego życia.

Naturalnie w ciągu lat następnych nie brakowało niezwykłych sensacyj w muzeum Barnuma. Wielkie zainteresowanie budziło przedewszystkiem olbrzymie akwarjum, które napełnione zostało przy pomocy specjalnych pomp wodą morską. Ku uciesze rozentuzjazmowanej publiczności można było w niem oglądać dwa potężne wieloryby, rekiny, lwy morskie i najrozmaitsze gatunki ryb o dziwacznych kształtach i cudownej barwie. W osobnym basenie pluskały się okazy, żyjące w słodkich wodach, a pomiędzy niemi i hippopotam.

W r. 1861 Barnum odkrywa nowego karła, który zaczął występować pod nazwiskiem "Commodore" i zdobył sobie niemniejszą popularność od Toma Thumba. Barnum pokazywał ich osobno i razem, bawiąc publiczność

coraz to zabawniejszemi pomysłami. Do bardzo udatnych należało zestawianie najmniejszego człowieka na świecie z olbrzymką Anną Swan. W roku 1862 przybyła jeszcze karlica Lawinia Warren, która poślubiła w jakiś czas potem Toma Thumba, co było niemałą sensacją. Muzeum Barnuma stale przepełnione dawało olbrzymie dochody, złoto płynęło nie powstrzymaną strugą, dzienny obrót wynosił przez długi czas trzy tysiące dolarów.

10-go lutego 1863 roku odbył się groteskowy ślub karłów, w którym wzięli udział przedstawiciele najlepszego towarzystwa. Po wspaniałem przyjęciu w Metropolitan Hotel nowożeńcy wyruszyli w podróż poślubną i złożyli przedewszystkiem wizytę prezydentowi Lincolnowi w waszyngtońskim Białym Domu. Przez wiele lat para najmniejszych małżonków występowała z wielkiem powodzeniem w Ameryce i Europie.

W roku 1865 straszliwy pożar zniszczył doszczętnie wspaniałe muzeum Barnuma. — Była to znowu wielka klęska materjalna, której Barnum musiał przeciwstawić znowu całą swoją energję i pomysłowość. Wreszcie udało mu się zbudować nowy, olbrzymi gmach na Broadwayu, zapełnić go przeróżnemi osobliwościami, pobić wszystkich konkurentów, którzy usiłowali go zniszczyć i odzyskać wszystko, co stracił. Ale w trzy lata potem i ta instytucja padła ofiarą płomieni. Z niezmordowaną energją Barnum walczył ze wszystkiemi niepowodzeniami i kłopotami, które go prześladowały niemal do końca ruchliwego życia. W roku 1871 zorganizował on olbrzymi wędrowny cyrk w połączeniu z muzeum i menażerją, wyposażony w rozmaite niezwykłości. To nowe przedsiębiorstwo cieszyło się niesłychanem powodzeniem i zdobyło sobie sławę na całej kuli ziemskiej.

Barnum umarł 7 kwietnia 1890 roku. Jego śmierć była również niezwykłą sensacją nietylko dla jego współziomków, ale i dla całego świata. Pisma były przepełnione drobiazgowymi szczegółami z jego życia. Nie brakowało i dowcipów najrozmaitszych.

— Czy Barnum dostanie się do nieba? — pytano.

— Niewątpliwie — brzmiała odpowiedź, — ale nie ulega wątpliwości, że tam w górze urządzi on najwspanialsze widowisko, jakie sobie można wyobrazić.

Majątek, który Barnum po tylu niepowodzeniach zostawił, został oceniony na cztery miljony dolarów. Przypadł on w udziale jego wnukowi C. H. Seeleyowi, który przez długie lata był dyrektorem wędrownego cyrku Barnuma.

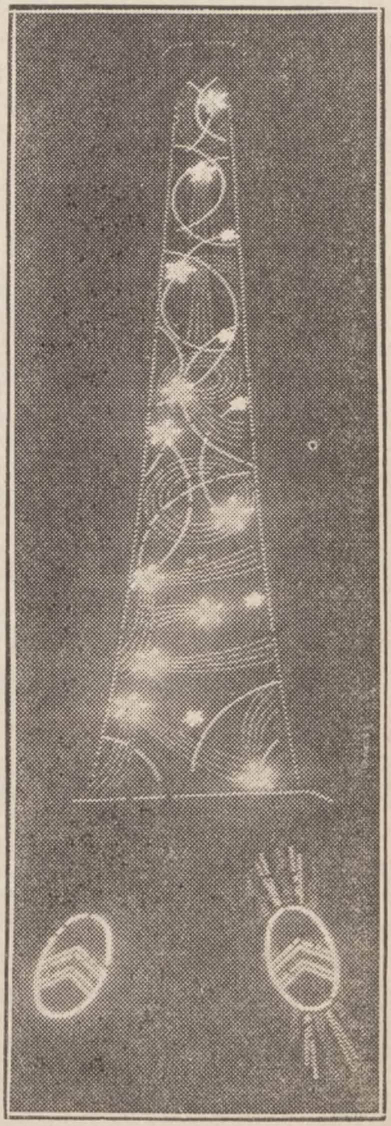
Estewi.

Rada dla malarza

— Chciałbym ostatni mój obraz ofiarować jednej z instytucji społecznych. Którą z nich radzisz mi?

— Daj obraz dla przytułku dla ociemniałych.

Oświetlona wieża Eiffel



Rysunek przedstawla słynną wieżę Eiffel w Paryżu oświetloną wspaniale podczas międzynarodowej wystawy.

JENIEC ATMOSFERY

Jerzy Sosnkowski

Zdarzenie, które mam tutaj opowiedzieć, jest tak dziwne, niewyjaśnione i nieprawdopodobne, że nie mam przez chwilę najmniejszej pretensji do tego, by mi wierzono. Niedość na tem, sambym w nie nigdy nie wierzył, gdyby mi nie danem było przeżyć tego dziwnego momentu samemu, gdybym na własne oczy nie sprawdził niesłychanego zjawiska. Wiem tylko, że dla uspokojenia mojego własnego sumienia będę odtąd skrupulatnie wertował wszystkie lotnicze wiadomości, by wyłowić wśród nich fakty, któreby potwierdzić mogły rzeczywistość mej przygody.

Wiem także, że niczemu dziwić się na świecie nie można, że są rzeczy, stanowczo wymykające się z pod ogólnych pojęć, pozostające poza sferą umysłowości ludzkiej i okryte taką tajemnicą, której raczej nie należy starać się przeniknąć. Tak, nie jest to powiedziane dla ludzi nauki, ale mam usposobienie nieco fatalistyczne i nigdy nie starałem się zbytnio dociekać dlaczego z tylokrotnych niebezpieczeństw licznych moich przygód wychodziłem cało i względnie bez szwanku. Przyjmuję to za fakt dokonany, za coś, co odwróciło się za mną razem z dniem wczorajszym. Zresztą ten wypadek, który tutaj opowiem, właśnie nadaje się raczej do badań, dociekań naukowych mimo swą niesamowitość.

Przy dużych skłonnościach podróżniczych, mam nieprzepartą żyłkę do lotnictwa i nigdy nie zaniedbuję żadnej sposobności, gdy jest perspektywa odbycia mniejszej lub większej wycieczki napowietrznej. Wrażenia lotnicze wywierają ogromnie dodatni wpływ na moją psychikę, możność oderwania się od ziemi i zagłębienia w dziedzinę tak dziwną dla człowieka jak atmosfera, ma w sobie coś z możliwości białej karty: coś na niej napisanem zostanie i to coś przeczytać będzie można, ale co to będzie?

Bezwzględnie fascynujący pierwiastek tajemniczości jest w dodatku okraszony sporą dozą zuchwałości, jaka przypada w roli lotnikowi. Bo czyż nie jest zuchwałym człowiek, który na chytrze i wykrętnie skombinowanym systemaciku drutów i płótna pcha się bezczelnie w nieobjęte przestworza, by swemi wszędobylskiemi oczkami ogarniać przestrzenie zamieszkane przez Boga? Tak więc, spędzając tegoroczne lato w kraju z powodu choroby, z której niedawno dźwignąłem się, mile ogromnie przyjąłem propozycję kapitana-pilota Z. z Pucka, by odbyć mały raid nad hydroplanie Ansaldo nad pełne morze ku brzegom Szwecji.

Powłóczywszy się nieco po helskich wybrzeżach, gdziem dniami całemi wylegiwał się na piasku, goniąc wzrokiem leniwe bałtyckie fale, wsiadłem któregoś popołudnia na rybacki kuter i zawinąłem do Pucka.

Brzydki to był jednak wieczór i nie miałem żadnych nadziei na udatny wzlot jutrzejszego ranka. Wietrzno było, chłodno i.... stalowo. Była taka pogoda, kiedy człowiek się kuli w sobie i dotknąć boi czegokolwiek, bo wszystko jest naokół szare, bezlitosne i zda się być zrobione z jakiegoś ciemnego, nieprzychylnego materjału, i niebo, i ziemia, i woda. Popielate fale kleiście chlupotały o burty barki, której jednokonny, naftowy motorek parplał anemicznie śród wodnych wyboin.

Ckliwo mi było jakoś i mgliście pod posępnym, ciasnym i niskim kloszem nieba, po którem przesuwały się chyłkiem postrzępione, blade widma chmur, i z westchnieniem ulgi powitałem o gęstym już zmroku nikłe światełka ciasnego puckiego portu. Siedzieliśmy wkrótce w małem, lecz dobranem towarzystwie.

Kapitan Z. po serdecznem powitaniu poznał mnie ze swymi towarzyszami: komandorem I. starym wilkiem morskim z byłej floty Czarnomorskiej, porucznikiem K. i chorążym N. pilotami puckiej floty napowietrznej.

Pogoda i na nich niewesoło oddziałała,—

chmurni byli i małomówni. Co do mnie—zakopcone, czarne wnętrze salki restauracyjnej, gdzieśmy siedzieli, nisko zwieszone skrzyżowane belki pułapu, czarne stoły i stoliki, małe okienka, po których pukać zaczęły pierwsze krople deszczu — zamieniły moje kwaśne usposobienie w nastrój wręcz ponury. Wzdrygnąłem się nerwowo, gdy musnęło moje nogi, wielkie, czarne kocisko i błysnęło z pod stołu zielonym płomieniem źrenic. Dopiero po paru szklankach doskonałego grogu i po porządnym kęsie znakomitetgo węgorza, języki zaczęły się wolno obracać w milczących dotąd ustach.

— Ot, nuda — sapnął potężnie z pod czerwonego, dziwacznie podziurkowanego nochala komandor — utkwiwszy swe sympatyczne, jasne, żywo biegające oczka we mnie. — Całe szczęście, że pana mamy. Wint się złoży.

— Chyba bardzo niedługi — zareplikowałem, pytająco patrząc na kapitana.

— Tak, chcemy jutro rano wylecieć.

— To się chyba nie da zrobić. Wietrzno jest — rzekł porucznik K.

— Nie w taką pogodę latałem. Chyba, że pan się nie odważy — zwrócił się kapitan do mnie.

Za całą odpowiedź gwałtownie zatrząsłem przecząco głową.

Komandor uśmiechnął się życzliwie.

— No, no, i nieboja wilcy zjedli!

I znów sposępniał. Twarze wszystkich zasnuła jakaś ciężka zaduma, jakieś myśli niewesołe krążyły pod temi czterema czaszkami, niby owe widma chmur pod kloszem nieba.

Wzrok skołowaciały utkwiłem przed siebie. Miałem wrażenie, że stoi obok mnie coś wielkiego i niesympatycznego i rzucałem na to coś spojrzenia duszy nieufne i podejrzliwe.

— Co do djabła, księdza wysiadujecie, czy co? — obruszył się nagle komandor.

— Ot, kompanja, tfu do czorta! Kapitanie, co wam?

Machnął ręką.

— Et nic. Tak. żeby to na froncie, tobym myślał....

— No i głupstwa same. A ot moja rada: wypić! To kara boska z tymi lotnikami — zwrócił się do mnie — pije to jak smok, odważne jak lew, a nerwy jak u panienki podczas blednicy. Temu to latać po powietrzu. Taki nigdy nie wie czy wisi, czy stoi na ziemi. Już ja tam wolę swoją minonoskę, choć to też czasem z pod nóg wyleci. No, ale wtedy to przynajmniej w wodę, nie w chmurę. Zawsze się w wodzie lepiej zatrzymać można.

Poszło kilka kolejek grogu, opowiadania z dawnych czasów — o różnych dziwach i strachach morskich. Komandor trzymał prym. Rozgorzały mu policzki jak rubiny, gadał, krzyczał, machał rękami.

Humory się nieco poprawiły.

— Tam latający Holender, furda. Okręt Widmo furda, — wrzeszczał Komandor, zapaliwszy się, z pełną wiarą w to, co mówił, choć i to widywałem na Atlantyku, gdzieśmy jeszcze z handlową szkołą morską na naukę jeździli — ale on sam, Śmiertelny, to najgorsza. Tamci strachu napędzą, to prawda. Ale wyżyjesz. A jego jak kto zobaczy kryszka i szabasz! Amen — po ziemi już nie stąpnie!

Zaciekawili się wszyscy.

— A jakże to wygląda?

— Jak wygląda? Ot! Sam nie widziałem, bobym już nie żył, ale tam słyszałem. W burzę pokazuje się, cudak. Czarna noc, bałwany ryczą, raz w raz leci na barkas góra wodna, w której aż gotuje się — co jakby stu djabłów tam ucztę — pieni się, zgrzyta, rwie i szarpie, atrament naokoło, smoła, a ona to, ta fala świeci. A na wierzchu czółno małe, łupina i w niem bez wioseł, stoi w całą wysokość on, kościotrup, i też świeci. No już jak on — — eh!

Zamachał rękami w podnieceniu i zamilkł.

Zaległa znów chwila cisza. Deszcz słabo pluskał za oknem. Zabrałem głos.

— Ciekaw jestem, czy żeglarstwo powietrzne zyska sobie też taką masę zabobonów i legend jak morskie. Dotąd nie słyszałem nic takiego. Co prawda morze ma za sobą taką historję, jak świat jest stary, bo od stworzenia świata ludzie po niem jeżdżą i na niem giną. A legendy i zabobony idą w ślad za śmiercią.

— Będzie miało naturalnie, i to zupełnie swoistą i odrębną. Już to się zaczyna zresztą. Znamy wszyscy Mnicha i wiemy co to znaczy.

— A cóż to takiego?

— Gdy ma być katastrofa — tu kapitan pociągnął tęgi łyk — w chwili decydującej przed śmigłem zjawia się postać mnicha za-

kapturzonego a właściwie nie postać, tylko głowa i ręka jego, wskazująca gdzieś w dal krzyżem, który trzyma. Zasuggerowany lotnik leci w tym kierunku, pędzi za mnichem, który go prowadzi.... aż do katastrofy.

— To jest jedyna opowieść, którą znam.

— Dość skomplikowana — zauważyłem, biorąc szklankę ze stołu.

—Przepraszam.... a Niewidzialny — ozwał się nagle głos dźwięczny, nieśmiały, wibrujący ze wzruszenia.

Postawiłem szklankę z powrotem i spojrzałem na mówiącego. Był nim chorąży N., chłopiec ledwie dwudziestoletni, bardzo ładny, który dotąd siedział tak cicho, że nie zwróciłem nań uwagi.

Teraz zato zastanowiła mnie jego twarz nieco ascetyczna, wysokie, inteligentne czoło, usta ślicznie wykrojone, o wyrazie trochę bolesnym i dziwne spojrzenie, jakby zalęknione, jakby wpatrzone w coś strasznego, a nieuniknionego. Smukłe, delikatne palce drżały lekko, ujmując kieliszek. Prawie nic nie pił. Siedzący obok porucznik objaśnił mnie jednak, że jest to jeden z najzdolniejszych pilotów, poświęcający się swemu zawodowi całkowicie i z nieopisanym zapałem.

Poprosiłem go, by nam opowiedział o swoim Niewidzialnym.

— Ja sam nie wiem doprawdy — tłumaczył się ze ślicznym, zakłopotanym uśmiechem — czytałem gdzieś o tem. To historja najnowszych czasów. Mnie osobiście zajęło to bardzo — ożywił się — bo brzmi dość niezwykle. Właściwie to nie zabobon, ani legenda, ale raczej hipoteza naukowa, lecz tajemnicza i rzeczywiście poetyczna. Mianowicie przy kilku ostatnich katastrofach zaobserwowano fakt, że ciała lotnika nie było na miejscu wypadku. Poprostu aparat spadał sam. Przypuszczano, że pilot wypadł z aparatu z jakiejbądź przyczyny. Poszukiwania w promieniu początkowo kilku, potem kilkunastu kilometrów od miejsca katastrofy nie dały rezultatu. Lotników nie znajdowano. Zachodzi teraz pytanie, jak się to dzieje? Fakty stwierdzono: aparat spada, ciała lotnika niema. — Otóż powstaje ciekawa hipoteza: że górne strefy atmosferyczne zamieszkują nieznane nam potwory, nakształt morskich rekinów, ale zupełnie ściśle obserwujące prawo Mimikry i zasymilowane z nią całkowicie, więc niewidzialne, czy też przeźroczyste i że one to porywają zbyt śmiałych żeglarzy. Wyrywają go z siodełka, aparat pozbawiony kierownictwa spada (autentyczne). A co już z nim robią dalej — niewiadomo. Mało to prawdopodobne, o tyle chyba tylko, że górne strefy powietrzne są nam mało znane, a więc i to wszystko, co się tam dzieje.

W gorącej dyskusji, jaka rozwinęła się na ten temat, nie brałem udziału.

Wolałem obserwować młodego pilota, którego twarz, zdradzająca silne przejęcie się tem, co mówił, mieniła się teraz gamą różnorodnych uczuć. Bezwzględnie był to typ ciekawy i ciekawem być musiało jego dotychczasowe, choć tak młode, życie.

I odrazu rozigrała mi się fantazja, widziałem go jako bohatera niezwykłych przygód i sytuacyj. Mam wogóle pociąg do obserwowania ludzi i wyciągania wniosków z moich obserwacyj, wolę to, niż ludzi poznawać. Nie starałem się więc nawiązać rozmowy z moim, że się tak wyrażę, klientem, ale zasunąwszy się głęboko w krzesło, sącząc grog, przyglądałem mu się wciąż uważnie.

Rysy każdego człowieka odbijają podobno mniej więcej to, co jest w nim. Być może. Istnieją jednak fizjonomje, dookoła których błąka się jakby cień, jakby nieuchwytna wizja tego, co z nim stać się ma. Oświetla ich wyraźnie jakiś fluid przyszłości, — sądzę, że właśnie takim i tylko takim ludziom rozmaici wróżbiarze czy wróżki, czy dobrzy fizjonomiści są w stanie mniej więcej określić przyszłość. To usprawiedliwia ich trafne przepowiednie. Koło twarzy młodego człowieka błąkał się cień taki. Starałem się przez prostą ciekawość wpaść na odpowiednie określenie. Puszczałem fantazji cugle zupełnie, ani razu nie podsunęła mi faktów z naszego codziennego życia. Uporczywie zato nasuwało mu się pojęcie dyluwium, aluwium, kredy, jury — migały krajobrazy o rozczapierzonych, wielkich palmowych lasach zalanych wodami, z których raz wraz wynurzał się łeb plesiosaurusa, — jakieś jaskinie, jakieś pustkowia — urwiska — horyzonty bez miary — słoneczne wiry — plamy ogniste — tęcze, rozpięte nad zszarpanemi skałami. Co to znaczyć miało? że przyszłość jego leży w przeszłości? Bezsens.

Nie chętnie odwróciłem oczy, gdy wtem przyszła mi właściwa definicja i właściwe tłumacznie mych wrażeń. Ten człowiek żył nie w swojej epoce. To nie były jakieś historje romantyczne, szereg t. zw. "przeżyć", które w życiu naszem przetaczają się z sypialni mężatki do placu pojedynkowego, — w przerwach ubarwione gabinetem i szampanem. Jemu musiało być zasadniczo źle w życiu, i źle czuć się musiał w niem, jak w niewygodnem ubraniu.

Zadałem mu naraz głupie pytanie:

—Czy panu podobają się formy współczesnego życia?

Spojrzał zdziwiony.

— Nie. życie współczesne nadto jest zutylitaryzowane. Ja mam nawskróś pierwotną naturę, lubię przygody, przestrzeń, ruch. — Czułbym się dobrze gdzieś, gdziebym prawo egzystencji wydzierać sobie musiał rękami w krwawej i uciążliwej walce z przyrodą. — Dzisiejszy sposób manipulowania sprytem nie podoba mi się. Dlatego też jako fach wybrałem sobie lotnictwo. Tam w górze mam przestrzeń nieobjętą, prowadzę aparat i wiem, że dopóty żyję, dopóki nim władam. To walka podwójna: z niesforną przyrodą i niesforną maszyną. I podwójne panowanie....

Stanowczo miły był chłopiec.

Zagraliśmy dwa robry i poszliśmy spać.

II.

Rano obudziła mnie pukanie do drzwi. Jakież było moje zdziwienie, gdy do pokoju nieśmiało wsunął się mój chorąży.

Ze swem zwykłem zakłopotaniem zbliżył się do łóżka.

— Kapitan polecił mi przeprosić pana, że sam służyć nie może, bo czuje się dziś niezdrów, ale prosił mnie o zastępstwo. Jeśli więc pan ufa moim pilockim uzdolnieniom, to służę. Pogoda dobra.

— No, ale jakże ja śmiałbym pana fatygować dla swej fantazji.

— Och — przerwał mi żywo — to zupełnie nic. Ja i tak codzień latam.

— Jeśli tak....

— Niech więc się pan ubierze, ja pójdę do portu przygotować aparat i czekam na Pana.

W dziesięć minut byłem gotów.

Papierosa paliłem już po drodze, idąc doskonałemi betonowemi stoczniami Puckiego lotniska.

Po wczorajszej ponurej pogodzie ranek był świeży i słoneczny. Jakaś dziwna energja wstępowała mi w żyły, chciało mi się śpiewać i krzyczeć, że jednak w takiem młodem złocie słońca życie jest piękne i miłe. Pełnemi płucami wciągałem chłodne powietrze, z obrzydzeniem wspominając wczorajszy grog i nastrój.

Nad wodą chorąży krzątał się koło świetnego aparatu. Walce do stoczenia na wodę były gotowe. W chorążym niktby nie poznał wczorajszego mizantropa. Wesół był jak szczygieł i uścisnął mi dłoń serdeczne.

— Zrobimy śliczny wzlot. Powietrze wymarzone, motor chodzi jak lalka.

Pakowałem się pracowicie w skórzany kostjum, co mnie zawsze usposabia uroczyście, podpiąłem hełm, zająłem swoje miejsce tuż za siodłem pilota.

Chorąży obrzucił mnie życzliwym wzrokiem, zakręcił jakąś ostatnią śrubkę, wdrapał się na siedzenie, zakręcił raz i drugi, spróbował jeszcze raz sterów i dał znak. Zepchnięto nas na wodę. Śmiga wzięła pełny obrót. Start po falach podobny jest do szybkiej jazdy po wyboistej drodze. Srogi zamęt w kiszkach i zębach — nagły spokój.

Byliśmy już w powietrzu.

Nad Helem dostaliśmy się w jakieś złowrogie wiatry, które zatrzęsły nami jak kłocią.

Tutaj dopiero zobaczyłem całą maestrję jazdy mego pilota. Dał nieprawdopodobnego szczupaka w dół, przechylił aparat w jedną i drugą stronę, nadstawił się podmuchowi, wyrównał i leciał dalej, prowadząc maszynę tak, że czuło się jak najdrobniejsze części pod czujną i pewną dłonią lotnika zgrywają się w harmonijnej współpracy. Spojrzałem w dół. Półwysep został za nami. Przed nami rozciągała się szara płaszczyzna morza, poprzecinana równoległemi pasmami fal, czy też wodorostów, które widać było przez płytką wodę. Gdzieś dalej leżały na morskiej równinie wąskie kadłuby statków, zda się nieruchome, wlokąc za sobą nikłe pasma dymów.

Skrawki żagli tu i ówdzie pstrzyły równinę, zmieniając się powoli w punkciki, w miarę tego, jak wznosiliśmy się coraz wyżej.

Spojrzałem na podziałkę.

Byliśmy już na 1.400 metrach, a chorąży teraz w regularnych odstępach czasu robił t. zw. schody.

Energicznemi podrzutami windował aparat wyżej, — czas jakiś jechał na tej wysokości i znów skok do góry.

Pogoda była pyszna.

Niżej pod nami przesuwały się zwolna śnieżne pojedyńcze obłoki, zgodnie wydłużone w jedną stronę, niby stado pasących się baranów.

Ze stanu błogiego zadowolenia i jakiegoś ciepłego lenistwa zostałem brutalnie wyrwany przez to samo dziwne uczucie, którego raz już doznałem poprzedniego wieczoru. Coś wielkiego i niesympatycznego czułem obok siebie.

Nie wiem czy wielu ludzi wierzy w przeczucia, ale ja nie mogę nie wierzyć. Spojrzałem na energiczny, odważny profil mego towarzysza, i on obrócił się w tym momencie, a we wzroku jego przez ułamek chwili zamigotała pytająca niepewność.

Czy i on doświadczał tego samego co ja?

Motor rytmicznym swoim oddechem hałasował po niebie i miarowo, migotliwą tęczą śmigi przegarniał powietrzne warstwy.

Byliśmy nad pełnem morzem i odległy ląd już tylko nikłą sinawą kreską rysował się na horyzoncie, gdy nagle dziwne zjawisko atmosferyczne zajęło moją uwagę.

Na dalekim widnokręgu zjawiło się pięć kształtów, niby rozwartych szeroko klamer żelaznych, używanych do spinania i łączenia belek, — niby olbrzymich krech ze ściętemi w szpic końcami.

Nie były to właściwie kształty, ale jakby cienie kształtów, otoczone leciuchną, ledwie cokolwiek odcinającą się ciemniejszym tonem od tła powietrza, mgiełką — niby Cienie Cieniów. Tajemnicze to zjawisko wykonywało, rzecz dziwna, przy bliższej obserwacji, zupełnie skoordynowane i obmyślone ruchy, rozchodząc się, schodząc, komponując w pewne szematy i proporcje.

Wyglądało to niby nieznany układ geometryczny i kombinacje jego ruchów miały tenże geometryczny i regularny charakter. Raz posuwały się zgodnym szeregiem, to znów sunęły sformowane w rząd jeden za drugim, to łączyły się swemi ostremi końcami w koło, to dźwignię jednoramienną, to rozsypywały w pojedynkę, zawsze jednak w pewien symetryczny, zdecydowany i pełen wyrazu sposób, wywierając ciągle wrażenie jedności i nierozerwalności mimo zupełnego uniezależnienia od siebie swych części składowych.

Czasem rozpływały się zupełnie w powietrzu i ginęły po to, by za chwilę znów zjawić się wyraźniejsze, konkretniejsze, jakby gęściejsze.

Z zapatrzenia wytrąciła mnie energiczne uderzenie w ramię. To mój chorąży zwracał uwagę na siebie. Co mu się stało?

Był strasznie zaniepokojony i wzburzony. Ten stan ostrego podniecenia, malujący się na jego spokojnej zazwyczaj i pełnej pewności siebie fizjonomji — i mnie wprawił w rodzaj podświadomej, niezdającej sobie sprawy z istoty rzeczy — trwogi.

I on zauważył dziwne formy i raz poraz nerwowo wyrzucał w tym kierunku dłonią, poruszając ustami, widocznie z intencją powiedzenia czegoś, co przecisnąć się nie mogło przez pobielałe wargi.

Co więcej zauważyłem, że gwałtownie zniża lot, zmieniając jego kierunek.

Tajemnicze Cienie zbliżyły się teraz bardzo i wydłużone w jednej linji zdawały się pędzić na nasze spotkanie.

Cienie zaś owych Cieni szły przed niemi i za niemi niby czujne awangardy i tylne straże.

Znów nieokreślone uczucie ścisnęło mi serce stalową dłonią i niezdecydowany strach wypełzł na końce włosów, wpinając w ciało miljardy drobniutkich szpilek .

Geometryczny systemat zbliżał się coraz bardziej.

Ostre, wydłużone formy migotały teraz w mglistym obłoku, krzyżując się z sobą w najprzedziwniejszych kombinacjach, przeszywając się nawzajem, zakładając nawzajem na siebie swoje długie, sztywne kanty, łamiąc się i prostując jak układ ruchomych prętów. Atmosfetrę całą naokół przenikał znany już, dziwny niepokój. Nic napozór nie zdradzało tego, było raczej tak jakby *pojęcie* ruchu i to ruchu szalonego i potężnego wypełniło przestrzeń.

Niewidzialne się stawało, moc nieokreślona, wielka i groźna brała w posiadanie przestwór, w którym bujaliśmy.

Niezachwiane odczucie grożącego nam straszliwego niebezpieczeństwa tak silnie przejęło całą moją istotę, że krzyczeć począłem bezrozumnie, wzywając pomocy, pomocy niewiadomo przeciw komu i z powodu czego?

Towarzysz mój uniósł się z siodełka, nachylony i podany naprzód na koło kierownicze, by w nie wlać całą swoją energję i pragnienia.

Planował, planował gwałtownie, planował katastrofalnie i pędziliśmy prawie prostopadle ku powierzchni niezmierzonych wód.

Nagle zagotowało się w powietrzu, zgęstniało, owiał mnie jakby lekki i cuchnący oddech nieznanej potwornej, wielkiej istoty, aparat się zatrząsł, a ja poczułem się ujęty niby schowany w wielkim worku wyłożonym futrem. Czułem dotyk czegoś kosmatego, gorącego, — czułem, że ujmuje mnie coś, czego nie widziałem, bowiem powietrze naokół było czyste jak przedtem, wibrowało tylko jakiemiś drgnieniami tak częstemi, że prawie widzialnemi.

Widziałem zato, że mój towarzysz, puściwszy ster, ze wstrętem machał obydwiema rękami, jakby opędzał się przed obrzydliwą jakąś stworą.

Potem niby kleiste, wilgotne ciało musnęło mnie i oblepiło na moment głowę całą, aż dusić się począłem i naraz wszystko przeszło, rzekłbyś — przeleciało.

Przerażonemi oczami patrzyłem na chorążego, który blady, z błędnym wyrazem twarzy znów gorączkowo manipulował sterem i aparatem w szalonej ucieczce, — przed czem?

Przed czem?

W tejże sekundzie dziwny atak powtórzył się, spotężniony w dziesięćkroć. Aparat zadygotał, zatrząsł się, miażdżony ze wszystkich stron cisnącą siłą. Ohydny dotyk nanowo ogarnął mnie całego i czułem, że coś stara się mnie wyrwać z siodełka.

Ze wszystkich sił uczepiłem się drążków aparatu i w okropnej tej walce widziałem chorążego literalnie złamanego, wpół ujętego jakąś niewidzialną klamrą w niesłychanych wysiłkach utrzymania się przy sterze.

Z zsiniałych warg spływała nikła wstążeczka krwi, — i o zgrozo! jego zaciśnięte kurczowo koło steru palce zaczęły się wolno rozwierać, obsuwać, mdleć, aż nagle znikł mi z oczu uniesiony gdzieś nieprzemożoną mocą. Zdławiony okrzyk tylko głucho zadźwięczał już z oddali....

I znów wszystko skończyło się równie nagle jak przyszło a ja spadałem z piorunującą szybkością wprost w zielone otchłanie toczące tam w dole swoje leniwe fale.

Mignął mi przed oczyma mój dom, moje życie, pojęcie błyskawiczne, że oto za chwilę zginę niechybnie, błysk zdumienia z tego co się stało, — i nagły gniew i burza zawziętości przeciwko losowi.

W porywie warjackiej samoobrony przechyliłem się ze swego siedzenia, ująłem ster, którym manipulować nie umiałem i ze wściekłością obracając nim w prawo i w lewo starałem się powstrzymać niechybny upadek.

O dziwo! Po paru sekundach aparat poddał się, a w następnych paru uderzywszy mocno o powierzchnię wody, siadłem jednak na niej kołysany mocno przez fale. — Wskutek wstrząśnienia upadłem głową na stalowe pręty, podtrzymujące druty skrzydeł — i straciłem przytomność.

Gdy się obudziłem, było już dobre popołudnie i spokojna równia morza wyglądała jak niezmierzony polerowany chryzolit a mój aparat na tem niby biała mała muszka. Powietrze klarowne i błękitne niczem nie zdradzało obecności strasznej tajemnicy, która wzięła potworny haracz w postaci młodego pięknego życia.

Porządkowałem fakty jedne za drugiemi i nie mogłem ich ubrać w żadną konkretną i racjonalną formę — oprócz dwu pewników: chorąży zginął, wypadł i prawdopodobnie utonął, — ja ocaliłem się cudem. Ale chorąży walczył, walczył rozpaczliwie jak walczy człowiek zgóry zdecydowany na śmierć, niedość na tem, walczyłem i ja. Z kim? Z czem?

Zachodzące słońce czerwonym brzegiem swej błyszczącej tarczy dotknęło wód na horyzoncie i momentalnie po gładkiej powierzchni strzeliła ku mnie krwawa, długa strzała.

O gęstym zmroku dopiero spostrzegła mnie zapóźniona barka rybacka i wzięła na swój pokład.

— — — — — — — — — —

W Pucku wieść o katastrofie wywołała przygnębiające wrażenie. Komandor i jego towarzysze opłakiwali zgon dobrego kolegi, ale śmiali się z moich dowodzeń o fantastycz-

nej walce z Niewidzialnym Potworem. Wkońcu przestałem o tem mówić i sam z czasem niby to uwierzyłem, że dostaliśmy się w burzę powietrza, że chorąży wypadł i utonął w morzu.

Zagadka jednak męczy mnie zawsze. Często wspominam swego sympatycznego pilota i wtedy znów przed oczyma migają mi przedpotopowe krajobrazy. I myślę czy straszny Niewidzialny Cień zamordował go, czy też uniósł gdzie i uwięził?

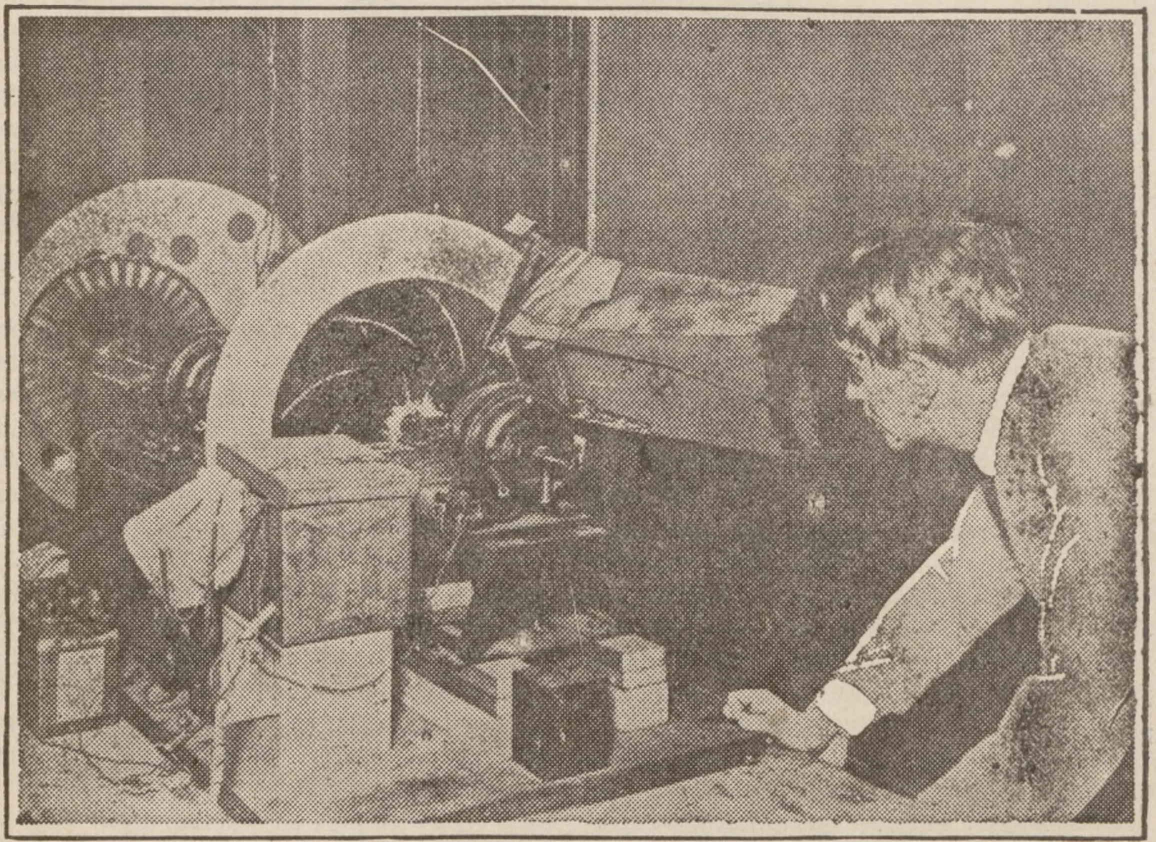
Widzę wówczas wyraźnie ostrokańciaste, poszarpane, czarne wierzchołki gór nieznanych, nietkniętych ludzką stopą, widzę zaśnieżone rozpadliny i przepaście, pod niebem o jasnym seledynowym kolorycie na którym w potwornych igraszkach bezszelestnie kłębią się przeźroczyste potwory.

A na skalnym zrębie siedzi, patrząc swemi przedhistorycznemi oczami na to widowisko, którego oprócz niego żadnemu śmiertelnemu oglądać nie będzie danem, on, chorąży, jeniec atmosfery.

Pustka, pełna tajemnic i dziwów otacza go zewsząd. Hm, — i kto wie czy to nie lepsze niż nasz ruchliwy i jazgotliwy światek, po którym chodzić trzeba z poobijanemi bokami i w ciągłem zrozumieniu swej nicości i swego zawieruszenia się między miljonami podobnych sobie, szastliwych i jazgocących stworzeń bez żadnej nadziei na coś, coby było niespodziewane, nieprzewidziane i nieznane?

Wzlotów się oczywiście nie wyrzekłem i ile razy jestem w powietrzu — rozglądam się skwapliwie czy nie ujrzę znów gdzie niesamowitej geometrji. Od owej pory nie zdarzyło mi się to jednak ani razu.

Będziemy patrzeć przez Radio



J. L. BAIRD I JEGO MASZYNA DO PATRZENIA NA ODLEGŁOŚĆ PRZEZ RADIO

Angielski wynalazca, J. L. Baird wynalazł maszynę, przy pomocy której patrzeć będziemy na odległość tak jak obecnie rozmawiamy i słuchamy. Wynalazca angielski przepowiada, że niebawem można będzie rozmawiać naprzykład do osoby w Warszawie i równocześnie widzieć osobę, z którą się rozmawia.

CUDA DZIKIEJ AUSTRALJI

Mimo objęcia w posiadanie wszystkich części świata—człowiek faktycznie nie zdołał jeszcze ani ich przejrzeć w całości, ani zbadać dokładnie w szczegółach. Liczne wyprawy naukowe, podejmowane stale co pewien czas dla zbadania nieznanych zakątków świata, świadczą o tem aż nazbyt wymownie. I dzięki właśnie tym wyprawom zdobywamy coraz dokładniejszy obraz, coraz ściślejsze i wprost imponujące dane o olbrzymim i czarującym zarazem świecie.

Jedna z takich ostatnich wypraw naukowych obrała sobie za cel zbadanie wybrzeży zachodniej Australji. Z lapidarnie podanych notatek i spostrzeżeń, a przedewszystkiem z bogatego materjału ilustracyjnego, jak zjawa ukazuje się naszym oczom połać kraju i ludzi, krajobraz i psyche, w tak olśniewającej odrębności, że momentami graniczy niemal z cudownością.

Badanie wybrzeża zachodniego Australji ma swoją historję już od roku 1628. Północno-zachodnie wybrzeże zwiedzane było dorywczo przez wielu śmiałych żeglarzy, z pomiędzy których należy wymienić de Witta i W. Dampier'a, lecz dopiero w r. 1837 podjęta została pierwsza próba poważna zbadania tych stron przez kapitana Grey'a. Próba ta jednak doprowadziła tylko do częściowych wyników.

W roku 1879 Aleksander Forrest przedsiębierze pamiętną podróż przez Beagle Buck i King Sound do Fitzroy i rzeki Małgorzaty. W r. 1882 sir John Forrest of Bunbury, znany polityk i podróżnik australijski, przedsięwziął badania tego obszaru na nowo. Po nim niezmordowanie pracowali nad poznaniem tego kraju Hall i Slattery. Oni odkryli pierwsi złoto w pobliżu zatoki Hall'a i od tej pory rozpoczyna się kolonizacja tego obszaru na wielką skalę.

Przed pięćdziesięciu laty nie było na tym obszarze ani jednej kolonji europejskiej. Pierwszą założono w Roebuck Bay w r. 1863. Dziś nawet — wedle spisu — mieszka tam ledwie 10,000 ludzi, nie wliczając tubylców.

Zainteresowanie się temi odkrytemi częściami Australji wzrosło przedewszystkiem z powodu widoków szybkiego zbogacenia się już to dzięki licznym polom złota, już to ze względu na muszle perłowe, jako też i perły.

Od lat pięćdziesięciu poławiacze pereł z marynarzami i nurkami z Azji przeszukują wybrzeże na przestrzeni 1,100 mil morskich, począwszy od Skark Bay, aż do północnych krańców King Sound. W ciągu dziesięciu ostatnich lat uzyskano ze sprzedaży muszel na masę perłową około jedenastu miljonów, za perły zaś przeszło trzy miljony dolarów. Nic więc dziwnego, że okolice te ściągają coraz liczniejsze gromadki ludzkie. Nadto należy podkreślić, że Australja zachodnia w trzech czwartych zaspakaja potrzeby rynku ogólno-światowego, gdy chodzi o masę perłową. Centralnym punktem tego niezwykle popłatnego przemysłu jest miasteczko Broome, rozrzucone dość szeroko i bez planu, liczące niespełna 4,000 Azjatów i kilkuset białych oraz nielicznych tubylców.

Prawo połowu pereł i muszli przysługuje tylko Azjatom. Jest to specjalny przywilej i prawnie zastrzeżona klauzula w t. zw. "Białem prawie australijskiem". Prawo to zabrania równocześnie wszystkim innym rasom kolorowym wstępu do krajów Związkowego państwa Australji.

Wyżej wspomniane miasteczko Broome miało być punktem wyjścia dla północno-zachodniej ekspedycji naukowo-krajoznawczej z Perth, która podjęła się trudów i niebezpieczeństw podróży dla zbadania zachodnich wybrzeży Australji.

Ekspedycja, z której zapisków i notat czerpiemy, wynajęła w Broome malutki 22 tonowy statek "Culwulla" i — zapewniwszy sobie usługi kapitana Johnsona — wyruszyła któregoś majowego poranka w podróż, która miała objąć przestrzeń od Broome do mia-

steczka Wyndham, leżącego na najdalszym punkcie wgłębienia zatoki Cambridge.

Wyprawa doszła do skutku dzięki pomocy finansowej i inicjatywie prywatnej. Na czele wyprawy stanął Mr. E. Stuart z Perth.

Podróż obfitowała w tak wiele awanturniczych i niebezpiecznych przygód, że mógłby ich pozazdrościć najodważniejszy i najbardziej żądny wrażeń podróżnik.

Po przebyciu jakichś 90 mil wdzłuż wybrzeża, gromadka podróżników zatrzymała się koło przylądka Ledge, aby w Beagle Bay zwiedzić stację hiszpańskich misjonarzy, założoną tu przed laty trzydziestu. Ze zdziwieniem i radością oglądano rozkwit tej oazy kultury i cywilizacji białego człowieka. Misja uprawia około 10,000 akrów ziemi i wypasa tysiączne stada bydła, owiec i świn. Nadto rosną tu całe lasy drzew kokosowych i palmowych. Wodę do picia wydobywa się z głębokich studzien artezyjskich, które—rozpowszechnione w Australji—wydobywają wodę niejednokrotnie z głębokości kilku tysięcy stóp.

Misja posiada około sześćdziesięciu budynków. Zaopatrzywszy się w wodę i żywność, ekspedycja ruszyła na północ od Beagle Bay i wpłynęła po kilku dniach do zatoki Chilli. Tu zaobserwowano dość ciekawe zjawisko. Zauważono, że podczas przypływu poziom wody wznosił się o 28 stóp, w czasie zaś odpływu nie tylko się—i zresztą naturalnie—zmniejszał, ale morze cofało się o 7 mil, pozostawiając wodę jedynie w zagłębieniach.

Pośród krzewów, rosnących na brzegach morza, dostrzeżono miljardy krabów, wielkości mniej więcej srebrnej półdolarówki. Nie ilość zdumiała podróżników, chociaż i liczba była imponująca, lecz ciekawe zabarwienie tych niewielkich stworzeń. Całe płaty przestrzeni były zasiane krabami o kolorze jasno niebieskim, inne znów krabami o kolorze palonego złota. Te ruchome połacie ziemi, mieniące się w słońcu, sycące żywą barwą, miały nadto charakterystyczne ugrupowania. Szły w zupełnie prawidłowym ordynku, uszykowane w bataljony i kolumny. Robiły wrażenie wielkiej rewji wojskowej, względnie szyku bojowego.

Poza tem — w swoim rodzaju ciekawem zjawiskiem, zauważono na wybrzeżach, jako też w strumieniach i w napotykanych rzekach—wielkie ilości ryb jadalnych.

W okolicy zatoki Chilli znajduje się maleńka wysepka Tyra, którą krajowcy wskazali podróżnikom jako pewnego rodzaju osobliwość. Żył bowiem na niej Francuz d'Antoine w otoczeniu kilkudziesięciu murzynów. Żył na sposób Robinsona Krusoe, mieszkając od wielu lat w najprymitywniejszych warunkach.

U wejścia do King Sound natrafiono na grupę wysp, zwanych archipelagiem Buccaneer. Na jednej z nich t. z. Sunday (Niedziela) znajduje się osada europejczyka Sydney Havley'a, tem charakterystyczniejsza, że posiada tylko kobiety, których Havley używa do połowu muszli, zwanych "trochus", na które ma olbrzymi popyt. Z muszli tych wyrabia się guziki z perłowej masy. Odbiorcami są przeważnie francuzi i japończycy.

Po zwiedzeniu archipelagu ekspedycja skierowała się na północ od King Sound'u. Musiano posuwać się z niesłychaną wprost ostrożnością i bardzo powoli. Statek bowiem wpłynął na t. z. przez żeglarzy "cmentarz" "Graveyard", na którym—rozsiane w tysiącach—leżą malutkie wysepki, otoczone wieńcami koralowych raf. Każdej chwili groziło niebezpieczeństwo rozbicia lub osadzenia statku. Kapitan Johnson przeprowadził jednak "Culwullę" szczęśliwie, dotarłszy do najbardziej podstępnych wód "Whirlpool Pass" pełnych wirów, na których żaglowiec wykonał trzy pełne obroty w stosunkowo wąskim i nie dłuższym nad cztery mile kanale pomiędzy skałami. W pewnych okresach czasu przesmyk ten jest zupełnie niemożliwy dla żeglugi. Brzegi jego wznoszą się ponad powierzchnię wody niemal protopadle na wysokość 400 stóp. Różnica poziomu wody podczas przypływu i odpływu wynosi 35 stóp.

Wydostawszy się z tego przesmyku, ekspedycja dotarła do zatoki, zwanej "zatoką krów morskich". Stanowi ona przejście do Collier Bay. Tam urządzono polowanie na krowy morskie. Polowaniem kierowało czterech murzynów, zabranych z wyspy Sunday jako robotników i tłómaczy. Polowanie na krowę morską nie należy do łatwych. Poluje się na nią zupełnie jak na wieloryba przy pomocy harpuna. Lecz z powodu grubości

i twardości skóry krowy morskiej zdarza się, że ostre końce harpuna często gną się lub łamią. Dlatego polowanie nie zawsze się udaje. Charakterystyczną rzeczą u tych zwierząt jest to, że samice nie opuszczają swych małych, lecz noszą je aż do zupełnego usamodzielnienia na piersiach. Mięso surowe zabitej krowy morskiej ma smak podobny do wołowiny i wieprzowiny zarazem, ugotowane jest używane jako słonina. Jedzą je zarówno murzyni, jak i biali. Skóra po wyprawieniu uzyskuje nadzwyczajną delikatność, a tłuszcz wytopiony na tran, posiada duże znaczenie w lecznictwie, jako środek oczyszczający krew.

Przemysł, związany z połowem krów morskich, rozwinął się szybko i stanął wysoko, zwłaszcza w stanie Queensland.

Polowanie zaopatrzyło podróżników w wiele rzadkich okazów krów morskich.

W ciągu dalszej podróży ekspedycja naukowa napotkała olbrzymie obszary raf koralowych, które wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Australji przedstawiają jedyny w swej malowniczości obraz. Aby otrzymać fotografję raf, musiano rozkopać i minami wysadzić część terenu, aby woda, powstała z przypływu morza, a zalewająca te malownicze laguny i pola koralowe, mogła odpłynąć. W ten sposób uzyskano wspaniałe zdjęcia niewidzianych zazwyczaj pokładów raf koralowych.

Po ominięciu tych pięknych, lecz niebezpiecznych pól i raf koralowych zbliżono się po kilku dniach do zatoki Butcher'a, która przed oczyma podróżników zgoła inny odtworzyła obraz, dyszący siłą i potęgą żywiołu. Był to moment przypływu i odpływu morza, którego różnica poziomu z wodą zatoki wynosi 18 stóp. Zderzenie się fal zatoki z falami morza tworzy najwspanialsze kolumny. W pobliżu tej zatoki rzeka Charnley wpada do morza. Rzekę tę nazywają też "rzeką krokodyli".



Mieszkaniec z Montgomery z najpiękniejszemi ozdobami na plecach.

Podróżnicy, dla zapoznania się z wnętrzem wybrzeża, skierowali statek na rzekę Charnley i powoli od ujścia posuwali się w górę rzeki. Statek był wciąż otoczony ruchliwemi, mułem i zielskiem pokrytemi, wyspa-

mi. Wyspy te, które były niczem innem tylko krokodylami, raz wraz wysuwały się z dna rzeki, to znów zapadały w jej głąb, aby po chwili ze szlamem i rzecznem zielskiem na grzbiecie na nowo się wychylić.

Kraj cały jest po obu brzegach rzeki zalesiony i tworzy dwa równoległe łańcuchy wzgórz. Podczas podróży po rzece oddawano się z namiętnością rybołówstwu.

Ciekawym okazem złowionej ryby była t. zw. "ryba żaglowa". Była długa na ośm stóp i cała w kolorach. Nadto posiadała pletwę, która — rozpostarta — zajmowała sześć stóp kwadratowych powierzchni. Pletwę tę wysuwa ryba ponad powierzchnię wody i — poddając ją naporowi wiatru — używa je jako żagla.

Po jakimś czasie—wskutek płytkości wody—musiano statek zawrócić i wypłynąć znów na morze, które tuż przy brzegu ma inny rodzaj ośmiornicy, ryby z mackami, umieszczonemi na tyle głowy. Za pomocą tych macek, ryba ta przyczepia się do większych ryb lub do kadłuba okrętu i w ten sposób odbywa podróż "na gapę".

Jadąc zwolna wśród niebezpiecznych raf koralowych, natrafiono na małą wysepkę Montgomery. Jest to niewielki skrawek lądu wśród olbrzymich ławic koralowych. Najciekawszą stroną tej wysepki są jej mieszkańcy. Noszą oni dla odróżnienia szczepowego i indywidualnego na swojem ciele coś w rodzaju "biletu wizytowego". Tym biletem wizytowym są znamienne i charakterystyczne nacięcia, które wykonywają ostrą muszlą. W ranę — w ten sposób powstałą — wtłaczają muł, osadzony w korzeniach krzewu "mangrowego", rosnącego tylko w słonej wodzie. Z czasem rana się goi i na ciele pozostają tylko ornamentacyjne zgrubienia. Poza oznaką szczepową i osobistą tkwi w tem niewątpliwie i znaczna doza próżności i chęci podobania się. Tej osobliwej operacji podejmują się przeważnie kobiety.

Rajski zaiste ogród z podzwrotnikowemi owocami, kwiatami i jarzynami ujrzeli podróżnicy na wybrzeżu portu George Mission. Angielscy osadnicy w niewielkiej gromadce wypasają tu, na dobrze nawodnionych i bogatych w trawę łąkach, stada olbrzymie bydła, owiec, kóz i drobiu. Tubylcy, chociaż między sobą kłótliwi i ustawicznie w zwadach, zupełnie poprawnie odnoszą się do białych. Jest w nich duża przymieszka krwi malajskiej, jak wszędzie na północnym zachodzie Australji. Tłómaczy się to częstemi wyprawami Malajczyków na wybrzeża.

Podróżnicy zauważyli, że w tych stronach jest wielkie mnóstwo węży morskich. W dość przeźroczystej wodzie widać całe pasy gadów zwiniętych w kłębki. Dochodzą one do 12 stóp długości. Ukąszenie ich jest śmiertelne.

Wypłynąwszy z zatoki Admiralty, ekspedycja zmierzała w kierunku Napier Broome Bay. Przejazd był niezwykle utrudniony z powodu mnóstwa małych wysepek i mielizn. Po przybyciu do Long Island wprowadzono na pokład żaglowca kilku tubylców. Byli to smukli, rośli mężczyźni bez żadnego okrycia. Ciało ich miało wyrazistą ornamentację, odmienną od dotąd widzianych. Poza tem wszyscy nosili długie brody. Konwersacja z nimi odbywała się tylko przy pomocy mimiki i gestu, gdyż nawet murzyni załogi nie mogli się żadnem znanem narzeczem z nimi porozumieć. Wobec dość przyjaznej postawy tubylców, postanowiono wylądować. Ale ledwie podróżnicy stanęli na lądzie, tubylcy zmienili się momentalnie i przybrali groźną i wojenną postawę, wywijając swemi długiemi włóczniami.

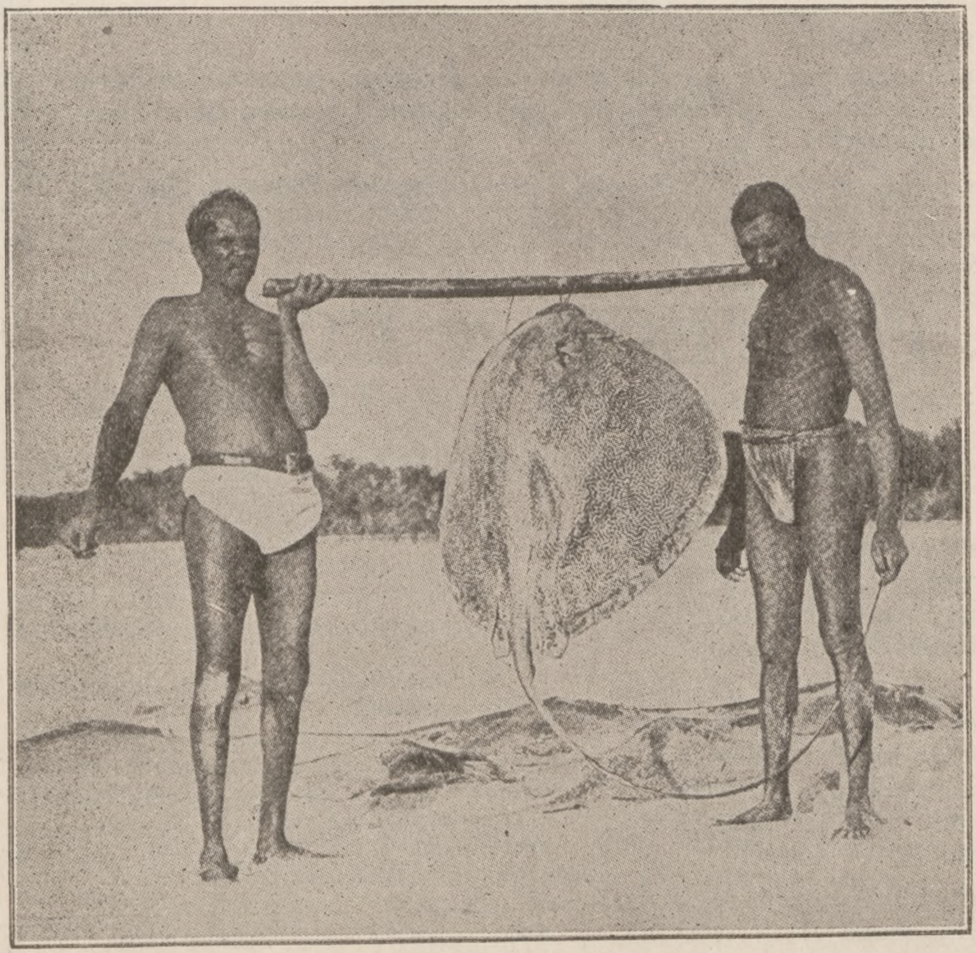
Na szczęście udało się uniknąć niebezpieczeństwa. Później wytłómaczono członkom ekspedycji powody wrogiego stanowiska tubylców wobec nich. Byli oni oburzeni na białych, ponieważ ci zlekceważyli ich podarek w postaci kobiet.

Kiedy "Culwulla" przybiła do brzegu Napier Broome Bay, członkowie ekspedycji zwiedzili małą osadę, założoną przez hiszpańskich misjonarzy przed laty trzydziestu.

Rzadko kiedy zjawia się tu biały człowiek. Raz na rok ledwie przyjeżdża tu żaglowiec misjonarzy z zapasami żywności. Poza tem zupełna samotnia. Czterech zakonników z powodzeniem uprawia ryż, tytoń, cukier i podzwrotnikowe owoce. Do pomocy mieli ośmiu chłopców, jednego murzyna i jedną czarną kobietę.

Tę malutką osadę często napadają wrogo usposobieni okoliczni murzyni oraz dzikie psy, zwane "dingoes".

Po zwiedzeniu osady wrócono na pokład i badano zatokę. W stosunkowo płytkich wodach zatoki złowiono wiele olbrzymich ryb i rekinów, a nadto ciekawe okazy "stingray", (gatunek ryb) dochodzące nieraz do 600 f. wagi. "Stingray" są uzbrojone w zatruty kolec, który wystaje mniej więcej w połowie długości ogona. Kolec ten jest przedłużeniem stosu pacierzowego i służy jako broń zaczepna i odporna. Trucizna kolca działa natychmiastowo. Polowanie na te potworne stworzenia dało wcale pomyślny rezultat, podobnie jak połów rekinów, których długość dochodzi tu do 30 stóp.



Ryba - potwór. Kolce tej ryby umieszczone na długim ogonie są pełne trucizny, powodującej śmierć. Po angielsku ryba ta nazywa się "Stingray"

Po zbadaniu zatoki wyruszono w dalszą—już niedaleką—podróż. Po kilku dniach "Culwulla" wpłynęła do zatoki Cambridge. Jako osobliwość zatoki wskazano podróżnikom niewielką wyspę, zamieszkaną przez olbrzymie żółwie. Istotnie rozmiarami i siłą przewyższały znacznie dotąd widziane. Połów na nie był dość oryginalny. Cała rzecz polegała na tem, aby żółwia przewrócić na grzbiet. W ten sposób murzyni złowili ośmdziesiąt kilka żółwi. Jako dowód ich niezwykłej siły niech służy fakt, zanotowany przez członków ekspedycji, iż jeden z najtęższych murzynów dosiadł okrakiem żółwia, który mimo ciężaru i dość znacznej odległości od morza, wcale rzeźko unosił człowieka na swoim grzbiecie. Nie mogąc się zanurzyć, gdyż murzyn trzymał przednią część tarczy, przesunąwszy swój ciężar na koniec ogona, przez długi czas jeszcze w wodzie dźwigał człowieka.

Po tym epizodzie z żółwiami, ekspedycja skierowała swój statek do celu podróży — to jest do miasteczka Wyndham, leżącego w najdalszym krańcu zatoki Cambridge.

Miasto Wyndham jest wielkim portem wywozowym bydła, spędzanego z głębi kraju, Środkiem komunikacyjnym między miastem Wyndham a osadami, odległemi o setki mil, są karawany wielbłądzie. Żadne inne zwierzę nie mogłoby tej przestrzeni—w najdzikszych zresztą warunkach—przebyć. Zaprzęgi wielbłądzie, dźwigające ładunki drzewa opałowego z dalekich stron i naodwrót zmierzające z ładunkami zapasów w niedostępne wprost krainy, są zwyczajnym obrazkiem ulicy tej niewielkiej mieściny.

Przywieziony tu przed wielu, wielu laty wielbłąd doskonale się zaklimatyzował i w nowem swem pokoleniu stał się największym i najsilniejszym na świecie przedstawicielem swego gatunku, jak to orzekli znawcy.

Innych osobliwości Wyndham nie posiada. Nad rzeką Forrest, wpadającą do zatoki Cambridge, maleńka osada angielskich misjonarzy uprawia pewną odmianę wina, zastępującego herbatę, w wielkich ilościach wywożonego do Perth.

Północno-zachodnia ekspedycja naukowa, zebrawszy olbrzymi materjał ilustracyjny, cenne szczegóły z życia tubylców, wiadomości o płodach wszelkiego rodzaju, o faunie i florze, a przedewszystkiem o charakterze wybrzeża północno-zachodniego i jego właściwościach, po wielu trudach i wysiłkach powróciła do Broome. Droga przebyta tam i z powrotem dla poznania tego nieznanego wycinka olbrzymiego i niezbadanego jeszcze dokładnie świata, trwała pełnych sześć miesięcy, lecz uwieńczona została niesłychanie bogatym rezultatem.

Przełożył J. G.

HUMOR

Pojęcie bohatera

Mały Józio przygląda się z zainteresowaniem posągom greckim w ogrodzie i wypytuje bonę, kto to taki.

— To bohaterowie — odpowiada bona niezbyt obeznana z mitologją.

W parę dni później, w czasie wizyty gości, Józio wchodzi do salonu, gdzie właśnie toczy się rozmowa o bohaterach. Jedna z pań pyta żartobliwie Józia:

— A może Józio wie kto to jest bohater?

— O — jeszcze i jak. Bohater to taki człowiek, co stoi goły w ogrodzie i ma tylko listek.

Do Harcerza

Kornel Makuszyński

*Harcerzu! Lot—niech będzie orła lotem,
Pacierz—płomieni niech będzie wytryskiem,
Słowo—sztandarów na wietrze łopotem,
Pieśń—krwawą łuną nad serca ogniskiem,
Myśl każda—słońcem niechaj będzie złotem,
Rytmy—tętentem, a rym każdy—błyskiem,
Hymn każdy niechaj będzie, jak pożoga,
I taki Polski pełen—jak świat Boga.*

*Jej to śpiewajmy pieśni nad pieśniami,
By, jak dąb, duszą swą rosła wspaniałą,
A gdy, strudzona, uśnie między nami,
Skrzydła pod święte jej zawiążmy ciało,
Lecąc—połóżmy ją między gwiazdami,
By jej się cudnie na gwiazd łące spało,
A gdy się zbudzi, dzwońmy w serca dzwonki
I wszystkie do niej zwołajmy skowronki.*

*Kiedy prząść zechce, to wtedy na krosna
Takich tęczowych słów jej damy zwoje,
że jej na płótnie się wyprzędzie wiosna,
A na zamkowe gdy zbiegnie pokoje,
Pierwszy raz w życiu biednem swem radosna,
Pieśni rzucimy na nią jako stroje
I takie hymnów zawiedziemy mnóstwo,
że pląsać będzie, jak radosne bóstwo.*

*Gdy będzie głodna, albo pić zapragnie,
Nie będzie bólu jadła Pani nasza,
Ni piła jadu w łez zatęchłem bagnie,
Bo się pieśń winem napełni jak czasza,
Jako dojrzały kłos się żytni nagnie,
Co się w pokłonie łaski jej doprasza,
I tak ją biedni nakarmią poeci,
Jak śpiewające—matkę karmią dzieci.*

*A gdy jej oczy błyskiem się rozpalą,
Kiedy nią targnie moc, jak wichry drzewem,
Gdy jako morze, które miota falą,
Tak mężów szyki rzuci zdjęta gniewem,—
Wtedy harcerskich serc dźwiękniemy stalą
I takim wichry napełnimy śpiewem,
Aby z tej pieśni krwią wypiła dzielność
Szał burzy, gromu moc i nieśmiertelność.*

*O, tacy bądźmy polscy heroldowie,
Z duszą ognistą i sercem z kryształu:
Gdy trzeba—cisi, jak apostołowie,
A kiedy trzeba—z głosem pełnym szału,
Ziemi synowie, a z gwiazdami w zmowie,
A, jako sztandar fortecznego wału,
Młody duch polski nad ziemią łopoce,
I niech ogniste z niego biją moce!*

Poświęcenie Pomnika Bohaterom-Lotnikom Am. we Lwowie

Lwów, 30 maja, 1925 roku.

29-go maja, 1925 r., w dzień Dziękczynienia, amerykańskiego święta, Lwów oddał hołd bohaterskim lotnikom Stanów Zjednoczonych, którzy przybyli w ciężkich dla narodu polskiego chwilach z za Oceanu, by lać swą krew w walce o ugruntowanie niepodległości naszego Państwa. Jak ongiś Kościuszko i Puławski pośpieszyli za Ocean, by walczyć o wolność, tak oni przybyli do nas, by nam spłacić ten dług i bohaterstwem swojem odświeżyć ową przyjaźń braterską, zadzierzgniętą przez naszych bohaterów na polach walki w Ameryce. A jak spłacali oni ten dług, jak walczyli za nasz kraj, niech świadczy ten jeden szczegół z walk 7-mej eskadry lotniczej im. Kościuszki wystawionej kosztem St. Zjednoczonych, gdy w bitwie pod Cudnowem dwa aparaty w przeciągu kilku minut rozpędziły olbrzymie watahy bolszewików.

To też Lwów oceniając ich bohaterstwo postanowił przekazać je pamięci potomnych, wznosząc ku czci ich piękny pomnik na cmentarzu Obrońców Lwowa.



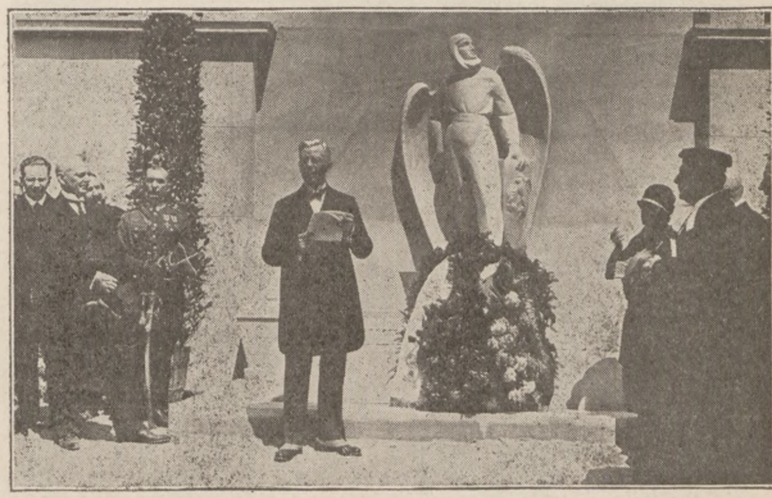
1. Pastor dr. Kesselring przemawia; 2. Konsul czeski; 3. Konsul francuski; 4. Hr. Piniński; 5. Prezydent Lwowa p. Neumann; 6. Prezes inż. Rybicki; 7. Dr. Roiński, prezes Hallerczyków we Lwowie.

W przepiękną pogodę sobotnią przed południem na cmentarzu Obrońców Lwowa zgromadzili się przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, delegaci stowarzyszeń, rektorowie wyższych uczelni, młodzież szkół średnich, korporacje akademickie ze sztandarami oraz tłumy publiczności. O godz. 11 przyjechał na cmentarz poseł Stanów Zjednoczonych w Warszawie p. Pearson w oto-

czeniu członków poselstwa, oraz p. gen. Malczewski, który reprezentował p. ministra wojny i rząd. Gdy dostojni goście zajęli miejsca obok pomnika, chór technicki odśpiewał "Gaude Mater Polonia", poczem pastor dr. Kesselring rozpoczął uroczystość, wygłaszając podniosłe przemówienie najpierw w języku angielskim, a następnie w języku polskim. Przemówienie swe, w którem przeszedł poszczególne etapy rozwoju przyjaźni polsko - amerykańskiej, zakończył odmówieniem "Ojcze nasz."

Odsłonięcia pomnika dokonał prof. dr. Leon Piniński, wygłaszając piękne przemówienie.

Po przemówieniu prof. Pinińskiego spadła zasłona a oczom obecnych przedstawił się piękny obraz pomnika. Na tle katakumb, które w przyszłości mają się ciągnąć wzdłuż cmentarza Obrońców Lwowa widnieje postać lotnika z opuszczonemi skrzydłami wspartego lewą ręką na tarczy z godłami Stanów Zjednoczonych i Polski. Na pomniku widnieje napis w języku polskim i angielskim: "Amerykanom poległym w obronie Polski w latach 1919—1920." Na stopniach pomnika widnieją nazwiska poległych: Edmund E. Graves, Artur H. Kelly i Mc Calum, a pod spodem: "Oficerowie lotnicy 7-mej eskadry myśliwskiej imienia T. Kościuszki."



Amerykański Poseł w Warszawie, Mr. Pearson, przemawia przed pomnikiem. Po prawej stronie pastor, Dr. Kesselring.

I pochyliły się sztandary, wojsko sprezentowało broń a orkiestra odegrała hymn amerykański.

Gdy przebrzmiały dźwięki potężnego hymnu zabrał głos zastępca ministra spraw wojskowych i przedstawiciel rządu wiceminister gen. Malczewski i przemówił w te słowa:

Obchodzimy dziś piękną uroczystość, poświęconą pamięci poległych drogich nam walecznych towarzyszy broni.

Pamiętni wspólnych dążności i walk w ich urzeczywistnianiu od wieków oraz naszej w swoim czasie pomocy, z własnej woli, ochotniczo przyszli nam pomagać, aby znowu zapanował ład, porządek i braterstwo narodów na świecie.

Swoje wierzenia i ukochania przypieczętowali krwią swoją serdeczną, a ziemia przepojona krwią ich i ziemią w której obecnie spoczywają, została przez to dla nas i dla was świętą, jak świętą jest dla nas ziemia Wasza, o której wolność walczył Kościuszko, a która do dziś jest miejscem wiecznego spoczynku Pułaskiego.

Bądźcie pewni, że otoczymy ich opieką i kultem niemniejszym, niż naszych poległych w walce o wolność, sprawiedliwość i niepodległość, a w tym przepięknym ustroniu, wśród z górą 5.000 towarzyszy broni, również bohaterów, bodaj im przyjemnie będzie.

Cześć im i wieczna chwała; sława, cześć i miłość ich matkom, ich narodowi i ich ziemi, która tych bohaterów wydała.

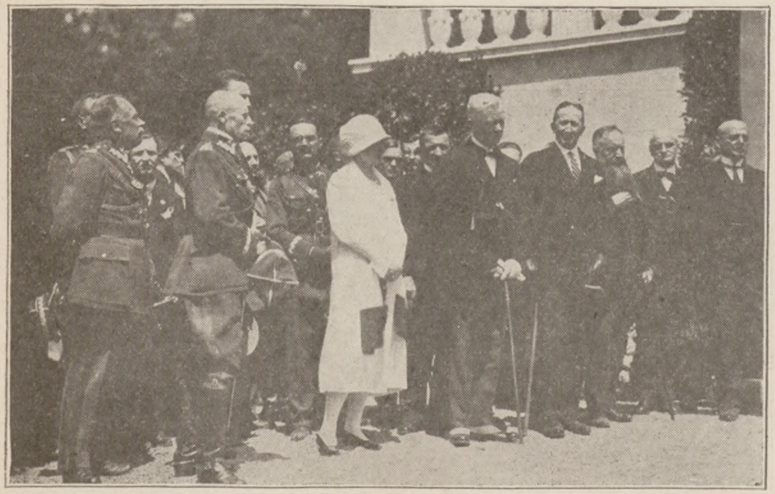
W imieniu Pana Ministra Spraw Wojskowych, członka Rządu Polskiego, oraz w imieniu całej armji, w dowód czci, składam na grobie walecznych członków bohaterskiej armji St. Zjednoczonych ten skromny wieniec, a Pana, Panie Pośle, proszę, abyś zechciał być pośrednikiem tych naszych szczerych i serdecznych uczuć dla całego narodu Stanów Zjednoczonych i dla ich walecznej armji.

Gdy umilkły słowa mówcy dwaj oficerowie złożyli u stóp pomnika wspaniały wieniec z napisem "Minister spr. wojskowych

poległym lotnikom amerykańskim", a orkiestra odegrała polski hymn narodowy.

Z kolei zabrał głos poseł Stanów Zjednoczonych p. Pearson, wygłaszając w języku angielskim następujące przemówienie:

Sprawia mi wielką przyjemność udział w uroczystości odsłonięcia pomnika, który jest symbolem przyjaźni polsko - amerykańskiej. Przyjaźń tych dwóch narodów nie datuje się z ostatnich dni, lecz sięga tych czasów, gdy walczyliśmy o wolność Stanów Zjednoczonych. Kościuszko i Puławski i inni synowie waszego narodu są tymi, których miłość wolności przeszła geograficzne granice narodów. Pomniki tych waszych bohaterów zdobią bulwary naszej stolicy, będąc objawem uznania i wdzięczności, jaką czujemy dla waszego narodu.



Gener. Jędrzejowski, Malczewski i Zagórski, p. Ebenbergowa, Mr. Pearson, Wojewoda Garapich.

Pomnik ten przypomina straszliwe dnie wojny, gdy grzmiały działa i karabiny. Gdy wojna się skończyła, otworzyła się przed nami nowa przyszłość. Narody pragną żyć w pokoju i wszystkie nasze wysiłki powinny dążyć w tym kierunku, musimy się poświęcać dla sprawy pokoju.

Ludzie, których czcicie tutaj, zasłużyli na chwałę, jaką ich otaczacie. Oni przyszli i zostali z wami, gdy groziło wam najgroźniejsze niebezpieczeństwo! Ich ofiara przyczyniła się do silniejszego zrozumienia się obu narodów. Są oni z typu tych ludzi, którzy dają nam przykład, jak poświęcić jedno życie dla życia wielu.

Granice fizyczne, które odgrodziły narody, stały się przyczyną nienawiści, wytworzyły te różnice językowe, różnice pojęć wiary i ideałów. Nienawiść też stała się przyczyną wojny narodów. Te rzeczy jednak powinne należeć do przeszłości. Dzięki znakomitemu rozwojowi środków komunikacji, ziemia zaczyna się kurczyć. One uczyniły ludzi, mieszkających na dwóch stronach globu, swoimi sąsiadami. Przyjdzie jeszcze czas, że znikną uprzedzenia i nastąpi porozumienie się wszystkich narodów. Dzięki wymianie studentów i profesorów, według projektu polsko - amerykańskiego towarzystwa naukowego, będziemy mogli zadzierżgnąć węzły serdecznej przyjaźni, a to będzie znakomitą drogą do załatwiania sporów międzynarodowych na drodze ugodowej.

Wyrażam podziękowanie moje i mojego rządu za okazaną wdzięczność i pamięć poległym w Polsce Amerykanom.

Bohaterskie czyny 7-mej eskadry lotniczej im. Tadeusza Kościuszki, w krótkich słowach przedstawił szef lotnictwa polskiego gen. Zagórski, wyrażając zarazem życzenie, by pomnik wystawiony ku czci bohaterskich lotników stał się zarazem symbolem dążeń narodu polskiego do rozbudowy własnej potężnej floty napowietrznej.

Wiceprezydent miasta dr. Leonard Stahl, na dowód t. zw. czujności wszystkich Polaków w tej podniosłej uroczystości, odczytał szereg pism nadchodzących z całej Polski i z Ameryki. Między innymi od gen. broni Józefa Hallera i od emigracji polskiej w Ameryce, poczem wygłosił w języku angielskim przemówienie.

Imieniem kolegów, którzy służyli w 7-mej eskadrze przemówił kpt. Konopka, adjutant tej eskadry.

Po tych przemówieniach p. Ebenbergerowa imieniem Komitetu oddała pomnik opiece miasta, które też w osobie prezydenta Neumanna przyjęło na siebie ten zaszczytny obowiązek.

Po ukończeniu przemówień zaczęła płynąć fala delegacyj i stowarzyszeń, składając u stóp pomnika wieńce i kwiaty. Zwracał uwagę olbrzymi wieniec wyższych lwowskich uczelni z napisem: "W hołdzie najwyższej i najszlachetniejszej ofierze, wyższe uczelnie we Lwowie," dalej wieniec z napisem: "Synom wolnej Ameryki, Związek oficerów rezerwowych," od powstańców 1863 r., korpusu oficerów, metodystów, Stowarzyszenia inwalidów, Związku Obrońców Lwowa, Zw. legj. itd., a gdy przeszły delegacje stowarzyszeń ,młodzież zaczęła sypać kwiaty z których po chwili urosła wielka mogiła.

Uroczystość zakończyła się odegraniem "Boże coś Polskę" przez orkiestrę wojskową.

* * *

PROGRAM

Przyjęcia Posła Amerykańskiego w sobotę, dnia 30. Maja, 1925 r.

---

1. O godz. 8:20 — przyjazd na główny dworzec.

2. Odjazd na kwaterę w pałacu wojewódzkim, gdzie śniadanie i wypoczynek.

3. O godz. 10:45 odjazd z pałacu wojewódzkiego na cmentarz Obrońców Lwowa.

4. O godz. 11-tej — uroczyste odsłonięcie pomnika na grobie Oficerów-Lotników-Amerykanów z VII. Myśliwskiej Eskadry im. T. Kościuszki.

a) Śpiew Chóru Technickiego.

b) modły i przemówienie Pastora Dr. Kesselringa.

c) odsłonięcie pomnika — w imieniu Komitetu przemówił i odsłonięcia dokonał hr. Leon Piniński. (Orkiestra odegrała hymn amerykański.)

d) przemówienie zastępcy Pana Ministra Spraw Wojskowych generała dywizji Juljusza Malczewskiego — w imieniu Pana Ministra Spraw Wojskowych — złożenie wieńca i hołd wojska (kompanja honorowa 40 p. p. prezentuje broń, orkiestra odegrała hymn narodowy);

e) przemówienie generała brygady Zagórskiego, szefa lotnictwa wojsk. — w imieniu Lotnictwa Wojskowego;

f) Wiceprezydent Miasta i członek komitetu Dr. Leonard Stahl złożył imieniem Związków Wojskowych Amerykańskich — trzy flagi amerykańskie i wieniec, oraz odczytał dwa listy, a to: od Związku Wojskowych Amerykańskich i od Polaków-Lwowian zamieszkałych w Chicago;

g) przemówienie kpt. w rez. Władysława Konopki imieniem byłych pilotów polskich z VII. Myśliwskiej Eskadry im. T. Kościuszki;

h) oddanie pomnika w opiekę miasta — w imieniu Komitetu inżynierowa Janina Ebenbergerowa;

i) przejęcie pomnika w opiekę miasta — w imieniu Prezydjum Miasta Prezydent miasta Józef Neumann.

k) zakończenie uroczystości — odegranie przez orkiestrę wojskową hymnu "Boże coś Polskę".

l) Poczem reprezentanci zrzeszeń i młodzieży składali wieńce i kwiaty na grobie.

5. Powrót do pałacu wojewódzkiego, gdzie odpoczynek.

6. O godz. 13:50 odjazd do Ratusza na śniadanie, wydane przez Pana Prezydenta Miasta na cześć Pana Posła Amerykańskiego.

7. Od godz. 14-tej do godz. 15:30 — śniadanie w Ratuszu.

8. Od godz. 15:30 do godz. 17-tej zwiedzanie miasta (Panorama Racławicka, Kopiec Unji Lubelskiej, Muzeum Sobieskiego.)

9. O godz. 17-tej "herbatka" w ogrodzie pałacu wojewódzkiego na cześć Pana Posła Amerykańskiego — urządzona przez Pana Wojewodę Lwowskiego.

10. O godz. 19:40 odjazd z pałacu wojewódzkiego na główny dworzec, gdzie nastąpiło pożegnanie przez reprezentantów władz cywilnych i wojskowych.



Udekorowanie kwiatami i sztandarami postaci lotnika na płycie grobowej.

* * *

Po uroczystości na cmentarzu miasto podejmowało posła Stanów Zjednoczonych i przybyłych gości śniadaniem w sali ratuszowej. Posła powitał prezydent Neumann, podkreślając uczucia wdzięczności i miłości, ja-

kie naród polski żywi dla szlachetnego narodu amerykańskiego. Po śniadaniu poseł Pearson w towarzystwie sekretarza Hawksa, oprowadzany przez dyrektora dr. Czołowskiego zwiedził muzeum im. Jana III Sobieskiego i panoramę racławicką, wyrażając podziw dla tego dzieła. Po drodze dostojny gość wyrażał swe zachwyty dla naszego miasta, które mu się bardzo podobało. P. poseł obiecał odwiedzić Lwów w czasie Targów Wschodnich. Po południu p. Wojewoda podejmował gościa herbatką w pięknym parku pałacu. Wśród pięknych klombów kwiatowych zgromadziło się około 100 osób, a miła pogawędka przy herbacie i lodach przeciągnęła się do godziny 7-mej przy dźwiękach świetnie zgranej orkiestry 19 pp., którą dyrygował kapelmistrz Osada. Po godz. 7 zebrani goście odprowadzili dostojnego gościa na dworzec. Honory wojskowe na dworcu oddawała kompanja 26 pp. wraz z orkiestrą.

W SZYNKU

— Daj, kumie, pokój z takiem głupiem gadaniem, że ziemia się obraca. Przecież gdyby tak było, toby się morze wylało!

DOWCIPNY RZEŹNIK

— Cóż ci przyszło do głowy, żeś takie piękne zwierciadło w sklepie zawiesił?

— Ano widziesz, kumie, to dlatego żeby kupujące kobiety zanadto na wagę uwagi nie zwracały.

Trzęsienie ziemi w Santa Barbara i w stanie Montana.

Wczesnym rankiem w poniedziałek, 29 czerwca 1925 trzęsienie ziemi nawiedziło piękne miasto nad Pacyfikiem, gród bogaczy amerykańskich, miasto róż: Santa Barbara, (Świętej Barbary).



Trzęsienie ziemi wydarzyło się o 6:44 rano. Powietrze było parne, duszne, lecz spokojne. Nagle niezwykłej wielkości fala uderzyła o brzeg. Powierzchnia ziemi poczęła się unosić z trzeszczeniem, jakby miljon psów gryzło kości. W następnej chwili ziemia poczęła opadać, kołysać się, jak łódka na fali. Za chwilę poczęły się rozlegać huki zapadających się budynków, szyny kolei ulicznych jakby z nici skręciły się i pogmatwały. W ciągu dnia i następnego odczuto jeszcze kilka wstrząśnień, Dziesięć osób tylko straciło życie przy zapadaniu się budynków a straty pieniężne obliczone zostały na 30 miljonów dolarów.

Dwa dni przedtem, to jest 27-go czerwca trzęsienie ziemi, gwałtowniejsze od katastrofy w Santa Barbara, wydarzyło się w stanie Montana i przeszło przez sąsiednie stany Wyoming, Idaho, i Washington. Tak jak i w Californji drgania ziemi odczuwano przez dwa dni następne.

Pierwsze trzęsienie miało miejsce o 6:22 w sobotę wieczorem i drgania ziemi odczuwano prawie bez przerwy do 10 w nocy. W niektórych miasteczkach odczuto 41 wybitnych wstrząśnień. Trzęsienie ziemi w Montana i sąsiednich stanach objęło skąpo zamieszkiwane przestrzenie i kilkanaście małych miasteczek. Strat w ludziach nie było, a szkody w zniszczonych budynkach obliczono na $2,000,000.

INSTYTUT RADOWY W POLSCE

Dnia 3-go czerwca 1925 roku przybyła do Warszawy, witana na dworcu przez przedstawicieli rządu, magistratu i Uniwersytetu, p. Marja Curie-Skłodowska, laureatka nagrody Nobla, honorowy profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Słynna uczona, która swem odkryciem zapoczątkowała, powiedzieć można bez przesady, nową erę w dziedzinie nauk fizyczno-chemicznych, i położyła fundamenty pod nową, zupełnie samodzielną gałęź nauki, radjologję, przybyła do Polski, aby uświetnić swoją obecnością uroczystość położenia kamienia węgielnego pod gmach instytutu radowego Jej imienia.

5-go czerwca, Uniwersytet Warszawski przyjmował w swych murach dostojnego gościa. W auli Uniwersytetu, p. Curie-Skłodowska wygłosiła odczyt, który obejmował dzieje i rozwój teorji naukowej, wyjaśniającej zjawiska odbywające się w ciałach radjo-aktywnych, oraz obecny stan tej gałęzi nauki.

Znakomita uczona mówiła o teorji jonów i elektronów, stanowiących wewnętrzną strukturę atomów. Wykazują one pewną analogję z zasadami układu planetarnego i taksamo jak planety na swych orbitach krążą dookoła słońca, tak elektrony krążą po stałych i określonych drogach dookoła jonu, swego dodatnią elektrycznością naładowanego jądra. Jeżeli dzięki doprowadzeniu z zewnątrz energji w postaci ciepła lub prądu elektrycznego elektrony wytrącone z równowagi poczynają zmieniać swoje tory, "przeskakiwać" z bliższego toru na dalszy i naodwrót, ciało rozżarza się i zaczyna wysyłać światło, które, rozłożone przez pryzmat, wykazuje jego charakterystyczne prążki "widmowe".

Teorja ta wyjaśnia istotę t. zw. analizy spektralnej. Jest ona też punktem wyjścia dla wyświetlenia zjawisk radjo - chemicznych, które odbywają się wewnątrz samego rdzenia czyli "słońca" danego układu. Rdzeń taki składa się z konglomeratu dodatnich i ujemnych ładunków elektrycznych, których wypadkowa, zawsze dodatnia, przedstawia war-



PAMIĄTKOWA FOTOGRAFJA.

Grupa z trzech osób. Pod rękę z byłym prezydentem Hardingiem pani Curie-Skłodowska, słynna polska uczona. Po drugiej stronie p. Skłodowskiej pani Harding. Fotografja ta została zdjęta podczas pobytu pani Curie Skłodowskiej kilka lat temu w Washingtonie. Dziś oboje państwo Harding już nie żyją.

Z inicjatywy p. Meloney damy amerykańskie ofiarowały znakomitej rodaczce naszej, p. Curie-Skłodowskiej, gram radu wartości 250.000 dolarów.

Wspaniały ten dar został wręczony p. Curie przez prez. Hardinga w Białym domu w Washingtonie. Rycina nasza przedstawia właśnie uczoną naszą w towarzystwie prezydenta po uroczystym przyjęciu.

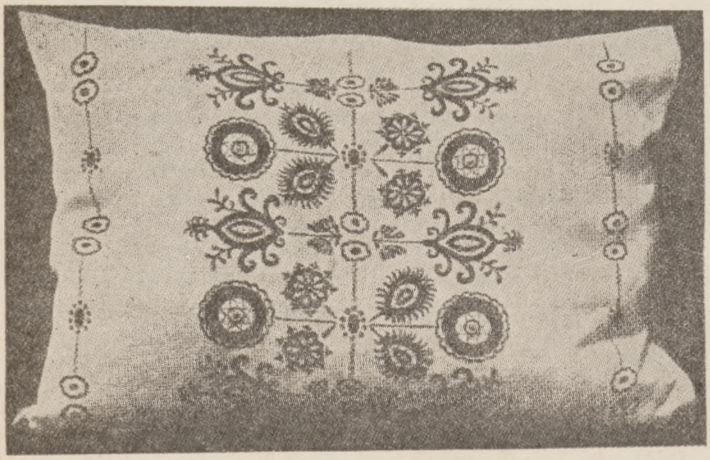
Drogocenny metal, zawarty w 10 tubkach po 100 milligramów, zamknięto w kilku pudełkach metalowych, wchodzących jedno w drugie. Na wieczku zewnętrznem wyryto napis poniższy: "Ofiarowane przez prezydenta Stanów Zjednoczonych imieniem kobiet amerykańskich pani Marji Curie-Skłodowskiej w uznaniu usług wyświadczonych Wiedzy i Ludzkości przez odkrycie radium. Biały Dom, Washington, 20 maja 1921".

tość ładunku elektrycznego danego atomu i warunkuje ilość krążących dookoła rdzenia elektronów. Niektóre, najcięższe pierwiastki, o najbardziej skomplikowanych rdzeniach, rozkładają się samorzutnie: są to właśnie t. zw. pierwiastki radjoaktywne. Istnieją trzy "familje" takich pierwiastków promieniotwórczych, mianowicie grupa Uranu, do której należy również odkryty jako pierwszy "polon" i rad, grupa Toru i grupa Aktynu.

Rdzenie ich tracą albo dodatnie albo ujemne ładunki, co właśnie objawia się w postaci promieniowania, układ ich zewnętrznych, krążących elektronów tem samem ulega zmianie, a ponieważ układ ten warunkuje właściwości chemiczne każdego pierwiastka, więc w rezultacie przemiany radjoaktywnej mamy zawsze nowy pierwiastek chemiczny.

Ostatecznym produktem "rozpadu" wszystkich trzech wspomnianych familji pierwiastków radjoaktywnych jest zawsze ołów.

Na koniec wyśmienita prelegentka poświęca kilka słów zastosowania radu dla ce-



Poduszka z motywami wilanowskiemi

lów geologji i, przedewszystkiem, medycyny. W rękach doświadczonego uczonego rad staje się jedynem narzędziem, za pomocą którego można celowo zwalczać jedną z najstraszniejszych chorób, gnębiących ludzkość, raka. Przyszły polski Instytut radowy w Warszawie stanie się jednem z ogniw, łączących cały świat cywilizowany w walce przeciw tej chorobie.

Frenetyczne oklaski były nagrodą za odczyt, wygłoszony w przepięknej polszczyźnie.

W niedzielę, dnia 7 czerwca odbył się w pięknie udekorowanej sztandarami polsko-francuskiemi sali ratusza uroczysty akt wręczenia p. Curie-Skłodowskiej dyplomu honorowego obywatela m. st. Warszawy. Marszałek Trąmpczyński wygłosił piękne przemówienie, które zakończył słowami: "Kiedy przed dwudziestu kilku laty zamieniłaś sen ludzkości w rzeczywistość i pierwszemu owocowi Twoich genjalnych prac dałaś nazwę "Polon", wówczas serca całego narodu zabiły ku Tobie, bo poznaliśmy wtedy wszyscy, że określiłaś swe uczucia do ojczyzny w myśl: "Nie mnie będzie chwała, ale Tobie i imieniu Twemu".

Po tej akademji odbyło się położenie kamienia węgielnego pod gmach instytutu przy ul. Grójeckiej. Pierwszą cegiełkę wmurowała

HAFTY POLSKIE



Makatka z motywami według pasa staropolskiego

p. Curie-Skłodowska, drugą p. prezydent Rzeczypospolitej.

Wieczorem odbył się raut zorganizowany przez miasto na cześć p. Curie-Skłodowskiej.

Westchnienie małżonka

— Z jakiej racji kwiaty w doniczkach noszą nazwę pokojowych, skoro bardzo często przyjmują udział wybitny w wojnach i potyczkach domowych?

Najstraszliwszy huragan w historji Ameryki

Tysiąc ludzi zabitych, 3,500 rannych, szkody materjalne miljony dolarów, — oto rezultat najstraszliwszego huraganu, który 18-go marca, 1925 roku przeleciał nad doliną rzeki Ohio, i rozniósł śmierć i zniszczenie w stanach Illinois, Indiana, Kentucky i Tennessee.

Huragany, zwane w Ameryce, jako tornada, cyklony, powstają ze spotykania się ogrzanego powietrza pewnych przestrzeni z zimnemi falami powietrza z północy. Powoduje to na wielką skalę wirowanie powietrza i taki wir, kręcący się i lecący z niesłychaną szybkością, nazywa się cyklonem. Tornada, od jednej mili do pięciu długości wytwarzają się na brzegach cyklonów i są jeszcze straszliwsze w skutkach od cyklonów z powodu swego gwałtownego wirowania.



Huragan powstał w stanie Arkansas i biegł na północny wschód. Po bokach widzimy tornady.

Zamieszczona mapka wykazuje kierunek huraganu, który opisujemy i dziwne boczne tornada. Straszliwa ta burza szalała na przestrzeni 300 mil w pięciu godzinach. Powstanie śmiercionośnego wichru było tak nagłe, że nie było czasu na jakiekolwiek przeciwdziałanie. Całe miasteczka zostały wprost wyrwane z powierzchni ziemi. Jeden ze świadków burzy powiada: "huk grzmotu poprzedzany dwoma oślepiającymi błyskawicami i nic nie pozostało.". Ciała ludzkie strasznie pokaleczone i popalone usuwano z ruin domów. Wielu ludzi zostało przebitych lecącemi ostremi drzazgami zgruchotanych drzew. W małym miasteczki Dehoto w Illinois 118 mężczyzn, kobiet i dzieci znalazło momentalną śmierć. Tak straszliwa była siła wiatru, że pod miasteczkiem Murphysboro, Ill. jedenaście ciężkich lokomotyw zostało zniszczonych. kawały żelaza znajdowano o kilka mil dalej, a papiery wiatr przenosił o 50 mil. W otwartym polu znaleziono krzesło golarza o milę od miasta, w którym była golarnia. Automobile porwane z dróg znajdowano zgięte i zgniecione na próżnych lotach. W polu w pobliżu Princeton, Indiana leżał fonograf.

Oto lista miasteczek, które najwięcej ucierpiały:
Murphysboro, Ill., zabitych 210, rannych 500.
West Frankford, Ill., zab. 107, rannych 500.
De Soto ,Ill., zab. 90, rannych 200.
Gorham, Ill., zabitych 90, rannych 200.
McLansboro, Ill., zabitych 37, rannych 70.
Parrish, Ill., zabitych 20, rannych 100.
Griffin, Ind., zabitych 50, rannych 200.
Princeton, Ind., zabitych 20, rannych 200.
Owersville, Ind., zabitych 22, rannych 65.
Gallatin, Tenn., zabitych 27, rannych 50.
Bietle, Miss., zabitych 11, rannych 50.

Straszliwe burze "w pasie huraganów w Środkowych, Zachodnich i Południowo-Zachodnich Stanach zwykle wydarzają się na wiosnę i latem. Wyszczególniamy poniżej najgorsze huragany ostatnich lat.

18 lutego, 1884. Szśćset osób zabitych podczas huraganów, jakie miały miejsce w Południowych Stanach.

20 czerwca. 1893. Szesnaście osób zabitych w dolinie rzeki Kansas.

20 września, 1894. Siedmdziesiąt pięć osób zabitych w stanach Iowa i Minnesota.

27 maja 1896. St. Louis, Missouri i East St. Louis, Illinois, 500 zabitych, kilka tysięcy rannych, szkody wiele miljonów dolarów.

18 maja, 1898. Czterdzieści osób zabitych i jeden miljon dolarów szkody w stanach Illinois, Iowa i Wisconsin.

27 kwietnia, 1899. Przeszło 100 osób zabitych w Nebraska i Wisconsin, w miasteczku Herman, Nebr., pozostało tylko dwa budynki.

11 maja, 1905. Miasteczko Snyder, Oklahoma, 730 zabitych i miasteczko całe zniszczone.

2 marca, 1906. Meridian, Mississippi, dwadzieścia pięć osób zabitych.

24 kwietnia, 1908. 500 osób zabitych w burzach w Mississippi, Louisiana i Alabama.

31 maja, 1917. 67 zabitych i 200 rannych w południowo-wschodnim Missouri i południowem Illinois.

23 czerwca, 1919. Fergus Falls, Minnesota, 60 zabitych, przeszło 400 rannych.

25 kwietnia, 1923. 100 osób zabitych w kilku miasteczkach i wsiach Stanu Oklahoma.

27 marca, 1924. Lorain i Sandusky w stanie Ohio, przeszło 100 osób zabitych, 3000 rannych. Szkody $25,000,000.

DUSZA GDAŃSKA

Znaną jest rzeczą, że Gdańsk dawny odznaczał się gorącym polskim patrjotyzmem, którym wprost przodował innym miastom w Rzeczypospolitej. I było to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Gród kupiecki żył z handlu i cyframi swego bilansu regulował swe uczucia patrjotyczne. Sławetne mieszczaństwo gdańskie kochało swoich królów i służyło wiernie Rzeczypospolitej, gdyż było mu z Polską dobrze pod każdym względem, materjalnym i moralnym.

Jako jedyny port olbrzymiego mocarstwa (trzeba pamiętać, że Polska ówczesna była najrozleglejszem państwem w Europie, dwa razy większem od dzisiejszych Niemiec), jako główny eksporter polskiego surowca i dostawca do Polski towarów zagranicznych i kolonjalnych, zarabiał Gdańsk olbrzymie sumy i mógł nietylko ich używać w dobrobycie, ale rozwinąć nadto wysoką i kosztowną kulturę artystyczną, która życie jego zdobiła i uprzyjemniała.

Równie dobrze działo się gdańszczanom pod względem uposażenia prawno-politycznego. Polska, która sama u siebie rozwijała bujną kulturę swobód obywatelskich, nie skąpiła ich i gdańszczanom.

Skwitował je bardzo pokaźnie w r. 1754 podczas trzechsetnego jubileuszu uwolnienia miasta od krzyżackiego jarzma poeta gdański, Krystjan Freilich w kantacie ku pamięci największego Gdańska dobroczyńcy, króla Kazimierza Jagiellończyka, wołając do niego: "Przyszedłeś, a z tobą przyszła wolność, pokój i błogosławieństwo Boże", "Du kammst, Dir folgte Freiheit, Ruh und Segen".... Kto dziś po stu dwudziestu latach niwelujących rządów pruskich po raz pierwszy ogląda sędziwe ulice i place Gdańska, staje zdumiony na widok mnogości pamiątek i pomników, któremi dawni gdańszczanie wyrażali przez setki lat swój gorący i wierny polski patrjotyzm. W żadnem mieście polskiem, nie wyjmując Krakowa, niema na gmachach publicznych i na murach miasta takiego mnóstwa emblematów i herbów Polski, a przedewszystkiem państwowego i narodowego znaku polskiego: Białego Orła, jak w Gdańsku. żaden żołnierz w Polsce niema takiego wzruszającego widomego dowodu przywiązania miasta do dawnych rządców kraju, jak Gdańsk ze swoim spiżowym Zygmuntem Augustem, spoglądającym ze szczytów wieży ratuszowej.

Gorący patrjotyzm dawnego Gdańska jest powszechnie znany.

Mimowoli, gdy oglądamy jego liczne ślady, nasuwa się pytanie, co się z tym patrjotyzmem stało? Gdańsk dzisiejszy jest przecież zupełnie niepodobny do dawnego. Wystarczy przypomnieć sobie jego zachowanie się względem Polski, podczas inwazji dziczy bolszewickiej. Wystarczy czytać niemiecką prasę gdańską, tchnącą w najlepszym razie niechęcią do Polski, w gorszym razie — serdeczną nienawiścią, aby móc stwierdzić, że atmosfera, która się w stosunku do Polski narzuca, jest tu taka, jaka była do ostatka pruskich rządów, odpychająca i wroga. Dziwne zjawisko. Przez stulecie całe byli Gdańszczanie wzorem polskiego patrjotyzmu. Z boleścią patrzyli na upadek Polski. W parę lat po zaborze przez Prusy podnieśli buntowniczą broń, usiłując wybić się na wolność. W epoce Napoleońskiej, gdy potęga państwa chwilowo rozsypała się w gruzy, a wskrzeszenie Polski zdawało się sprawą bliską i nieuchronną, w Gdańsku odżyła natychmiast pamięć szczęśliwego współżycia z Rzecząpospolitą i zaznaczyło się silne dążenie do ponownego z nią połączenia się. Reprezentant Gdańska przy rządzie Napoleona, dr. Keidel, otrzymał był od senatu gdańskiego specjalną instrukcję, aby dążył do wcielenia Gdańska, do mającej się odbudować Polski. Na tem stanowisku stał Gdańsk jeszcze w r. 1815 podczas kongresu wiedeńskiego.

Dlaczego dziś ta głęboka zmiana?

Gdzie się podzieli ci starzy Gdańszczanie, prawdziwi gdańscy patrjoci, którzy umieli cenić tradycję świetności swego ojczystego

miasta, a tem samem tradycje związku z państwem, któremu Gdańsk tę świetność zawdzięczał?

Jakim sposobem utrzymać się mogą dobrowolne ekspozytury Berlina w mieście, które zaledwie parę pokoleń wstecz opierało się z natężeniem wszystkich swych sił przeciw uzależnieniu go od tegoż Berlina?

Historja miasta Gdańska w ciągu ubiegłych stu lat dostarcza nam na te pytania odpowiedzi.

Przerzućmy jej karty, choćby tylko tak pobieżnie szkicowane, jak w doskonałej znanej książce prof. Askenazego, a stanie się dla nas jasnem dlaczego Gdańsk przedwieczny, Gdańsk Keydelów, Gdańsk buntowniczych studentów ze spisku Bertholdy'ego, Gdańsk broniący swemi piersiami Stanisława Leszczyńskiego, Gdańsk Longnichów, Heweljuszów, Flacków, nie jest identyczny z dzisiejszym Gdańskiem, obchodzącym hohenzollernowską żałobę i spoglądającym ku brandenburskiej bramie.

Wśród zaborców Polski Prusy odznaczyły się tem, że system germanizacji zabranych przez siebie ziem i wyrwania elementu polskiego z korzeniem zastosowały natychmiast po dokonaniu zaboru, a nie dopiero po upływie kilkudziesięciu lat, jak się to stało n. p. w zaborze rosyjskim. I system ten zastosowany został także do Pomorza i Gdańska. Państwo pruskie w pierwszych dziesięcioleciach po wcieleniu Gdańska, uczyniło wszystko możliwe, aby stłumić i zniszczyć w mieście wszelkie życie polskie, a zaszczepić element niemiecko-pruski i zapewnić mu wprost najpomyślniejsze warunki rozwoju.

Odwieczna bujna republikańska organizacja Gdańska, wyrosła pod skrzydłami polskiej Rzeczypospolitej, padła w krótkim czasie, a miejsce jej systematycznie zajmować począł pruski ustrój bezdusznie biurokratyczny.

Zaraz po schyleniu się potęgi Napoleońskiej ku upadkowi, w r. 1814, ukazem z Berlina rozwiązano dotychczasowy zarząd miejski gdański, podejrzany o wybitne sympatje polskie i francuskie, a w jego miejsce ustanowiony został nowy magistrat, złożony z kreatur berlińskich. W tym samym duchu zorganizowano szereg władz, jak sądownictwo, policję i t. d. Gdańsk stał się od roku 1816, jako stolica odrębnej prowincji pruskiej, siedliskiem licznej biurokracji, na czele której stanął słynny germanizator, zażarty tępiciel polskości Teodor Schoen. Jakim żywiołem Gdańsk został zalany przez Prusy, można przekonać się z faktu, że w tym samym właśnie czasie rozwijał tu przez lat osiem niezmiernie ożywioną i skuteczną działalność kulturalno - germanizacyjną, jako gdański radca regencyjny, śmiertelny wróg Polaków, Flottwell. Prof. Askenazy stwierdza, że Schoen pierwszy zdołał uczynić skuteczny wyłom w dotychczasowej przeciwpruskiej postawie Gdańska.

System przeładowywania Gdańska elementem pruskim w dziedzinie przedewszystkiem biurokratyczno-militarnej, ciągnął się dziesiątki lat, aż do czasów najnowszych. — W roku 1878 przeniesiono do Gdańska stolicę administracyjną Prus Zachodnich. Przeniesiono tu w szczególności władze nadprezydjalne, regencję, prowincjonalny urząd celny, kolegjum szkolne, dyrekcje: pocztową i policyjną. Zapchano miasto biurokracją prusko-niemiecką, a zarazem urzędami wojskowemi, potem wprowadzono komendy wojskowe, pozakładano warsztaty i fabryki rządowe. Żywioł biurokratyczny był w ubiegłym przedwojennym okresie w całych Niemczech główną podstawą bytu szowinistycznego i antypolskiego ruchu wszechniemieckiego. Biurokracja pruska i dławienie nie niemieckich narodowości były to synonimy. Skoro więc państwo pruskie przez dziesiątki lat sprowadzało do Gdańska masy biurokratyczne, to te zapełniły miasto żywiołem nacjonalistycznie jaskrawym, zaczepnym i przedewszystkiem krzykliwym, co musiało się odbić na jego jeśli nie głębszej, to zewnętrznej fizjonomji.

Krzykliwy ten, drażniący żywioł był od początku i jest do tej chwili w dziewięciu dziesiątych częściach napływowy, z zewnątrz importowany. Ci oglądający się na Berlin wszechniemcy nacjonaliści, ci rycerze politycznego przemysłu, usiłujący rozdmuchać w Gdańsku nienawiść do Polski, a sami chcący się w oczach świata podać za prawych przedstawicieli Gdańska, reprezentują co najwyżej dogasającą tutaj pruską kastę biurokratyczną, czyli siebie samych. Przedstawicielami Gdańska nie byli nigdy i nie są, a gdy występują w takiej masce, to popełniają grube ordynarne oszustwo, które powinnoby być poli-

cyjnie ścigane, gdyby istniała jakaś idealna policja w służbie jakiejś idealnej Ligi Narodów.

Dusza Gdańska, ta prastara, co z ufnością do Polski stawała w obozie Władysława Jagiełły w osobach Konrada Setchkowa i towarzyszy, co przez usta szewca Jerzego Meyera oświadczyła Janowi Sobieskiemu afekty swe dla Rzeczypospolitej, co wierna i niezłomna zamknęła się była na setki lat w okopach Trzeciego Ordynku miejskiego, dusza ta została zahukana wrzaskiem najezdniczej hordy, odgrywającej z niedźwiedzią zręcznością rolę gdańskich odwiecznych autochtonów. Ta prawdziwa, autentyczna, rdzenna dusza Gdańska nie mogła jednak zniknąć bez śladu z powierzchni ziemi. Przytaiła się ona tylko w ciszy ognisk domowych gdańskich rodzin mieszczańskich. Dlaczego nie zabrała głosu w tych historycznych momentach dziejów swojego miasta?

Gdyż ci, którym się zdawało, że przychodzą do tego kraju z wagami sprawiedliwości, nie znaleźli dróg, aby się dostać do duszy prawdziwego starego Gdańska....

Kamilla Chołoniewska.

Zbawienne reguły dla nałogowych palaczy

Jeżeli już musisz palić papierosy, czy cygara, staraj się przynajmniej stosować do następujących dziewięciu reguł. Reguły te zostały opracowane przez Dr. Waringa z Denver, który przez długi czas badał skutki, jakie pociąga za sobą palenie papierosów, i na temat ten napisał artykuł, który pojawił się w miesięczniku "Hygiena", wydawanym przez Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarskie.

1. Nie pal, zanim nie przekroczysz 21 rok życia. Faktem bowiem jest ogólnie stwierdzonym, że większość trucizn o wiele zgubniej wpływa na młode, aniżeli na dojrzałe organizmy zwierzęce.

2. Poradź się kompetentnego lekarza przynajmniej raz na rok i daj się zbadać gruntownie. Jeżeli musisz palić, to przynajmniej pamiętaj o tem, że codziennie poddajesz tkanki działaniu trucizny, a zwłaszcza tkanki serca i arterji.

3. Jeżeli musisz palić, pal papierosy, nie więcej atoli, jak dziesięć dziennie, albo jeszcze lepiej — pięć dziennie. Względna nieszkodliwość papierosa zależy od jego doskonałego spalania się, dzięki czemu nikotyna ulega znacznemu zniszczeniu. Z drugiej jednak strony papierosy niebezpieczne są z następujących powodów: są tanie, wygodne i można je palić wszędzie i o każdej porze, ale największe niebezpieczeństwo polega na tem, iż przy paleniu papierosa trudno jest uchronić się od zaciągania się dymem, a zaciąganie się ogromnie powiększa trujące działanie tytoniu na organizm.

4. Używaj tylko suchego tytoniu. Ponieważ nikotyna pojawia się w formie soli pewnych organicznych kwasów, które ulegają zniszczeniu przy spalaniu, łatwo zatem zrozumieć, że im suchszy jest tytoń, tem doskonalsze spalanie, a im lepsze jest spalanie, tem mniej jest nikotyny w dymie.

5. Unikaj zaciągania się, lub puszczania dymu przez nos. Nałóg zaciągania się i sport puszczania dymu przez nos działają zgubnie z dwóch względów: 1) powiększają w wielkim stopniu trujące działanie tytoniu i 2) doprowadzają do bezpośredniego oddziaływania ostrych i irytujących składników dymu tytoniowego na delikatne flegmiste membrany kanałów oddechowych.

6. Staraj się palić na wolnem powietrzu. Ponieważ mało kto z nas przebywa w ciągu dnia przez cały czas na wolnem powietrzu, wobec tego fakt ten przyczyni się do zmniejszenia ilości wypalonych papierosów i równocześnie uwolni nas od przebywania w gorącym i stęchłym pokoju, jakim zwykle jest pokój, w którym palą papierosy.

7. Używaj cygarniczki do papierosów, czy cygar. Zawsze większa lub mniejsza ilość trujących składników dymu tytoniowego ulega rozkładowi pod wpływem śliny w ustach i bardzo często palacz połyka ową truciznę zupełnie nieświadomie. Cygarniczka tymczasem odgrywa do pewnego stopnia rolę ochronną pod tym względem.

8. Pal po jedzeniu, a nie przed jedzeniem. Doświadczenie i badania wykazały, że palenie przed jedzeniem zmniejsza apetyt, a także gdy żołądek jest pusty, organizm prędzej ulega działaniu trucizn, niż gdy człowiek jest syty.

9. Raz na rok wstrzymaj się od palenia przynajmniej na miesiąc. Wyrzeczenie się palenia na kilka tygodni każdego roku jest rzeczą bardzo dobrą i to nie tylko dlatego, że wzmacnia siłę woli i przeszkadza wyrobieniu się zbyt silnego nałogu, ale również i z tego względu, że daje możność komórkom ciała odzyskania sił żywotnych.

Jedna atoli jest rzecz pewna — ten kto ma słabe zdrowie z jakiejkolwiek przyczyny, a nie chce porzucić zupełnie palenia papierosów, o takim śmiało można powiedzieć, iż absolutnie nie czyni wszystkiego, co jest konieczne do odzyskania sił i zdrowia.

ZAGADKA

Co to jest?
Włosy strzyże,
Brwi maluje,
Nosek pudruje,
A łydki pokazuje.

Łysy nie wiele może stracić, gdy będzie próbował nowych środków na porost włosów.

Nieśmiertelni Polscy Ułani w r. 1920

ZWYCIĘSTWA ICH W OSTATNIEJ WOJNIE.

Pięknym epizodem bojowym zakończyła I. Brygada jazdy naszą ofensywę jesienną w Małopolsce i na Wołyniu. Sucha wzmianka komunikatu sztabowego nie daje obrazu tej walki, jednej z najefektowniejszych, jakie stoczyła nasza jazda w tej wojnie. Bitwa zasławska zasługuje, by zapoznać z nią szerszy ogół.

Brygada pułkownika Janusza Głuchowskiego, który na polach Zasławia tak świetnie wyzyskać potrafił całą wartość polskiego ułana, składała się ostatnimi czasy z 3-ch pułków: 5-go, 6-go i 11-go ułanów, oraz 2-ej i 3-ciej baterji i dywizjonu artylerji konnej. Z pułków tych tylko 11-ty pułk ułanów już oddawna stanowił część składową Brygady. Pozostałe weszły w skład jej niedawno, sam dowódca Brygady był również nowy. Jednak ciężka i natężona praca w ciągu kilku tygodni przed ofensywą, kiedy wróg parł na Lwów i front wahał się ustawicznie pomiędzy przedmieściami Lwowa a Gniłą Lipą, dnie i noce, tygodniami, na słocie, krwawe boje pod Rohatynem, Knihynicami i Chodorowem — wytworzyły to wzajemne zrozumienie pułków i artylerji pomiędzy sobą i z dowództwem Brygady, tę spójnię i to zaufanie do spokojnej a pewnej ręki kierującej ich wysiłkami były "leguny" — żołnierz nadzwyczajny, których ostatecznym wynikiem było świetne zasławskie zwycięstwo.

Trzy pułki — trzy zupełnie różne typy żołnierza. 11-ty ułanów, najstarszy według czasu swojej służby w Brygadzie, typowe to były "leguny" — żołnierz nadzwyczajnej fantazji i ochoty. "Piątacy" — stary kresowy pułk jeszcze z korpusu jen. Hallera — wykrwawieni do liczby stu kilkudziesięciu szabel w szyku, składali się przeważnie z weteranów — żołnierza: co albo odbył całą wojnę europejską albo widział co najmniej i polskie piaski i błota, i puszcze litewskie i wołyńskie lasy i żyzne łany Białocerkiewszczyzny. Żołnierz bitny, napół w Siedleckiem, napoły na wschód od Styru rekrutowany, pałający więc chęcią zemsty, zahartowany w ciągłych walkach z kozactwem i na kozacką też modłę stale walczący "ławą". 6-ty pułk — typ znów zupełnie odmienny, ten materjał, który ongiś szedł służyć pod orły Napoleona, przeważnie ochocza młódź ziemiańska na własnych koniach, prawdziwi potomkowie tych z pod Somo-Sierry. Pułk ten, świeżo przybyły z kadry, kompletny, doskonale, nawet, świetnie wyekwipowany, w nowiutkich francuskich hełmach nadających mu wygląd dragonji Wołodyjowskiego, był zupełnie nieobstrzelany. Prowadzony jednak przez dzielnych oficerów ochotnik dowiódł w tydzień po przybyciu na front, że jest zdolny do najchwalebnieszych czynów.

Cokolwiek odmienny, bo już długiemi walkami sterany, w krwawych bojach zahartowany, ale również bez granic ofiarny był typ przydzielonego do 5-go pułku ułanów ochotniczego dywizjonu lwowskich kulomiotów (Abrahama).

O konnej artylerji Brygady wystarczy powiedzieć krótko, że wszędzie, gdzie tego była potrzeba, wypadała galopem na otwarte pozycje i strzelała czasem z celownikiem 20 (t. j. z odległości kilometra), często do ostatniego pocisku, mając stale poważne straty od kul karabinowych i z zasady pozostając na stanowisku, gdy ją brała na cel artylerja wroga.

Na czele tedy tych wojsk znalazł się brygadjer Głuchowski dnia 21-go listopada 1920 r. we wspólnym z niestrudzonemi 4-tą i 8-mą dywizjami piechoty pościgu za cofającym się wrogiem w okolicy Jampola. Tu, na polach prawego (południowego) brzegu Horynia, I. Brygada rozbija niemal doszczętnie cofające się resztki 47-mej dywizji sowieckiej. 11-ty pułk ułanów pod wodzą majora Kleszczyńskiego bierze w kilku szarżach pięciuset z górą jeńców, 7 kulomiotów, tabory i konie. 14 ułanów 5-go pułku z majorem hr. Dzieduszyckim (Konstantym) i por. Krzemieniewskim na czele, rozpędzają war-

jacką zaiste szarżą 421 p. piechoty sowieckiej, zabierając około 100 do niewoli. 6-ty p. uł. zdobywa konno lokomotywę.

22-go cofające się na wschód dywizje sowieckie, 24-ta "Żelazna" dywizja (pułki 208, 213, 215, 216 i 218) i 45-ta (pułki 417, 418, 419, 420, 422 i 425) skoncetrowały się pod wieczór w Zasławiu i okolicach.

I. Brygada Jazdy miała rozkaz stanąć na noc w rejonie Białogródka-Michnów.

Kwaterjerzy 6-go p. uł., który miał nocować w Michnowie, wjeżdżając o godz. 22 do wsi, zastają swe kwatery zajęte przez wroga. Wzięty w ogień w opłotkach, dowódca kwaterjerów rotmistrz Walden odpowiada szarżą w ulicy, zdobywa dwa kulomioty i bierze jeńców, którzy przyprowadzeni do pułku zeznają, że we wsi nocują dwa "pułki", w sile 1000 ludzi. Na rozkaz dowódcy pułku (podpułk. hr. Grabowski) 6-ty pułk zsiada z koni i bierze wieś na bagnety, oczyszczając wyznaczone dla siebie kwatery i biorąc 4 kulomioty i 350 jeńców.

23-go rano następuje atak na Zasław. I. Brygada jazdy atakuje od południa i wschodu. 8-ma dywizja piechoty ma uderzyć od zachodu.

Dowódca Brygady wysyła w przedniej straży 5 p. uł. i przedzielony doń dywizjon ochotniczy kulomiotów. Zadanie — zmacać podjazdami, co jest, rozwinąć się, wywołać na siebie ogień, zatrzymać wroga, gdyby się cofał i, przesunąwszy się ku wschodowi, odciąć mu drogi odwrotu na Starokonstantynów i Szepetówkę.

Za 5 p. uł. posuwa się gros Brygady — 6 p. uł. i artylerja, celem ataku od południa na Zasław.

Za 6-tym p. — 11-ty p. uł. w odwodzie.

O g. 10 podjazdy 5 p. uł. już wykryły pod Klimówką cofające się kolumny wroga. — Dzielny podchor. Strubel wpada nań z 7-ma ułanami, zabierając mu 2 kulomioty i 69 jeńców. Jednocześnie do pułku przybywa depesza, że najdzielniejszy z dowódców szwadronów, bohaterski rotmistrz Stanisław Udymowski, zmarł z otrzymanych w bitwie na grobli pod Chodorowem ran. Chwila ogólnej boleści. Krótki Anioł Pański z końmi w ręku, przy akompanjamencie bliskich strzałów za wzgórkiem, gdzie bije się właśnie Strubel. Płaczą srodzy żołnierze i ślubują krwawo pomścić zmarłego.

W chwilę później już dowódca pułku (ppułk. Sochaczewski) ze swą przybraną w kolczugi i hełmy eskortą na szczycie wzgórza, a pułk za nim rozwija się kłusem w "ławę". Gęsty, bezładny ogień od strony lasu, gdzie ma właśnie uderzyć następny pułk i ogromna kolumna posadzonej na wozy piechoty, wymykająca się w prawo od pułku boczną drogą z Zasławia przez wieś Topory na Starokonstantynów. Szybka jak piorun decyzja — nie wypuścić z rąk tej kolumny. Znak szablą i wprzód nim trębacz zdołał go potwierdzić sygnałem na trąbce, każdy jeździec już zwrócił konia w prawo i cały półksiężyc ławy sunie kłusem na prawo, zasuwając się na ukośny grzbiet wzgórza, który ryją już bolszewickie granaty. Wzgórze to zakrywa ławę równocześnie i od oczu skazanej na zagładę kolumny. Coraz to bliżej. Na rozwieziony przez gońców rozkaz ława łamie swój szyk, każdy szwadron rozwija się do szarży "eszelonami" (szczeblami). Już tylko 300 kroków. Dowódca pułku już widzi głowy jadącej drogą kolumny. "Marsz-marsz!"—"Bij-zabij! Hura!" — dziki wrzask i zamęt w kolumnie, strzały z pędzących wozów, trzask najbliższych taczanek, pada ułan Dąbrowski, który wiózł proporzec pułkowy (18 kul w konia i trzy w Dąbrowskiego) i już 1-szy szwadron por. Rodziewicza i sztab pułku rąbią, żgają lancami, sieką wyjącą na drodze tłuszczę, gdy dwa pozostałe szwadrony "jadą" na karkach pozostałej części kolumny przez wieś Topory i sąsiednią z nią, Toporczyki, aż do wioski Leszczany, skąd świeża bolszewicka piechota gęstym ogniem powstrzymuje zapędy kilku ułanów, którzy pod wodzą por. Rudowskiego i pchor. Wędrowskiego, wyrąbawszy obsługę baterji, wywalają jedno działo do jaru, z trzech zaś wyjmują i uwożą zamki, pędząc w jasyr koło 200 jeńców i wszystkie konie od dział, oraz broniące baterji "taczanki".

Po półgodzinnej walce 5 pułk ułanów już liczy łupy. Szarżując zaledwie w 115 koni (14 oficerów i 101 szeregowców) wzięto 1106 jeńców, 20 kulomiotów i obezwładniono 3 działa, kładąc pozatem 160 trupa i rozbijając brygadę 24 żelaznej sowieckiej dywizji. Wziętych paręset wozów nie idzie w rachubę, gdyż to wszystko to są miejscowi chłopi. Nasze straty: śmiertelnie ranny por.

Bogucki, ranni ppor. Płażyński i dwu ułanów. Kilka koni zabitych i rannych.

W pół godziny po szarży 5 p. ułanów — śliczna szarża 6 pułku. Początkowo jeden szwadron w pieszym szyku rozwija się pod ogniem artylerji i kulomiotów wroga, wiążąc swym ogniem i energicznem posuwaniem się naprzód próbującą przerwać się na Starokonstantynów resztę 24 sowieckiej dywizji. Jednocześnie dowódca Brygady wysuwa pluton 2 baterji konnej (por. Sarnecki). Pluton ten wypada na otwartą pozycję, traci w ogniu kulomiotów 12 koni, odrazu jednak zmusza baterję wroga do milczenia i, prażąc go ogniem, przygotowuje i ułatwia szarżę 6 pułku ułanów, którego dwa szwadrony ruszają naprzód, na obsadzające tor kolejowy gęste linje moskiewskiej piechoty. Pod ogniem jej 15-tu "maszynek" szwadrony te przebywają 3 kilometry otwartego gładkiego pola, jadąc pierwszą połowę kłusem, aby nie "zarżnąć" przed czasem koni. Korzystając z tego, walczący pieszo szwadron dosiada podanych mu galopem koni i dołącza się do szarży. U wroga powstaje zamęt — widać linję kawalerzystów, którzy wypadłszy z lasu (parku ks. Sanguszki), płazują szablami uciekającą z poza toru piechotę. Dopada wroga na czele swego szwadronu dzielny rotmistrz Cieśliński — ten sam, co prowadził świetną szarżę szwadronu 6-go na Niemców pod Kaniowem w roku 1918 — wpada reszta szwadronów i zaczyna się rzeź. Pada kilkudziesięciu trupa, 556 jeńców i 12 kulomiotów stają się łupem 6-go pułku ułanów. O godzinie 12-tej m. 10 wszystko było skończone.

Krwawo okupili ułani kaniowscy swój triumf. Padł na bagnetach moskiewskich nieodżałowany ppor. Sulimirski, padli plutonowy Szpiegiel i kilku bohaterów ułanów, kilkunastu jest rannych, jeszcze więcej koni zabitych, rannych i okaleczonych przy pościgu za wrogiem w lesie, ale triumf pułku kompletny.

Lecz oto osaczonej w Zasławiu pozostałej części bolszewików (45 dyw.) przybywa odsiecz. Nadciąga od Starokonstantynowa świeżo przybyła brygada konna Baszkirów pod wodzą Mur-Ghaziego. Odpiera ją zdecydowana akcja 11-go pułku ułanów z plutonem artylerji konnej. Wzięci do niewoli Baszkirowie stwierdzają, że doszczętne niemal zniesienie "żelaznej" 24 dywizji wywołało u nich upadek ducha. Obecność jednak świeżych 750 wrażych szabel na tyłach oblegającej Zasław Brygady nie pozwoliła jej załatwić się z broniącemi Zasławia pułkami 45 dywizji. Czekano nadejścia 8 dywizji piechoty, której atak rozpoczął się dopiero pod wieczór.

Udział Brygady w tej akcji wyraził się w odcięciu wrogowi dróg na Starokonstantynów i Szepetówkę przez 5-ty pułk ułanów, wraz z ochotniczym dywizjonem kulomiotów Abrahama i w sparaliżowaniu akcji Baszkirów na nasze tyły. W nocy jednak komunistyczny "Ghazi" (Lew Proroka") dał za wygraną i wyniósł się cichaczem z niebezpiecznego sąsiedztwa z Lachem.

Bitwa zasławska dowiodła jeszcze raz całej druzgocącej przewagi dobrze przeprowadzonej jazdy nad najeżoną kulomiotami piechotą, gdy piechota ta boi się jazdy i jest umiejętnie przez nią zaskoczona, jak to zrobił 5 pułk ułanów, lub przerażona pozorną bezowocnością swego ognia do szarżującej nań jazdy, jak to było przy szarży 6 pułku ułanów.

Jest to jeden z wielu przykładów, dowodzących, że we współczesnych wojnach, gdzie wchodzą w grę przeważnie powołane pod broń ludowe masy, częstokroć świetnie uzbrojone i umundurowane, lecz zwykle byle jak wyćwiczone, i naogół pozbawione zupełnie tego ducha obowiązku i poświęcenia, który winien cechować żołnierza, szarża jazdy będzie miała zawsze decydujące znaczenie, bez względu na postępy techniczne broni piechoty. Raz ruszona z okopów i z za drutów piechota będzie zawsze względnie łatwą zdobyczą jazdy.

S. S.

NABRAŁA GUSTU

— Mamo! jabym chciała wyjść zamąż.

— Albo ci w domu źle!

— Nie, po co ja mam tylko słuchać jak mama urąga tatusiowi, kiedy ja mogłabym sama urągać swemu mężowi.

Z KSIĘGI PRAWD

Jeżeli głupiec trzyma język za zębami, to niewielu tylko będzie go posądzać o głupotę, jeśli zaś gębę otworzy, to wszyscy się o tem dowiedzą.

Jak Rokita przegrywał dusze w karty i jak się odegrał.

BAŚŃ LUDOWO-DJABELSKA.

Był raz jeden parobek, który strasznie lubił grać w karty, a na imię było mu Kuba. Kiedy jechał wozem na pole i nie miał z kim grać w karty, to sobie lejce na szyję zarzucał i na deskach grał sam z sobą. Taki to był z niego zawzięty karciarz!

Zdarzyło się raz, że kiedy sam w pole wyjechał, spotkał tam jakiegoś pana, który zastąpił mu drogę i tak odezwał się do niego:

— Wiem, że bardzo chętnie grasz w karty, więc przyszedłem zagrać z tobą.

— A to dobrze! — rzekł na to parobek.— Możemy grać, ale powiedz mi, co ty postawisz?

— Ja postawię jedną duszę,—odrzekł ten nieznajomy pan — a ty musisz swoją duszę postawić.

Bo ten pan nie był wcale człowiekiem, tylko djabłem z piekła, którego nazywają Rokitą.

Ale parobkowi, skoro tylko mógł grać, było wszystko jedno, więc zgodził się, żeby ta gra poszła o duszę.

Zaraz djabeł Rokita poleciał żwawo do piekła, po jedną duszę, a kiedy z nią wrócił, posadził ją na gałęzi i zaczęli grać.

Grali, grali, aż nareszcie Kuba wygrał. Teraz Rokita musiał wypuścić duszę na wolność.

Ale to mu nie wystarczyło, więc rzekł:

— Grajmy dalej, muszę od ciebie tę duszę odegrać.

— Dobrze, — odparł parobek — ale musisz znowu jedną duszę postawić, bo ja na gębę grać nie będę.

I tak djabeł poleciał do piekła po drugą duszę. Nie trwało dłużej, jak zmówienie jednego pacierza, i już wrócił z powrotem. Gra rozpoczęła się na nowo.

Grali, grali, a Rokita spocił się, jak mysz, wreszcie Kuba wziął górę i wygrał drugą duszę od djabła. Djabeł strasznie się zgniewał i zawziął się jeszcze bardziej.

Musisz jeszcze trzeci raz zagrać ze mną, inaczej nie zostawię ciebie w spokoju ani we dnie ani w nocy.

A Kuba mówi:

— Możesz grać ile chcesz, bylebyś tylko miał co stawiać!

— Postawię jeszcze jedną duszę, a jeżeli ją przegram, to już więcej grać z tobą nie będę.

I poleciał znowu do piekła tak prędko, że aż się zakurzyło za nim.

Ale tym razem bardzo długo nie wracał, bo mu już w piekle żadnej duszy dać nie chcieli, a najstarszy djabeł okropnie na niego krzyczał:

— Ty głupi Rokito, co ty robisz najlepszego, po co ty grasz w karty z Kubą. Przecież to jest gracz nad gracze, on wygra od ciebie całe piekło.

Rokita, jak mógł, tak im tłumaczył, wreszcie powiada:

— Nie martwię się, jeżeli przegram trzy dusze, to wam za to inne przyniosę.

Tak więc dali mu jeszcze jedną.

Kiedy przyszedł z nią do Kuby na pole, gra się znowu rozpoczęła, ale Kuba tak umiał grać, że Rokita i tę trzecią duszę przegrał.

Znowu musiał ją wypuścić na wolność.

Teraz już Rokita nie chciał grać więcej, bo wiedział, że nie da rady Kubie. Pomyślał trochę i mówi do niego:

— Ano trudno, przegrało się. Nie wiedziałem co prawda, żeś ty taki chwat, że nawet czarta ograć potrafisz. Ale abyś nie mówił, żem nic wart, to cię jeszcze za to ożenię z piękną dziewczyną! Chciałbyś?

— Czemu nie? — odrzekł Kuba. — Jeżeli tylko masz dla mnie narzeczoną piękną i bogatą, dawaj ją zaraz tutaj, chętnie ożenię się.

— Tak prędko to być nie może — odrzekł czart — ja ciebie ożenię, ale przedtem nie możesz przez siedm miesięcy ani strzydz się, ani czesać, ani golić, ani myć się, ani paz-

nogci obcinać. Wtedy dopiero przyjdę do ciebie i pojedziemy do narzeczonej.

Kiedy Kuba zgodził się na to, Rokita dał mu dużo pieniędzy i kazał iść do karczmy, gdzie miał sobie nająć pokoik. Wolno mu było dobrze jeść i pić i zabawiać się, ale ani golić się, ani strzydz, ani czesać, ani myć się, ani obcinać paznogci i czekać, aż djabeł po niego przyjdzie. Kuba zrobił tak, jak mu Rokita przykazał. Po kilku miesiącach wyglądał, jak nieboskie stworzenie. Łeb nastroszony, jak u jeża, gęba czarna, zarośnięta, pazury do szponów djabelskich podobne, a brud to aż kapał z niego. Gdzie tylko ruszył się, wszyscy przed nim uciekali i każdy wołał:

— Djabeł idzie!

Więc prawie ze swojej izby nie wychodził i nie mógł już doczekać się, kiedy djabeł przyjdzie. Zjawił się nareszcie po siedmiu miesiącach w bogatego pana postaci, zajechał przed karczmę pozłocistą karetą, zaprzężoną w cztery czarne konie i woła na Kubę:

— Teraz już czas, zbieraj się, pojedziemy w zaloty!

Wsiedli i pojechali daleko, do jednego pięknego miasta, które było stolicą wielkiego królestwa. W tem mieście był król, który miał z drugim królem wojnę prowadzić, więc były mu bardzo potrzebne pieniądze. Na każdym rogu ulicy ogłoszono, że ktoby temu królowi dał trzy cetnary złota, to choćby to był dziad ostatni albo żyd, odda mu swoją córkę i połowę królestwa.

Zaraz pojechali na zamek królewski i djabeł oznajmił, że są tacy, którzy przywieźli trzy cetnary złota. Król bardzo się ucieszył, kazał wartom przepuść ć ich i zaprowadzić do najgłówniejszej sali. Ugodzili się z Rokitą i pacholicy królewscy zaczęli znosić a znosić to złoto z djabelskiej karety. Kiedy to wszystko znieśli, przeważyli do skarbca oddali, mówi djabeł:

— A teraz musisz królu oddać jedną ze swoich córek temu to.

I pokazał Kubę, który dotychczas chował się ciągle ze wstydu.

Król spojrzał na niego i bardzo zasmucił się, że musi wydać jedną ze swoich córek za takiego brudnego, zarośniętego łapserdaka, ale powiada:

— Trudno, tak musi być, słowo się dało, kobyłka u płota!

Zaraz też kazał zawołać wszystkie swoje cztery córki i okazało się, że jedna była piękniejsza od drugiej. Król pokazał im Kubę i tak do nich mówi:

— Teraz powiedzcie mi, która z was będzie chciała tego człowieka, bo jedna z was musi wyjść za niego zamąż! Inaczej musiałbym oddać z powrotem trzy cetnary złota i nie miałbym za co prowadzić wojny.

Kiedy pierwsza spojrzała na Kubę, otrząsnęła się aż i rzekła:

— Nie, ja go nie chcę. Gdybym miała takiego brać, to wolałabym się powiesić!

A druga mówi:

— Wolę się utopić, niż mieć takiego męża.

Trzecia zaś powiedziała:

— Lepiej się przebić, niż z takim dzikim chłopem iść do ślubu.

A była jeszcze czwarta córka, najmłodsza i najpiękniejsza, tej zrobiło się żal ojca i rzekła:

— Pójdę za niego, bo łatwiej mnie jednej zginąć niż zginąć ojcu z żołnierzami.

A kiedy tak powiedziała, zaraz wyprawili zrękowiny.

Kuba pojechał potem do domu, tam się ogolił, umył, uczesał, poobcinał paznogcie i zrobił się z niego znowu ładny, udany chłopak. Rokita przyjechał po niego w sześć koni i z wielką paradą jechali do narzeczonej. — Kiedy trzy starsze córki zobaczyły, że Kuba jest taki piękny młodzieniec, zrobiło im się bardzo żal, że go ta najmłodsza dostała. — Z wielkiej zazdrości jedna powiesiła się, druga utopiła, a trzecia nożem się przebiła. Rokita porwał ich dusze i kiedy już leciał do piekła tak powiedział Kubie:

— Ty masz jedną pannę, a ja trzy; te trzy dusze mam, którem do ciebie w karty przegrał! Kwita, panie Kuba!

St. Dzikowski.

PRÓŻNA ROBOTA

— Wasz Bieluś już nie szczeka na mnie jak dawniej.

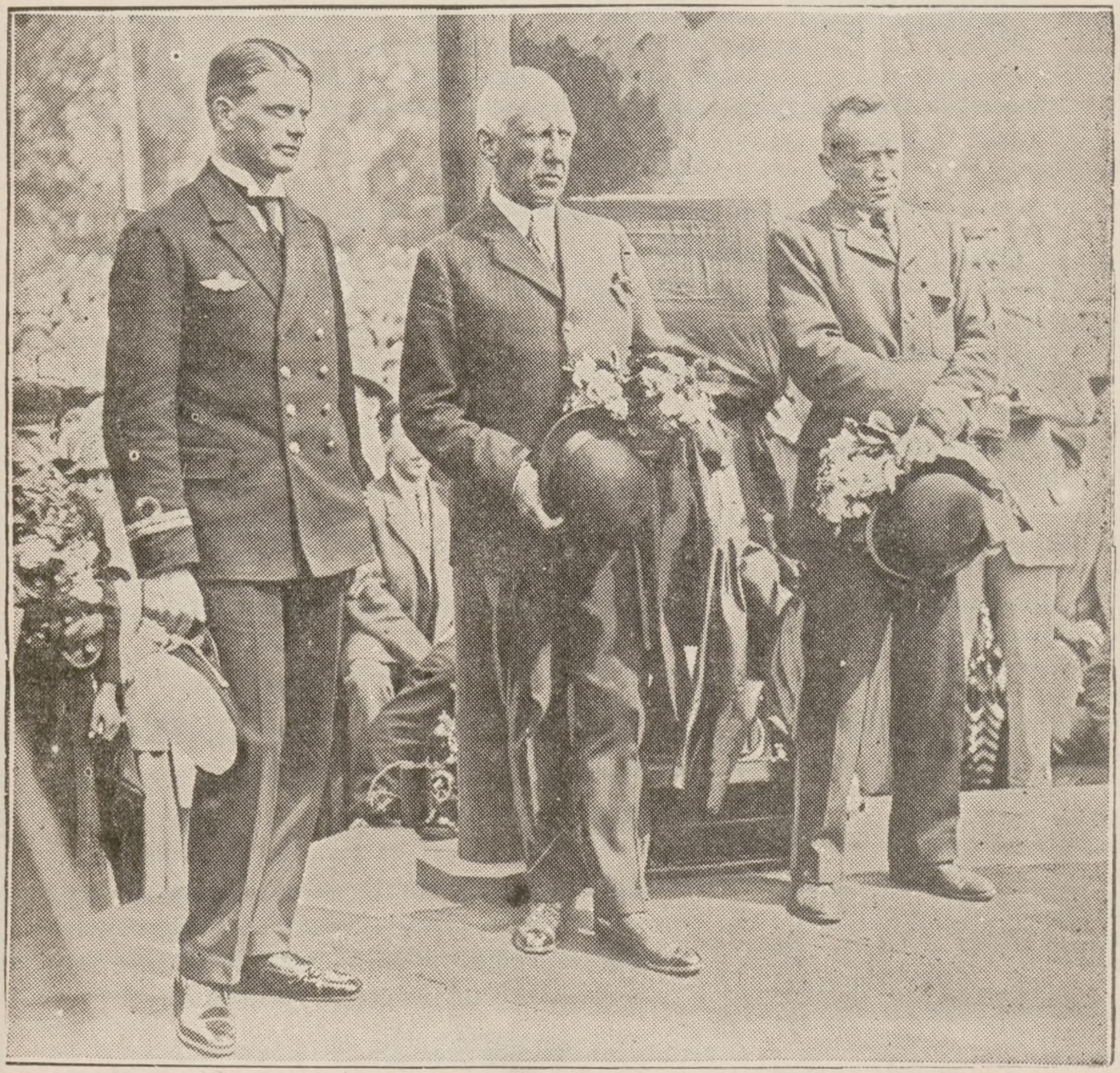
— I dawniej na panią nie szczekał nasz Bieluś,
Tylko na ten modny u pani kapelusz,
A dzisiaj się o tem przekonał już może,
że na modę szczekać, to nic nie pomoże.

Nieudała Wyprawa do Północnego Bieguna

Od lewej do prawej. Dietrieshen, jeden z pilotów; kapitan Roald Amundsen, dowódca ekspedycji, znany norwegski podróżnik, i Lincoln Ellsworth, były chicagowianin, także członek ekspedycji.

W roku 1925 znany norwegski podróżnik, ną do bieguna o 5:10 po południu z zatoki Kings Bay na wyspie Spitzbergen, dnia 21-go maja.

Po ośmiu godzinach lotu kapitan Amundsen obliczył, że wiatry spędziły jego statki z prostego kierunku znacznie na zachód i po-



kapitan Roald Amundsen, zorganizował wyprawę do bieguna Północnego w dwóch hydroplanach (statkach powietrznych zastosowanych do unoszenia się na wodzie).

Każdy ze statków liczył trzech ludzi załogi. Amundsen wyruszył w podróż powietrz- stanowił opuścić się na wodę, by dokładnie zbadać pozycję i dalej się udać w podróż. Była to godzina 1 nad ranem, gdy poraz pierwszy spostrzeżono wolną od lodu połać wody i poczęto czynić przygotowania do opuszczenia się na wodę.

Gdy hydroplan, na którym był Amundsen, obniżał swój lot, nagle stanął motor i wobec tego stracono możność opuszczenia się na wodę, tam gdzie chciano. Opuszczono się na wąski przesmyk wody pomiędzy lodami i o mało hydroplan nie uległ potrzaskaniu. Statek uderzył o górę lodową, zarył się dzióbem głęboko w lodzie i stanął. Było to 22 maja. Przez cały dzień usiłowano statek ruszyć i ściągnąć na pełną wodę, ale trzech ludzi nie mogło ruszyć sześć ton ważącego hydroplanu.

Drugi hydroplan wylądował na lodzie o trzy mile od statku Amundsena i lądując, uległ tak znacznym uszkodzeniom, że załoga z trzech ludzi porzuciła swój statek i połączyła się z Amundsenem, po przejściu przeszło mili piechotą po lodzie a podczas tej przeprawy dwóch z podróżników wpadło w przerębel i byłoby utonęło, gdyby nie szybka pomoc trzeciego, Ellswortha, którego widać na fotografji.

Po połączeniu się całej ekspedycji, 6 ludzi zabrało się do ścinania góry lodowej, w której ugrzązł hydroplan Amundsena i pracując po 20 godzin na dobę, a śpiąc i jedząc wewnątrz hydroplanu, 15-go czerwca, a więc po 23 dniach pracy nadludzkiej i ciągłego widma śmierci, zdołano uwolnić hydroplan z lodowego więzienia i wydostać go na wolną wodę. O dalszej podróży do bieguna nie było mowy. Pozostał tylko jeden hydroplan, gazoliny było mało, żywności również. Musiano więc wracać, a i to zachodziło pytanie czy na powrotne przelecenie 600 morskich mil, dzielących ich od brzegów wyspy Spitzbergen, starczy gazoliny. Powrotna droga zabrała im 8 godzin 15 minut, a wyruszono w nią 15 czerwca. I tu towarzyszyło im szczęście. Bez przeszkody, po 8 godzinach jazdy dotarto do wolnej od lodów wody i pomimo zepsucia się części składowej prawego skrzydła statku, ostatkami gazoliny płynięto po falach oceanu, aż napotkano rybacki statek, który śmiałych podróżnych zabrał i odwiózł do małego portu North Cape na północnem wybrzeżu wyspy Spitzbergen.

Nie dotarto więc do bieguna północnego. Niezrażony niepowodzeniem i przebytemi cierpieniami kapitan Amundsen zamyśla o ponowieniu próby dostania się do bieguna przy pomocy hydroplanów.

Fotografja przedstawia powitanie śmiałych podróżników w stolicy Norwegji, w mieście Oslo, po powrocie z nieudałej wyprawy.

Polski Port Gdynia

W Kalendarzu zeszłorocznym daliśmy artykuł i wiadomość o budowie portu Gdyni. Jak się budowa tego pierwszego i jedynego portu polskiego przedstawia w drugiej połowie roku 1925, niech posłuży następujące sprawozdanie jednego z korespondentów:

Z początkiem roku 1928 ma być wedle umowy port Gdyni oddany do użytku w stanie ukończonym. I to wcale nie byle jaka nędza! Avant-port wraz z pierwszym basenem jest obliczony **na obrót 2½ miljona ton** rocznie, czyli o 300 tysięcy ton więcej, niż port gdański! A gdyby się okazało, że będzie za mały (oby się to okazało!), rozszerzymy go do 7 lub 8 miljonów ton.

Oglądałem te wszystkie prace i okropnie się radowałem. Z dwóch punktów wybrzeża wybiegły w morze dwie długie macki, równolegle do siebie idące, a prostopadłe do brzegów. To są mola. Długość ich będzie wynosić po trzy ćwierci kilometra. Ten odcinek morza będzie zamknięty jeszcze z czwartej strony dwoma mniejszemi molami i łamaczem fal, tak, aby zostawić jedynie wolne przejścia dla okrętów. Dno tego kawałka morza pogłębia się, tak, aby mogło osiągnąć głębokość ośmiu metrów. Równocześnie kopie się na lądzie basen, który ma osiągnąć głębokość 10 metrów, a kanał doń prowadzący nawet 11 metrów! Dwa bagry i przeszło 400 robotników pracują nad tem dziełem. Bagry są dwóch systemów. Jeden starego systemu czerpakowego, drugi zaś ssący, pracujący o wiele intensywniej.

Wiadomo, że od jesieni zeszłego roku rząd polski, który do tego czasu prowadził sam budowę portu nieudolnie i ślamazarnie i stracił najlepsze możliwości inflacji, oddał budowę portu konsorcjum prywatnemu, w którem decydują przeważnie kapitały firmy Creuzot-Schneider, w małej części zaś polskie. Konsorcjum buduje port na kredyt i będzie otrzymywać od rządu polskiego ratalne spłaty. Pierwsza rata przypada na rok 1927, ostatnia 1933.. Jakie będą te raty, wyniknie dopiero z przedstawionych częściowych kosztów, które dokładnie nie dadzą się ustalić. Kosztorys dotychczasowy przewiduje 50 miljonów, z czego 35 ma otrzymać konsorcjum za wybudowanie portu, czyli roboty czysto hydrotechniczne, a reszta jest przeznaczona na urządzenia portowe, jak hangary, krany, elektryfikacja, urzędy, tory i t. p. Naturalnie, jak już zauważyłem, liczą się ze zwiększeniem tej skromnej sumy.

Jest objawem podkreślenia godnym, że w tem wielkiem przedsiębiorstwie jak najmniej korzysta się z usług Niemców. I tak bagry sprowadzono z Danji, roboty hydrotechniczne wykonują zaś dwie firmy: jedna duńska Hoeigaard et Schultz, oraz firma holenderska Ackermann.

Z dotychczas wybudowanych konstrukcyj i urządzeń należy wymienić: molo południowe, łamacz fal, molo prowizoryczne, które się obecnie burzy, wieżę ciśnień, elektrownię tartak, warsztaty, magazyny, baraki dla pracowników portu. Na terenie portu zainstalowały się też prywatne firmy, jak: "Rybalt", Polbal, Hartwig, Compagnie Generale Transatlantique i Bois-Mines (eksport kopalniaków). Przy początku mola znajduje się też stacja emigracyjna.

Na czele budowy portu stoi inżynier Wenda, który projektował port. Na czele kapitanatu (zarządu portu) kapitan Zaleski.

Zramienia konsorcjum jest wydelegowany inżynier p. Gof.

Przy niewielkiej fantazji można sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała Gdynia za kilka lat. Miasto trzydziestotysięczne z szeregiem wielkich kamienic i ogromnych składów. Potworne żórawie leniwo się ruszające, stalowemi dziubami będą wykonywać bezustannie prace wyładowania i naładowania. W jednej części portu statki handlowe na kotwicy, a w drugiej flota wojenna. Co za ruch i życie w całym porcie! Nie brak teatru, variete, pysznych kawiarń i marynarskich szynkowni. A po okolicznych wzgórzach przytulone wille, hotele i pałacyki.

Tak będzie tak powinna wyglądać Gdynia w najbliższej przyszłości. Wówczas hardy dziś i butny Gdańsk będzie całkiem inaczej przemawiał do Najaśniejszej Rzeczypospolitej......

USTRÓJ POLITYCZNY STANÓW ZJEDNOCZONYCH

1. ROZWÓJ KONSTYTUCJI FEDERACYJNEJ

Zerwanie kolonij angielskich z metropolją, ogłoszenie "Deklaracji niepodległości" w 1776 r. wytworzyło potrzebę wspólnej akcji obronnej i pewnej wspólności organizacyjnej. Zdecydowano się utworzyć rodzaj związku państw, rodzaj konfederacji i odnośne "Artykuły konfederacyjne" zostały ostatecznie przyjęte w 1781 r. Konfederacja ta jednak była bardzo słaba, nie posiadała właściwie żadnej władzy, bo nie mogła zmusić nikogo do wykonania jej decyzji. Nosiła charakter umowy międzynarodowej i nie posiadała własnej władzy wykonawczej.

Dopiero w 1787 r. zebrany pod przewodnictwem Washingtona w Filadelfji konwent stanów ułożył konstytucję stanowiącą podstawę dzisiejszego ustroju Stanów Zjednoczonych. Konstytucja ta wzorowana była na ustroju politycznym niektórych stanów (zwłaszcza stanu Connecticut), pośrednio zaś— na konstytucji angielskiej. Przemienia ona dotychczasową konfederację w federację, luźny związek państw w państwo związkowe z określoną władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądową.

Konstytucja powyższa nie została zmieniona zasadniczo do czasów obecnych. Natomiast wprowadzono do niej z biegiem czasu szereg poprawek, artykułów dodatkowych. Poprawka 13-ta (z 1865 r.) zniosła niewolnictwo, poprawka 15-ta (1870) wprowadziła równouprawnienie obywateli rasy białej i kolorowej, poprawka 18-ta (1919) wprowadziła zakaz sprzedaży alkoholu, poprawka 19-ta czyli ostatnia (1920) rozszerzyła prawo głosowania na kobiety.

2. KONGRES

Władza ustawodawcza Stanów Zjednoczonych znajduje się w ręku Kongresu, który składa się z dwóch izb: Senatu i Izby poselskiej. W Senacie zasiada po 2 reprezentantów każdego stanu, czyli obecnie 96 członków. Przed 1913 r. senatorowie byli wybierani przez ciała ustawodawcze każdego stanu. Obecnie wybierani są przez ludność każdego stanu bezpośrednio. Mandaty senatorów trwają 6 lat, ale co 2 lata następuje ponowny wybór jednej trzeciej części Senatu.

Przewodniczy w Senacie Wiceprezydent, który nie jest członkiem Senatu, i decyduje jedynie w razie równości głosów. Podczas gdy członkowie Izby są ściśle ograniczeni co do czasu przemówień, senatorowie mogą mówić dowoli. W ten sposób nieraz "uśmiercają" bile, jeżeli koniec sesji jest niedługi.

Senat jest nietylko władzą ustawodawczą, równorzędną z Izbą poselską, ale posiada również pewne ważne funkcje rządowe i sądowe. Senat ma prawo do zatwierdzenia lub odrzucenia nominacyj wyższych urzędników, czynionych przez Prezydenta. Korzysta z tego wielokrotnie z wyjątkiem urzędów ministerjalnych, pozostawianych tradycyjnie uznaniu Prezydenta. Przysługuje również Senatowi prawo do zatwierdzania traktatów, zawartych z obcemi państwami. Senat wreszcie zasiada jako Trybunał sądowy, w razie postawienia Prezydenta lub innego wyższego urzędnika państwowego w stan oskarżenia przez izbę poselską (impeachment).

Podczas gdy Senat reprezentuje stany poszczególne i stanowi element federacyjny, Izba poselska reprezentuje cały naród i wybierana jest co 2 lata przez głosowanie powszechne i bez pośrednie. Co pewien czas Kongres określa liczbę członków Izby poselskiej (obecnie jest 435) oraz ilość przypadającą na stany poszczególne. Dokładniejsze unormowanie samego prawa wyborczego pozostawione jest ustawodawstwu stanów poszczególnych. Istnieje tylko zastrzeżenie w konstytucji, iż prawo głosu, przysługujące obywatelom Stanów Zjednoczonych, nie może być zniesione lub ograniczone w Federacji lub w stanach poszczególnych ze względu na rasę, kolor ciała, płeć albo poprzednią zależność służebno-poddańczą.

Każda z obu Izb sama decyduje o ważności wyborów i o kwalifikacjach swych członków. Ani poseł ani senator nie może być mianowany na żaden urząd cywilny federacji, utworzony w okresie, na który zostali wybrani. Zadna osoba zajmująca urząd federacyjny nie może być podczas trwania jej urzędu, członkiem Izby.

Pierwszą funkcją Izby jest wybór Przewodniczącego (Speaker), który posiada wielką władzę z powodu regulowania czynności Izby i mianowania Komitetów izbowych. Komitety te mają doniosłe znaczenie i właściwie kierują one działalnością Izby, tembardziej, że porozumiewanie się Izby z ministrami może odbywać się tylko za pośrednictwem tych Komitetów. Zwłaszcza wielkie znaczenie posiada Komitet dla rozpatrywania wydatków (on Appropriations) i wpływów państwowych (on Ways and Means).

Do kompetencji Kongresu należą sprawy wyraźnie wymienione w konstytucji federacyjnej. Wszystkie inne sprawy należą do kompetencji stanów poszczególnych. Z ważniejszych spraw należą do kompetencji Kongresu: stosunki zagraniczne, kontrola nad prowadzeniem wojny, wojsko i marynarka, handel z państwami obcemi oraz pomiędzy stanami, poczta, prawo patentowe i autorskie i t. d.

Konstytucja federacyjna nakłada niektóre ograniczenia zarówno na władzę Kongresu, jak też władzę stanową. Niedozwolonem jest np. zawieszanie prawa habeas corpus lub tworzenie ustaw z mocą wsteczną. Niektóre kompetencje nie należą według systemu amerykańskiego do żadnej władzy np. prawo nadawania przywilejów dziedzicznych albo możność ograniczenia w jakikolwiek sposób równego dla wszystkich prawa do życia, wolności i własności.

3. RZĄD FEDERACYJNY

Na czele rządu Stanów Zjednoczonych stoi Prezydent, wybierany przez cały naród, lecz w formie

pośredniej. Obywatele każdego stanu wybierają tylu elektorów, ilu dany stan posiada senatorów i posłów w Kongresie, elektorzy zaś zbierają się w stolicach stanów dla wyboru Prezydenta. W praktyce politycznej elektorzy wykonują tylko uchwały partyj politycznych zapadłe na t. zw. Konwentach narodowych, mających miejsce w ciągu lata poprzedzającego wybory. Równocześnie z Prezydentem wybierany jest Wiceprezydent.

Kandydat na Prezydenta musi być obywatelem Stanów Zjednoczonych przynajmniej od lat 14. Wybierany jest na 4 lata, lecz może być wybrany ponownie (n. p. Wilson w 1916 r.), przyczem jednak zwyczaj nakazuje, by reelekcja nie powtarzała się więcej, niż jeden raz.

Władza rządowa Prezydenta odnosi się głównie do dziedzin następujących: 1. Jest on dowódcą naczelnym siły zbrojnej Federacji, lądowej i morskiej; 2. Mianuje wszystkich urzędników federacyjnych, przyczem pewne nominacje muszą być zatwierdzone przez Senat; 3. Sprawuje ogólną kontrolę nad całą administracją federalną i pilnuje, by ustawy były należycie wykonywane; 4. Prowadzi politykę zagraniczną Federacji i zawiera traktaty z innemi państwami, wymagające jednak zgody dwóch trzecich członków Senatu; prawo do wypowiadania wojny należy do Kongresu.

Prezydent posiada również pewne uprawnienia w dziedzinie ustawodawczej. Może on w swych "orędziach" wskazywać Kongresowi na te reformy, które uważa za najpilniejsze. Zwyczaj wieloletni nakazywał, by orędzia Prezydenta były przesłane Kongresowi pisemne. Dopiero Wilson uczynił wyłom w tej tradycji, wygłaszając orędzia osobiście na Kongresie. Wpływ Prezydenta na ustawodawstwo przejawia się także w tem, iż posiada on prawo "veto" w stosunku do projektów ustawodawczych uchwalonych przez Kongres. W razie takiego sprzeciwu Prezydenta, projekt ustawodawczy musi być ponownie przyjęty przez Kongres, ale już większością dwóch trzecich głosów w każdej izbie. Ponieważ partje polityczne w Kongresie są zwykle prawie równe liczebnie, przeto w praktyce "veto" Prezydenta decyduje o losie danej ustawy.

W razie śmierci lub przedwczesnego ustąpienia Prezydenta następuje po nim Wiceprezydent. Funkcje tego ostatniego, dopóki żyje Prezydent, polegają jedynie na przewodniczeniu w Senacie.

Administracja państwa kierowana jest przez 10 ministrów: 1. sekretarza stanu czyli spraw zagranicznych, 2. skarbu, 3. wojny, 4. sprawiedliwości, 5. marynarki, 6. poczt, 7. spraw wewnętrznych, 8. rolnictwa, 9. handlu i 10. pracy. Są oni odpowiedzialni politycznie tylko przed Prezydentem, którego wolę winni wykonywać. Kongres może ich usunąć tylko w drodze wyroku sądowego, za popełnione bezprawie. Żaden z ministrów, ani też innych członków rządu, nie może zasiadać w Kongresie. Ministrowie nie mogą być nawet obecnymi na posiedzeniach Kongresu i nie mogą przedkładać projektów ustawodawczych. Wynika to z zasady podziału władz.

4. SEJMY STANOWE

Konstytucje 48 stanów poszczególnych, podobnie jak konstytucja federacyjna, przeprowadzają zupełne niemal rozgraniczenie trzech głównych władz państwowych: ustawodawczej, rządowej i sądowej. Władza ustawodawcza składa się w każdym z stanów z dwóch Izb: Senatu i Izby poselskiej. Jedyna różnica pomiędzy Senatem a Izbą poselską polega na tem, że Senat składa się z mniejszej liczby członków, reprezentujących większe okręgi wyborcze. Senat jest zwykle wybierany na 4 lata, Izba poselska na 2 lata. W niektórych stanach prawo wyborcze przysługuje również kobietom, we wszystkich zaś kobiety biorą udział w wyborze komitetów szkolnych. Obie izby mają równe prawa, jednakże projekty finansowe muszą przechodzić wpierw przez Izbę posłów.

Przewodniczący w Izbie poselskiej nazywa się Speaker. W senacie przewodniczy albo wice-gubernator, albo jeden z senatorów. W obu izbach praca szczegółowa odbywa się w komitetach. Speaker ma władzę mianowania komitetów i utrzymywania porządku w izbie.

5. RZĄDY STANOWE.

Na czele rządu stanowego stoi wszędzie gubernator, wybierany przez całą ludność, zwykle na 2 lub 3 lata. Jest on odpowiedzialny za należyte wykonywanie ustaw i utrzymanie porządku w całym stanie. Stoi na czele milicji stanowej. Posiada prawie wszędzie prawo "veto" w stosunku do projektów uchwalonych przez władzę ustawodawczą. Wówczas projekt taki musi być ponownie uchwalony przez władzę ustawodawczą (zwykle wymaga się dwóch trzecich głosów), by stał się ustawą obowiązującą.

Jedną z najważniejszych funkcji gubenatora jest przygotowywanie orędzi, które przesyła legislaturze lub sam odczytuje przed nią. W tym orędziu zaleca te zmiany ustaw, które mu się wydają wskazane. Jeżeli jest człowiekiem silnym i mądrym, będzie w stanie bardzo wpłynąć na bieg ustawodawstwa.

Nie tylko gubernator, ale również inni wyżsi urzędnicy stanowi są wybierani bezpośrednio przez ludność.

6. SAMORZĄD LOKALNY.

Organizacja samorządu lokalnego, należy do kompetencji stanów poszczególnych, co powoduje znaczną różnorodność w rozmaitych stanach.

Co się tyczy samorządu miejskiego, to stany amerykańskie nie wydały ogólnej ustawy o korporacjach miejskich, jak to zrobiono w Anglji. Większe miasta amerykańskie rządzą się na podstawie ustaw specjalnych, skutkiem czego miasta należące do jednego stanu różnią się bardzo w swej organizacji.

Na czele miasta stoi zwykle Burmistrz (Mayor), szef władzy wykonawczej, wybierany na parę lat i obowiązany do utrzymywania porządku w mieście oraz zarządzania sprawami miejskimi. Oprócz tego

jest zawsze Rada miejska, złożona z jednej lub dwóch izb i posiadająca znaczny zakres kompetencji. Urzędnicy miejscy są albo wybierani przez ludność, albo mianowani przez Burmistrza, niekiedy z udziałem Rady miejskiej. Ewolucja lat ostatnich idzie w kierunkuześrodkowania całej władzy wykonawczej w ręku Burmistrza, tudzież ograniczenia kompetencji Rady miejskiej do wydawania ogólnych przepisów lokalnych i do rozciągania kontroli finansowej. W przeważnej części miast istnieją Komitety szkolne, odrębne od władzy miejskiej.

Odnośnie do samorządu wiejskiego należy odróżnić dwa systemy, z których jeden przyjmuje za jednostkę administracyjną gminę (township), drugi zaś — powiat (county).

W stanach północnych i środkowych przyjęta jest organizacja gmin, analogicznych do "commune" francuskiej lub też "Gemeinde" niemieckiej. Obejmuje ona niewielką przestrzeń i ludność od 500 do 2,000 mieszkańców. Mieszkańcy gminy wybierają co roku pewną ilość urzędników, którzy zarządzają sprawami lokalnymi, drogami, policją, opieką nad biednymi i t. d. Również sędziowie lokalni są przeważnie wybierani. Ponad gminami stoi powiat, obejmujący szereg gmin i zarządzany przez kilka osób, wybieranych corocznie. Powiat zajmuje się więzieniami, głównymi drogami, biednymi i t. d.

W stanach południowych, opartych dawniej na niewolnictwie, niema gmin wiejskich, tylko jednostką administracyjną jest powiat (county), w którym urzędnicy wybierani zarządzają wszystkiemi sprawami lokalnemi. Zarząd lokalny jest tu mało rozwinięty, pewnym czynnikiem postępu pod tym względem są Obwody szkolne z Komitetami szkolnymi na czele, które przyzwyczajają ludność do interesowania się sprawami miejscowymi.

Amerykanie, jak to stwierdza Bryce w jednej ze swych prac nowszych (Constitution and government of the United States 1909), są naogół zadowoleni ze swego samorządu wiejskiego, który z wielu względów może być wzorem dla Europy. Natomiast istnieje wielkie nieukontentowanie z samorządu miejskiego. Zwłaszcza wielkie miasta wpadają często w ręce demagogów i awanturników politycznych, którzy zajmują wszystkie urzędy, zaciągają wielkie długi dla miasta i przeważnie wzbogacają siebie i swoich sojuszników kosztem ruiny finansów miejskich. Samorząd wielkich miast jest najsłabszą stroną demokracji amerykańskiej.

7. WŁADZA SĄDOWA.

Władza sądowa odgrywa w Stanach Zjednoczonych znacznie większą rolę, aniżeli w Europie. Przysługuje jej bowiem prawo badania nie tylko legalności rozporządzeń (ich zgodności z ustawami), ale także legalności ustaw (ich zgodności z konstytucją). Nie znaczy to, ażeby sędziowie mogli wogóle kasować wydane ustawy, z powodu ich niezgodności z konstytucją. W każdym jednak konkretnym wypadku sporu rozstrzyganego przez dany sąd, może on uznać pewną ustawę za sprzeczną z konstytucją i za nieważną, tak, jak gdyby nigdy nie została wydana.

Ponieważ zarówno federacja, jak też stany poszczególne mają swoją konstytucję i swe ustawy zwykłe, przeto wynika stąd hierarchja czterostopniowa: 1. konstytucja federacyjna, 2. ustawy zwykłe federacyjne, 3. konstytucja stanowa, 4. ustawy zwykłe stanowe. Żaden stopień niższy nie może być sprzeczny pod względem treści ze stopniem wyższym, gdyż w takim wypadku sąd mógłby uznać odnośne normy prawne za nieważne i nieistniejące.

Sądy amerykańskie są dwóch rodzai: 1. sądy stanowe, 2. sądy federacyjne.

Sędziowie stanowi są w niektórych stanach mianowani przez gubernatora, przeważnie jednak wybierani przez ludność na pewien okres czasu. Ze względu na niepewność reelekcji i niezbyt wysokie uposażenie stanowiska te nie posiadają wielkiej siły atrakcyjnej. Sędziowie federacyjni są mianowani przez Prezydenta za zgodą Senatu i piastują swe godności dożywotnio (mogą być usunięci jedynie w drodzą sądowej za przekroczenie ustawy).

Kompetencja sądów federacyjnych rozciąga się na całe terytorjum Stanów Zjedn., jednakże ogranicza się do pewnych kategoryj wypadków, cywilnych i karnych, jak np. kwestje odnoszące się do ambasadorów obcych, spory, w których Federacja jest stroną, spory pomiędzy stanami, spory wynikłe na tle konstytucji federacyjnej i t. d.

Specjalną skargą sądową jest w Stanach Zjedn. (podobnie jak w Anglji) t. z. impeachment, która polega na oskarżeniu przez Izbę poselską Prezydenta lub wyższego urzędnika państwowego o naruszenie ustawy. Wyrokuje wówczas Senat, przyczem, jeżeli oskarżonym został sam Prezydent, przewodniczy w Senacie nie Wiceprezydent, lecz najwyższy sędzia federacyjny.

8. REWIZJA KONSTYTUCJI.

Konstytucja jest najwyższą ustawą Federacji, obowiązującą zarówno władzę ustawodawczą, jak wykonawczą, oraz władze stanów poszczególnych.

Może ona być zmieniona w podwójny sposób: 1. Kongres opracowuje poprawki (dwie trzecie głosów) i przesyła je stanom: w razie zatwierdzenia ich przez władze ustawodawcze lub konwenty trzech czwartych stanów nabierają one mocy prawnej i stają się częścią konstytucji, 2. Władze ustawodawcze dwóch trzecich stanów mogą żądać od Kongresu, by zwołał konwent konstytucyjny dla opracowania poprawek; poprawki te w razie przyjęcia przez trzy czwarte władz ustawodawczych lub konwentów stanowych nabierają mocy prawnej.

Wszystkie dotychczas uczynione poprawki konstytucji, dokonane zostały w formie pierwszej (propozycja Kongresu, zatwierdzenie sejmów stanowych). Zasadniczy jednak ustrój konstytucyjny pozostał

niezmieniony od 1787 roku, co dowodzi, iż opiera się na silnych i trwałych podstawach.

TABLICA STATYSTYCZNA STANÓW ZJED.

Obszar (na kontynencie) km. kw.	7,998,938
Ludność (1920)	105,710,629
Ludność biała	94,820,915
Ludność kolorowa	10,889,705

Miasta główne (1920):

New York ......miesz.	5,620,048
Chicago	2,701,705
Philadelphia	1,823,779
Washington (stolica)	437,571

KONSTYTUCJA POLSKA

GENEZA KONSTYTUCJI.

W ciągu pierwszych dwóch lat po odzyskaniu niepodległości Polska musiała obchodzić się bez konstytucji.

Pierwszy Sejm, natychmiast po ukonstytuowaniu się, powziął 20 lutego 1919 r. następującą krótką uchwałę, normującą prowizorycznie wzajemny stosunek władz naczelnych:

"Sejm przyjmuje oświadczenie Józefa Piłsudskiego, że składa w ręce Sejmu urząd Naczelnika Państwa, do wiadomości i wyraża Mu podziękowanie za pełne trudów sprawowanie urzędu w służbie dla Ojczyzny.

Aż do ustawowego uchwalenia tej treści konstytucji, która określi zasadniczo przepisy o organizacji naczelnych władz w Państwie Polskiem, Sejm powierza dalsze sprawowanie urzędu Naczelnikowi Państwa, Józefowi Piłsudskiemu, na następujących zasadach:

1. Władzą suwerenną i ustawodawczą w Państwie Polskiem jest Sejm Ustawodawczy; ustawy ogłasza Marszałek z kontrasygnacją Prezydenta Ministrów i odnośnego Ministra fachowego.

2. Naczelnik Państwa jest przedstawicielem Państwa i najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych.

3. Naczelnik Państwa powołuje Rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z Sejmem.

4. Naczelnik Państwa oraz Rząd są odpowiedzialni przed Sejmem za sprawowanie swego urzędu.

5. Każdy akt państwowy Naczelnika Państwa wymaga podpisu odnośnego Ministra".

Powyższa t. zw. Mała Konstytucja, z powodu swojej zwięzłości, dawała niejednokrotnie powód do rozmaitej interpretacji. Nie wywoływało to jednak ostrzejszych konfliktów, ponieważ w praktyce stosowano przeważnie zasady rządów parlamentarnych, według wzorów państw zachodnich. Naczelnik Państwa uważał się za nieodpowiedzialnego politycznie (odpowiedzialność prawna czyli konstytucyjna rozumiała się sama przez się). Odpowiedzialnym politycznie był Rząd, mianowany przez Naczelnika Państwa według życzenia większości sejmowej.

Dopiero powstałe w czerwcu 1922 r. przesilenie rządowe wysunęło na porządek dzienny kwestję interpretacji małej konstytucji, a mianowicie jej punktu 3-go (Naczelnik Państwa powołuje Rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z Sejmem). W kwestji tej Sejm na posiedzeniu 16 czerwca 1922 r. powziął następującą uchwałę:

"Sejm ustala zgodnie z dotychczasowym zwyczajem konstytucyjnym następującą wykładnię punktu 3-go uchwały z 20 lutego 1919 roku:

Wyrazy "Naczelnik Państwa powołuje" i wyrazy "na podstawie porozumienia z Sejmem" interpretuje Sejm w ten sposób, że inicjatywa w wyznaczeniu premjera należy z reguły do Naczelnika Państwa i, że w braku propozycji Naczelnika Państwa lub zgody Sejmu Ustawodawczego względnie organu przez Sejm regulaminowo ustanowionego, ten organ większością głosów desygnuje premjera.

Rząd powołany przez Naczelnika Państwa staje przed Sejmem celem uzyskania votum zaufania Sejmu. (Uchwała powyższa była powodem znanego konfliktu pomiędzy Sejmem a Naczelnikiem Państwa w połowie 1922 r.)

Pierwszy Sejm, bezpośrednio po ukonstytuowaniu się, wyłonił z siebie Komisję Konstytucyjną, której zadaniem było przygotowanie projektu Konstytucji polskiej. Praca Komisji Konstytucyjnej ciągnęła się do czerwca 1920 r. Zrazu Komisja nie przyjmowała za formalną podstawę obrad żadnego z istniejących projektów konstytucyjnych, nawet projektu opracowanego przez ankietę rzeczoznawców, zaproszonych przez Rząd, który to projekt Rząd nieoficjalnie przekazał Sejmowi. Komisja postanowiła samoistnie opracować cały przedmiot i podzieliła go w tym celu na kilka referatów.

Rządowa "Deklaracja Konstytucyjna", wniesiona na Sejm w maju 1919 r., nie miała wpływu na prace Komisji, gdyż nie uzyskała dostatecznego poparcia z żadnej strony. Dopiero rządowy projekt Konstytucji, wniesiony do Sejmu w listopadzie 1919 r., a następnie (z powodu zmiany gabinetu) zmodyfikowany w styczniu 1920 r. stał się formalną podstawą obrad Komisji. Po uzgodnieniu go z dotychczas uchwalonymi wnioskami Komisja weszła na normalne tory pracy i w czerwcu 1920 r. przedstawiła Sejmowi do uchwalenia projekt Ustawy Konstytucyjnej. Z powodu jednak wypadków wojennych obrady konstytucyjne Sejmu uległy odroczeniu. (Dla szybszego decydowania spraw z wojną związanych utworzona została ustawą z dnia 1 lipca 1920 r. Rada Obrony Państwa, która sprawowała w pewnym zakresie faktycznie funkcje ustawodawcze, w formie rozporządzeń.) Podjęte znowu obrady w jesieni 1920 r. doprowadziły do ostatecznego uchwalenia Konstytucji dnia 17 marca 1921 r.

Ponieważ stosunek istniejącej dotychczas władzy najwyższej do przepisów Konstytucji nie był zupełnie jasny, przeto Sejm w maju 1921 r. uchwalił "Ustawę Przechodnią" do Ustawy Konstytucyjnej w sprawie tymczasowej organizacji władzy zwierzchniej Rzeczypospolitej. Ogłoszenie Ustawy Konsty-

tucyjnej i Ustawy Przechodniej nastąpiło 1 czerwca 1921 r. (Dz. Ust. Nr. 44 poz. 267 i 268).

Na początku listopada 1922 r. odbyły się wybory do Sejmu i Senatu a w końcu listopada nastąpiło uroczyste zamknięcie Sejmu Ustawodawczego i otwarcie nowych Izb prawodawczych.

W ten sposób, Konstytucja w swych najistotniejszych częściach zaczęła wchodzić w życie.

2. CHARAKTER KONSTYTUCJI

Konstytucja polska 17 marca nie jest oryginalną, jak była Konstytucja 3 maja. Opiera się raczej na ustalonych wzorach konstytucyjnych Europy Zachodniej. przyczem uwzględnia nietylko zachodnie normy ustawowe, ale również normy zwyczajowe. W szczególności wzoruje się na konstytucji francuskiej. Dwuizbowość władzy ustawodawczej, wybór Prezydenta Rzeczypospolitej przez Sejm wraz z Senatem, możliwość rozwiązania Sejmu przez Prezydenta za zgodą Senatu, odpowiedzialność polityczna ministrów wobec Sejmu, względna łatwość rewizji, przypominają żywo konstytucję francuską, podobnie jak przepisy mniejszej wagi: minimalny wiek posłów (25 lat), wiek senatorów (40 lat), okres władzy Prezydenta (7 lat). Nawet oddzielenie władzy politycznej Prezydenta od władzy Naczelnego Wodza jest wprawdzie odmienne od francuskiej konstytucji pisanej, ale zgodne z konstytucjonalizmem francuskim zwyczajowym. Różni się natomiast Konstytueja nasza od francuskiej odmiennym składem i mniejszem znaczeniem Senatu. Różni się także swą objętością, gdyż zawiera obszerny rozdział poświęcony prawom i obowiązkom obywatelskim, co zostało we Francji w 1875 r. pominięte.

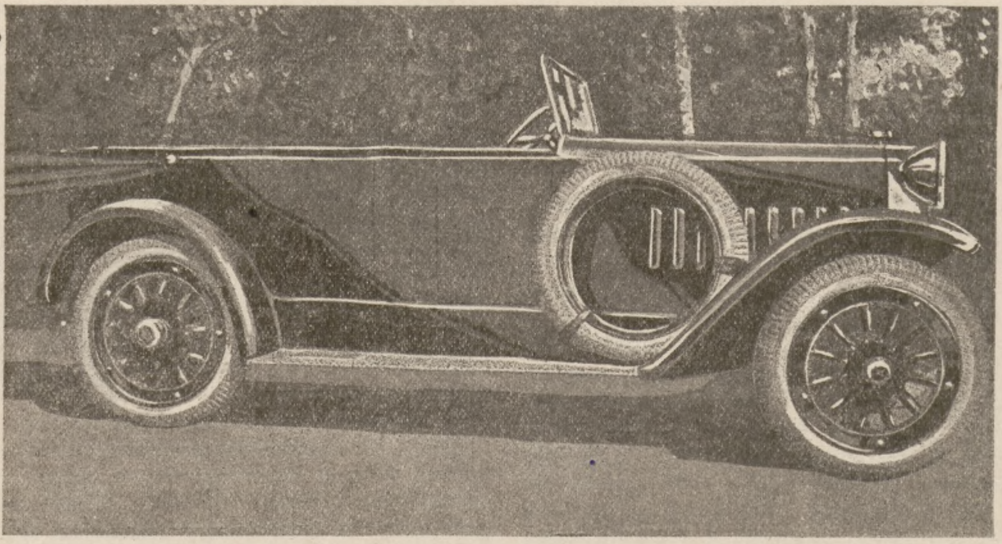
Konstytucja 17 marca, podobnie jak Konstytucja 3 maja, przyjmuje zasadę "zwierzchnictwa narodowego". Podczas gdy jednak Konstytucja poprzednia ograniczała się do stwierdzenia, że "wszelka władza początek swój bierze z woli Narodu", Konstytucja obecna idzie dalej i powiada: "Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu" (art. 2). Chodziło tu atoli bardziej o doktrynę polityczną, aniżeli o uprawnienia realne, gdyż Naród nie sprawuje władzy państwowej w żadnym kierunku sam, tylko przez swoje organa (Sejm i Senat, Prezydenta Rzeczypospolitej łącznie z ministrami, sądy). Konstytucja staje na stanowisku demokracji pośredniej. Naród posiada jedynie prawo wybierania posłów, którzy są właściwymi piastunami władzy najwyższej.

Często tytułowane osoby są podobne do zniszczonej miotły, bo pozostał im tylko tytuł.

* * *

Ciekawa rzecz, dokąd pójdą po śmierci ci, co to już za życia z żoną piekło przechodzą.

"Polonia" Automobile wyrabiane w Polsce



Pierwszy polski automobil marki "Polonia"

Polski inżynier M. Kierpowski zbudował automobil swego własnego pomysłu i nazwał go "Polonia". Automobil ten ma mieć bardzo ważne ulepszenia w konstrukcji i może być bez wielkich trudności wraz z motorem rozebrany na składowe części. Podczas próby przed polskim ministrem wojny dwóch mechaników przy pomocy chłopca rozebrało ten automobil w 14 minutach i złożyło go z powrotem w 36 minutach.

Automobil Polonia ma 6-cylindrowy motor i może biedz na godzinę 100 kilometrów.

"Lamenta Podbiegunowe" Polskich Żołnierzy w Archangielsku

Wyjątek z opowiadania Eugeniusza Małaczewskiego

(Batalion z wojsk polskich we Francji armii generała Hallera był wysłany do Archangielska w kraju Murmańskim, portu Morza Białego w Rosji, jako część ekspedycji wojsk aliantów, którzy zajęli port Archangielski na początek przewrotu bolszewickiego w Rosji).

"Oddział Murmański wracał do kraju. Miał za sobą półtora roku walk po błotach i borach Rosji Północnej. Był to bez wyjątku żołnierz otrzaskany ze śmiercią, dzielny do wybitki, jeszcze lepszy do wypitki, dobry do tańca, gorszy do różańca. Okryli się chwałą nieśmiertelną w oczach wojsk ekspedycyjnych całej Europy, rozkazy angielskiego dowództwa nazywały ich "Lwami Północy". Miało się przypięty do piersi niejeden krzyż i medal francuski i angielski. Wiozło się coś niecoś zegarków i klejnotów zdobycznych, tudzież nieco tego marnego grosiwa, które się zdobyło w krwawym pocie, uczciwie, na nieprzyjaciołach rodu ludzkiego i Ojczyzny.

Parowiec płynął do Gdańska. Zimowe nadmorskie słońce jaśniało na wysokościach bladobłękitnego nieba. Nikły warkocz dymu snuł się z komina, niby z olbrzymiego cygara, wetkniętego pionowo w pokład okrętu. Za sterem ciągnęła się po wodzie śnieżno-zielona, wrząca brózda, rzekłbyś wiorstowy nie wód, napełniony po brzegi kotłującemi się rybami. Morze, drgające krótką, płaską falą, zdawało się kołysać nieustannie tysiącami luster, które odbijały tyle mokrego słońca, że blask ten zacinał po oczach wprost boleśnie, jakoby biczem ukręconym z promieni.

Metalowe okucia na pokładzie jarzyły się chwilami, jak ognie bengalskie. Na dziobie okrętu kupiła się gromadka żołnierzy z odsłoniętemi głowami. Mewy z radosnym piskiem śmigały tuż nad nimi, zdając się dotykać w locie skrzydłem ich włosów.

W gromadce było gwarno, jak na wiecu bolszewickim. Rozlegał się śmiech podobny do końskiego rżenia. Brzmiały okrzyki:

— Śpiewać "Lamenty"! Chcemy "Lamentów"!

— Nie, nie! Lepicj "Białej róży kwiat"!—ozwał się jakiś melancholijny głos.

— Stul paszczę, kiedy cię nikt nie pyta! — wrzasnął w ciżbie inny głos. — "Lamenty"! Zaczynać.

Zaczem zaśpiewano chórem na nutę okrutnie dziadowską. Była to pieśń ulubiona przez Murmańczyków: "Lamenty podbiegunowe", którą ułożył swego czasu nieboszczyk major Bogusław Szul.

Straśnież to dziwy, Boże apostolski!
Wybrał się legun na obronę Polski,
Chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun,
Obronił biegun.

Tak nami dziwnie kręci ręka Boża,
Chciałeś mieć Polskę z dostępem do morza,
Zdobyłeś dostęp swoim krwawym potem,
Tam i z powrotem.

Zwiedziłeś, bracie, świata kawał srogi,
W różnych-eś krajach poobijał nogi,
Ażeś tu przyszedł stare mrozić gnaty
W kraj lodowaty.

Ale cię straśna czekała udręka,
Bo tam się bidny człowiek ciągiem lęka,
Żeby mu koło nie spadło na głowe
Podbiegunowe.

Tam miast na koniach naród na psach jedzie,
Tam krowiem mlekiem dojom się niedźwiedzie,
Tam wielgoryby rosną co dwa kroki
I jensze foki.

Noc całom zime, że nie ujrzysz słońca,
Bo nie chce wschodzić, w lecie znów bez końca
Wciąż jeździ z jednej w drugą nieba stronę,
Jak pomylone.

Więc bolszewickie przechytrzaj wybiegi,
Pod Obozierskiem, lub w błotach Onegi,
Marznij nad Dźwinom, lub moknij dowoli
Na moście Koli.

A gdy już z frontu powracasz nareście,
Nie myśl, że spoczniesz w jakiem ludzkiem mieście,
Bo cie wpakujom — o Matko anielska!
Do Archangielska.

I znów tłuc mustre każom ci do maja,
Różnym sposobem dajom dziwnom szkołę,
A położenie takie niewesołe
Marnie nastraja.

Zamiast jedzenia dają tam bez przerwy
Przeróżne małpy i inne konserwy,
Ze zaniedługo staniesz sie na czysto
Konserwatystą.

A zamiast chleba suchary-galety,
Co dentystyczne siedzom w nich zalety,
Bo nieostrożnie włóż bestje do gęby,
Wylecom zęby.

Waruj więc, bracie, i nie miej pretensji,
Jak bez pół roku nie dostaniesz pensji,
Choć przyjdzie wreście, świecąc cielskiem gołem,
Siąść pod kościołem.

O, gdyby mi kto postawił pytanie,
Czego chce teraz, to odpowiem na nie:
Ja nie chce wielę, tylko jedno wspomne
Życzenie skromne:

Z pruskiej korony już zrezygnowałem,
Mogę nie zaraz zostać jenerołem,
Tylko nam bilet, o Boże łaskawy,
Daj do Warszawy!

HISTORJA O CZŁOWIEKU, KTÓRY MIAŁ SZCZĘŚCIE

ARKADJUSZ AWERCZENKO.

W miejskim parku odbywał się w święto festyn ludowy z dwiema orkiestrami, wyścigami w worku i wielką loterją. Loterja ta miała wspaniałe wygrane m. in. można było wygrać żywą krowę, gramofon i tulski samowar. Festyn cieszył się ogromnem powodzeniem a losy na loterję rozkupywano w błyskawicznem tempie.

Kancelista Wanja Plintuzow, który pracował w kantorze fabryki krochmalu, przybył wraz z ideałem swego opłakanego żywota, Nastją, do parku. Nastja przyciskając mocniej ramię swego towarzysza rzekła:

— Wanja, powinniśmy spróbować raz szczęścia na loterji. Może wygramy coś porządnego?

Rycerski Wanja nie sprzeciwił się ani słowem żądaniu ukochanej.

— Nastja — rzekł — twoje życzenie jest mi rozkazem.

I rzucił się do urny szczęścia. Z miną Rotchilda podał przedostatnią półrublówkę srebrną, za co dostał dwie skręcone w rurkę karteczki.

— Wybieraj, jedna moje, druga należy do ciebie.

Nastja po długim namyśle wybrała wreszcie karteczkę, rozwinęła ją, ale szepnęła rozczarowana:

— Pusta.

Wanja natomast wydał z swej piersi okrzyk radości:

— Wygrałem! Numer 14. Co takiego proszę pani?

— Numer 14? To krowa. Główna wygrana. Ma pan szczęście. Wygrał pan krowę.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł Wanja, skoro burza okrzyków entuzjazmu i zazdrości już trochę przycichła — czy mogę odrazu otrzymać moją krowę?

— Ależ prosimy bardzo. Może pan zechce tę krowę sprzedać? Odkupimy ją od pana za 25 rubli.

— Co za pomysł — roześmiał się Wanja — najprzód sami państwo piszecie, że krowa warta jest więcej, niż 150 rubli, a potem chcecie dać za nią 25 rubli: Proszę mi oddać krowę i ani słowa o tem więcej. — Wanja Plintuzow nie posiadał w najmniejszym stopniu poczucia humoru, w przeciwnym bowiem razie odczułby cały komizm grupy opuszczającej park miejski, grupy, którą tworzyli: Wanja, Nastja i krowa. Natomiast szerokie, ponętne perspektywy bogactw zdawały się otwierać przed jego oczyma. Obraz Nastji bladł zaś coraz więcej. Nastja spoglądała na niego, marszcząc brwi a dolna jej, pełna czerwona warga drgała gniewnie.

— Słuchajno Wanja, więc ty mnie dzisiaj nie odprowadzisz do domu?

— Ależ odprowadzę, dlaczegóż miałbym nie odprowadzić?

— A krowa?

— Krowa nie stanowi żadnej przeszkody.

— I ty sobie wyobrażasz, że ja przez całe miasto będę szła razem z krową? Koleżanki wyśmiałyby się ze mnie a wszyscy ulicznicy lecieliby za nami. Co prawda, to można było tę krowę do jutra pozostawić, niktby jej nie ukradł, zresztą to przecież nie żaden tak wielki skarb.

— Jak chcesz, — wzruszył Wanja ramionami, czując, że wzbiera w nim żółć.

— Jeżeli ci moja krowa nie odpowiada, to proszę, w takim razie....

— To znaczy, że mnie nie odprowadzisz?

— A cóż mam robić z krową? Nie schowam jej przecież do kieszeni.

— No tak, tak! Nie trzeba wcale. Pójdę sama do domu, tylko żeby się pan nie odważył do nas jutro przyjść.

— O, bardzo proszę — rzekł obrażony Wanja — ja i pojutrze nie przyjdę, ja już wogóle nigdy nie przyjdę.

— W takim razie, bardzo to szczęśliwie, że pan znalazł stosowne dla siebie towarzystwo.

Dziewczę zdruzgotawszy Wanję tym morderczym sarkazmem, poszło dalej ulicą z opuszczoną głową, czując, że serce jej jest na zawsze złamane.

Dopóki Wanja z krową szli przez ciemną graniczącą z parkiem ulicę, jakoś to było, skoro jednak wydostali się na jasno oświetloną, ożywioną ulicę, Wanja poczuł pewne zakłopotanie. Przechodnie oglądali go z wyraźnem zdziwieniem a jakiś mały andrus tak się nawet zachwycił, że wydał dziki świst i oznajmił głośno na całą ulicę:

— Syn krowy, prowadzi swoją mamusię do domu!

— Smarkaczu jeden, jak ci dam w papę, to wszystkie gwiazdy zobaczysz!

— Spróbuj, jeżeli możesz!

Było to zuchwałe wezwanie, ale mały ulicznik nic nie ryzykował, ponieważ Wanja nie mógł wypuścić z ręki postronka, na którym prowadził krowę. Krowa postępowała naprzód z nieopisaną powolnością, właściwą zresztą wszystkim krowom. Nareszcie Wanja znalazł się na swojej ulicy. Skoro stanął przed domem, w którym odnajmował od pewnego stolarza pokój, błysnęła mu nagle myśl: "Gdzie ja tę krowę umieszczę?" żadnej stajni nie miał dla niej. Uwiązać cenne zwierzę na podworcu, to było rzeczą niebezpieczną ze względu na możliwość kradzieży.

— Wiem już co zrobię, — postanowił Wanja po długim namyśle. Zaprowadzę ją pocichutku do mo-

jego mieszkania a jutro wszystko załatwię. Jedną noc może przecież przepędzić u mnie w pokoju.

— Szczęśliwy posiadacz krowy otworzył cichutko drzwi swojego mieszkania i pociągnął za sobą melancholijne zwierzę.

— Ach ty, chodź tutaj, co to takiego? Ciszej do djabła, gospodarze śpią, a ty tupiesz racicami jak koń kopytami.

Krowa wprowadzona do pokoju apatycznie zatrzymała się przy łóżku Wanji i zaczęła zaraz gryźć róg posłania.

— Przeklęte bydlę! Zjadasz mi poduszkę, pewnie chce ci się pić, nieprawdaż?

Wanja nalał do miednicy wody i podsunął ją krowie pod pysk. Następnie wysunął się na podwórze, urwał kilka gałązek małych z drzew, aby je również włożyć do miednicy.

— No masz bydlę, jedz!

Krowa wyciągnęła pysk, oblizała językiem gałązkę, podniosła łeb i zaryczała głośno.

— Pst, pst, ty przeklęte bydlę, — jęknął Wanja— cicho bądź, albo niech cię djabli....

Za plecami Wanji skrzypęły lekko drzwi. Do pokoju zajrzał mężczyzna w kompletnym negliżu, owinięty w kołdrę. Gdy zobaczył, co się w pokoju kancelisty dzieje, odskoczył z lekkim wykrzykiem przerażenia.

— Czy to pan, Iwan Nazaricz? — zapytał szeptem Wanja. — Proszę, niech pan wejdzie, niech się pan nie boi, u mnie jest tylko krowa.

— Ależ pan chyba zwarjowałeś, skąd pan wziął tę krowę.

— Wygrałem na loterji, jedz krasula, jedz.

—Jakże można wprowadzać krowę do pokoju — zauważył współlokator niezadowolony siadając na łóżku. — Jeżeli gospodarz o tem się dowie, to wyrzuci cię natychmiast z mieszkania.

— To tylko do jutra rana. Krowa pozostanie tutaj przez noc a potem już coś z nią zrobimy.

— Muuu! muuu! — zaryczała krowa, jak gdyby chcąc przytwierdzić słowom swojego właściciela.

— Czy niema sposobu, żeby cię uspokoić, przeklęty bydlaku? Pst, dajno mi pan kołdrę. Owinę jej łeb. Masz tobie, to już szczyt wszystkiego, ona i kołdrę chce zeżreć, ażeby ją djabli....

Za ścianą dał się słyszeć hałas, ktoś wrzeszczał, klął i pluł, zbudzony nagle ze snu. Potem dało się słyszeć stąpanie bosych nóg i drzwi pokoju Wanji roztwarły się szeroko. — Przed zmięszanym do najwyższego stopnia Wanją stał zaspany, rozczochrany gospodarz. Rzucił spojrzenie na krowę, potem na Wanję, zazgrzytał zębami i nie wdając się w żadną dyskusję, zawołał krótko a silnie:

— Won!

— Pozwól pan Aleksieju Fomiczu, że ja panu całą sprawę wyjaśnię.

— Precz i to natychmiast! Już ja panu wybiję z głowy tego rodzaju psie figle.

— Stało się tak, jak ja panu przepowiedziałem — rzekł współlokator takim tonem, jakby wszystko zostało uregulowane według jego życzenia, owinął się w kołdrę i poszedł spać.

Była to cicha, ciemna noc letnia, gdy Wanja znalazł się na ulicy razem z krową, kuferkiem, kołdrą i poduszką, które władował na grzbiet krowy (była to pierwsza istotna korzyść z nieszczęśliwej głównej wygranej).

— No, przeklęty bydlaku — rzekł Wanja sennym głosem — musimy iść dalej.

Szli powoli, krok za krokiem. Wreszcie małe domki przedmiejskie mieli już poza sobą a przed nimi rozciągało się szerokie, puste pole, z jednej strony ogrodzone płotem plecionym z wikliny.

— Gorąco — rzekł Wanja, czując, że ogarnia go coraz większe zmęczenie. — Położę się tutaj spać, a krowę uwiążę do ręki.

Wanja zasnął.

— No, no, mój panie! — posłyszał głos nad sobą.

Otworzył oczy i przekonał się, że to już jest jasny, słoneczny poranek.

— Mój panie — rzekł obcy mężczyzna, trącając go końcem swego buta, — jak to można za rękę do płotu się przywiązywać, i po co to?

Wanja zerwał się na równe nogi niby ukąszony przez jadowitą żmiję i wydał okrzyk rozpaczy i boleści. Drugi koniec wiążącego mu rękę postronka, był przymocowany do niskiego płotu.

Przesądny człowiek mógłby mniemać, że krowa w nocy przez jakieś czary zamieniła się w wiklinę płotu, ale Wanja był głupio praktycznym chłopcem. Rozpłakał się i zaczął lamentować.

— Skradziona, skradziona.

— No dobrze — rzekł policjant — powiada pan, że skradziona, pięknie, skradziona krowa, ale jaka krowa?

— Jak to jaka? Zwyczajna.

— Jakiej maści?

— Zdaje mi się, że taka cynamonowa, ale miała także białe łaty.

— Gdzie?

— Zdaje mi się, że na pysku, albo może nie.... Kto wie, może na grzbiecie, a może na ogonie, no wogóle tak, jak to bywa u krów, pan już wie?

— Nie, nie wiem. I według tak niedokładnych wskazówek nie mogę wszcząć żadnych poszukiwań, czy to jedna krowa jest na świecie?

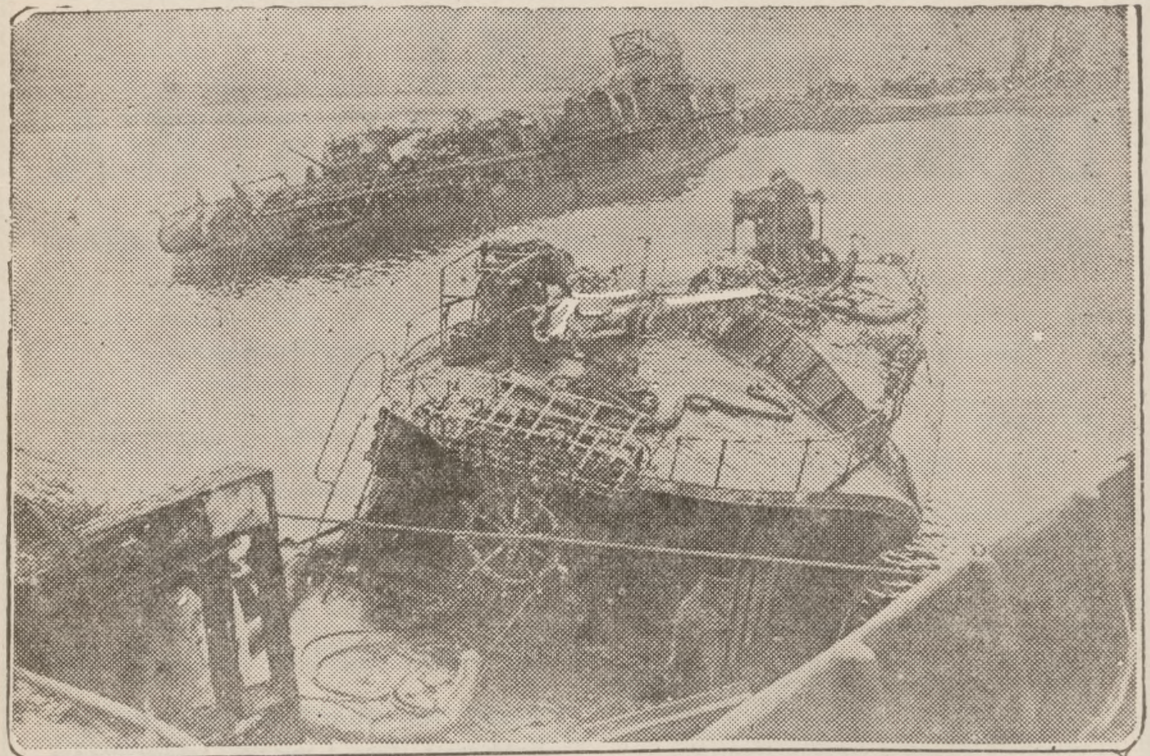
Biedny Wanja podreptał do swojej fabryki krochmalu. Ciało jego od niewygodnego legowiska było niby rozbite, a główny buchalter przyjął go ostrem napomnieniem, że to już pierwsza godzina popołudniu.

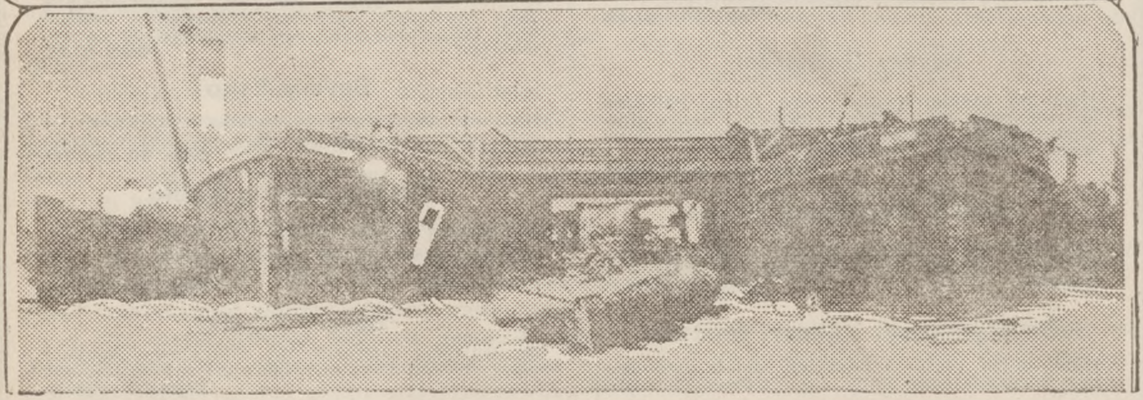
Wanja zaczął rozmyślać nad nicością wszystkich ziemskich rzeczy. Wczoraj miał jeszcze wszystko: krowę, mieszkanie i narzeczoną. A dzisiaj wszystko było już stracone!

Życie urządza sobie z nami niekiedy dziwne igraszki, a my jesteśmy jego ślepymi, posłusznymi niewolnikami.

(Tłum. Jadw. Migowa).

Zatopiona niemiecka flota dostarcza cennego metalu





Fotografja wierzchnia przedstawia dwa okręty niemieckie wydobyte już z dna morskiego; dolna uwidacznia sam proces podnoszenia zatopionych okrętów z dna morza.

Anglja w r. 1925 wydobywała z dna morskiego zatopione niemieckie okręty wojenne. Trudna operacja podniesienia z dna morskiego stalowych olbrzymow dokonywana jest w następujący pomysłowy sposób. Dwie olbrzymie barki z konkretu są połączone mostem z szesnastu żelaznych słupów. Cały ten aparat podpływa ponad zatopiony okręt. Nurkowie zakładają stalowe liny pod kadłub zatopionego statku, a końce lin przymocowane zostają do słupów żelaznych mostu pomiędzy barkami. Podczas odpływu morza barki są najbliżej zatopionego statku i wówczas liny stalowe są zakręcane na swych wałach tak ciasno, ile to tylko jest możebne. Przypływ morza podnosi barki i ciężar zatopionego statku i wówczas barki płyną ku brzegowi do płytszej wody, dopóki się da, to jest dopóki podniesiony okręt znowu nie spocznie na dnie morza. Na drugi dzień ten sam proces się powtarza i w ten sposób ostatecznie zatopiony okręt dostaje się na płytką wodę. Następnie zamykają wszystkie otwory w zatopionym statku i wypompowują wodę z kadłuba i przedziałów. Zatopiony statek poczyna ponownie unosić się na falach i wówczas holują go do doków i tam zabierają wszelkie a tak liczne części maszyn z mosiądziu i zdejmują ołowiane rury. Zabierają z tych okrętów cenny i drogi mosiądz i ołów i kosztowna operacja sowicie się opłaca. Stalowy kadłub zatopionych statków nie przedstawia prawie żadnej wartości.

WZROST ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO W CYFRACH

ROK	Liczba Grup	Liczba członków	Majątek	WYPŁACONO	
				Pośmiertnego	Dobroczynne i oświatowe cele
1880	9		162.30		
1881	9		622.71	500.00	
1882	10	455	1,145.06		
1883	12	448	175.55	2,700.20	
1884	10	340	639.52	451.75	
1885	10	295	3,660.63	134.00	
1886	44	1,893	7,299.09	5,334.00	
1887	87	3,210	8,530.05	21,850.00	
1888	96	3,682	9,295.97	26,750.00	
1889	101	3,398	6,906.57	22,500.00	
1890	113	3,426	5,144.73	22,250.00	
1891	119	3,856	5,216.83	29,750.00	
1892	151	5,077	9,129.32	34,500.00	
1893	167	6,654	19,331.38	54,450.00	8,796.96
1894	191	6,107	23,673.36	53,309.50	
1895	210	7,515	28,182.71	56,500.00	1,000.00
1896	288	11,077	30,407.51	105,300.00	
1897	338	12,231	39,419.29	123,600.00	1,000.00
1898	376	13,513	54,733.79	117,600.00	
1899	412	15,288	96,529.86	151,100.00	1,111.98
1900	451	28,358	98,339.05	168,700.00	430.52
1901	469	30,355	132,886.30	163,600.00	608.21
1902	510	33,255	160,166.24	187,500.00	2,917.57
1903	561	37,104	239,980.61	205,800.00	3,152.46
1904	595	40,035	279,277.52	240,900.00	8,290.07
1905	648	45,271	321,930.92	252,700.07	9,135.89
1906	717	48,978	404,506.33	323,251.01	33,175.54
1907	806	53,638	469,233.23	361,900.00	35,726.88
1908	889	54,620	670,731.60	326,900.00	39,238.39
1909	956	57,858	763,668.20	343,085.71	51,352.48
1910	1106	71,335	1,154,918.37	350,439.26	68,635.93
1911	1202	77,825	1,483,562.67	442,762.62	209.540.67
1912	1339	88,524	1,762,372.84	462,961.52	94,660.87
1913	1447	100,954	2,152,020.23	509,563.30	245,081.05
1914	1507	106,734	2,493,171.66	516,034.00	176,727.31
1915	1576	110,331	2,936,606.55	578,649.98	245,991.45
1916	1655	119,530	3,396,179.19	646,950.78	256,687.25
1917	1687	127,186	3,886,182.11	733,214.46	265,363.73
1918	1697	125,860	4,934,833.89	766,199.52	254,978.10
1919	1675	120,909	5,013,643.12	1,382,505.49	205,113.31
1920	1678	125,597	5,656,562.71	799,201.71	196.321.37
1921	1679	123.468	6,333,542.78	772,460.69	152,623.40
1922	1685	127,688	7,339,177.90	759,904.98	161,213.10
1923	1688	141,013	8,246,563.26	918,257.14	145,712.25
1924	1695	151,498	9,152,669.06	851,665.64	135,720.06

Antek z Bugaja

Wycieczka Sośniaka z Świtałą do Krakowa

HUMORESKA

W maju tego roku, odwiedziłem kolegę z światowej wojny Jaśka Świtałę, w jednej wiosce położonej w górach. Wysiadłszy na ostatniej stacji kolejowej, miałem opętane pięć mil drogi do tejże wioski, otoczonej naokoło górami, że za półtora dnia z trudnością się do niej dostałem. Trudy ale tej mojej wycieczki do góralskiej wioski, do którejby dopiero koło południa słonko zajrzało, gdyby nie stały posłaniec, płacony rocznie przez gminę po słonko, po jego promienie z workiem co rano nie chodził, opłaciły mi się serdeczną gościnnością młodego kolegi gazdy Jaśka Świtały i widokami wspaniałych gór. Ojciec Jaśka Świtały, stary ale jeszcze jary góral, był z kumotrem Sośniakiem na wycieczce w Krakowie, do której to wycieczki namówił ich ksiądz proboszcz, zachęciwszy tem, że w Krakowie jest około czterdzieści samych kościołów. Wrażenia i przygody z tej wycieczki w Krakowie opowiadał mi wieczorem, a ja Wam, Czytelnicy, o ile zapamiętałem, będę się je starał powtórzyć.

— "Po dugosernem namowianiu, przystoł przecie kumoter Sośniok pojechać zemną na obeźrenie Krakowa. Mnie zaś ciągło koniecnie sumienie, bo miałek jacy na niem, przez śterdzieści lot taki grzych spory, zem sie nie śmioł z niego przed nasem jegomościem wyspowiadać. Grzych ten przez telkowe roki przypiekoł mi sumienie, bo jagem był jacy mody spoliłem bacy Hulbujowi sałas z owcami przez to ze mi nie doł swojej dziopy Jewki za zoneć ktorosie mi jacy, okrutecnie zdajała. A słysołek ze tam w Krakowie przy biskupie sąm jacy, ksiezyckowie, którzy sąm przeznaceni do cedniejakich grzychów. Myślołem se pseto jacy, ze sie tego ciepłego gzychu ze sumienia u księdzycków jak bedę w Krakowie w biskupiem kościele pozbędę. Wzionek se na drogę placek, fasecke brendze i jeden oscypek, dutków kieja mi trzeja było a kumoter Sośniok jacy oprócz zywobycio, wzoł ze sobą jesce gasiora, bo sie mu zdajało, ze mu dutków na drogę nie wystarcy, to jacy sprzedo tego gąsiora hań w Krakowie. Po drodze weślimy jacy do nasego kościoła i wyspowiadali sie, pośli do odprawy, bo to w Felkową droge, jacy sie wybrać trzeja dusę na wselki wypodek zabeśpieczyć haj. Ten jeden mój gzych inom se jacy zostawił com jus o niem sie przed wami przyznoł, bo z cemze bem sie jacy okozoł przed księzyckiem, przy samem biskupie do takich jak ten mój gzych przeznaconem.

Jo se jacy kierpce nowe a kumoter Świtoła pozyceł se od leśnicego butów jacy z polewami i podkowami, ze to jacy w Krakowie lepi sanują gazdę w butach jako w kierpiołach. Letko sie nam jacy sło, bo psecie po świętej spowiadacce ,ino kumoter kielka razy prasnął na ziemie, ze był nienaucony w tych butach od leśnicego chodzić i załował jacy, ze se chodoków nie obół. Zasli my ku takiej jacy kamienicy co była takiemi wielkiemi luterami podpisano jak krokwie i homąta. W ty kamienicy otworzył jakiś kaprol jacy okienko małe, co w niem sifkarty, na kolej sprzedowoł i pyto sie nas:

— Kady kcecie jechać?

— Do Krakowa, panie kaprol!

— Na gówny dworzec?

Jo poźroł na Sośnioka, Sośniok na mnie jak powiedzieć, ale jo sie jacy predzy namyśloł i godam.

— Jak jes panie kapral bez gówien jaki insy porząmny dwórzec to kcemy na niego jechać.

Ośmioł sie jacy kaprol, niewiem cego i gado:

— No dobrze, pojedziecie na ten porządniejsy dworzec!

Wziąn te kaprol dwie sifkarty, z takiej małej zelaznej sofki i sturchnył niemi po dwa razy pod okienkiem, alem nie doźroł o co, huk-huk, huk-huk i wyzucił te sifkarty na okienko i

— Macie zapłacić po 7 złotych śterdzieści grosy!

— Te śterdzieści grosy to nam pan kaprol opuscą, godam, rachując na mosieżną blachę w okienku piniądze.

— Siedem złotych i śterdzieści grosy! — wrzosnył ten pan ostro.

— No to niek jus bedzie godam, kiedy pąn kaprol tacy twardzi! Dziadami bez tych grosy śterdziestu i tak nie bedziemy! Trzasnął kaprol okienkiem a my sifkarty pooglądali i schowali do kieseni. Wysli my z tej kamienice na pole i cekoma na kolyj co my je jesce nigdy nie widzieli rycho po nas przyjedzie.

— Ciekawym jak sie tes na te kolej siado — godąm do kumotra Sośnioka.

— Ba jacy, jo tes nie wiem, stoi hań jakiś z cerwoną horągiewkąm, to sie spytojcie, boście śmielsi odemnie, coby my jacy wiedzieli zawcasu, jak moma siadać. Tak posedem ku niemu blizy i pytam sie go:

— Prosem pieknie panocku, jak sie to na te kolej co ma jechać z nami siado, siedzący cy okrakiem jak na konia?

Zacząn sie śmioć okrutnie ten gimajny cy frojter, debli go ta wiedzą i pyto sie:

— Toście jesce nigdy gazdowie koleją nie jechali, ani koleje nie widzieli?

— Jako zywo, przenigdy godąm, piersy raz dzisioj pojedziewa!

— Na koleji sie siedzi wygodnie na ławie, gardoskowie. Dziwno nąm jesce było, na co sąm te zelazne ŝtoby pokładzione na ziemi, cyby po nich ta kolyj jechała, ale ten frajter cy gimajny odesed od nas i zacon korbąm przy zelaznem kółku kręcić. Jednąm raząm przyjechało dwuch panów nagle ze my

sie ani nie spodzioli, na jakiemsik ni to wozie, ni cemś, bo dysla ani koni przytem nie było. Drzysło to trzy razy ale z przodku nie ze zadku, drzys! drzys! drzys! i stanęło przy stacji. Aha jacy to ta kolej, przyśli by oba z kumotrem na jedne myś i lecemy kcemy siadać.

— Co? co? co jest? co to mą znacyć? — krzyknął na nas jakiś gruby pan i niedoł nam siadać, chocias my mu sifkarty pokozali. Dopiro ten frajter, cy gimajny z cyrwoną horągiewkąm, przylecioł na ten harmider i powiedzioł, że to nie jes kolej ino, nazwoł to jakoś nie po katolicku, ale mi wysło z pamięci jak.

—Teroz dopiero kolej idzie i pokazał nam rękom. Patrzema, a tu corny dem wali sie z takiej cygarnice jak mo nas organista ino sto razy wieksej, a ta kolej jedzie, gwizdo, harcy, sapi, fucy, po tyk zelaznych štobach i stanęła, zafucała parąm, nawet sie trochę ześcała. Siadać! siadać krzyknął na nos kaprol' ,co sifkarty nam sprzedał, tak my wleźli po schodak do jednego cornego, z oknami sąmsieka na kołkach, a było tych sąmsieków jakie dwadzieścia! Kumoter mój Sośniok, niomog sie nijak do tego sąmsieka wystyrmolić, bo mu kosyk z gąsiorem zawodzoł. Jesce kiepsko wlos a jus kończoktór z trąmbkąm na sznurku zawiesonąm, trzasnył drzwiami ze mu o mało lewej nogi nie ucian. Nimogli my sie jacy nadziwać, jak pieknie w tem, nie somsieku, ino wagąnie było, bo sie wagon nazywo jagem sie potem dowiedzioł. Sterek ino zydo siedziało na ławce w tem waganie. Kumoter gąsiora wsunął z kosykiem pod ławkę i siedlima se na ławce przy oknie. Jechalimy jacy, tąm kolejąm i jechali; naród różny a najwięce żydostwa, siadali co stacyjo do wagonu a mało co wysiadało, ze jas sie ciasno zrobiło we wagąnie. Kole Sośnioka siadła se jakaś grubo pani z parasolem a jus sie zciemniać zacenało. Pani grubo co wedle Sośnioka siedziała, obrusyła się roz na niego, ale nie wiedziołem o co:

— Bedziecie spokojni ociec, cy nie, bo jak jesce raz bedziecie smatrać, to popamiętacie. Sośniok popatrzył na tę panią zgupiany o co sie ij ozchodzi, bo sie do nicego nie pocuwoł.

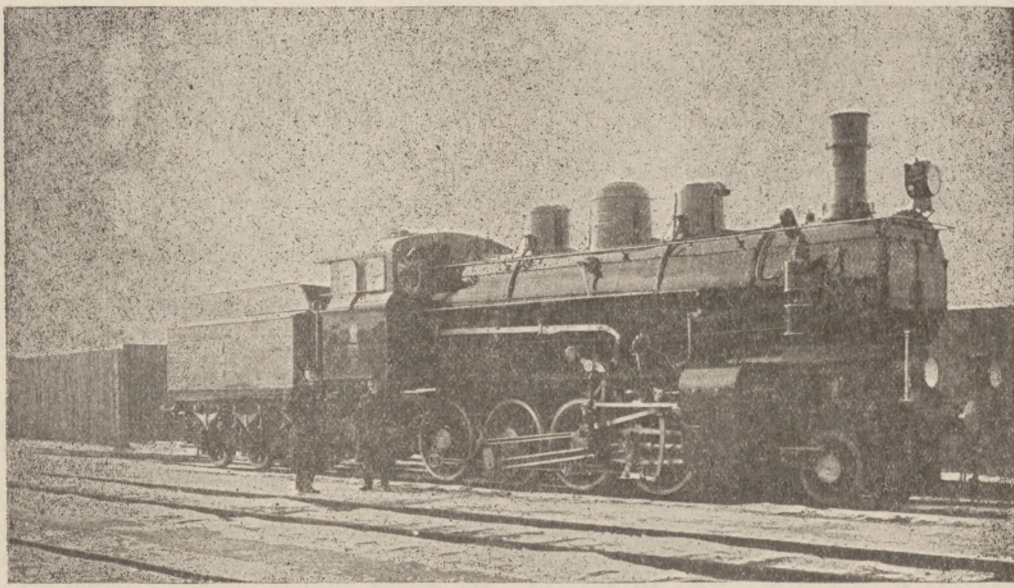
— Co wy myślicie ociec! — znowu powstała ta grubo pani na Sośniaka za kwilę. Sośniok tez zły co ona po niem kce odpedzioł:

— A pani co do tego co jo myślę jacy hę?

Prawie mioł zaświecać końdoktór takie okrągłe banie u powały we wagonie, bo jus setno ćma była, jak sie zerwała ta grubo pani z ławki i nańze okładać Sośnioka parasolem łus! łus! łus! a mas, a naści jesce psioduso goralsko! Sośniok zrobił gwałt, a ta grubo pani łusko po niem parasolem jaze się połomoł do imentu. Końdoktor co juz zaświecił, przysed i ciągnie protokół z tej pani cego, oco, tego cowieka tak zeprała ze jas mu špik trzeciorocny od bola i strachu z nosa wylos.

— Bo ta psiodusa, sierwo goralskie napastowoł mie panie końdoktorze, smatroł kole mnie i scypoł po łydkach.

Pogroził końdoktór Sośniokowi temi cęgami co biylety, nie sifkarty dziórkuje niemi, jak mi mylnie powiedzioł Kasperek co był w Ameryce, ze jak sie jedzie sifkartę sie kupuje, a to była nie prowda jacy



Polskie Lokomotywy

Według stawu grobla. Na innym obrazku dajemy automobil "Poland" wyrobu techniki polskiej. Na obrazku powyżej dajemy w Polsce i przez Polaków zbudowaną lokomotywę parową. Nie jest to olbrzym amerykański, ale i do tego Polska dojdzie!

bo biylet. Pogroził temi cęgami od dziórkowanio tyk biyletów jacy i swarzy na Sośnioka:

— Ej ociec, ociec, staryście jus i siwy a jesce wom sie cegoś zakciwo!

Sośniok sie sprawio jak moze temu kończoktorowi.

— Jedy sumiennie panocku, jak mi olejów świętyk trza przed śmierciąm, jo nic ty pani ściekłej nie winien i nie zrobiył!

— A co ta mocie ociec w tym kosyku pod ławką. Na półkę z kosykiem bo pod ławkąm kosyków trzemać nie wolno!

— Je to gąsiora panie kończoktór, com se go wziąn sprzedać w Krakowie. Musioł Sosniok postawić gąsiora z kosykiem na półce i pokozała sie prowda, ze to ten gońsiór scypoł tę grubą panią po łydkach a Sośniok za niego tak śpetnie oberwoł. Śmioł sie kończoktór i wszyscy we wagonie oprócz Sośniaka, ale sie nie było casu śmioć, bo sie wszystko cały naród we wagonie zacon ryktować, sykować ze juz bedzie Kraków. Za kwile pociąg stanął pod takąm wielką śklannąm budąm a sytko sie huro z koleje do wysiadania.

— Jo prawie wyjąn se z toktuse placek i oscypek bo sie mi jeś zakciało, ale juz nie beło casu na jodło tak pod pazuch z tem plackiem i oscypkiem wysiodłem z koleje a za mną Sośniok z gąsiorem. Idę przez tak ąwielką okrutecną sień a tu mi psia para jeden corny z zielonem poskiem na kaśkiecie, pół cłowiec pół zołmirz łap za placek i oscypek i godo:

— Opłacić!

— Je kogo mąm opłacić, panocku? — pytom sie go, a on mi kozoł jesce łoktuse z kobiołkąm ozwiązać co ta mmąm. Uźroł fasecke bryńdze i kiełasinę, co mi ją moja wstyrcyła do kobiołki, zem ani o tem nie wiedzioł.

— Opłacić! — krzyknął na mnie ten stwora, pół zołmierz, pół cowieka.

— Je kielo? — pytom sie go, bo widze, ze jacy nima insy rady?

— Pietnaście grosy!

— O nojświętso godzino, godąm, to jak tutok cowiek ma co ze sobą do gęby włożyć, opłacić trzeba? Zebyk wiedzioł panocku, to byk to bez wszysko zjod w koleji bo cas jacy miałek! Jo sesnaście grosy opłacił, ale Sośniok musioł jaze złotego od gąsiora opłacić!

—Lo Pana Boga świentego co se panocek myśli złotego brać od gąsiora? To niek panockowi da gąsior tego złotego kiedy zaros na pocątku w tem Krakowie zdzierstwo a wy kumoter nie dojcie bo sie wam nie nalezy ino gąsiorowi, bo jo sąm na swoje usy słysoł, że ten panocek wołał — złoty od gąsiora!

Ten pół cowiek, pół zołmierz z zielonem kaskietem łap za gosiora Sośniokowego, nie to nie, godo i woła na polcyjota zeby hareśtowoł, nie wiem cy gosiora, czy Sośniaka, cy obu razem. Musiał jacy Sośnia dać złotego, a jo jesce godąm:

— To kielos by panocek wzion od byka jakbem go tendy prowadził, pewnie wiency heba jak byk worto, he?

— Od takiego byka, jak wy gazda, ani grosa, odpedzioł mi ten pół zołmirz pół cowiek debelski.

Z tej sieni wyślimy z Sośniokiem do Krakowa, staneli pod murem i dziwomy sie na strasecny narod, ludzi, koni, wózków i tyk drzystających przodkiem nie zadkiem furmanek. Momy iś dali, a tu ani kosycka ani gąsiora co go Sośniok przy sobie postawił, nimo, jak zeby sie w ziemię zapod!

— Kwała Bogu, kumotrze, godąm Sośniokowi, zeście sie jus tego niescesnego gąsiora podzieli, bo kto wie wiela jesce niesceścio mielibyście przyniem i moze jesce gorsego jak dotychcos, nic se stego nie róbcie, pódźwa obeźreć ten Kraków. Mama iś dali, a tu jedzie jakiś dziwostwór pełny ludzi a zwoni: deń, deń, deń! deń, deń, deń! i stanął. Nie pytołem sie jus nikogo, co to je bom se sąm przecytoł co było na niem nadurkowane ze "Kunerol". Pytam sie jednego gorola co sie z łapkami na mysy kręcił pomiędzy państwem i okrutniem sie ucieşył zem swójego na obros i podobieństwo boze cłeka uźrał w Krakowie.

— Bie jacy kandys ten "Kunerol" jedzie i cy mozno sie na niem psejechać?

— Do renku psed sam kościoł Panny Maryje, mozecie siadać gazdowie ino se biylety kupcie, odpedzioł nąm uciwie ten nas ki cowiek i posek.

— Biylety jus moma kumotrze, to sidojma do tego "kunerolu".

— Jo nimom jus tego biyletu, godo Sośniok.

— Je kadyzeście podzieli?

— Awzion mi go tam w tej sieni jeden co wszyśkiem co przyjechali odbiyroł.

— Oj kumotrze cegoście tacy niepostrzezoni, pocoście dali se jacy biylet odebrać, patrzcie jo zaś swój mąm i niedom nikomu choćby mi kcioł wydrzeć heba jacy zeby mi piniadze wrócił. Zacem godołem do kumotra, "Kunerol" zadeńdoł trzy razy i pojechoł!

— Toście narobili kumotrze, gąsioraście stracili, biylet tes, jesce siebie abo dusę, zgubicie kady w tem Krakowie i po zostane sąm jak palec. Moma iś jus kady a tu jedzie na nase scęście drugi taki sąm "Kunerol" i znowu stanął.

— Siadojmy kumotrze, jo biylet mąm, to moze sie nam jacy udo obiema na ten biylet pojechać. Siadli my do tego "Kunerolu" co jesce cudniejsy był jak kolej, bo dysel to mioł na dachu a musioł go pewnie sąm djobeł za ten dysel ciągnąć, choć go widać nie było, ale ogień mu sie co kwila z pyska błyskoł. Jakiś kaprol w rogaty capce przysed ku nom i godo:

— Biylety!

Podałem mu swój biylet, a on ciepnył tem biyletem z "Kunerolu" do pola, wytargał taką cyrwoną kartecke z ksianzecki doł mnie, kumotrowi i kozoł se po trzydzieści grosy zapłacić. Juzem sie nic nie sprzycoł nie udrowoł, bom sie przekonoł, ze to w Krakowie nadarmo i zajechaliśmy tem "Kunerolem" jaze przed kościół Floryjański a jechalima, przez Marjacką bramę. Kościół Maryjacki to ma dwie wieze, okrutecnie wysokie, ale jedna drugie telo większo! Jak sie pożry ze ziemie na wieszołek tej wiezy, to sie w gowie mąci i strach cowieka zbiero, jakby spod z tej wiezy, boby sie w ziemie zapod abo na kawołki

ozbił W tej wiezy to co godzina trąbi jeden muzykant cy tes gro, nieuwozołem dobrze, taki kawołek piekny co sie nazywo rejnąm hej.

Weśli my do tego Maryjackiego kościoła. Jak tam jes w tem kościele, to wam jus jacy niepotrefie opedzieć! Kto wie cy nie piykniejsi jak w niebie. Gwiozdy w niem świecą jak na niebie, świentyk, janioło rozmajtego gatonku, Matkę Boską jakoby cowieku kcioł tako jest w tem kościele po ścianach namalowano.

O wielkiem ontorzu to wom jus ani jednego słowa nie powiem, bo mój grzysny język i geba nie jest godno tego, zeby o jego cudownej ślicności opedziała!

Z kościoła Panny Maryje poślimy z kumotrem do sukinnic. Rety cuda, co tam nie jest w tyk sukiennicach co ino zywnie dusa zapragnie! I kiełbasa i zygarki, przerozmajte ciostka i złote pieszczonki, łańcuski i ciupagi i mydełka do wąchanio i spyrka i mostrancyje złote i sklep co w niem piniądze sprzedają, nie wierzycie? Sumiennie jak Matkę Boską ukrzyzowaną kocham wszystko i wszystko co ino na świecie, w tyk sukiennicach jest do oglądanio w oknach a do sprzedawanio w sklepach. A jes tes tam w tyk sukiennicach na piersem piętrze w ziemi, tako poduzno stancyjo, dlo wygody lo tych, co nie ino słowem bozem ale i chlebem zyją.... Ale kto z ludzi na tem świecie samem słowem bozem zyje heba jacy ociec świenty! Na wsi moi piekni, to godają, ze jak se kto pościele tak siewyśpi, ale w Krakowie oprócz tego, jak se kto jacy zapłaci tak sie z przeproseniem w tych sukiennicach wypoządzi! Sąm tam w tej poduznej stancyi takie safy porobione piersej, drugiej i trzeciej klasy, na jaką kogo stać. Zakciało sie nąm obiema na ros z Sośniakiem, co za scęście. Wleźli my do tej stancyjne na piersem piętrze po schodach na dół jak do piwnice i dziwujęmy sie naprzody, ze na taki śpetny ucenek, tako stancyjo o porcelanowyk ścianak, śklem nakryto, i taki pół pana pół dziada, ludziom posługę cęni, niby jaki akusier jakby kto mioł zatwardzenie.

Jakos se ty kumotrze klasę bierzes, pytam Sośniaka.

— Cy jo wiem, kumotrze, cy jo wiem, cy j....

— No, moli kumotrze sie namyślojcie, bo sie mi okrutnie śpiesy....

— Moze trzecią kumotrze, godo Sośniok, bo natańso, ino osiem grosy.

— Je co godocie kumotrze, weźmy se piersą, bo scemze by my sie we wsi pokwalili a po drugie kto wie cy jus drugi ros bedziemy w Krakowie.

— Kiedy mąm mało kumotrze dutków, jak mi braknie?.... Weźcie se piersą klase a jo trzecią!

— O nie kumoterku, to jo wąm jus zapłacę, zafonduję piersą klasę ino sie nie śpiescie, tak z pół godzinki posiedźcie!

Ten niby jacy pąn niby dziad, doł nąm po papierku i poślimy z kumotrem kozdy do swojej safy piersej klasy. Nie bedę wam duzy spowiadał, jak tam jes śpekulatnie wszyśko w tej sofce zrobione, zeby móg śniej jeś we święnto, tela wom ino powiem, ze po wszyskiem, jagem wstajoł, chyciłem sie takiej rącki na drucie zeby lecy wstać a tu jak horkła woda, tom sie jas przeląk i porwała z miski wszyśko zem nie widzioł co, jakie i wiela tego było!

— Siodem se jesce i siedze dali, bo my sie tak z Sośniokiem umówili. Za kwandrac moze niecały puko do mojej safki piersej klasy ten akusier i woło:

— No, ociec, co jes z wami cyście sto metrów liny zjedli tak długo sie kramarzycie!

Nie zgniewołem sie nic o to na tego ćwiortkę pana ćwiortkę dziada, zapłaciłem mu za siebie i za kumotra, jesce dwa grose trengla doł i pośli my do miasta.

— Kaj teroz udomy sie kumoter — pytom sie Sośnioka.

— Bie cy jo wiem kaj mie poprowadzicie kumotrze, boście ta mądrzejsi, jo wszędzie pudę za wami, ale mozeby my siedli kany i pośniodoli bo mie mgli jakoś kumotrze.

— Ao mocie suśnie kumoter — godąm i siedlimy se na schodak przy sukiennicach zarosinek. Zjedlimy co nam ta baby nasykowały i uradzili iś na zamek. Idziemy od sukiennic i mom sie spytać kogo o drogę na zamek, a tu patrze, co za figóra jakoś okrutecno opasana łańcuchem od hamowanio a moze jesce grubsem. Cytąm a ten cowiek wielgoserny podpisany na dole: Mickiewic. Zarozem przysed do gowy co to za jeden, bom nawet cytoł książkę co on napisoł o świętem Tadeusie cy Patrycyusie, bo jus dobrze nie pamiętom.

— To widzicie kumotrze jest planeta Mickiewic. Umar w Turcyi, ale go tam pochować nie kcieli, zeby dysca nie sprowadzoł. Przewieźli go do Francyje ciągle ino lało, dysce i dysce, tak go kozali Francuzi polokąm wziąś do Krakowa. Pamiętom ten rok jak go przewieźli do Krakowa, to calusieńki rok lało i lało w Polsce, ze wszyśko zboze źrosło a zimnioki wygniły do imentu. Dopiro jak naród polski zrobił składkę — postawił mu tę figurę co na nią patrzycie kumotrze, dysce ustały i tak ino co prawie leje.

— Jak wy to kumotrze wszyśko dokumentnie wiecie, dziwowoł sie Sośniok. Ja jakbem tak bez was był w Krakowie, tobem copkę zjąn, przezegnoł sie i klęknył przed tem płanetąm, bo bem myśloł ze to jaki cudowny święty.

— Świętem ta jesce nie jes, kumotrze, ale mu niedaleko do świentego, bo jak juz ma nad chmurami wodzę, dysce sprowadzoć, to ino mu jakiego cudu brakuje, zeby sie na przykład sam obrócił gębą do sukiennic a juz go ociec święty koze w kalendorz za świentego zapisać.

Spytali my sie kady sie idzie na Zamek i poślimy na dół ulicąm dugąm, syrokom a bogatąm ku zomkowi. Kumoter co sie ale nijak nimog przyzwycaić chodzić w butach, remsnął tworząm na gębę i rozbiył se kinol ze sie mu z niego krew ciorkiem puściła. Kady ino jakie państwo było w Krakowie zleciało sie wszysko patrzeć na to kumotrowe niescęście.

Obstąpili nas naokoło, ze jaze "kunerol" co właśnie jechoł, musiał stanąć. Sośniak sie cały przed sobąm wylakierowoł tem cyrwonem lakierem z nosa. Przelecieli policyjanci, zaceni ozganiać tę kupę cie-

kawego państwa, na nase niescęście dwóch polcyjantów powstali na nas okrutecnie, ze robiemy bijatykę, lawantury w mieście Krakowie i kozali nam iś ze sobą po "Telegraf".

— Ha, jacy, panie kaprol — godąm — jak pod telegraf to pod telegraf, kazę zatelegrafować do Sośniokowej, zeby sie bardzo nie trapiła co se jej Wojtek nos na krakowskij ulicy jak sie wykopyrtnął, ozbiył.

— Jak to? — godo kaprol od polcyje co nas prowadził, to wyście sie nie pobili tylko sie ten gazda przewrócił i nosa sobie rozbił?

— Ba jakos a jakze pąn kapral myślał, ze my siebili?

— A to idźcie — godo kaprol od polcyje, — gdzie macie iść, a uważojcie byście sobie nóg nie połomali. Ocharuzyłem jagem móg onucką Sośnioko z posoki i poślimy na zamek.

A psenojświętso hostyjo. Tam na tem zamku jesce większe cuda, dziwy, świętości, relikwije i inse ciekawości jak u Panny Maryje! Ale mój język grzysny za krótki, zebem wom to wszyćko co tam je na tem zamku, opedział, o tam królów, królowych, biskupów łezy pomarłych, to jas strach! Król Kaźmiyrz wielki (trochę moze, ale nie wiela większy jak jo), ten co to ze zydówką na wiarę siedzioł, tes tam lezy. Król Popiyl, co go pono mysy zjadły ten lezy, ale mnie sie nie kce wiezyć, bo jak go mysy zjadły, to jakze moze na zamku lezeć? Jakoś przezdrada cygaństwo w tem być musi. A kapliców róznych co jes to wiency jak na kalwaryji! Trzeja by pół roku casu, zeby wszyśko obeźryć! Ale mnie było pilno do tego księdza a nikam zadnego nie widzioł, zeby sie spytać. Uźrołem kościelnego co sed przed kościoł, tak migąm jacy na niego zeby sie spytać, ale on idzie, nic se z tego nie robi, ze na niego migąm. Tak zawołałem:

Panie kościelny! panie kościelny! a kaj tu jes ten ksiądz od spolacy?

Stanął ten kościelny i pyto sie:

— Od jakich spolacy?

— Oną od takich co to komu chałpę, stodołę spolą a on ma włodzę od biskupa zeby ozgrzysyć,

— A cyście wy spolac ociec?

— Cóż panu kościelnemu do tego, cym spolac, to moja rzec ino mi powiedzcie, kaj ten ksiądz od spolacy jes, bo mam interes pilny do niego.

— Nima tu takiego księdza, gupi gorolu, — ofuknął mie kościelny i polecioł do zakrystyje.

Nie sukołech jus wiency tego księdza, ani sie pytoł o niego, nima to nima, pudę na Kalwaryją we Wniebowzięcie, to się z tem śterdziestoletnięm grzychem załotwie, niech go ras jacy debli wezmą, bo jakby nas obu razem wzieni, to by było słono z mojąm dusąm.

Jest tam jesce na tem zamku na ścianie pod dachem zawiesone takie ziobro z cowieka wielkoluda, co jesce przed potopem świata zył. Jaki ten cowiek musioł być wielki, kiedy jego ziobro, powiadam wam jacy, jes takie jak wielko ołupiono sucho wierzba. Wiedział Pan Bóg co robi, ze ludziom ubroł miary, bo taki wielki chop, baba jak byli te wielkoludy dzisiojby jacy nie wyzył. Jak by jem przysło na jedne portki trzysta łokci pótna kupić, a na spodnicę osiemset łokci, putora korca ziemnioków zjeś na śniodanie, krowę na jedno pojedzenie, toby ładnie jacy wygospodazyli!

Ze zamku krakoskiego, poślimy do miasta zjeś jaki obiod. Patrze sie na jedny kamienicy napisane, kawa, arbata, bilard.

— Cóz bedziemy kumoter jeś? — pytam sie Sośniaka.

— Co ta kumotrze miarkujecie, jo sie na was zdaje na was smak.

— Tu pise na ty tablicy, ze jest oprócz kawy, arbaty, piwa jesce jakiś bilard. Jiedliście kiedy kumotrze bilard?

— Jak zyje, jesce nigdy! — godo Sośniak.

— Jo tes nigdy nie jad, pódźmy kumotrze na ten bilard.

Wleźlimy jacy do tej gorkuchnie, gości ino porę, tak my se siedli przy jednem próznem stoliku, pozdejmowali kapeluse, bo wszyscy z gołemi gowami byli goście. Przylecioł zaros jeden jakiś fiercyk z kawołkiem pótna na ręce zawiesonem i pyto sie co se zycęmy.

— Prosę dwie porcyje dubeltowe bilardu postnego, bo dzisioj piątek. Fiercyk ten smioł się jak grzyśnik kiedy go jus śmierć imo za ksztoka, ale jakiś pan gruby jak kandyba, mrógnął na niego ocami, tak nano posed po ten bilard. Za kwilę, przynosi na misce jednej i drugiej po śtyry kulki okrągłe cerwone, białe i postawił przed nami.

— Świezy panocku bilard? — spytałem sie.

— Świeziótki —odpedzioł fiercyk.

Wzionem jednę te gołkę, powąchał, palicami pomiękoł, ale twarde było jak z kamienia. Aha! myślę se, bedzie pewnie skorupa grubo a w środku coś smacznego. Wyjonem kozik z kiesęnie i pukom zeby dziórkę wybić, a kumoter tes tak samo co i jo robiył.

Pukomy, wiercęmy nozami do tyk kulek, nicego sie ale niemogemy dowiedzieć jakie to jedzenie będzie. Próbujemy i zębami, tes nic, ani smaku, ani jądra, ani jajeśnice nimogemy sie w tych kulkach dosukać. Jaz mie złoś porwała, bo temu grubemu panu co se gębę rękąm zatkoł, tak sie brzuch okrutnie trząs, jaz mu łańcusek od zygarka na brzusysku zbyrcoł. Zrozumiołem ze sie z nas śmieje, tak wynyłem tąm kułkąm na podłogę ze złości i ryknął:

— Weź, se pan i zeźryj sam! te smoce cy djoble jojka! Jak gruchnęli śmiechem wszyscy goście, to jas sie gorkuchnia zatrzęsła, a ten gruby pan z brzuchem jak kandyba, to jas sie przewrócił na kacanapę i śmioł jak ogier!

Jo sie zerwoł na nogi huknął pieściom w stół i ryknął:

— Niek was wszyscy debli wezmą. Wypodem a za mną kumoter na ulicę. Poślimy ku jednemu kościołowi, pewnie to był jacy kościół wsytkich świętyk, bo ich kilkanaście na polu stało, co sie nimogli w kościele pomieścić, siedli se na schodach przy tem kościele i chycili sie jeś tego co nam nase baby na drogę dały, bo sie nam odechciało tyk krakoskich marcepanów debelskich. Zafundowali my se godnie, napili sie wody sądowej, co je jeden w takiej budce na

tragacu sprzedawoł i pośli my dali zwiedzać ten Kraków. Idziemy a na jedny kamienicy porozlepiane jakieś cudacne, przeraźliwe obrazy i fortografije a złotemi luterami napisane "Kino-Wanda".

— Podźmy kumoter na te "Kinowandę", tam będą jakiec ciekawe kumedyje, bo ludzie idą jak do kościoła.... Zachodzemy, a tam siedzi w jedny budce panna przy otwartem okienku. Nad okienkiem wydurkowane duzemi literami "Kasa".

— Wiecie co, kumoter, tu kasę sprzedają! Ciekawym jak tes drogo, zeby my tak wzieni choć po dwa kilo na obiod w niedzielę na skrzepę ja przyjedziemy akurat w niedzielę na rano.

— A to sie spytojcie kumie, boście ta śmielsi, godo mi na to Sośniok. Tak sie pytam rzetelnie:

— Jak to tę kasę panienka sprzedaje na kila, na fanty i po kielo?

— Jaką kasę, co wy ociec mówicie?

— A dyć co panienka gupią udaje, kiedy jes wydurkowane wyraźnie ze tu jes kasa.

— Tu sie sprzedaje bilety do kina, gazdo! — godo mi panienka.

— Aaaa? — zadziwołem sie.

— A cyście to, gazdo, nie słyseli — godo ta panienka — nigdy o kasie?

— Kam ta panienko nie słysoł, jest u nas w Jerdanowie kasa podotkowo, kasa powiatowo, ale tu napisane ino "Kasa" tak jo myśłoł ze kasę jaglaną panienka sprzedoje.

— No toście sie pomylili ociec — godo panienka — ale sobie kupcie bilety, uźrycie cudowny dramat w kinie.

— A duzo taki bilet kostuje?

— Złoty, dziesięć grosy.

— Ano to niek jacy panienka do dwa te bilety, pudziemy obeźreć te cudowne gnoty cy jako to tam panienka powiedziała.

Kupili my te biylety i weśli do takiej straśnie wielkiej izby, w której było tyla krzeseł co dni w roku, a moze i wiency! Patrze ale nijakich kumedyji nie widzę ino biołą łoktuse na ścianie, tako samą jakąm sie moja baba w Wielkom niedzielę do kościoła odziywo. Światła sie ino duzo w ty izbie świciło. Jednąm raząm ciap! i światła pogasły. Jednąm raząm patrzę sie, a tu na tej łoktusy widać pudełko pasty ogromne ze zabąm takie same jak nas leśnicy kupuje na kamaski świarcować! Mig! i znowu na łoktusy kapelus cylinder, znowu mig! i jakoś modno hadra i kapelus jakie panie nosą. Znowu mig! i cykoryjo na łoktusy. Tak migają for dali, to mydło, to flaski z gorzołkami cy winem, bom nie kostowoł a jak znowu migneli i pokozali parasol, taki zwycajny parasol, jak ten co ta baba na Sośnioku w kolei połomała, zgniwołem sie i krzyknołem gośno:

— Azeby was wszyścy debli wzieni za mój złoty i za takie kumedyje!

Zrobił sie sarwach, wszyscy sie zaceni na mnie oglądać, śmioć sie, a jakiś pan przylecioł ku mnie i kcioł mie wyrzucić do pola, alem sie nie doł i godam temu panu, ze jak wszyscy puda, to i ja pudę.

— Siedź hamie góralski cicho, — przygroził mi ten pan i zgrzytnął na mnie złotemi zębami....

Patrzę sie a tu na tej łoktusy izba, prowdziwo wielko izba a w niej stawiają zywe ludzie stół, krzesła, panowie i panie siadają na tych krzesłach. Cary cy co, sepnąłem do kumotra. Patrze sie a tu idzie taki sam, jak ta bestyjo c onam bilard przynios w gorkuchni i niesie talize ze ścierwem piecęniami, stawio na stole, a to państwo źreją jaze się jem usy rusają. Tego mi jus było za duzo, bom przecie krześcijanin katolik, a ci w piątek piecenie, kiełbasy i inse mięso źreją. Wstołem i godąm:

— Ludzie! cyście heretycy, cy niedowiarki, ze takie świentokradztwo robicie o drudzy na to patrzycie! Uciekojmy kumotrze stąd bo tu Sodoma i Kumora! Ten pan ze złotemi zębami co mi przody nachamował, lecioł jus ku mnie, ale ja drapnuł a kumoter za mną do pola!

Uciekli my z tego kina, z tej Sodomy i Kumory i powiedzieli my se ze jus nikaj nie pudziemy, ino pokupiema co bedziemy mogli na pamiątkę z Krakowa i na kolej, zeby sie sceśliwie do swoich dostać. Coś mie pikło, macam kieseń pod pazuchąm, a tu prózno!.... Pulares skórzany, co mi go Korpała z holewy usył, przepod z mojemi piniądzami! O małom se gowy o mury Krakowa nie ozbił.

— A wy macie kumoter swoje piniądze?

— Mam, ale ino coś pięć złotyk, bom se rachowoł, ze od was pozycę, jak mi braknie.

— Co pocniemy, co pocniemy kumotrze teros, to lo jednego mało na kolyj.

Zamyśłołem sie i myśle, myśle, nareście godam:

— Pódźcie kumoter zemnąm! Znalozem sklep zelazny, kupił za te pięć złotyk drutu kółko, dwa arkuse blachy, obcęgi i śli my z kumotrem i ślimy chałpa od chałpy wieś za wsiąm garki ludziom drutowali, łotali, a za dwa tydnie jak sie nąm drut i blacha skończyły, byliśmy ju naprzód w Boskiej a potem we swojej wsi i chałpach z kumotrem Sośniokiem. Piniądzami co my zarobili jacy na druciarce zetelnie sie podzielili, dostało sie nam po siedemdziesiąt pięć złotych i trzydzieści dwa grosze. Kraków my obeźreli i jeszcze zarobili na tem setnie, ale jacy jus bem drugi raz do Krakowa nie jechoł, choćby sie w niem Matka Najświętso objawiła!

Lipiec 14, 1925

Jantek z Bugaja.

Podstepny doktór

Doktór: — Pokaż mi język, chłopaczku!

— **Właśnie**, żeby mi mama potem w skórę dała!

MIŁOŚĆ I ZAWÓD

Miłość i zawód — przyjaciele,
spowici złudzeń tęczą,
goryczy ci przyniosą wiele.
Miłość i zawód — przyjaciele,
rychło stargają ci wesele
i marzeń nić pajęczą.
Miłość i zawód — przyjaciele,
spowici złudzeń tęczą.

Zofja W.

Stanisław Maykowski **NA MOSCIE** Z cyklu "Zmierzchy"

Ta woda rzewna, śpiewna,
Co w łozach się kolebie,
Wciąż woła mnie do siebie,
Nie puszcza mnie od siebie.

Jej rozgwar łożny, groźny,
Jej pojęk ołowiany
Wciąż słyszę rozśpiewany,
Mam w sobie rozśpiewany.

Wciąż snowa się jej mowa
Omdlała, mdła, kaleka
I wzdycha wciąż, wyrzeka
Ta smętna, mętna rzeka.

A ja w jej gwarze marzę,
Przelewam serce w fale,
Drzę łozą ociężale
I smucę się i żalę.

Wpatrzony w wodę, wśniony,
Na moście cichym stoję,
Podemną fale płyną
I płyną myśli moje.

I płynie skrycie życie,
Zmienione w oną rzeczność,
W wód płynną niedorzeczność,
W mych żalów niedorzeczność.

W wód patrzę gony, zgony,
We fale te tułacze,
Któremi rzeka płacze
I serce moje płacze.

Te rzeczne łzy się leją,
Wciąż płynne i wciąż inne
Raz cichną, raz szaleją,
Lecz wciąż się włoką, leją.

I drożne, choć bezdrożne
W wód głuchym mkną szepocie,
W bolesnej fal szklanocie,
W swych i mych łez szklanocie.

A rzeka, straszna rzeka
Wciąż wije się i mija,
Ochrypła z jęków, buntów,
Jak serce me niczyja.

Klnie pędy swe, rozpędy,
Chce wcalić się w coś wtrwalić,
Alić, jak mnie, jej jeno
Wolno się skarżyć, żalić.

Nie stanie, nie przystanie,
Lecz w szklistej fal powłoce
Wciąż mękę swą bełkoce
I bunt mój wciąż bełkoce.

Jej pasma pędzą, zrzędzą
Swą z fali tkaną przędzą
I płaczą nad swą nędzą,
Nad swoją-moją nędzą.

A gdy mnie miną, giną,
Jak ginę ja sam sobie,
A nowych fal tłum płynie
W łzach po mnie, w łez żałobie.

Nad smugą wód tych długo,
Za długo trwam na warcie,
A one płyną zwarcie,
Uparcie, nieprzeparcie.

I choć mijają lata,
Minęło ich już tyle,
Ja nad tym jakimś mostem
Wciąż się pochylam, chylę.

Choć się osunął, runął
W fal płynne nieukoje
Ten jakiś most młodości,
Ja na nim wciąż trwam, stoję.

Aż w tłumie łóz, w fal szumie,
W wieczystej fal żegludze
W poranek raz się zbudzę,
Mą duszę-falę zbudzę.

I poprzez fale w chwale,
Własnemi sny upojny,
Pozdrowię śmierci dale:
Mój ocean Spokojny.

Maciek Bzdura Gada na Rok Pański 1926

Ekstra specyjalnie pisał do mnie Pan Redaktor amerykański bardzo pilny list, który ino półtora miesiąca sed i jechoł do nasej wsi na poctę. Na tej nasej poccie tydzień lezoł znowu ten list do mnie, przywalony na samem spodku gazytami, zaś listonos nosił go półcwarta dnia w torbie, wyjmowoł i wąchoł go, cy jes z dolarami. Scęście jego (listu, nie listonosa) ze nie śmierdzioł, nie pochnył, ten list ani jednęm dolarem, tak go przynios listonos do nasego wojta. Wojta nie było, bo posed z urzędem gminnem na konwisyją, jako Boyrdoń Kocąbowi przyoroł miedzy jaze na dwa palce seroko. Listonos oddoł mój list ciepłąm rękąm do zbabranych rąk wójtowej, bo włośnie wtedy placek na nieckach miętosiła a wójtowo przykryła tem mojem listem gorcuś porcelanowy z miodem w sofce, zeby muchy miodu nie wylizały. Za tydzień jak mój sąmsiod Śperuda posed po paśport na bycka, wojt mu doł ten list, zeby mi go doręcył. Śperuda, zamyślony o bycku, o jarmaku w Skawinie i co za bycka weźmie, co kupi zabocył se o mojem liście w kieseni pod pazuchą i dopiero za tydzień, jak Śperudzino kabot Śperudzie łotała, list znalazła i przyniesła do mnie. W liście tem pisoł mi Pąn Redaktor zebem napisoł co ekstrownego do Kalendorza Związkowego, bo pise mi Pąn Redaktor, jak nic Maćku nie napises to Kalondorz bedzie jak wesele bez muzyki, abo muzyka bez weselo. Pisoł mi jesce Pąn Redaktor, zeby i moja Kaśka napisała jakie powinsowanie, jak łońskiego roku, ino lepse do tego Kalendorza. I pisoł mi jesce Pąn Redaktor, ze pewnie mie Kaśka tak kocho, ze o całem świecie a nawet o "Dzienniku Związkowem" zapomniała, co małoco daje znać o sobie. O! pomyślołem se, jagem to przecytoł, bluźnis tes to Panie Redoktorku, ze mię Kaśko kocho. Niech ta Pąn Bóg Poniezus Mogilański i Matko Bosko Częstochowsko ratuje i zachowa od takiego kochanio, jakie jo mąm od Kaśki! Zabocył se pewnie Pąn Redaktor o tem, jak sie Kaśka zemną obesła, kiedym w lecie zastrejkowoł na swojem włosnem gospodarstwie, lezołem w stodole a ona jucha urząd gminny na mnie wyprowadziła. Tydzień potem chodziłem cerwony na gębie od wstydu co mi go narobiła. Stakiem to kochaniem Panie Redaktorze i Wy Cytelnicy Kalendorza, jak mie Kaśka kocho! Kiedy Wisła wyloła i woda zacena włazić do nasego jęcmienia, ziemniaków i kapusty, to pyskowała na mnie, ze niek Bóg zachowo jakim jes chop, co wodę z Wisły puscom do swojego pola! Miołem jus, co mi tak łeb susyłą, zdjąć drzwi od stodoły, siadnąć na nie i Wisłąm do Gdańska jechać a w Gdańsku sie przezegnać i przez morze do Ameryki. I kto wie cybem jus dzisioj nie wylądowoł na tych drzwiach ze stodoły w Ameryce, alem sie ozmyśloł, bo jak zacena woda rypać do izby a Kaśka co gotowała śniodonie, ugiena spodnicę po kolana, bo tela juz wody narypało. tak jej godąm: :— Widzis! pyskowałaś na mnie, com za chop, gospodorz, co wodę do pola puscąm, a tyś co za gospodeni, co ją puscos do kuchnie, ze jus mas po kolana przy piecu. Jak dobrze pujdzie, godąm Kaśce, zeby ij dokucyć, to ci sie jesce kańdzi wody naleje, bo jus niedaleko do tego. Takie jes moje kochanie z Kaśkąm za zywota, a po śmierci nasej, ani takiego nie bedzie, bo co ta za kochanie dusy z dusąm, jak ciała niemają.

Do Kalendorza Związkowego, com móg tom zryktowoł, a nawet zrobiłem niespodziankę Panu Redaktorowi i Cytelnikom, bo wiersem wszystko napisołem. Jagem te wierse pokozoł nasemu wsiowemu połecie Jantkowi z Bugaja, to mało wiela co poprawił. Na basie, ucyłem sie u Pitwoły ino przez tydzień groć i jus umiem, ze mi bas nie tak gro ale godo a wiersy robić tom sie ino przez dwa wiecory ucył u Jantka z Bugaja. Ciekawiście pewnie Cytelnicy i Pan Redaktor, jak mnie Jantek z Bugaja ucył na połetę, to Wom musę powiedzieć. Kozoł mi Jantek z Bugaja godoć po jednem słowie a on mi zaros do niego drugie wiersem pasowoł. Azebyście lepi zrozumieli to Wom podam tabelkę, któro sie Wom może przydać:

Jo powiedzioł:	Jantek odpowiedzioł:
Bzdura!	Fura, kura, dziura, chmura.
Olej!	Kolej, dolej, soli goli!
Masło!	Jasło, trzasło, mlasło!
Żyd!	Wstyd, cyt, głyt, zgrzyt!
Ksiądz!	Mosiądz i miesiądz!
Babka!	Zabka, jabka i kanapka!
Baba!	Zaba, słaba, Raba!
Bestyjo!	Kwestyjo, chces ty ją!
Polak w biedzie!	Po lak idzie!
My syjemy!	Mysy jemy!
Kiełbasa!	Hop sasa, jest nasa!
Śmierć!	Wierć, ćwierć!
Zydka rabin niesie!	Zyd karabin w lesie!
Amen!	Jantek podrapał się w gowę i nie nie powiedzioł.
Kaśka!	Baśka głaska Jaśka!
Oj nima to jak Maryna!	Niek ją weźmie holeryna!
Nie tropcie sie dziadku!	Z wielkiego podatku!
Jantek faja!	Maciej baja!
Jantek z Bugaja!	Całuj go w....!
Jantek stary!	Maciek kary!
Jantek gupi!	Maćka łupi!
Jantek smoloż!	Maciek wolorz!
Jantek kpiorz!	Maciek wsorz!

Jak my se tak zaceni poetycznie z Jantkiem dozyrać coroz bardzi, Jantek dostał takiego natchnie-

nio, ze mie klasnył w mordę, jo mu wrócił to samo i zacenimy sie bić, na gęby, zęby, facać macać i przewracać i za syje, jak bestyje, dusić, krztusić i tak dali, jazże my sie zmordowali i zdyseli przeokrutnie, wywalili wodę z putnie! Scęście boskie, ze moja Kaśka wtrąciła się pomiędzy nas i ozerwała z kupy, bo kto wie, heba jeden Pan Bóg, jak by sie ta pierso lekcyjo moja na płetę skończyła. Druga lekcyjo i ostatnio posła lepi i zgodnie, bo my juz takich ostryk remów nie ćwicyli i Jantek z Bugaja, przezegnoł mie, pobogosławił na połetę, ze jus mogę wierse pisać, godać i śpiywać. He, he! jak sie wezmę do pisanio, do robienio różnych wiersy, to Jantka z Bugaja moze nie, ale tych róznych zydoskich "futudrzystu" przebierę i nogrodę Nobla zdobyć musę, zeby djobeł na djoble jeździł! Nie tako znowu trudno rzec naucyć sie na połetę, jo nawet wole zrobić dwa wierse, jak jedne sanie, abo portki na kolanie załotać! Zrestąm co dobre to sie samo kwoli, jak przecytocie moje wierse w Kalendorzu Związkowem, to sami Cytelnicy wyrok na mnie podpisecie, cym jest połetom na prowdę cy tes ino takiem klajdohąm.

J. z B.

SZTUCZNY WIERSZYK NO. 1

Maćka Bzdury

(Forma wierszyków No. 1, 2 i 3 zastrzeżona przez Maćka Bzdurę)

Siekiera	Holera
Motyka	Kaleka
Witka	Brzydka
Wiara	Stara
Faja	Moja
Mąka	Żonka
I pierzynka	Katarzynka

J. z B.

SZTUCZNY WIERSZYK NO. 2

Maćka Bzdury

Gazeta	Kobieta
Poranna	I panna
Z wtorku	Florku
Środy	Młody
Czwartku	Bartku
Piątku	Jontku
I soboty:	Da z ochoty.

J. z B.

SZTUCZNY WIERSZYK NO. 3

Maćka Bzdury

Panowie	W Krakowie
Sukienki	Panienki
Wiszące	Kwitnące
Na sznurze	Jak róże
I czyjejś	Lilje
Kochanki	Sasanki
Majteczki wyprane!	Jabłuszka rumiane!

J. z B.

KROWA I JASKOŁKA
II.

Prawdziwa bajka Maćka Bzdury

Raz w niedzielę po połedniu,
Wziąnem pod gowę poduskę,
Azeby się trochę przespać,
Posed do cienia pod gruskę.
Legł do góry brzuchem w cieniu,
Lec nie przysło dugo spanie,
Bo mi sieroiło w gowie,
Przerozmajte rozmyślanie.
Ponademną z błotem w dzióbkach,
Latały ciągle jaskółki,
Co se gniazda murowały
Popod strzechą mej stodółki.
Hm, hm, myślę cemuś Boze,
Coś tak mądry, doskonały,
Nie dał skrzydeł krowom, koniom,
By se w powietrzu latały.
Byłby widok to wspaniały,
Takie zywe auroplany,
Niebardzoś to mądrze zrobił,
Wierz mi Boże mój kochany.
Na skrzydlatej mej kobyłce,
Jakby mi to było mile,
Leciołbym se do Krakowa,
Calusieńkie štery mile.
Jak tak przeciw Bogu myślę,
Spadło na nos coś ciepłego,
A to ciepłe wiecie było,
Z pod ogonka jaskółcego!....
Otarem nos, godąm sobie,
Ośle z ciebie Maciek gowa,
Jak by ci to co jaskółka,
Spuściła z powietrza krowa?
Narobiła by ci Maćku,
Zacem byś zmył te powidła,
Tobyś musiał spotrzebować
Calusieńkie kilo mydła.
Z tego wiersza cytelnkom
Tę moralnoś złotą daję,
Niechaj w myślach przeciw Bogu
Cowiek nigdy niepowstaje!....

J. z B.

GŁUPIE PYTANIE

— A tobie znów kto tak w kratkę
Twarz podrapał całą Janie?!
— Czy nie wiesz, żem jest żonaty....
Po co głupie to pytanie?!

J. z B.

Zgoda

"Wybacz za spaloną pieczeń!" —
Rzekła do mnie naraz drżąca —
"Sądzę, całus ci wystarczy.
Zawiniła tu służąca"...
Popatrzyłem na nią czule,
Człek zgodliwy jest ogromnie,
Wreszcie rzekłem: "Zgoda, duszko,
Przyślij ją więc zaraz do mnie!"

(Znaleziony rękopis)

Gospoda pod "Dwiema Wiedźmami"

Napisał Joseph Conrad (Korzeniowski)

Powiastkę tę, epizod czy zdarzenie — nazwać ją można, jak się chce — opowiedział w pięćdziesiątych latach zeszłego stulecia człowiek, który wedle własnych swych zeznań, miał wówczas sześćdziesiąt lat. Sześćdziesiątka to ładny wiek, szczególnie z odległej perspektywy; wówczas wywołuje w większości ludzi bardzo różnorodne uczucia. Jest to wiek spokojny i wspomnienie, jak dzielnymi byliśmy ongi ludźmi, podnieca nas, choć nie bierzemy już udziału w zapasach. Zauważyłem, że z uprzejmej łaski Opatrzności, większość ludzi około sześćdziesiątki zaczyna widzieć siebie w romantycznych barwach. Nawet wady ich nabierają uroku swoistej mocy. Nadzieje są miłemi towarzyszkami życia, zgadzam się nawet, że są czarowne, lecz są nagie, aby lżej mogły biedz naprzód. Strój pełen przepychu jest na szczęście własnością niezmiennej przeszłości, którąby bez niego skostniała wśród zakrywających ją cieni.

Przypuszczam, że to ten romantyzm, właściwy późnemu wiekowi, skłonił naszego sześćdziesięcioletniego pana do opisania tego zdarzenia, gwoli własnemu zadowoleniu lub dla podziwu potomności. Nie uczynił tego dla swej chwały, gdyż opowiada, jakiego doznał okropnego strachu, trwogi, jak sam się wyraża. Zapewne domyślicie się już, że opowiadanie, o którem wspomniałem w pierwszych wierszach, było zachowane w rękopisie.

Był to ów "znaleziony rękopis", wymieniony w podtytule. Sam tytuł jest przezemnie zaprojektowany (nie mogę powiedzieć wymyślony); główną jego zasługą jest trafność. Będziemy mieć do czynienia z gospodą. Co do czarownic, jest to chyba konwencjonalne wyrażenie i musimy wierzyć na słowo naszemu autorowi, że w tym wypadku odpowiadało ono rzeczywistości.

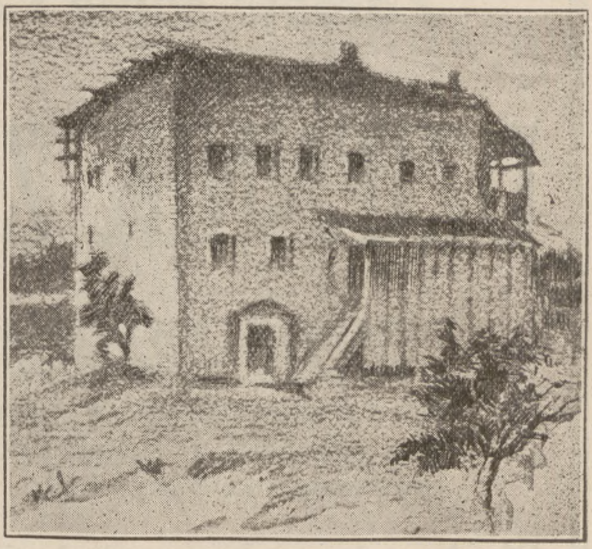
Rękopis ten znalazłem w skrzyni z książkami, kupionej w Londynie na ulicy dziś już nie istniejącej, od handlarza książek, bliskiego ostatecznej ruiny. Książki przechodziły z rąk do rąk i należały już przynajmniej do dwudziestu właścicieli; po przejrzeniu ich przekonałem się, że nie były warte nawet tej niewielkiej sumy, jaką za nie zapłaciłem. Przeczuwałem to widać, mówiąc do handlarza: "Musi mi pan dodać skrzynkę". Podupadły księgarz zgodził się obojętnym i tragicznym gestem człowieka, skazanego na zagładę.

Pokład luźnych kartek na dnie skrzynki podniecił moją ciekawość. Rękopis pisany ściśle, wyraźnie i równo na pierwszy rzut oka nie był zaciekawiający. Lecz w jednem miejscu zwrócił moją uwagę szczegół, że w A. D. 1813 piszący te słowa miał lat dwadzieścia dwa. Dwadzieścia dwa lata są wiekiem interesującym, w którym człowiek podlega zarówno lekkomyślnym pomysłom, jak i strachowi, gdyż rozwaga jest słabo rozwinięta, a za to siła wyobraźni wielka.

W innem miejscu moją rozprószoną uwagę zwróciło na siebie zdanie: "Wieczorem dobiliśmy do brzegu....", gdyż było to zdanie, zaczerpnięte z żeglarskiej mowy. "Trzeba zobaczyć, co to być może", pomyślałem bez szczególnego zainteresowania.

Och! jakiż to był nudny rękopis! Pismo każdego wiersza, równe i ściśle, było zupełnie podobne do następnego. Przypominało szmer monotonnego głosu. Traktat o rafinowaniu cukru (najnudniejszy temat, jaki mogę sobie wyobrazić) byłby bardziej zajmujący.

"W A. D. 1813 miałem dwadzieścia dwa lata", zaczyna poważnie i ciągnie dalej z przerażającym spokojem. Proszę jednak sobie nie wyobrażać, aby ten rękopis był przestarzały. Djabelska pomysłowość wynalazków, stara jak świat, nie jest bynajmniej sztuką zagubioną. Spójrzcie na telefony, niweczące tę odrobinę spokoju, który jest nam dany na ziemi, lub na karabiny maszynowe, wyprawiające nas pośpiesznie na tamten świat. W teraźniejszych czasach byle stara wiedźma o kaprawych oczach, jeśli tylko jest dość silna, aby kręcić małą korbą, może w mgnieniu oka uśmiercić setkę dwudziestoletnich młodzieńców.



Czyż to nie postęp!.... I to ogromny! Posunęliśmy się naprzód, musimy więc być przygotowani, że spotkamy się w tem opowiadaniu z pewną naiwnością pomysłu i prostotą intencji, właściwych owej zamierzchłej epoce. Naturalnie w teraźniejszych cza-

sach automobilista nie może się spodziewać, że znajdzie gdzie na świecie taką gospodę. Ta, o której mowa w tytule, znajdowała się w Hiszpanji. Wywnioskowałem to tylko z treści opowiadania, gdyż brakowało znacznej liczby kartek, co zapewne nie jest wielkiem nieszczęściem. Zdaje się, że opowiadający wchodził w najdokładniejsze szczegóły, dlaczego i po co znalazł się na tem wybrzeżu — prawdopodobnie było to północne wybrzeże Hiszpanji. Przygoda jego spodziewać po naszym autorze, że wyjaśni nam starannie wszelkie okoliczności, ale, jak już wspomniałem, brakowało kilku kartek i to z dobrego, twardego papieru; zostały zapewne zużyte przez lekceważącą potomność do zawiązywania słoików od konfitur lub na przybitki do strzelb. Lecz mimo to można wywnioskować, że część zadania korwety stanowiła komunikacja z wybrzeżem, a nawet wysyłanie gońców w głąb lądu dla otrzymania wiadomości



W przeciwległym końcu wielkiej izby dwa głosy zawyły przenikliwie: "Misericordia"!....

jednak nie miała żadnego związku z morzem. O ile mogłem wywnioskować, był on oficerem na korwecie. Nic w tem dziwnego. Przez cały przeciąg długotrwałej kampanji hiszpańskiej dość znaczna ilość naszych mniejszych statków wojennych krążyła wzdłuż północnych wybrzeży Hiszpanji; łatwo można sobie wyobrazić, jakie to było niebezpieczne i nieprzyjemne stanowisko.

Zdaje się, że statek owego oficera miał sobie powierzone jakieś specjalne zadanie. Można się było

lub przesyłania rozkazów i rad patrjotom hiszpańskim, guerillerosom, lub tajnym juntom prowincjonalnym. W każdym razie było to coś w tym rodzaju, o ile można sądzić z zachowanych strzępków tego dokładnego opowiadania.

Tu następuje panegiryk znakomitego marynarza, należącego do załogi statku na stanowisku retmana. Znanym był na okręcie jako Tom Kubańczyk, bynajmniej nie dlatego, aby pochodził z wyspy Kuby; był typowym angielskim marynarzem z owych cza-

sów i od lat służył na statku wojennym. Zyskał to przezwisko z powodu nadzwyczajnych przygód, jakich doświadczył na tej wyspie w swej młodości; przygody te stanowiły ulubiony temat opowiadań, które zwykł był snuć wieczorami swym towarzyszom, zgromadzonym na forkasztlu statku. Odznaczał się inteligencją, wielką siłą i wypróbowaną odwagą. Nasz autor niezmiernie jest dokładny; przy sposobności zaznacza, iż Tom miał najdłuższy i najgrubszy harcap w całej marynarce angielskiej. Ta ozdoba, o którą dbał wielce i którą chował starannie w pokrowcu ze skóry świnki morskiej, zwisała do połowy jego szerokich pleców, budząc podziw wszystkich i zazdrość niektórych.

Nasz młody oficer rozwodził się nad męskiemi zaletami Toma z uczuciem zbliżonem do czułości. Tego rodzaju stosunek między oficerem a żołnierzem nie należał wówczas do rzadkości. Młodzieniec, wstępujący na służbę, oddawany bywał pod opiekę zaufanego marynarza, który pierwszy zawieszał mu hamak, w następstwie pozostawało nieraz między nimi coś w rodzaju uczucia przyjaźni. Nasz oficer po paru latach rozstania spotkał na korwecie tego marynarza. Jest coś wzruszającego w szczerem zadowoleniu, z jakiem wspomina to spotkanie z człowiekiem, który był jego mentorem w latach chłopięcych:

Dowiadujemy się dalej, że gdy nie znaleziono odpowiedniego Hiszpana, ten zacny marynarz, obdarzony niezrównanym harcapem i szczytnym charakterem, pełen odwagi i stateczności, został wybrany dla wypełnienia jednej z tych misji w głąb lądu, o których poprzednio była mowa. Przygotowania jego nie trwały długo. Ciemnym rankiem jesiennym korweta zbliżyła się do płytkiej zatoki, jedynego miejsca, gdzie można było wylądować na tem skalistem wybrzeżu. Spuszczono łódź, w której na przedzie usadowił się Tom Corbin (Tom Kubańczyk), a nasz młodzieniec, noszący za życia nazwisko Edwina Byrne siedział na rufie.

Na wybrzeżu kilku ludzi patrzyło na zbliżającą się łódź; byli to mieszkańcy wioski, której szare, kamienne domy widniały o jakie sto jardów w głębokim wąwozie. Dwaj Anglicy wyskoczyli na brzeg. Wieśniacy tak byli ospali, czy też zdziwieni, że nie pozdrowili ich nawet, lecz cofnęli się w milczeniu o parę kroków.

Byrne postanowił doczekać się, aż Tom wyruszy szczęśliwie w podróż. Spojrzał wokoło na ogłupione ze zdziwienia twarze.

"Niewiele się od nich dowiemy", rzekł, "chodźmy do wsi. Tam pewnie będzie winiarnia, gdzie znajdziemy może kogoś bardziej wymownego i zdołamy zasięgnąć informacji".

"Tak, tak panie! — mówił Tom, idąc w ślad za swym oficerem — bez wątpienia nie zawadzi pogadać trochę o tej drodze; przecież przeszedłem Kubę w najszerszem miejscu z pomocą tylko swego języka, choć umiałem po hiszpańsku znacznie gorzej, niż teraz. Gdy mnie fregata "Blanche" pozostawiła na wybrzeżu, umiałem, jak to tutaj mówią "cztery słowa i nic więcej". •

Lekceważył sobie podróż, która go czekała; był to przecież tylko jeden dzień drogi w górach. Wprawdzie trzeba było podróżować cały dzień, aby dojść do tej górskiej ścieżyny, ale to drobnostka dla człowieka, który przebył całą wyspę Kubę na swych własnych dwóch nogach, znając tylko cztery słowa miejscowego języka.

Oficer i żołnierz szli teraz po grubym pokładzie suchych liści, które tutejsi chłopi gromadzą na ulicach wiosek, aby podczas zimy przegniły na nawóz. Odwróciwszy głowę, Byrne zauważył, że cała męska ludność wioski szła za nimi bez szelestu po elastycznym dywanie. Kobiety przyglądały im się, stojąc na progach domów: dzieci pochowały się widocznie. Mieszkańcy wioski widywali zdaleka okręty, ale żaden obcy nie wylądował w tem miejscu od lat stu, a może i więcej. Stosowany kapelusz Burne'a, sumiaste wąsy i ogromny harcap marynarza przejmowały ich niemym podziwem. Tłoczyli się za dwoma Anglikami, jak owi mieszkańcy wysp odkrytych przez kapitana Cooka na Południowym Oceanie.

Wówczas Byrne po raz pierwszy zauważył małego człowieka, owiniętego w płaszcz, w żółtym kapeluszu na głowie. To nakrycie głowy, choć zniszczone i przybrudzone, zwracało na niego uwagę.

Wejście do winiarni przypominało wybitą dziurę w kamiennym murze. Właściciel jej był jedynym w całej wsi, który nie wyszedł na ulicę, lecz wyłonił się z ciemnej głębi, gdzie niewyraźnie majaczyły wiszące na gwoździach pękate kształty skór, wypełnionych winem. Był to wysoki jednooki Asturyjczyk, o mizernych, zapadłych policzkach; pełne powagi jego obejście odbijało zagadkowo od niespokojnie latającego jedynego oka. Gdy się dowiedział, że chodzi o wskazanie angielskiemu marynarzowi drogi w górach do niejakiego Gonzalesa, przymknął na chwilę zdrowe oko, jak gdyby się namyślał. Potem otworzył je z żywością i rzekł:

"Można, można. To się da zrobić".

Na dźwięk imienia Gonzalesa, miejscowego przywódcy powstania przeciw Francuzom, przyjazny pomruk rozległ się wśród zgromadzonych około drzwi. Rozpytując się, czy droga jest bezpieczna, Byrne z radością dowiedział się, że już od kilku miesięcy francuscy żołnierze nie ukazywali się w tych okolicach; nie spotykało się teraz nawet najmniejszego oddziałku tych bezbożnych "polizones". Właściciel winiarni, dając te objaśnienia, zakrzątnął się, aby nalać wina do glinianego dzbanka. Postawił go przed heretyckim Anglikiem i zgarnął z niedbałością pełną powagi drobną monetę, rzuconą na stół przez oficera w uznaniu obyczajowego prawa, że kto wchodzi do winiarni, ten musi kupić wina. Jedyne jego oko było w bezustannym ruchu, jak gdyby miało zastąpić oba, lecz gdy Byrne zaczął się rozpytywać, czy można wynająć muła, oko to nieruchomie zatrzymało się na drzwiach, oblężonych przez ciekawych. W pierwszym ich rzędzie, na samym progu stał człowiek w szerokim płaszczu i żółtym kapeluszu. Była to maleńka osoba, istny homunkulus. Byrne opisuje go stojącego w śmiesznie tajemniczej pozie z płaszczem, zakrywającym usta i brodę, zarzuconym zawadjacko na

lewe ramię; a żółty kapelusz o szerokich skrzydłach zwisał z boku jego kanciastej małej główki; stał, zażywając często tabakę.

"Muła? — powtórzył gospodarz, nie odrywając wzroku od tej dziwacznej, zatabaczonej figurki.... — "Nie, senor oficerze! Nie znajdzie się muła w tej biednej wioszczynie".

Retman, który przysłuchiwał się rozmowie ze zwykłą u marynarzy obojętnością na nowe otoczenie, przerwał ze spokojem:

"Niech wasza miłość mi wierzy: na taką wyprawę najlepiej wyruszyć wierzchem na podeszwach. Musiałbym i tak gdzieś tego muła po drodze zostawić, gdyż kapitan mówił mi, że większość drogi stanowią ścieżki, dostępne tylko dla kóz".

Maleńki człowieczek zrobił krok naprzód i rzekł poprzez fałdy płaszcza, który zdawał się ukrywać szydercze jego zamysły.

"Tak jest, senor. Zbyt są uczciwi w tej wiosce, aby mieć na usługi pańskie choćby jednego muła. Mogę to zaświadczyć. W tych czasach muła lub inne czworonogie zwierzę i wszystko, co do ich utrzymania potrzebne, posiadać mogą tylko albo łajdacy, albo też bardzo mądrzy ludzie. Lecz temu dzielnemu marynarzowi przyda się przewodnik, którego wynajdzie wam mój szwagier, ten oto Bernardino, karczmarz i alkad najpoboźniejszej i najgościnniejszej z wiosek".

I tak też wypadło zrobić, jak pisze w swem opowiadaniu Byrne. Pogadawszy jeszcze trochę, przyprowadzono wreszcie chłopaka w podartym płaszczu i w spodniach z koźlej skóry. Angielski oficer poczęstował całą wieś i, podczas gdy wieśniacy pili, wyruszył w drogę z Tomem Kubańczykiem; towarzyszył im przewodnik. Maleńki człowieczek w płaszczu zniknął.

Byrne odprowadził marynarza do końca wioski. Pragnął zobaczyć, jak wyruszał szczęśliwie w drogę i byłby poszedł z nim jeszcze dalej, lecz marynarz radził mu wracać, aby ani chwili dłużej nie zatrzymywać bez koniecznej potrzeby statku w pobliżu wybrzeża w taki niezachęcający poranek. Gdy się rozstawali, dzikie i pochmurne niebo zwisało nad ich głowami, a kamieniste pola i krzewy stanowiły ponure tło ich pożegnania.

"Za cztery dni, — takie były ostatnie słowa Byrne'a, — okręt przypłynie i jeśli tylko pogoda pozwoli, łódź przybije do brzegu. Jeżeli nie będzie to możliwe, musisz sobie radzić na lądzie, jak będziesz mógł, dopóki po ciebie nie przypłyniemy".

"Dobrze. Niech tak będzie", — odparł Tom i ruszył w drogę.

Byrne widział go, wchodzącego na wązką ścieżynkę. W ciepłym kaftanie, z parą pistoletów za pasem, z kordelasem u kobu i z grubym kijem w ręku wyglądał na dzielnego człowieka, umiejącego dać sobie radę w niebezpieczeństwie. Odwrócił się na chwilę, aby przesłać ręką pożegnanie i Byrne raz jeszcze dojrzał krzaczaste jego wąsy i zacną twarz, opaloną na bronzowo. Chłopak w spodniach z koziej skóry, pnąc się na przedzie, wyglądał, jak Byrne powiada, na fauna lub młodego satyra; zatrzymał się chwilę, czekając na marynarza i znów w podskokach ruszył dalej. Obaj zniknęli mu z oczu.

Byrne zawrócił. Wioska była ukryta w zagłębieniu terenu, więc miejsce to zdawało się największą pustką na świecie, miejscem przeklętem, smutnem i jałowem. Uszedł zaledwie parę jardów, gdy nagle z za krzaka ukazała się maleńka postać Hiszpana w płaszczu.

Byrne zatrzymał się mimowoli.

Tamten uczynił tajemniczy ruch rączką, wyciągnętą z pod płaszcza. Kapelusz miał przekrzywiony na bok: "Senor, — rzekł bez żadnego wstępu, — zwracam pańską uwagę na pewien fakt: mój szwagier, jednooki Bernardino ma w tej chwili w swojej stajni muła. A dlaczego on, który nie zalicza się do mądrych ludzi, posiada muła- bo jest łajdakiem, człowiekiem bez sumienia. Musiałem mu oddać mojego "macho", aby zapewnić sobie dach nad głową i łyżkę "olla" dla utrzymania życia w tem marnem ciele. Bije w niem jednak serce znacznie większe, niż to, które kołacze się w piersi mego podłego krewniaka; wstydzę się go poprostu; opierałem się temu małżeństwu wszelkiemi sposobami. Biedna, oszukiwana jego żona nacierpiała się dosyć. Przeszła męki czyścowe na tej ziemi — niech Bóg ma jej duszę w swej opiece".

Byrne był tak zdumiony nagłem ukazaniem się maleńkiego szłowieczka i szyderczą goryczą jego przemowy, że nie odróżnił w pierwszej chwili faktu pełnego znaczenia od tych spraw rodzinnych, wytoczonych przed jego sąd bez żadnego powodu. Był oszołomiony i zarazem zdumiony szybkością i siłą jego wymowy, zupełnie różną od napuszonej gadatliwości Włochów. Milczał zdziwiony podczas gdy homunculus odrzucił płaszcz i zażył niesłychaną ilość tabaki.

"Posiada muła!" — zawołał Byrne, zrozumiawszy nareszcie rzeczywiste znaczenie tej przemowy.— "Powiadasz, że posiada muła? To dziwne. Dlaczego nie chciał mi go wynająć?"

Maleńki Hiszpan z godnością zawinął się znów w płaszcz.

"Quien sabe", — rzekł chłodno, wzruszając udrapowanemi ramionami. — "Jest on wielkim "politico" we wszystkiem, co czyni. Lecz jednej rzeczy można być pewnym, tego, że intencje jego są zawsze łajdackie. Mąż mojej "defunta" siostry powinien był już dawno poślubić wdowę o drewnianych nogach"*).

"Rozumiem. Przypomnij sobie jednak, że twoją przysięgą potwierdziłeś jego kłamstwo nie wiadomo dla jakich przyczyn".

Oczy jego, rozdzielone lisim nosem, błyszczące a stroskane, wpiły się w twarz Byrne'a bez mrugnięcia, gdy mówił z nadąsaniem, które tak często kryje się na dnie hiszpańskiej dumy:

"Senor oficer nie traci ani kropli krwi, gdy mnie zdzielą pod piąte żebro", odparł. "Lecz nie chodzi tu o biednego grzesznika", i, zmieniwszy ton, ciągnął dalej: "Ja, Kastylijczyk i dobry katolik, żyję tu na

---

*) Szubienica jest wdową po ostatnim powieszonym zbrodniarzu i oczekuje na następnego.

wygnaniu, zmuszony okolicznościami, pośród tych asturyjskich gburów i zależę od najgorszego z nich wszystkich, który mniej ma sumienia i skrupułów od wilka. Postępuję jednak jak na człowieka inteligentnego przystało, choć z trudem ukrywam moją pogardę. Senor słyszał, w jaki się sposób wyrażałem. Taki "caballero" odgadł naturalnie odrazu, że coś się w tem kryje podejrzanego".

"Coś podejrzanego?" — zapytał Byrne niespokojnie. — "Nie, panie, nic nie odgadłem. My, Anglicy, nie jesteśmy w takich sprawach domyślni i dlatego zapytuję pana szczerze, czy karczmarz co do innych rzeczy mówił prawdę?

"Francuzów napewno niema w okolicy", odparł maleńki człowiek, powracając do swojej zwykłej obojętności.

"Ale może są rozbójnicy — ladrones?"

"Ladrones en grande — nie! z pewnością ich niema", brzmiała odpowiedź, wypowiedziana zimnym filozoficznym tonem. "Co oni by tu robili po przyjściu Francuzów? Przecież teraz tu nikt nie podróżuje. Lecz któż może zaręczyć! Złodzieja stwarza sposobność. Marynarz dzielnie wyglądał, a z synem kota myszy nie lubią się zadawać, lecz jest też przysłowie, że: gdzie jest miód, tam wkrótce zjawią się i muchy".

Ta wieszcza przemowa doprowadziła Byrne'a do rozpaczy. "Na miłość Boską, zawołał, powiedzcie mi, człowieku, czy mojemu retmanowi nic nie grozi w tej podróży?"

Homunculus, jak zwykle szybko zmieniając swe postępowanie, schwycił oficera za ramię. Siła tej małej ręki była zdumiewająca.

"Senor! Bernardino go zauważył! To wystarcza. Niech pan posłucha: ludzie ginęli na tej drodze, a właściwie w pewnym punkcie tej drogi, gdy Bernardino posiadał meson gospodę, a ja, jego szwagier, miałem do wynajęcia muły i pojazdy. Teraz niema ani podróżnych, ani pojazdów. Francuzi mnie zrujnowali. Bernardino, po śmierci mojej siostry, przeniósł się tutaj z powodów jemu tylko wiadomych. Zamęczyli ją na śmierć on i dwie jego ciotki Erminia i Lucilla — wszyscy troje, to rodzeństwo djabła. Teraz zabrał mi ostatniego mojego muła. Jesteś, panie, uzbrojony. Przyłożywszy mu pistolet do głowy, zażądaj od niego muła — zaręczam panu, że nie jest jego — i podążaj za marynarzem, którego życie jest dla ciebie tak cenne. Wówczas obaj będziecie bezpieczni, gdyż w teraźniejszych czasach dwaj podróżni razem nie zginą. A co do muła, ja, jako jego prawowity właściciel, powierzam go pańskiemu honorowi".

Wpili się w siebie oczami, a Byrne omal nie wybuchnął śmiechem z naiwnej i nieskomplikowanej intrygi, jaką maleńki człowiek ułożył sobie dla odzyskania swego muła. Ale bez trudu zachował poważny wyraz twarzy, gdyż w głębi duszy dziwnie go ciągnęło, aby zastosować się do tej niezwykłej rady. Nie roześmiał się, lecz wargi jego zadrżały; widząc to maleńki Hiszpan oderwał czarne, błyszczące oczy od twarzy Byrne'a i odwróciwszy się nagle od niego, narzucił płaszcz na ramię ruchem, wyrażającym jednocześnie pogardę, gorycz i zniechęcenie. Odwrócił się i stał milcząc, w kapeluszu na bakier, zawinięty w płaszcz po same uszy. Ale nie był obrażonym do tego stopnia, aby odrzucić srebrnego duro, którego Byrne ofiarował mu z obojętną przemową, tak, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło między nimi.

"Muszę śpieszyć na statek", rzekł wówczas Byrne.

"Vaya usted con Dios", mruknął gnom. Rozmowę tę zakończył drwiącym ukłonem, kapeluszem zamiótł ziemię potem umieścił go na bakier.

Zaledwie łódź została wyciągnięta, obrócono żagle na ciąg odlądowy, a Byrne pośpieszył opowiedzieć całą tę historję kapitanowi, niewiele starszemu od niego. Rozbawieni opowieścią, oburzali się jednak trochę i naśmiawszy się dowoli, spojrzeli na siebie poważnie. Hiszpan-karzeł, który usiłuje namówić oficera z marynarki Jego Królewskiej Mości, aby dla niego ukradł muła, zbyt to zabawne, dziwaczne, nieprawdopodobne! Tak się wyrażał kapitan i nie mógł się uspokoić nad śmiesznością wydarzenia.

"Nieprawdopodobna przygoda. Ot, co jest!" — szepnął Byrne znaczącym tonem.

Zamienili przeciągłe spojrzenia. "To jasne, jak słońce", oświadczył zniecierpliwiony kapitan, lecz w głębi serca wcale nie był tego pewien. Tom, który był dla jednego z nich najlepszym marynarzem z pośród całej załogi, a dla drugiego przyjacielem lat chłopięcych zawsze wesołym i pełnym szacunku, Tom nabrał tajemniczego uroku, stał się symbolem wierności i przemawiał do ich uczucia i sumienia, tak, że nie mogli oderwać myśli od sprawy jego ocalenia. Nieraz wychodzili na pokład, aby spojrzeć na wybrzeże, jak gdyby mogło im opowiedzieć o losie Toma. Brzeg ten, wydłużając się, ginął w dali, milczący, nagi i dziki, przesłonięty niekiedy ukośnymi strumieniami zimnego deszczu. Zachodnia fala toczyła w nieskończoność białą linję piany, a wielkie czarne chmury płynęły ponad statkiem w ponurym pochodzie.

"Na Boga, szkoda, żeś nie postąpił według rady małego człowieczka w żółtym kapeluszu" rzekł nad wieczorem kapitan szalupy z wyraźną rozpaczą.

"Czy naprawdę pan tego żałuje?" zapytał Byrne z goryczą, kryjącą prawdziwy niepokój. Ciekaw jestem, co byłby pan na to powiedział? Zostałbym wyrzucony ze służby za rekwirowanie muła poddanemu państwa sprzymierzonego z Jego Królewską Mością. Lub może za usiłowanie kradzieży byłbym zbity cepami i widłami na kwaśne jabłko — chciałbyś pan może, żeby taka przygoda zdarzyła się jednemu z pańskich oficerów? A może sromotnie przepędzonoby mnie do łodzi, gdyż nie przypuszcza pan zapewne, abym dla ocalenia parszywego muła strzelał do niewinnych ludzi...... A pomimo to", dodał cichym głosem, "żałuję prawie, żem tego nie uczynił".

Zanim się zupełnie ściemniło dwaj młodzieńcy doprowadzili się do skomplikowanego stanu psychologicznego, który był mięszaniną pogardliwego sceptyzmu i trwożnej ufności. Męczyli się okropnie, a myśl, że mają przed sobą przynajmniej sześć dni takiej niepewności, która może się przedłużyć w nieskończoność, była nie do zniesienia. Dlatego też,

gdy się ściemniło, statek został skierowany ku brzegowi. W ciemną, burzliwą noc dążył do wybrzeża w poszukiwaniu swego zaginionego marynarza, kładąc się chwilami pod silnemi podmuchami wiatru, to znów kołysząc się leniwie na fali i nie posuwając się prawie naprzód tak, jak gdyby i on miał powody wahania się między zimnym rozsądkiem, a gorącym popędem.

O świcie spuszczono łódź; kołysząc się na morzu, dopłynęła do płytkiej zatoki, gdzie oficer w grubym płaszczu i okrągłym kapeluszu wylądował z trudem, pomagając sobie kawałkiem deski.

Pragnąłem, pisze Byrne, wylądować w jak największej tajemnicy, kapitan był także za tem. Nie chciałem być widziany ani przez mego rozgoryczoneg oprzyjaciela w żółtym kapeluszu, którego intencje były jasne, ani przez jednookiego karczmarza, spokrewnionego być może z djabłem, ani wogóle przez żadnego mieszkańca tej zapadłej wioski. Niestety, zatoka była na przestrzeni kilku mil jednem możliwem miejscem do wylądowania. Strome zbocza wąwozu nie pozwalały ominąć wioski".

"Szczęściem, ciągnie dalej, wszyscy jej mieszkańcy spali jeszcze. Świtało zaledwie, gdy przecho-



"Nie zniosę tego dłużej", szeptał do siebie....

dziłem po grubym pokładzie liści, przez jedyną ulicę wioski. żywa dusza nie ukazała się na dworze, pies nawet nie zaszczekał. Cisza panowała głęboka, pomyślałem więc ze zdziwieniem, że niema widocznie psów we wsi, gdy usłyszałem ciche warczenie i w wąskiem przejściu między dwiema chałupami ukazało się mizerne psisko z podpiętym ogonem. Przebiegło przedemną, w milczeniu wyszczerzywszy na mnie zęby i znikło tak niespodziewanie, jak gdyby było wcieleniem Nieczystej Siły. Byłem już tak podniecony, że niesamowite ukazanie się i zniknięcie tego wstrętnego stworzenia przygnębiło mnie do reszty przeczuciem grożącego nieszczęścia".

Oddalił się od wybrzeża, jak mu się zdawało, nie zauważony przez nikogo i pośród jałowej, smutnej wyżyny, pod niebem ciemnem, jak popiół, borykał się odważnie z zachodnim wichrem i deszczem. W oddali wyniosłe i samotne skały zdawały się oczekiwać na niego i, grożąc mu, wznosiły ku górze urwiste i nagie szczyty. Wieczór zastał go w niewielkiej odległości od tych gór, lecz, jak mówią marynarze, na niepewnem stanowisku; w dodatku był głodny, przemoczony i zmordowany całodzienną pieszą podróżą po niezrównanym gruncie; przez ten czas spotkał tylko parę osób, które nie potrafiły mu dać żadnej wskazówki co do losu Toma Corbina. "Naprzód, naprzód! Muszę iść dalej", powtarzał sobie w czasie długich godzin samotnego wysiłku, podniecany raczej przez niepewność, niż przez określoną obawę lub nadzieję.

Światło dzienne szybko zagasło, pozostawiając go przed popsutym mostem. Zeszed w dolinę i przeskoczył wązki strumień przy ostatnim blasku dnia, odbijającym się w wartkim prądzie. Gdy wydostał się na przeciwny brzeg, zapadająca noc zakryła mu oczy grubą zasłoną. Wycie wiatru, uderzającego w ciemnościach o zbocza skał, brzmiało mu w uszach, jak ryk rozwścieczonego morza. Obawiał się, że zabłądził. Nawet we dnie trudno było odróżnić kamienistą drogę, pełną wyboi i kałuży, od ponurej pustki otaczającego ją bagna, usianego kępami obnażonych krzewów. Lecz, jak się sam wyrażał, "dążył naprzód, kierując się wiatrem", z kapeluszem naciśniętym aż po same brwi, z głową opuszczoną, zatrzymując się od czasu do czasu ze zmęczenia raczej umysłowego, niż fizycznego — tak, jak gdyby nie jego siły, lecz wytrzymałość była przeciążona, bezcelowymi może, wysiłkami.

W czasie takiego odpoczynku zdawało mu się, że z bardzo daleka wiatr przynosił słaby odgłos pukania w drzewo. Zauważył, iż jednocześnie wiatr uspokoił się.

Serce zabiło mu żywiej, zaciążyła bowiem na nim samotna pustka ostatnich kilku godzin; miał wrażenie, że wędrował po bezludnym świecie. Gdy podniósł głowę, promień światła, może złudny, jak to się często zdarza w zupełnych ciemnościach, zamigotał mu przed oczami. Wpatrując się przed siebie, usłyszał powtórnie ciche pukanie, i naraz poczuł raczej, niż zobaczył na swej drodze wielką, ciemną masę. Co to takiego? Szczyt pagórka, czy też dom? Był to dom, który ukazał się tak blizko, jak gdyby wyrósł z pod ziemi, lub, jak gdyby noc z ciemnej kryjówki wyprawiła naprzeciw niego ten wyniosły, szarawy i milczący budynek. Podszedł do niego i postąpiwszy jeszcze parę kroków, mógł był dotknąć się ręką muru. Była to widocznie "posada" i jakiś podróżny starał się dostać do wnętrza. Znowu usłyszał ostrożne pukanie.

Po chwili szeroki promień światła padł z otwartych drzwi w ciemności nocy. Gdy Byrne ukazał się w tem świetle, postać, stojąca na zewnątrz, odskoczyła ze zduszonym okrzykiem i znikła w ciemnościach nocy. Ktoś w domu krzyknął też ze zdziwienia. Byrne rzucił się na wpół zamknięte drzwi i, walcząc z silnym oporem z zewnątrz, dostał się jednak do środka.

Marna świeczka, ogarek zaledwie palił się na końcu długiego sosnowego stołu. Przy tem świetle Byrne ujrzał dziewczynę, która chwiała się jeszcze, odepchnięta przez niego ode drzwi. Miała czarną spódnicę, pomarańczowy szal i ciemną cerę; promienie włosów, które wymknęły się z ciemnej i gęstej jak las czupryny, przytrzymanej grzebieniem, tworzyły czarną chmurę nad jej nizkiem czołem. W przeciwległym końcu wielkiej izby, gdzie ogień na kominie igrał z ogromnymi cieniami, dwa głosy zawyły przenikliwie: "Misericordia"! Dziewczyna, opanowawszy się, odetchnęła głęboko przez zaciśnięte zęby.

Zbytecznej jest powtarzanie długiej litanji pytań i odpowiedzi, któremi Byrne uspokoił wylękłe staruszki, siedzące po obu stronach komina; przy ogniu stał gliniany garnek. Widok ich przywiódł mu na myśl dwie wiedźmy, przygotowujące truciznę; gdy wszakże jedna z nich, z trudem podźwignąwszy skurczoną swą postać, podniosła pokrywę garnka, rozszedł się smakowity zapach. Druga siedziała zgarbiona, bez ruchy, tylko głowa jej trzęsła się bezustannie.

Były przerażające, a zgrzybiałe ich postacie robiły wrażenie karykaturalne. Bezzębne usta, haczykowate nosy, chudość jednej i obwisłe, żółte policzki drugiej (tej o trzęsącej się głowie) wywoływały uśmiech, gdyby nie przerażała ich straszna ruina fizyczna, a serce nie ściskało się na widok niewymownego ciężaru starości i zarazem tej odporności życia, które stawało się wreszcie przedmiotem pogardy i obrzydzenia.

Byrne, aby przezwyciężyć te uczucia, zaczął opowiadać, że jest Anglikiem i poszukuje swego rodaka, który musiał przechodzić tą drogą. Gdy to powiedział, chwila rozstania się z Tomem stanęła mu przed oczami ze zdumiewającą wiernością: ujrzał milczących wieśniaków, zgryźliwego karła, jednookiego karczmarza. Bez wątpienia, te dwa stare straszydła, to właśnie jego ciotki — siostrzyce djabła!

Cokolwiek bądź, zdarzyło się dawniej, nie można było sobie wyobrazić na coby teraz djabłu na tym świecie zdały się takie dwie słabe istoty? Która z nich była Lucilla, a która Erminia? gdyż teraz to już bezimienne stwory. Po słowach Byrne'a nastąpiła chwila zastanowienia. Wiedźma z łyżką w ręku przestała nią mięszać w garnku, a druga na mgnienie oka zatrzymała swą trzęsącą głowę. W czasie tej

setnej części sekundy Byrne zrozumiał, że depce prawie po piętach Toma.

"Widziały go bez wątpienia", pomyślał. Nareszcie spotkał kogoś, który go widział. Był pewien, że się tego wyprą; tymczasem przeciwnie, skwapliwie odpowiedziały mu, że jadł i nocował w ich domu. Mówiły obie naraz, opisując jego wygląd i zachowanie. Dziwną wydawała się ich zapalczywość wobec poprzednich pozorów słabości. Chuda czarownica potrząsała drewnianą łyżką, a otyła poczwara, podniósłszy się ze stołka, skrzeczala, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy głowa jej drżała w przyśpieszonem tempie. Byrne był poprostu zmieszany ich podnieceniem.... Tak, tak! Wysoki, dzielny Anglik, zjadłszy kawałek chleba i popiwszy go winem, wyruszył dziś rano dalej. A jeśli "caballero" chce pójść tą samą drogą, nic łatwiejszego, ale dopiero jutro rano.

"Czy wynajdziecie mi przewodnika?" zapytał Byrne.

"Owszem, senor. Damy ci porządnego chłopaka, tego, którego widziałeś wychodzącego stąd".

"Ależ on pukał do drzwi, oświadczył Byrne, — chciał tu wejść, tylko na mój widok uciekł".

"Nie, nie, wrzeszczały obie wiedźmy naraz, on stąd wychodził, on stąd wychodził!"

"Może to i prawda, pomyślał Byrne, odgłos stukania był tak cichy, nikły, może mi się tylko zdawało, że ktoś puka".

Zapytał więc:

"Któż to jest ten człowiek?"

"Jej "novio", zawołały, wskazując na dziewczynę. "Poszedł teraz do domu, do wsi bardzo stąd odległej, lecz wróci na rano. To jej narzeczony! Biedna sierota — córka ubogich, pobożnych ludzi. Przygarnęłyśmy ją przez litość, w imię Boga".

Sierota, siedząc przy ognisku, patrzyła na Byrne'a; wydała się raczej córką szatana, przygarniętą przez te dwie czarownice w imię Djabła. Oczy jej były trochę skośne, usta pełne, lecz prześlicznie wykrojone, ciemna jej twarz budziła zachwyt swą pięknością dziką i zmysłową. Nie spuszczała z niego wzroku, który, jak się wyrażał Byrne, przypominał spojrzenie głodnego kota, czatującego na ptaka w klatce lub na mysz w pułapce.

Usługiwała mu przy jedzeniu, z czego bardzo był zadowolony, pomimo, że jej ciemne, wielkie, nieco skośne oczy, wpatrujące się w jego twarz, jakby mogły z niej coś ciekawego wyczytać, robiły na nim nieprzyjemne wrażenie. Lecz wolał wszystko, niż żeby te dwie wiedźmy, przerażające jak zmory usługiwały mu. Obawy jego uspokoiły się nieco, może pod wpływem ciepła i spokoju, ogarniającego go po ostrem zimnie i wichurze, z którym musiał walczyć o każdy cal drogi. Nią wątpił, że Tom śpi bezpiecznie w obozie Gonzalesa.

Byrne wstał i nalał sobie wina w cynowy kubek z worka skórzanego, wiszącego na ścianie. Wiedźma z twarzą mumji zaczęła z nim rozmawiać, wspominając dawne dzieje; z dumą opowiadała jak sławną była gospoda w owych dobrych czasach. Zajeżdżali do niej wielcy panowie we własnych karetach. Raz, dawno już, dawno temu, nocował tu arcybiskup.

Wiedźma z obrzękłą twarzą zdawała się przysłuchiwać temu, siedząc bez ruchu i trzęsąc tylko głową. Dziewczyna, którą Byrne podejrzewał, że jest cyganką, dopuszczoną z jakiegoś powodu do ich towarzystwa, siedziała przy kominie w świetle żarzących się węgli. Nuciła sobie z cicha piosenkę, uderzając od czasu do czasu w kastanjety. Na wspomnienie biskupa bezbożnie parsknęła zduszonym śmiechem i, zwróciła głowę, aby spojrzeć na Byrne'a, w jej czarnych oczach i białych zębach błysnął w cieniu ogromnego okapu czerwony odblask ognia. Uśmiechnął się do niej.

Teraz czuł się bezpiecznym i odpoczywał. Zjawił się tu niespodziewanie, nikt więc nie uknuł spisku na jego życie. Opanowała go rozkoszna senność; zdawało mu się, że ją zwalcza skutecznie, musiał się jednak zdrzemnąć, gdyż ocknął go nagle piekielny hałas i tak przeraźliwe piski, jakich w życiu swojem nie słyszał: to stare wiedźmy kłóciły się tak zażarcie; teraz już wymyślały sobie, nie bawiąc się w argumenty, starcze ich krzyki wyrażały tylko złość i najokropniejszą wściekłość. Cygańskie, czarne zrenice dziewczyny biegały od jednej do drugiej. Nigdy przedtem Byrne nie czuł się tak obcym względem istot ludzkich. Zanim zdążył zrozumieć przyczynę kłótni, dziewczyna zerwała się uderzyła głośniej w kastanjety. Wiedźmy umilkły, a ona, zbliżywszy się, pochyliła się nad stołem i, patrząc w oczy Byrne'a, rzekła zdecydowanym tonem:

"Pan przenocuje w pokoju arcybiskupa".

Czarownice nie zaprotestowały: chuda, zgarbiwszy się we dwoje, podparła się na kiju, a tłusta — na szczudle.

Byrne wstał, zbliżył się do drzwi i, przekręciwszy klucz w ogromnym zamku, z zimną krwią schował go do kieszeni. Było to najwidoczniej jedyne wejście, a Byrne nie chciał być zaskoczony przez jakiekolwiek niebezpieczeństwo, które może czai się za drzwiami. Gdy się odwrócił, obie wiedźmy, "siostrzyce djabła". i "szatańska" dziewczyna przyglądały mu się w milczeniu. Był ciekaw, czy też Tom Corbin poprzedniego wieczoru zastosował te same ostrożności. Myśląc o nim, doznawał znów dziwnego uczucia, że Tom jest w pobliżu. Cisza panowała wokoło, słyszał tylko jak krew pulsuje mu w uszach, a w tym szumie głos Toma zdawał się powtarzać: "Panie, miej się na baczności!" Zadrżał, złudzenia słuchowe są najbardziej zbliżone do rzeczywistości i z natury swej mają pozory prawdy.

Zdawało mu się niemożliwością, aby Toma nie było w tym domu. Znów zdradziecki dreszcz przeszył na wylot jego ciało, jak gdyby zimny powiew przeniknął pod ubranie. Z trudem otrząsnął się z przykrego wrażenia.

Dziewczyna poprowadziła go po schodach niosąc żelazną lampę; od ukrytego jej płomienia unosił się w górę cienki słup dymu. Dziewczyna miała na nogach białe pończochy, bardzo dziurawe.

Byrne, z tym samym spokojem, z jakim zamknął na klucz drzwi na dole, otwierał kolejno wszystkie drzwi, wychodzące na korytarz. Pokoje były puste, w jednym tylko, czy dwóch stało parę nieokreślonych

gratów. Dziewczyna, zrozumiawszy o co chodzi, zatrzymywała się cierpliwie przy każdych drzwiach i oświecała wnętrze, podnosząc do góry kopcącą lampę, jednocześnie zaś śledziła go z uwagą. Ostatnie drzwi otworzyła sama.

"Senor będzie nocował tutaj", zaszeptała głosem cichym, jak oddech dziecka i podała mu lampę, którą wziął, mówiąc jej uprzejmie:

"Buenos noches, senorita".

Nie odpowiedziała mu głośno, choć wargi jej poruszyły się zlekka, nie spuszczała jednak z niego ani na chwilę oczu ciemnych, jak bezgwiezdna noc. — Wszedł do pokoju i, gdy odwrócił się, aby zamknąć drzwi, stała jeszcze, zmieszana i bez ruchu, w skośnych oczach i zmysłowych ustach z wyrazem wyczekującego okrucieństwa, jaki miewa kot, któremu nie udało się złapać myszy. Zawahał się na chwilę i w ciszy milczącego domu usłyszał znów głos Toma w szumie krwi, gwałtownie mu pulsującej w uszach; tym razem złudzenie to przestraszyło go, gdyż nie mógł zrozumieć, co mu ten poważny głos mówił.

Zatrzasnął drzwi przed nosem dziewczyny, zostawiając ją w ciemnościach i prawie natychmiast otworzył je z powrotem. Nie było już nikogo; zniknęła bez najmniejszego szmeru. Zamknął je szybko i zasunął dwa ciężkie rygle.

Nagle zrodziły się w nim podejrzenia. Czemu stare wiedźmy kłóciły się, czy ma nocować w tym pokoju. Dlaczego dziewczyna wpatrywała się w niego, jak gdyby chciała zapamiętać twarz jego na wieki. Niepokoiło go własne jego zdenerwowanie, miał uczucie, że jest niesłychanie oddalony od całej ludzkości.

Rozejrzał się po pokoju, który nie był bardzo wysoki, dostatecznie jednak, aby się w nim zmieściło łóżko pod ogromnym baldachimem z ciężkiemi zasłonami, opadającemi aż do samej ziemi, łoże to było zaiste godne arcybiskupa. Stał także w pokoju ciężki rzeźbiony stół, parę wielkich foteli, wszystko to robiło wrażenie, jakby pochodziło z ograbionego pałacu grandów; pod ścianą stała wysoka, a płytka szafa o podwójnych drzwiach. Pociągnął za nie, lecz były zamknięte. Schwycił za lampę, aby je dokładniej obejrzeć, gdyż zbudziły się w nim pewne podejrzenia, okazało się jednak, że to nie jest ukryte wejście. Ciężka, wysoka szafa stała najwyraźniej o jakiś cal od ściany. Spojrzał na zasuwy przy drzwiach. Nie, nikt go nie może zdradziecko we śnie zaskoczyć. Lecz czy będzie mógł zasnąć, pytał się z niepokojem. Gdybyż Tom był z nim; wierny marynarz uczył go ostrożności, walcząc obok niego w niejednej zażartej bitwie. "Gdyż to nie sztuka, powtarzał, dać się zabić w gorącej walce. Byle głupiec to potrafi. Godziwą rozrywką jest prać Francuzów, ale nie dać się zabić, bo nazajutrz trzeba bić ich dalej".

Byrne z trudnością przezwyciężył chęć wsłuchiwania się w ciszę i był pewien, że nic jej nie przerwie aż nagle usłyszał znów upiorny głos Toma; słyszał go już poprzednio dwukrotnie. Starał się jednak rozumować rozsądnie, że nic w tem niema dziwnego, bo od trzydziestu przeszło godzin wciąż o nim myślał i, co gorzej, z myśli tych nie mógł wysnuć żadnych wniosków. Niepokój jego o Toma nie przybrał nigdy określonej formy. "Zniknął", było jedyne słowo, którem można było wyrazić to, co się stało z Tomem, a określenie to zbyt niejasne i przerażające. "Zniknął"! Lecz cóż to oznacza?

Zimny dreszcz nim wstrząsnął, pomyślał więc, że ma zapewne trochę gorączki. Tom przecież nie zginął, przed chwilą opowiadano mu o nim. I znów krew zaczęła pulsować mu w uszach, chwilę siedział bez ruchu, spodziewając się usłyszeć w jej szumie znów głos Toma. Nagle błysnęła mu myśl: "Nie zginął, ale nie może dać znać o sobie".

Zerwał się z fotela. Co za niedorzeczność! Położył pistolet i kordelas na stole, zdjął buty i owładnęło nim nagle takie zmęczenie, że nie mogąc utrzymać się na nogach, padł na łóżko nadspodziewanie miękkie i wygodne.

Nie czuł się wcale śpiącym, ale musiał się jednak zdrzemnąć, gdyż ocknął się, siedząc na łóżku i usiłując uprzytomnić sobie, co mu głos Toma powiedział. Nagle przypomniał sobie: "Panie! Miej się na baczności!" Było to ostrzeżenie, ale przed czem?

Wyskoczył jednym susem na środek pokoju, odetchnął ciężko i rozejrzał się wokoło. Okno było zamknięte i zabarykadowane żelazną sztabą. Znów potoczył oczami po nagich ścianach i spojrzał nawet na wysoki sufit. Potem zbliżył się do drzwi i obejrzał je dokładnie: zamknięte były na dwa ogromne rygle, zasuwające się w otwory w ścianie; drzwi możnaby chyba otworzyć, wysadziwszy je prochem, gdyż korytarz był za wązki, aby zamachnąć się siekierą lub użyć jakich innych narzędzi do wyważenia. Lecz, gdy raz jeszcze sprawdzał, czy niższy rygiel jest dobrze zasunięty, wydało mu się, że ktoś jest w pokoju. Uczucie to było tak silne, że odwrócił się z szybkością błyskawicy. W pokoju nie było nikogo i któż zresztą mógłby wejść. A jednak....

Wówczas porzucił pozory i panowanie nad sobą, powstrzymujące człowieka od utraty własnej godności. Postawiwszy lampę na podłodze, ukląkł i zajrzał pod łóżko jak głupi podlotek; zobaczył tam tylko mnóstwo kurzu i nic więcej. Podniósł się z pałającemi policzkami i zaczął chodzić po pokoju niezadowolony ze swego postępowania i zły na Toma, że go nie chce opuścić. Ostrzegawcze słowa: "Panie, miej się na baczności!" brzmiały mu wciąż w uszach.

"Rzucę się chyba na łóżko i spróbuję zasnąć" pomyślał, lecz wzrok jego padł na wielką szafę; zirytowany sam na siebie, nie mogąc się jednak powstrzymać, podszedł ku niej. Wsunął ostrze kordelasa mięczy wstrętnym wiedźmom to złodziejskie włamanie. ciaż nie miał pojęcia, jak następnego dnia wytłumaczy wstrętnym wiedźmom to złodziejskie wamanie. Gdy zamek odrazu nie ustąpił, wziął się, przeklinając, gorliwie do pracy. "Przypuszczam, że nareszcie będziesz zadowolony ze mnie", mruknął do nieobecnego Toma.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i ujrzał w szafie wiernego, poczciwego, odważnego Toma. Stał w milczeniu, sztywny i wyprężony, jak widmo, a szeroko otwarte jego oczy, uparcie wpatru-

jące się w Byrne'a, zdawały mu się nakazywać uszanowanie tej ciszy. Lecz Byrne tak był zdumiony, że nie mógł się odezwać. Przerażony, odsunął się nieco w tył; wówczas marynarz pochylił się głową naprzód, jak gdyby go chciał objąć rękami za szyję. Byrne, odruchowo wyciągnął rozwarte ramiona i poczuł w nich przerażająco sztywne ciało, a na głowie i twarzy śmiertelnie zimne dotknięcie głowy i twarzy Toma. Zachwiali się obaj razem, gdyż Byrne przyciskał go do siebie, nie chcąc, aby upadł. Gdy ostatkiem sił złożył ostrożnie okropny ten ciężar na ziemi, zakręciło mu się w głowie, nogi odmówiły mu posłuszeństwa; upadł na kolana, pochylony nad ciałem i oparty rękami o piersi człowieka niegdyś pełnego życia, a teraz zimnego jak głaz.

"Nie żyje! mój biedny Tom nie żyje!", powtarzał w myśli. Światło lampy stojącej na końcu stołu padało wprost z góry na martwe źrenice oczu, dawniej tak wesołych i żywych.

Byrne odwrócił wzrok od nich. Tom nie miał zawiązanej zazwyczaj na piersiach czarnej, jedwabnej chustki. Mordercy zdjęli mu też pończochy i trzewiki. Byrne, widząc go tak obdartego, z gołą szyją i bosemi nogami, poczuł jak łzy napływają mu do oczu. Pozatem marynarz był całkowicie ubrany, a na jego odzieży nie było śladów gwałtownej walki. W jednem tylko miejscu kraciasta jego koszula była nieco wyciągnięta z za pasa, ale tylko tyle, wiele było potrzeba, aby się przekonać, czy niema pasa z pieniądzmi. Byrne zaczął łkać, ukrywszy twarz w chustce.

Był to tylko objaw zdenerwowania, który szybko minął. Klęcząc, wpatrywał się ze smutkiem w atletyczną postać marynarza, najdzielniejszego z pośród tych, którzy kiedykolwiek nosili kordelas, nabijali strzelby lub refowali żagle; leżał zimny i sztywny, a duch jego pogodny i nieustraszony może powrócił do swego młodego przyjaciela i do statku, kołyszącego się na siwej fali w pobliżu skalistego wybrzeża, może nawet w chwili, gdy wybrzeże to opuszczali.

Zauważył, że mosiężne guziki przy kurtce Toma zostały odcięte. Otrząsnął się, wyobraziwszy sobie dwie nędzne i wstrętne wiedźmy, obdzierające bezbronne ciało przyjaciela. Odrzynały.... może tym samym nożem, którym.... Jedna z głową trzęsącą, druga zgarbiona, oczy ich czerwone i kaprawe, a wstrętne ręce jak szpony drżą nad trupem.... Byrne był pewien, że działo się to w tym samym pokoju, gdyż Tom nie mógł być zabity na dworze, a potem dopiero wniesiony do środka. Te dwie stare baby nie zdołałyby go zabić, nawet, gdyby go zaskoczyły niespodziewanie, Tom miał się przecież na baczności: był przecież sprytny i ostrożny, szczególniej w wypełnianiu jakiegoś polecenia. Ale jak go zamordowali? Kto? Jakim sposobem?

Byrne zerwał się, schwycił lampę ze stołu i szybko pochylił się nad ciałem. Na ubraniu nie było jednak ani plamy, ani jakiegokolwiek śladu krwi. Ręce drżały mu tak silnie, że musiał postawić lampę na ziemi i odwrócić głowę, aby się uspokoić.

Po chwili obejrzał dokładnie zimne, nieruchome i sztywne ciało w nadziei, że odkryje na niem ranę od sztyletu, postrzału lub ślad śmiertelnego uderzenia; niespokojnie oglądał czaszkę, lecz była cała. Wymacał ręką szyję, lecz kręgi były nienaruszone. Przerażonemi oczami obejrzał gardło, nie znalazł jednak na niem śladów uduszenia.

Nie było nigdzie oznak morderstwa. Po prostu nie żył.

Byrne odruchowo odsunął się od ciała, jak gdyby śmierć tajemnicza i niewyjaśniona przemieniła litość jego w podejrzliwość i trwogę. Lampa, stojąca niedaleko na ziemi, oświetlała twarz marynarza, zwróconą ku górze z wyrazem rozpaczy. W kręgu światła Byrne dojrzał na podłodze grube pokłady kurzu, świadczące, że walka nie mogła odbyć się w tym pokoju. "Zginął nie w tym pokoju", pomyślał. Tak, bez wątpienia, tajemnicza śmierć musiała zaskoczyć biednego, drogiego Toma na wązkim korytarzu, gdzie zaledwie można się było obrócić. Byrne'a opuściła nagle ochota zrobienia wypadu z pokoju z pistoletami w ręku; Tom był uzbrojony w równie bezsilną broń jak on: parę pistoletów i kordelas i zginął nieznaną śmiercią z niezrozumiałych powodów.

Nagle Byrne'owi błysnęła nowa myśl; nieznajomy, który stukał do drzwi, a uciekł na jego widok tak pośpiesznie, przyszedł zapewne usunąć zwłoki. I to był przewodnik, który, wedle przyrzeczenia chudej wiedźmy, miał wskazać Anglikowi najkrótszą drogę do marynarza. Przyrzeczenie, jak się teraz przekonał, wielkiej wagi. Ten, który pukał do drzwi, miał zabrać ze sobą nie jedno, lecz dwa ciała. Marynarz i oficer wymaszerowaliby razem z gospody. — Byrne był teraz zupełnie pewien, że umrze, nim ranek zaświta, w ten sam tajemniczy sposób; pozostaną po nim jedynie nietknięte zwłoki.

Widok roztrzaskanej głowy, poderżniętego gardła lub rozwartej rany od postrzału, byłby mu sprawił wielką ulgę i uspokoił wszystkie obawy. Dusza jego wołała do tego trupa, który go za życia nigdy nie opuścił w niebezpieczeństwie: "Czemuś mi nie powiedział Tomie, czego się mam strzedz? Czemuś mi nie powiedział?!" Lecz on leżał na wznak, nieruchomy i sztywny, pogrążony w wyniosłem milczeniu; może poznawszy wreszcie okropną tajemnicę, pogardzał rozmową z żywymi.

Byrne nagle padł na kolana obok ciała i, z suchemi oczami, rozerwał gwałtownie koszulę na piersiach trupa, jak gdyby chciał wydrzeć przemocą tajemnicę wystygłego serca, które całe życie było mu tak wierne! Ale nie znalazł nic! Nic! Podniósł lampę do góry i, na tej twarzy, która za życia wyrażała dobroć, z trudem zdołał odkryć niewielki znak, maleńki guz na czole, skóra nawet nie była przecięta. Przyglądał mu się długo, jakby pogrążony w okropnym śnie. Potem zauważył, że ręce Toma były zaciśnięte, jak gdyby padł w walce na pięści. Przy bliższem przyjrzeniu się dojrzał, że skóra na kostkach u obu rąk była starta.

Odkrycie tych ledwie widocznych śladów było dla Byrne'a bardziej jeszcze zdumiewające, niż brak wszelkich oznak morderstwa. Więc Tom zginął, wal-

cząc z czemś, czego można było się dotknąć, a co zabijało nie raniąc, po prostu swem tchnieniem.

Paląca trwoga zaczęła igrać wokoło serca Byrne'a niby ogniste języki, które zbliżają się i oddalają od swej ofiary, nim obrócą ją w popiół. Odsunął się od ciała jak mógł najdalej, potem przybliżył się znów, rzucając ukradkiem trwożne spojrzenie w nadzieji, że raz jeszcze dojrzy guz na czole. Może nim ranek nadejdzie i na jego czole ukaże się ten dziwny znak.

"Nie zniosę tego dłużej", szepnął sam do siebie. Tom był teraz dla niego przedmiotem budzącym grozę, widokiem, który go pociągał, ale jednocześnie wzmagał jego trwogę. Nie mógł po prostu patrzeć na niego.

Wreszcie rozpacz wzięła w nim górę nad trwogą; oderwał się od ściany, o którą się opierał i schwyciwszy trupa pod ramiona począł go wlec do łóżka. Bose pięty marynarza ciągnęły się bez szelestu po podłodze. Trup był ciężki ciężarem martwych przedmiotów. Ostatnim wysiłkiem Byrne wciągnął go twarzą ku dołowi na brzeg łóżka, wtoczył go nań i, wywyciągnąwszy z pod tej ciężkiej, nieruchomej masy prześcieradło, przykrył ją całą. Wreszcie rozciągnął zasłony z obu stron łóżka, tak że spotkawszy się, skryły go zupełnie przed jego wzrokiem.

Chwiejnym krokiem zbliżył się do krzesła i padł na nie. Pot spływał mu po twarzy, a po chwili zdawało mu się, że w żyłach jego płynie strumień nawpół zmarzłej krwi. Objęła go w swoje całkowite posiadanie nieokreślona trwoga i obróciła jego serce w popielisko.

Siedział wyprostowany w fotelu, o wysokiem oparciu, z lampą stojącą na ziemi u jego stóp, z pistoletami i kordelasem, leżącemi na końcu stołu koło lewego jego łokcia, oczy krążyły bezustannie wokoło ścian, po suficie, po podłodze, w oczekiwaniu jakiegoś tajemniczego, a przerażającego zjawiska. To, co niosło śmierć w swym oddechu, czatowało za drzwiami. Lecz Byrne nie dowierzał już teraz ani ryglom, ani murom. Bezrozumna trwoga, czerpiąc podnietę nawet z jego dawnego, chłopięcego podziwu dla atletycznego, niezwyciężonego Toma (takim mu się zawsze zdawał), paraliżowała jego władze umysłowe i powiększała rozpacz.

Nie był on już Edgarem Byrne, pozostała zeń tylko cierpiąca jego dusza, pogrążona w mękach, jakich nigdy jeszcze żadne grzeszne ciało nie doświadczyło. Głębię jego cierpień można dopiero ocenić dowiedziawszy się, że ten młodzieniec, stosunkowo dość odważny, rozważał zamiar wypalenia sobie w głowę z pistoletu. Lecz owładnęła nim śmiertelna chłodna bezsilność; miał uczucie, że ciało jego jest jak wilgotny gips, tężejący na żebrach. Za chwilę, pomyślał, wejdą tu te dwie wiedźmy; jedna opierać się będzie na kuli, druga — na lasce, przerażające, potworne niesamowite siostrzyce djabła, wejdą, aby naznaczyć jego czoło nieznacznym znakiem śmierci, a on nie będzie mógł się obronić. Tom przed śmiercią walczył, lecz on nie dorównywał mu. Teraz już jego ramiona i nogi były jak martwe. Siedział bez ruchu, umierając ze strachu na samą myśl o takiej śmierci. Poruszał jedynie oczami, które, krążąc nieustannie w oczodołach, obiegały ściany, podłogę, sufit, aż wreszcie zatrzymały się nagle i, wyskakując prawie z głowy, wpatrzyły się w łóżko kamiennym wzrokiem.

Ujrzał, że ciężkie zasłony poruszyły się i zatrzęsły, jak gdyby trup, którego zasłaniały, obrócił się na łożu i usiadł na niem. Byrne, nie przypuszczając, żeby na świecie istniały rzeczy bardziej jeszcze przerażające niż te, które przeżył, — poczuł jak mu włosy stają dęba. Schwycił się za poręcze fotela, szczęki mu opadły, pot spłynął mu aż na brwi, a wyschnięty język przylgnął nagle do podniebienia. Zasłony poruszyły się ponownie, lecz nie rozsunęły się jeszcze. "Nie pokazuj się, Tomie!", Byrne chciał zawołać, lecz wydał tylko cichy jęk, jak podczas niespokojnego snu. Poczuł, że traci zmysły, gdyż zdawało mu się, że sufit nad łóżkiem poruszył się, pochylił wreszcie wyprostował się znów, a zasłony zachwiały się zlekka, jak gdyby miały się rozsunąć.

Byrne zamknął oczy, aby nie ujrzeć okropnej zjawy nieboszczyka zmartwychpowstałego za sprawą złego ducha. W głębokiej ciszy, która panowała w pokoju, przeżył chwilę trwożnego konania, poczem znów otworzył oczy i natychmiast zobaczył zasłony wciąż jeszcze zasunięte, lecz zauważył też, że sufit ponad łóżkiem podniósł się przynajmniej o stopę. Ostatnim błyskiem świadomości zrozumiał, że ogromny baldachim nad łóżkiem opuszczał się na dół, a zasłony przymocowane do niego chwieją się zlekka, opuszczając się stopniowo na podłogę. Zamknął opadające szczęki i, nawpół wyprostowany w fotelu, przyglądał się w milczeniu jak potworny baldachim opuszczał się nagłemi ruchami, aż do połowy mniej więcej wysokości, potem raptownie opadł na łóżko i dokładnie przylegając do niego, przykrył je, jakby skorupą ogromnego żółwia. Drzewo tylko parokrotnie zlekka trzasnęło i zapanowała w pokoju niezmierna cisza.

Byrne powstał i głęboko odetchnąwszy, wydał okrzyk wściekłości i zgrozy; był to pierwszy głos, jaki wydał w czasie tej przerażającej nocy. Oto jakiej śmierci uniknął. Oto przed jaką djabelską sztuczką dusza biednego Toma z tamtego nawet świata usiłowała go ostrzedz; niema wątpliwości, że Tom zginął w taki właśnie sposób. Byrne był pewien, że naprawdę słyszał słaby głos marynarza, wymawiający zwykłą swą formułkę: "Panie, miej się na baczności!" i inne jeszcze niezrozumiałe słowa; odległość między żywymi, a umarłymi jest przecież tak wielką, biedny Tom usiłował go jednak ostrzedz! Byrne podbiegł do łóżka i próbował podnieść lub usunąć okropne wieko, nakrywające ciało, lecz opierało się jego wysiłkom, nieporuszone jak płyta grobowa, ciężkie jak ołów. Wściekła chęć zemsty skłoniła go do zaniechania tych prób, głowa jego roiła się od chaotycznych pomysłów odwetu, bełkocząc okropne pogróżki, biegał wokoło pokoju, jakby nie mógł znaleźć ani broni, ani wyjścia....

Gwałtowne kołatanie do drzwi gospody otrzeźwiło go nieco. Rzucił się do okna, roztworzył okiennice i wyjrzał na dwór. W słabym brzasku świtającego dnia ujrzał na dole tłum ludzi. Ha! Pójdzie sta-

nąć w walce z tymi mordercami, zebranymi tu bez wątpienia dla zgładzenia go. Po walce z nieznanym mordercą, marzył o otwartej bitwie z uzbrojonym nieprzyjacielem. Lecz widocznie niezupełnie jeszcze odzyskał przytomność, gdyż zapominając o broni, zbiegł po schodach z dzikim okrzykiem, odryglował drzwi, do których dobijano się jeszcze ciągle z zewnątrz, otworzył je na rozcież i z gołemi rękami rzucił się do gardła pierwszego człowieka, jaki się przed nim znalazł. Przewrócili się obaj. Byrne miał mglisty zamiar przedarcia się przez napastników, aby uciec górską ścieżką i powrócić wkrótce z ludźmi Gonzalesa dla wywarcia przykładnej zemsty. Walczył zawzięcie dopóki na głowę jego nie spadło coś nakształt drzewa, domu czy też skały, potem nic już nie pamiętał.

* * *

Tu Byrne opowiada nam szczegółowo, jak odzyskał przytomność, z głową starannie obandażowaną, informuje, ile stracił krwi i opisuje, jak wówczas pielęgnowano jego zdrowie. Nie żałuje też pochwał Gonzales'owi, on to bowiem, nie mogąc się doczekać wiadomości od Anglików, zaszedł z połową swej bandy do gospody w drodze nad wybrzeże morskie. "Wasza Ekscellencja, — tłumaczył się, — wypadł z taką gwałtownością, a że nie znaliśmy go, więc...." i t. d. Gdy się go zapytano, co się stało z czarownicami, wskazał tylko, milcząc, palcem na ziemię i głosem spokojnym wypowiedział uwagę moralną: "Namiętność do złota jest w starości bezlitosna. Z pewnością już dawniej ułożyły do snu wiecznego w arcybiskupiem łożu wielu podróżnych".

"Znajdowała się tam także cygańska dziewczyna" rzekł Byrne słabym głosem, leżąc na noszach, niesionych do wybrzeża morskiego przed oddziałek guerlillerosów.

"Ona to właśnie manewrowała tą piekielną maszyną i dzisiejszej nocy ona ją też opuszczała", — brzmiała odpowiedź.

"Ale dlaczego? Dlaczego pragnęła mej śmierci?" zawołał Byrne.

"Zapewne dla zdobycia mosiężnych guzików z kurtki Waszej Ekscellencji", rzekł uprzejmie poważny Gonzales, — "znaleźliśmy przy niej guziki zamordowanego marynarza. Lecz Wasza Ekscellencja może być spokojny, uczyniliśmy z nią wszystko, co było konieczne w danych okolicznościach".

Byrne nie pytał już więcej. Jeszcze jedną śmierć Gonzales uznał "za konieczną w danych okolicznościach". Jednooki Bernardino postawiony pod ścianą swej winiarni dostał w same piersi sześć ładunków z "escopettas". Gdy rozległy się te strzały, garść hiszpańskich patrjotów, wyglądających na bandytów, niosła prostą trumnę ze zwłokami Toma przez dolinę ku wybrzeżu, gdzie dwie łodzie spuszczone ze statku oczekiwały na ziemskie szczątki najlepszego z marynarzy.

Byrne bardzo blady i słaby, wsiadł do łodzi, w której złożone były zwłoki zacnego przyjaciela, gdyż postanowiono pochować Toma Corbin'a daleko w zatoce Biskajskiej. Oficer ujął ster i, spojrzawszy po raz ostatni na wybrzeże, ujrzał na szarem zboczu pagórka poruszającą się postać, w której rozpoznał siedzącego na mule małego człowieka w żółtym kapeluszu. Gdyby nie sprawa tego muła, los Toma Corbin'a pozostałby nieznanym na wieki.

Czerwiec, 1913.

przełożyła **Teresa Tatarkiewiczowa**.

BAJKA

Raz płakała muszka mała,
że pajączka nie widziała...
Opowiedział jej stryj bączek,
że na pączku siadł pajączek.

Ale, muszko, ty mi wierz
I pajączka strzeż się, strzeż!
Każda muszka, jest ciekawa...
I pofruwać to zabawa.

Bzyk, bzyk—bzyk, bzyk, muszka leci...
I zapada prosto w sieci...
"Jakie ładne w słońcu nitki!
I pajączek też nie brzydki...

Jaki grzeczny! Nitkę snuje
I muszkę nią oplątuje...
Potem mówi jej na uszko:
Moja muszko, daj serduszko!

Nikt już muszki nie obroni...
O! już po niej. O! już po niej!
Tylko skrzydełka i nóżki
Pozostały z biednej muszki.

Sefe

KRAKOWIAK WARSZAWSKI

Wali się Warszawa,
Wali się i Kraków.
Nie długo pójdziemy,
Wszyscy do baraków.

Pójdziemy do baraków,
Gdzieś za Marymontem.
W pudełku blaszanem,
Osiedlić się kątem.

Kraju odbudowy,
Mamy liczne sekcje,
Biura i Wydziały,
Szefów i Dyrekcje.

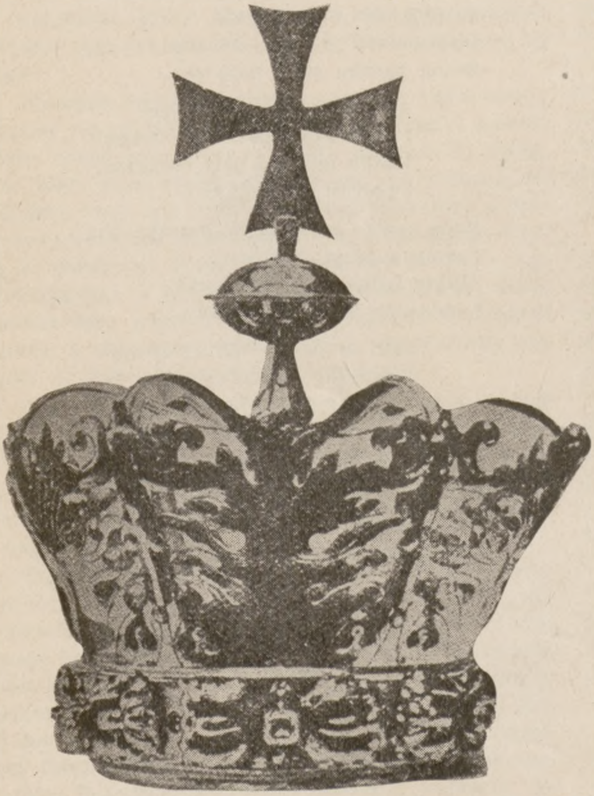
I nie od parady
Piastują swe teki,
Ministrowie Robót,
Pracy i Opieki.

Gdy w każdym "resorcie"
Praca idzie żwawa,
Nie dziw, że życzeniem
Rozbrzmiewa Warszawa:

By każdy dygnitarz
Taki malowany,
Co prędzej się dostał
Do puszki blaszanej.

POLSKI GDAŃSK

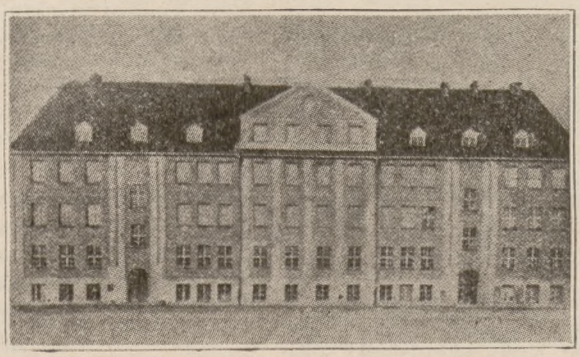
Godło państwowe Polski, umieszczone obok godła Wolnego Miasta Gdańska i złączone z tamtem w jedną całość — jako godło Rady portu w Gdańsku — oto symbol, który żywo przemawia do wyobraźni zwiedzającego Gdańsk Polaka. Orła Białego ujrzysz teraz w Gdańsku we wielu punktach miasta. Mamy tam cały szereg urzędów, skąd spogląda ku nam dumnie nasz Orzeł, ale nigdzie, jak na sztandarze Rady Portu, nie znajdziemy w Gdańsku lepszego symbolu, czem właściwie ma być współczesny Gdańsk. A patrząc na ten symbol, trudno jest nie poddać się sile sygestywnej polskości, która dostojną patyną przeszłości okryta, spogląda na nas z wielu, niezliczonych wprost zabytków Wolnego Miasta, Zielona Brama, która gościła przybywających do Gdańska królów polskich, kościoły, kaplice, przez królów naszych w Gdańsku fundowane, pomniki królów, wystawione w gmachach użyteczności publicznej przez wdzięczne mieszczaństwo gdańskie królom polskim, stare domy gdańszczan (przy ulicy Kowalskiej, na Rybnym Targu) z Orłem i Gryfem na szczycie, Korona króla Zygmunta na wieży Ratusza Gdańskiego, wreszcie cały szereg pamiątek, uosabiających ścisłą łączność Wolnego Miasta z Rzecząpospolitą w przeszłości — wszystko to razem budzi w nas niepokojące pytanie: czemu Gdańsk współczesny tak gwałtownie zaprzecza



Korona Króla Zygmunta na wieży ratusza gdańskiego



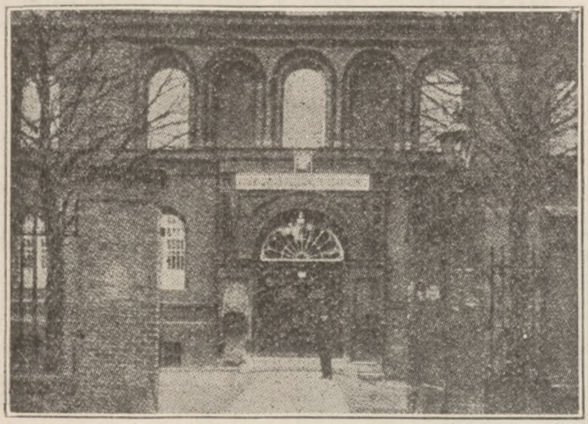
Flaga Rady Portu
Na fladze połączone są herby Polski i Gdańska



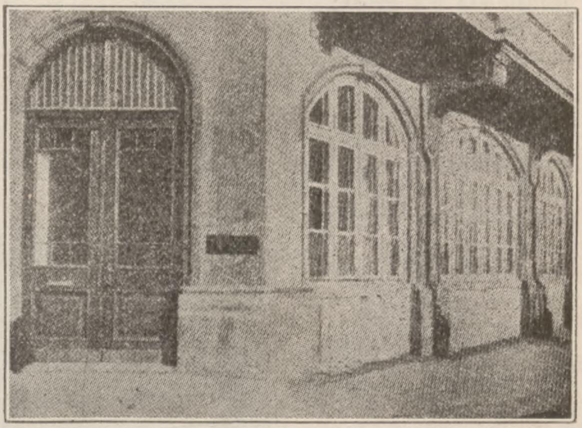
Gimnazjum polskie — Siedziba Macierzy

swym najlepszym tradycjom przeszłości, czemu tak zajadle chce wymazać ze swojej i naszej pamięci całe wieki, wiernego, lojalnego stosunku do Rzeczypospolitej?

Pamiątek tej przeszłości mamy w Gdańsku całe mnóstwo. Koloryt miasta jest cały polski w jego najciekawszych zabytkach, w gmachach, instytucjach. Naleciałości pruskie nie zdołają mimo wszystko zmienić tego kolorytu, choć pragnęłyby tego jak najbardziej. Obecnym władzom Gdańska jest nie na rękę nawet i to, że fotograf polski pragnie dokonać zdjęcia pomnika Augusta Mocnego w Dworze Artusa. Po co mają w Polsce wiedzieć, że podzień dzisiejszy w gmachu giełdy stoi pomnik króla, wystawiony przed wiekami przez wdzięczne Polsce mieszczaństwo gdańskie?

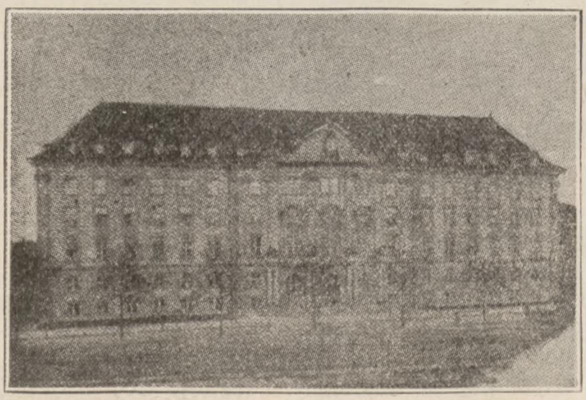


Poczta polska na placu Hevellusza



Polska Kasa Rządowa

Badając stosunki gdańskie, trudno jest nie zorjentować się, że ze strony polskiej nie wyzyskano od samego początku tych atutów, którymi państwo nasze rozporządzało, aby opanować dostatecznie sytuację. Można jedynie stwierdzić, że w ostatnich czasach nastąpił pewien zwrot. Zainicjowała go walka o skrzynki, z którego prestige państwowy polski wyszedł wzmocniony. Oddziałało to niewątpliwie na opinję Gdańska. Jeżeli nie wpłynęło na zmianę zasadniczego stosunku do Polski, który pozostał nadal z gruntu wrogi, to jednak zmusił Gdańsk do liczenia się z Polską. Odnosi się więc Gdańsk z szacunkiem do Polski. Jest to niewątpliwie postęp. Mając do czynienia przedewszystkiem z Komisarjatem Generalnym Rzplitej w Gdańsku, musi więc senat po incydencie pocztowym, odpowiednio z nim postępować.



Polska Dyrekcja kolejowa

Czemże jest ten Komisarjat? Komisarjat Generalny Rzplitej w Gdańsku łączy funkcje polityczne z funkcjami zwierzchniego nadzoru nad wszystkimi urzędnikami polskimi w Gdańsku. Komisarjat dzieli się na trzy wydziały: polityczny, traktatowy i konsularny. Na czele Komisarjatu stoi Komisarz Generalny, minister Henryk Strassburger.

Komisarjat Generalny sprawuje funkcje zwierzchniego nadzoru nad wszystkiemi urzędami Rzeczypospolitej w Gdańsku. Urzędy te działają, oczywiście, samodzielnie i tylko pod względem politycznym podlegają Komisarjatowi. Jakie to mianowicie urzędy?

Na plan pierwszy wysuwa się Gdańska Dyrekcja Kolejowa, obejmująca Gdańsk i pod względem administracyjnym całe Pomorze. Jest to olbrzymi aparat, funkcjonujący świetnie pod kierownictwem prezesa dyrekcji p. Czarnowskiego. To, że siedzibą tej dyrekcji kolejowej jest Gdańsk, posiada dla miasta olbrzymie znaczenie gospodarcze. Dyrekcja kolejowa wpływa dodatnio na rozwój gospodarczy miasta, czego najlepszym dowodem jest, że kilka aż miast pomorskich, z Bydgoszczą na czele, zabiegają od dłuższego czasu o przeniesienie dyrekcji do tych miast. Rozumieją one słusznie, że ulokowanie dyrekcji w danem mieście musi pociągnąć za sobą rozkwit i wzbogacenie jego ludności. Cały spór między Polską i Gdańskiem w sprawie kolei polega na tem, że Gdańsk domaga się odrębnej dyrekcji dla terytorjum Wolnego Miasta to jest wyodrębnienia Gdańska pod względem kolejowym z Pomorza. W konsekwencji, gdyby Polska uwzględniła tę fanaberję, musiałoby to doprowadzić do powiększenia i tak już znacznego deficytu, jakie daje skarbowi utrzymanie kolei gdańskich. Obecnie ma Gdańsk zapewnioną doskonałą

komunikację z Polską i zagranicą, nie ponosząc żadnych kosztów.

Polska dyrekcja pocztowo-telegraficzna, na czele której stoi prezes Lenartowicz, ma za zadanie utrzymanie i doskonalenie komuikacji pocztowo-telegraficznej pomiędzy Polską, Gdańskiem a zagranicą.

Polska posiada w Gdańsku, włączonym — jak wiadomo — do polskiego terytorjum celnego, inspektorat celny, którego podwładni urzędnicy-polacy sprawują kontrolę nad urzędami celnemi gdańskiemi, pobierającemi cła dla Polski.

Rada Portu i dróg wodnych w Gdańsku jest wspólnym polsko-gdańskim organem, zarządzającym portem, kanałami i drogami wodnemi. Obie strony posiadają w Radzie pięciu przedtawicieli. W razie niezgody pomiędzy delegacjami rozstrzyga Prezydent Rady Portu, z reguły Szwajcar. Zakres działania Rady Portu jest bardzo rozległy.

Z prac obecnych Rady Portu wymienimy budowę basenu dla amunicji polskiej na Westerplate. Miejsce to zostało przeznaczone na ten cel przez Radę Ligi Narodów. Pracę tę prowadzi we własnym zakresie i na własny rachunek Rada Portu. Prace koło budowy portu amunicyjnego powierzono firmie warszawskiej. Stan robót posuwa się poważnie naprzód.

Udział Gdańska w zarządzaniu sprawami portu jest dalszym dowodem życzliwości ze strony Polski dla Wolnego Miasta. Polska bowiem, na podstawie art. 104 Traktatu Wersalskiego była uprawniona do objęcia w wyłączne posiadanie portu gdańskiego. Zgodziliśmy się jednak w późniejszych konwencjach na dopuszczenie delegacji gdańskiej do współzarządzania portem. Okazało się jednak, że Gdańsk widział w tem świetną okazję do sabotowania praw Polski. Były więc wysuwane stale trudności, które obecnie należą jednak do przeszłości.

Polski urząd marynarki handlowej w Gdańsku, spełnia te czynności, jakie przypadają normalnie na urzędy marynarki handlowej w porcie. Są to przeważnie funkcje administracyjno-nadzorcze w stosunku do okrętów pod flagą polską.

Poza tem posiada Polska w Gdańsku własną Kasę urzędową, przedstawicielstwo Urzędu Emigracyjnego w postaci attache emigracyjnego, który ma sobie powierzoną opiekę nad wychodźtwem polskiem i reemigracją.



Polska skrzynka pocztowa przy Gmachu Dworca Centralnego w Gdańsku

Urzędy polskie w Gdańsku mieszczą się wyłącznie w gmachach, będących własnością państwa polskiego,a przyznanych nam na mocy traktatu. Wobec wręcz wrogiego stanowiska, zajmowanego przez Senat wobec mniejszości polskiej i jej potrzeb kulturalnych, widział się Komisarjat zmuszony odstąpić niektóre gmachy państwowe polskie oraz zabudowania i place na cele kulturalne polskie w Gdańsku.

Z pośród instytucji i organizacji polskich w Gdańsku na plan pierwszy wysuwa się Polska Macierz Szkolna. Macierz Polska w Gdańsku spełnia od kilku lat zadanie organizatorki polskości, coraz bardziej zagrożonej.

Najpierw więc założono gimnazjum. Jest ono szkołą prywatną, a poziom szkoły jest bardzo wysoki. Siły nauczycielskie, wyłącznie z Polski pochodzące, są pierwszorzędne. Gmach uzyskano od rządu za niską tenutę dzierżawną. W tymże gmachu mieści się Macierz Szkolna.

Gimnazjum liczy obecnie 365 uczniów i uczenic. Chłopców jest około 60 procent. Klasy są równoległe dla chłopców i dziewcząt, za trzy lata wyłoni się więc z tego gimnazjum — szkoła średnia żeństka, i szkoła średnia męska. Szkoła liczy obecnie 14 profesorów, na czele szkoły stoi dyrektor Ziemkowski, znakomity pedagog.

Na gimnazjum nie kończy się troska o polskość. Mamy już obecnie na terenie Wolnego Miasta 8 ochronek, prowadzonych przez zakonnice. Duch polski w szkołach, przez Macierz utrzymywanych, jest silny i budzący najlepsze nadzieje. Dzieci, uczęszczające do Gimnazjum, ustanowiły między sobą karę za wtrącanie słów niemieckich do rozmowy. Kara ta jest kompensatą za "zdradę" popełnioną przez posługiwanie się w mowie potocznej językiem niemieckim. A trzeba pamiętać, że wiele z tych dzieci, gdy je zapisywano do Gimnazjum, niewładało wcale językiem polskim.

Wkrótce będą zorganizowane przez Macierz szkoły zawodowe dla dzieci polskich — oraz średnia szkoła handlowa. Dla tego celu ma być użyty gmach, zakupiony w swoim czasie przez znanego przemysłowca łódźkiego p. Edwarda Heymana. W ten sposób powstaną kadry polskiej inteligencji

Powoli wytwarzają się formy współżycia pomiędzy Komisarjatem a Senatem. Stosunki pomiędzy licznymi w Gdańsku konsulami obcymi a Komisarja-

tem i jego współpracownikami są bardzo poprawne i przyjazne.

Dużo młodzieży polskiej studjuje na politechnice gdańskiej. Może ona z czasem przyczynić się do zasilenia pod względem liczebnym inteligencji polskiej. Młodzież ta, obeznana doskonale z warunkami miejscowymi, powinna, o ile po ukończezniu studjów zamierza osiąść w Gdańsku, stać się łącznikiem pomiędzy kulturą polską, a miejscową ludnością polską. Zdaje się, że w pewnym stopniu zanosi się na to. Już sama obecność młodzieży polskiej w Gdańsku, czego dawniej nie znano tutaj, jest zjawiskiem dla polskości dodatnim.

Komisarjat Polski zdołał zwłaszcza w ciągu ostatniego roku pozyskać sobie powszechny szacunek zarówno wśród społeczeństwa gdańskiego, jako też wśród licznie w Gdańsku reprezentowanego korpusu konsularnego i obcego świata kupieckiego. Już się też nie mówi z przekąsem o władzach polskich, jak dawniej. Już widać tu i ówdzie pogodzenie się psychiczne z obecnym stanem rzeczy, przy którym jest nie najgorzej, a mogłoby być znacznie lepiej, gdyby nie brużdżono bezustannie z tamtej strony granicy...

Francja

(Na narodowe święto francuskie 14 lipca)

O wielka Francjo, dzisiaj twoje święto:
Siostra twa, Polska, dziś z hołdem przychodzi.
Przed twą chorągwią, nad światem rozpiętą,
Pochyla czoło. — Wśród wieków powodzi,
Przez krwi, łez morza, walk, bojów lawiny,
Zawsze przez Franków wstają Boże czyny.

Pan wszak rozkazał tak, a moce żadne —
Ziemskie, piekielne, Judy, ni masona —
Nigdy Jej ducha stargać nie są władne,
Chwila — a Francja znowu uskrzydlona,
W natchnień a w czynów powraca krainy.
Zawsze przez Franków wstają Boże czyny!

Tak było i tak będzie. Ludwik święty,
Joanna, Bayard, Napoleon Wielki —
To ręką Bożą na wieków odmęty
Dla szczytnych celów — tęczowe kropelki,
Rzucone Francji w dziejowe godziny:
Zawsze przez Franków wstają Boże czyny!

Dziś święto Francji! Hołdy, salwy, dzwony....
Siostra twa, Polska, czoło pochyliła,
Bo kocha, ufa, trwa.... Precz Teutony!

Patrz: Nieznanego żołnierza mogiła,
Tam — nad Sekwaną, tu nad Wisłą: Syny
Francji i Polski, przez was Boże czyny!

Bożymir.

COŚ OKROPNEGO

Nowelka do Kalendarza

Otrzymałem honorarjum dosyć pokaźne od Redakcji "Dziennika Związkowego" w sam raz, ponieważ przednowek w mojej chacie był u szczytu, a nie miałem ani jednego grosza, ani jednej kruszyny chleba dla dzieci, które uporczywie jeść wołały. To też wielką wdzięczność uczułem w sercu, duszy, a nawet w żołądku moim, znękanym przednowkiem, że mi pan Redaktor kochany w tak skrajnym położeniu moim, z honorarjum pośpieszył. Oprócz jednak radości, wdzięczności, uczułem także skrupuły sumienia, że na to honorarjum rzetelnie nie zasłużyłem, ponieważ tak mało przez wiosnę, no i słabo w Dzienniku Związkowym pisałem, jako to zapewne kochani czytelnicy "Dziennika Związkowego" zauważyli. Nie miałem nijakiego polotu do pisania z powodu owego przednowku, który głodowe rekolekcje, tak dokuczliwie tegorocznej wiosny z moją rodziną odprawiał.

— Chwała Bogu — myślę sobie, trzymając w ręku przekaz, wpatrzony w cudowną na nim wypisaną cyfrę 230 złotych — przednowek już djabli wezmą, bo pieniądze są, a i żytko, pszenica, srebrnymi, złotymi kłosami dzwoni, szumi, na wąskim, a długim staju, jak złoty mur, za chałupą koło miedzy; pojutrze trzeba go zacząć kosić.

— Stasiu — mówię do średniego syna — zbieraj się, pójdziesz na pocztę po pieniądze, a z powrotem kupisz chleb cały, tytoniu paczkę iii... iii... co to jeszcze...

— Kilo cukru, kilo ryżu, kilo mąki i kilo soli, dokończyła moja żona Magdusia, czemu nie zaprotestowałem, będąc takim Krezusem, co aż 230 złotych gotówki posiada. Poderżnąłem się na amerykańskim przekazie zamaszyście, z krętym wywijasem, jak minister Grabski na stu-złotowej nocie bankowej, a Staś już zebrany, bo tylko to, co miał na sobie, połatane "portczęta" i bluzczynę, posiadał, w dyrdy na pocztę poleciał, ucieszony, że chleb cały przyniesie i ubranie do kościoła będzie miał nowe, bom mu je obiecał, jak pieniądze z Ameryki przyjdą. Za półtorej godziny Staś już był z powrotem z poczty. W chuście zawiązane, przysmyczył cały chleb, cukier, mąkę, sól, tytoniu paczkę, którego dwa dni byłem spragniony i wręczył mi zwitek złotych, oraz list, który nadszedł równocześnie z pieniędzmi od Pana Kasjera Paszkowskiego. Co za szczęśliwe złożenie — ja mieszkam w Paszkówce i Pan Kasjer "Dziennika Związkowego", który mi od czasu do czasu honorarjum wysyła, nazywa się Paszkowski...

Magdusia migiem chleb rozkrajała na małe, większe, średnie i duże kawałki, bo rodzina moja składa się począwszy od półrocznego Julusia, w kołysce, dwuletniego Edzia, pięcioletniej Wisi, czyli Jadzi, czternastoletniego Stefka, piętnastoletniego Staszka, siedmnastoletniego Tadka i dziewiętnastoletniej Zochy, którą wydałem za mąż za dyrektora "Rozwoju" i redaktora gazety "Rozwój", wojującego z żydami w Warszawie i całej Polsce. Zocha przed paru dniami przyjechała do domu od siostry męża, nauczycielki w Buczkowicach, koło Bielska, u której była na kursie gotowania, gospodarstwa domowego i obejścia między miastowymi ludźmi, a ma już ostatecznie wyjechać do męża w Warszawie. Mnie jako głowie i chlebodawcy rodziny, ukroiła żona najpierw i największą piętę z tego pożądanego chlebusia.

Jakie te dzieci podczas przednowku chciwe na chleb! Nawet ten półroczzny w kołysce Juluś, gdy mu Magdusia do piąstki włożyła listek chleba, począł go chciwie mamlać...

Przeczytałem list od Pana Kasjera Paszkowskiego, w którym mi pisze, bym przygotował jaką piękną nowelkę do mającego się już drukować "Kalendarza Związkowego" i abym więcej i częściej przysyłał swe utwory, to i honorarjum będzie częściej przysyłał dla mnie.

— No, musisz się Jantku z tą nowelką postawić — myślę sobie — i z pisaniem poprawić, to żeby nie pieniądze z "Dziennika Związkowego", to kiepściutko byłoby z tobą! Cały dzień przy robocie myślałem, szukałem tematu do owej nowelki, ale jakoś nie mogłem ani w duszy ani w sercu moim wyszukać, aby wieczór, gdy się moja rodzina spać położy, zacząć pisać ową nowelkę. Przewędrowałem myślą całe moje życie, kombinowałem różne zdarzenia, uczucia, przejścia, dolę, niedolę moją i moich bliźnich, nic a nic nie mogłem na temat do przyszłej nowelki wyszukać codziennem myśleniem. Może wieczór—myślę sobie, gdy siędę z piórem przy stoliku nad gotowym do nowelki skrawkiem papieru, temat się znajdzie; zacznę galopować piórem i na rano nowelka jak cacko będzie gotowa.

Po wieczerzy ryżowej na mleku, rodzina moja zasnęła momentalnie, a ja zasiadłem do pisania przy lampce naftowej, na stoliku pod oknem. Zacząłem skupiać myśli, ale goniąca jak warjatka koło lampki ćma poczęła mię irytować i przeszkadzać w myśleniu. Co ją odpędzę, to już koło lampki furkota, tańcuje jak opętana. Chwyciłem ją, otworzyłem okno i wyrzuciłem warjatkę na pole. Skojarzył mi się nareszcie w myśli, temacik, który wygrzebałem w kąciku serca mego, ukryty z czasów, kiedy to w mojej żonie Magdusi, kochałem się i co wieczór wiosenną porą w jej chaty okienko pukał. Zacząłem pisać, ale znów mały półroczny Edwardek przebudził się w kołysce. Piszę, a nogą kołyskę rucham, lecz Eduś zaczyna od "pianissimo" począwszy do coraz większenie "forte" płakać. Opatrzyłem go w kolebce czy się nie "podsiusiał" i tak rzeczywiście było, podłożyłem pod niego suchą pieluszkę, włożyłem mu do buzi smoczek uwa-

lany cukrem, kołyszę nogą i piszę dalej. Eduś mlaskał chwilę, dopóki smoczek był słodki i znów zaczął krzyczeć ale to od razu "forte" ile mu dzióbka starczyło.

— Cicho raku! Krzyknąłem rozgniewany aż się żona na łóżku koło kolebki śpiąca przebudziła.

— Rób tak z tym rakiem, mówię zły do żony, żebym miał spokój, nie darł się mi za uszami! Żona zaczęła mu śpiewać nutą senną, wysunęła nogą z pod pierzyny i kołysze nią Edusia w kolebce.

Ja czytam co napisałem ale niezadowolony z tego podarłem świstek papieru ze złością, zmiąłem i rzuciłem gałkę z niego przed piec. Eduś szczęśliwie usnął, żona Magdusia także, a ja zacząłem myśleć nad innym tematem do nowelki, lecz mi znowu zaczęła przeszkadzać bieluchna, zgrabna, tłuściuchna nóżka Magdusi, którą, usnąwszy zapomniała pod pierzynę schować....

Zmrużyłem oczy, by mię nóżka Magdusi żony kochanej, nie wodziła na pokuszenie i myślę, myślę... myślę o nowym temacie do nowelki i mimo woli o nóżce Magdusi... Myślę... myślę Ktoś zapukał do drzwi z pola. Pewnie policjant Franta, mój serdeczny przyjaciel, który ile razy idzie w okolicę patrolować nocą, przychodzi do mnie na pogawędkę. Otwieram drzwi do pola, a tu wchodzi trzech drabów do sieni. Jeden z nich przyłożył mi rewolwer do piersi i mówi: "Chodź z nami, mamy do ciebie interes". — W izbie mówi odrazu do mnie: "gdzie masz pieniądze".

Proszę się, sprawiam, że niemam ani grosza, bo ostatniego złotego dałem na chleb.

— Dawaj pieniądze, albo gadaj gdzie są, inaczej trupem padniesz! — krzyknął bandyta i lufką rewolweru stuknął mnie w piersi boleśnie. — Niemam, mówię bandycie ani jednego grosza. — Dawaj pieniądze, coś je odebrał po południu z poczty, mówi bandyta groźnie. Będę rachował do trzech, a jak pieniędzy gdy powiem trzy, nie będzie, w sam środek serca ci palę, rozumiesz! — Niemam mówię, bo już te pieniądze oddałem, mówię bandycie, dłużnikom, od których na przednowek pożyczyłem. — Zaraz się przekonamy, mówi mi na to bandyta i rachuje, raz... dwa... — są, są te pieniądze w stoliku, bierzcie je sobie. Jeden z bandytów wysunął szufladę w stoliku i pieniądze zabrał. Patrzę się na bandytów, posmoleni są sadzami, ale jednego z nich poznałem. Był to dawny kawaler mej żony Magdusi, z którą koniecznie chciał się żenić, ale ja go uprzedziłem. — Toś to ty Pietruszka? mówię. Bój się Boga, co ty robisz ze mną. — A! poznałeś mię bratku! Dobrze, teraz ty, twoja żona i twoje bąki, wszyscy zginiecie śmiercią, bobyście nas wydali! — Nie wydam, przysięgam się na duszne zbawienie. Nic nie pomoże, musicie wszyscy zginąć, mówi poznany przezemnie Pietruszka, ale wprzódy zabawię się z Twoją Magdusią bo mi jest dłużna. Pomimo opresji bandytów ze mną, żona i dzieci twardo spali. Pietruszka pakuje się ku Magdusi mojej na łóżko, gdy w tym czasie wchodzi do sieni policjant Franta, mój przyjaciel i paf! paf! paf! z rewolweru, kładzie trupem wszystkich trzech bandytów, a ja się obudziłem, bo to kochani czytelnicy zasnąłem z głową położoną na stoliku, szukając w myśli tematu do nowelki.

Przepraszam kochanych czytelników, żem ich wyprowadził w pole, ale że ten sen mój był prawdziwy, to ręczę rzymsko-katolickiem słowem honoru!

Jantek z Bugaja.

ZYCZENIA NOWOROCZNE KAŚKI MYRDALONKI BZDURZYNEJ

Raju boski! jej Maryja!!
Jak predziótko cas przemija,
Ta jak zeby szczelił z bata,
Nima wiesny, nima lata
Prec jus jesień moji ludzie,
Znowu z zimą idzie grudzień,
Jus kalendorz, nas Związkowy
Jest gotowy, na Rok Nowy.
Jus odchodzi do wiecności,
Ten rok stary, co przykrości,
Zrobiył światu sto tysięcy,
Abo nawet jesce więncy!
Ziemią tyrpoł, miasta walił,
Wodąm topił, ogniem palił,
Dął straśliwe huragany,
Jej Maryjo! gwołtu! rany!
Chwoła Bogu, brodziorz stary
Idzie wrescie jus na mary;
Nie płaccie go bo kaducny,
Niescęsny był i dokucny!
Niech nas grobarz Jantoni,
Pierzenąm na pogrzeb dzwoni
I starą juchę brodziatą,
Bez tyłek wyrnie łopatą!

* * *

Teros podpierąm se bocek,
Na Nowy Wam zycę Rocek,
Tyle scęścio przepowieści,
Co się w dusę, w serce zmieści
Sceśnie jak kwiat, wiesną z grusy,
Sypie sie do serca, dusy,
Rozjanieli Wam sumienie,
W dolary wypcho kiesenie!
Cytelnicy, Cytelnicki,
Wy z nasych stron, od Wielicki,
Z całej Polski wszyśkiem zyce,
Raj w Rok Nowy w Ameryce.
Lec kończąc to winsowanie,
Daję Wam ja przykozanie,
Byście wszyscy z obowiązku,
Zapisali się do "Związku",
Jak zrobicie w ten Rok Nowy
Związek choć milijonowy,
To co ino chcieć będziecie,
W Ameryce dokazecie!

J. z B.

Deportacja cudzoziemców, żebraków lub chorych na zaraźliwą chorobę

Niektórzy imigranci znajdują się w takiem położeniu, iż radziby skorzystać z bezpłatnej kuracji w szpitalach, ale nie mają odwagi do skorzystania z tego rodzaju pomocy, gdyż się obawiają, by po przekroczeniu progu szpitala nie zaraportowano ich do władz imigracyjnych i następnie nie deportowano z tego kraju. Więcej jeszcze jest takich, którzy nigdy nie pomyśleli i nie zastanowili się nad tem, że cudzoziemiec legalnie wpuszczony do tego kraju może być pod pewnymi warunkami deportowany, jeżeli np. stanie się ciężarem społeczeństwa, lub nawet bez tego, jeżeli zapadnie na suchoty, czy dostanie obłąkania. Jedni i drudzy nie zdają sobie sprawy z odnośnych praw imigracyjnych, które w pewnych wypadkach mogą mieć wielkie znaczenie dla imigrantów w tym kraju.

Kto Jest Ciężarem Społeczeństwa.

Prawo imigracyjne zastrzega wyraźnie, że "każdy cudzoziemiec, który stanie się ciężarem społeczeństwa z przyczyn, co do których nie można powiedzieć, iż powstały po jego wylądowaniu w tym kraju, może być deportowany kiedykolwiek przed upływem pięciu laty od chwili przyjazdu". A teraz zachodzi pytanie, co znaczy być ciężarem społeczeństwa? Każda osoba jest ciężarem społeczeństwa, która jakimkolwiek sposobem utrzymywana jest na koszt społeczeństwa. Przytem nie robi różnicy, czy osoba dana otrzymuje wprost pieniądze z funduszów publicznych, albo mieszkanie i życie w odpowiedniej instytucji publicznej, czy też korzysta z odpowiednich usług na koszt społeczeństwa, jak np. bezpłatny pobyt i leczenie w szpitalu. Rozstrzygającym tu jest fakt, że pomoc ta, bez względu na to, jakiego jest rodzaju, opiera się bezpośrednio, czy pośrednio na funduszach publicznych. Osoba dana staje się ciężarem społeczeństwa nie tylko wtenczas, gdy otrzymuje środki na utrzymanie wprost od rządu federalnego, stanowego, powiatowego, czy od miejscowych czynników rządowych, ale także pośrednio, gdy pomoc ta nadchodzi z jakiejkolwiek instytucji, która czy to całkowicie, czy też częściowo opiera swoje istnienie na funduszach publicznych. Tak np. jeżeli ze skarbu miasta, powiatu, czy stanu idzie pewna suma na utrzymanie prywatnego szpitala, cudzoziemiec, otrzymujący bezpłatne leczenie w takim szpitalu jest ciężarem społeczeństwa. To samo można powiedzieć o różnych organizacjach dobroczynnych, domach dla ubogich, przytułkach dla sierot itp., utrzymywanych całkowicie, czy też częściowo z funduszów publicznych.

Wszystkie tego rodzaju rządowe agencje, czy instytucje, utrzymywane z funduszów politycznych, muszą raportować Departamentowi Pracy w Washingtonie o każdym cudzoziemcu, któremu udzielają pomocy. Prywatne instytucje, utrzymywane całkowicie z prywatnych funduszów, czy składek, nie są obowiązane do składania tego rodzaju raportów. Mogą one dawać wsparcie komukolwiek i ten kto otrzymuje od nich pomoc, nie jest ciężarem społeczeństwa w rozumieniu prawa.

Kto Może Być Deportowany

Jak już wyżej zaznaczyliśmy, odnośne prawo zastrzega, że ten kto przed upływem pięciu lat od chwili przybycia do tego kraju, stanie się ciężarem społeczeństwa z przyczyn, co do których nie można powiedzieć, iż powstały po jego wylądowaniu, może być deportowany. Co to właściwie oznacza? Znaczy to, że cudzoziemiec, który stał się ciężarem społeczeństwa przed upływem pięciu lat od chwili przybycia do tego kraju, nie może być deportowany, jeżeli udowodni, iż przyczyny, które go do tego stanu doprowadziły, wyłoniły się po jego wylądowaniu w Stanach Zjednoczonych. To musi być udowodnione i wszelkie wątpliwości pod tym względem cudzoziemiec musi usunąć. Jeżeli dowodów takich niema, lub jeżeli istnieją wątpliwości, których cudzoziemiec nie może usunąć, wówczas powstaje wniosek, iż przyczyny, które doprowadziły cudzoziemca, że stał się ciężarem społeczeństwa, powstały przed jego przybyciem do tego kraju.

Odnośne paragrafy prawa imigracyjnego nie są dość jasne pod tym względem, gdyż zredagowane są w sposób dość ogólny. Parę jednak przykładów wyjaśni sprawę. Tak np. jeżeli cudzoziemiec znalazł się w szpitalu, ponieważ został ranny w wypadku, wówczas samo przez się rozumie się, iż przyczyna jego pobytu w szpitalu (wypadek) powstała po jego wylądowaniu w tym kraju i że wobec tego nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo deportacji. To samo można powiedzieć o cudzoziemce kobiecie, która przebywając już przez jakiś czas w Ameryce, znalazła się w położeniu, iż musiała otrzymać bezpłatną pomoc w szpitalu dla matek. Z drugiej jednak strony, jeżeli cudzoziemiec leczy się bezpłatnie w szpitalu z choroby (np. suchoty), której początki już miał przed przybyciem do tego kraju, może on być z całą pewnością deportowany, jeśli przed upływem pięciu lat od chwili przybycia stał się ciężarem społeczeństwa, chyba że przedłoży dowody, iż choroba jego powstała i rozwinęła się po jego przybyciu do Ameryki. W wielu wypadkach przedłożenie takich dowodów jest rzeczą wprost niemożliwą, a tymczasem wszelkie wątpliwości pod tym względem, jak już wyżej zaznaczyliśmy, działają na niekorzyść cudzoziemca.

Wątpliwości takie trudniej jeszcze przychodzi usunąć np. w wypadku takim, gdy cudzoziemiec otrzymuje publiczne wsparcie, gdyż sam nie może zapewnić sobie, czy też swej rodzinie utrzymania. Znalazłszy się w takiej sytuacji i chcąc uniknąć deportacji, musi on wykazać, iż przyczyny, które doprowadziły go do tego, wyłoniły się po jego przybyciu do

Ameryki. Wykazanie zaś tego jest często rzeczą niemożliwą.

Przeciwko cudzoziemcowi, o którym zaraportowano, iż jest ciężarem społeczeństwa, kroki celem deportowania go rozpoczyna Departament Pracy i po zbadaniu sprawy wydaje odpowiednie orzeczenie, względnie rozkaz deportowania. Dlatego też każdy cudzoziemiec, który przewiduje, iż może stać się ciężarem społeczeństwa, powinien zrozumieć i zapamiętać sobie to prawo, a w ten sposób może uniknąć w przyszłości niejednego przykrego zawodu.

Dalsze Przykłady Możliwości Deportacji

To samo można powiedzieć o cudzoziemcach, chorych na suchoty, na inne zaraźliwe choroby, na pomięszanie zmysłów, o cudzoziemcach chronicznych alkoholikach itp., jeżeli staną się ciężarem społeczeństwa. Ale w wypadkach takich należy jeszcze coś innego wziąć pod uwagę. Mianowicie prawo imigracyjne zastrzega, że cudzoziemiec, który w chwili lądowania należał w istocie rzeczy do jednej z klas, wykluczonych od lądowania, ale uniknął dokładnej egzaminacji, może być deportowany w przeciągu pięciu lat. Znaczy to, że cudzoziemiec taki, nie zbadany należycie i dzięki temu przepuszczony do Stanów Zjednoczonych, może być deportowany przed upływem pięciu lat jego pobytu w tym kraju, jeżeli w międzyczasie wykaże się, iż należał on w chwili lądowania do jednej z klas, wykluczonych przez prawo imigracyjne. Między innymi prawo to wyklucza następujących: idjotów, słabych umysłowo, epileptyków, chorych na pomięszanie zmysłów, chronicznych alkoholików, osoby dotknięte suchotami w jakimkolwiek stopniu i formie choroby i na zaraźliwe i niebezpieczne choroby. Do innych klas imigrantów, którym prawo zabrania wstępu do tego kraju, należą ci, którzy według wszelkiego prawdopodobieństwa, mogą się stać ciężarem społeczeństwa, jak np. żebracy, prostytutki, anarchiści, robotnicy kontraktowi itp.

Z powyższego zatem wynika, że jeżeli cudzoziemiec zachoruje poważnie na suchoty, lub na pomięszanie zmysłów, grozi mu niechybna deportacja nawet gdyby nie był ciężarem społeczeństwa, pod warunkiem atoli, że już w czasie lądowania miał początki owej choroby. To samo odnosi się do cudzoziemca, który następnie zapadł na inną chorobę zaraźliwą i niebezpieczną, co do której władze imigracyjne mogą przypuszczać, iż istniała już do pewnego stopnia w chwili jego wylądowania w tym kraju. Co się zaś tyczy choroby pomięszania zmysłów, to władze imigracyjne niemal zawsze w takich wypadkach dochodzą do wniosków, iż przyczyny tej choroby istniały już przed przybyciem pacjenta do Ameryki.

Na wypadek deportacji cudzoziemca, chorego na zaraźliwą chorobę, czy na pomięszanie zmysłów, dla którego specjalna opieka okazuje się konieczna, prawo imigracyjne nakłada obowiązek na kompanje okrętowe dostarczenia i zapewnienia takiej opieki w czasie całej podróży aż do miejsca przeznaczenia. Czasami zdarza się, iż stan zdrowia danego cudzoziemca staje na przeszkodzie jego deportacji, bywa to mianowicie wówczas, gdy są poważne obawy, że podróż może zagrozić jego życiu, lub też niebezpiecznie pogorszyć jego zdrowie.

Ci, Co Mogą Stać się Ciężarem Społeczeństwa

Imigranci, którzy w opinji urzędnika imigracyjnego mogą według wszelkiego prawdopodobieństwa stać się ciężarem społeczeństwa (likely to become a public charge), mają również zabroniony wstęp do tego kraju. Każdy cudzoziemiec, który z tego czy innego powodu uważany jest przez władze imigracyjne za niezdolnego do zapewnienia sobie utrzymania, lub gdy nikt nie gwarantuje za jego utrzymanie, i wobec tego może niebawem stać się ciężarem społeczeństwa, jest wykluczony, lub może być wykluczony od lądowania. Jeżeli jednak dostanie się mimo to do Ameryki, może on być w każdym czasie deportowany przed upływem pięciu lat od chwili przybycia do Stanów Zjednoczonych.

Większość deportowanych należy właśnie do tej klasy. W roku fiskalnym 1923-4 rząd amerykański deportował ogółem 6,409 osób. Z tego 4,294 osób należało do tych, którzy absolutnie powinni byli być wykluczeni od lądowania, a 2,092 należało do tej klasy, którą prawo imigracyjne określa, iż "według wszelkiego prawdopodobieństwa mogą stać się ciężarem społeczeństwa". Z drugiej strony deportowano 716 osób, które stały się ciężarem społeczeństwa z przyczyn, istniejących już przed przybyciem do tego kraju. Przyczyny zaś te przedstawiły się jak następuje: chorych na pomięszanie zmysłów 591, słabych umysłowo pod innymi względami 35, chorych na suchoty 24, chorych na inne choroby zaraźliwe i niebezpieczne 14, kobiet brzemiennych 3, z innych przyczyn 49.

Marja Konopnicka.

PÓJDĘ JA DROGĄ...

Pójdę, ja pójdę, drogą daleką,
Po górach wichrem, po nizinach rzeką.
Po chatach pieśnią, po polach ciszą,
Gdzie się na roli zboże kołysze.

Pójdę, ja pójdę, szumem do boru,
Jasnością we dnie, cieniem z wieczoru,
Po łąkach pójdę przędzą pajęczą,
W pogodę zorzą, po deszczu tęczą.

Po sercach pójdę snami cichemi,
Po myślach gwiazdą, co w dali mruga,
I tak po całej obejdę ziemi,
Jako szeroka i jako długa.

I łzy pozbieram jak gorzką rosę,
I w obu dłoniach pełnych poniosę
Do tych dalekich świtu promieni,
Co się od nich wschód rankiem mieni.

Może mnie dojrzy przyszłych dni słońce,
Nad mogiłami w dali wschodzące,
Może wypije łzy jasność cicha,
Z rąk mych, jak rosę z kwiatów kielicha.

Milwaukee — niemieckie Ateny w Ameryce

Milwaukee co do liczby ludności jest trzynastem z rzędu miastem w Stanach Zjednoczonych. Obecnie liczy blisko pół miljona mieszkańców. Nazwa jest indyjska i oznacza "Dobry Kraj", lub "Dobrą Ziemię". Ten "dobry kraj" ujrzał najpierw ksiądz Jacquez Marquette w podróży do Chicago i w pamiętniku jego o nim znajduje się wzmianka. Ksiądz Marquette był misjonarzem francuskim z zakonu Jezuitów, a także amerykańskim odkrywcą. Towarzyszył on w podróży odkrywcy Jolietowi w jego podróży w głąb Wisconsinu i do rzeki Mississippi i następnie wyprawę tę opisał. Osadnictwo białych rozpoczęło się w roku 1818, gdy Solomon Juneaux pobudował sobie drewniany domek na wschodnim brzegu rzeki, znanej obecnie pod nazwą Milwaukee River. Później osadnicy biali osiedlili się na zachodnim brzegu tej rzeki, a także w okolicy na południe od rzeki Menomenee. Z tych wszystkich osad wyrosło miasto Milwaukee w roku 1845. Solomon Juneau został wybrany pierwszym mayorem miasta, które wówczas liczyło 9,500 mieszkańców. Na cześć pierwszego mayora wzniesiono następnie pomnik w parku Juneau. Około roku 1848 rozpoczął się wielki napływ imigrantów, przeważnie niemców, znanych jako Forty-Eighters. Byli to imigranci, którzy opuścili Niemcy po nieudałej rewolucji w roku 1848-49, i pomiędzy nimi znalazło się dużo jednostek zdolnych i przedsiębiorczych. Przyczynili oni się w znacznym stopniu do rozwoju miasta, które zaczęło rość szybko w ludność, bogactwo i kulturę.

Miasto Milwaukee położone jest na zachodnim wybrzeżu jeziora Michigan, nad ujściem trzech rzek, Milwaukee, Menomenee i Kinnikinnic. Rzeki te wpadają do zatoki, odznaczającej się wielką naturalną pięknością. Zatoka wrzyna się blisko na trzy mile w głąb lądu. Miasto samo usadowiło się na pagórkach i urwiskach, wznoszących się nad zatoką na wysokość od 85 do 150 stóp. Tutaj znajdują się przeważnie rezydencje, podczas gdy dzielnice handlowe i przemysłowe rozłożyły się na równinach poniżej. Dzięki temu, iż do budowy używają przeważnie cegły w kolorze śmietankowym, miasto posiada specjalny wygląd i stąd też znane jest jako "Cream City" (miasto śmietankowe). Bliskość jeziora Michigan wpływa ochładzająco w porze letniej, a także chroni ludność przed ostrymi mrozami w porze zimowej.

Trzynaście parków, pokrywających razem blisko 950 akrów ziemi, służy mieszkańcom za miejsce rozrywki. Najbardziej malowniczym jest Juneau Park. Sześć wielkich basenów utrzymuje miasto przez cały rok, dając sposobność mieszkańcom do pływania, a oprócz tego w lecie otwarte są dwa publiczne miejsca kąpielowe na wybrzeżu jeziora. Bibljoteka publiczna jest jedną z największych w całym kraju. Milwaukee posiada także wspaniałe muzeum, założone jeszcze w roku 1833. W związku z owem muzeum prowadzona jest praca odczytowa na wielką skalę. Sztuce muzyki miasto poświęca specjalną uwagę od dawna. Pierwsze towarzystwo muzyczne, pod nazwą Beethoven, zorganizowane zostało w roku 1843. Towarzystwo Milwaukee Music Society istnieje od roku 1850. Koncerty symfoniczne, urządzane w porze zimowej w każdą niedzielę po południu, cieszą się wielką popularnością i razem z towarzystwami muzycznemi podnoszą smak i kulturę muzyczną wśród mieszkańców. Milwaukee uposażone jest również w instytucje naukowe. Najważniejszą z nich jest Marquette University, największa instytucja naukowa w Wisconsin, z wyjątkiem uniwersytetu stanowego w Madison. Poza tem jest w Milwaukee Downer College dla kobiet, Kolegium Concordia (luterańskie), szkoła inżynierska i stanowe seminarjum nauczycielskie.

Można powiedzieć, że najważniejszym czynnikiem który przyczynił się najwięcej do rozwoju miasta, była i jest zatoka, dająca doskonały dostęp okrętom na przestrzeni 24 mil. Do portu przywożą okręty najwięcej węgla ze wszystkich towarów. Stosownie do statystyki urzędowej, Milwaukee figuruje na drugiem miejscu pod względem ilości dowożonego węgla ze wszystkich miast nad Wielkimi Jeziorami. Przemysł jest zróżniczkowany. Przemysł chemiczny jest wysoko rozwinięty, a pod względem produkcji motorcyklów Milwaukee przoduje światu. Inne gałęzie przemysłu również są poważnie reprezentowane, jak np. wyroby metalowe, mięsne, skórzane, wyroby z drzewa itp.

Jak już zaznaczyliśmy powyżej, element imigracyjny przyczynił się poważnie do rozwoju miasta. Przez długie lata ludność niemiecka miała taką przewagę nad innymi, iż Milwaukee otrzymało nazwę "Niemieckich Aten w Ameryce". Był czas, że liczba dzienników niemieckich przewyższała dwukrotnie ilość dzienników wydawanych w języku angielskim, a jeden z dzienników niemieckich, Milwaukee Herald, wydawany już jest od 74 lat. Po niemcach zaczęli napływać masowo polacy począwszy od roku 1872 i również przyczynili się w wielkim stopniu do rozwoju miasta. Dziś ludność obcojęzyczna (urodzenia za granicami tego kraju i ich dzieci) wynosi 77 procent całej ludności miasta.

Według statystyki urzędowej (rok 1920) urodzonych poza granicami tego kraju jest w Milwaukee 110,068, a mianowicie: niemców 39,771, polaków 23,060, rosjan 7,100, austrjaków 5,906, węgrów 4,803, czechosłowaków 4,497, jugosłowian 4,164, włochów 4,022 ,norwegów 1,852, szwajcarów 931, szwedów 863, duńczyków 732, rumunów 633, francuzów 565, holendrów 528, litwinów 398, finlandczyków 14ż. — Ludność obcojęzyczną obsługuje 12 pism obcojęzycznych, a mianowicie: 5 niemieckich, 2 polskie, 1 żydowskie, 2 czeskie i 1 słowenskie.

TEŻ LOTNIK

— Czy pan już jeździł aeroplanem?

— Nie jeszcze, ale będąc na wsi, już raz z dachu stodoły na łeb spadłem.

Tylko głupiec będzie wciąż opowiadał o tem, co zamierza zrobić, bo nawet kura gdacze wtedy dopiero, gdy już jajko zniesie.

Jak się prowadzi sprawy w sądach kryminalnych

Prowadzenie sprawy w sądach kryminalnych w Stanach Zjednoczonych różni się pod pewnymi względami od procedury kryminalnej w innych krajach. Ale i tutaj nie jest ono jednolite, gdyż w poszczególnych stanach zachodzą również pewne małe różnice. Dlatego też w artykuliku tym możemy podać tylko ogólne informacje na ten temat, po szczegółowe zaś trzeba się udać albo do dobrego adwokata, albo też do towarzystwa prawnej pomocy.

Pierwszym krokiem jest aresztowanie przestępcy. Osoba, wobec której dopuścił się ktoś kryminalnego przestępstwa, udaje się do sędziego policyjnego, lub do sędziego pokoju i otrzymuje tak zwany warant. Sędzia wręcza ów warant konstablowi, który wówczas roztacza zupełną kontrolę nad oskarżonym i osadza go w areszcie, gdzie go przetrzymuje aż do rozprawy, albo też gdy sprawa jest tego rodzaju, iż na to pozwala, przyprowadza go natychmiast przed sędziego policyjnego celem przeprowadzenia wstępnych przesłuchów.

Owe wstępne przesłuchy mają to na celu, by sędzia mógł się przekonać, czy oskarżyciel ma rzeczywiste podstawy przeciwko oskarżonemu. Strona oskarżająca musi być obecna i poprzeć swe zeznanie świadkami. Równocześnie oskarżony może być reprezentowany przez adwokata i może również postawić świadków.

Sędzia może zadecydować jak następuje: albo uwolnić więźnia z powodu braku dowodów przeciwko niemu, może go ukarać grzywną, skazać go na jakiś czas do więzienia, lub też zatrzymać i oddać sprawę do wyższego sądu. Nad tym ostatnim jego krokiem chcemy tutaj zastanowić się.

Z chwilą, gdy sędzia policyjny doszedł do przekonania, że sprawę należy oddać w ręce sądu, ogłasza wówczas wysokość kaucji sądowej (bail). Kaucję zwykle składają przyjaciele, krewni, czy znajomi oskarżonego, gwarantując przez to, że zjawi on się w sądzie, gdy otrzyma pozew. W niektórych jednak wypadkach, zwłaszcza gdy idzie o poważne przestępstwa kryminalne, jak morderstwo, kaucji składać nie można i oskarżony pozostaje nadal w areszcie aż do rozprawy sądowej.

W międzyczasie sędzia policyjny wysyła wszystkie dokumenty, odnoszące się do danej sprawy, do prokuratora okręgowego (district attorney). Prokurator jako urzędnik, reprezentujący stan, (w niektórych stanach znany jest pod inną nazwą), mając dowody w swem ręku, bierze całą sprawę w swe ręce, co jest jego obowiązkiem, gdyż za to otrzymuje stałą pensję. Strona poszkodowana nie ponosi od tego czasu zadnych kosztów.

Prokurator okręgowy posyła następnie po oskarżyciela i bada przedłożone przez niego dowody, by się przekonać, czy sprawa ma szansę powodzenia w sądzie, czy nie. Jeżeli dojdzie do przekonania, że dowody są niewystarczające, sprawa może być natychmiast ubita.

Upewniwszy się co do tego, prokurator odnosi się następnie ze sprawą do Grand Jury. Ciało to składa się z 23 osób, wybieranych od czasu do czasu z pośród obywateli danej miejscowości, którzy zbierają się do przesłuchania i rozpatrzenia faktów, związanych z daną sprawą kryminalną i do zadecydowania jako przeciętni obywatele, a nie jako adwokaci, czy prawnicy, czy dana sprawa przeciwko oskarżonemu jest właściwą, lub też czy nie została przedstawiona w takiem świetle, by oskarżonemu wyrządzić niesprawiedliwość, czy mu zaszkodzić. Grand Jury przesłuchuje tylko zeznania strony skarżącej i jej świadków i rozpatruje przedłożone dowody. Czasami sprawy kryminalne kończą się na przesłuchach przed Grand Jury.

Następnym krokiem jest tak zwany arraignment, czyli formalne rozpoczęcie procesu. Oskarżony staje w sądzie i sędzia zapytuje się go, czy popełnił zbrodnię, o którą jest oskarżony. Prokurator okręgowy składa przeciwko niemu Indictment, t. j. formalne pisemne oskarżenie, zaprzysiężone przez stronę oskarżającą. Pod odczytaniu owego oskarżenia, sędzia domaga się od niego, by powiedział wyraźnie, czy jest winny, czy nie. Jeżeli oskarżony odpowie, że jest winny, sędzia może natychmiast wydać wyrok i ogłosić karę. Gdy jednak odpowie, że nie jest winny, w takim razie albo ponownie idzie do więzienia, lub też za kaucją puszczają go na wolność aż do właściwej rozprawy sądowej.

Rozprawa jest najważniejsza z całej procedury. Odbywa się w sądzie w obecności sędziego i ławy przysięgłych. Oskarżony i jego adwokat (jeżeli ma adwokata) stają po jednej stronie, a prokurator okręgowy po drugiej. Celem owej rozprawy jest zadecydowanie, które fakty, odnoszące się do danej sprawy, są prawdziwe, a które nie i jakie prawo do sprawdzonych faktów należy zastosować.

Ława przysięgłych składa się z 12 osób. Nie można jej jednak utożsamiać z Grand Jury, o której wyżej wspomnieliśmy. Pierwszym krokiem w rozprawie jest wybranie 12 osób z pośród dość dużej grupy zaprzysiężonych i obecnych na sali sądowej. Klerk sądu odczytuje nazwiska zaprzysiężonych. Wówczas zarówno prokurator, jak i strona oskarżona mają prawo stawiania odpowiednich pytań każdemu z nich. Pytania te mają na celu upewnienie się, czy który z nich nie jest z góry uprzedzony do danej sprawy. Jeżeli czy to prokurator, czy strona oskarżona ma wątpliwości pod tym względem do danej osoby, nie może ona należeć do ławy przysięgłych.

Po wybraniu ławy przysięgłych, każdy z nich składa przysięgę, iż wyda sumienny i prawdziwy wyrok na podstawie faktów, które zostaną ujawnione i sprawdzone podczas rozprawy. Najpierw prokurator okręgowy wywołuje świadków i każdy z nich opo-

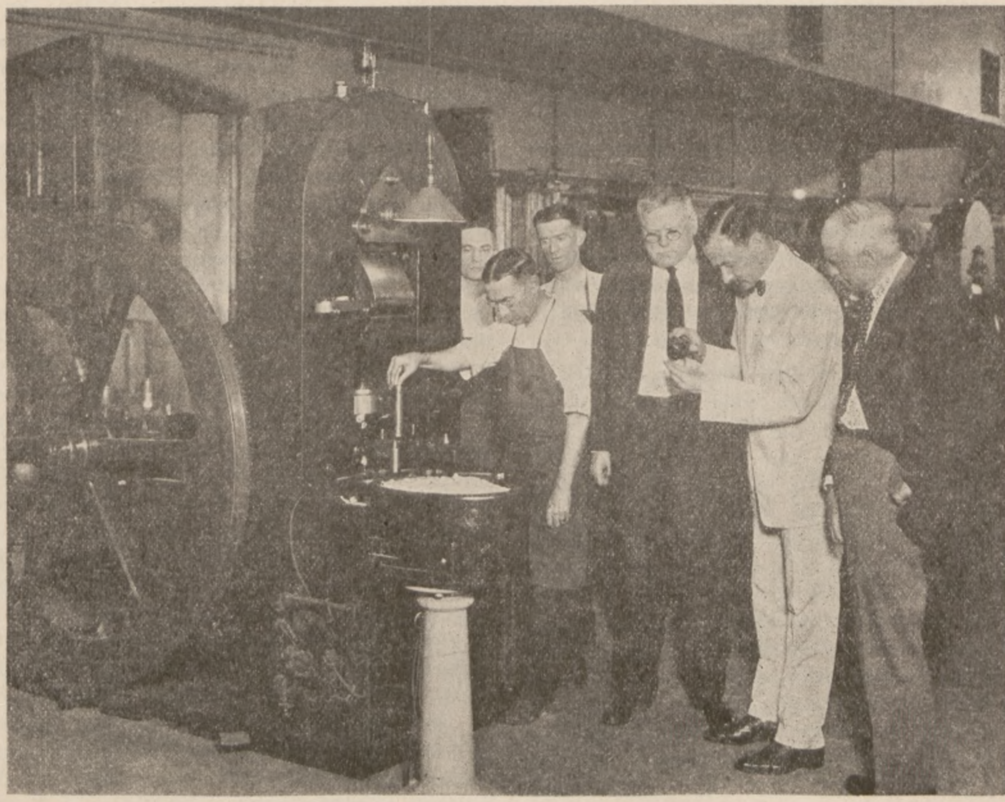
wiada, co wie. Następnie adwokat oskarżonego ma sposobność do stawiania świadkom pytań odpowiednich, t. zw. krzyżowych. Po wysłuchaniu świadków i po załatwieniu się z krzyżowemi pytaniami, adwokat oskarżonego rozpoczyna obronę.

Obrona może się opierać albo na pewnym punkcie prawnym, lub też na faktach, odnoszących się do danej sprawy. Tak n. p. obrońca będzie dowodził, iż prokurator nie przedłożył dostatecznych dowodów i faktów. Jeżeli mu się to uda, w takim razie sprawa może być na tej podstawie zadecydowana. Jeżeli jednak widzi, że argumenty jego są niewystarczające, wówczas wywołuje świadków obrony i każdy z nich opowiada, co wie. Teraz świadkowie obrony poddani są krzyżowym pytaniom prokuratora okręgowego.

Po załatwieniu się z tem, znów wyłania się kwestja prawna. Idzie o to, czy obrońca przedłożył dostateczne dowody uniewinniające, czy nie. Jeżeli oskarżony dowodów takich nie złożył, wówczas sędzia zwraca się do ławy przysięgłych i wzywa ich, by zadecydowali, które fakty są prawdziwe. Zwykle ława przysięgłych wychodzi ze sali sądowej, by na osobności zastanowić się i rozważyć całą sprawę. Wszyscy w poglądach swych muszą się zgodzić. Gdy już doszło do ogólnego porozumienia pomiędzy nimi, wówczas wracają do sali sądowej i ogłaszają swój wyrok: winny, lub niewinny, zależnie od zeznanych i udowodnionych faktów.

Tutaj rozprawa kończy się i oskarżony, jeżeli uznany jest niewinnym, otrzymuje wolność. Na wypadek uznania go winnym, odsyłają go do więzienia. Obecnie nastąpić może jedno z dwóch: albo sędzia ogłasza wyrok i karę, albo też obrona wnosi apelację do wyższego sądu, prosząc o ponowne rozpatrzenie sprawy, lub o uwolnienie oskarżonego. Apelacja opiera się na tem, że rozprawa sądowa nie była należycia prowadzona. Procedura, czyli metody i reguły, tyczące się prowadzenia spraw w sądzie, są bardzo zawikłane i są różne w różnych stanach. Dlatego też niemożliwą jest rzeczą omówienie procedury w tym artykuliku.

Bicie Brzęczącej Polskiej Monety w Ameryce



Sekretarz Polskiej Legacji w Washingtonie, p. Leon Orłowski, bada pierwszą polską monetę, wybitą w mennicy amerykańskiej w Filadelfji, Pa.

48,000.000 złotych polskich w srebrnej monecie zostało wybitych w Ameryce na zamówienie rządu polskiego i odesłanych do Polski w ubiegłym roku. 24,000.000 złotych i 12,000.000 dwuzłotówek wyszło z amerykańskiej mennicy w Filadelfji. W tym celu rząd polski zakupił od United States Smelting and Refining Company i Anaconda Company 6,000.000 uncji srebra i innych metali do domieszki. Każdy złoty zawiera w sobie 750 części czystego srebra i 250 domieszki. Złoty waży 5 gramów, a dwuzłotówka 10 gramów. Srebrne monety dla Polski były również bite w mennicach Londynu i Paryża, a złote monety wyłącznie w Polsce.

Żony i dzieci amerykańskich obywateli jako imigranci

Jeżeli cudzoziemiec został obywatelem amerykańskim po 22 września 1922 roku, żona jego nie nabyła przez to praw obywatelskich, ale dalej pozostała cudzoziemką, chyba że postara się o papiery obywatelskie niezależnie od swego męża. Jeżeli przebywa ona poza granicami tego kraju, a pragnie przybyć do Stanów Zjednoczonych, ma prawo do wizy, nie podpadającej pod imigracyjne prawo kwoty. To samo odnosi się do kobiety cudzoziemki, żyjącej za granicami tego kraju, która wyszła zamąż za obywatela amerykańskiego po 22 września 1922 roku. By sprowadzić żonę, mąż obywatel powinien wypełnić formularz No. 633 (który można otrzymać z Biura Imigracyjnego w Washingtonie) i przesłać go do Washingtonu z prośbą o zaliczenie żony do klasy imigrantów, nie objętych kwotą. Liczba kobiet, które mogą otrzymać wizę, nie objęta prawem kwoty, dzięki poślubieniu obywateli amerykańskich, jest bardzo ograniczona ze względu na nieprzychylne w tej sprawie stanowisko urzędów naturalizacyjnych. Od szeregu lat w pewnych dystryktach naturalizacyjnych egzaminatorzy występowali przeciwko nadawaniu obywatelstwa cudzoziemcom, których żony nie zamieszkiwały w Stanach Zjednoczonych. Obecnie we wszystkich dystryktach naturalizacyjnych kraju egzaminatorzy zajmują to samo stanowisko. Ostateczna decyzja w takich wypadkach zależy od sędziego. W niektórych wypadkach sędzia polega na zdaniu egzaminatora i odmawia wydania obywatelstwa aplikantom, w innych znów odrzuca rekomendację egzaminatora i wbrew jego stanowisku nadaje obywatelstwo aplikantowi.

* * *

Nie wszystkie jednak żony amerykańskich obywateli, urodzone za granicami tego kraju, zaliczane są do klasy imigrantów nie objętych kwotą. Te z nich, które wyszły za amerykańskich obywateli przed 22 września 1922 roku, uzyskały przez to samo amerykańskie obywatelstwo i pomimo że nie zamieszkują w Stanach Zjednoczonych nadal, są obywatelkami tego kraju i mają prawo do amerykańskiego paszportu. Jeżeli taka kobieta zamieszkuje w innym kraju i pragnie przybyć do Stanów Zjednoczonych, mąż jej powinien wysłać do Wydziału Kontroli Paszportowej przy departamencie stanu w Washingtonie swe papiery obywatelskie i metrykę ślubną z prośbą o wydanie jej paszportu amerykańskiego. Sekretarz Stanu na podstawie tej aplikacji upoważni konsula do wydania paszportu po odpowiedniem sprawdzeniu tożsamości danej osoby.

* * *

Co się tyczy sprowadzenia dzieci naturalizowanych obywateli amerykańskich, to należy zwrócić uwagę na następujące punkty: Prawo imigracyjne robi różnicę pomiędzy dziećmi, urodzonemi za granicą przed uzyskaniem papierów obywatelskich przez ojca, a dziećmi, urodzonemi za granicą po uzyskaniu papierów obywatelskich. Dziecko, urodzone za granicą po naturalizacji ojca, jest amerykańskim obywatelem i ma prawo wstępu do Stanów Zjednoczonych jako amerykański obywatel pod warunkiem atoli, iż przez jakiś czyn nie zrzekło się swego obywatelstwa. Natomiast dzieci, urodzone za granicą przed uzyskaniem obywatelstwa przez ich ojca, są uważane przez prawo imigracyjne za cudzoziemców tak długo, dopóki nie przybędą do tego kraju i nie zamieszkają w nim na stałe. Jeżeli takie dzieci w wieku poniżej 18 roku życia (i nie żonaty, lub niezamężna), mogą one przybyć do Stanów Zjednoczonych na podstawie wizy, wydawanej imigrantom, nie podpadającym pod kwotę. Jeżeli natomiast liczą więcej niż 18 lat, ale mniej, niż 21 (i nie żonaty, lub niezamężna) wówczas zaliczani są do kwoty, ale przysługuje im przywilej pierwszeństwa przed zwykłymi imigrantami w otrzymaniu wizy.

Rolnicy i pracownicy rolni jako imigranci

Nowe prawo imigracyjne, które weszło w życie z dniem 1 lipca 1924 roku, zapewnia przywilej pierwszeństwa tym imigrantom, którzy są zawodowymi rolnikami (skilled agriculturists) i pochodzą z kraju, którego kwota roczna jest najmniej 300 lub wyższa. A ponieważ kwoty prawie wszystkich krajów europejskich są wyższe od tej cyfry, wobec tego można śmiało powiedzieć, że europejscy farmerzy i pracownicy rolni w ogólności należą do tak zwanej klasy imigrantów uprzywilejowanych i podpadających pod kwotę. Według wyjaśnienia Biura Imigracyjnego, określenie "skilled in agriculture" oznacza nie tylko zawodowych rolników i pracowników rolnych, ale także leśniczych, ogrodników itp. Ilu imigrantów z tej klasy przybywa do Stanów Zjednoczonych?

Urzędowe dane za czas do miesiąca kwietnia wykazują, że Niemcy wysłały 9,769 zawodowych rolników, Szwecja 2,812, Polska 706, Włochy 301, Rosja 96, Rumunja 54, Węgry 36, Jugosławja 14, Czechosłowacja 2. Pewna ilość rolników przybywa również ze Szwajcarji, Danji, Holandji i Norwegji. Wygląda to na to, że w ciągu całego roku Niemcy i Szwecja wypełnią najmniej 25 procent swej kwoty tego rodzaju. Anglja jednakowoż stanowi wyjątek od reguły, opiewającej, iż północne kraje przysyłają największy odsetek ludności rolnej do Stanów Zjednoczonych.

Sytuacja w krajach południowo europejskich przedstawia się inaczej. Tutaj kwotę wypełniają przeważnie krewni obywateli amerykańskich, należąc do innej klasy imigrantów uprzywilejowanych. Dla przypomnienia zaznaczamy, iż prawo imigracyjne przewiduje, że 50 procent rocznej kwoty danego kraju mogą wypełnić dwie grupy imigrantów tak zw. uprzywilejowanych — zawodowi rolnicy i niektórzy krewni amerykańskich obywateli. Żadna z tych grup nie ma pierwszeństwa nad drugą. W krajach południowej i wschodniej Europy owe 50 procent kwoty, co do których pierwszeństwo mają zawodowi rolnicy i niektó-

rzy krewni obywateli amerykańskich, zostały już wypełnione na cały bieżący rok, a w pewnych krajach na rok następny, a nawet na kilka lat naprzód, przez podania, pochodzące przeważnie od osób, mających krewnych obywateli tego kraju. Wobec tego zawodowi rolnicy w tych krajach nie mają wielkiej szansy przyjazdu do Stanów Zjednoczonych nie tylko w roku bieżącym, ale także w następnych paru latach.

Ale z owego przywileju pierwszeństwa w otrzymaniu wizy przed innymi, korzystać mogą także żony i dzieci poniżej lat 16, jeżeli towarzyszą mężowi, czy ojcu w drodze, lub też jadą do Ameryki celem połączenia się z mężem, czy ojcem. Mylnie sądzili niektórzy imigranci i krewni ich w tym kraju, iż rolnicy muszą poprzeć swe podania o wizę dowodami, iż po przybyciu do tego kraju podejmą się pracy na roli. Dlatego też w niektórych wypadkach postarano się zgóry od dowody od pracowników farmerów w Ameryce i dowody te przedłożono amerykańskim konsulatom. Tymczasem dowody takie są w zupełnej sprzeczności z prawem imigracyjnym z roku 1917, które nie pozwala imigrantowi (z wyjątkiem księży, pastorów, służby domowej, profesorów i osób należących do innych zawodów wyzwolonych) staranie się naprzód o prace przed przybyciem do tego kraju. Ci, co się w ten sposób naprzód urządzają, mogą być zgóry przygotowani na to, iż wizy nie otrzymają. Dowody co do zawodu rolniczego zależą w zupełności od danego konsula. Wszyscy jednak konsulowie domagają się pewnych dokumentów, wykazujących, iż aplikant jest rzeczywiście rolnikiem z zawodu.

Samoloty bez pilotów

Technika żeglugi napowietrznej, opartej na działaniu fal elektro-magnetycznych, zaczyna w ostatnich czasach budzić coraz większe zainteresowanie. Pisma fachowe z tej dziedziny podkreślają usługi, jakie potrafią pod względem militarnym oddać samoloty, kierowane bez pilotów. Wskazują one na możność posyłania np. po 300 takich samolotów dziesięć razy w ciągu dnia nad stolicą nieprzyjaciela, gdzie każdy z płatowców mógłby rzucić po 1 tonie (1000 kg.) materjałów wybuchowych, nie narażając życia pilotów.

W czasie pokoju samoloty bezpilotowe mogłyby być niezmiernie użyteczne do lotów na duże odległości, np. z Nowego Yorku do Londynu. Samoloty takie, wiozące pocztę, mogłyby wzbijać się na taką wysokość, jakiej lotnik nie może znieść. Wówczas skutkiem zmniejszenia się oporu, jak również przewidywanych na tej wysokości bardzo silnych wiatrów, prędkość lotu mogłaby być rozwinięta do około 650 klm., na godzinę.

Lot, kierowany za pomocą fal elektro-magnetycznych, wysyłanych z odległego źródła, uważają fachowcy za praktycznie rozwiązany, — gdyż t. zw. "selectory" dają już obecnie możność usunięcia interferencji fal obcych, spotykanych przypadkowo lub wysyłanych celowo przez przeciwnika.

Dowodem sprawności działania takiego selektora było wykonane niedawno, doświadczenie przez gen. francuskiego Forrie z łodzią podwodną, kierowaną z samolotu, która miała atakować krążownik. Dowództwo krążownika uprzedzono o kierowanym z samolotu ataku łodzi i pozostawiono mu możność sprzeciwiania się atakowi przy pomocy jego własnej stacji radio-telegraficznej. Obrona ta jednak nie zdołała przeszkodzić atakowi.

Innem ważnem zagadnieniem omawianego lotu jest stateczność samolotu w locie; zagadnienie to zostało rozwiązane przez zastosowanie stabilizatora. Dalej sprawa wzlotu i lądowania nasuwała dużo trudności, gdyż zdarzało się, że samolot odrywał się od ziemi wpierw, nim osiągnął należytą prędkość. Trudność ta została usunięta przez ustawienie przyrządów anemo-metrycznych, połączonych ze stabilizatorami.

Bezpieczeństwo lądowania osiągnięto w sposób następujący: wprowadzono płozy około 6 stóp długości, które po dotknięciu do ziemi wyłączają wszystkie kontakty, zamykają dopływ mieszanki i stopniowo wyłączają po kolei rozmaite urządzenia stabilizacyjne. Odbywa się to wszystko nie raptownie, lecz z odpowiedniemi przerwami, zapewniającemi należyte, ostrożne lądowanie. W końcu włącza się hamulec samoczynny, zatrzymujący samolot na przestrzeni około 30 metrów.

Innym zakresem zastosowania płatowców bezpilotowych jest użycie ich do obserwacji meteorologicznych, gdy wzbija się je na pewną wysokość i na nich puszcza się w ruch rozmaite przyrządy rejestrujące. W niektórych wypadkach, gdy program działania samolotu jest ściśle ustalony, używa się do kierowania nim mechanizmu zegarowego z dziurkowaną taśmą, sterującą działanie odpowiednich motorów. Napęd taki zastosowano np. do takiego programu lotu: lot na północ w ciągu 5 minut, lot na półn.-wschód w ciągu 4 min., wzniesienie się do 1200 metrów, rzucenie bomb w pewnej chwili i powrót na miejsce wzlotu.

Ostateczne prace w dziedzinie lotów bezpilotowych wróżą nowej metodzie duże pole zastosowania zwłaszcza podczas wojny — do bombardowania — na co też w wielu krajach zwrócona jest baczna uwaga i prowadzone są wytężone studja w tym kierunku.

Przy kawie

— O rękę córki mojej starał się w tym sezonie w Mentonie jakiś Anglik.

— Co pani mówi?

— A podczas okupacji oświadczyło się jej kilku Niemców.

— Czy być może?

— Na balu poznała niedawno Francuza, który był gotów się żenić.

— No proszę?

— A w Zakopanem poznałyśmy bardzo miłego Rumuna, który...

— Niech pani dobrodziejka do pokój, bo to i tak już cała Liga Narodów.

Amerykanie o Muzeum Narodowem w Rapperswylu



Widok starego zamku, w którym mieści się Muzeum Narodowe w Rapperswylu (Szwajcarja) nad jeziorem Zurychskiem, które to Muzeum będzie niebawem przeniesione do Polski.

że Amerykanie zainteresowali się sprawą Muzeum Narodowego w Rapperswylu, na który przecie Brać Związkowa w latach dawniejszych złożyła tyle serdecznych ofiar, świadczy najlepiej następujący list, jaki otrzymała redakcja Zgody od pani M. Widmer z Leonia, N. J., wraz z fotografją zamku, w którym znajduje się Muzeum, a którą w reprodukcji obok zamieszczamy:

"Średniowieczny zamek w Rapperswylu, położony nad jeziorem Zurychskiem, który od długiego czasu znany był jako Polskie Muzeum Narodowe, utraci w niedługim czasie swoje skarby, które tak wiernie przechowywał przez kilka dziesiątek lat burz i zawodów, jakie naród polski musiał przeżywać.

Muzeum Narodowe w Rapperswylu zostało założone w 1870 roku przez hr. Broel-Platera, który z kilku współrodakami wydzierżawił nadszczerbiony zębem czasu zamek w mieście Rapperswyl na przeciąg 99 lat — jako bezpieczne schronisko dla przepięknych i bogatych zbiorów historycznej i artystycznej wartości, których początek datuje się do świetnych czasów Polskiej przeszłości.

Odnowiono starannie zamek, a podczas inauguracyjnych ceremonji podpisali dokument wszyscy obecni tam Polacy, że wszystkie skarby zgromadzone w tym zamku są i będą własnością całego Narodu Polskiego, a Muzeum to ma przypominać po wsze czasy, że naród Polski istnieje, że nie da się unicestwić, a skarby te i zbiory tak długo mają przebywać w zamku Rapperswylskim, jak długo nie będą mogły znaleźć dla siebie odpowiedniego miejsca na ziemi Polskiej.

Polska obecnie jest znowu niezawisłem państwem, stąd też cenne zbiory muzealne, które od 1870 roku znajdowały się w Rapperswylu, zostaną przeniesione niebawem do stolicy Polski, na ziemię, do której przynależą.

Obywatele miasta Rapperswil zamierzają stary zamek obrócić na siedzibę stałego Muzeum przemysłowego, skoro tylko rząd Polski zbiory muzealne z tego zamku zabierze i do Polski przewiezie.

Każdy, najbardziej przeciętny człowiek zwraca na siebie uwagę wszystkich trzy razy w życiu: w dniu urodzin, ślubu i pogrzebu.

* * *

Szczęśliwy jest ten człowiek, który zarabia więcej, aniżeli jego żona może wydać.

Jest rzeczą bardzo brzydką obmawiać ludzi za plecami, a rzeczą bardzo niebezpieczną mówić im prawdę w oczy.

* * *

Jeśli lekarz postępuje za trumną pacjenta, to przyczyna idzie za skutkiem.

CUD W KANIE GALILEJSKIEJ

Mam lat osiemdziesiąt,
Dosyć, jak na człeka,
Człek tu przeżył, a dyć nie wie.
Co go jeszcze czeka.

Tak było i ze mną:
Dyć wczoraj z wieczora,
Raczej w nocy, słyszę głosy
Z niebieskiego dwora:

— "Namozoliłeś się
Przy robocie w lesie,
Przynależy-ć to się, bracie,
Co nagrodą zwie się.

Rzecz najlepsza w świecie,
To dobra zabawa,
Myj se gębę, na otarcie
Nie żałuj rękawa.

Wdziewaj se porcyska,
Biedra przepasz sobie,
Byś wyglądał, jak w radości
A nie, jak w żałobie.

"Pójdziesz na wesele",
— "A kaj-że to Panie?"
— "W samej, głos się ozwie z nieba.
"Galilejskiej Kanie".

Jak-że tu nie słuchać,
Pańskiego rozkazu,
Wdziewam portki i koszulę
Z zapinką odrazu.

Idę do tej Kany,
Jeno-m nie wesoły,
Nie znam drogi, wtem przy sobie
Ujrzałem anioły.

Wzięli mnie pod ręce
Te święte hetmany,
— "A gdzież to mnie prowadzicie?"
— "A no gdzie? — do Kany".

Przestałem się martwić,
Wiem już, że nie zbłądzę,
Oni chatę mi pokażą,
Odemkną wrzeciądze:

— "Jeno mi powiedźcie,
Aniołowie święci,
Bo niejedno w starych leciach
Wyszło mi z pamięci:

Jaka-że tam będzie
Weselna gromada?
Czy też gazdzie z Poronina
Zasiąść tam wypada?"

— "Będzie tam Pan Jezus
W swoich żydów kole,
Obok niego zobaczycie
Lica apostole".

— "Co do Panjezusa
A juści, a juści:
Każdy rad jest, gdy go Jezus
Do siebie dopuści.

"Jeno ja tam w jakim
Wejdę charakterze?
Jako żyd, czy też apostoł,
Przyznajcie się szczerze?

"Jako żyd, przenigdy!
Apostoł, to jeszcze,
Chocia-m gazda". Takie w drodze
Szarpały mną kleszcze.

Przyszliśmy nareszcie
Do tej świętej Kany,
Siadam między Apostoły —
A nie w lud wybrany.

Rozglądam się wokół,
Wieńce i chorągwie,
Szkło na stołach, a po kątach
Stągwie, stągwie, stągwie.

— "Podajcie mi wina,
Aniołowie mili!"
— "Jakiegoście jeszcze trunku,
Nie pili, nie pili".

— "O macie racyjom,
Dyć to sama woda,
Jeszcze mi się nie zdarzyła
Podobna przygoda.

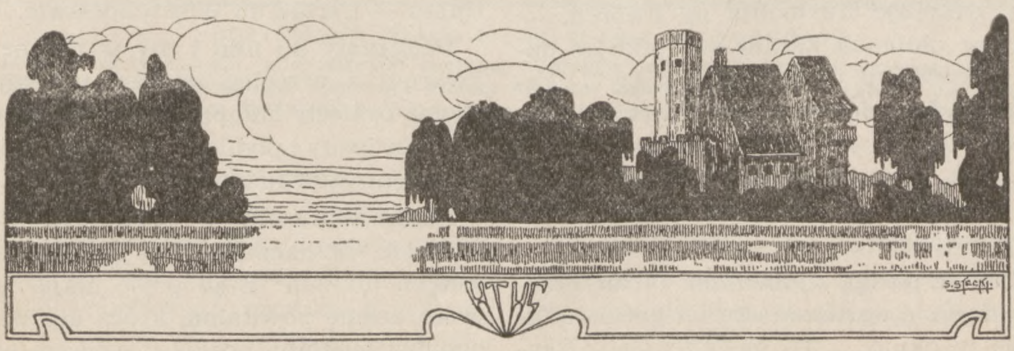
"Jeszcze-m ci nie chodził
Na chłopskie wesele,
Gdzieby było mało wina,
A wody tak wiele".

Mina moja była
Strasznie frasobliwa
Zobaczył to wnet Pan Jezus
I dokonał dziwa.

Stągwie poprzemieniał
Na butelki wina,
Aby miał się czem uraczyć
Gazda z Poronina.

Ten cud stał się w Kanie,
Jam był tego świadkiem,
A kto w cud ten nie uwierzy,
Dostanie po gładkiem.

1926 **Jan Kasprowicz.**



Uroczystości Reymontowskie w Wierzchosławicach

15 Sierpnia, 1925 roku.

Do Bogumiłowic, małej stacyjki na linji Kraków—Tarnów, przybyliśmy o 8-mej z rana warszawskim jubileuszowym pociągiem. W pociągu osób niewiele, — Kongresówka widocznie nie dopisała. Stąd refleksje i obawy co do udziału innych dzielnic.

Tymczasem na stacji wita nas barwny i ożywiony tłum, a drogą prowadzącą ku Wierzchosławicom sunie olbrzymi korowód ludzi.

Dzień jest słoneczny, przyduszny nieco, ale może właśnie przez to harmonizujący z sennym pejzażem równiny środkowej Małopolski.

Wysiadamy. Jesteśmy w jednym z najsilniejszych, najczystszych i najzdrowszych ośrodków Polski. Oto ojczyzna twardych "mazurów" tarnowskich, "mokrych bąków", jak ich zwała przedwojenna gwara żołnierska. Typ znany w całej Małopolsce i zapewne poza jej obszarem — z tężyzny, energji i uzdolnienia. Chłop tutejszy przedstawia już rasę swoistą, wykrystalizowaną — tak jak ją na całym obszarze Rzeczypospolitej polskiej znajdziemy może na jednych Kujawach i na Podhalu. Wiele wsi nie zna tu już karczmy żydowskiej — nie wie co to analfabetyzm.

Wreszcie tu wieś rodzima byłego premjera Rzeczypospolitej i przywódcy chłopskiego ruchu Wincentego Witosa, — dziś gospodarza Reymontowskich uroczystości.

"Witos", jak go krótko zwą tu i w całej Polsce, oczekuje Reymonta na dworcu. — Ubrany w ulubioną katanę wyczekując dostojnego gościa w otoczeniu "władzy", "komitetu" i "sfer miejscowych". Na twarzy ma uśmiech szeroki, pobłażliwy, gospodarski — w ruchach giest wielmożny, świadczący o nowej prawdzie, iż "chłop na zagrodzie równy wojewodzie".

Nadjeżdża pociąg z jubilatem. Blada, przejęta, widocznie wzruszona twarz gościa ukazuje się w oknie. ....To on.... to on.... Reymont! — słychać w przycichłym tłumie. — Reymont. — Słowo to dziwnie jakoś dobrze "leży" w ustach chłopskich.

Nie wszyscy zapewne z obecnych na stacji włościan, wpatrzonych ze skupieniem i z pokorną uwagą w postać jubilata, czytali "Chłopów". Ale niema tu takiego, ktoby sobie nie zdawał sprawy z istoty chwili, którą przeżywa. Wszak to on, Reymont, syn chłopski i wielki jakiś, bardzo wielki, przez świat cały honorowany pisarz. Za książkę o nich.... o chłopach.

Zaś dla nas paru "przedstawicieli prasy i literatury" — spoglądających na triumfalne powitanie Reymonta z kącika stacyjnego — chwila ta jest chwilą prawdziwego i głębokiego wzruszenia.

Oto poraz pierwszy w historji narodu przybywa sztuka polska na swoje wielkie dożynki. W zgodnym hołdzie przed steraną, spracowaną, tysiączną niedolą i wielorakiem cierpieniem przeoraną postacią "literata" — chylą się tu dostojne i wyniosłe głowy, pierwszych mężów Rzeczypospolitej. O uścisk jego dłoni zabiega każdy. Spojrzenie jego łowi tłum tysiączny.

A on, pełen wzruszenia i mimo całe przygotowanie na chwilę jedyną onieśmielony — radby wszystkich obdzielić sobą, wszystkich obdarować niewyczerpanym skarbem twórczego serca, którego mu się zdaje w piersi za mało.

Tusz powitalny — przejście przez szpaler tłumu — i jazda do Wierzchosławic.

Podążamy ku nim i my w różnorodnej i gwarnej a przecież zgodnej procesji ludu. Chaos orkiestr chłopskich zlewa się w jakiś szum śpiewny i płynie drogą zmieszany z korowodem barw ludowego stroju.

Punkt zborny dla delegacji i grup dożynkowych wyznaczono "na ścierniskach" u wstępu do wsi. Stąd pójść mają na sumę przez bramę powitalną, która dla wielu obchodów mogłaby posłużyć wzorem smaku i

skromnej dystynkcji. Choć pono jest to tylko zwyczajna drewniana brama, przykryta strzechą słomianą.

Reymont odjeżdża na krótki wypoczynek do Witosa. Korzystamy z przerwy, aby obejrzeć Wierzchosławice.

Wieś jest duża, rozłożona szeroko, opiera się o las, — od krańca jej do krańca trzeba odbyć marsz godzinny. Typ zabudowań mieszany od chałup ze strzechą słomianą, aż do krytego czerwoną dachówką domostwa. Najświeższego pochodzenia zdają się być chaty drewniane, podstawiste, szerokie o krótkim okapie i skromnej ornamentyce, jak gdyby zapożyczone z Sądeczczyzny. O drzewo z lasów, za które zginął Boryna — nie trudno widać dziś w Wierzchosławicach.

Na drogach i podwórkach czysto, gospodarstwa założone zamożnie i choć świeża biel chałup świadczy o jubileuszowych zabiegach wsi — przecież nie brak przed chałupami dobrze utrzymanych ogrodów, a w podwórzach soczystych trawników. — Krótko mówiąc, Wierzchosławice to pokazowa piękna wieś małopolska.

Opodal kościoła jest świeżo wybudowany obszerny Dom Ludowy o jasnych przestronnych izbach. Tam to zbiegają się wszystkie nici uroczystości.

Na ulicach rojno. Parę bufetów zaopatrzo-



DOŻYNKOWE WIANO WŁADYSŁAWA ST. REYMONTA

Stos wieńców dożynkowych, ofiarowanych autorowi "Chłopów" przez lud polski na uroczystości w Wierzchosławicach. — Po prawej ręce wielkiego pisarza minister oświecenia p. St. Grabski, po lewej szef depart. sztuki i kultury p. Skotnicki, p. Władysławowa Reymontowa, poseł W. Witos i wicemarszałek Sejmu Osiecki.

nych niezgorzej oblega tłum dobijający się o napoje. Sznury furmanek z bliższych i dalszych okolic przesuwają się drogami, aby w końcu zawinąć do ogromnego obozowiska pojazdów w głębi wsi. Bliżej centrum na gęstej trawce wyrychtował się rząd automobilów, przybyłych z grubemi rybami.

Suma nie bardzo przerzedza ulicę. Tłum zdaje sobie sprawę, iż kościół wierzchosławicki pomieści na dobrą sprawę parę tysięcy ludu a tu przybyło tego grubo ponadto — no i dzień upalny jest, jak się należy w Wniebowzięcie Najświętszej Marji Panny.

Zato po kościele cała ludzka nawała wyrusza w jednym kierunku, ku właściwemu stadjonowi uroczystości. Jest nim łączka, ujęta obramieniem liściastych alei, tuż opodal wsi. Z prawa i z lewa dwie trybuny, w środku ołtarz, w bliżkości jego z jednej strony tron dla jubilata, z drugiej mównica. Pod mównicą zauważam tablicę z napisem — prasa.



Kapela góralska na uroczystościach Reymontowskich w Wierzchosławicach.

Biegnę co rychło ku tej — prasie i spotykam kilkunastu panów dziennikarzy ugrupowanych wokół jednego stolika z jednem krzesłem. Liczne złorzeczenia pod adresem komitetu cichną, gdy z kolei oddają prasie do dyspozycji rusztowanie pod ołtarz polowy. Nabożeństwo polowe nie odbędzie się, gdyż zezwolenia na nie nie chciał udzielić ks. biskup Tarnowski. Dzięki temu mamy cień nad głową i chwilowy zapas przestrzeni. Chwilowy, gdyż i tu otacza nas zwolna i pochłania zwarta ława tłumu, przybyłego na uroczystości.

W chwili, w której przybywa Reymont, łąkę zawalił już tłum kilkunastotysięczny tak szczelnie, iż trudno pojąć, jak w gąszczu tym wyrąbie sobie drogę pochód, który ma się przesunąć przed jubilatem. Niech się jednak nie martwi o to komitet — grunt, że Reymont siedzi bezpiecznie i wygodnie i ma nad głową strzechę, chroniącą go od słońca. Po bokach jego zasiadła żona i p. minister Stanisław Grabski. W orszaku: gospodarz Witos i cały różaniec przedstawicieli.

Ks. Starkiewicz otwiera uroczystość, intonując "Serdeczna Matko". Pieśń podjęta zrazu nieśmiało przez rząd najbliższy, rozlewa się rychło jak plac szeroki. Chwila zbiorowego nabożeństwa przebiega nad tłumem jak wiatr nad łanem i ulata w wysokie niebiosa.

Zaczem mowy. Jak każdej naszej uroczystości narodowej jest ich za wiele. Nie sposób przecież wyliczyć wszystkiego, co zrobił Reymont dla wszystkich. Dla Państwa, Rządu, Narodu, ludu, inteligencji, literatury, polskiej i światowej.

Wszakże uderza wyrąbana, zwarta mowa Witosa i głęboko ujęte przemówienie dr. Olivi, poruszające ogólno-ludzkie znaczenie dzieł Reymonta. Szczery zapał wzbudzają na mównicy przedstawiciel bratniego narodu czeskiego i delegat hucułów.

Najpiękniej dziękuje w kilku słowach Reymont:

Wybaczcie mi. Wzruszenie mnie dławi. Nie mogę mówić. Bóg zapłać obywatele, bracia, Polacy.

Pochód. Cudem jakimś otwiera się wąwóz w masie stłoczonych ludzkich ciał, przez który przesuwa się niezliczony korowód dożynkowy. Na czele banderja krakusów. Za

nią wszelakie "ziemie" polskie z darami. — Obraz jest barwny i żywy przedziwnie. Znane i nieznane, proste, zdobne i pyszne sukmany i stroje, kaszuby i podhalanie, huculi i wielkopolanie, kto na furze ogromnej z śpiewem i muzyką, kto w konnym szyku, kto pieszo ze sztandarem w ręku.

Dary są proste, niekiedy wzruszająco proste. Dwa serki wręcza mistrzowi starowina z Kolbuszowej — inny bąka mu puszcza u stóp, rżniętego kozikiem. Prześlicznie prezentują się liczne wiana z kłosów, niektóre duże jak snop i jak feretron niesione, inne w wianek splecione urodny. Jest wszakże i kilim od Zakopańców i kryształ soli z żup Wielickich i Bocheńskich.

Korowód przeplatają gęsto orkiestry. — Współzawodnictwo między nimi srogie, każda radaby dojść do słowa nim przebrzmiała druga. Widzi się tu przepyszne typy wiejskich muzykantów, od staruszka basisty, pastucha, co pierwsze brał lekcje pod wierzbą zawsiową, aż do nauczyciela tużurkowego, który smętny flet używa raz jako pałeczkę dyrygenta, raz jako narzędzie solowego wyczynu.

A Reymont dziękuje, dłonie ściska, goni resztkami sił, a coraz to nowe wzruszenie porywa go na nogi.

Przed jego postacią chylą się bez końca głowy prostaczków, a u stóp jego rośnie góra wian, płodów znoju ziemi i chłopskich rąk, niesionych w hołdzie dla swego Syna, Piewcy i Mistrza.

F. Goetel.

GRZYB I RYBA

Bajka Maćka Bzdury

W lesie przy jeziorze grzyba,
Zapytała węgórz ryba,
Czemu nigdy się nie rusza,
Nie zdejmuje kapelusza?
Grzyb poskrobał się po głowie,
(Czem? ta bajka wam nie powie,
Bo rąk nie miał — niech kto zbada,)
I tak rybie odpowiada:
A czemuś to ty węgorzu,
Jest w jeziorze a nie w morzu?

* * *

Ktoś mi powie: bajki głupie!
A ja: ale sens w nich w kupie,
Lecz gdzie jest sens, gdzie korzyści,
W tem co bazgrzą "futudrzyści"?

J. z B.

Właściciel a Lokator

Stosunek prawny właściciela do lokatora opiera się na kontrakcie, który może być przygotowany na piśmie, albo zawarty ustnie, lub też w braku jednego, czy drugiego wywnioskowany z istniejących faktów i okoliczności. Pod pewnymi względami odnośne prawa stanowe różnią się między sobą. Dlatego też każdy z reguły, czy to właściciel, czy lokator, powinien zaznajomić się z najważniejszemi prawami w tej sprawie, lub poradzić się dobrego adwokata, czy towarzystwa prawnej pomocy (Legal Aid Society).

Kontrakt, ustanawiający stosunek właściciela do lokatora, a przygotowany na piśmie, nazywa się **dzierżawą (lease)**. Ta umowa, czyli kontrakt dzierżawy, powinna zawierać wszystkie potrzebne fakty i warunki, co do których zaszła ugoda między stronami. Tak długo, jak ta dzierżawa trwa, kontrakt pisany jest źródłem informacji co do praw jednej i drugiej strony, a nawet po upływie terminu dzierżawy odgrywa w pewnych wypadkach ważną rolę. Kontrakt ten podpisują obie strony i wobec tego jest to najważniejsza sprawa, a zarazem i dokument.

Na niektóre sprawy w związku z tem chcemy zwrócić uwagę. Ważną rzeczą jest, by strona, podpisująca kontrakt, wiedziała którą i jaką własność realną wypuszcza, czy bierze w dzierżawę, jak długo ma trwać dzierżawa, co lokator względnie dzierżawca może zrobić z własnością, gdy otrzyma nad nią kontrolę i jakie komorne ma być opłacane.

Tutaj należą się pewne wyjaśnienia. Tak n. p. co do terminu, czyli długości dzierżawy, trzeba zwrócić uwagę na fakt, że prawo przewiduje trzy rodzaje dzierżawy, a mianowicie dzierżawę na szereg lat (tenancy for years), dzierżawę od roku do roku, od miesiąca do miesiąca i od tygodnia do tygodnia, a w końcu dzierżawę zależną wyłącznie od woli właściciela (tenancy at will or at sufferance). Często odnowienie dzierżawy perjodycznej (od roku do roku, od miesiąca do miesiąca i t. d.) uzależnione jest od tego, czy odpowiednie zawiadomienie w odpowiednim dniu doręczone było właścicielowi, czy nie. W celu uniknięcia nieporozumień i powikłań, obie strony powinne wiedzieć o tem i upewnić się naprzód co do tego.

Prawo lokatora co do używania wynajmowanego domu dla swych celów może być bardzo ograniczone, dlatego też ostrożny lokator powinien upewnić się co do tego i dobrze zbadać sytuację, zanim podpisze kontrakt.

Dla ilustracji tego rodzaju sytuacji można wskazać, w jaki sposób kłopoty mogą się wywiązać. Kontrakt dzierżawy często zawiera zastrzeżenie, iż realność może być używana tylko do pewnego celu, n. p. na mieszkanie, na sklep, apartament dla jednej rodziny i t. p. Przed podpisaniem kontraktu lokator powinien czuć się pewnym i zadowolonym z warunków, przewidujących taki, a nie inny sposób używania budynku, czy innej realności. Jeżeli chce n. p. założyć sklep, lub odnająć budynek, czy część tylko innemu, albo też zrobić co innego, powinien przed podpisaniem kontraktu upewnić się, czy zawiera on potrzebne pozwolenie.

Po podpisaniu kontraktu dzierżawy może dojść do tego po pewnym czasie, iż lokator zechce użyć realności do jakiego innego celu. Zanim jednak to zrobi, powinien najpierw w tym celu postarać się o odpowiednie pozwolenie od właściciela na piśmie, albo jeszcze lepiej — zawrzeć nowy kontrakt pisany. — W przeciwnym razie właściciel ma prawo uważać zawarty kontrakt dzierżawy za złamany.

Ogólna zasada prawna pod tym względem opiewa, że jeżeli właściciel nie określi wyraźnie celu i sposobu używania wydzierżawionej przez niego realności, lokator względnie dzierżawca może używać jej do różnych celów pod warunkiem atoli, iż nie są one zasadniczo różne od sposobów i celów, do jakich realność ta była zwykle używana.

Wysokość komornego, czas i miejsce opłaty mają także wielkie znaczenie. Zobowiązania właściciela pozatem, że powinien zapewnić lokatorowi, względnie dzierżawcy, spokojne posiadanie dzierżawionej własności, są nieliczne. Ogólna reguła prawna przewiduje, że właściciel zapewnia wszystko, co jest konieczne do spokojnego posiadania własności, nawet w braku odnośnych zastrzeżeń kontraktowych. Ale w każdym wypadku lokator musi wskazać na konieczność. Do takich konieczności należą n. p. odpowiednie wyjście i wejście do dzierżawionej realności, jak drogi, schody i t. p. Z drugiej jednak strony woda, światło, ogrzanie i inne obsługi nie są zaliczane przez prawo do owych konieczności. Właściciel n. p. nie jest obowiązany do oświetlenia korytarza. Ale w tak zwanych domach apartamentowych i innych budynkach, w których właściciel ma wyłączną kontrolę nad ogrzaniem, telefonami, windami i t. p., które to obsługi utrzymuje i prowadzi dla dobra lokatorów, prawo uznaje owe obsługi za konieczności i właściciel obowiązany jest zapewnić je lokatorom pomimo, iż nie są one zastrzeżone w kontraktach.

Niema również domniemanej gwarancji (pod warunkiem, iż nie dopuszcza się oszustwa w kontrakcie), iż wydzierżawiona realność nadaje się do celów mieszkalnych, czy innych, lub też, że nie zagraża życiu, albowiem lokator, czy dzierżawca powinien się naprzód upewnić co do tego. Ma się rozumieć, od-

nośne lokalne prawa i zarządzenia muszą być przestrzegane.

Właściciel odpowiedzialny jest przed lokatorem, względnie dzierżawcą za szkody i uszkodzenia, przeszkadzające, lub zmniejszające użytkowanie dzierżawionej realności, pod warunkiem atoli, iż szkody te są bezpośrednim wynikiem niedbałości, czy złej woli właściciela.

Co się tyczy podatków i innych opłat, związanych z daną realnością, to muszą być opłacane przez właściciela, jeżeli niema pod tym względem specjalnej umowy.

Według prawa zwyczajowego właściciel nie jest obowiązany do wykonywania zwykłych poprawek i reperacji. Musi on jednak reperować te części, które pozostają pod jego kontrolą i używane są wspólnie przez wszystkich lokatorów. Ale ta domniemana gwarancja nie obejmuje poszczególnych części, wynajętych poszczególnym lokatorom.

Ścisłość w określeniu wszystkich odnośnych praw i sytuacji jest niemożliwa w krótkim artykuliku, jak niniejszy. Zawsze trzeba pamiętać o tem, że reguły prawa zwyczajowego (common law) uległy i ulegają ustawicznie zmianom w wielu wypadkach dzięki temu, iż uchwalane są ustawicznie nowe statuty i wydawane są rozporządzenia lokalne. Przed powzięciem jakiegokolwiek kroku, lokator, a zwłaszcza dzierżawca powinien dobrze zaznajomić się z tymi nowymi przepisami i rozporządzeniami.

Obowiązki lokatora i dzierżawcy często obejmują nietylko płacenie komornego, ale także w wielu wypadkach reperacje dzierżawionej, lub wynajmywanej własności, i inne rzeczy. Za złamanie tych gwarancji, czy to wyraźnie zastrzeżonych, czy domniemanych, właściciel może zaskarżyć lokatora, względnie dzierżawcę do sądu o odszkodowanie. Właściciel może również wyrzucić lokatora, czy dzierżawcę z zajmowanego domu, czy innej realności przy pomocy szeryfa lub konstabla. Dzieje się to zwłaszcza wówczas, gdy lokator, względnie dzierżawca złamie którykolwiek z warunków ugody.

Istniejące drukowane formularze do zawierania kontraktów dzierżawy są tak opracowane, by zapewnić właścicielom jak największą sumę zabezpieczenia przed różnemi nieprzewidzianemi możliwościami. Dzierżawca zatem przed podpisaniem kontraktu powinien zrozumieć wszystkie zawarte tam warunki i zastrzeżenia. Po podpisaniu bowiem już jest zapóźno na jakiekolwiek zmiany, chyba że właściciel dobrowolnie się na nie zgodzi.

Goście prez. Wojciechowskiego w ogrodach Belwederu



Widzimy tu scenę z czasów pobytu Dra Edwarda Benesza, czechosłowackiego ministra spraw zagranicznych w Warszawie. Prezydent St. Wojciechowski podejmuje gości w ogrodzie Belwederu. Stoją od lewej ku prawej: hr. Przeździecki, dyr. protokółu, dwóch radców czechosłowackiego min. spr. zagr., polski Poseł w Pradze hr. Lasocki, minister spraw zagr. hr. Aleks. Skrzyński, Prezydent Wojciechowski, dyrektor kancelarji Prezydenta i minister czechosłowacki Dr. Edw. Benesz.

Z uroczystości sokolich w stolicy Polski



Widzimy tu piękny moment, gdy na boisku zlotowym w Warszawie wręcza Prezes Związków Sokolich w Polsce — Zamojski prezesowi Sokolstwa z Ameryki Dr. T. Starzyńskiemu upominek od Sokolstwa z Polski — a mianowicie piękną statuetkę, wyobrażającą pomnik Zygmunta na Placu zamkowym w Warszawie. Wśród obecnych na pierwszym planie widzimy dhnę Karpanty, wice-prezeskę Z. S. P. z Pittsburgha i dyr. Związku Nar. Pol. panią W. Chodzińską.

Przyczyna Suchot i Zarażania Dzieci

Przyczyną suchot jest obecność i rozmnażanie się w ciele zarazka suchotniczego. Zarazki suchotnicze, owe mikroskopijne, jednokomórkowe ustroje, znajdują się niemal wszędzie w cywilizowanym świecie i dostają się do organizmu prawie każdej osoby w mniejszej, lub większej ilości. Podobnie jak to się dzieje z roślinami i zwierzętami, w których ciele mogą zagnieździć się pasorzyty i nie czynić im żadnej szkody, tak samo może być i z zarazkiem suchotniczym. I tak jest w istocie, bo chociaż najmniej 90 procent dorosłych osób zarażonych jest suchotami, to jednak tylko 1 procent z nich objawia symptomy tej choroby w jakimkolwiek danym czasie.

A teraz zachodzi pytanie, jak to się dzieje, że tyle ludzi zarażonych jest suchotami? Dzieci rodziców, którzy albo oboje, albo też tylko jedno z nich ma objawy tej choroby, narażone są ustawicznie na to, iż do organizmów ich mogą się dostać każdej chwili zarazki suchotnicze. Matka, która pielęgnuje dziecko, może w owej chwili zakaszleć, lub kichnąć. — W jednym i drugim wypadku wyrzuca ona z ust, lub nosa płyn, który bardzo często zawiera zarazki suchotnicze i który choćby był w najdrobniejszych kropelkach, bardzo łatwo może dostać się do ust dziecka. W języku lekarskim określa się to w ten sposób, że dziecko otrzymało "dozę zarazków suchotniczych". Jeżeli ojciec ma suchoty płucne, może również kaszląc, lub kichając, zarazić bawiące się z nim dziecko, ale jest on mniej niebezpiecznym niż matka, albowiem znacznie rzadziej ma do czynienia z dziećmi. Rodzice zwykle całują swe dzieci i w ten sposób bardzo łatwo mogą przedostać się od nich do organizmów ich dzieci zarazki suchotnicze, czy inne.

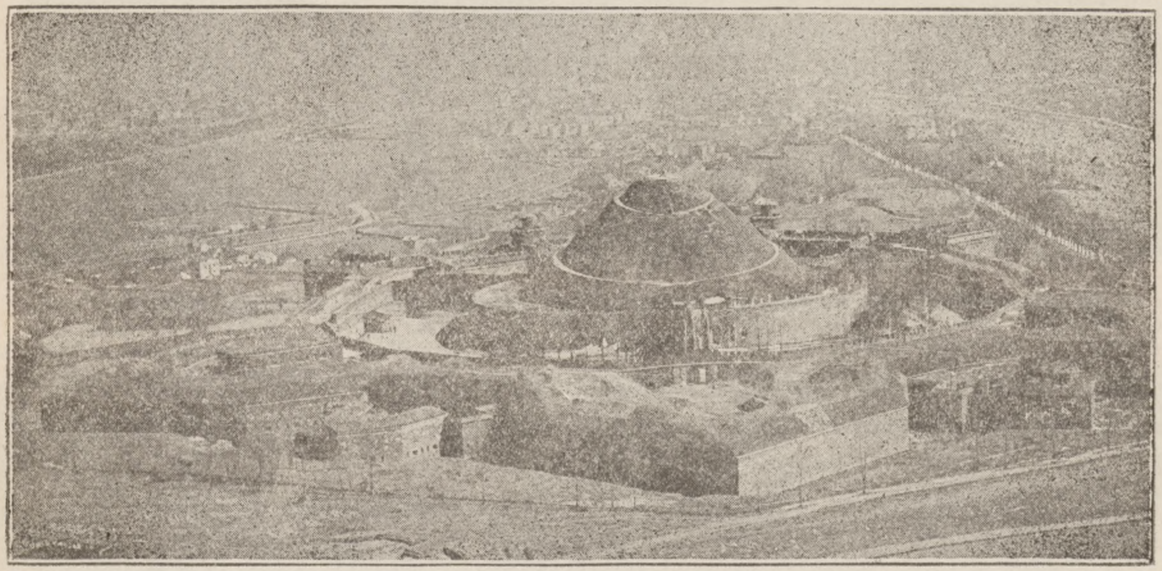
Gdy dziecko uczy się czołgać, jego pole czynności powiększa się znacznie i pomimo, iż jest ono wówczas w mniejszym niebezpieczeństwie zarażenia się od rodziców, to jednak ma ono wielką sposobność dotykania się palcami różnych rzeczy i przedmiotów, a naturalnem jego pragnieniem jest wkładanie zawsze palców i niemal wszystkiego, co napotka, do ust. Palce jego, czy też przedmioty, które wkłada do ust, mogą być ubrudzone śliną, czy plwociną ojca, matki, czy innej osoby niebacznej i nieostrożnej, spluwającej na podłogę. Na podłogę mogą się również dostać

zarazki, przyniesione na obuwiu starszych osób, czy dzieci.

Gdy dziecko podrasta, jego pole czynności rozszerza się odpowiednio. Wówczas bawi się na ulicy, podnosi różne przedmioty i piłki, które mogą być ubrudzone wydzielinami ust i nosa osób, chorych na suchoty. W ten sposób ręce łatwo brudzą się, a z brudem dostają się i zarazki na ręce. A przecież ręce mają największy przystęp do ust i nosa, a zatem pośrednio do przewodów ustnych i nosowych. Tą drogą nie trudno zarazkowi suchotniczemu dostać się do organizmu dziecka. Obecność tych suchotniczych zarazków może nigdy nie da się odczuć danemu dziecku w ciągu całego jego życia, ale może się też stać i inaczej. W niejednym wypadku zarazki te powoduje cold abscess, co jest bardzo poważną chorobą dla dziecka. Rzadko kiedy zarażają się płuca u dzieci lub niemowląt. Meningitis jest czasami rezultatem takiego zarażenia.

W większości wypadków ilość zarazków, dostających się do organizmu jest niewielka i nawet powtarzanie się takiego zarażenia nie powoduje zaraz choroby u dziecka, albowiem wszyscy ludzie w krajach cywilizowanych obdarzeni są naturalną odpornością na suchoty. Ale gdy dziecko dochodzi do lat dojrzałych, jakakolwiek choroba, lub inna przyczyna może zmniejszyć jego odporność na suchoty. Jeżeli odporność ta zmniejszy się odpowiednio, wówczas przebywając bezczynnie zarazki w gruczołach mogą przystąpić do swej niszczycielskiej pracy i zapoczątkować suchoty.

Kopiec Kościuszki pod Krakowem



Fotografja zdjęta z wojskowego polskiego aeroplanu.

Życzenia Maćka Bzdury na Rok 1926

To nie zoden lura, dzióra, cióra,
Ani inso oślo poła jura,
Ale mądra i wielko figura,
Ślachcic herbu cepy, Maciek Bzdura,
Co go wszyscy w Ameryce znacie,
Którzy "Dziennik Związkowy" cytacie,
Ja Wam znowu, żyçąc na Rok Nowy,
Składąm wiersyk w "Kalendorz Związkowy"..
Naprzód zycę Wam na ten Rok Nowy,
Zeby Was w niem niebolały gowy,
Zołądek był, jak mój, mocny, zdrowy,
Co przetrawi kawołek podkowy!
A w małżeńskim Wasem świetem stanie
Tak gorąco miłość i kochanie,
Byście przy niej, jak węgla nie stanie,
Gotowali kawę na śniadanie!
Niech Wam Pan Bóg w Nowy Rok uzyca
Takiej siły jak Cyganiewica.
By przy pracy Wam znoju krwawica
Nie znoiła strugą czoła, lica....
Azebyście wciąz byli weseli,
W ocach, gębie zawse uśmiech mieli,
Jak w niebie święci i anieli,
Płakać, wzdychać całkiem zapomnieli.
Kto z Was wróci do Polski w kraj stary,
By nie przywiózł z sobą "nowej wiary"
Jak niejedni — głupie "lary fary",
Niech przywiezie rozum i dolary!
Przypominam Wam tez w ten Rok Nowy,
Obowiązek wielki honorowy,
By Was "Związek Polski Narodowy"
Miljon członków miał juz w niem gotowy!

Jantek z Bugaja.

REUMATYZM

Proszę Każdego Czytelnika Tego Kalendarza



który cierpi na reumatyzm, lumbago lub neuralgję, aby napisał do mnie i podał swe imię, nazwisko i adres, **ażebym mógł mu posłać za darmo dolarową butelkę** mego lekarstwo na reumatyzm. Chciałbym przekonać na swój koszt każdego cierpiącego, co lekarstwo na reumatyzm Kuhna może dla niego uczynić. Jestem pewny tego lekarstwa i chciałbym aby każdy cierpiący na reumatyzm przekonał się także, zanim wyda jednego dolara.

> **NIE PRÓBUJCIE wywabić reumatyzmu przez stopy lub skórę za pomocą plastrów lub sztuczkami metalowymi. Nie próbujcie zetrzeć go olejkami, elektrycznością lub magnetyzmem. Nie próbujcie usunąć go zapomocą imaginacji. MUSICIE WYPĘDZIĆ GO Z ORGANIZMU. Siedlisko jego jest we krwi i musicie go stamtąd usunąć.**

Wierzymy, że właśnie to lekarstwo Kuhna uczyni i dlatego przynosi ulgę w reumatyźmie w muszkułach. **Reumatyzm musi ustąpić,** jeżeli chcecie pozbyć się bólów i cierpień. Moje lekarstwo ulży wam w tych ostrych, przeszywających bólach, bolących muszkułach, gorących, opuchniętych członwach i sztywnych stawach.

Chcę Wam Tego Wszystkiego Dowieść

Jeżeli mi tylko pozwolicie to zrobić. Dowiodę wam wiele już w pierwszym tygodniu, **jeżeli tylko napiszecie** do mnie i każecie sobie przysłać **Jednodolarową butelkę DARMO, stosownie do poniższej oferty.** Bez względu na to jakie lekarstwa używaliście przedtem, jeżeli nie używaliście mojego, nie możecie wiedzieć co dla was uczyni. **Przeczytajcie poniższą ofertę i zażądajcie od nas natychmiast $1.00 butelkę zupełnie za DARMO. Nie zwlekajcie i nie pomińcie tej sposobności.**

E. H. Kuhn

Zwyczajna $1.00 Butelka DARMO NA PRÓBĘ

Chcemy abyście spróbowali Lekarstwo na Reumatyzm Kuhna i przekonali się jak tysiące innych, że reumatyzm może być uleczony a w dodatku nie żądamy **pieniędzy podczas próby. Pragniemy tylko** abyście spróbowali. Jeżeli przekonacie się, że wasz reumatyzm ustępuje, zamówicie więcej, ażeby dokończyć kuracji i w ten sposób dać nam zarobić. Jeżeli wam ta próba nie pomoże — **niech się na tem** skończy. Nie wysyłamy małych flaszeczek, zawierających parę kropel tego lekarstwa, lecz **butelkę pełnej wielkości,** sprzedawaną po $1.00 w aptekach. Flaszka ta jest dość ciężka i dlatego musi być odpowiednio opłaconą na poczcie. **Musicie przysłać nam 25c** na opłacenie przesyłki, opakowania, itd., **a wyślemy wam tą pełną $1.00 butelkę natychmiast,** opłaconą. **Nie zapłacicie nic ani przy odbiorze ani później.**

PRZYŚLIJCIE TEN KUPON

KUHN REMEDY CO., Dept. K-Z
1855 Milwaukee ave., Chicago, Ill.

Cierpię na reumatyzm i pragnę otrzymać dolarową flaszkę **Kuhna Lekarstwa na Reumatyzm bezpłatnie,** tak jak ogłaszano. **Załączam 25c na opłatę pocztową, opakowanie itd. Dolarowa flaszka musi być przysłana zupełnie darmo i opłacona.**

NAZWISKO ....

MIASTO ....

Stan ....

Ulica lub R. F. D. ....

Kuhn Remedy Co., 1855 Milwaukee Ave. Chicago, Ill.

HUMOR

DWIE PIEŚNIE O RZECE "REN."

Walka Francuzów z Niemcami o wspaniałą rzekę Ren toczy się od wieków. Odsunięci od Renu w roku 1870 Francuzi znowu po wojnie światowej stanęli na straży górnego Renu odzyskując Alzację.

Warto przypomnieć sobie, że oba te narody nietylko walczyły od lat co pewien okres orężem, ale walczono i pieniami poetów.

Niemiecki poeta Becker dał Niemcom następującą pieśń o Renie:

Pieśń Beckera.

Nigdy nasz wolny niemiecki Ren
Franków nie będzie udziałem
Choć żądza łupiestw mąci im sen,
Choć oń wołają z zapałem.

Jak długo tylko błękitem fal
Będzie nam zraszać wybrzeże,
I płynąc dumnie w zamgloną dal,
Nikt go nam, nikt nie odbierze!

Jak długo ogień nadreńskich win
Serca nam będzie ogrzewać,
Każdy z nas, wierny Germanji syn,
Swą krew zań będzie przelewać!

Ren naszym będzie, póki zrąb skał
W błękitne pada otchłanie,
Póki go strzeże skalisty wał,
Wiecznie Ren przy nas zostanie!

Zostanie przy nas, dopóki młódź
Czcić będzie ojców wspomnienia
I myśli swoich nie będzie truć
Jadem niewiary, zwątpienia...

Ren naszym będzie, jak długo krew
W nas płynąć dlań nie przestanie.
Każdy z nas walcząc za Ren jak lew,
W nurtach krwi znajdzie posłanie!

Na ten głos niemieckiej pychy odpowiedział francuski poeta również wierszem:

Pieśń Musseta.

Wasz Ren niemiecki był naszym już,
W kielichach naszych odbłyskał.
Czyście swą pieśnią starli ten kurz,
który nasz rumak bojowy wzdłuż
Waszej ziemi pociskał?

Był naszym już ów Ren, dziś wasz
Siłą podboju — nie zdrady!
A tam, gdzie ojców zwycięska straż
Święciła walkę winem swych czasz,
Tam pójdą dzieci w ich ślady!

Choć Ren dziś nosi niemiecki strój,
Lecz czyim w onej był dobie,
Gdy Cezar staczał zwycięski bój,
A bohaterskich szermierzy rój
Rozpraszał kości po sobie?

Naszym już był nadreński brzeg,
Czy pamiętacie te dzieje?
Wszakże nie minął jeszcze ni wiek,
Gdy Frank wam dziewic niemieckich strzegł,
Budząc w ich sercach nadzieję...

Jeśli więc przy was pozostał łup,
Spłuczcie w nim szaty służalczę
Znanym jest światu wasz niecny ślub,
Któremu ulec miał Wodza trup,
Gdyby wpadł w ręce padalcze!

Niech sobie płynie wśród stromych gór
Wasz Ren niemiecki w pokoju,
Niech echa pieśni roznosi bór,
Lecz niech nie budzi sprośny wasz chór
Zmarłych rycerzy do boju!

Publicysta polski, Jan Grzywiński, przypominając Polsce obie te charakterystyczne i historyczne pieśni, stwierdza, że przetłomaczone one zostały na język polski przez Aleksandra Kraushar, w roku 1869, i taki sąd o tych utworach wydaje:

Treść obu utworów, ich forma, ujęcie tematów i ich podanie, obrazowość i nastrój poetycki, dosadnie wykazują głębokie różnice dzielące te dwa światy, a zarazem odźwierciedlają ich psychikę.

Ren niemiecki — to zimna kanciasta pieśń, o rąbanej rytmice, jakby miarowy krok ciężkiego buta żołnierskiego, twardy i szorstki, a w treści ciężki, ufny w siebie, nie widzący nic poza sobą.

Ren francuski — to dźwięczny polot w lekkiej płynnej formie, pieszczący rytmem ucho, bogactwem obrazów przemawiający do wyobraźni, ujmujący kulturą.

W starciu tych dwóch pieśni-światów zabrała głos historja. Niemiecka straż nad Renem po roku 1870 miała tylko jedną nutę, jeden ton, ton spiżu i żelaza, ton brutalnej przemocy. Taki chór musiał zbudzić rycerską przeszłość i sprowokował Rok Czternasty.

Ostrzeżeniu Musseta stało się zadość: Nad Renem stanęła francuska straż!

Ostatnie słowo oskarżonego

Sędzia do oskarżonego: — Co oskarżony ma na swą obronę.

Oskarżony: — Adwokata, proszę wysokiego trybunału.

Dowcipny rzeźnik

— Cóż ci przyszło do głowy, żeś takie piękne zwierciadło w sklepie zawiesił?

— Ano widzisz, kumie, to dlatego, żeby kucharki zanadto na wagę uwagi nie zwracały.

W szkole

Nauczyciel: — Przysłowie mówi: "Nie wszystko złoto, co się świeci". Gapski, daj na to jakikolwiek przykład.

Uczeń: — Naprzykład — łysina pana profesora!

Po polowaniu

Pani domu: — Najlepszą dubeltówkę ma jednak nasz kochany pan Antoni.

Gość: — Ba! Bo ja strzelam tylko z odtylcówki.

Pani domu: — O! Panie Antoni! Tyle razy prosiłam, abyście wasze męskie dowcipy zostawiali w lesie! Przecież dzieci słuchają.

Mebel

— Każdy mąż po pewnych latach pożycia małżeńskiego spada do roli mebla domowego.

— Tak, a każda żona mocno żałuje, że to jest jedyny mebel, który się nie da odnowić.

Pewna oznaka

— Wczoraj spotkałem pańską żonę.

— Co mówiła?

— Nic.

— W takim razie to nie była moja żona.

Zrozumiała

W gościnę do swej sąsiadki przyszła pani Marcinowa, osoba ceremonjalna i grająca rolę wielkiej pani. Gościnna sąsiadka przyjęła panią Marcinowę dobremi słowami, zaś w chwil kilka znalazła się już przed panią Marcinową na czystym obrusie salaterka z pachnącą świeżą jajecznicą.

— Ależ co pani robi? — zawołała żywo Marcinowa. — Ja doprawdy dziękuję, ja zresztą jaj nie znoszę.

— Eh, pani Marcinowo — odpowie jej sąsiadka — tu nikt nie wymaga, żeby pani jajka znosiła.... Ale zjeść parę świeżych jaj to przecież nie tak trudno.

I tak źle — i tak niedobrze.

Edzio źle się uczy i sprawia wiele kłopotu rodzicom; zato kolega jego Henio jest wzorem cnót. Ojciec Edzia chcąc go zawstydzić, powiada:

— Jaka szkoda, że nie jestem ojcem Henia!

— E! niech tatuś nie żałuje!

— ?

— Bo jego ojciec umarł na influenzę.

Wtedy mogłaby znów przemówić

Halskiewicz, który ma bardzo ostrą żonę:

— ...No i pomyśl pan sobie: nagle spadła z brzękiem wielka, wisząca lampa! Moja żona ze strachu oniemiała...

Krzywiak: — Niech pan jej przypadkiem nie daje wina do picia!

Halskiewicz: — Dlaczego?

Krzywiak: — Bo, jak mówią, wino rozwiązuje język.

Pedant

— Moja Stasiu, podobno byłaś wczoraj w Alejach pod rękę z panem Karolem?

— Tak, mamuńciu.

— Czy nie wiesz, że to nie wypada?

— Owszem, ale on taki pedant..

— Jakto?

— Zawsze lubi mieć wszystko pod ręką.

Majątek

— Mówiła mi Pikutkowska, że Józiów wczoraj okradli. Podobno im zabrali cały majątek.

— Więc będą teraz bezdzietni?

— W jaki sposób?

— Bo on mi nieraz mówił, że dzieci to cały jego majątek.

Na ulicy

— Byłeś na raucie u naszego szefa?

— Owszem i miałem wrażenie, że byłem na polowaniu.

— Dlaczego?

— Same pudła.

Piękne za nadobne

Massompierre, poseł Henryka Czwartego na dworze hiszpańskim, po powrocie do Francji opowiadał swemu monarsze różne szczegóły ze swego pobytu w Madrycie.

— Wjeżdżałem do miasta — mówił poseł — na najmniejszym mule, jaki był pod słońcem.

— O! — zawołał król, wybuchając śmiechem, — toż to był widok wspaniały: największy osieł jadący na najmniejszym mule!

— Lecz ja tam byłem tylko przedstawicielem waszej królewskiej mości, — odparł śmiały dworak.

Sumienny lekarz

— Ach, panie doktorze, mój mąż, którego pan doktor tak długo leczył, umarł.

— Umarł?... A kiedy umarł?

— Dzisiejszej nocy.

— Aha! No, a teraz niech mi pani powie, czy miał czkawkę?

— Ach, miał, panie doktorze, i jak ąjeszcze!

— To bardzo dobrze, to bardzo dobrze!...

NOWY ROK 1926

Tysiąc dziewięćset dwudziesty i szósty
Rok Nowy idzie, jako On Bóg człowiek,
Przyszedł na ziemię i boskiemi usty,
Głosił naukę, ażeby łzy z powiek,
Bliźni, bliźniemu gdy płacze ocierał,
Z miłością serce i duszę otwierał....

Tysiąc dziewięćset dwudziesty i szósty,
Rok, jak przyjęła ludzkość Jego wiarę,
Ale niestety nie sercem lecz usty....
Pojmuje Jego miłości ofiarę....
Przeto niedola, grzech, krew, łzy na ziemi....
Za niebo, piekło pomiędzy bliźniemi!

Tysiąc dziewięćset dwudziesty i szósty,
Rok Nowy będziesz szczęśliwszy jak stary?
Czy marny, łzawy, krwawy, smutny, pusty?
Szczęśliwy dla tych, co legną na mary?....
A dla żyjących, jak przeszłe z koleji
Marny, bez wiary, miłości, nadzieji?

Tysiąc dziewięćset dwudziesty i szósty,
Rok jaki będzie? Ten wiersz Wam odgadnie:
Jak twarz zbolała Weroniki chusty,
Jego.... gdy w sercu, duszy własnej na dnie,
Miłość wzajemnie bliźnia nierozgorze,
Co w niej ludzkości tylko szczęścia zorze....

A więc miłości, — miłości, — miłości!!
Miłości!!! Tego co tam na Golgocie,
Marł, jeśli chcemy ziemskiej szczęśliwości
I w niebo wzlatać uskrzydleni w cnocie.
Nie marnić życia w łez i ziemi błocie....
Miłość w Rok Nowy niech Wam w sercach gości!

Jantek z Bugaja.

STŁUMIONY POŻAR

Posłuchajcie czytelnicy
Raz w Krakowie na ulicy,
Zapalił się suchy, stary,
Woźny z sądu pan Hilary.
Zapalił się i tak gorzał,
Do panienki co jak zorza,
że płomieniem tej dziewczynie
Chciał zapalić w suterynie....
Lecz panienka owa godna
Taka była, jak lód chłodna,
I w rączce jej była siła,
Ze ten pożar ugasiła,
Parasolką.... bardzo groźny,
że nie zgorzał ów pan woźny.
Zaś straż policyjna pana,
Niemoralnego gałgana
Wzięła z sobą ....bo panienka
I bieluśka jej sukienka,
Oj nieasekurowana — była.

Jantek z Bugaja.

MACIEK BZDURA POETĄ

Przerozmajte mój Walenty,
Pan Bóg dla mnie dał talenty.
Umiem oraz, siać i kosić,
Babę jak trza, wytarmosić.
Zrobić miotłę, putnię, grabie.
Podrutować garnek babie,
Wkołysce sie Maciuś mota.
On tes moja jes robota.
Placek zrobię tes na kwasie,
I prześlicnie grąm na basie!
Po łacinie śpiwom cysto,
"Laudamus" z organistąm.
Po miemiecku telo umię,
Ze sie z śwabem porozumię!
Wszystko umię, wszystko zrobię.
A niedawnom odkrył w sobie
Wielki w sobie, talent nowy.
Zem poeta jest morowy.
Ze potrafię pisać wierse,
Krótkie, długse, wązse, serse.
Pisę pieśni w takiem guście,
Ze je dziady na odpuście,
Mogą wygrać na swyj lyrze.
Śpiewać dziewki i pastyrze!
Zem poeta jest morowy
Nie cyganię, nie fajnuję,
To Wam "Kalendarz Związkowy"
Moje wierse wydurkuje.
Wiem, ze jak je przecytocie,
To mi wszyscy brawo dacie!
I krzykniecie: hurra! hurra!
Nos poeciorz!

Maciek Bzdura.

J. z B.

MOJSIELE I KOBYŁA
Ballada Maćka Bzdury

Lat tyle
Kobyle
Starej,
Lecz łysej,
Nie cisej,
Karej:

Za obrok,
To rok w rok
Szlome,
Gudłajes
Jej daje
Słomę.

żyd chciwy,
I mściwy,
W gnaty
Ją wali
I pali
Baty.

U żyda
Jest bieda
Wielka
Niewola,
Niedola
Wszelka.

Czy słota,
Spiekota,
Czy mróz,
To szkapa,
Wciąż człapa,
Z nią wóz.

Nareszcie
Raz w mieście
"Bechła"
Na rynku
Wprost szynku
Zdechła!....

J. z B.

RADY DLA NASZYCH POLAKÓW

Co nas dzieli—to niezgoda,
Jak nam bieda—to do Boga.
Kiedy gardzić—to podłością,
Kiedy mówić—to z szczerością.
Gdy już radzić—to nie kłócić,
Na zebrania—zawsze łączyć.
Gdy kto oszust—to go łaj,
Gdy poczciwy—rękę daj!
Gdy się bratać—to z równymi,
Gdy mieć litość—nad biednymi,
Gdy się modlić—to już szczerze,
Kiedy wytrwać—to w swej wierze,
Kiedy cierpieć—to wytrwale,
Kiedy kochać—to już stale,
Kiedy wybrać—to już ładną,
Kiedy szaleć—to za panną,
Gdy uczciwa—to polubić,
Gdy wzajemna—to poślubić,
Gdy rozsądna—to ją cenić,
A gdy mądra—strzeż się żenić!
Kiedy wspierać—to rodaka,
Kiedy tańczyć—krakowiaka,
Gdy obdarzyć—to "Oświatę"
I nie szczędzić—na opłatę.
Gdy wyśmiewać—to już mody,
Gdy miłować—to swobody,
Kiedy hulać—to z drugimi,
Kiedy umrzeć—to w swej ziemi,
Kiedy order—to za bliznę,
Kiedy zginąć—za Ojczyznę.

Władysław Tempski.

WYJĄTEK Z OPRACOWANIA SZKOLNEGO

Woda, jest to ciecz, w której można się utopić, jeżeli się pływać nie umie. Woda tem się głównie różni od lądu, że jest zawsze bardzo mokra i że kiedy wyschnie, to jej wcale niema. Woda jest niezmiernie potrzebną strażakom do gaszenia pożaru, wielu zaś ludziom służy do gaszenia pragnienia. Wody używa się do wyrobu wody sodowej i innych wód mineralnych i sztucznych, a w mleczarni do wyrobu mleka. Gdyby wody nie było, ludzie byliby jeszcze więcej brudni, ale prawdopodobnie zniknęłaby wtenczas choroba, zwana wścieklizną, albo wodowstrętem.

W pochmurny dzień

— Tatusiu, czy to prawda, że ziemia kręci się naokoło świata?

— Prawda synku.

— A jak niema słońca?

Marzenia

— Chciałbym być wołem.

— Dlaczego?

— Bo tatuś nareszcie przestałby mówić, że jestem osioł.

Niusia wraca z freblowskiej szkoły.

— Mamusiu — dzisiaj to już o mało co nie byłam "pierwsza".

— ?

— Bo została pierwszą ta dziewczynka, co koło mnie siedzi.

Ona: — A teraz idź do mamy... pewnie się niczego nie domyśla...

On: — Twoja matka? Ale jeszcze wczoraj mi powiedziała, że jeżeli się nie oświadczę, żeby tu moja noga więcej nie postała...

Gość: — Proszę zabrać tę zupę i odgrzać...

Kelner: — Przecież pan jej jeszcze nie skosztował...

Gość: — Ale widziałem, że trzymacie w niej palec i nie oparzyliście się, więc nie musi być bardzo gorąca...

Matka: — Ręczę ci moje dziecko, że gdyby mnie twój ojciec w takiej sukni, jak ty włożyłaś, zobaczył, to by się ze mną nie ożenił...

Córka: — To by mama miała i tak dziesięciu innych konkurentów... przecież mama miała duży posag...

OLBRZYMIA PŁODNOŚĆ MUCH

Pewien przyrodnik amerykański, profesor Hovard wyliczył, że mucha wylęgła 15 kwietnia może dać początek szeregowi generacyj, których suma przedstawia w dniu 30 sierpnia fantastyczną cyfrę 336 tryljonów jednostek. Naturalnie przyjmuje się, że wszystkie jaja się wykłują.

Oto tabela przedstawiająca tę szybko rosnącą progresję dziewięciu generacyj:

(UWAGA ZECERA: — Ponieważ cyfry się nie mieszczą na 9 ems, więc dalej nie stawiałem).

Najlepszy jeździec

Na konkursie wszechświatowym jazdy konnej, który się odbył w Londynie oficer polski rotmistrz Dobrzański otrzymał pierwszą nagrodę. Komitet konkursu ofiarował mu złotą papierośnicę z napisem: "Najlepszemu jeźdźcowi wszystkich narodów w zawodach o puhar księcia Walji".

Wielki dziennik angielski "Daily Mail" w sprawozdaniu o konkursie, podnosi fakt, że jeźdźcy polscy stanęli po raz pierwszy do konkursu i odrazu pobili Anglików, którzy dotąd siebie uważali za najlepszych jeźdźców.

Ludność Wileńszczyzny

Polska statystyka urzędowa podaje, iż w 7 powiatach Wileńszczyzny z miastem Wilnem zamieszkuje 1,088.000 osób. Według wyznań skład ludności jest następujący: katolików — 652.000, prawosławnych — 291.000, wyznania mojżeszowego — 119.500 i 32.000 innych wyznań. Według narodowości ludność dzieli się jak następuje: Polaków — 608.500, Białorusinów — 277.500, żydów — 119.500, Litwinów 57.000 i 25.000 innych narodowości.

POLISH AMERICAN PUBLISHING CO.

NAJSTARSZA

Księgarnia Polska

i

SKŁAD NOWOŚCI

1516 Tell Place :-: Chicago, Ill.

(Adres dla Listów)

Na Składzie: Najnowsze Powieści Sprowadzone z Europy.

Książki Treści Religijnej, Naukowej, Historycznej.

Elementarze i Książki Szkolne.



UTRZYMUJE PIĘKNY SKŁAD Z KSIĄŻKAMI, MATERJAŁEM PIŚMIENNYM i NOWOŚCIAMI pod no.

1148
MILWAUKEE AVENUE

Hurtowna Sprzedaż Opłatków Na Boże Narodzenie.

Zeszyty do Szkół Polskich.

Rzeczy Ozdobne z Polski Na Pamiątkowe Prezenta.

Trinera Gorzkie Wino Spowodowało Zmianę!



DZISIAJ mąż wyszedł z domu w najgorszym humorze. Po niespokojnej nocy usiadł do śniadania bez apetytu, nerwowy i zirytowany. Idąc do domu kupił Trinera Gorzkie Wino i—

DRUGIEGO DNIA wyszedł z domu pełen życia i wesołości, a zmiana ta ucieszyła żonę i dziecko. Zmianę na lepsze zdziałało Trinera Gorzkie Wino.



DZISIAJ młodziutka żona siedzi w kuchni, wyglądając jak ruina. Cierpiąc na ból głowy pozbawiona jest wszelkiej energji. Zdecydowała się użyć Trinera Gorzkiego Wina i—

DRUGIEGO dnia zupełnie się zmieniła. — Śpiewa, śmieje się i nerwoza zniknęła. Trinera Gorzkie Wino podziałało jak różczka magiczna.

TRINERA GORZKIE WINO jest lekarstwem, jakiego potrzebujecie, jeżeli brak wam apetytu, cierpicie na niestrawność, częste bóle głowy, niespokojne noce, rozstrój nerwowy, brak energji, środek ten wyczyści wasz żołądek, wzmocni nerwy, pomoże nerkom i wątrobie do lepszego funkcjonowania, a przez to będziecie czuć się zupełnie innym człowiekiem.

Składniki, jak Kaskara Sagrada i inne zioła, korzenie i kora, i kalifornijskie wino czerwone, najmniej 3 lata wystałe, czyni Trinera Gorzkie Wino doskonałym tonikiem na żołądek. Przez 35 lat zdobyło popularność wśród tysięcy Polaków w Ameryce i Kanadzie.

Zapytajcie także o *Trinera Liniment* w wypadkach reumatyzmu, neuralgji, lumbago i zwichnięć, *Trinera Łagodziciel Kaszlu* w wypadkach przeziębień, *Trinera Dental Cream, Trinera Krople od bólu Zębów, Trinera Proszki od bólu głowy, Trinera "Hand Lotion"* na popękane ręce i twarz, *Trinera Liquid Shampoo,* który czyni włosy Wasze połyskującemi i ślicznemi, *Trinera Lekarstwo na Odciski, Trinera Czerwone Pigułki* od kolek i zatwardzenia. — Spróbujcie także *Trinera Fli-Gass,* który zabija muchy i komary, *Trinera Proszek na Kakrocie,* który zabija kakrocie i inne robactwo w domu i fabryce, *Trinera Garden Friend* zabija robactwo i owady w Waszym ogródku.

Jeżeli wasz aptekarz lub sprzedawca lekarstw niema Trinera lekarstw lub preparatów na składzie, piszcie do

JOSEPH TRINER COMPANY

1333-1345 S. Ashland Ave., Chicago, Ill.